

„TAŃCZ, TAŃCZ ZARITÉ, BO NIEWOLNIK, KTÓRY TAŃCZY,  
JEST WOLNY... DOPÓKI TAŃCZY”

Isabel  
Allende

Isabel  
Allende



Podmorska  
wyspa

PRZEŁOŻYLI

Joanna Ostrowska  
Grzegorz Ostrowski

*Moim dzieciom, Nicolásowi i Lori*

## Zarité

Ja, Zarité Sedella, w ciągu czterdziestu lat, które przeżyłam, miałam więcej szczęścia niż inne niewolnice. Czeka mnie długie życie i pogodna starość, bo moja gwiazda – moja z'etoile – świeci nawet wtedy, gdy nocne niebo jest zasnute chmurami. Wiem, co to znaczy być blisko z mężczyzną, którego wybrało serce, wiem, jak to jest, kiedy jego wielkie dłonie budzą moją skórę. Miałam czwórkę dzieci i jednego wnuka; te, które żyją, są wolne. Pamiętam pierwsze chwile szczęścia, kiedy jeszcze jako koścista, rozczochrana smarkula podrygiwałam przy dźwiękach bębnów. Teraz jestem tak samo szczęśliwa. Wczorajszy wieczór przetańczyłam na placu Congo, nie myśląc o niczym, a dziś czuję w całym ciele ciepło i zmęczenie. Muzyka jest jak wiatr, porywający lata, wspomnienia i strach, to przyczajone zwierzę; noszę je w sobie. Bębny sprawiają, że dzisiejsza Zarité znika bez śladu i na powrót staje się dziewczynką, która ledwo potrafiła chodzić, a już tańczyła. Kiedy uderzam stopami o ziemię, przez nogi wchodzi we mnie życie, przenika kości, wypełnia mnie całą, oddala smutek i czyni znośniejszymi wspomnienia. Świat ogarnia drżenie. Rytm rodzi się na podmorskiej wyspie<sup>{1}</sup>, wstrząsa ziemią, przesywa mnie jak grom i odchodzi do nieba, zabierając moje zmartwienia, żeby Papa Bondye je przeżuł, połknął, a mnie pozostawił czystą i zadowoloną. Bębny zwyciężają strach. Bębny są spadkiem po matce, siłą Gwinei, którą mam we krwi. Dlatego nikt mnie nie pokona; staję się silna jak Erzulie, loa miłości, i szybsza niż bicz. Muszle klekoczą na kostkach moich nóg i na nadgarstkach, tykwy zadają pytania, bębny djembe odpowiadają im leśnym głosem, a tamburyny – metalicznym; dunduny, które potrafią mówić, nawołują, a wielki manman wydaje chrapliwy dźwięk, kiedy w niego uderzają, aby wezwać loa. Bębny są święte, są głosem loa.

W domu, gdzie chowałam się przez pierwsze lata, bębny stały milczące w izbie, którą dzieliłam z Honoré, też niewolnikiem, ale często wynoszono je na zewnątrz. Madame Delphine, moja ówczesna pani, nie lubiła słuchać hałasów czarnych, wołała tęskną skargę swego klawikordu. W poniedziałki i wtorki uczyła kolorowe dzieci, a w pozostałe dni tygodnia dawała lekcje w domach grands blancs. Tam panienki miały własne instrumenty, nie mogły przecież dotykać tych, których używały Mulatki. Nauczyłam się czyścić klawisze sokiem cytrynowym, ale nie grałam, bo madame zabraniała ruszać jej klawikord. Zresztą wcale nam na tym nie zależało. Honoré potrafił wydobyć muzykę ze zwykłego rondla, w jego rękach każdy przedmiot nabierał własnego taktu, melodii, rytmu i głosu. Honoré nosił w sobie dźwięki, przywiózł je z Dahomeju. Lubiałam bawić się pustą tykwą, którą potrzęsaliśmy; później nauczył mnie powolutku pieścić bębny. To było na samym początku, kiedy jeszcze nosił mnie na rękach i zabierał na tańce i obrzędy vodou<sup>{2}</sup> podczas których wybijał rytm na głównym bębnie, by inne podążyły jego śladem. Tak to zapamiętałam. Honoré wyglądał na bardzo starego, ho kiedyś przeziębził sobie kości, ale miał wtedy nie więcej lat niż ja teraz. Pił tafię, żeby znieść ból przy poruszaniu, ale lepszym lekarstwem od mocnego alkoholu była muzyka. Przy dźwiękach bębnów jego pojękiwania przechodziły w śmiech. Zniekształconymi dłońmi Honoré z trudem mógł obrać ziemniaki na obiad dla pani, ale kiedy grał na bębnie, był niezmordowany, a w tańcu nikt nie podnosił kolan wyżej od niego, nie kołysał mocniej głową ani nie trząsł tyłkiem z większą ochotą. Kiedy nie umiałam jeszcze chodzić, poruszał mną tak, żebym tańczyła na siedząco, a gdy potrafiłam już jako tako utrzymać się na nogach, zachęcał mnie, żebym zatracala się w muzyce jak we śnie. Mówił mi: „Tańcz, tańcz Zarité, bo niewolnik, który tańczy, jest wolny... dopóki tańczy”. Przez cały czas tańczę.

# *Część pierwsza*

*Saint-Domingue, 1770-1793*

## *Choroba hiszpańska*

Toulouse Valmorain dotarł na Saint-Domingue w 1770 roku, tym samym, w którym delfin Francji poślubił austriacką arcyksiężniczkę Marię Antoninę. Zanim wyruszył w podróż do kolonii – kiedy jeszcze nawet nie podejrzewał, że los splata mu figla i sprawi, że w końcu zagrzebie się na plantacji trzciny cukrowej na Antylach – zaproszono go do Wersalu na jedną z uroczystości na cześć nowej delfiny, czternastoletniej dziewczynki o blond włosach, która, wcale się z tym nie kryjąc, ziewała bezceremonialnie znudzona sztywną etykietą francuskiego dworu.

Wszystko to należało już do przeszłości. Saint-Domingue było innym światem. Młody Valmorain miał dość mgliste pojęcie o miejscu, w którym jego ojciec próbował z lepszym lub gorszym skutkiem zapewnić chleb swojej rodzinie w nadziei, że kiedyś dorobi się majątku. Wcześniej przeczytał gdzieś, że pierwotni mieszkańcy wyspy, Arawakowie, zwali ją Haiti, zanim konkwistadorzy zmienili jej nazwę na Hispaniola i wybili tubylców. Niespełna pięćdziesiąt lat później nie ostał się nawet jeden Arawak, ani żywy, ani w charakterze eksponatu. Wszyscy padli ofiarą niewolnictwa, europejskich chorób lub popełnili samobójstwo. Była to rasa o czerwonej skórze, grubych czarnych włosach i niezachwianym poczuciu własnej godności, tak bojaźliwa, że jeden Hiszpan mógł gołymi rękami pokonać dziesięciu Arawaków. Żyli w poligamicznych wspólnotach; dbali, by gleba nie uległa wyjałowieniu; uprawiali bataty, kukurydzę, dynie, orzeszki ziemne, paprykę, ziemniaki i maniok. Ziemia, tak jak niebo i woda, nie miała właściciela, póki nie zawładnęli nią obcy, by rękami zmuszanych do pracy Arawaków uprawiać nieznane tam wcześniej rośliny. W tym czasie Hiszpanie wprowadzili obyczaj „szczucia”, czyli napuszczania psów, by zabijały bezbronnych ludzi. Kiedy już wykończono Indian, zaczęto przywozić niewolników schwytych w Afryce oraz białych z Europy: skazańców, sieroty, prostytutki i buntowników.

Pod koniec siedemnastego wieku Hiszpania oddała Francji zachodnią część wyspy, nazwano ją Saint-Domingue, która wkrótce miała stać się najbogatszą kolonią świata. W czasie kiedy przybył tam Toulouse Valmorain, z wyspy pochodziła jedna trzecia francuskiego eksportu: cukier, kawa, tytoń, bawełna, indygo i kakao. Nie było już białych niewolników, za to liczba czarnych sięgała setek tysięcy. Najwięcej wysiłku wymagała uprawa trzciny cukrowej, słodkiego złota kolonii. Jak twierdzili plantatorzy, ścinanie trzciny, jej mielenie i przetwarzanie na syrop nie było pracą ludzką, lecz zwierzęcą.

Valmorain skończył właśnie dwudziesty rok życia, kiedy agent handlowy ojca wezwał go do kolonii nagłym listem. Młody Francuz schodził ze statku ubrany zgodnie z najnowszą modą: koronkowe mankiety, pudrowana peruka i buty na wysokim obcasie. Był przekonany, że książki podróżnicze, które przeczytał, wystarczą mu aż nadto, by przez kilka tygodni pełnić rolę doradcy na plantacji. Podróżował z lokajem, niemal tak samo wytwornym jak on, oraz kilkoma kuframi ubrań i książek. Mówił o sobie, że jest humanistą; po powrocie do Francji zamierzał poświęcić się nauce. Podziwiał filozofów i encyklopedystów, którzy w ciągu ostatnich dziesięcioleci odcisnęli na Europie tak głębokie piętno, i podzielał niektóre z ich liberalnych poglądów, a kiedy miał osiemnaście lat, czytał do poduszki *Umowę społeczną* Rousseau. Zaraz po zejściu na ląd, po długiej podróży morskiej o mały włos nie zakończonej tragicznie z powodu huraganu, z którym zmierzyli się na Morzu Karaibskim, spotkała go pierwsza przykra niespodzianka: ojciec nie czekał na niego w porcie. Powitał go agent, uprzejmy Żyd ubrany od stóp do głów na czarno, i od razu poinformował o środkach ostrożności niezbędnych przy poruszaniu się po wyspie. Dał konie, dwa muły do przewiezienia bagażu, przewodnika i żołnierza miejscowej straży, mających towarzyszyć mu do *habitation* Saint-Lazare. Młodzieniec nigdy nie wychylił nosa poza Francję i nie traktował poważnie opowieści, zresztą dość stereotypowych, którymi stary Valmorain raczył go podczas sporadycznych odwiedzin u rodziny w Paryżu. Nie przyszło mu do głowy, że kiedykolwiek pojedzie na plantację. Milcząca umowa zakładała, że ojciec będzie powiększał majątek na wyspie, on zaś miał opiekować się matką i siostrami oraz nadzorować interesy we Francji. W liście, który otrzymał, na-

pomknięto o problemach zdrowotnych, przypuszczał więc, że chodzi o krótkotrwały atak febry, ale kiedy po dniu morderczej jazdy konno pośród żarłocznej i nieprzyjaznej przyrody przybył do Saint-Lazare, zdał sobie sprawę, że jego rodzic umiera. Nie była to malaria, jak wcześniej sądził, lecz syfilis, wyniszczający jednakowo białych, czarnych i Mulatów. Choroba osiągnęła ostatnie stadium. Ojciec był zniechęcony, cały w krostach, miał rozchwiane zęby i zamglony umysł. Drastyczne metody leczenia polegające na upuszczaniu krwi, kuracji rtęcią i przypalaniu penisa rozgrzanym do czerwoności żelazem nie przynosiły mu ulgi, ale nadal je stosował, traktując jako akt skruchy. Skończył właśnie pięćdziesiąt lat, a był starcem; wydawał absurdalne polecenia, nie panował nad oddawaniem moczu i spędzał czas w hamaku ze swoimi maskotkami, dwiema Murzynkami, które dopiero co osiągnęły dojrzałość.

Kiedy niewolnicy rozpakowywali bagaże, stosując się do poleceń lokaja, fircyka, który z trudem zniósł podróż statkiem, a teraz z przerażeniem odkrywał prymitywne warunki panujące w miejscu, do którego trafił, Toulouse Valmorain wyruszył na objazd rozległej posiadłości. Nie miał pojęcia o uprawie trzciny, ale krótka przejażdżka wystarczyła mu, by zrozumieć, że niewolnicy przymierają głodem, a plantację ratuje od upadku jedynie to, że świat coraz żarłoczniej konsumuje cukier. W księgach rachunkowych znalazł wytłumaczenie złego stanu finansów, który nie pozwalał ojcu utrzymywać rodziny w Paryżu na poziomie odpowiadającym jej statusowi. Produkcja dramatycznie się zmniejszała, a niewolnicy padali jak muchy. Nie miał wątpliwości, że nadzorcy kradną, wykorzystując degrengoladę swojego pana. Valmorain, przeklinając los, postanowił zakasać rękawy. Zabrał się do roboty, co nie przyszłoby do głowy żadnemu młodemu człowiekowi z jego otoczenia. Praca była dla ludzi innej kategorii. Zaczął od pokaźnej pożyczki, którą załatwił dzięki pomocy agenta handlowego ojca i jego koneksjom wśród bankierów; potem wysłał wszystkich *commandeurs* na plantacje trzciny i kazał im pracować ramię w ramię z tymi, których wcześniej dręczyli, a zastąpił ich innymi, mniej zdegenerowanymi, Złagodził kary, wreszcie zatrudnił weterynarza, który spędził w Saint-Lazare dwa miesiące, próbując poprawić stan zdrowia Murzynów. Weterynarzowi nie udało się uratować lokaja, bo nagła biegunka wykończyła go w niecałe trzydzieści osiem godzin. Valmorain uświadomił sobie, że niewolnicy ojca uciekali albo umierali z wycieńczenia średnio po osiemnastu miesiącach, znacznie szybciej niż na innych plantacjach. Kobiety żyły dłużej niż mężczyźni, ale przynosiły mniejsze zyski. Wykonywały co prawda morderczą pracę na polu, ale poza tym miały brzydki zwyczaj zachodzenia w ciążę. Tyle że przeżywało bardzo niewiele dzieci – plantatorzy wyliczyli, że rozrodczość czarnych jest tak niska, że nie przynosi dochodów. Młody Valmorain wprowadzał niezbędne zmiany w sposób automatyczny, bez planów, w pośpiechu, zdecydowany na rychły wyjazd, ale kiedy kilka miesięcy później ojciec zmarł, musiał pogodzić się z tym, że jest w potrzasku. Nie marzył o złożeniu kości w tej nękaną moskitami kolonę, ale wiedział, że gdyby wyjechał przedwcześnie, straciłby plantację, a wraz z nią dochody i pozycję społeczną we Francji.

Valmorainowi nie zależało na kontaktach z osadnikami. *Grands blancs*, właściciele innych plantacji, uważali go za pyszałka, który nie wytrzyma długo na wyspie. Dlatego dziwił ich widok jego zabłoconych butówi spalonej słońcem twarzy. Niechęć była wzajemna. Dla Valmoraina ci przesiedleni i żyjący na Antylach Francuzi byli prostakami w porównaniu z towarzystwem, w którym niegdyś się obracał. W jego dawnych kręgach z entuzjazmem podchodzono do nowych idei, nauki i sztuki i nie mówiono o pieniędzach ani o niewolnikach. Z przeżywającego „wiek rozumu” Paryża Valmorain trafił do prymitywnego i pełnego przemocy świata, gdzie żywi i martwi byli ze sobą za pan brat. Nie przyjaźnił się również z *petits blancs*, których jedynym kapitałem był kolor skóry. Nieboracy zatruci jadem zawiści i złorzeczeń, zwykł o nich mówić. Pochodzili ze wszystkich stron świata; w żaden sposób nie dało się sprawdzić czystości ich krwi ani przeszłości. W najlepszym razie byli handlarzami, rzemieślnikami, niezbyt cnotliwymi zakonnikami, marynarzami, żołnierzami i niższymi rangą urzędnikami, ale zdarzali się wśród nich również złoczyńcy, sutenerzy, zbrodniarze oraz korsarze, którzy wykorzystywali każdy zakątek Karaibów do swoich łajdactw. Nic go z tymi ludźmi nie łączyło.

Wolni Mulaci i *affranchis* dzielili się na ponad sześćdziesiąt kategorii zależnie od domieszki białej krwi, decydującej o ich statusie społecznym. Valmorain nigdy nie nauczył się odróżniać odcieni ani nazw wszystkich kombinacji obu ras. *Affranchis* nie mieli władzy politycznej, ale obracali dużymi pieniędzmi, dlatego byli znienawidzeni przez biednych białych. Niektórzy zarabiali na życie, prowadząc nielegalne interesy, od przemytu po prostytutkę, ale byli również tacy, którzy otrzymali wykształcenie we Francji, mieli pieniądze, ziemię i niewolników. Niezależnie od subtelnych różnic w kolorze skóry, Mulatów łączyła ta sama chęć uchodzenia za białych i wrodzona pogarda dla czarnych. Niewolnicy, których liczba dziesięciokrotnie przewyższała łączną liczbę białych i *affranchis*, w ogóle nie byli uwzględniani w spisach ludności, nie istnieli też w świadomości kolonistów.

Ponieważ nie wypadało całkowicie się izolować, Toulouse Valmorain od czasu do czasu składał wizyty kilku rodzinom należącym do *grands blancs*, w Le Cap, mieście położonym najbliżej jego plantacji. W czasie takich podróży zaopatrywał się w potrzebne mu rzeczy. Jeśli nie dało się tego uniknąć, zaglądał do Zgromadzenia Kolonialnego, by pozdrowić innych plantatorów i przypomnieć im, jak się nazywa, ale nigdy nie brał udziału w posiedzeniach. Korzystał też z okazji, by obejrzeć w teatrze jakąś komedię, wziąć udział w jednej z zabaw organizowanych przez *cocottes* (żywiłowe kurtyzany francuskie, hiszpańskie i ras mieszanych, które opanowały nocne życie miasta) czy pobratać się z podróżnikami i naukowcami goszczącymi przejazdem na wyspie w drodze do innych, ciekawszych miejsc. Saint-Domingue nie przyciągało obcych, ale czasem ktoś tu przyjeżdżał badać przyrodę czy gospodarkę Antyli. Valmorain zapraszał takie osoby do Saint-Lazare, by zaznać raz jeszcze, choćby na krótko, przyjemności wzniosłych konwersacji, które niegdyś umilały mu czas w Paryżu. Trzy lata po śmierci ojca mógł z dumą pokazywać swoją posiadłość. Zrujnowane gospodarstwo z chorymi Murzynami i wyschniętymi polami trzciny cukrowej przekształcił w jedną z najlepiej prosperujących plantacji spośród ośmiuset na wyspie; pięciokrotnie zwiększył produkcję nierafinowanego cukru przeznaczonego na eksport; zbudował destylarnię dostarczającą beczkami przedni rum znacznie szlachetniejszy niż ten, który pijało się na co dzień. Jego goście spędzali tydzień lub dwa w prostym drewnianym domostwie, napawając się wiejskim życiem i podziwiając z bliska magiczny wynalazek, jakim był cukier. Jeździli konno pośród gęstych, poruszanych wiatrem traw, wydających z siebie złowrogie świsty, chronieni przed słońcem przez wielkie słomkowe kapelusze, bliscy omdlenia z powodu wrzącej wilgoci Karaibów. W tym czasie przypominający spiczaste cienie niewolnicy ścinali rośliny tuż nad ziemią, nie niszcząc korzeni, by wdały kolejne zbiory. Wyglądali z daleka jak owady pośród pstrokatych pól porośniętych trzcina dwakroć wyższą od nich samych. Czyszczenie twardych łodyg, siekanie ich w zębatych maszynach, rozgniatanie w prasach i gotowanie ciemnego syropu w głębokich miedzianych kotłach było czymś fascynującym dla ludzi z miasta, którzy znali jedynie śnieżnobiałe kryształki używane do słodzenia kawy. Goście przekazywali Valmorainowi wieści o tym, co działo się w Europie, coraz bardziej mu obcej, opowiadali o nowych osiągnięciach nauki i techniki, o poglądach filozoficznych będących akurat w modzie. Otwierali furtkę, przez którą mógł podpatrywać świat, zostawiali mu w prezencie książki. Valmoraina cieszyła obecność gości, ale jeszcze bardziej cieszył się, kiedy odjeżdżali; nie lubił obcych ani w swoim życiu, ani w swojej posiadłości. Ludzie z zewnątrz podchodzili do niewolnictwa z odrazą połączoną z niezdrową ciekawością, co odbierał jako krzywdzące, bo uważał się za sprawiedliwego pana: gdyby wiedzieli, jak traktowali swoich Murzynów inni plantatorzy, przyznaliby mu rację. Podejrzewał, że niejeden z nich wróci do cywilizacji jako wyznawca abolicjonizmu, gotowy bojkotować konsumpcję cukru. Gdyby nie został zmuszony do zamieszkania na wyspie, niewolnictwo szokowałoby i jego, ale ojciec nigdy nie poruszał tego tematu, nie znał więc szczegółów. Teraz, gdy sam musiał nadzorować setki niewolników, jego poglądy się zmieniły.

Pierwsze lata upłynęły Toulouse'owi Valmorainowi na dźwiganiu Saint-Lazare z ruiny i nie mógł sobie pozwolić, by opuścić kolonię. Stracił kontakt z matką i siostrami, jeśli nie liczyć sporadycznych listów pisanych w oficjalnym tonie, które zawierały jedynie banały, dotyczące codziennego życia i stanu



zdrowia.

Wypróbował dwóch administratorów sprowadzonych z Francji (miejscowi mieli opinię przekupnych), ale obaj źle skończyli: jeden zmarł ukąszony przez węża, a po drugiego, którego zbyt ciągnęło do rumu i kobiet, przyjechała żona i zabrała ze sobą, nie pytając go o zdanie. Teraz sprawdzał Prospera Cambraya, który jak wszyscy wolni Mulaci w kolonii służył trzy lata w straży konnej – Marechaussée – pilnującej przestrzegania prawa, utrzymującej porządek, ściągającej podatki i ścigającej zbiegłych niewolników. Cambray nie miał majątku ani protektorów, dlatego zdecydował się zarabiać na życie niewdzięczną pracą, jaką było polowanie na czarnych na bezkresnych przestrzeniach pokrytych nieprzyjazną dżunglą i stromymi górami, gdzie nawet muły czuły się niepewnie. Jego żółta skóra nosiła ślady po ospie, włosy miał kręcone, rdzawego koloru, oczy zielonkawe, zawsze podrażnione, a łagodny, modulowany głos kontrastował – jak na ironię – z jego dzikim charakterem i wyglądem płatnego mordercy. Od niewolników wymagał kornej uległości, ale sam płaszczył się przed tymi, którzy stali wyżej od niego. Na początku próbował zaskarbić sobie względy Valmoraina intrygami, ale szybko zrozumiał, że dzieli ich rasowa i klasowa przepaść. Valmorain dawał mu dobre wynagrodzenie, poczucie, że ma władzę, i nęcącą perspektywę zostania kiedyś przełożonym nadzorców.

Toulouse miał teraz więcej czasu na czytanie, polowanie i podróże do Le Cap. Już wcześniej poznał Violette Boisier, najbardziej pożądaną *cocotte* w mieście, dziewczynę wolną, cieszącą się opinią czystej i zdrowej, półkrwi Afrykanek wyglądającą jak biała. Istniała szansa, że przy niej nie skończy jak jego ojciec z krwią rozrzedzoną przez „chorobę hiszpańską”.

## *Ptaka nocy*

Matka Violette Boisier też była kurtyzaną, okazałą Mulatką, która zginęła, mając dwadzieścia dziewięć lat, przebita szablą pewnego francuskiego oficera – może ojca Violette, choć nigdy tego nie potwierdzono – gdy powodowany zazdrością stracił nad sobą panowanie. Dziewczynka zaczęła pracować w zawodzie pod opieką matki w wieku jedenastu lat. Kiedy ta zginęła, Violette miała lat trzynaście i znała już gruntownie tajniki sztuki rozkoszy, a jako piętnastolatka prześcignęła wszystkie rywalki. Valmorain wolał nie wiedzieć, z kim *petite amie* swawoli pod jego nieobecność, nie zamierzał bowiem kupować sobie wyłączności. Zakochał się w Violette, żywej jak skierka i zawsze skorej do śmiechu, ale potrafił zachować zimną krew i zapanować nad wyobraźnią, w odróżnieniu od wojskowego, który zabił matkę dziewczyny, rujnując swoją karierę i nazwisko. Zadowalał się zabieraniem jej do teatru i na męskie przyjęcia, na których nie bywały białe kobiety. Tam jej promienna uroda przyciągała wszystkie spojrzenia. Zazdrość, jaką wzbudzał u innych mężczyzn, kiedy afiszował się, chodząc z nią pod rękę, sprawiała mu perwersyjną satysfakcję. Wielu poświęciłoby honor, by móc spędzić z Violette całą noc zamiast uzgodnionej godziny czy dwóch, ale to był wyłącznie jego przywilej. Tak mu się przynajmniej wydawało. Dziewczyna miała trzypokojowe mieszkanie z balkonem otoczonym żelazną kratą z motywem lilii, na drugim piętrze budynku przy placu Clugny – jedyny majątek po matce, nie licząc kilku sukni odpowiednich do jej profesji. Mieszkała w dość luksusowych warunkach, w towarzystwie Louli, afrykańskiej niewolnicy, grubej i o męskiej urodzie, która pełniła rolę służącej i goryla. Godziny największego upału Violette poświęcała na odpoczynek albo zabiegi upiększające: masaże z użyciem mleczka kokosowego, depilację karmelem, płukanie włosów w oliwie, picie naparów z ziół, które czyniły głos czystym, a wzrok wyostrzonym. Czasem, pod wpływem nagiej inspiracji, wyrabiała z Loulą maści do skóry, mydła migdałowe, smarowidła i pudry do makijażu, które potem sprzedawała przyjaciółkom. Dni płynęły jej wolno i leniwie. O zmierzchu, kiedy słabnące promienie słoneczne nie mogły już skalać jej skóry, wybierała się na spacer, pieszo, o ile pogoda na to pozwalała, albo w lektyce niesionej przez dwóch niewolników, których wynajmowała od sąsiadek. W ten sposób unikała powalania sukni końskim łajnem, śmieciami i błotem z ulic Le Cap. Nosiła się dyskretnie, by nie uchybiać innym kobietom: ani białe, ani Mulatki nie były skłonne tolerować takiej konkurencji. Chodziła po sklepach, robiąc zakupy, i na przystań, gdzie można było dostać towary przemycane przez marynarzy; zaglądała do krawcowej, do fryzjera, odwiedzała przyjaciółki. Pod pretekstem, że chce napić się soku owocowego, przystawała przed hotelem albo kawiarnią, gdzie zawsze znalazł się jakiś dżentelmen gotowy zaprosić ją do swojego stołu, pozostawiała wszak w zażyłych stosunkach z najbardziej wpływowymi białymi z kolonii, w tym z najwyższym rangą wojskowym – gubernatorem. Potem wracała do domu, by przyodziać się stosownie do jej zawodu, co było skomplikowanym zabiegiem wymagającym kilku godzin pracy. Miała stroje we wszystkich kolorach tęczy z przepysznych materiałów pochodzących z Europy i ze Wschodu, pantofelki i dopasowane do nich torebki, kapelusze zdobne w pióra, haftowane szale z Chin, futrzane narzutki, które wlokła za sobą po ziemi, bo klimat nie pozwalał na ich noszenie, i kuferek tandetnej biżuterii. Co noc rotacyjny miłośnik (nigdy nie nazywano go klientem), do którego akurat los się uśmiechnął, zabierał ją na przedstawienie, na kolację, potem na trwającą do świtu zabawę, a na koniec odprowadzał do jej mieszkania, gdzie czuła się pewnie, bo Loula spała w pobliżu na sienniku i zawsze mogła ją zawołać, kiedy chciała pozbyć się nazbyt natarczywego mężczyzny. Cena była znana, więc nikt o niej nie wspominał; pieniądze trafiały do ławkowej szkatuły na stole, a od napiwku zależało, czy dojdzie do kolejnego spotkania.

W dziurze między dwiema ściennymi deskami, o której istnieniu wiedziała tylko Loula, Violette trzymała zamszowe etui z wartościowymi klejnotami – część dostała od Toulouse'a Valmoraina, o którym można było powiedzieć wszystko, oprócz tego, że jest skąpcem – i kupowanymi od czasu do czasu

złotymi monetami, jej kapitałem na przyszłość. Wolą nosić sztuczne błyskotki, by nie kusić złodziei i nie prowokować gadania, a kosztowności wkładała, gdy spotykała się z tym, kto je podarował. Nie rozstawała się ze skromnym staroświeckim pierścionkiem z opalem, włożonym jej na palec na znak zaręczyn przez francuskiego oficera Étienne'a Relais'go. Widywała go bardzo rzadko, bo spędzał życie w siodle, dowodząc swoim oddziałem, ale kiedy przebywał w Le Cap, zostawiała wszystkich przyjaciół, by się nim zająć. Tylko przy Relais'm mogła oddawać się bez reszty urokowi poczucia bezpieczeństwa. Toulouse Valmorain nie podejrzewał nawet, że dzieli z tym prostym żołnierzem zaszczyt spędzania z Violette całych nocy. Nigdy mu się nie tłumaczyła i nie musiała wybierać, bo nie pojawiali się w mieście w tym samym czasie.

– Co mam robić z mężczyznami, którzy traktują mnie, jakbym była ich narzeczoną? – spytała kiedyś Loulę.

– Takie sprawy same się rozwiązują. – Niewolnica zaciągnęła się głęboko cygaretką z surowego tytoniu.

– Albo kończą rozlewem krwi. Przypomnij sobie moją matkę.

– To ci się nie przydarzy, aniołku, jestem tu po to, żeby cię chronić.

Loula miała rację: czas wyeliminował jednego z pretendentów. Po dwóch latach związek z Valmorainem przekształcił się w przyjaźń kochanków pozbawioną namiętności z pierwszych miesięcy, kiedy on zajeżdżał wierzchowca tylko po to, by wziąć ją w ramiona. Coraz rzadziej dawał jej drogie podarunki, a czasami, będąc w Le Cap, nawet nie starał się z nią zobaczyć. Violette nie robiła mu wyrzutów, zawsze bowiem była świadoma granic ich znajomości, ale utrzymywała z nim kontakty, bo te obojgu mogły przynieść korzyści.

W środowisku, w którym występki były na porządku dziennym, a honor na sprzedaż, gdzie prawa stanowiono po to, by je łamać, a to, że ktoś nie nadużywał władzy, oznaczało, że na nią nie zasługuje, kapitan Étienne Relais cieszył się sławą nieprzekupnego. Uczciwość nie pozwoliła mu się wzbogacić, jak wielu innym mającym podobną pozycję; nawet pokusa zgromadzenia pieniędzy potrzebnych na obiecany Violette Boisier wyjazd do Francji nie skłoniła go do sprzeniewierzenia się temu, co uważał za żołnierską prawość. Nie wahał się poświęcać ludzi w czasie bitwy ani torturować dziecka, by uzyskać informacje o jego matce, ale nigdy nie wzięłyby pieniędzy, których uczciwie nie zarobił. Był przewrażliwiony na punkcie własnego honoru i rzetelności. Chciał zabrać Violette tam, gdzie nikt by ich nie znał, gdzie nikt by nie podejrzewał, że zarabiała na życie, oddając się nieprzyzwoitym praktykom, i gdzie jej mieszana rasa nie byłaby tak oczywista, bo tylko wprawne oko, wyćwiczone na Antylach, mogło odgadnąć, że pod tą jasną skórą płynie afrykańska krew.

Violette niezbyt pociągał pomysł wyjazdu do Francji – bardziej niż złych języków, na które była uodporniona, bała się bowiem mroźnych zim. Mimo to zgodziła się mu towarzyszyć. Relais wyliczył, że spełni swoje marzenie, jeśli będzie żyć oszczędnie, brać udział w ryzykownych misjach, za które dawano dodatkowe wynagrodzenie, i szybko piąć się po szczeblach kariery. Miał nadzieję, że do tego czasu Violette dojrzeje i nie będzie już tak zwracała uwagi bezczelnością swojego śmiechu, zbytnią figlarnością błysku czarnych oczu i rytmicznym kołysaniem bioder. I tak nie pozostałaby niezauważona, ale może podołałaby roli małżonki wojskowego w stanie spoczynku. *Madame* Relais... Smakował te dwa słowa, powtarzał je niczym zaklęcie. Decyzja, by się z nią ożenić, nie była – w przeciwieństwie do reszty jego życiowych planów – wynikiem drobiazgowo opracowanej strategii, ale wypłynęła z porywu serca tak gwałtownego, że nigdy nie zwątpił w jego autentyczność. Nie był człowiekiem sentymentalnym, ale nauczył się ufać własnemu instynktowi, niezwykle przydatnemu na wojnie.

Poznał Violette dwa lata wcześniej, na niedzielnym targu, pośród okrzyków sprzedawców, w kłębowisku ludzi i zwierząt. W nędznym teatrze, składającym się jedynie z platformy zadaszonej fioletowymi szmatami, prężył się mężczyzna z przesadnie długimi wąsami, pokryty tatuażami w formie arabesek, a mały chłopiec wychwalał go na całe gardło jako najbardziej niezwykłego magika Samarkandy. To żało-

sne widowisko nie przyciągnęłoby uwagi kapitana, gdyby nie olśniewająca postać Violette. Kiedy magik poprosił o ochotnika spośród publiczności, utorowała sobie drogę pomiędzy gapiami i weszła na podium z dziecięcym entuzjazmem, śmiejąc się i pozdrawiając zgromadzonych wachlarzem. Skończyła niedawno piętnaście lat, ale miała już ciało i ruchy doświadczonej kobiety, jak to zwykle bywa w klimacie, w którym dziewczynki – tak jak owoce – szybko dojrzewają. Zgodnie z instrukcjami iluzjonisty Violette zwinęła się w kłębek we wnętrzu skrzyni nieudolnie pomalowanej w egipskie znaki. Herold, czteroletni Murzynek przebrany za Turka, zamknął pokrywę na dwie masywne kłódki, a jednego z widzów poproszono o sprawdzenie zamknięcia. Magik z Samarkandy wykonał kilka ruchów peleryną i wręczył klucze ochotnikowi, żeby otworzył kłódki. Po podniesieniu wieka skrzyni okazało się, że dziewczyny nie ma już w środku, ale chwilę później werble bębnow Murzynka obwieściły jej cudowne pojawienie się za widownią. Wszyscy odwrócili głowy i z otwartymi ustami podziwiali Violette, która zmaterializowała się z nicości i wachlowała z nogą opartą o beczkę.

Od pierwszego wejrzenia Étienne Relais wiedział, że nie zdoła wyrwać z duszy obrazu tej słodkiej jak miód i delikatnej jak jedwab dziewczyny. Poczuł, że w jego ciele coś pęka; zaschło mu w ustach, stracił poczucie rzeczywistości. Z trudem wrócił do przytomności, dotarło do niego, że znajduje się na targu, otoczony ludźmi. Próbując odzyskać kontrolę nad sobą, wdychał haustami wilgoć południa, smród rozmiękłych na słońcu ryb i mięsa, zgniłych owoców, śmieci i zwierzęcego gówna. Nie znał imienia piękności, ale przypuszczał, że łatwo uzyska tę informację. Domyślił się też, że nie jest zamężna, żaden bowiem małżonek nie pozostawiłby jej takiej swobody. Wyglądała tak cudownie, że wszystkie oczy były skierowane na nią i nikt, poza Relais’em, wprawionym w dostrzeganiu najdrobniejszych szczegółów, nie zauważył sztuczki iluzjonisty. W innych okolicznościach, jako człowiek skrupulatny, może zdemaskowałby istnienie podwójnego dna skrzyni i zapadni w podium, ale przypuszczał, że dziewczyna jest współniczką magika, i wolał oszczędzić jej przykrości. Nie poczekał, żeby zobaczyć, jak wytatuowany Cygan wyciąga z butelki małpę i ścina głowę ochotnikowi (takie atrakcje zapowiedział mały herold). Rozpychając tłum łokciami, ruszył za dziewczyną, która oddalała się pospiesznie pod ramię z mężczyzną w mundurze, zapewne żołnierzem z jego pułku. Nie dogonił jej; nagle zatrzymała go Murzynka o muskularnych ramionach, z prostymi bransoletkami na rękach. Wyrosła tuż przed nim i poradziła, by ustawił się w kolejce, nie jest bowiem jedynym zainteresowanym jej panią, Violette Boisier. Widząc zdezorientowaną minę kapitana, nachyliła się, żeby szepnąć mu do ucha, jak duży musi być napiwek, by umieścić go na pierwszym miejscu wśród klientów na ten tydzień. Tak dowiedział się, że jest zakochany w jednej z kurtyzan, z których słynęło miasto Le Cap.

Kiedy Relais zjawił się po raz pierwszy w mieszkaniu Violette Boisier, sztywny w świeżo wyprasowanym mundurze, przyniósł butelkę szampana i skromny prezent. Złożył należność w miejscu wskazanym przez Loulę, gotów rozegrać w ciągu dwóch godzin całą swoją przyszłość. Loula dyskretnie zniknęła. Został sam, ociekając potem w nagrzanym powietrzu pokoiku zapchanego meblami, cokolwiek zdegustowany mdłym zapachem dojrzałych owoców mango leżących na paterze. Violette nie kazała na siebie czekać dłużej niż kilka minut. Wślizgnęła się po cichu i wyciągnęła do niego obie ręce, patrząc nań spod przymkniętych powiek, z błakającym się po twarzy uśmiechem. Relais ujął jej długie smukłe dłonie, nie mając pojęcia, jaki będzie następny krok. Ona wyswobodziła się, pogłaskała go po twarzy, zadowolona, że się dla niej ogolił, i pokazała, żeby otworzył butelkę. Korek wyskoczył i szampan wypłynął pod ciśnieniem, wilżąc pianą jej nadgarstek, nim zdążyła podstawić kieliszek. Przeciągnęła wilgotnymi palcami po szyi, a Relais zapragnął zlizać krople błyszczące na tej doskonałej skórze. Tkwił jednak na swoim miejscu, niemy i bezwolny. Ona napełniła kieliszek i nawet nie spróbowałszy szampana, odstawiła go na stolik obok sofy, następnie podeszła i wprawnymi palcami rozpięła guziki grubej marynarki od munduru. „Zdejmij ją, jest ciepło. I buty też”, powiedziała, podając mu chiński szlafrok wymalowany w czaple. Relais’mu wydał się niestosowny, włożył go jednak na koszulę, walcząc z płataniną szerokich rękawów, po czym usiadł na kanapie, nie wiedząc, jak się zachować. Był przyzwyczajony

jony do wydawania poleceń, ale zrozumiał, że w tych czterech ścianach rozkazuje Violette. Szpary między żaluzjami przepuszczały hałasy z placu i ostatnie promienie słońca, które wciskały się pionowymi cięciami, oświetlając pokoik. Dziewczyna miała na sobie jedwabną szmaragdową tunikę, przewiązaną w talii złotym paskiem, tureckie pantofelki i misternie zawinięty turban haftowany drobnymi paciorkami. Kosmyk czarnych kręconych włosów opadał jej na twarz. Wypiła łyk szampana i podała mu swój kieliszek, który opróżnił jednym spragnionym haustem, jak rozbitek. Ponownie go napełniła i trzymając za delikatną nóżkę, czekała, dopóki kapitan nie zaprosił jej, by usiadła obok niego na sofie. To była ostatnia inicjatywa Relais'go; od tej chwili o przebiegu spotkania decydowała ona.

## Gołębie jajo

Violette nauczyła się zadowalać swoich przyjaciół w uzgodnionym czasie, nie sprawiając wrażenia, że się spieszy. Tyle kokieterii i łobuzerskiej uległości w ciele nastolatki całkowicie rozbroiło Relais'go. Powoli rozwiązała długi zwój turbanu, który opadł z brzękiem paciorków na podłogę z desek, i potrząsnęła czarną kaskadą włosów spływającą na ramiona i plecy. Jej ruchy były niespieszne, pozbawione jakiegokolwiek sztuczności, lekkie jak taniec. Jej piersi nie osiągnęły jeszcze ostatecznej pełni, a sutki unosiły zielony jedwab niczym dwa kamyczki. Pod tuniką była naga. Relais z podziwem patrzył na ciało Mulatki: mocne wysmukłe w kostkach nogi, szerokie pośladki i uda, wciętą talię, wygięte do tyłu palce, eleganckie, bez pierścionków. Jej śmiech zaczynał się od głuchego pomruku w brzuchu i stopniowo wznosił coraz wyżej, krystaliczny, gorszący, brzmiący aż po podniesioną głowę, tańczące włosy, długą rozedrganą szyję. Violette odkroiła srebrnym nożykiem kawałek mango, łapczywie włożyła je do ust i strużka soku spłynęła jej na dekol, wilgotny od potu i szampana. Zebrała palcem ślad owocu, bursztynową gęstą kroplę, i wtarła ją w usta Relais'go, a potem usiadła mu okrakiem na nogach lekko jak kot, Twarz mężczyzny znalazła się pomiędzy jej pachnącymi mango piersiami. Nachyliła się, oplatając go nieokiełznanymi włosami, pocałowała prosto w usta i podała językiem kawałek owocu, który wcześniej ugryzła. Relais przyjął przeżuty miąższ, drżąc z zaskoczenia – nigdy nie doświadczył niczego równie intymnego, tak zdumiewającego i cudownego. Oblizła mu podbródek, ujęła jego głowę w obie dłonie i okryła pocałunkami szybkimi niczym dziobnięć ptaka – w powieki, policzki, usta, szyję – śmiejąc się i żartując. Mężczyzna objął ją w pasie i desperacko rozerwał tunikę, odsłaniając szczupłą, pachnącą piżmem dziewczynę, która ugiwała się, topniała, kruszyła pod uciskiem kości i twardych mięśni jego ciała żołnierza zahartowanego w bitwach i życiu pełnym wyrzeczeń. Chciał wziąć ją na ręce i zanieść do łoża, które zauważył w sąsiednim pokoju, ale Violette nie dała mu na to czasu; jej dłonie odaliski rozsunęły szlafrok w czaple i rozpięły spodnie, jej pełne biodra wprawnie nad nim zatańczyły, aż wbiła się na jego skamieniały członek z głębokim westchnieniem radości. Étienne Relais poczuł, że tonie w grząskiej rozkoszy, bez pamięci, bezwolnie. Zamknął oczy i całował soczyste usta, smakując zapach mango i wędrując pełnymi odcisków żołnierskimi dłońmi po jej nieprawdopodobnie delikatnej skórze i bujnych włosach. Zanurzył się w niej, ulegając bez reszty ciepłu, smakowi i zapachowi dziewczyny, mając wrażenie, że po długiej, samotnej wędrówce bez celu w końcu znalazł swoje miejsce na tym świecie. Kilka minut później eksplodował niczym oszołomiony nastolatek konwulsyjnym wytryskiem i okrzykiem zawodu, bo nie dał jej przyjemności, a przecież ponad wszystko w świecie chciał ją w sobie rozkochać. Violette czekała, aż skończy, nieruchoma, mokra, ciężko dysząc, siedząc na nim z twarzą zatopioną w zagłębieniu jego ramienia, szepcząc niezrozumiałe słowa.

Relais nie wiedział, jak długo trwali objęci w ten sposób. Dopiero gdy zaczął normalnie oddychać i wynurzać się z gęstej mgły, jaka go spowiła, uświadomił sobie, że wciąż w niej tkwi, trzymany mocno przez elastyczne mięśnie, które rytmicznie go masowały, to ściskając, to puszczając. Zdołał jeszcze zadać sobie pytanie, skąd to dziecko zna sztuczki doświadczonych kurtyzany, nim ponownie zatracił się w magmie pożądania i zamęcie szybkiej miłości. Kiedy Violette poczuła, że znowu zeszywniał, otoczyła go w pasie nogami, skrzyżowała stopy za jego plecami i wskazała ruchem dłoni sąsiedni pokój. Relais zaniósł ją na rękach, wciąż nabitą na jego członek, i upadł z nią na łóżko, gdzie cieszyli się sobą do woli aż do późnej nocy, wiele godzin dłużej, niż ustaliła Loula. Matrona wchodziła kilkakrotnie, gotowa położyć kres tej przesadzie, ale Violette, rozczulona widokiem zaprawionego w bojach wojaka, który łkał z miłości, bezceremonialnie ją odprawiała.

Uczucie, jakiego wcześniej nie zaznał, zwałyło się na Étienne'a Relais'go niczym straszliwa fala, czysta energia, sól i piana. Uznał, że nie może rywalizować z innymi klientami dziewczyny, przystojniejszymi, bardziej wpływowymi czy bogatszymi, dlatego wraz z nastaniem świtu postanowił zafero-

wać jej to, co niewielu białych mężczyzn byłoby skłonnych dać: swoje nazwisko. „Wyjdź za mnie”, poprosił, tuląc ją do siebie, Violette usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, jej wilgotne włosy przykleiły się do skóry, oczy miała rozpalone, a usta nabrzmięte od pocałunków. Oświetlały ją ogarki trzech dogorywających świec, które towarzyszyły im podczas niekończących się akrobacji. „Nie ma we mnie nic z żony”, odpowiedziała i dodała, że dotąd jeszcze nie krwawiła zgodnie z cyklami księżycy i że zdaniem Louli jest już na to za późno – nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Relais uśmiechnął się, bo uważał dzieci za zbędny balast.

– Gdybym za ciebie wyszła, ty ruszałbyś na swoje wyprawy, a ja ciągle byłabym sama. Wśród białych nie ma dla mnie miejsca, a moi przyjaciele odrzuciliby mnie, bo się ciebie boją, mówią, że jesteś okrutny.

– Taką mam pracę, Violette. Tak jak lekarz amputuje zgangrenowaną kończynę, tak ja spełniam mój obowiązek, by uniknąć większego zła, ale nigdy nie wyrzuciłem nikomu krzywdy bez ważnego powodu.

– Ja mogę podać ci wiele ważnych powodów. Nie chcę podzielić losu mojej matki.

– Nigdy nie będziesz musiała się mnie bać, Violette – powiedział Relais, biorąc ją w ramiona i długo patrząc jej w oczy.

– Mam taką nadzieję – westchnęła w końcu.

– Pobierzemy się, obiecuję.

– Twoja pensja nie wystarczy, żeby mnie utrzymać. Brakowałoby mi przy tobie wszystkiego: sukni, perfum, teatru i czasu do marnowania. Jestem leniwa, kapitanie, a tylko w ten sposób mogę na siebie zarobić, nie niszcząc rąk. Zresztą to długo nie potrwa.

– Ile masz lat?

– Niewiele, ale to tylko chwilowe zajęcie. Mężczyzn nudzą te same twarze i te same tyłki. Loula mówi, że powinnam ciągnąć korzyści z jedynej rzeczy, jaką mam.

Kapitan starał się widywać ją tak często, jak pozwalały mu na to jego wyprawy. Po kilku miesiącach zdołał sprawić, że nie mogła się bez niego obejść; dbał o nią i doradzał, jakby był jej wujem, aż w końcu nie była w stanie wyobrazić sobie życia bez niego i zaczęła rozważać możliwość małżeństwa w jakiejś poetycznej przyszłości. Relais wyliczył, że mogliby wziąć ślub za mniej więcej pięć lat. Mieliby czas, by się przekonać, czy ich miłość wytrzyma taką próbę, i odłożyć, każde z osobna, trochę pieniędzy. Pogodził się, że Violette będzie nadal wykonywała swój zawód, i płacił jej za usługi jak pozostali klienci, wdzięczny za możliwość spędzenia z nią kilku całych nocy. Na początku kochali się do upadłego, ale później impulsywność ustąpiła miejsca czułości i spędzali cudowne godziny na rozmowach i snuciu planów. Leżeli przytuleni w gorącym półmroku mieszkania Violette. Relais poznał nie tylko ciało, ale i charakter dziewczyny, potrafił przewidzieć jej reakcje, wiedział, jak uniknąć jej wybuchów gniewu, nagłych i krótkotrwałych niczym tropikalne burze, i jak sprawić jej przyjemność. Odkrył, że ta zmysłowa dziewczynka jest wyćwiczona w dostarczaniu przyjemności, nie w jej doznawaniu, dokładała więc starań, by ją zaspokoić, wykazując cierpliwość i pogodę ducha. Różnica wieku i jego władczy charakter rekompensowały niefrasobliwość Violette, która zachowywała niezależność i broniła swych tajemnic, ale by sprawić mu przyjemność, pozwalała sobą kierować w niektórych kwestiach praktycznych.

Loula trzeźwo zarządzała pieniędzmi i umawiała klientów. Pewnego dnia Relais zobaczył, że Violette ma podbite oko, i, rozwścieczony, chciał dowiedzieć się, kto jest sprawcą, by ten należycie zapłacił za swą zuchwałość. „Loula już się z nim rozliczyła. Najlepiej radzimy sobie same”, zaśmiała się tylko, i nie było sposobu, by skłonić ją do ujawnienia, kto był napastnikiem. Potężnie zbudowana niewolnica wiedziała, że przyjdzie moment, w którym nieuchronnie jej pani zacznie ubywać zdrowia i urody, jedynego kapitału obu kobiet. Należało także mieć na uwadze konkurencję w postaci nowych roczników miodek, które coroku szturmowały tę profesję. Szkoda, że kapitan jest biedny, myślała Loula, bo Vio-

lette zasługuje na dobre życie. Miłość wydawała się jej bez znaczenia, myliła ją bowiem z namiętnością, wiedziała, jak krótko trwa, nie odważyła się jednak knuć intryg, by odprawić Relais'go. Ten mężczyzna budził strach. Poza tym nic nie wskazywało, żeby Violette spieszno było do zamążpójścia, a mógł przecież trafić się inny kandydat, w lepszej kondycji finansowej. Loula postanowiła zacząć poważnie oszczędzać; nie wystarczyło gromadzić drobiazgi w wykopanym w ziemi dołku, należało zadbać o bardziej rozsądne inwestycje na wypadek, gdyby małżeństwo z oficerem nie doszło do skutku. Ograniczyła wydatki i podwyższyła pobierane stawki, a im więcej żądała, tym bardziej ekskluzywne wydawały się usługi Violette. Przysparzała jej sławy, stosując strategię plotek: mówiła, że pani może utrzymać w sobie mężczyznę przez całą noc, a najbardziej zmęczonym przywraca siłę dwanaście razy z rzędu. Nauczyła się tego od pewnej Mauretanki i trenowała z gołębim jajem: robiła zakupy, chodziła do teatru i na walki kogutów z jajem w sekretnym miejscu, nie tłukąc go ani nie dając mu wypaść. Nie brakowało takich, którzy walczyli na szable o młodziutką *poule*, co ogromnie dodawało jej prestiżu. Najbogatsi i najbardziej wpływowi biali wpisywali się posłusznie na listę i czekali na swoją kolej. To Loula obmyśliła plan inwestowania w złoto, by oszczędności nie przesypywały im się przez palce jak piasek. Relais, który nie był w stanie wnieść znaczącego wkładu, podarował Violette pierścionek swojej matki, jedyne, co zostało mu z pamiątek rodzinnych.



## ***Kubańska narzeczona***

W październiku 1778, w ósmym roku pobytu na wyspie, Toulouse Valmorain odbył kolejną ze swych krótkich podróży na Kubę, gdzie prowadził interesy, których wolał nie ujawniać. Jak wszyscy osadnicy z Saint-Domingue powinien był handlować wyłącznie z Francją, istniały jednak tysiące sprytnych sposobów, by ominąć prawo, a on znał wiele z nich. Unikania podatków, które łądowały w królewskich skarbcach bez dna, nie uważał za grzech. Aż się prosiło, by nocą opuścić dyskretnie łodzią nękanie sztormami wybrzeże i odpłynąć niezauważenie w stronę innych karaibskich zatok. Nieszczęlna granica z hiszpańską częścią wyspy, mniej zaludnioną i dużo biedniejszą niż francuska, umożliwiała nieustanny przepływ szmuglerów za plecami władz. Przemycano wszystko, od broni po przestępców, głównie worki cukru, kawy i kakao, które wyruszały z plantacji w rozmaitych kierunkach, omijając służby celne.

Kiedy Valmorain wyszedł z długów zaciągniętych przez ojca i zaczął osiągać zyski większe, niż mógł sobie wymarzyć, postanowił trzymać pieniądze na Kubie, gdzie były bezpieczniejsze niż we Francji, a w razie potrzeby miał je pod ręką. Przybył do Hawany z zamiarem zostania tam tylko przez tydzień, by spotkać się ze swoim bankierem, jednak wizyta trwała dłużej, niż zaplanował, ponieważ na balu we francuskim konsulacie poznał Eugenię Garcję del Solar. Z kąta urządzonego pretensjonalnie salonu zobaczył z daleka dziewczynę o obfitych kształtach i przezroczystej skórze, w koronie gęstych kasztanowych włosów, ubraną jak prowincjuszka, będącą przeciwieństwem pełnej wdzięku Violette Boisier. Ale w jego oczach wydawała się nie mniej piękna. Natychmiast zauważył ją w tłumie w sali balowej i pierwszy raz poczuł się nie na miejscu. Odziany był w nabyty wiele lat temu w Paryżu strój, który wyszedł już dawno z mody, miał spaloną słońcem skórę i dłonie kowala, głowa swędziała go od peruki, koronki wokół szyi dusiły, a fircykowate buty, spiczaste, na krzywych obcasach, uciskały tak, że musiał chodzić jak kaczką. Jego niegdyś wytworne maniery wydawały się szorstkie w porównaniu z naturalnym wdziękiem Kubańczyków. Lata spędzone na plantacji uczyniły go twardym od środka i na zewnątrz. Teraz, gdy najbardziej potrzebował, zabrakło mu dworskiej ogłady, tak naturalnej w latach młodości. Na domiar złego, w tym czasie był w modzie taniec polegający na szybkiej płataninie piruetów, dygnięć, obrotów i podskoków, która wydawała mu się niemożliwa do naśladowania.

Dowiedział się, że dziewczyna jest siostrą Sancha, Hiszpana z rodziny drobnej szlachty o pompatycznie brzmiącym nazwisku Garcja del Solar, ale zubożałej od dwóch pokoleń. Matka zakończyła żywot, skacząc z kościelnej dzwonnicy, a ojciec zmarł młodo, roztrwoniwszy uprzednio rodzinne dobra. Eugenia wychowała się w lodowatym klasztorze w Madrycie, gdzie zakonnice wpoily jej to, co jest ozdobą prawdziwej damy, skromność, znajomość pacierza i haftu. Sancho przyjechał na Kubę, by tu spróbować szczęścia, bo w Hiszpanii nie było miejsca dla wyobraźni tak bujnej jak jego. Za to ta karaibska wyspa, gdzie łądowali wszelakiej maści poszukiwacze przygód, doskonale nadawała się do prowadzenia intratnych, aczkolwiek nie zawsze legalnych interesów. Wiódł Lu burzliwe kawalerskie życie, folgując kaprysom za pożyczone pieniądze, które oddawał z wielkim trudem i zawsze w ostatniej chwili, z pomocą przyjaciół albo dzięki wygranej przy stołach do gry. Był przystojny, mówił ze swadą, czarując bliźnich i pusząc się tak bardzo, że nikt nie podejrzewał, jak wielką ma w kieszeni dziurę. Aż tu nagle, kiedy najmniej sobie tego życzył, zakonnice przysłały mu siostrę w towarzystwie guwernantki i oschły list, w którym wyjaśniały, że Eugenie brakuje powołania religijnego i teraz przyszła kolej na niego, jej jedyne go krewnego i opiekuna, by zająć się siostrą.

Wraz z pojawieniem się pod jego dachem młodej, nieskalanej dziewczyny, skończyły się dla Sancha hulanki; bez względu na to, czy czuła w sobie powołanie do małżeństwa, miał obowiązek *znaleźć* odpowiedniego męża, nim minie jej czas i zostanie starą panną. Zamierzał wydać ją za najlepszego oferenta, kogoś, kto wyciągnąłby ich oboje z niedostatku, który dokuczał im z powodu rozrzutności rodziców, nie spodziewał się jednak, że ryba będzie tak gruba jak Toulouse Valmorain. Doskonale wiedział, kim jest

Francuz i jaką przedstawia wartość. Miał go na oku, chciał mu zaproponować udział w kilku interesach, jednak nie przedstawił go siostrze na balu, albowiem była bez szans w rywalizacji ze słynącymi z urody Kubankami. Eugenia odznaczała się nieśmiałością, nie miała odpowiednich strojów (a on nie mógł jej ich kupić), nie potrafiła się uczesać, choć na szczęście włosy miała niezwykle bujne, nie posiadała też wiotkiej kibici narzuconej przez modę. Dlatego zdziwił się, gdy nazajutrz Valmorain poprosił go, by pozwolił mu ich odwiedzić w, jak to się wyraził, poważnych zamiarach.

– To musi być jakiś stary dziad z krzywymi nogami – zażartowała Eugenia na wieść o wizycie, uderzając brata złożonym wachlarzem.

– To wykształcony, bogaty kawaler, ale nawet gdyby był garbaty, i tak byś za niego wyszła. Kończysz dwadzieścia lat i nie masz posagu...

– Ale jestem ładna! – przerwała mu ze śmiechem.

– W Hawanie jest wiele kobiet dużo ładniejszych i szczuplejszych od ciebie.

– Uważasz, że jestem gruba?

– Nie możesz dać się prosić, tym bardziej że chodzi o Valmoraina. To doskonała partia, jest utytułowany, ma posiadłości we Francji, choć gros jego fortuny stanowi plantacja trzciny cukrowej na Saint-Domingue – wyjaśnił Sancho.

– Santo Domingo? – spytała zaniepokojona.

– Saint-Domingue, Eugenio. Francuska część wyspy różni się bardzo od hiszpańskiej. Pokażę ci mapę, zobaczysz, że to bardzo blisko, będziesz mogła mnie odwiedzać, kiedy zechcesz.

– Nie jestem głupia, Sancho. Dobrze wiem, że w tej kolonii cierpi się czyścicowemu męki z powodu śmiertelnych chorób i zbuntowanych Murzynów.

– To tylko na jakiś czas. Biali osadnicy wyjeżdżają, kiedy nadarzy się okazja. Za kilka lat będziesz w Paryżu. Czyż nie o tym marzą wszystkie kobiety?

– Nie znam francuskiego.

– Nauczysz się. Od jutra będziesz miała nauczyciela – uciął rozmowę Sancho.

Jeśli Eugenia García del Solar zamierzała sprzeciwić się planom brata, porzuciła ten pomysł, gdy tylko Toulouse Valmorain zjawił się w ich domu. Był młodszy i atrakcyjniejszy, niż myślała, średniego wzrostu, dobrze zbudowany, miał szerokie plecy, męską twarz o harmonijnych rysach, skórę śniadą od słońca i szare oczy. Usta o wąskich wargach zdradzały stanowczość. Spod przekrzywionej peruki wizerowały blond włosy i widać było, że niewygodnie mu w zbyt wąskim ubraniu. Eugenii spodobało się to, że mówi bez ogródek, i to, jak na nią patrzy, rozbierając wzrokiem i wywołując uczucie grzesznego mrowienia, które wstrząsnęłoby zakonnkami z ponurego madryckiego klasztoru. Jaka to szkoda – pomyślała – że Valmorain mieszka na Saint-Domingue, ale jeśli jej brat nie kłamał, nie miało to długo potrwać. Sancho zaprosił pretendenta pod ogrodową pergolę na napój z syropu cukrowego, i po niespełna półgodzinie umowa została milcząco uznana za sfinalizowaną. Eugenia nie poznała omawianych potem szczegółów, o których mężczyźni rozstrzygnęli za zamkniętymi drzwiami. Mogła zająć się wyłącznie własną wyprawą, którą za radą żony konsula zamówiła we Francji, a brat opłacił z lichwiarskiej pożyczki zaciągniętej dzięki nieodpartemu urokowi elokwentnego gaduły. W trakcie porannych mszy Eugenia żarliwie dziękowała Bogu za wyjątkowe szczęście, jakim było małżeństwo z rozsądku z kimś, kogo mogła kiedyś pokochać.

Valmorain został na Kubie parę miesięcy, zabiegając o względy Eugenii wymyślanymi na poczekaniu sposobami, stracił bowiem zwyczaj obcowania z kobietami takimi jak ona. Metody, do których się uciekał, kiedy był z Violette Boisier, w tym przypadku okazały się nieskuteczne. Przychodził do domu narzeczonej codziennie o czwartej po południu i zostawał do szóstej, by napić się czegoś zimnego i zagrać w karty, zawsze w obecności ubranej od stóp do głów na czarno damy do towarzystwa, która robiła koronki, jednym okiem pilnując pary narzeczonych. Mieszkanie Sancha pozostawiało wiele do życzenia, a Eugenia nie miała powołania pani domu i nie zrobiła niczego, by je uporządkować. Żeby pokry-

wający meble brud nie powalał ubrania narzeczonego, przyjmowała go w ogrodzie, gdzie zachłanna roślinność tropiku rozlewała się niczym botaniczna powódź. Czasem spacerowali w towarzystwie Sancha albo patrzyli na siebie z daleka w kościele, gdzie nie mogli rozmawiać.

Valmorain dostrzegł opłakane warunki, w jakich żyli Garcíowie del Solar, i uznał, że skoro jego narzeczona czuje się tu dobrze, tym bardziej będzie czuła się dobrze w *habitation* Saint-Lazare. Wysłał jej drobne podarunki, kwiaty i oficjalne bileciki, które pozostawiała bez odpowiedzi, chowając je w wyłożonym aksamitem kuferku. Dotąd Valmorain rzadko obcował z Hiszpanami – jego przyjaciele byli Francuzami – ale szybko stwierdził, że lubi ich towarzystwo. Porozumiewał się bez problemów, albowiem francuski był na Kubie drugim językiem klas wyższych i ludzi wykształconych. Opacznie wziął milczenie narzeczonej za przejaw wstydlivosti, którą uważał za pożądaną cnotę niewieścia, i nie przyszło mu do głowy, że ona ledwo go rozumie. Eugenia nie miała dobrego słuchu, a wysiłki nauczyciela okazały się niewystarczające, by wpoić Hiszpance subtelności języka francuskiego. Jej powściągliwość i maniery nowicjuszki uznał za gwarancję, że dziewczyna nie ulegnie rozpuście, której na Saint-Domingue oddawało się tyle kobiet, zapominając o wstydzie rzekomo z powodu klimatu. Kiedy lepiej poznał charakter Hiszpanów i uświadomił sobie ich przesadne poczucie honoru oraz niezdolność do ironizowania, odkrył, że jest mu dobrze z tą dziewczyną, i z lekkim sercem zaakceptował fakt, że będzie się z nią niemiłosiernie nudzić. Nie miało to dla niego znaczenia. Potrzebował szanowanej żony i przykładnej matki swojego potomstwa; rozrywkę znajdował w książkach i w prowadzeniu interesów.

Sancho stanowił przeciwieństwo siostry i innych poznanych przez Valmoraina Hiszpanów: był cyniczny, z natury rozwiązły, nieczuły na wszelki melodramatyzm i napady zazdrości, nieufny, miał wyjątkową umiejętność natychmiastowego wykorzystywania każdej okazji, która się nadarzała. Pewne cechy przysłego szwagra raziły Valmoraina, ale uznał, że jest zabawny, dlatego pozwalał mu się oszukiwać, gotów przegrać małą sumkę w zamian za przyjemność, którą dawała prowadzona z polotem rozmowa czy okazja do śmiechu. Na początek dopuścił go do udziału w planowanym przemyśle z Saint-Domingue win francuskich, bardzo cenionych na Kubie. To uczyniło ich na długo zaufanymi współnikami, którymi mieli pozostać aż do śmierci.

## Dom pana

Pod koniec listopada Toulouse Valmorain wrócił na Saint-Domingue, aby przygotować dom na przyjęcie żony. Jak wszystkie plantacje, Saint-Lazare miała swój „dwór” – zwykły prostokątny barak z drewna i cegieł, podtrzymywany przez trzymetrowej wysokości pale mające chronić go przed zalaniem w porze huraganów i umożliwić obronę w razie buntu niewolników. Składał się z szeregu mrocznych pokoi sypialnych – w niektórych przegniły już deski – oraz obszernego salonu i jadalni, z oknami umieszczonymi na przeciwległych ścianach dla zapewnienia przepływu powietrza i systemem wachlarzy z płótna żaglowego zawieszonych pod sufitem, które niewolnicy wprawiali w ruch, pociągając za sznur. Te kołyszące się wahadłowo urządzenia wentylacyjne wzniewały lekkie obłoki kurzu i zasuszonych skrzydełek komarów, osiadających na ubraniu jak łupież. W oknach zamiast szyb tkwił woskowany papier, a meble miały toporny wygląd, typowy dla tymczasowego lokum samotnego mężczyzny. W dachu zagnieździły się nietoperze, w kątach można było spotkać drobne płazy, a nocami z pokoi dobiegało chrobotanie mysich łapek. Z trzech stron dom otaczała zadaszona galeria, coś w rodzaju tarasu, z kulawymi wiklinowymi meblami. Wokół ciągnął się zaniedbany ogród warzywny i rosły toczone przez czerwie drzewa owocowe, na placzkach między zabudowaniami oszołomione upałem kury dziobały ziarno, była też stajnia dla rasowych koni, psiarnie i wozownia, dalej ryczący ocean trzciny cukrowej, a w głębi fioletowa kurtyna gór rysujących się na tle kapryśnego nieba. Może kiedyś mieli tu ogród, ale nie zostało po nim nawet wspomnienie. Z domu nie było widać tłoczni cukrowych, chat ani baraków dla niewolników. Toulouse Valmorain obszedł całe gospodarstwo, obrzucając je krytycznym spojrzeniem; pierwszy raz dostrzegł panującą tu prowizorkę i pospolitość. W porównaniu z domem Sancha był to pałac, ale na tle posiadłości innych *grands blancs* na wyspie i małego rodzinnego *château* we Francji, w którym jego noga nie stała od ośmiu lat, „dwór” jawił się jako przynoszące hańbę brzydactwo. Postanowił, że na dobry początek małżeńskiego życia sprawi żonie niespodziankę, dając jej dom godny nazwisk Valmorain i García del Solar. Trzeba było doprowadzić wszystko do porządku.

Violette Boisier przyjęła wiadomość o planowanym małżeństwie swojego klienta z pogodą i filozoficznym spokojem. Loula, która wolała zawsze wszystko sprawdzić, powiedziała, że narzeczona Valmoraina mieszka na Kubie. „Będzie za tobą tęsknił, mój aniołku, i zapewniam cię, że wróci”, orzekła. Tak też się stało. Niedługo potem Francuz zastukał do drzwi jej mieszkania, ale nie chodziło mu o tradycyjne usługi, lecz o to, by dawna kochanka pomogła mu należycie przyjąć żonę. Nie wiedział, od czego zacząć, i nie przyszedł mu do głowy nikt inny, kogo mógłby poprosić o taką przysługę.

– Czy to prawda, że Hiszpanki śpią w zakonnych koszulach nocnych z dziurką z przodu, żeby móc się kochać? – spytała go Violette.

– Skąd mam to wiedzieć? Jeszcze się nie ożeniłem, ale jeśli tak jest, siłą ją rozbiore – zaśmiał się narzeczony.

– O nie. Przyniesiesz mi koszulę i zrobimy z Loulą drugą dziurkę z tyłu – odparła.

Młoda *cocotte* zabrała się za doradzanie, uzgodniwszy uprzednio rozsądną prowizję w wysokości piętnastu procent sumy wydanej na upiększanie domu. Po raz pierwszy jej układ z mężczyzną nie obejmował łózkowych akrobacji. Przystąpiła do pracy z entuzjazmem. Pojechała z Loulą do Saint-Lazare, żeby zorientować się, na czym ma polegać misja, którą jej zlecono. Ledwie przestąpiła próg, ze zdobionego kasetonami sufitu wpadła jej za dekolt jaszczurka. Wrzask dziewczyny zwabił z dziedzińca kilku niewolników, których od razu zatrudniła do gruntownych porządków. Przez cały tydzień piękna kurtyzana, którą Valmorain oglądał dotąd w złocistym świetle lamp, odzianą w jedwabie i tafty, umalowaną i wyperfumowaną, dyrygowała grupką niewolników, na bosaka, w fartuchu ze zgrzebnej tkaniny i szmacie owiniętej wokół głowy. Wydawało się, że jest w swoim żywiole, jakby tę ciężką robotę wykonywała przez całe życie. Pod jej przewodnictwem oskrobano zdrowe deski i zastąpiono nowymi te przegniłe,

wymieniono moskitiery i papier w oknach, przewietrzono pokoje, rozłożono trutkę na myszy, palono tytoń dla odstraszania robactwa, połamane meble wyniesiono na drogę, przy której stały chaty niewolników, aż dom stał się wreszcie czysty i pusty. Violette kazała pomalować go z zewnątrz na biało, a ponieważ zostało trochę wapna, przeznaczyła je do malowania chat służby domowej, stojących w pobliżu głównego budynku; poleciła również posadzić pod galerią fioletowe bratki, Valmorain postanowił utrzymywać w domu porządek, wyznaczył też kilku niewolników, którzy mieli zrobić ogród wzorowany na Wersalu, mimo że nie znający umiaru klimat nie sprzyjał geometrycznej sztuce uprawianej przez architektów pejzażu z francuskiego dworu.

Violette wróciła do Le Cap z listą zakupów. „Nie wydawaj za dużo, to tymczasowy dom. Jak tylko znajdę dobrego administratora, wyjedziemy do Francji”, powiedział Valmorain, wręczając jej sumę, która wydawała mu się odpowiednia. Nie przejęta się tą uwagą, bo nie było dla niej większej przyjemności niż robienie zakupów.

Z portu w Le Cap wypływały niezliczone bogactwa kolonii i napływały tam towary zarówno legalne, jak i z przemytu. Na błotnistych ulicach, pośród wozów, mułów, koni i sfor bezdomnych psów, które szukały odpadków, falował kolorowy tłum ludzi targujących się w różnych językach. Sprzedawano wszystko, od luksusowych przedmiotów z Paryża i orientaliów po pirackie łupy. Codziennie, z wyjątkiem niedziel, licytowano niewolników, cieszących się wielkim popytem: od dwudziestu do trzydziestu tysięcy rocznie, co pozwalało utrzymać ich liczbę na stabilnym poziomie, starczali bowiem na krótko. Violette wydała całą zawartość sakiewki, ale kupowała dalej, na kredyt, korzystając z gwarancji, którą dawało nazwisko Valmorain, Mimo młodego wieku dokonywała rozsądnych wyborów – była obyta ze światowym życiem, a to wykształciło w niej dobry gust. U kapitana statku kursującego między wyspami zamówiła srebrne sztuce, kryształ i porcelanowy serwis dla gości. Narzeczona powinna wnieść pościel i obrusy, które na pewno od dzieciństwa sama haftowała, dlatego tym Violette się w ogóle nie zajmowała. Zdobyła francuskie meble do salonu, ciężki amerykański stół z osiemnastoma krzesłami wykonany tak, by przetrwał kilka pokoleń, holenderskie gobeliny, parawany z laki, hiszpańskie skrzynie na ubrania, żelazne kandelabry i mnóstwo lamp oliwnych, uważała bowiem, że nie można żyć po ciemku. Były też fajanse z Portugalii do codziennego użytku i duży wybór ozdób, za to żadnych dywanów, bo te butwiały pod wpływem wilgoci. *Comptoirs* zobowiązali się wysłać zakupione rzeczy i rozliczyć z Valmorainem. Wkrótce do *habitation* Saint-Lazare zaczęły docierać wozy wyładowane po brzegi skrzyniami i koszami. Niewolnicy wyciągali ze słomy niezliczone przedmioty: niemieckie zegary, klatki dla ptaków, chińskie szkatułki, kopie okaleczonych posągów rzymskich, weneckie lustra, ryciny i obrazy w rozmaitych stylach (wybierane pod kątem tematu, jako że Violette nie miała pojęcia o sztuce), instrumenty muzyczne, na których nikt nie umiał zagrać, a nawet niepojęty zestaw grubych szkieł, rur i kółeczek z brązu. Ten ostatni Valmorain potraktował jak łamigłówkę, a po złożeniu okazał się lunetą przydatną do podpatrywania niewolników z tarasu. Toulouse uznał meble za zbyt wystawne, a ozdoby za całkowicie bezużyteczne, ale ustąpił, bo nie mógł ich już zwrócić. Kiedy orgia zakupów dobiegła końca, Violette odebrała swoją prowizję i oświadczyła, że przyszłej żonie Valmoraina będzie potrzebna służba domowa: dobra kucharka, służący i pokojówka. To było minimum, jak zapewniła ją madame Delphine Pascal, która znała całą śmietankę towarzyską Le Cap.

– Oprócz mnie – zauważył Valmorain.

– Chcesz, żebym ci pomagała, czy nie?

– No dobrze, każę Prosperowi Cambrayowi przyuczyć kilku niewolników.

– O nie, mój drogi! Na tym nie możesz oszczędzać! Ci z pola się nie nadają, są jak zwierzęta. Sama znajdę ci służbę – zdecydowała Violette.

Zarité miała prawie dziewięć lat, kiedy Violette kupiła ją od madame Delphine, Francuzki o lokach jak z bawełny i kurzej klatce piersiowej. Była leciwa, ale dobrze zakonserwowana jak na spustoszenia czynione przez tutejszy klimat. Delphine Pascal, wdowa po skromnym francuskim urzędniku, zachowy-

wała się jak ważna persona z racji stosunków łączących ją z *grands blancs*, mimo że ci zwracali się do niej wyłącznie w sprawach dotyczących mętnych transakcji handlowych. Znała wiele sekretów, które wykorzystywała, gdy trzeba było zabiegać o protekcję. Oficjalnie żyła z renty po zmarłym mężu i z lekcji gry na klawikordzie udzielanych panienkom, po cichu jednak odsprzedawała kradzione przedmioty, zajmowania się stręczycielstwem, a w nagłych wypadkach spędzaniem płodów. W tajemnicy uczyła też francuskiego kilka *cocottes*, które chciały uchodzić za białe i choć miały co prawda odpowiedni kolor skóry, zdradzał je akcent. Tak właśnie poznała Violette Boisier, jedną z uczennic o najjaśniejszej karnacji, a mimo to niepretendującej do bycia Francuzką; przeciwnie – dziewczyna bez kompleksów opowiadała o swojej senegalskiej babci. Chciała poprawnie mówić po francusku, aby zyskać poważanie białych przyjaciół. Madame Delphine miała tylko dwóch niewolników: Honoré, staruszka do wszystkiego, nie wyłączając kuchni, kupionego bardzo tanio z powodu powykręcanych kości, oraz Zarité – Tété – małą Mulatkę, która trafiła do niej jako kilkutygodniowe dziecko i nic jej nie kosztowała. Kiedy Violette kupiła ją dla Eugonii Garcii del Solar, dziewczynka była tak chuda, jakby składała się z samych pionowych linii i ostrych kantów oraz gęstwy zbitych, skołunionych włosów. Poruszała się jednak z wdziękiem, miała szlachetną twarz i przepiękne oczy koloru miodu. „Może jest córką jakiejś Senegalki, jak ja”, pomyślała Violette. Tété wcześniej poznała zalety milczenia i wykonywania rozkazów z kamienią twarzą, bez okazywania, że rozumie, co się wokół niej dzieje, ale Violette zawsze podejrzewała, że jest o wiele bystrzejsza, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Zwykle nie poświęcała większej uwagi niewolnikom; uważała ich – z wyjątkiem Louli – za towar, ale to stworzenie budziło jej sympatię. Istniały między nimi pewne podobieństwa, choć ona była wolna, piękna i miała tę przewagę, że kiedyś rozpieszczała ją matka, a teraz pożądali jej wszyscy mężczyźni, których spotkała na swojej drodze. Nic takiego nie przydarzyło się Tété; była tylko odzianą w łańchmany niewolnicą, ale Violette wyczuwała w niej siłę charakteru. W wieku Tété ona również wyglądała jak szkielet, nabrała ciała dopiero w okresie dojrzewania, wtedy jej kanciaste kontury zaokrągliły się, a kształty przybrały postać, która miała przynieść jej sławę. Właśnie wtedy, aby nie musiała harować jako służąca, matka zaczęła wdrażać ją do zawodu, z którego sama czerpała dochody, Violette okazała się pojętną uczennicą i gdy matka została zabita, była w stanie sama o siebie zadbać, z pomocą Louli, która ochraniała ją z żarliwym oddaniem. Dzięki tej poczciwej kobiecie nie potrzebowała protekcji sutenera, aby dobrze prosperować w niewdzięcznym fachu, sprawiającym, że dziewczyny traciły zdrowie, a czasami nawet i życie. W chwili, gdy zrodził się pomysł znalezienia osobistej niewolnicy dla żony Toulouse’a Valmoraina, przypomniała sobie o Tété. „Dlaczego tak bardzo interesujesz się tą smarkułą?”, zapytała zawsze nieufna Loula, dowiedziawszy się o jej zamiarach. „Odruch serca; myślę, że pewnego dnia nasze drogi się spotkają”, to było jedyne wytłumaczenie, jakie przyszło Violette do głowy. Loula zasięgnęła opinii muszelek kauri, ale nie otrzymała zadowalającej odpowiedzi: ta metoda wrózenia nadawała się może do wyjaśniania spraw błahych, ale nie tych o fundamentalnym znaczeniu.

Madame Delphine przyjęła Violette w maleńkim saloniku, w którym stał klawikord rozmiarów słońca. Usiadły na delikatnych krzeselkach o wygiętych nogach, by napić się kawy z malowanych w kwiaty filiżanek dla krasnoludków i porozmawiać o wszystkim i o niczym, jak to robiły przy innych okazjach. Po wymianie kilku frazesów Violette wyłożyła cel swojej wizyty. Wdowa była zdumiona, że ktoś zwrócił uwagę na nic nieznaczącą Tété, ale jako osoba z refleksem natychmiast wyczuła okazję do zarobku.

– Nie myślałam o sprzedaniu Tété, ale ponieważ chodzi o panią, droga przyjaciółko...

– Mam nadzieję, że dziewczynka jest zdrowa. Wygląda bardzo mizernie – przerwała jej Violette.

– Nie dlatego, że nie ma co jeść! – obruszyła się wdowa. Dolała kawy i od razu przeszły do ceny, która Violette wydała się wygórowana. Im więcej by zapłaciła, tym większa byłaby jej prowizja, jednak nie mogła zbyt bezczelnie oszukiwać Valmoraina. Wszyscy znali ceny niewolników, zwłaszcza plantatorzy, którzy stale ich kupowali. Cherlawka smarkuła nie była cennym artykułem, raczej czymś, co daje

się w prezencje, aby odwzajemnić wyświadczoną grzeczność.

– Szkoda mi pozbywać się Tété – westchnęła madame Delphine, ocierając niewidoczną łzę, po tym jak uzgodniły sumę. – To dobre dziecko, nie kradnie, mówi po francusku jak trzeba. Nigdy nie pozwalałam jej zwracać się do mnie w żargonie czarnych. W moim domu nikt nie kaleczy pięknego języka Moliera.

– Nie wiem, na co jej się to przyda – skomentowała rozbawiona Violette.

– Jak to na co! Bardzo elegancko jest mieć pokojówkę, która mówi po francusku. Tété będzie pani dobrze służyć, zapewniam. Owszem, mademoiselle, przyznaję, kilka razy musiałam użyć kija, żeby oduczyć ją okropnego nawyku uciekania.

– To poważna sprawa! Mówią, że na to nie ma lekarstwa...

– Tak jest w przypadku dzikusów, którzy kiedyś byli wolni, ale Tété urodziła się jako niewolnica. Wolność! Cóż za arogancja! – Wdowa wlepiła kurze oczka w dziewczynkę stojącą przy drzwiach. – Ale proszę się nie martwić, mademoiselle, już nie będzie próbować. Ostatnim razem błąkała się przez kilka dni, a kiedy mija przyprowadzono, była pogryziona przez psa i bredziła w gorączce. Nie ma pani pojęcia, ile trudu mnie kosztowało, żeby ją wyleczyć, ale kary nie uniknęła!

– Kiedy to było? – spytała Violette, odnotowując wrogie milczenie niewolnicy.

– Rok temu. Teraz podobna głupota nawet nie przyszlaby jej do głowy, ale na wszelki wypadek niech pani na nią uważa. Płynie w niej przeklęta krew matki. Proszę jej nie pobłażać, potrzebuje twardej ręki.

– Wspomniała pani o jej matce.

– Była królową. Wszystkie mówią, że tam, w Afryce, były królowymi – zadrwiła wdowa. – Trafiała tu w ciąży. Zawsze tak jest; są jak suki w rui.

– *La pariade*. Marynarze gwałcą je na statkach, jak pani wiadomo. Żadna się nie uchroni. – Violette zadrżała na myśl o swojej babci, która przeżyła podróż przez ocean.

– Ta kobieta o mały włos nie zabiła własnej córki. Może to sobie pani wyobrazić? Musieli jej wyrwać dziecko z rąk. Monsieur Pascal, mój mąż, niech Bóg przyjmie go do swojej chwały, przyniósł mi dziewczynkę w prezencje.

– Ile miała wtedy lat?

– Ze dwa miesiące, nie pamiętam. Honoré, mój drugi niewolnik, dal jej to dziwne imię, Zarité, i wykarmił ją mlekiem oślicy; dlatego jest silna i pracowita, ale też uparta. Nauczyła się wszystkich prac domowych. Jest warta więcej, niż za nią chcę, mademoiselle Boisier. Sprzedaję ją pani tylko dlatego, że myślę o rychłym powrocie do Marsylii; chyba mogę jeszcze ułożyć sobie życie na nowo, nie sądzi pani?

– Z pewnością, madame – odparła Violette, lustrując upudrowaną twarz kobiety.

Zabrała Tété tego samego dnia wraz z całym dobytkiem, czyli łachmanami, które miała na sobie, i prymitywną drewnianą lalką, jakich niewolnicy używają do obrzędów vodou. „Nie wiem, skąd wzięła to paskudztwo”, madame Delphine zrobiła ruch, jakby chciała wyrwać jej zabawkę, ale dziewczynka mocno przytuliła swój jedyny skarb z taką desperacją, że Violette musiała interweniować. Honoré, płacząc, pożegnał się z Tété; obiecał ją odwiedzić, jeśli mu pozwoli.

Toulouse Valmorain nie mógł powstrzymać się od okrzyku niezadowolenia, kiedy Violette pokazała mu, kogo wybrała na służącą jego żony. Spodziewał się kogoś starszego, o lepszej prezencji, z większym doświadczeniem, a nie rozczochranego stworzenia ze śladami po uderzeniach, które zamknęło się jak ślimak w skorupce, kiedy spytał je o imię, ale Violette zapewniła go, że żona będzie bardzo zadowolona, kiedy ona odpowiednio przygotuje dziewczynkę.

– A ile będzie mnie to kosztowało?

– Tyle, ile uzgodnimy, kiedy Tété będzie gotowa.

Trzy dni później dziewczynka pierwszy raz wydobyła z siebie głos, żeby zapytać, czy ten pan będzie jej właścicielem; myślała, że Violette kupiła ją dla siebie. „Nie zadawaj pytań i nie myśl o tym, co bę-

dzie. Dla niewolników liczy się tylko dzień dzisiejszy”, ostrzegła ją Loula. Podziw, jaki Tété żywiła dla Violette, przełamał jej opór i wkrótce z entuzjazmem poddała się rytmowi domowego życia. Jadła z zachłannością kogoś, kto wie, co to głód, i już po kilku tygodniach szkielet obrósł nieco mięsem. Rwała się do nauki. Chodziła za Violette jak pies, pożerając ją wzrokiem, i w głębi serca żywiła niemożliwe do spełnienia pragnienie, by kiedyś stać się taką jak ona, piękną i elegancką, ale przede wszystkim wolną. Violette nauczyła ją układania modnych, misternych fryzur, robienia masażu, krochmalenia i prasowania wytwornych sukni i wszystkiego, czego mogła zażądać od niej przyszła pani. Loula uważała, że nie warto tak się wysilać, bo Hiszpankom brakuje wyrafinowania Francuzek – są bardzo prostackie. Zgoliła Tété niechlujne włosy i zmuszała ją do częstych kąpieli, których dziewczynka dotąd nie zaznała, albowiem madame Delphine twierdziła, że woda osłabia; sama ograniczała się do przecierania wilgotną szmatką sekretnych zakamarków swego ciała i skrapiania się perfumami. Loula traktowała dziecko jak intruza. We dwie ledwo mieściły się w pokoiku, który dzieliły w nocy. Dręczyła ją rozkazami i obelgami, bardziej z przyzwyczajenia niż ze złości, a pod nieobecność Violette okładała pięścią po głowie, za to nigdy nie żałowała jej jedzenia. „Im szybciej przytyjesz, tym szybciej sobie pójdziesz”, mówiła. Była natomiast niezwykle miła dla starego Honoré, kiedy nieśmiało przychodził z wizytą. Sadzała go w salonie w najlepszym fotelu, częstowała wybornym rumem i oczarowana słuchała jego opowieści o bębnach i podagrze. „Ten Honoré to prawdziwy pan”, mówiła potem Violette. „Żeby choć jeden z twoich przyjaciół był tak elegancki jak on!”



## Zarité

Przez jakiś czas, dwa, trzy tygodnie, nie myślałam o ucieczce. Mademoiselle była zabawna i piękna, miała suknie w różnych kolorach, pachniała kwiatami, wychodziła nocami ze swoimi przyjaciółmi, którzy potem przychodzili do domu i robili swoje, a jaw tym czasie w pokoju Louli zatykałam sobie uszy, chociaż i tak ich słyszałam. Około południa, kiedy mademoiselle się budziła, zanosila jej na balkon coś do zjedzenia, tak jak miałam przykazane, a ona opowiadała mi o przyjęciach i pokazywała prezenty od wielbicieli. Kawaleczkiem zamszu tarłam jej paznokcie, aż robiły się błyszczące jak muszle, czesałam jej pofalowane włosy i nacierałam ją olejkim kokosowym. Skórę miała jak crème caramel, deser z mleka i żółtek, który Honoré robił mi czasem w tajemnicy przed madame Delphine. Szybko się uczyłam. Mademoiselle mówiła, że jestem bystra, i nigdy mnie nie biła. Może bym i nie uciekła, gdyby to ona była moją panią, ale przyuczała mnie do służby u jakiejś Hiszpanki, gdzieś na plantacji daleko od Le Cap. Bycie Hiszpanką nie oznaczało niczego dobrego. Loula, która wszystko wiedziała i umiała wróżyć, poznała po moich oczach, że ucieknę, jeszcze zanim to postanowiłam, i ostrzegła mademoiselle, ale ona wcale się nie przejęła. „Straciłyśmy dużo pieniędzy! Co teraz zrobimy?“, krzyczała Loula, kiedy zniknęłam. „Zaczekamy“, odpowiedziała mademoiselle i spokojnie piła swoją kawę. Zamiast zatrudnić łowcę Murzynów, jak to się zawsze robi, poprosiła narzeczonego, kapitana Relais’go, żeby jego gwardziści odnaleźli mnie po cichu i żeby nie zrobili mi krzywdy. Tak mi opowiedzieli. Bardzo łatwo było odejść z tego domu. Zawinęłam w chustę mango i kawałek chleba, wyszłam głównymi drzwiami i oddaliłam się nieśpiesznie, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Zabrałam też lalkę – była święta, tak jak święci madame Delphine, ale miała większą moc; powiedział mi to Honoré, kiedy ją dla mnie wystrugał. Honoré zawsze opowiadał o Gwinei, o loa, o vodou, i ostrzegał, żebym nigdy nie szukała pomocy u bogów białych, bo oni są naszymi wrogami. Wytłumaczył mi, że w języku jego rodziców vodou znaczy boski duch. Moja lalka wyobrażała Erzulie, loa miłości i macierzyństwa. Madame Delphine kazała mi się modlić do Maryi Panny, bogini, która nie tańczy, tylko ciągle płacze, bo zabili jej syna, i która nigdy nie zaznała przyjemności bycia z mężczyzną. Honoré opiekował się mną przez pierwsze lata, aż wreszcie jego kości stały się sękaty jak suche gałęzie i sam potrzebował mojej opieki. Co się teraz dzieje z Honoré”? Musi być ze swoimi przodkami na podmorskiej wyspie, bo od czasu, kiedy widziałam go ostatni raz, jak siedział w salonie mademoiselle przy placu Clugny, popijając kawę z rumem i kosztując ciasteczek Louli, minęło trzydzieści lat. Mam nadzieję, że przetrwał rewolucję z jej wszystkimi okropnościami i stał się wolnym człowiekiem w Murzyńskiej Republice Haiti, zanim spokojnie umarł ze starości. Marzył, żeby mieć kawałek ziemi, hodować zwierzęta i sadzić rośliny, jak jego rodzice w Dahomeju. Nazywałam go dziadkiem, bo mówił, że nie trzeba mieć tej samej krwi ani być z tego samego plemienia, żeby należeć do tej samej rodziny, ale tak naprawdę powinnam była nazywać go mamą. Był jedyną matką, jaką znałam.

Nikt mnie nie zatrzymał na ulicy, kiedy wyszłam z mieszkania mademoiselle. Chodziłam przez kilka godzin i obeszłam chyba całe miasto. Zgubiłam się w dzielnicy portowej, ale z daleka widać było góry, chodziło tylko o to, żeby iść w ich kierunku. My, niewolnicy, wiedzieliśmy, że marroni żyją w górach, nie wiedzieliśmy natomiast, że za pierwszymi szczytami są następne i jest ich tak dużo, że nie dadzą się zliczyć. Zapadła noc, zjadłam chleb, a mango zostawiłam na później. Ukryłam się w jakiejś stajni, pod kupą słomy, chociaż bałam się koni, ich parujących nozdrzy i kopyt, które przypominały młoty. Zwierzęta były bardzo blisko, przez słomę czułam ich oddech, zielone tchnienie, słodkie jak zioła z łazienki mademoiselle. Ściskając mocno lalkę Erzulie, matkę Gwinei, przespałam całą noc bez złych snów, otulona ciepłem koni. O świcie do stajni wszedł niewolnik i zobaczył, że chrapię z nogami wystającymi spod słomy. Chwycił mnie za kostki i wyciągnął jednym szarpnięciem. Nie wiem, kogo się spodziewał, ale na

pewno nie dziewczynki, bo zamiast mnie uderzyć, podniósł wysoko, odwrócił do światła i przyglądał się z otwartymi ustami. „Oszalałaś? Skąd ci przyszło do głowy, żeby się tu schować?”, zapytał w końcu, nie podnosząc głosu. „Muszę dojść do gór”, odparłam, również szeptem. Mężczyzna zawahał się; wszyscy doskonale wiedzieli, jaka Jutra grozi za pomoc zbiegłemu niewolnikowi. „Puść mnie, proszę, nikt się nie dowie, że tu byłam”, powiedziałam błagalnym tonem. Chwilę się zastanawiał, w końcu kazał mi siedzieć cicho w stajni, upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, i wyszedł. Wkrótce wrócił z twardym ciastkiem i tykwą mocno osłodzonej kawy, poczekał, aż zjem, a potem pokazał mi, jak wyjść z miasta. Gdyby na mnie doniósł, dostałby nagrodę, ale tego nie zrobił. Mam nadzieję, że Papa Bondye go za to wynagrodził. Ruszyłam biegiem i wkrótce zostawiłam za sobą ostatnie domy Le Cap. Tego dnia szłam, nie zatrzymując się mimo krwawiących nóg, złana potem ze strachu na myśl o psach Marechaussée, łowców Murzynów. Słońce stało wysoko, kiedy weszłam do dżungli, zielonej, całej zielonej, gdzie nie było widać nieba, a światło z trudem przebijało się przez liście. Słyszałam odgłosy zwierząt i szepty duchów. Ścieżka powoli zanikała. Zjadłam mango, ale prawie natychmiast je wymiotowałam, Gwardziści kapitana Relais’go nie musieli tracić czasu na poszukiwania, bo sama wróciłam po nocy, którą spędziłam skulona między korzeniami żywego drzewa – mogłam słyszeć jego serce, bijące jak serce Honoré. Tak to zapamiętałam.

Cały dzień chodziłam i chodziłam, pytałam i pytałam, aż wreszcie znów znalazłam się na placu Clugny. Kiedy dotarłam do mieszkania mademoiselle, byłam tak głodna i zmęczona, że prawie nie poczułam, jak Loula wymierza mi w twarz cios pięścią, który odrzucił mnie daleko do tyłu. Na to weszła mademoiselle, która właśnie szykowała się do wyjścia, ale była jeszcze w swoim déshabillé i miała rozpuszczone włosy. Wzięła mnie pod ramię, zaciągnęła do swojego pokoju i jednym pchnięciem posadziła na łóżku; była o wiele silniejsza, niż się wydawało. Stała, ująwszy się pod boki, patrząc bez słowa. Potem podała mi chusteczkę, żebym wytarła sobie krew z twarzy. „Dlaczego wróciłaś?”, zapytała. Nie umiałam odpowiedzieć. Podała mi szklankę wody i wtedy Izy napłynęły mi do oczu, ciepłe jak deszcz, mieszając się z krwią z nosa. „Podziękuj za to, że cię nie wychłostałam, jak na to zasługujesz, głupia smarkulo. Dokąd chciałaś pójść? W góry? Nigdy byś nie doszła. Udało się to tylko paru mężczyznom, najbardziej zdesperowanym i odważnym. Gdybyś nawet jakimś cudem zdołała uciec z miasta, przejść przez lasy i bagna, omijając plantacje i psy, uniknąć straży konnej, złych duchów i jadowitych węży, i doszłabyś do gór, to marroni i tak by cię zabili. Na co im taka dziewczynka jak ty? Potrafisz polować, bić się, utrzymać maczetę? Umiesz chociaż zaspokoić mężczyznę?” Musiałam przyznać, że nie. Powiedziała, że powinnam być wdzięczna za los, który przypadł mi w udziale, za to, że nie jest taki zły. Błagałam ją, aby pozwoliła mi zostać u niej, ale odrzekła, że nie jestem jej do niczego potrzebna. Poradziła, żebym była grzeczna, jeśli nie chcę skończyć, ścinając trzcinę. Przyuczała mnie do roli osobistej niewolnicy madame Valmorain, a to lekka praca: będę mieszkać w domu, dobrze jeść, będzie mi lepiej niż u madame Delphine. Mówiła jeszcze, żebym nie słuchała Louli; że jak ktoś jest Hiszpanką, to nie znaczy, że jest chory, tylko że mówi inaczej niż my. Znała mojego nowego pana, powiedziała, że to przyzwoity, szlachetny człowiek i że każda niewolnica byłaby zadowolona, należąc do niego. „Chcę być wolna, tak jak pani”, odparłam, łkając. Opowiedziała mi wtedy o swojej babci, – porwanej w Senegal, gdzie żyją najpiękniejsi ludzie na świecie. Nabył ją bogaty kupiec, Francuz, który miał we Francji żonę, ale zakochał się od razu, gdy tylko zobaczył ją na targu niewolników. Dała mu kilkoro dzieci, a on wszystkie wyzwolił. Chciał je wykształcić, żeby im się lepiej powodziło, jak tyłu kolorowym na Saint-Domingue, ale zmarł nagle i zostawił ich w biedzie, bo żona upomniała się o wszystkie jego dobra. Żeby utrzymać rodzinę, senegalska babcia otworzyła w porcie smażalnię, ale jej najmłodsza, dwunastoletnia córka nie chciała marnować życia, patrosząc ryby pośród wyziewów zjełczanego oleju – wolała zająć się zaspokajaniem męskich potrzeb. Dziewczynka odziedziczyła szlachetną urodę po matce i siała się najbardziej

pożądaną kurtyzaną w mieście. Też miała córkę, *Violette Boisier*, którą nauczyła wszystkiego, co sama umiała. Tak mi opowiedziała *mademoiselle*. „Gdyby nie zazdrość pewnego białego, który ją zabił, moja matka nadal byłaby królową nocy w *Le Cap*. Ale nie łudź się, *Tété*, historie miłosne, jak ta mojej babci, zdarzają się bardzo rzadko. Niewolnik jest zawsze niewolnikiem. Jeśli ucieka i ma szczęście, umiera w trakcie ucieczki. Jeśli nie ma – łapią go żywego. Wyrzucić wolność z serca, to najlepsze, co możesz zrobić”, powiedziała. Potem poszliśmy do *Louli*, żeby dała mi jeść.

Kiedy kilka tygodni później przyszedł pan *Valmorain*, nie poznał mnie, bo przytyłam, byłam czysta, miałam obcięte włosy i nową sukienkę, którą uszyła mi *Loula*. Zapytał o moje imię, a ja odparłam zdecydowanym głosem, nie podnosząc wzroku, bo białemu nigdy nie patrzy się w twarz. „*Zarité z Saint-Lazare, panie*”, jak nauczyła mnie *mademoiselle*. Mój nowy pan uśmiechnął się i zanim wyszliśmy, został sakiewkę. Nie dowiedziałam się, ile za mnie zapłacił. Na ulicy czekał inny mężczyzna z dwoma końmi, który obejrzał mnie od stóp do głów i kazał otworzyć usta, żeby zobaczyć moje zęby. To był *Prosper Cambray*, przełożony nadzorców. Jednym szarpnięciem wciągnął mnie na zad swojego rumaka, wysokiego, szerokiego i ciepłego zwierzęcia, które niespokojnie parsknęło. Miałam za krótkie nogi, żeby się utrzymać, i musiałam objąć mężczyznę w pasie. Nigdy wcześniej nie jechałam konno, ale zdusiłam strach: nikogo nie obchodziło, co czułam. Pan *Valmorain* też dosiadł konia i ruszyliśmy stępą. Odwróciłam się, by popatrzeć na dom. *Mademoiselle* stała na balkonie, machając mi na pożegnanie ręką, aż skręciliśmy za róg i nie mogłam jej już widzieć. Tak to zapamiętałam.

## *Ku przestrodze*

Pot i moskity, rechot ropuch i świst bicza, dni pełne znoju, a noce strachu, karawana niewolników, nadzorców, najemnych żołnierzy i państwo, Toulouse i Eugenia Valmorain. Potrzebowali trzech długich dni, aby dostać się z plantacji do Le Cap. Miasto nadal było najważniejszym portem kolonu, choć już nie stolicą, bo tę przeniesiono do Port-au-Prince w nadziei, że stamtąd łatwiej będzie kontrolować całe terytorium. Nie na wiele się to zdało: koloniści drwili sobie z prawa, piraci włóczyli się po wybrzeżu, a tysiące niewolników uciekały w góry. Coraz liczniejsi i coraz zuchwalsi marroni z usprawiedliwioną wściekłością napadali na plantacje i na podróżnych. Kapitan Étienne Relais, „brytan z Saint-Dominigue”, schwycił pięciu przywódców, co było trudnym zadaniem, albowiem uciekinierzy znali teren, przemieszczali się niczym wiatr i kryli na niedostępnych dla koni szczytach. Uzbrojeni tylko w noże, maczety i kije, nie mieli odwagi stawić czoła żołnierzom w otwartym polu; była to wojna drobnych potyczek, niespodziewanych ataków i odwrotów, nocnych napadów, kradzieży, podpaleń i zabójstw, które wycieńczały regularne oddziały Marechaussée i wojska. Zbiegów osłaniali niewolnicy z plantacji, jedni w nadziei, że kiedyś się do nich przyłączą, inni ze strachu. Relais zawsze miał na względzie przewagę marronów, zdesperowanych ludzi, którzy bronili życia i wolności, nad swoimi żołnierzami, bo ci jedynie wykonywali rozkazy. Kapitan był człowiekiem z żelaza, suchym, szczupłym, silnym, zbudowanym z samych mięśni i nerwów, zawziętym i odważnym; miał zimne oczy i głębokie bruzdy na twarzy ciągle wystawionej na słońce i wiatr. Był małomówny, konkretny, niecierpliwy i bezwzględny. Nikt nie czuł się pewnie w jego obecności, ani *grands blancs*, których interesy chronił, ani *petits blancs*, do których sam należał, ani *affranchis*, którzy stanowili większość w jego oddziałach. Cywile szanowali go, bo zapewniał porządek, a żołnierze – bo nie wymagał niczego, czego sam nie byłby gotów zrobić. Potrzebował czasu, by idąc niezliczonymi fałszywymi tropami, odnaleźć w górach buntowników, ale nigdy nie zwątpił, że kiedyś ten cel osiągnie. Zdobywał informacje metodami tak brutalnymi, że w normalnych warunkach nie wspominano by o nich w towarzystwie, ale od czasów Mackandala nawet damy znajdowały upodobanie w cierpieniach zbuntowanych niewolników. Te, które mdlały na widok skorpiona albo od zapachu gówna, nie odmawiały sobie widoku tortur, by móc potem komentować je przy szklaneczce napoju orzeźwiającego i ciasteczkach.

Le Cap, miasto z domami o czerwonych dachach, pełnymi zgiełku uliczkami i targowiskami, z portem, w którym zawsze cumowały dziesiątki statków powracających do Europy ze skarbami w postaci cukru, tytoniu, indyga i kawy, nadal było Paryżem Antyli, jak żartobliwie nazywali je francuscy koloniści. Wszyscy chcieli tu szybko zbić majątek, wrócić do Paryża i zapomnieć o nienawiści unoszącej się w powietrzu wyspy jak chmara moskitów i kwietniowa zaraza. Niektórzy zostawiali plantacje w rękach zarządców lub administratorów. Ci prowadzili je według własnego uznania, kradnąc i ciągnąc zyski z morderczej pracy niewolników, ale była to wkalkulowana strata, cena za powrót do cywilizacji. Toulouse Valmorain, od wielu lat zagrzebany w *habitation* Saint-Lazare, stanowił jednak zupełnie inny przypadek.

Przełożony nadzorców, Prosper Cambray, hamował swoje ambicje i zachowywał ostrożność, ponieważ jego pryncypał był podejrzliwy i nie okazał się tak łatwą zdobyczą, jak sądził na początku. Żył jednak nadzieję, że Valmorain nie wytrzyma długo w kolonii: nie należał do krewkich facetów z jajami, potrzebnych na plantacji, a poza tym miał na karku Hiszpankę, kobietkę o słabych nerwach, której jedynym pragnieniem było stamtąd uciec.

W czasie pory suchej, mając dobre konie, drogę do Le Cap można było pokonać w jeden dzień, Toulouse Valmorain podróżował jednak z Eugenią niesioną w krytej lektyce i z niewolnikami maszerującymi pieszo. Zostawił na plantacji kobiety, dzieci i tych mężczyzn, którzy nie mieli już ochoty uciekać i nie trzeba ich było dyscyplinować. Cambray wybrał najmłodszych, tych, co potrafili jeszcze wyobrazić

sobie wolność. Niezależnie od tego, jak często *commandeurs* smagali ludzi biczami, nie byli w stanie narzucić im tempa przekraczającego ludzkie możliwości. Droga była niepewna, do tego nadeszła właśnie pełnia pory deszczowej. Tylko dzięki instynktowi psów i pewnemu oku Prospera Cambraya, urodzonego w kolonii i znającego teren, nie zgubili się w gęstwinie, gdzie zmysły traciły rozeznanie i można było bez końca kręcić się w kółko. Wszyscy odczuwali lęk: Valmorain przed możliwością ataku maronów i buntu własnych niewolników (nie pierwszy raz, mając okazję do ucieczki, Murzyni stanęliby z gołymi rękami na wprost karabinów, wierząc, że *loa* ochronią ich od kul), niewolnicy przed batem i złośliwymi duchami leśnymi, a Eugenia przed swoimi własnymi omamami. Cambray drżał tylko przed żywymi trupami, zombi. Nie bał się spotkania twarzą w twarz, byli wszak nieliczni i płochliwi, ale tego, że zostanie zamieniony w jednego z nich. Zombi to niewolnik bokora, czarownika, i nawet śmierć nie może go wyzwolić, bo już jest martwy.

Prosper Cambray wielokrotnie przemierzał ten region, ścigając uciekinierów wraz z innymi strażnikami z Marechaussée. Potrafił odczytywać znaki przyrody, ślady niewidoczne dla innych oczu, mógł podążać tropem niczym najlepszy pies gończy, widzieć w nocy jak wilk, wyczuć strach i pot zdobywszy oddalonej o kilka godzin drogi, przewidzieć i stłumić bunt, zanim się jeszcze narodził. Chełpił się tym, że pod jego rządami niewielu niewolników uciekło z Saint-Lazare; jego metoda polegała na mordowaniu ich duszy i woli. Pokusę wolności mogły pokonać tylko strach i zmęczenie. Produkować, produkować, produkować aż do ostatniego tchnienia, na które nie trzeba było długo czekać, bo mało kto pociągnął tam więcej niż trzy, cztery lata, najwyżej sześć, siedem. „Nie przesadzaj z karami, Cambray, bo mi osłabiasz ludzi”, strofował go nieraz Valmorain. Widok ropiejących ran i amputowanych kończyn, które czyniły ludzi niezdatnymi do pracy, budził w nim odrazę, ale nigdy w obecności niewolników nie sprzeciwiał się przełożonemu nadzorców, który musiał mieć ostatnie słowo, jeśli zamierzali utrzymać dyscyplinę. Tak chciał Valmorain, brzydził się bowiem użeraniem z Murzynami. Wolał, żeby katem był Cambray, sobie zostawił rolę dobrego pana. co pasowało do humanistycznych ideałów z jego młodości. Zdaniem Cambraya bardziej opłacało się zastępować niewolników nowymi, niż dobrze się z nimi obchodzić; po zamortyzowaniu kosztów należało do końca ich wyeksploatować, a gdy umierali, kupić innych, młodszych i silniejszych. Jeśli ktoś miał wątpliwości co do potrzeby stosowania twardej ręki, rozwiewała je historia Mackandala, czarownika z plemienia Mandingo.

W latach 1751-1757, kiedy Mackandal siał śmierć wśród białych kolonistów, Toulouse Valmorain był rozpieszczonym dzieckiem mieszkającym na przedmieściach Paryża w małym *château* od pokoleń należącym do rodziny i nigdy nie słyszał jego imienia. Nie wiedział, że ojciec cudem uszedł z życiem w czasie zbiorowych zatruc na Saint-Domingue i że gdyby nie schwytano Mackandala, wicher rebelii zmiotłby całą wyspę. Opóźniono egzekucję, aby plantatorzy i ich niewolnicy zdążyli dotrzeć do Le Cap; w ten oto sposób czarni mieli przekonać się raz na zawsze, że Mackandal jest śmiertelny. „Historia się powtarza, nic nie ulega zmianie na tej przeklętej wyspie”, tłumaczył Toulouse Valmorain żonie, kiedy jechali drogą, którą przed laty jego ojciec przebył z tego samego powodu: aby zobaczyć karę wymierzaną ku przestrodze. Wyjaśniał, że to najlepszy sposób, by zniechęcić wicherzycieli – tak zdecydowali gubernator i intendent, choć raz okazali się w czymś zgodni. Miał nadzieję, że widowisko uspokoi Eugenię, ale nie przypuszczał, że podróż będzie takim koszmarem. Kusiło go, by zawrócić do Saint-Lazare, ale nie mógł tak postąpić – plantatorzy musieli tworzyć zwarty front przeciwko czarnym. Wiedział, że za jego plecami krążą żarty, mówiono, że ożenił się z na wpół szaloną Hiszpanką, że jest arogancki i że korzysta z przywilejów, które daje mu jego pozycja społeczna, ale nie wypełnia obowiązków wobec Zgromadzenia Kolonialnego, w którym fotel Valmorainów pozostawał pusty od śmierci jego ojca. *Chevalier* był fanatycznym monarchistą, ale jego syn gardził Ludwikiem XVI, chwiejnym władcą, w którego pulchnych rękach spoczywały losy królestwa.

## Mackandal

Opowiedziana przez męża historia Mackandala nasiliła objawy szaleństwa Eugenii, ale nie była przyczyną choroby, bo tę miała we krwi. Kiedy Toulouse Valmorain starał się o jej rękę na Kubie, nikt mu nie powiedział, że w rodzinie Garcíów del Solar trafiały się wariatki. Mackandal był Murzynem przywiezionym z Afryki, muzułmaninem, człowiekiem światłym, który czytał i pisał po arabsku oraz posiadał wiedzę na temat medycyny i roślin. Stracił prawą rękę w strasznym wypadku, w którym ktoś inny, słabszy, zginąłby na miejscu, a ponieważ przestał być przydatny na plantacji trzciny, pan kazał mu pilnować bydła. Kręcił się po okolicy, żywił mlekiem i owocami, dopóki nie nauczył się używać lewej ręki i palców u nóg do zastawiania sideł i robienia węzłów, dzięki czemu mógł polować na gryzonie, gady i ptaki. W samotności i ciszy odtwarzał obrazy z czasów młodości, kiedy przyuczał się do wojny i polowań, jak przystało na królewskiego syna, kiedy chodził z podniesionym czołem i wypiętą pierśią, kiedy jego nogi były szybkie, oczy czujne, a dłoń mocno trzymała dzidę. Roślinność wyspy różniła się od tej z czarownej krainy jego młodości, ale zaczął sprawdzać działanie liści, korzeni, kory, grzybów i odkrył, że niektóre są przydatne w leczeniu, inne do wywoływania snów i stanów transu, jeszcze inne do zabijania. Zawsze wiedział, że w końcu ucieknie, wolał zostać odarty ze skóry w najgorszych męczarniach, niż nadal być niewolnikiem, ale przygotowywał się do ucieczki starannie i cierpliwie czekał na odpowiednią okazję. W końcu odszedł w góry i stamtąd wywołał powstanie niewolników, które miało wstrząsnąć całą wyspą jak straszliwy wichur. Przyłączył się do marronów i nie trzeba było długo czekać na skutki jego gniewu i przebiegłości: atak z zaskoczenia w najciemniejszą noc, blask pochodni, tupot gołych stóp, krzyki, odgłosy uderzeń metalu o łańcuchy, pożar na plantacji trzciny, imię Mandingo przekazywano sobie z ust do ust, było powtarzane przez Murzynów jak pełna nadziei modlitwa. Mackandal, gwinejski książę, zamieniał się w ptaka, jaszczurkę, muchę, rybę. Przywiązany do słupa niewolnik, zanim otrzymał chłostę, która pozbawiła go przytomności, widział biegnącego szybko zająca – to był Mackandal, świadek jego męki. Nieruchoma iguana patrzyła na zgwałconą dziewczynę leżącą w kurzu na wyschniętej ziemi. „Wstań, umyj się w rzece i nie zapomnij, bo wkrótce przybędę, żeby się zemścić”, zasyczała jaszczurka. Mackandal. Koguty z uciętymi głowami, znaki malowane krwią, siekiery wbijane w drzwi, bezksiężycowa noc. kolejny pożar.

Najpierw zaczęło zdychać bydło. Koloniści przypisali to zabójczej roślinie, która rosła ukryta gdzieś na polach, i zatrudnili – nadaremnie – europejskich botaników i miejscowych czarowników mających ją znaleźć i wyplenić. Potem przyszła kolej na psy hodowane do walk i konie w stajniach, aż w końcu zaczęły padać jak rażone całe rodziny. Ludzie mieli wzdęte brzuchy, rozrzedzoną krew, szerniały dziąsła i paznokcie, skóra odpadała im płatami. Umierali w straszliwych konwulsjach. Objawy nie pasowały do żadnej z chorób pustoszących Antyle, ale występowały wyłącznie u białych – nie ulegało wątpliwości, że chodzi o truciznę. Mackandal, znowu Mackandal. Mężczyźni padali po wypiciu kieliszka alkoholu, kobiety i dzieci po filiżance czekolady, na pewnym przyjęciu padli wszyscy goście, zanim jeszcze zdążono podać deser. Nie można było sięgać z ufnością po owoc z drzewa ani po zamkniętą butelkę wina, ani nawet po cygaro, bo nikt nie wiedział, w jaki sposób podawana jest trucizna. Torturowano setki niewolników, ale nie udało się dociec, którędy śmierć wchodzi do domów, dopiero pewna piętnastoletnia dziewczynka, jedna z wielu, które Mandingo odwiedzał nocą pod postacią nietoperza, w obliczu groźby, że zostanie spalona żywcem, podsunęła ślad pozwalający odnaleźć Mackandala. I tak ją spalono. Jej wyznanie doprowadziło strażników do kryjówek zbiega. Jak kozice pokonywali wierzchołki i zapadlińska, aż dotarli do spopielałych szczytów, gdzie dawniej koczowali arawaccy kacykowie. Schwytano go żywego. Do tego czasu zginęło sześć tysięcy osób. „To koniec Mackandala”, mówili biali. „Zobaczmy”, szeptali czarni.

Plac okazał się za mały dla przybyłej z plantacji publiczności. *Grands blancs*, zaopatrzeni w przeką-

ski i napoje, zajęli miejsca każdy pod swoją markizą; *petits blancs* zadowolili się galeriami, a *affranchis* wynajęli balkony wokół placu należące do innych wolnych kolorowych. Tam, skąd był najlepszy widok, ustawiono niewolników, spędzonych przez panów z odległych zakątków kraju, aby mogli przekonać się, że Mackandal jest tylko nieszczęsnym czarnym kaleką bez ręki, który upiecze się na ogniu jak prosiak. Afrykańczyków stłoczono wokół stosu; pilnowały ich psy, które doprowadzone do szaleństwa przez zapach tyłu ludzi szarpały się na łańcuchach. Poranek w dniu egzekucji był mglisty, ciepły i bezwietrzny. Odór wydzielany przez ludzką ciżbę mieszał się z zapachami prażonego cukru, smażonego tłuszczu i dzikich kwiatów pnących się po drzewach. Kilku braciszków kropiło wodą święconą i dawało po racuchu za spowiedź. Niewolnicy nauczyli się, jak ich oszukiwać, wyznając jakieś bliżej nieokreślone grzechy, bo winy, do których się przyznawali, trafiały prosto do uszu pana, tym razem jednak nikt nie miał ochoty na racuchy. Wszyscy w radosnym podnieceniu czekali na Mackandala.

Pochmurne niebo groziło deszczem. Gubernator obliczył, że ledwo zdążą przed ulewą, ale musiał poczekać na reprezentującego władze cywilne intendenta. Ten pojawił się wreszcie w jednej z łóż honorowych, z żoną, młodą dziewczyną, uginającą się pod ciężarem sukni, toczka z piór i uczucia zde gustowania; była jedyną Francuzką w Le Cap, która nie chciała oglądać egzekucji, jej mąż, jeszcze młody, choć dwakroć starszy od niej, miał koślawe nogi, wielkie pośladki i wydatny brzuch, mógł się za to poszczycić piękną głową starożytnego rzymskiego senatora zwieńczoną skomplikowaną peruką. Bicie w bębny ogłosiło przybycie więźnia. Powitał go chór pogroźek i obelg białych, drwiny Mulatów i wyrażające frenetyczny entuzjizm okrzyki Afrykańczyków. Ignorując psy, smagnięcia batem oraz rozkazy nadzorców i żołnierzy, niewolnicy powstali na powitanie Mackandala i skakali z ramionami wzniesionymi ku niebu, Wszyscy zareagowali jednakowo – nawet gubernator i intendent podnieśli się z miejsc.

Mackandal, odziany tylko w brudne i poplamione zaschniętą krwią spodnie, był wysoki, bardzo ciemny, miał całe ciało poznaczone bliznami. Szedł zakuty w łańcuchy, ale wyprostowany, wyniosły, obojętny. Nie raczył nawet rzucić okiem na białych, żołnierzy, zakonników i psy; powiódł wolno spojrzeniem po niewolnikach i każdy z nich wiedział, że te czarne źrenice wyróżniły właśnie jego, ofiarowując mu tchnienie nieokiełznanej wolności. Nie był niewolnikiem, który idzie na stracenie, lecz jedynym prawdziwie wolnym człowiekiem w tłumie. Wszyscy tak to odczuwali, dlatego na placu zapadła głęboka cisza. W końcu Murzyni zawyli nieposkromionym chórem, skandując imię bohatera: Mackandal, Mackandal. Mackandal. Gubernator zrozumiał, że lepiej szybko z tym skończyć, zanim planowane widowisko cyrkowe zamieni się w krwawą łaźnię; dał znak i żołnierze przykuli więźnia łańcuchem do pala na stosie drewna. Kat podpalił słomę i wkrótce nasyczone tłuszczem polana zapłonęły, wznosząc gęste kłęby dymu. Nikt na placu nie ośmielił się nawet westchnąć, kiedy zabrzmiał głęboki głos Mackandala: „Wróć! Wróć!”.

Co wtedy zaszło? Koloniści mówili, że w późniejszych dziejach wyspy było to najczęściej zadawane pytanie. Biali i Mulaci widzieli, jak Mackandal uwolnił się z łańcuchów i przeskoczył nad płonącymi polanami, ale żołnierze rzucili się na niego, uderzeniami zmusili do uległości i z powrotem zawlekli na stos, gdzie kilka minut później pochłonęły go płomienie i dym. Murzyni widzieli, jak Mackandal uwolnił się z łańcuchów, przeskoczył nad płonącymi polanami, a kiedy rzucili się na niego żołnierze, przybrał postać moskita i odleciał w kłębach dymu, zataczając pełne koło wokół placu, żeby wszyscy mogli się z nim pożegnać, potem zniknął na niebie, tuż przed ulewą, która zalała stos i zgasiła ogień. Biali i *affranchis* zobaczyli zwęglone ciało Mackandala. Murzyni zobaczyli tylko goły słup. Ci pierwsi uciekli przed burzą, ci drudzy nadal śpiewali, obmywani przez deszcz. Mackandal zwyciężył i spełnił swoją obietnicę. Mackandal wróci. Dlatego – jak powiedział Valmorain swojej niepoczytalnej żonie – trzeba było raz na zawsze obalić tę absurdalną legendę i to było powodem, dla którego dwadzieścia trzy lata później udawali się ze swoimi niewolnikami do Le Cap, aby wziąć udział w innej egzekucji.

Długiej karawany pilnowali czterej strażnicy uzbrojeni w muszkiety, Prosper Cambray i Toulouse Valmorain z pistoletami oraz *commandeurs*, którzy jako niewolnicy mieli tylko szable i maczety. Nie

można było im ufać – w razie ataku mogli przyłączyć się do marronów. Chudzi i zagłodzeni Murzyni posuwali się wolnym krokiem, niosąc na plecach toboły, połączeni łańcuchem, opóźniającym ich marsz. Panu wydawało się to przesadą, ale nie mógł podważyć autorytetu zwierzchnika nadzorców. „Nikt nie będzie próbował ucieczki, czarni bardziej boją się demonów dżungli niż dzikich jadowitych bestii”, wyjaśnił Valmorain żonie, ale Eugenia nie chciała słuchać o czarnych, demonach i dzikich zwierzętach. Mała Tété szła luzem obok lektyki swojej pani niesionej przez dwóch niewolników wybranych spośród najsilniejszych. Ścieżka ginęła w gąszczu roślin i w błocie, a orszak przypominał smutnego węża pełzającego w milczeniu w stronę Le Cap. Od czasu do czasu szczekanie psów, rzenie konia albo suchy świst bata i krzyk przerywały szmer oddechów ludzi i odgłosy lasu. Początkowo Prosper Cambray chciał, żeby niewolnicy śpiewali dla dodania sobie animuszu i odstraszenia węży, jak robili na polach trzciny, ale oszołomiona przez zawroty głowy i zmęczenie Eugenia nie mogła ścierpieć takiego zgiełku.

Pod gęstą kopułą leśnych drzew wcześniej zapadał zmrok i późno świtało z powodu mgły snującej się pośród paproci. Valmorainowi dzień wydawał się krótki, dla pozostałych był wiecznością. Posiłek niewolników składał się z kaszy kukurydzianej lub batatów z suszonym mięsem oraz miseczki kawy, rozdzielanych nocą, kiedy rozbijali obóz. Pan kazał dodawać do kawy trochę cukru i kilka kropel tafii, wódki z trzciny cukrowej dla ubogich, aby rozgrzać ludzi, śpiących na ziemi zmoczonej deszczem i rosą, narażonych na ataki febry. Tamtego roku epidemie miały katastrofalne skutki dla plantacji: trzeba było zastąpić wielu niewolników innymi, nie przeżył żaden z noworodków. Cambray ostrzegł pryncypała, że wódka i słodycze psują czarnych i potem nie ma sposobu, by powstrzymać ich przed wysysaniem soku z trzciny. Istniała specjalna kara za to przestępstwo, ale Valmorain nie był zwolennikiem wyszukanych tortur, chyba że chodziło o uciekinierów – w tych przypadkach trzymał się ściśle litery Czarnego Kodeksu. Egzekucja zbiegłych niewolników w Le Cap wydawała mu się stratą czasu i pieniędzy: wystarczyłoby powieszenie ich bez takiego rozgłosu.

Strażnicy i *commandeurs* zmieniali się w nocy przy pilnowaniu obozu oraz ognisk, które utrzymywały w odpowiedniej odległości zwierzęta i działały uspokajająco na ludzi. W ciemności wszyscy odczuwali niepokój. Państwo spali w hamakach w obszernym namiocie z woskowanego płótna, gdzie stały ich kufry i kilka mebli. Eugenia, która kiedyś była łakomczuchem, teraz jadła tyle co kanarek, ale nadal przestrzegwała etykiety i zasiadała ceremonialnie za stołem. Tej nocy zajmowała krzesło obite niebieskim pluszem, odziana w satyny, z brudnymi włosami spiętymi w kok, sącząc lemoniadę z rumem. Naprzeciwko siedział jej mąż, bez surduta, w rozpiętej koszuli, nieogolony i z zaczerwienionymi oczami, pijąc alkohol prosto z butelki. Kobieta z trudem walczyła z mdłościami na widok potraw: jagnięciny gotowanej na ostro z przyprawami mającymi ukryć brzydki zapach po dwóch dniach podróży, fasoli, ryżu, solonych placków kukurydzianych i owoców w cukrze. Tété wachlowała ją, nie mogąc powstrzymać się od uczucia litości. Przywiązała się do doñi Eugenii, która chciała, by tak ją nazywano. Pani jej nie bila, zwierzała się za to ze swoich kłopotów, ale ponieważ mówiła do niej po hiszpańsku, na początku dziewczyna nic nie rozumiała. Opowiadała, jak mąż zabiegał o jej względy na Kubie, prawiąc grzeczności i obdarowując prezentami, ale potem, na Saint-Domingue, pokazał swój prawdziwy charakter. Zepsuły go podły klimat i magia Murzynów, tak jak wszystkich kolonistów na Antylach. Ona z kolei należała do najlepszego towarzystwa Madrytu, pochodziła ze szlacheckiej, katolickiej rodziny. Tété nie miała pojęcia, jaka była jej pani w Hiszpanii czy na Kubie, ale widziała, że jej stan z dnia na dzień się pogarsza. Kiedy ją poznała, Eugenia była krzepką dziewczyną gotową przystosować się do życia świeżo upieczonej mężatki, ale po kilku miesiącach jej dusza zachorowała. Wszystkiego się bała i płakała bez powodu.



## Zarité

W namiocie państwo jedli kolację, jakby to była jadalnia we dworze. Jeden z niewolników zmiatał ro-bactwo z ziemi i odganiał moskity, dwaj inni stali za krzesłami państwa, bez butów, w brudnych libe-riach i śmierdzących białych perukach, w każdej chwili gotowi im. usłużyć. Pan przełykał wszystko roz-targniony, prawie nie gryząc, a doña Eugenia wypluwała całe kęsy w serwetkę, bo we wszystkim czuła smak siarki. Mąż powtarzał jej, że może jeść spokojnie, ponieważ bunt został stłumiony, zanim jeszcze się rozpoczął, a prowodyrów zamknięto w Le Cap i zakuto w kajdany cięższe, niż byli w stanie udźwi-gnąć, ale ona obawiała się, że pozrywają łańcuchy jak czarownik Mackandal. Pan nie powinien opo-wiadać jej o Mackandalu, bo tylko się wystraszyła. Doña Eugenia słyszała o paleniu heretyków prakty-kowanym niegdyś w jej kraju i nie chciała być świadkiem podobnego okropieństwa. Tej nocy skarżyła się, że coś jak obręcz ściska jej głowę, że nie może już dłużej, że chce popłynąć na Kubę, by spotkać się z bratem, że może jechać sama, bo to krótka podróż. Chciałam wytrzeć jej czoło chusteczką, ale mnie odepchnęła. Pan odparł, żeby nawet o tym nie myślała, że to niebezpieczne i nie wypada, aby sama zja-wiła się na Kubie. „Nie mówmy o tym więcej!”, zawołał poirytowany, wstając, zanim niewolnik zdążył odsunąć krzesło, i wyszedł, aby wydać ostatnie instrukcje przełożonemu nadzorców. Skinęła na mnie; wzięłam jej talerz, przykryłam i zaniósłam w kąt, żeby zjeść później to, co zostało, i szybko przygotowa-łam ją do snu. Nie używała już gorsetu, pończoch i kalek, które wypełniały jej panieńskie kufry; po plan-tacji chodziła w lekkich podomkach, ale do kolacji zawsze się stroiła. Rozebrałam ją, przyniosłam mi-skę, umyłam zmoczoną szmatką, posypałam pudrem kamforowym na komary, nawilżyłam mlekiem twarz oraz ręce i po wyjęciu szpilek sto razy – przeciągnęłam szczotką po kasztanowych włosach, a ona pod-dawała mi się, patrząc nieobecny wzrokiem. Była przezroczyta. Pan mówił, że jest bardzo piękna, ale według mnie jej zielone oczy i zaostrome kły nie wyglądały na ludzkie. Kiedy skończyłam ją oporzą-dzać, uklękła na swoim klęczniku i na głos odmówiła cały różaniec, a ja jej wtórowałam, bo to należało do moich obowiązków. Nauczyłam się modlitw, choć nie rozumiałam ich znaczenia. Wtedy znałam już wiele hiszpańskich słów i mogłam spełniać jej polecenia, ho nie wydawała ich po francusku ani po kre-olsku. Nie ona musiała się wysilać, by się z nami porozumieć, ale my. Tak mówiła. Jej białe palce prze-suwały paciorki z masy perłowej, a ja liczyłam, ile jeszcze brakuje, żebym mogła wreszcie zjeść i poło-żyć się spać. W końcu ucałowała krzyż różańca i włożyła go do skórzanego woreczka, płaskiego i wy-dłużonego jak koperta, który zawsze wieszała na szyi. To było jej zabezpieczenie, tak jak moim była la-leczka Erzulie. Żeby mogła łatwiej zasnąć, podałam jej kieliszek porto, który wypić z grymasem obrzy-dzenia, pomogłam położyć się w hamaku, zasłoniłam moskitierą i zaczęłam kołysać, modląc się, by szybko zasnęła, by nie rozpraszał jej trzepot skrzydeł nietoperzy, stąpanie skradających się zwierząt i głosy, które zwykły przesładować ją o tej porze. Wyjaśniła mi kiedyś, że to nie są głosy ludzkie. Pochod-ziły z mroku, z dżungli, spod ziemi, z piekła, z Afryki, nie przemawiały słowami, lecz wyciem i niepoha-mowanym śmiechem. „To zjawy wzywane przez czarnych”, płakała przerażona. „Sza, doño Eugenio, proszę zamknąć oczy, modlić się...” Byłam tak samo przestraszona jak ona, choć nigdy nie słyszałam głosów ani nie widziałam duchów. „Urodziłaś się tutaj, Zarité, dlatego twoje uszy są głuche, a oczy śle-pe. Gdybyś przyjechała z Gwinei, wiedziałabyś, że zjawy są wszędzie”, zapewniała mnie Tante Rose, uzdrowicielka z Saint-Lazare. Wyznaczyli ją na moją opiekunkę, gdy przybyłam na plantację; musiała mnie wszystkiego nauczyć i pilnować, żebym nie uciekała. „Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy spró-bować, Zarité, zgubiłabyś drogę wśród trzciny, a do gór jest dalej niż na księżyc”.

Kiedy doña Eugenia zasnęła, powlokłam się do mojego kąta, gdzie nie dochodziło drżące światło lamp oliwnych, po omacku odszukałam talerz i palcami zgarnęłam trochę potrawy z baraniny; zauwa-

żyłam, że uprzedziły mnie mrówki, ale to mi nie przeszkadzało, lubię jej ostry smak. Już miałam sięgnąć po kolejną porcję, kiedy wszedł pan z jednym z niewolników, dwa długie cienie na płótnie namiotu i ostry, męski zapach skóry, tytoniu i konia. Zakryłam talerz i czekałam, wstrzymując oddech i tłumiąc bicie serca, by mnie nie zauważyli. „Przenajświętsza Panienko, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi”, wyszeptała pani przez sen i zaraz potem krzyknęła: „Dziwko szatana!”. Skoczyłam, by pobudzić hamak, zanim się obudzi.

Pan usiadł na swoim krześle; niewolnik zdjął mu buty, potem pomógł pozbyć się spodni i reszty ubrania; zostawił go w samej koszuli, która sięgała mu do bioder i nie zasłaniała członka, różowego i zwiotczalego jak świński flak, w gnieździe z włosów koloru słomy. Niewolnik przytrzymał nocnik, zaczekał, aż pan pozwoli mu odejść, zgasił oliwne lampy, zostawiając zapalone świece, po czym się oddalił. Doña Eugenia znowu drgnęła, tym razem rozbudzana, z przerażeniem w oczach, ale miałam już dla niej drugi kieliszek porto. Dalej ją bujałam i wkrótce na powrót zasnęła. Pan podszedł ze świecą w ręce i oświetlił żonę; nie wiem, czego szukał, może dziewczyny, która oczarowała go rok wcześniej. Zrobił gest, jakby chciał ją dotknąć, ale po chwili namysłu przyjrzał jej się tylko z dziwnym wyrazem twarzy.

– Moja biedna Eugenia. Spędza noce dręczona koszmarami, a dni dręczona rzeczywistością – szepnęłam.

– Tak, panie.

– Nie rozumiesz nic z tego, co mówię, prawda, Tété?

– Nie, panie.

– Tym lepiej. Ile masz lat?

– Nie wiem, panie. Około dziesięciu.

– Wobec tego trochę ci jeszcze brakuje, żeby stać się kobietą, prawda?

– Może i tak, panie.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Uniósł członek dłonią i podtrzymał, jakby chciał go zważyć. Cofnęłam się z rozpaloną twarzą. Ze świece skapnęła mu na dłoń kropla wosku; zaklął i kazał mi iść spać, z jednym okiem otwartym, by czuwać nad panią. Wyciągnął się w swoim hamaku, a ja jak jaszczurka przemknęłam do mojego kąta. Odczekałam, aż pan zaśnie, i zabrałam się ostrożnie do jedzenia, nie wydając żadnego dźwięku. Na zewnątrz zaczęło padać. Tak to zapamiętałam.

## *Bal u intendenta*

Wyczerpani podróżnicy z Saint-Lazare dotarli do Le Cap w przeddzień egzekucji marronów, kiedy miasto drżało z wyczekiwania, tak bardzo wypełnione ludźmi, że powietrze cuchnęło tłumem i końskim łajnem. Nie było gdzie się zatrzymać. Valmorain wysłał przodem umyślnego, żeby zarezerwował jakąś szopę dla jego ludzi, ten jednak dojechał za późno i mógł wynająć jedynie pomieszczenie w kadłubie szkunera zakotwiczonego naprzeciwko portu. Nie było łatwo zmusić niewolników, żeby weszli do szalup, a stamtąd na statek, bo rzucali się na ziemię i krzyczeli ze strachu, przekonani, że czeka ich znowu taka sama koszmarna podróż, jaką odbyli z Afryki. Prosper Cambray i *commandeurs* zagnali ich siłą do ładowni i zakuwali w łańcuchy, żeby nie skakali do morza. Zajazdy dla białych były pełne, a ponieważ państwo przybyli z jednodniowym opóźnieniem, nie mieli gdzie zamieszkać. Valmorain nie mógł zabrać Eugenii do pensjonatu dla *affranchis*. Gdyby był sam, bez zastanowienia udałby się do Violette Boisier, która winna mu była niejedną przysługę. Nie byli już kochankami, ale ich przyjaźń umocniła się po urządzaniu domu w Saint-Lazare i kilku datkach, którymi ją wsparł, by pomóc jej wyjść z długów. Violette zabawiła się, kupując na kredyt bez podliczania wydatków, dopiero wymówki Louli i Étienne'a Relais'go sprawiły, że zaczęła żyć oszczędniej.

Tej nocy intendent wydawał kolację dla wąskiego grona wybranych spośród cywilnej części społeczności, a kilka ulic dalej gubernator przyjmował wyższych oficerów armii, żeby z wyprzedzeniem uczcić koniec marronów. Valmorain postanowił wykorzystać sprzyjające okoliczności i zjawił się w domu intendenta, prosząc o nocleg. Do przyjęcia zostały trzy godziny i wszędzie panowała atmosfera pośpiechu, jaka poprzedza nadejście huraganu: niewolnicy biegali z butelkami alkoholu, wazonami kwiatów, w ostatniej chwili ściągany meblami, lampami i świecznikami, muzycy – sami Mulaci – ustawiali swoje instrumenty pod wodzą francuskiego dyrygenta, a majordomus, z listą w ręku, liczył złote sztucce układane na stole. Nieszczęsna Eugenia przybyła na wpół przytomna w swojej lektyce, za którą szła Tété, niosąc buteleczkę z solami i nocnik. Kiedy intendent otrząsnął się z zaskoczenia, w jakie wprowadził go ich widok przed drzwiami o tak wczesnej porze, przywitał gości, choć prawie ich nie znał, rozbrojony wpływowym nazwiskiem Valmoraina i opłakany stanem jego żony. Ten przedwcześnie postarzały mężczyzna musiał mieć jakieś pięćdziesiąt parę lat, ale źle znosił swój wiek. Brzuch nie pozwalał mu oglądać stóp, chodził na sztywnych, rozkraczonych nogach, ręce miał za krótkie, żeby zapiąć kabat, sapał jak miech kowalski, a arystokratyczny profil ginął między czerwonymi, pucołowatymi policzkami i perkatym nosem sybaryty; za to jego żona z upływem lat niewiele się zmieniła. Była gotowa do przyjęcia gości, wystrojona według najnowszej paryskiej mody, miała perukę ozdobioną motylami i suknię z mnóstwem kokard i kaskadą koronek, w której głębokim dekolcie rysowały się jej dziewczęce piersi. Pozostała tym samym drobniutkim wróbelkiem, którym była, mając dziewiętnaście lat, kiedy z łoża honorowej oglądała spalenie Mackandala. Od tamtego czasu widziała tyle tortur, że do końca życia miała wystarczającą pożywkę dla nocnych koszmarów. Wlokąc za sobą ciężką suknię, zaprowadziła nowo przybyłych na drugie piętro, ulokowała Eugenię w jednym z pokoi i zarządziła, żeby przygotowano jej kąpiel; ona jednak pragnęła jedynie odpocząć.

Kilka godzin później zaczęli przybywać goście i wkrótce posiadłość ożyła za sprawą muzyki i głosów, które do wyciągniętej na łóżku Eugenii docierały w postaci przytłumionych dźwięków. Z powodu mdłości wolała się nie ruszać; Tété wachlowała panią i kładła jej na czoło kompresy z zimnej wody. Na kanapie czekał skomplikowany strój zdobiony złotogłowiem, wyprasowany przez jedną z domowych niewolnic, pończochy z białego jedwabiu i pantofelki z czarnej tafty na wysokim obcasie. Piętro niżej damy popijały szampana na stojąco, jako że szerokie spódnice i ciasne gorsety utrudniały im siadanie, a panowie komentowali widowisko, które miało odbyć się następnego dnia, z pewną powściągliwością, bo zbytne ekscytowanie się kaźnią kilku czarnych buntowników nic było w dobrym guście. Po chwili

muzycy przerwali rozmowy dźwiękiem trąbki i intendent wznosił toast za powrót do normalności w kolonii. Wszyscy podnieśli kieliszki i Valmorain wypił zawartość swojego, zadając sobie pytanie, co u diabła oznacza normalność: biali i czarni, wolni i niewolnicy, wszyscy byli chorzy ze strachu.

Majordomus, w teatralnym mundurze admirała, po trzykroć stuknął w podłogę złotą laską, aby z należyłą pompą ogłosić rozpoczęcie kolacji. Ten dwudziestopięcioletni mężczyzna wydawał się zbyt młody na tak odpowiedzialne i zaszczytne stanowisko. Nie był też Francuzem, jak można by oczekiwać, lecz pięknym afrykańskim niewolnikiem o idealnym uzębieniu i kilka dam zdążyło już puścić do niego oko. Jakżeby mogły nie zwrócić uwagi na kogoś takiego... Miał prawie dwa metry wzrostu i nosił się z większą elegancją i powagą niż najwybitniejsi spośród zaproszonych. Po toaście wszyscy obecni przeszli do urządzonej z przepychem jadalni, oświetlonej setkami świec. Na zewnątrz noc zrobiła się chłodniejsza, ale w środku było coraz goręcej. Oczom Valmoraina, oszołomionego lepkim zapachem potu i perfum, ukazały się długie stoły błyszczące złotem i srebrem, kryształ z Baccarat i porcelana z Sèvres, niewolnicy w liberiach, po jednym za każdym krzesłem, i inni, stojący w rzędzie pod ścianami, którzy mieli rozlewać wino, podawać półmiski i zmieniać talerze. Oceniał, że będzie to bardzo długa noc. Przesadna etykieta budziła w nim takie samo zniecierpliwienie jak banalna rozmowa. Może było trochę racji w tym, co zarzucała mu żona: zamieniał się w barbarzyńcę. Goście zwlekali z zajęciem miejsca pośród zgietku wywołanego przesuwaniem krzesel, szelestem jedwabi, rozmowami i muzyką. W końcu wszedł podwójny rząd służących z pierwszym z piętnastu dań zapowiedzianych w menu złotymi literami: miniaturowymi przepiórkami faszerowanymi śliwkami, podanymi w niebieskich ognikach płonącego koniaku. Valmorain nie skończył jeszcze grzebać widelcem wśród kosteczek leżącego przed nim ptaka, kiedy podszedł do niego wspaniale wyglądający majordomus i szepnął, że małżonka źle się poczuła. Inny służący właśnie przekazywał tę wieść gospodyni, która dała mu znak z przeciwległej strony stołu. Oboje się podnieśli, nie zwracając niczyjej uwagi pośród paplaniny i stukotu sztucców o porcelanę, i weszli na drugie piętro.

Eugenia była zielona, a pokój cuchnął wymiocinami i kałem. Żona intendenta zaproponowała, żeby zbadał ją doktor Parmentier, który na szczęście znajdował się w jadalni, i niewolnik pilnujący drzwi natychmiast po niego wyruszył. Lekarz – około czterdziestki, mały, szczupły, o niemal kobiecych rysach twarzy – był zaufanym człowiekiem *grands blancs* z Le Cap, dzięki swojej dyskrecji i zawodowym umiejętnościom, chociaż jego metody nie należały do najbardziej ortodoksyjnych: wolał stosować zioła biedaków zamiast środków przeczyszczających, upuszczania krwi, lewatywy, okładów i wynalazków europejskiej medycyny. Parmentierowi udało się zdyskredytować eliksir z jaszczurki z dodatkiem opiłków złota, który słynął jako lek na żółtą febrę, tylko dla bogatych, jako że pozostali nie mogli sobie na niego pozwolić. Udowodnił, że napój ten jest tak toksyczny, że nawet jeśli pacjent przeżył „Smoka Syjamu”, umierał z powodu zatrucia. Nie trzeba było go długo prosić, by obejrzał madame Valmorain – mógł przynajmniej zaczerpnąć kilka haustów powietrza mniej gęstego niż to w jadalni. Zastał ją bladą jak śmierć wśród poduszek na posłaniu i przystąpił do badania, podczas gdy Tété usuwała miednice i szmaty, których użyła do obmycia pani.

– Podróżowaliśmy przez trzy dni, żeby obejrzeć jutrzejsze widowisko, i proszę zobaczyć, w jakim stanie jest moja żona – powiedział Valmorain, stojący w drzwiach z chusteczką przy nosie.

– Madame nie będzie mogła być obecna przy egzekucji, powinna odpocząć przez tydzień, dwa – oznajmił Parmentier.

– Znowu nerwy? – zirytował się mąż.

– Potrzebuje odpoczynku, żeby uniknąć powikłań. Jest brzemienna – powiedział lekarz, okrywając Eugenię prześcieradłem.

– Syn! – wykrzyknął Valmorain, podchodząc, by pogłaskać bezwładne dłonie żony. – Zostaniemy tutaj tak długo, jak długo pan rozkaże, doktorze. Wynajmę dom, żeby nie narzucać naszej obecności panu intendentowi i jego miłej małżonce.

Na te słowa Eugenia otworzyła oczy i podniosła się z niespodziewaną energią.

– Wyjedziemy stąd natychmiast! – krzyknęła.

– Niemożliwe, *ma chérie*, nie może pani podróżować w tych warunkach. Po egzekucji Cambray zabierze niewolników do Saint-Lazare, a ja zostanę tutaj, żeby się panią opiekować.

– Tété, pomóż mi się ubrać! – zawołała, odrzucając na bok prześcieradła.

Toulouse próbował ją przytrzymać, ale odepchnęła go i z płonącymi oczami zażądała, żeby natychmiast uciekali, bo wojska Mackandala są już w drodze, by wyciągnąć zbiegłych niewolników z lochów i dokonać zemsty na białych. Valmorain błagał, by mówiła ciszej, żeby nie usłyszał jej cały dom, ale ona nadal krzyczała. Intendent przyszedł sprawdzić, co się dzieje, i zobaczył, jak prawie naga Eugenia walczy z mężem. Doktor Parmentier wyjął z walizeczki jakiś flakonik i we trzech zmusili ją do połknięcia dawki laudanum, która uspiłaby pirata. Siedemnaście godzin później zapach spalenizny wpadający przez okno obudził Eugenię Valmorain. Jej bielizna i pościel były we krwi; tak prysło marzenie o pierwszym dziecku. W ten oto sposób Tété uwolniła się od obowiązku oglądania egzekucji skazańców, którzy zginęli na stosie, jak Mackandal.

## Wariatka z plantacji

Siedem lat później, w upalnym i smaganym huraganami sierpniu 1787 roku, Eugenia Valmorain urodziła swoje pierwsze żywe dziecko, po kilku niedonoszonych ciążach, które odebrały jej zdrowie. Tak bardzo upragniony syn przyszedł na świat, kiedy już nie mogła go kochać. Była wtedy kłębkim nerwów i popadała w stany odrętwienia, całymi dniami, a czasem tygodniami błędząc po innych światach. W okresach szaleństwa uspokajano ją nalewką z opium, a przez resztę czasu naparami roślinnymi Tante Rose, mądrej uzdrowicielki z Saint-Lazare, które zmieniały niepokój Eugenii w bezradność, znośniejszą dla tych, którzy musieli z nią mieszkać. Na początku Valmorain naśmiewał się z „zioł czarnych”, ale zmienił zdanie, gdy zorientował się, jakim szacunkiem darzy Tante Rose doktor Parmentier. Mimo że jazda konno szkodziła jego delikatnemu organizmowi, lekarz przyjeżdżał na plantację, gdy tylko pozwalała mu na to praca, pod pretekstem zbadania Eugenii, tak naprawdę jednak tylko po to, by studiować metody Tante Rose. Potem wypróbował je w szpitalu, notując ze żmudną starannością wyniki, zamierzał bowiem napisać rozprawę o naturalnych lekach z Antyli, ograniczając się do botaniki, jako że koledzy po fachu nigdy nie potraktowaliby poważnie magii, która jego samego intrygowała na równi z roślinami. Kiedy już Tante Rose przywykła do ciekawości tego białego, pozwalała, by towarzyszył jej w wyprawach do lasu w poszukiwaniu składników. Valmorain dawał im mulice i dwa pistolety, które Parmentier nosił skrzyżowane za pasem, choć nie potrafił się nimi posługiwać. Uzdrowicielka nie chciała, żeby jeździł z nimi uzbrojony *commandeur*, jej zdaniem był to bowiem najlepszy sposób na przyciągnięcie bandytów. Jeśli Tante Rose w trakcie swoich wypraw nie znajdowała tego, czego potrzebowała, i nie nadarzała się okazja wyjazdu do Le Cap, zlecała zakupy lekarzowi; w ten sposób zdołał poznać na wskroś tysiące portowych sklepików z ziołami i magicznymi przedmiotami, które zaopatrywały ludzi wszystkich kolorów skóry. Parmentier godzinami rozmawiał z „medykami od liści” przy ich ulicznych straganach i w kącikach na zapleczach sklepów, gdzie sprzedawali leki natury, czarodziejskie napoje, wodouistyczne i chrześcijańskie fetysze, narkotyki i trucizny, przedmioty przynoszące szczęście i takie do rzucania klątw, proszek ze skrzydeł anioła i z rogu diabła. Widział, jak Tante Rose kuruje rany tam, gdzie on zastosowałby amputację, jak czysto dokonuje operacji, które w jego wykonaniu zakończyłyby się gangreną, jak z powodzeniem leczy febrę, biegunki i dyzenterie, które dziesiątkowały francuskich żołnierzy stłoczonych w koszarach. „Niech nie piją wody. Da im pan dużo rozcieńczonej kawy i zupę ryżową”, pouczyła go Tante Rose. Parmentier wywnioskował, że wszystko polega na gotowaniu wody, ale zauważył, że bez ziołowego naparu znachorki nie ma poprawy. Murzyni lepiej bronili się przed tymi chorobami, natomiast biali padali jak rażeni piorunem i jeśli po kilku dniach nie umierali, to miesiącami trwali w stanie otępienia. Jednak na zaburzenia umysłowe tak głębokie jak w przypadku Eugenii murzyńscy lekarze nie mieli lepszych środków niż europejscy. Świecone świece, kadzidła z szaławii i nacieranie żmijowym tłuszczem okazywały się równie nieskuteczne jak roztwory rtęci i kąpiele w lodowatej wodzie zalecane przez podręczniki medycyny. W przytułku dla obłąkanych w Charenton, gdzie Parmentier odbył w młodości krótką praktykę, nie prowadzono terapii dla pomyłków. W wieku dwudziestu siedmiu lat Eugenia utraciła urodę, dzięki której rozkochała w sobie Toulouse’a Valmoraina na balu w konsulacie na Kubie; trawiły ją obsesje, osłabiał klimat i poronienia. Jej stan zaczął się wyraźnie pogarszać niedługo po przybyciu na plantację i pogłębiał z każdą niedonoszoną ciążą. Nabrała odrazy do owadów, które na Saint-Domingue występowały w niezliczonych odmianach, więc nosiła rękawiczki, kapelusz z szerokim rondem i gęstą woalką aż do ziemi oraz koszule z długimi rękawami. Dwoje małych niewolników zmieniało się, by ją wachlować i rozgniatać każdego robaka, który pojawi się w pobliżu. Byle żuk mógł przyprawić ją o atak. Jej mania tak się nasiliła, że Eugenia rzadko wychodziła z domu, zwłaszcza o zmierzchu, w porze moskitów. Snuła się pogrążona w myślach, przeżywała chwile grozy lub uniesienia religijnego, po których następowało zniecierpliwienie, i wtedy biła każde-

go, kto znalazł się w zasięgu jej ręki, ale nigdy Tété. Stała się we wszystkim zależna od dziewczyny, nawet kiedy chodziło o najintymniejsze potrzeby. Niewolnica była jej powierniczką, jedyną osobą, która trwała przy niej, gdy dręczyły ją demony. Tété spełniała życzenia pani, zanim zostały wypowiedziane, była stale czujna, gotowa podać jej szklankę lemoniady, gdy tylko dawało o sobie znać pragnienie, złapać w powietrzu talerz, który rzucała na ziemię, poprawić jej we włosach szpilki, które kłuły w głowę, wytrzeć pot albo posadzić na nocniku. Eugenia nie dostrzegała obecności swojej niewolnicy, zauważała tylko jej nieobecność. W trakcie napadów lęku, kiedy krzyczała do utraty głosu, Tété zamykała się z nią, żeby jej śpiewać albo odmawiać modlitwy, aż atak furii mijał i pani zapadała w głęboki sen, z którego wynurzała się bez wspomnień. Podczas długotrwałych stanów melancholii dziewczynka wchodziła do jej łóżka i gładziła niczym kochanek, dopóki Eugenia nie zmęczyła się płaczem. Jakie ona ma ciężkie życie! Jest jeszcze bardziej niewolnicą niż ja, bo nie może uciec od swoich lęków”, powiedziała pewnego razu Tété w rozmowie z Tante Rose. Uzdrowicielka doskonale знаła jej marzenia o wolności, bo wielokrotnie musiała powstrzymać ją od ucieczki, ale od kilku lat dziewczyna wydawała się pogodzona z losem i przestała wspominać o swoich planach.

Tété jako pierwsza zdała sobie sprawę, że ataki jej pani mają związek z wołaniem bębnow w noc calend, kiedy niewolnicy zbierali się, by tańczyć. Calendy zwykle zamieniały się w obrzędy vodou, które były zabronione, jednak Cambray i *commandeurs* nie próbowali ich przerywać z obawy przed nadprzyrodzoną mocą *mambo* – Tante Rose. Eugenie bębny zwiastowały zjawy, czary i klątwy, powodem wszystkich jej nieszczęść było vodou. Na próżno doktor Parmentier wyjaśniał, że vodou nie ma w sobie nic przerażającego, że jest zbiorem wierzeń i rytuałów jak każda inna religia, nie wyłączając katolickiej, bardzo potrzebnych, nadawały bowiem sens nędznemu życiu niewolników. „Heretyk! Tylko Francuz może porównywać świętą wiarę Chrystusową do przesądów tych dzikusów”, krzyczała Eugenia. Dla Valmoraina, racjonalisty i ateisty, transy Murzynów należały do tej samej kategorii co różańce jego żony i w zasadzie nie sprzeciwiał się ani jednemu, ani drugiemu. Tolerował z jednakowym spokojem obrzędy vodou i msze odprawiane przez zakonników, którzy pojawiali się na plantacji przyciągani sławą przedniego rumu z jego destylarni. Zgodnie z wymogami Czarnego Kodeksu Afrykańczycy byli chrzczeni zbiorowo, gdy tylko schodzili ze statku w porcie, ale ich dalszy kontakt z chrześcijaństwem ograniczał się jedynie do mszy odprawianych w biegu przez wędrownych braciszków. Toulouse Valmorain uważał, że skoro vodou dodaje im otuchy, nie ma powodu, by go zabraniać.

W obliczu pogarszającego się nieubłagane stanu Eugeniei mąż chciał zabrać ją na Kubę, żeby zobaczyć, czy zmiana środowiska przyniesie jej ulgę, ale jego szwagier Sancho zasugerował mu w liście, że w grę wchodzi dobre imię Valmorainów i Garcíów del Solar. Dyskrecja ponad wszystko. Byłoby wielce niekorzystne dla interesów ich obu, gdyby zaczęto rozprawiać o obiedzie jego siostry. Przy okazji wyznał, jak bardzo jest mu wstyd, że ożenił go z tak pomyloną kobietą. Naprawdę niczego nie podejrzewał, w klasztorze jego siostra nigdy nie miała żadnych objawów zaburzeń, a kiedy mu ją odesłali, wydawała się normalna, chociaż dość ograniczona umysłowo. Nie przypominał sobie, by takie przypadki występowały wcześniej w rodzinie. Skąd mogło mu przyjść do głowy, że religijna melancholia babki i szaleńcza histeria matki okazały się dziedziczne. Toulouse Valmorain nie przejął się obawami szwagra – zabrał chorą do Hawany i na osiem miesięcy oddał pod opiekę zakonnic. W tym czasie Eugenia nigdy nie wspomniała o mężu, za to pytała o Tété, która została w Saint-Lazare. W klasztornej ciszy odzyskała spokój i kiedy mąż po nią przyjechał, wydawała się zdrowsza i całkiem zadowolona. Na Saint-Domingue jej stan szybko się pogorszył. Wkrótce ponownie zaszła w ciążę, powtórzył się dramat utraty dziecka i dzięki zabiegom Tante Rose kolejny raz uniknęła śmierci.

W krótkich okresach, kiedy wydawało się, że zaburzenia Eugeniei ustępują, w rezydencji pana oddychano z ulgą i nawet niewolnicy na plantacjach trzciny, którzy widywali ją tylko z daleka, gdy wychodziła na dwór owinięta w swoją moskitierę, czuli tę poprawę. „Nadal jestem ładna?”, pytała Tété, dotykając ciała, które straciło całą swą zmysłowość. „Tak, bardzo ładna”, zapewniała ją dziewczyna, ale nie

dawała pani przejrzyć się w weneckim lustrze w salonie, dopóki jej nie wykapała, nie umyła włosów, nie ubrała w jedną z wytwornych, choć niemodnych sukni i nie umalowała policzków karminem, a powiek węglem. „Zamknij tylne drzwi i podpal liście tytoniu, żeby wypłoszyć owady. Zjem kolację i mężem”, nakazywała jej ożywiona Eugenia. Tak wystrojona, chwiejnym krokiem, z szeroko otwartymi oczami i rękami drżącymi od opium, pojawiała się w jadalni, gdzie jej noga nie stała od tygodni, Valmorain witał ją z zaskoczeniem połączonym z nieufnością, bo te sporadyczne pojednania miały to do siebie, że nigdy nie było wiadomo, jak się skończą. Przykrości doznane w małżeństwie sprawiały, że wolał odsuwać ją na bok, jakby ta odziana na co dzień w szmaty zjawia nie miała z nim nic wspólnego. Jednak kiedy odświętnie ubrana Eugenia pojawiała się w ciepłym świetle kandelabrow, na kilka chwil wstępowała w niego nadzieja. Już jej nie kochał, ale była jego żoną i musieli zostać razem aż do śmierci. Te przebłyski normalności zwykle wiodły ich do łóżka, gdzie on niczym wygłodniały marynarz rzucał się na nią bez zbędnych wstępów. Uściski nie były w stanie ich połączyć ani sprowadzić Eugenie z powrotem na drogę rozsądku, ale czasem oznaczały kolejną ciężę i tak powtarzał się cykl nadziei i rozczarowania. W czerwcu tego roku okazało się, że znowu jest brzemienna, i nikt, a już najmniej ona, nie odważył się świętować tej nowiny. Traf chciał, że tej samej nocy, której Tante Rose potwierdziła jej stan, odbyła się *calenda*; Eugenia nabrała przekonania, że bębny ogłaszają poczęcie potwora. Stworzenie w jej brzuchu zostało przeklęte przez vodou, było dzieckiem zombi, żywym trupem. Nie dawała się w żaden sposób uspokoić, a jej urojenia były tak silne, że zaraziła nimi Tété. „A jeśli to prawda?”, zapytała, roztrzęsiona, w rozmowie z Tante Rose. Uzdrowicielka zapewniła ją, że nikt nigdy nie spłodził zombi, że trzeba by go robić ze świeżego trupa, co wcale nie jest takie proste, i zaproponowała, że odprawi obrzędy leczące chorobę wyobraźni, na którą cierpi pani. Zaczekały, aż Valmorain wyjedzie. Tante Rose przystąpiła do odczyniania rzekomej czarnej magii bębnów za pomocą skomplikowanych rytuałów i zaklęć mających przemienić małego zombi w normalne dziecko. „Skąd będziemy wiedziały, że zadziałało?”, zapytała na końcu Eugenia. Tante Rose podała jej do wypicia wywar z ziół wywołujących mdłości i powiedziała, że jeśli wysika się na niebiesko, to wszystko poszło dobrze. Następnego dnia Tété wyniosła nocnik z niebieskim płynem, co tylko połowicznie uspokoiło Eugenię, uznała bowiem, że wrzucili coś do środka. Doktor Parmentier, któremu nie wspomnieli ani słowem o zabiegach Tante Rose, kazał utrzymywać Eugenię Valmorain jak najdłużej w półśnie, dopóki nie urodzi. Stracił już wtedy nadzieję na jej uleczenie – uważał, że klimat wyspy powoli ją zabija.



## *Mistrzynie ceremonii*

Drastyczna metoda, jaką było trzymanie Eugenii pod wpływem narkotyków, przyniosła lepsze rezultaty, niż tego oczekiwał sam Parmentier. W kolejnych miesiącach brzuch rósł jej w sposób naturalny, a ona spędzała czas, leżąc pod moskitierą na sofie w galem, drzemiąc lub w zamyśleniu obserwując przesu-  
wające się obłoki, całkowicie odcięta od cudu, który dokonywał się w jej ciele. Jeśli zawsze zachowy-  
wałyby się tak spokojnie, byłoby idealnie”, usłyszała Tété od Valmoraina. Jej pani odżywiała się cu-  
krem i gęstą kukurydzianą papką z mięsem z kury i warzywami roztartymi w moździerz, zdolną posta-  
wić na nogi nieboszczyka, a wymyśloną przez kucharkę, Tante Mathilde. Tété wypełniała swoje domo-  
we obowiązki, a potem siadała w galerii i szyła wyprawkę dla dziecka lub śpiewała zachrypniętym gło-  
sem religijne pieśni, które lubiła Eugenia. Czasem, gdy były same, odwiedzał je Prosper Cambray pod  
pretekstem napicia się lemoniady, którą sącył niezwykle wolno, siedząc z nogą opartą na poręczy i  
uderzając zwiniętym bitem o cholewę buta. Wodził po ciele Tété wiecznie zaczerwienionymi oczyma.

– Co, Cambray, obliczasz jej wartość? Nie jest na sprzedaż – zaskoczył go któregoś dnia Toulouse  
Valmorain, niespodziewanie zjawiając się w galerii.

– Mówił pan coś? – odpowiedział wyzywająco Mulat. Valmorain przywołał go skinieniem ręki i ten  
niechętnie udał się za nim do gabinetu. Tété nie wiedziała, o czym rozmawiali; pan zakomunikował jej  
jedynie, że nie chce, by ktokolwiek kręcił się po domu bez pozwolenia, nawet przełożony nadzorców.  
Po owej rozmowie za zamkniętymi drzwiami zuchwałe zachowanie Cambraya nie uległo zmianie. Jedy-  
nym środkiem ostrożności, jaki podejmował, zanim wszedł do galerii, by poprosić o coś do picia i spoj-  
rzeniem rozebrać Tété do naga, było sprawdzenie, czy pana nie ma w pobliżu, już dawno stracił szacun-  
ek dla Valmoraina, ale nie ośmielał się posuwać zbyt daleko, bo wciąż miał ambicję zostania głównym  
administratorem.

Gdy nadszedł grudzień, Valmorain wezwał doktora Parmentiera i poprosił, by nie opuszczał planta-  
cji, dopóki Eugenia nic urodzi, nie chciał bowiem zostawiać spraw w rękach Tante Rose. „Ona wie na  
ten temat więcej niż ja”, dowodził lekarz, przyjął jednak zaproszenie, dzięki któremu miał czas na odpo-  
czynek, lekturę i spisywanie – z myślą o swojej książce – nowych środków stosowanych przez uzdrowi-  
cielkę. Po porady do Tante Rose przychodzono także z innych plantacji, kurowała zarówno niewolni-  
ków, jak i zwierzęta, walczyła z infekcjami, zszywała rany, niosła ulgę chorym na febrę i ofiarom wy-  
padków, pomagała przy porodach i starała się ratować życie ukaranym niewolnikom. Zezwalano jej na  
dalekie wyprawy w poszukiwaniu roślin i zabierano do Le Cap, żeby mogła kupić potrzebne składniki.  
Zostawała z paroma monetami w kieszeni i odbierano ją kilka dni później. Była *mambo*, mistrzynią ce-  
remonii podczas *calend*, na które przychodzili Murzyni z innych plantacji, i temu także Valmorain się  
nie sprzeciwiał, mimo iż przełożony nadzorców ostrzegał go, że obrzędy kończą się orgiami seksualny-  
mi lub opętaniem kilkudziesięciu niewolników turlających się po ziemi z wywróconymi oczami. „Nie  
bądź taki surowy, Cambray, niech odreagują, dzięki temu są bardziej ulegli w pracy”, odpowiadał spo-  
kojnie pan. Tante Rose zniknęła na kilka dni i kiedy przełożony nadzorców już miał oznajmić, że kobieta  
zbiegła z innymi niewolnikami albo przeszła na drugi brzeg rzeki, na stronę hiszpańską, ona wracała,  
kulejąc, wycieńczona, z pełną torbą. Tante Rose i Tété wymykały się władzy Cambraya – ta pierwsza  
mogła zamienić go w zombi, a druga była osobistą niewolnicą pani, niezbędną we dworze. „Nikt cię nie  
pilnuje. Dlaczego nie uciekniesz, mateczko?”, zapytała któregoś dnia Tété. Jak miałabym biec z chorą  
nogą? I co stałoby się z ludźmi, którzy potrzebują mojej opieki? Zresztą co mi z tego, że ja będę wolna,  
skoro inni pozostaną niewolnikami”, odrzekła uzdrowicielka. Tété nie przyszło to wcześniej do głowy i  
ta myśl wracała do niej niczym natrętna mucha. Potem jeszcze wiele razy rozmawiała na ten temat z  
Tante Rose, ale nie chciała zgodzić się z tym, że jej wolność jest nierozzerwalnie związana z wolnością  
wszystkich pozostałych niewolników. Gdyby mogła, uciekłaby, nie myśląc o tych, których zostawia,

tego była pewna. Po powrocie z wypraw Tante Rose zrywała ją do swojej chaty, gdzie obie się zamykały, aby przygotować leki, do czego nieodzowne były świeże rośliny, dokładna receptura i odpowiednie rytuały. Odprawianie czarów, mawiał Cambray, oto czym zajmują się te kobiety, a przecież sam by to załatwił, gdyby mógł je porządnie wybatożyć. Nie ośmielił się jednak ich tknąć.

Pewnego dnia, po spędzeniu najgorętszych godzin popołudnia na poobiedniej drzemce, doktor Parmentier wybrał się w odwiedziny do Tante Rose, aby sprawdzić, czy zna jakieś lekarstwo na ukąszenie parecznika. Ponieważ Eugenia leżała spokojnie pilnowana przez opiekunkę, poprosił Tété, by mu towarzyszyła. Zastali uzdrowicielkę siedzącą na wiklinowym krześle naprzeciwko wejścia do chaty, zniszczonej po ostatnich burzach. Nucąc w jakimś afrykańskim języku, odrywała liście z uschłej gałęzi i kładła je na szmacie, tak skupiona na tej czynności, że nie zauważyła gości, dopóki przed nią nie stanęli. Chciała się podnieść, ale Parmentier powstrzymał ją ruchem ręki. Doktor otarł chustką pot z czoła i szyi; uzdrowicielka zaproponowała, żeby napił się wody. Weszli do chaty. W ciemnym i chłodnym pomieszczeniu, bardziej przestronnym, niż to się wydawało z zewnątrz, panował idealny porządek – każda rzecz miała swoje miejsce. W porównaniu z chatami innych niewolników umeblowanie było tu luksusowe: stół z desek, odrapana holenderska szafa, kufer z zaśniedziałego mosiądzu, kilka skrzynek, które Valmorain dał jej na leki, i kolekcja glinianych garnuszków do przygotowywania wywarów. Góra suchych liści i słomy przykryta kraciatą szmatą i cienką derką służyła za posłanie. Z palmowego dachu zwisały gałązki, pęki ziół, ususzone gady, pióra, naszyjniki z paciorków, nasion i muszli oraz inne rzeczy potrzebne do jej praktyk. Doktor pociągnął dwa łyki z tykwy i odczekał kilka minut, żeby złapać oddech. Kiedy poczuł się lepiej, podszedł do ołtarzyka, na którym znajdowały się ofiary dla *loa*: papierowe kwiaty, kawałki batatu, naparstek z wodą i tytoń. Wiedział, że krzyż nie jest znakiem chrześcijańskim, że symbolizuje „skrzyżowanie”, ale gipsowa malowana figurka bez wątplenia przedstawiała Maryję Pannę. Tété wyjaśniła mu, że to ona przyniosła ją opiekunce jako prezent od pani. „Ale ja wolę Erzulie i Tante Rose też”, dodała. Lekarz wyciągnął rękę po święty *asson vodou* – tykwę z wymalowanymi symbolami nabitą na patyk, ozdobioną paciorkami i wypełnioną kosteczkami martwego noworodka – ale w porę się powstrzymał. Nikt nie powinien tego dotykać bez pozwolenia właściciela. „To by zgadzało się z tym, co słyszałem: Tante Rose jest kapłanką, jest *mambo*”, powiedział sam do siebie. *Assonem* posługiwał się zwykle *hungan*, ale w Saint-Lazare nie było *hungana* i to Tante Rose przewodniczyła ceremoniom. Lekarz napił się jeszcze wody, zmoczył chusteczkę i obwiązał nią szyję, zanim ponownie wyszedł na skwar. Tante Rose nie podniosła na nich oczu pochłonięta wykonywaną z precyzją pracą, nie zaproponowała im też, żeby usiedli, bo dysponowała tylko jednym krzesłem. Trudno było określić jej wiek – młoda twarz kontrastowała ze zniszczonym ciałem. Miała szczupłe i silne ręce, piersi zwisające pod koszulą niczym papaje, bardzo ciemną skórę, prosty nos, szeroki u nasady, wyraźnie nakreślone usta i żywe spojrzenie. Przykrywała głowę chustką, pod którą rysowała się gęstwa bujnych włosów, nigdy nieścinanych, podzielonych na nierówne, mocno skrecone loki, przypominające sizalowe liny. Kiedy miała czternaście lat, wóz przejechał jej po nodze, łamiąc kilka kości, które źle się zrosły, dlatego chodziła z wysiłkiem, wsparta na lasce wystruganej dla niej przez wdzięcznego niewolnika. Kobieta uważała wypadek za łut szczęścia, bo uwolnił ją od pracy na plantacji. Każda inna kaleka niewolnica skończyłaby, mieszając wrzącą melasę lub piorąc w rzece ubrania, ale ona była wyjątkiem, bo już we wczesnej młodości *loa* wyznaczyły ją na *mambo*. Parmentier nigdy nie widział jej podczas ceremonii, ale wyobrażał ją sobie przemienioną, w transie. W *vodou* każdy mógł odprawiać rytuał i doświadczać boskości, kiedy dosiadał go *loa*, rola *hungana* i *mambo* polegała wyłącznie na przygotowaniu *hunforu* do ceremonii. Valmorain podzielił się z Parmentierem swoimi wątpliwościami, czy przypadkiem Tante Rose nie jest szarlatanem, wykorzystującym ignorancję swoich pacjentów. „Najważniejsze są efekty. Ona swoimi metodami osiąga więcej niż ja moimi”, odpowiedział lekarz.

Z pól dobiegały głosy niewolników ścinających trzcinę, brzmiące w jednym rytmie. Zaczynali przed świtem, bo trzeba było iść po paszę dla zwierząt i drwa do ognisk, potem pracowali od wschodu do za-

chodu słońca, z dwugodzinną przerwą w południe, kiedy niebo stawało się białe, a ziemia ociekała potem. Cambray próbował zlikwidować czas na odpoczynek, narzucony przez Czarny Kodeks i lekceważony przez większość plantatorów, ale Valmorain uważał, że jest potrzebny. Dawał im również jeden dzień wolny w tygodniu, żeby uprawiali swoje rośliny, oraz trochę żywności, nigdy wystarczająco dużo, ale więcej niż na innych plantacjach, gdzie wychodzono z założenia, że niewolnicy powinni wyżyć z plonów własnych ogródków. Tété słyszała o planowanej reformie Czarnego Kodeksu: trzy dni wolne w tygodniu i zakaz biczowania, ale słyszała też, że żaden osadnik nie podporządkuje się temu prawu, zakładając nawet, iż zaakceptowałyby je król. Kto pracowałby dla innych bez bicia? Doktor nie rozumiał słów pieśni robotników. Przebywał na wyspie od wielu lat, jego ucho przyzwyczało się do *créole* używanego w miastach, urywanego i mającego afrykański rytm, będącego pochodną francuskiego, natomiast *créole* z plantacji nie rozumiał, bo niewolnicy przekształcili go w zaszyfrowany język, który miał być niedostępny dla białych; dlatego potrzebował Tété jako tłumaczki. Pochylił się, żeby zobaczyć z bliska jeden i liści, które rozkładała Tante Rose. „Do czego służą?”, zapytał. Odparła, że *koulant* jest na łomotanie w piersi, szumy w głowie, wieczorne zmęczenie i rozpacz. „Dla mnie by się nadał? Szwanukuje mi serce”, powiedział. „Tak, nadałby się, bo *koulant* uwalnia też od gazów”, odparła i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. W tym momencie usłyszeli zbliżający się odgłos galopującego konia. Był to jeden z *commandeurs*, który przyjechał po Tante Rose, bo w tłoczni wydarzył się wypadek. „Séraphine wsadziła rękę tam, gdzie nie powinna!”, krzyknął z siodła i natychmiast odjechał, nie proponując uzdrowicielce, że ją zabierze. Ona delikatnie zawinęła liście w szmatę i wniosła je do chaty, wzięła torbę, którą zawsze trzymała w pogotowiu, i poszła najszybciej, jak mogła, a Tété i lekarz podążyli za nią.

Po drodze wyprzedzili kilka wozów ciągnionych przez ospałe woły, załadowanych po czubek świeżo ściętą trzcina, która nie mogła czekać na przerobienie dłużej niż dwa dni. Kiedy zbliżyli się do prostych, drewnianych zabudowań młyna, gęsty zapach melasy przylgnął im do skóry. Po obu stronach ścieżki niewolnicy uwijali się z nożami i maczetami, pilnowani przez *commandeurs*. Przy najdrobniejszym przejawie słabości nadzorców Cambray odsyłał ich z powrotem do ścinania trzciny i zastępował innymi. Aby wzmocnić szeregi własnych niewolników, Valmorain wypożyczył dwie ekipy od swojego sąsiada, Lacroix, a ponieważ Cambraya nie obchodziło, ile wytrzymają, ich los był znacznie gorszy. Wzdłuż rzędów ludzi biegały dzieci z kubłami, rozdzielając chochlą wodę. Wielu Murzynów wyglądało jak szkielety, mężczyźni mieli na sobie jedynie jutowe spodnie i słomkowe kapelusze, kobiety – długie koszule i chustki na głowach. Matki ścinały trzcinę zgięte w pasie, l dziećmi na plecach. Dawano im po kilka minut na karmienie piersią podczas pierwszych dwóch miesięcy, potem musiały zostawiać maleństwa w szopie pod opieką jakiejś staruszki i starszych dzieci, które zajmowały się nimi, jak potrafiły. Wiele umierało na tęzec, sparaliżowanych, z zaciśniętą szczęką. Była to kolejna zagadka wyspy, biali bowiem nie zapadali na tę chorobę. Właściciele majątków nie podejrzewali, że można wywołać te objawy, nie zostawiając żadnego siadu, poprzez wbicie szpilki w miękką część czaszki, zanim zrosną się kości, dzięki czemu dziecko odchodziło szczęśliwe na podmorską wyspę, nie zaznawszy niewolnictwa. Rzadko spotykało się Murzynów z siwymi włosami, jakie miała Tante Mathilde, kucharka z Saint-Lazare, która nigdy nie pracowała w polu. Kiedy Violette Boisier kupiła ją dla Valmoraina, ta miała już swoje lata, ale w jej przypadku liczył się nie wiek, lecz doświadczenie, bo wcześniej służyła w kuchni u jednego z najzamożniejszych *affranchis* z Le Cap, wykształconego we Francji Mulata, który kontrolował eksport indygo.

W młynie znaleźli młodą dziewczynę leżącą na ziemi pośród chmary much, w huku maszyn poruszanych przez muły. Proces produkcyjny wymagał skrupulatności, dlatego powierzano go co zręczniejszym niewolnikom, którzy musieli dokładnie określić, ile wapna użyć i jak długo gotować syrop, by otrzymać wysokiej jakości cukier. W młynie dochodziło do najcięższych wypadków – poszkodowana, Séraphine, była tak zakrwawiona, że Parmentier pomyślał, iż coś wybuchło jej w piersi, potem jednak zobaczył, że krew wypływa z kikuta ręki, który przyciskała do zaokrąglonego brzucha. Tante Rose

szybkim ruchem ściągnęła z głowy chustkę i zawiązała ją powyżej łokcia, mruczając jakieś zakłęcie. Głowa Séraphine opadła na kolana doktora; Tante Rose przesunęła się, żeby ułożyć ją na własnym łonie, otworzyła jej usta i wlała kilka ciemnych kropli z wyjętego z torby flakonu. „To tylko melasa, żeby przywrócić jej przytomność”, powiedziała, choć lekarz o nic nie pytał. Niewolnik wyjaśnił, że dziewczyna wpychała trzcinę do rozdrabniarki – wystarczył moment nieuwagi, by zębate łopatkki wciągnęły jej rękę. Zaalarmowany krzykami zdołał zatrzymać muły, zanim maszyna zmiażdżyła jej całe ramię. Żeby ją uwolnić, musiał odrąbać dłoń siekierą, wieszaną w tym celu na haku. „Trzeba zatamować krew. Jeśli nie będzie zakażenia, przeżyje”, orzekł lekarz i posłał niewolnika do dworu po swoją walizeczkę. Murzyn zawahał się – otrzymywał rozkazy tylko od *commandeurs*, ale wystarczyło jedno słowo Tante Rose, by puścił się biegiem. Séraphine uchyliła powieki i powiedziała przez zęby coś, co doktor ledwie dosłyszał. Tante Rose nachyliła się, żeby lepiej zrozumieć. „Nie mogę, *p'tite*, biały jest tutaj, nie mogę”, odpowiedziała jej szeptem. Dwóch niewolników zaniósł Séraphine do baraku z desek, gdzie położyli ją na stole z nieoheblowanego drewna. Tété przepędziła kury i świnie, która węszyła wśród śmieci na podłodze. Mężczyźni podtrzymywali Séraphine, podczas gdy uzdrowicielka myła ją wodą z wiadra. „Nie mogę, *p'tite*, nie mogę”, powtarzała jej co jakiś czas na ucho. Inny mężczyzna przyniósł z młyna kilka rozżarzonych polan. Kiedy Tante Rose zaczęła przypalać kikut, Séraphine była już na szczęście nieprzytomna. Doktor zauważył, że jest w szóstym, siódmym miesiącu ciąży, i pomyślał, że po utracie takiej ilości krwi najprawdopodobniej poroni.

W tym momencie w drzwiach chaty pojawiła się sylwetka jeźdźca. Jeden z niewolników podbiegł, by przytrzymać cugle; mężczyzna zeskoczył na ziemię. Był to Prosper Cambray, z pistoletem przy pasie i biczem w ręku, ubrany w ciemne spodnie, koszulę ze zwykłego płótna, wysokie skórzane buty i amerykański kapelusz, starannie uszyty, identyczny jak ten Valmoraina. Oślepiiony światłem z zewnątrz nie rozpoznał doktora Parmentiera. „Co to za awantura?”, uderzając jak zwykle biczem o cholewki butów, zapytał głosem, który choć łagodny, zabrzmiał złowrogo. Wszyscy odsunęli się, żeby mógł sam zobaczyć; wówczas zauważył lekarza i zmienił ton.

– Niech się pan nie przejmuje tym głupstwem, doktorze. Tante Rose wszystkim się zajmie. Pan pozwoli, że będę mu towarzyszył do dworu. Gdzie jest pański koń? – zapytał uprzejmie.

– Zabierzcie tę dziewczynę do chaty Tante Rose, żeby się nią zaopiekowała. Jest w ciąży – odpowiedział lekarz.

– To dla mnie żadna nowość – zaśmiał się Cambray.

– Jeśli w ranę wda się gangrena, trzeba będzie obciąć jej rękę – nalegał czerwony z oburzenia Parmentier. – Powtarzam panu, że trzeba natychmiast zabrać ją do chaty Tante Rose.

– Do tego służy szpital, doktorze – odparł Cambray.

– To nie jest szpital, tylko ohydna stajnia! Przełożony nadzorców obszedł barak z zaciekawieniem, jakby widział go pierwszy raz na oczy.

– Nie warto podejmować się tą kobietą; i tak nie nadaje się już do produkcji cukru, i będę musiał zatrudnić ją przy czymś innym...

– Nie zrozumiał mnie pan, Cambray – przerwał mu wyzywająco lekarz. – Czy mam zwrócić się do monsieur Valmoraina, żeby to załatwić?

Tété nie odważyła się sprawdzić, jaki wyraz przybrała twarz przełożonego nadzorców; nigdy nie słyszała, by ktoś zwracał się do niego takim tonem, nawet pan. Bała się, że podniesie rękę na białego, ale kiedy odpowiedział, jego głos był pokorny jak głos służącego.

– Ma pan rację, doktorze. Jeśli Tante Rose ją uratuje, przynajmniej będziemy mieli dzieciaka – orzekł, dotykając trzonkiem bicza zakrwawionego brzucha Séraphine.

## *Istota, która nie jest ludzka*

Ogród w Saint-Lazare, którego pomysł zrodził się spontanicznie w głowie Valmoraina wkrótce po ślubie, z biegiem lat przekształcił się w jego ulubiony projekt. Rozplanował go, kopiując rysunki z książki o pałacach Ludwika XIV, ale ponieważ na Antylach nie chciały rosnąć kwiaty z Europy, musiał zatrudnić w roli doradcy botanika z Kuby, przyjaciela Sancha Garcíi del Solar. Ogród był kolorowy, roślinność bujna, ale należało bronić go przed zachłannością tropików, czym zajmowali się niestrudzenie trzej niewolnicy, którzy czuwali również nad hodowanymi w cieniu orchideami. Codziennie, zanim upał zaczął dawać się we znaki, Tété wychodziła ścinać kwiaty na bukiety do domu. Tego ranka Valmorain spacerował z doktorem Parmentierem wąską ogrodową ścieżką, oddzielającą geometryczne łąty krzewów i kwiatów; wyjaśniał mu, że po zeszłorocznym huraganie musiał zasadzić wszystko od nowa, jednak lekarz błędził myślami gdzie indziej. Parmentier nie miał oka artysty i nie umiał docenić dekoracyjnych roślin, uważał je za marnotrawstwo ze strony przyrody. Dużo bardziej interesowały go brzydkie krzaki z ogrodu Tante Rose, mające moc uzdrawiania lub zabijania. Ciekawiły go również zaklęcia uzdrowicielki, widział bowiem ich dobroczynny wpływ na niewolników. Wyznał Valmorainowi, że nie raz odczuwał pokusę leczenia pacjenta metodami murzyńskich czarowników, nie pozwolił mu na to jednak jego francuski pragmatyzm i strach przed ośmieszeniem.

– Te przesady nie zasługują na uwagę naukowca takiego jak pan, doktorze – zakpił Valmorain.  
– Widziałem cudowne uzdrowienia, *mon ami*, widziałem też ludzi umierających bez żadnego powodu, tylko dlatego, że uważali się za ofiary czarnej magii.  
– Afrykańczycy są bardzo podatni na sugestie.  
– Biali też. Pańska żona, nie szukając daleko...  
– Jest, doktorze, zasadnicza różnica między Afrykańczykiem a moją żoną, bez względu na to, jak bardzo byłaby niezrównoważona! Nie sądzi pan chyba, że czarni są tacy jak my, prawda? – przerwał mu Valmorain.

– Z biologicznego punktu widzenia jest udowodnione, że są.  
– Widać, że rzadko się pan z nimi styka. Czarni mają budowę przystosowaną do ciężkiej pracy, w mniejszym stopniu odczuwają ból i zmęczenie, ich umysł jest ograniczony, nie potrafią oceniać, są porwyczy, nieporządni, leniwi, brak im ambicji i wyższych uczuć.

– To samo można by powiedzieć o białym zezwierzęconym przez niewolnictwo, monsieur.  
– Cóż za absurdalny argument! – uśmiechnął się tamten z pogardą. – Czarni potrzebują twardej ręki. I wiedz pan, że mam na myśli stanowczość, nie brutalność.

– Tu nie ma miejsca na kompromisy. Jeśli zaakceptujemy pojęcie niewolnictwa, przestanie mieć znaczenie, jak będziemy ich traktować – odparował lekarz.

– Nie zgadzam się z tym. Niewolnictwo jest złem koniecznym, jedynym sposobem na zarządzanie plantacją, ale można to robić po ludzku.

– Nie może być nic ludzkiego w posiadaniu i wyzyskiwaniu drugiej osoby – odparł Parmentier.  
– Nigdy nie miał pan niewolnika, doktorze?  
– Nic. I nie będę miał.

– Gratuluję. Ma pan szczęście, że nie jest plantatorem – powiedział Valmorain. – Nie podoba mi się niewolnictwo, zapewniam pana, a jeszcze mniej podoba mi się życie tutaj, ale ktoś musi *zarządzać* koloniami, żeby pan mógł posłodzić sobie kawę i wypalić cygaro. We Francji korzystają z naszych produktów, ale nikt nie chce wiedzieć, jak są wytwarzane. Już wolę szczerą Anglików i Amerykanów, którzy akceptują niewolnictwo z powodów praktycznych – podsumował Valmorain.

– W Anglii i Stanach Zjednoczonych są też tacy, którzy poważnie kwestionują ideę niewolnictwa i odmawiają spożywania produktów z wysp, zwłaszcza cukru – przypomniał mu Parmentier.

– Stanowią nic nieznaczącą grupę, doktorze. Właśnie przeczytałem w piśmie naukowym, że czarni należą do innego gatunku niż nasz.

– A jak autor tłumaczy, że dwa różne gatunki mogą mieć potomstwo? – zapytał lekarz.

– Krzyżując żrebaka z oślicą, otrzymujemy muła, który nie jest ani jednym, ani drugim. Z mieszanki białych i czarnych rodzą się Mulaci – odrzekł Valmorain.

– Muły nie mogą się rozmnażać, monsieur, Mulaci tak. Proszę mi powiedzieć, czy pański syn z niewolnicy byłby człowiekiem? Miałby nieśmiertelną duszę?

Poirytowany Toulouse Valmorain odwrócił się do niego plecami i ruszył w stronę domu. Zobaczyli się dopiero wieczorem. Przebrany do kolacji Parmentier wszedł do salonu, nękany uporczywym bólem głowy, z którym walczył, odkąd przybył na plantację trzynaście dni wcześniej. Cierpiał na migreny i był osłabiony; mówił, że jego organizm nie znosi klimatu wyspy, nie nabawił się jednak żadnej z chorób, które dziesiątkowały białych. Atmosfera Saint-Lazare przytłaczała go, a wymiana zdań z Valmorainem wprawiła w zły humor. Chciał wrócić do Le Cap, gdzie czekali na niego pacjenci i dyskretna pociecha ze strony jego słodkiej Adèle, zobowiązał się jednak do opieki nad Eugenią i zamierzał dotrzymać słowa. Zbadał ją rano i ocenił, że poród nastąpi już wkrótce. Gospodarz czekał na niego i przyjął z uśmiechem, jakby nieprzyjemna sprzeczka w południe w ogóle się nie zdarzyła. Podczas posiłku rozmawiali o książkach i polityce europejskiej, z dnia na dzień coraz bardziej niezrozumiałej. Zgodzili się co do tego, że rewolucja amerykańska z 1776 roku miała ogromny wpływ na Francję, gdzie niektóre ugrupowania atakowały monarchię, używając zgubnych określeń zawartych w Deklaracji Niepodległości. Parmentier nie krył podziwu dla Stanów Zjednoczonych, a Valmorain go podzielał, chociaż gotów był się założyć, że Anglia nie będzie żałować prochu ani krwi, aby odzyskać kontrolę nad swą dawną amerykańską kolonią. Tak uczyniłoby każde imperium pragnące zachować swój status. „A jeśli Saint-Dominique uniezależniłoby się od Francji, tak jak Amerykanie uniezależnili się od Angin?”, zastanawiał się Valmorain, zastrzegając od razu, że to tylko retoryczne pytanie, w żadnym wypadku wezwanie do buntu. Rozmawiali także o wypadku w młynie. Lekarz stwierdził, że można by uniknąć takich zdarzeń, gdyby zmiany były krótsze – hałaśliwa praca rozdrabniarek i ciepło bijące z kotłów mąciły umysł. Powiedział, że krwotok Séraphine został zatamowany i że jest jeszcze za wcześnie, by wykryć objawy infekcji, utraciła jednak dużo krwi, była w szoku i tak słaba, że na nic nie reagowała. Nie dodał jednak, że Tante Rose prawdopodobnie utrzymuje ją swoimi napojami w stanie śpiączki. Nie miał zamiaru powracać do tematu niewolnictwa, który tak bardzo zdegustował gospodarza, ale po kolacji, kiedy usiedli na galerii, rozkoszując się chłodem nocy, koniakiem i cygarami, Valmorain sam go poruszył.

– Proszę rai wybaczyć mój poranny wyskok, doktorze. Boję się, że na tym pustkowiu odwykłem od prowadzenia intelektualnych rozmów. Nie chciałem pana obrazić.

– Nie obraził mnie pan, monsieur.

– Nie uwierzy mi pan, doktorze, ale zanim tu przyjechałem, podziwiałem Woltera, Diderota i Rousseau – powiedział Valmorain.

– Teraz już nie?

– Teraz zaczynam wątpić w spekulacje humanistów. Życie na wyspie uczyniło mnie twardszym albo powiedzmy raczej, że jestem większym realistą. Nie mogę się zgodzić, że czarni to tacy sami ludzie jak my, chociaż są obdarzeni inteligencją i mają duszę. Biała rasa stworzyła naszą cywilizację. Afryka to kontynent mroczny i prymitywny.

– Był pan tam kiedyś, *mon ami*?

– Nie.

– A ja tak. Spędziłem w Afryce dwa lata, przemierzając ją z jednego krańca na drugi – odparł doktor. – W Europie mało się wie o tym olbrzymim i zróżnicowanym obszarze. Kiedy my, Europejczycy, mieszkaliśmy w jaskiniach odziani w skóry, w Afryce istniała już rozwinięta cywilizacja. Zgodzę się z panem, że pod jednym względem biała rasa przewyższa inne: jesteśmy bardziej agresywni i chciwi. To

tłumaczy naszą potęgę i zasięg naszych imperiów.

– Na długo zanim Europejczycy dotarli do Afryki, czarni niewolili się nawzajem i nadal to robią – powiedział Valmorain.

– Tak samo jak biali niewolą jedni drugich, monsieur – odparował lekarz. – Nie wszyscy czarni są niewolnikami i nie wszyscy niewolnicy są czarni. Afryka to kontynent wolnych ludzi. Są miliony zniewolonych Afrykańczyków, ale dużo więcej cieszy się wolnością. Ich przeznaczeniem nie jest niewolnictwo, tak samo jak w przypadku tysięcy białych, którzy też są niewolnikami.

Rozumiem odrazę, jaką budzi w panu niewolnictwo, doktorze – powiedział Valmorain. – Mnie też pomysł, żeby zastąpić je innym systemem pracy, wydaje się nęcący, obawiam się jednak, że w niektórych przypadkach, na przykład na plantacjach, nie ma takiej możliwości. Światowa gospodarka opiera się na niewolnictwie, nie można go obalić.

– Na pewno nie z dnia na dzień, ale można by robić to stopniowo. Na Saint-Domingue dzieje się coś wręcz przeciwnego, tu liczba niewolników rośnie z roku na rok. Czy pan sobie wyobraża, co będzie, kiedy się zbuntują? – zapytał Parmentier.

– Jest pan pesymistą – skomentował jego rozmówca, dopijając resztkę alkoholu.

– Jakże miałbym nim nic być? Od dawna mieszkam na Saint-Domingue, monsieur, i szczerze mówiąc, mam tego dość. Widziałem potworne rzeczy. Nie trzeba daleko szukać; niedawno byłem w *habitation* Lacroix, gdzie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy kilku niewolników popełniło samobójstwo. Dwóch rzuciło się do kotła z wrzącą melasą. Musieli być bardzo zdesperowani.

– Nic tu pana nie zatrzymuje, doktorze. Z pańską licencją królewską może pan praktykować, gdzie zechce.

– Pewnie kiedyś wyjadę – odparł lekarz, Pomyślał, że nic może wspomnieć o jedynej przyczynie przemawiającej za pozostaniem na wyspie: Adèle i dzieciach.

– Ja również chcę zabrać rodzinę do Paryża – dodał Valmorain, choć wiedział, że to mało prawdopodobne.

Francja pogrążyła się w kryzysie. Tego roku zwołano Zgromadzenie Notablów, aby zobligować szlachtę i kler do płacenia podatków i wzięcia na siebie części obciążeń ekonomicznych, ale było to wołanie do głuchych. Valmorain obserwował z oddali, jak system polityczny ulega rozkładowi. To nie był dobry moment na powrót do Francji, poza tym nie mógł zostawić plantacji w rękach Prospera Cambraja. Nie ufał mu, ale go nie wyrzucał, bo przełożony nadzorców służył mu od lat – wymiana na kogoś innego byłaby gorsza od konieczności znoszenia jego osoby. Prawda (do której nigdy by się nie przyznał) była taka, że się go bał.

Doktor również dopił swój koniak, delektując się mrowieniem w podniebieniu i złudnym uczuciem błogości, które ogarnęło go na krótką chwilę. Pulsowały mu skronie; ból skoncentrował się w oczodołach. Przypomniawszy sobie słowa Séraphine, które podsłuchał w młynie, kiedy prosiła Tante Rose, żeby pomogła jej i jej nienarodzonemu dziecku przenieść się do świata zamieszkanego przez *les Morts* i *les Mystères*, z powrotem do Gwinei. „Nie mogę, *p'tite*”. Zadał sobie pytanie, co zrobiłaby ta kobieta, gdyby jego tam nie było. Może pomogłaby dziewczynie, nie bacząc na ryzyko, że drogo za to zapłaci, jeśli ktoś ją nakryje. „Są sposoby, żeby zrobić to dyskretnie”, pomyślał doktor bardzo zmęczony.

– Proszę wybaczyć, że nalegam, monsieur, ale wracając do naszej porannej rozmowy – pańska żona sądzi, że padła ofiarą vodou. Mówi, że niewolnicy rzucili na nią urok. Myślę, że możemy spożytkować tę obsesję dla jej dobra.

– Nie rozumiem pana – odparł Valmorain.

– Moglibyśmy ją przekonać, że Tante Rose potrafi odczyniać czarną magię. Nic nie tracimy, próbując.

– Przemyślę to, doktorze. Po porodzie zajmiemy się nerwami Eugenii – odparł z westchnieniem Valmorain.

W tym momencie na podwórzu mignęła sylwetka Tété, oświetlona blaskiem księżyca i pochodni, które zapalano na noc, by łatwiej można było pilnować terenu posiadłości. Obaj mężczyźni spojrzeli na niewolnicę. Valmorain przywołał ją gwizdnięciem i chwilę później pojawiła się na galerii, stąpając cicho i lekko jak kot. Miała na sobie spódnicę, którą wyrzuciła pani, spłowiałą i pocerowaną, ale starannej roboty, i wymyślny, kilkakrotnie wiązany turban dodający jej dobrą piędź wzrostu. Była smukła, miała wydatne kości policzkowe, oczy w kształcie migdałów o nieruchomych powiekach i błyszczących złociście źrenicach, naturalny wdzięk i precyzyjne, płynne ruchy. Emanowała z niej potężna energia, którą doktor czuł na swojej skórze. Domyślał się, że pod tą ascetyczną powierzchownością kryje się trzymana w ryzach siła przyczajonego drapieźnika. Valmorain wskazał na szklaneczkę, dziewczyna poszła do kredensu w jadalni, wróciła z butelką i nalała obu koniaku.

– Jak się czuje madame? – zapytał Valmorain.

– Jest spokojna, panie – odparła i cofnęła się, chcąc odejść.

– Zaczekaj, Tété. Zobaczymy, czy pomożesz nam rozstrzygnąć pewną wątpliwość. Doktor Parmentier uważa, że czarni są takimi samymi ludźmi jak biali, ja twierdzę, że jest na odwrót. Co ty o tym myślisz? – zapytał Valmorain tonem, który doktorowi wydał się bardziej ojcowski niż sarkastyczny.

Trwała w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w ziemię i złożonymi rękoma.

– No, dalej, Tété, nie bój się odpowiedzieć. Czekam...

– Pan zawsze ma rację – mruknęła w końcu.

– To znaczy, że twoim zdaniem czarni nie są w pełni ludźmi...

– Istota, która nie jest człowiekiem, nie może mieć zdania, panie.

Doktor Parmentier nie mógł powstrzymać się od spontanicznego wybuchu śmiechu; po krótkiej chwili wahania zaśmiał się również Toulouse Valmorain. Ruchem ręki odesłał niewolnicę, która rozplynęła się w ciemności.



## Zarité

Następnego dnia wczesnym popołudniem doña Eugenia wydała na świat dziecko. Poszło szybko, choć nie współpracowała aż do ostatniej chwili. Lekarz siedział obok na krześle i przyglądał się, ho – jak powiedział – odbieranie porodów nie jest zajęciem dla mężczyzn. Pan Valmorain uważa, że licencja lekarska z królewską pieczęcią jest więcej warta niż doświadczenie, i nie chciał wezwać Tante Rose. Była najlepszą akuszerką na północy wyspy i nawet białe kobiety zwracały się do niej, kiedy nadchodził ich czas. Podtrzymywałam moją panią, odświeżałam jej twarz, modliłam się z nią po hiszpańsku i podawałam cudowną wodę przyslaną z Kuby. Doktor słyszał wyraźne uderzenia serca dziecka, było gotowe do przyjścia na świat, ale doña Eugenia odmawiała współpracy. Wyjaśniłam mu, że moja pani urodzi zombi i że Baron Samedi przybył, aby je zabrać, a on zaczął śmiać się tak serdecznie, że z oczu popłynęły mu łzy. Ten biały od lat uczył się vodou, wiedział, że Baron Samedi jest sługą i towarzyszem Gede, loa świata zmarłych, więc nie wiem, co go tak rozśmieszyło. „Co za niedorzeczny pomysł! Nie widzę żadnego barona!” Baron nie ukazuje się tym, którzy go nie szanują. Doktor szybko zrozumiał, że nie ma powodu do śmiechu, bo doña Eugenia była bardzo niespokojna. Posłał mnie po Tante Rose. W salonie zastałam pana, który siedział w fotelu, senny po wypiciu kilku szklaneczek koniaku; pozwolił mi zawołać moją opiekunkę; szybko po nią pobiegłam. Czekająca na mnie gotowa do wyjścia, w białej sukni obrzędowej, z torbą, naszyjnikami i assonem. Nie zadając pytań, skierowała się w stronę dworu, wspięła na galerię i weszła drzwiami dla niewolników. Aby dostać się do pokoju doñi Eugenii, musiała przejść przez salon; stukanie jej laski o drewnianą podłogę obudziło pana. „Uważaj na to, co będziesz robić z madame”, powiedział przez nos, ale ona nie zwróciła na niego uwagi i poszła dalej. Pokonała po omacku korytarz i trafiła do pokoju, w którym często bywała, pielęgnując doñę Eugenię. Tym razem nie przychodziła jako uzdrowicielka, lecz jako mambo, by stawić czoło współnikowi Śmierci.

Stanąwszy w progu, Tante Rose zobaczyła Barona Samedi; wstrząsnął nią dreszcz, ale się nie cofnęła. Pozdrowiła go ukłonem, potrząsając grzechoczącym kosteczkami assonem, i poprosiła o zgodę na podejście do łóżka. Loa cmentarzy i „skrzyżowań”, z białą czaszką zamiast twarzy i w czarnym kapeluszu, odsunął się, zachęcając, by podeszła do doñi Eugenii, która łapała powietrze ustami jak ryba, mokra, z przerażonymi, zaczerwienionymi oczami, walcząc z własnym ciałem, które starało się uwolnić dziecko, ona zaś z całej siły ścisnęła nogi, aby je zatrzymać. Tante Rose założyła jej na szyję jeden ze swoich naszyjników z nasion i muszelek i wypowiedziała kilka słów pociechy, które powtórzyłam po hiszpańsku. Potem odwróciła się do Barona.

Doktor Parmentier patrzył zafascynowany, choć widział tylko to, co robiła Tante Rose, ja za to widziałam wszystko. Moja opiekunka zapaliła cygaro i potrząsnęła nim, wypełniając powietrze dymem, który utrudniał oddychanie, bo okno zawsze było zamknięte, żeby nie wpadały moskity. Potem obrysowała kredą łóżko i zaczęła okręzać je tanecznym krokiem, wskazując assonem cztery rogi. Kiedy już pozdrowiła duchy, wyjęła z torby różne święte przedmioty, zrobiła z nich ołtarzyk, złożyła ofiary z rumu i kamyczków i w końcu usiadła w nogach łóżka, gotowa do negocjacji z Baronem. Przez dłuższy czas, nie zwracając na nic uwagi, targowali się w języku créole, a robili to tak niezrozumiale i szybko, że niewiele mogłam pojąć, choć kilka razy usłyszałam imię Séraphine. Kłócili się, złościли, śmieli, ona paliła cygaro i wydmuchiwała dym, który on połykał haustami. Trwało to długo i doktor Parmentier zaczął już tracić cierpliwość. Próbował otworzyć okno, ale zacięło się, bo dawno go nie używano. Kaszląc i łzawiąc z powodu dymu, zbadał puls doñi Eugenii, jakby nie wiedział, że dzieci wychodzą dołem, bardzo daleko od nadgarstka.

Wreszcie Tante Rose doszła z Baronem do porozumienia. Podeszła do drzwi i głębokim ukłonem po-

żegnała loa, który oddalił się w żabich podskokach. Tante Rose wyjaśniła pani sytuację: to, co ma w brzuchu, nie jest mięsem cmentarnym, lecz normalnym dzieckiem, którego Baron Samedi nie zabierze. Doña Eugenia przestała stawiać opór, zebrała się w sobie, zaczęła przeczyć ze wszystkich sił i wkrótce strumień żółtawego płynu i krwi poplamiał pościel. Kiedy wychyliła się główka dziecka, moja opiekunka złapała ją delikatnie i pomogła wydostać się reszcie ciała. Podała mi noworodka i oznajmiła matce, że to chłopczyk, ale ona nie chciała nawet na niego spojrzeć, odwróciła głowę do ściany i wyczerpana zamknęła oczy. Przycisnęłam dziecko do piersi, trzymając mocno, ho pokrywało je coś tłustego i śliskiego. Miałam pewność, że to ja będę musiała je kochać, jakby było moje, i teraz, po tylu latach i tak wielkiej miłości, wiem, że się nie myliłam. Zaczęłam płakać.

Tante Rose zaczęła, aż pani wydali z siebie to, co miała w środku, obmyła ją, potem jednym haustem wypła ofiarny rum z ołtarzyka, schowała swoje rzeczy do torby i wyszła z pokoju, podpierając się kijem. Doktor zapisywał coś szybko w swoim zeszycie, a ja ciągle płakałam, myjąc dziecko, leciutkie jak kodak. Owinęłam je w chustę, którą popołudniami tkałam na galerii, i zaniostałam ojcu, żeby je zobaczył, ale pan miał w sobie tyle koniaku, że nie mogłam go dobudzić. W korytarzu czekała już niewolnica z nabrzmiałymi piersiami, świeżo umyta, z głową ogoloną na wypadek wszy, która swoim mlekiem miała karmić we dworze dziecko państwa, podczas kiedy jej własne chowało się wśród czarnych żywione wodą ryżową. Żadna biała nie karmi piersią swoich dzieci, tak wtedy myślałam. Kobieta usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, rozpięła bluzkę i wzięta w ramiona chłopczyka, który przyssał się do jej piersi. Czułam, jak pali mnie skóra i twardnieją sutki: moje ciało było gotowe na to dziecko.

W tym samym czasie Séraphine umarła samotnie w chacie Tante Rose. Nie zdawała sobie z niczego sprawy, ho spała. Tak było.

## Konkubina

Nazwali go Maurice. Jego ojciec był do głębi poruszony tym niespodziewanym darem niebios, który pojawił się, by pomóc mu zwalczyć samotność, i pobudził jego ambicję. Ten syn miał przedłużyć dynastię Valmorainów. Ogłoszono dzień wolny; nikt nie pracował na plantacji. Ojciec kazał upiec na rożnie kilka sztuk zwierząt i przydzielił Tante Mathilde trzech pomocników, aby dla nikogo nie zabrakło gotowanej w pikantnym rosole kukurydzy ani różnorodnych warzyw i ciast. Zezwolił na calendę na podwórku przed dworem, który wypełnił się gwarnym tłumem. Niewolnicy wystroili się w to, co mieli – kolorowe szmaty, naszyjniki z muszli, kwiaty – przynieśli swoje bębny i zaimprovizowane instrumenty. Po chwili rozległa się muzyka, a ludzie zaczęli tańczyć pod szyderczym spojrzeniem Cambraya. Pan polecił rozdzielić zawartość dwóch beczek tafii, każdy niewolnik dostał do swojej tytkwy pokaźną porcję, by mógł wznieść toast. Kiedy Tété pojawiła się na galerii z dzieckiem zawiniętym w mantylkę, ojciec wziął je, uniósł ponad głowę i pokazał niewolnikom. „Oto mój dziedzic! Będzie się nazywał Maurice Valmorain, jak mój ojciec!”, zawołał zachrypniętym ze wzruszenia głosem, wciąż trochę rozbity po pijaństwie z poprzedniego wieczora. Po tych słowach zaległa cisza, głęboka niczym dno morza. Nawet Cambray się przestraszył. Nieświadom niczego biały popełnił straszliwe głupstwo: dał swojemu synowi imię zmarłego dziadka, który na to wezwanie mógł wyjść z grobu, porwać wnuka i zabrać go do świata zmarłych. Valmorain uznał, że cisza jest wyrazem szacunku; polecił rozlać drugą kolejkę tafii i kontynuować zabawę. Tété odebrała noworodka i uciekła, zwilżając mu po drodze twarz dużą ilością śliny, by uchronić go przed nieszczęściem, jakie mogła spowodować nieostrożność ojca.

Następnego dnia, kiedy służący w domu niewolnicy sprząтали resztki po urządzonym na podwórku karnawale, a pozostali pracowali na polach trzciny, doktor Parmentier czynił pospieszne przygotowania do wyjazdu, Mały Maurice ssał pierś mamki jak cielę, a Eugenia nie miała objawów zgubnej gorączki połogowej. Zgodnie z zaleceniem Tante Rose Tété natarła jej piersi tłuszczem wymieszanim z miodem i obwiązała czerwonym płótnem, aby mleko wyschło, zanim zacznie płynąć. Na nocnym stoliku Eugonii stały w szeregu buteleczki z kroplami na sen, lekami na duszność i syropami na łęki; nic z tego nie mogło jej uzdrowić, jak przyznał sam doktor, ale czyniło znośniejszą jej egzystencję. Hiszpanka wyglądała jak cień, miała popielatą skórę i wymizerowaną twarz, bardziej z powodu opium niż z braku równowagi umysłowej. Lekarz wytłumaczył Valmorainowi, że Maurice ucierpiał w brzuchu matki na skutek zażywania narkotyku, dlatego urodził się taki mały i delikatny, z pewnością będzie chorowity, potrzebuje powietrza, słońca i dobrego odżywiania. Kazał dawać mamce codziennie trzy surowe jajka na wzbogacenie mleka. „Teraz pani i dziecko są pod twoją opieką, Tété. Nie mogli trafić w lepsze ręce”, dodał. Toulouse Valmorain hojnie zapłacił doktorowi za jego usługi; żał mu było się z nim żegnać, albowiem darzył szczerym szacunkiem tego światłego, dobrego z natury mężczyznę, z którym spędzał długie wieczory w Saint-Lazare na niezliczonych partyjkach kart. Będzie mu brakowało rozmów, zwłaszcza tych, kiedy się ze sobą nie zgadzali, bo zmuszały go do ćwiczenia zapomnianej sztuki, jaką jest argumentowanie dla czystej przyjemności. Wyznaczył dwóch uzbrojonych nadzorców, którzy mieli towarzyszyć lekarzowi w drodze powrotnej do Le Cap.

Parmentier pakował właśnie kufry, czego nigdy nie powierzał niewolnikom, był bowiem bardzo drobiazgowy, jeśli chodziło o jego własność, kiedy Tété zapukała dyskretnie do drzwi i spytała cienkim głosem, czy może zamienić z nim słowo na osobności. Parmentier często z nią przebywał, korzystał z jej pomocy, aby porozumieć się z Eugenią, która zdawała się nie pamiętać francuskiego, i z niewolnikami, zwłaszcza z Tante Rose. Jesteś bardzo dobrą pielęgniarką, Tété, ale nie traktuj swojej pani, jakby była kaleką, musi zacząć sama o siebie dbać”, ostrzegł, kiedy zobaczył, jak wkłada jej do ust łyżkę z kaszką, i dowiedział się, że sadzają na nocniku i wyciera tyłek, żeby nie pobrudziła się, gdy wstanie. Dziewczyna odpowiadała na jego pytania precyzyjnie, poprawną francuszczyzną, ale sama nigdy nie

inicjowała rozmowy ani nie spoglądała mu w oczy, dzięki czemu mógł się jej do woli przyglądać. Musiała mieć około siedemnastu lat, choć jej ciało wydawało się należeć nie do dorastającej nastolatki, ale do kobiety. Podczas jednego ze wspólnych polowań Valmorain opowiedział mu jej historię. Wiedział, że kiedy matka niewolnicy przybyła na wyspę, była w ciąży, i że kupił ją jakiś *affranchi*, handlarz koni z Le Cap. Kobieta próbowała doprowadzić do poronienia, za co dostała więcej batów, niż każda inna w tym stanie mogłaby wytrzymać, ale dziecko w jej brzuchu zawzięło się i przyszło na świat zdrowe we właściwym czasie. Kiedy mogła się już podnosić, próbowała roztrzaskać noworodka o ziemię, ale w porę go jej odebrano. Wyznaczona niewolnica pielęgnowała ją przez kilka tygodni, aż wreszcie jej pan postanowił spłacić dzieckiem dług karciany pewnemu francuskiemu urzędnikowi, nazwiskiem Pascal, ale o tym matka już się nie dowiedziała, bo wcześniej skoczyła z balustrady do morza. Valmorain powiedział lekarzowi, że kupił Tété swojej żonie jako służącą i dobrze na tym wyszedł, bo dziewczyna ostatecznie i posługiwała przy chorej, i pełniła rolę ochmistrzyni. Wyglądało na to, że teraz będzie również nianią Maurice'a.

– O co chodzi, Tété? – zapytał lekarz, układając ostrożnie swoje cenne narzędzia ze srebra i brązu w skrzyneczce z gładkiego drewna.

Zamknąwszy za sobą drzwi, opowiedziała mu w krótkich słowach, zachowując kamienną twarz, że jest matką niewiele ponad rocznego dziecka, które widziała tylko przez moment, w chwili jego narodzin. Parmentier miał wrażenie, że kobiecie lamie się głos, ale kiedy znowu przemówiła, by wyjaśnić, że chłopca urodziła, podczas gdy pani wypoczywała w jakimś klasztorze na Kubie, jej ton był tak samo obojętny jak przedtem.

– Pan zabronił mi wspominać o dziecku. Doña Eugenia o niczym nic wie – powiedziała na koniec.

– Monsieur Valmorain dobrze zrobił. Jego żona nie mogła mieć dzieci i bardzo się denerwowała na ich widok. Ktoś jeszcze wie o twoim dziecku?

– Tylko Tante Rose. Myślę, że przełożony nadzorców coś podejrzewa, ale nie udało mu się tego potwierdzić.

– Teraz, kiedy madame ma własnego synka, sytuacja się zmieniła. Z pewnością pan zechce odzyskać twoje dziecko, Tété. W końcu jest jego własnością, nieprawdaż? – skomentował Parmentier.

– Tak, jest jego własnością. I jego synem.

„Jak mogło nie przyjść mi do głowy coś tak oczywistego!”, pomyślał lekarz. Nie zauważył najmniejszej oznaki zażyłości między Valmorainem a niewolnicą, ale można było się spodziewać, że mając żonę w takim stanie, będzie szukał pociechy u każdej kobiety, która się nawinie. Tété była bardzo atrakcyjna, miała w sobie coś tajemniczego i zmysłowego. „Kobiety takie jak ona to szlachetne kamienie, które tylko wprawne oko potrafi dostrzec pośród odłamków skat”, pomyślał. Są jak zamknięte szkatuły, a kochanek musi otwierać je powoli, żeby odkryć ich tajemnice. Każdy mężczyzna czułby się szczęśliwy, gdyby obdarzyła go uczuciem, ale wątpił, czy Valmorain potrafił to docenić. Z nostalgią wspomniawszy swoją Adèle. Ona też była jak nieoszlifowany diament. Dała mu trójkę dzieci i przez wiele lat towarzyszyła w sposób tak dyskretny, że nigdy nie musiał się tłumaczyć przed ludźmi o ciasnych horyzontach, wśród których prowadził praktykę. Gdyby biali wiedzieli, że ma kolorową konkubinę i dzieci, odtrąciliby go, natomiast całkiem naturalnie traktowali plotki, że jest homoseksualistą, dlatego trwa w kawalerskim stanie i często przepada w dzielnicach zamieszkiwanych przez *affranchis*, gdzie alfonsi oferowali chłopców, zmuszanych spełniać każdą zachciankę. Miłość do Adèle i dzieci była powodem, dla którego nie mógł wrócić do Francji, mimo że tak bardzo chciał opuścić wyspę. „A więc mały Maurice ma brata... W moim zawodzie człowiek dowiaduje się tylu rzeczy”, zamruczał pod nosem. Valmorain wysłał żonę na Kubę nie po to, żeby odzyskała zdrowie, jak oznajmił, ale żeby ukryć przed nią, co działo się w ich własnym domu. Po co to udawanie? Takie przypadki zdarzały się nagminnie i powszechnie je akceptowano, wyspa była pełna bękartów rasy mieszanej, wydawało mu się, że nawet pośród niewolników w Saint-Lazare widział dwa Mulaciątka. Istniało tylko jedno wytłumaczenie: Eugenia nie zniosła-

by, że mąż sypia z Tété, jedyną kotwicą w odmętach jej szaleństwa. Valmorain musiał się domyślać, że to by ją w końcu zabiło, a nie miał w sobie tyle cynizmu, by uznać, że tak naprawdę lepiej byłoby dla jego żony, gdyby umarła. „Zresztą, to nie moja sprawa”, uznał lekarz. Valmorain miał zapewne swoje powody, nie jego rzeczą było je zgłębiać, poczuł jednak ciekawość, czy sprzedał dziecko, czy też chodziło mu tylko o utrzymanie go z daleka przez jakiś rozsądny czas.

– A cóż ja mogę zrobić, Tété? – zapytał Parmentier.

– Proszę, doktorze, czy może pan zapytać monsieur Valmoraina? Muszę wiedzieć, czy moje dziecko żyje, czyje sprzedał i komu...

– Nie mogę zrobić czegoś takiego, to byłaby niezręczność. Na twoim miejscu przestałbym o nim myśleć.

– Tak, panie doktorze – odpowiedziała prawie niesłyszalnie.

– Nie martw się, jestem pewien, że trafił w dobre ręce – dodał zawstydzony.

Tété wyszła z pokoju, zamykając cichutko drzwi.

Narodziny Maurice’a zburzyły domową rutynę. Kiedy pani budziła się spokojna, Tété ubierała ją, wyprowadzała, żeby pochodziła chwilkę po podwórzu, a potem sadzała na galerii, z Maurice’em w kołysce. Gdyby nie okrywające ich moskitiery, z daleka Eugenia wyglądałaby jak normalna matka, czuwająca nad snem swojego dziecka, ale wystarczyło podejść, by złudzenie prysło na widok nieobecnego wyrazu jej twarzy. Kilka tygodni po porodzie przeszła kolejny atak i nie chciała już wychodzić na dwór, przekonana, że niewolnicy śledzą każdy jej krok, by ją zabić. Spędzała dzień w swoim pokoju, w stanie, który oscylował między oszołomieniem wywołanym laudanum a majaczeniem z powodu obłądzenia, tak zagubiona, że rzadko kiedy pamiętała o synu. Nigdy nie zapytała, jak go karmiono, i nikt jej nie powiedział, że Maurice chowa się uczepiony sutka Afrykanki, bo uznałaby, że ssie zatrute mleko. Valmorain żywił nadzieję, że nieubłagany instynkt macierzyński, przenikający jej kości i serce niczym oczyszczający od środka podmuch wiatru, przywróci żonie rozum, ale kiedy zobaczył, że potrząsa Maurice’em jak kukłą, by go uciszyć, co groziło mu skrzywieniem karku, zrozumiał, iż największym zagrożeniem dla dziecka jest jego własna matka. Wyrwał jej syna i nie mogąc się pohamować, wymierzył żonie policzek, po którym upadła na plecy. Nigdy wcześniej nie uderzył Eugenie i sam był zdziwiony swoją brutalnością. Pani płakała, nie rozumiejąc, co się stało. Tété pomogła jej wstać, położyła ją do łóżka i wyszła przygotować napar kojący nerwy. W pół drogi natknęła się na Valmoraina, który podał jej dziecko.

– Od tej chwili ty będziesz zajmować się moim synem. Jeśli mu się coś stanie, drogo za to zapłacisz. Nie pozwól, żeby Eugenia kiedykolwiek go dotknęła! – ryknął.

– A co zrobię, jeśli pani poprosi o swoje dziecko? – zapytała Tété, przyciskając malutkiego Maurice’a do piersi.

– Nie obchodzi mnie, co zrobisz! Maurice jest moim jedynym synem i nie pozwolę, żeby ta wariatka zrobiła mu krzywdę.

Tété wypełniała polecenie połowicznie. Zanosila dziecko Eugenie i na krótką chwilę dawała do potrzymania, nie spuszczała jej z oka. Matka nieruchomiała z zawiniątkiem na kolanach, patrząc na nie z wyrazem zdumienia, które szybko ustępowało miejsca zniecierpliwieniu. Po chwili zwracała je Tété, a jej myśli zaczynały błądzić gdzie indziej. Tante Rose wpadła na pomysł, by w chustę Maurice’a zawinąć szmacianą lalkę. Stwierdziły, że matka nie zauważa różnicy, mogły więc coraz rzadziej do niej przychodzić z dzieckiem, aż w końcu w ogóle przestały to robić. Przeniosły Maurice’a do innego pokoju, gdzie spał ze swoją mamką, a w ciągu dnia Tété wieszala go sobie na plecach zawiniętego w trójkątą chustę, jak robiły to Afrykanki. Jeśli Valmorain był w domu, kładła dziecko do kołyski w salonie lub na galerii, żeby mógł na nie patrzeć. Zapach Tété był jedynym, który Maurice rozpoznawał w ciągu pierwszych miesięcy swojego życia. Mamka musiała wkładać noszoną przez nią bluzkę, żeby dziecko zechciało ssać jej piersi.

W drugim tygodniu lipca Eugenia wyszła z domu przed świtem. Była boso, w koszuli nocnej.

Chwiejnym krokiem udała się w stronę rzeki prowadzącą z dworu główną aleją wysadzaną palmami kokosowymi. Tété podniosła alarm; natychmiast utworzono ekipy poszukiwaczy, które przyłączyły się do patroli pilnujących posiadłości. Trop doprowadził psy gończe do rzeki, gdzie znaleźli panią po szyję w wodzie, przyklejoną stopami do błotnistego dna. Nikt nie był w stanie zrozumieć, jak zdołała dotrzeć tak daleko, bała się przecież ciemności. Nocami jej opętańcze wycie straszło niewolników, bo słychać je było nawet w ich chatach. Valmorain doszedł do wniosku, że Tété nie podaje jej dostatecznej ilości kropli z niebieskiej buteleczki, bo nie uciekłyby, gdyby znajdowała się pod wpływem narkotyku, i pierwszy raz zagroził dziewczynie chłostą. Kilka dni czekała przerażona na karę, ale pan nigdy nie wydał takiego rozkazu.

Wkrótce Eugenia całkowicie straciła kontakt ze światem; tolerowała tylko Tété, która w nocy spała obok niej zwinięta w kłębek na podłodze, gotowa uwalniać ją od koszmarów. Kiedy Valmorain miał ochotę na niewolnicę, sygnalizował to podczas kolacji. Tété czekała, aż chora zaśnie, potem chyłkiem przekradała się do głównej sypialni, po drugiej stronie domu. To w czasie jednej z takich nocy Eugenia obudziła się sama w pokoju i uciekła nad rzekę; może dlatego mąż nie ukarał dziewczyny za jej uchybienie. O nocnych uściskach pana i niewolnicy za zamkniętymi drzwiami, w małżeńskim łóżu wybranym lata temu przez Violette Boisier, nigdy nie wspominało przy świetle dziennym; istniały wyłącznie w sferze snów. Przy drugiej próbie samobójstwa Eugenii, tym razem przez podłożenie ognia, który o mały włos nie zniszczył całego domu, sytuacja stała się jasna i nikt nie usiłował już zachowywać pozorów. Wszyscy dowiedzieli się, że madame Valmorain jest nie zrównoważona, i mało kto wyraził zdziwienie, bo od lat krążyły plotki, że Hiszpanka pochodzi z rodziny skończonych wariatek. Zresztą nie było nic osobliwego w tym, że przybyłe z zewnątrz białe kobiety dostawały w kolonii pomieszania zmysłów. Mężowie wsadzali je na statek, by wróciły do zdrowia w innym klimacie, sami zaś szukali pociechy u dziewcząt, których duży wybór – we wszystkich odcieniach skóry – oferowała wyspa. Kretolki natomiast rozkwitały w tej dekadentckiej atmosferze, która pozwalała ulegać wszelkim pokusom bez ponoszenia konsekwencji. W przypadku Eugenii było już za późno, aby ją gdziekolwiek wysłać, chyba że do zakładu dla obłąkanych, ale Valmorain nigdy nie brał pod uwagę takiej możliwości; był na to zbyt odpowiedzialny i dumny: brudy pierze się we własnym domu. Jego dwór miał wiele sypialni, salon, jadalnię, biuro i dwie piwnice, mógł więc całymi tygodniami nie oglądać żony. Powierzył ją opiece Tété, a sam oddał się bez reszty synowi. Nigdy nie przypuszczał, że można tak bardzo kogoś kochać, bardziej niż wszystkich tych, których dotąd darzył miłością razem wziętych, bardziej niż siebie samego. Żadne uczucie nie przypominało tego, które budził w nim Maurice. Mógł patrzeć na niego całymi godzinami, łapał się na tym, że ciągle o nim myśli, a kiedyś nawet zawrócił w połowie drogi do Le Cap i przyjechał galopem ze strasznym przecuciem, że jego synowi przytrafiło się coś złego. Ulga, którą poczuł, kiedy stwierdził, że to nieprawda, była tak wyczerpująca, że się rozplakał. Siadał w fotelu z dzieckiem na rękę, czując słodki ciężar jego głowy na ramieniu i ciepły oddech na szyi, i wdychał zapach skwaszonego mleka i dziecięcego potu. Drżał na myśl o wypadkach lub zarazach, które mogły mu go wydrzeć – połowa dzieci na Saint-Domingue umierała, zanim dożyła pięciu lat; zawsze były pierwszymi ofiarami każdej epidemii. Nie wspominając już o tak mało realnych zagrożeniach jak kłątwy, z których on sam niby to kpił, czy powstanie niewolników, w którym mieliby zginąć wszyscy biali bez wyjątku, jak przepowiadała przez całe lata Eugenia.

## Niewolnica na zawołanie

Dla Valmoraina choroba umysłowa żony stanowiła dogodny pretekst, aby unikać życia towarzyskiego, które go nudziło, więc trzy lata po narodzinach syna żył już jak zesłaniec. Interesy zmuszały go do wizyt w Le Cap i od czasu do czasu na Kubie, ale podróżowanie było niebezpieczne z powodu licznych band Murzynów, które schodziły z gór i siały spustoszenie na drogach. Śmierć marronów spalonych w 1780 roku i w latach późniejszych nie zdołała zniechęcić niewolników do ucieczek, a zbiegów do napadania na plantacje i na podróżnych. Valmorain wolał siedzieć w Saint-Lazare. „Nikogo nie potrzebuję”, powtarzał sobie z przekorną dumą samotnika z powołania. W miarę upływu lat czuł się coraz bardziej rozczarowany ludźmi; wszyscy – z wyjątkiem doktora Parmentiera – wydawali mu się głupi lub sprzedajni. Utrzymywał tylko kontakty handlowe ze swoim żydowskim agentem w Le Cap i z bankierem na Kubie. Drugim wyjątkiem poza Parmentierem był jego szwagier Sancho Garda del Solar, z którym prowadził ożywioną korespondencję, widywali się jednak bardzo rzadko. Sancho go bawił, a interesy, które wspólnie prowadzili, okazały się dochodowe dla obojgu. Zadowolony Sancho twierdził, że to prawdziwy cud, bo jemu samemu nigdy nic się nie udawało, dopóki nie poznał Valmoraina. „Bądź przygotowany, szwagrze, że któregoś dnia doprowadzę cię do ruiny”, żartował, ale nadal pożyczzał od niego pieniądze, a po jakimś czasie zwracał je z nawiązką.

Tété zarządzała niewolnikami służącymi w domu, traktując ich życzliwie, acz stanowczo, i minimalizowała problemy, by uniknąć ingerencji pana. Wydawało się, że jej szczupła postać pojawia się we wszystkich miejscach równocześnie, odziana w ciemną spódnicę, perkalową bluzkę i nakrochmalony *tignon* na głowie, z kluczami pobrzękującymi u pasa i ciężkim Maurice'em siedzącym okrakiem na jej biodrze albo uczeponym spódnicy, kiedy umiał już chodzić. Nic nie umykało jej uwadze, pamiętała o wydaniu poleceń dotyczących kuchni, o wybieleniu pościeli, o sprawdzeniu, czy szwaczki szyją równym ścięciem, o najpilniejszych potrzebach pana czy dziecka. Potrafiła dzielić się odpowiedzialnością. Niewolnicę, która przestała być przydatna na polu trzciny, przyuczyła, by pomagała jej przy Eugonii. Od tej chwili nie musiała już spać w pokoju Hiszpanki. Kobieta dotrzymywała pani towarzystwa, ale to Tété podawała Eugonii leki i myła chorą, bo ta nie pozwalała się nikomu dotykać. Jedyną rzeczą, której nie powierzała innym, była opieka nad Maurice'em. Z matczynym zapatrzeniem wielbiła tego grymasnego, delikatnego i uczuciowego malca. Dzieliła z nim pokój, ponieważ mamka dawno już wróciła na uliczkę niewolników. Kładła się na sienniku na podłodze, a Maurice, który nie chciał spać w swojej kołyszce, kulił się obok, wtulony w jej duże, ciepłe ciało, w jej bujne piersi. Czasami budził ją oddech dziecka, wtedy głaskała je w ciemności rozczulona do łez jego zapachem, potarganymi lokami, zwisającymi bezwładnie rączkami, ciałem pogrążonym we śnie, myśląc o własnym synku i o tym, czy jest ktoś, kto darzyłby go taką samą czułością. Ofiarowała Maurice'owi wszystko, czego nie mogła dać mu Eugenia: opowieści, piosenki, śmiech, pocałunki, ale od czasu do czasu dostawał od niej po głowie, żeby był posłuszny. W tych rzadkich momentach, kiedy się na niego złościła, chłopczyk padał twarzą ku ziemi, wierzgając nogami i grożąc, że poskarży się ojcu. Nigdy jednak tego nie zrobił, bo w jakiś sposób wyczuwał, że miałoby to poważne konsekwencje dla kobiety, która była całym jego światem.

Prosperowi Cambrayowi nie udało się narzucić terroru służbie domowej, albowiem między małym terytorium Tété a resztą plantacji powstała niewidzialna granica. Jej część funkcjonowała jak szkoła, jego – jak więzienie. W domu każdy niewolnik miał przypisane konkretne prace, które były wykonywane płynnie i spokojnie. Na polach trzciny ludzie poruszali się w szeregach, pod zawsze czujnym batem *commandeurs*, słuchali bez szemrania i nieustannie mieli się na baczności, bo za najmniejsze uchybienie płacili własną krew. Cambray osobiście pilnował dyscypliny. Valmorain nie podnosił ręki na niewolników, uważał to za poniżające, ale był obecny przy wymierzaniu kar, żeby budować w ten sposób swój autorytet i mieć pewność, że przełożony nadzorców nie przebiera miary. Publicznie nigdy nie robił

mu wymówek, ale sama jego obecność przy słupie tortur wymuszała pewien umiar. Dom i pola stanowiły dwa różne światy, jednak Tété i Cambray wpadali na siebie przy różnych okazjach, a wtedy czuło się, jak w powietrzu wzbiera energia, grożąc w każdej chwili wyładowaniem. Przełożony nadzorców szukał takich okazji, podniecony ewidentną pogardą, jaką okazywała mu dziewczyna, ona zaś unikała go, zaniepokojona jego bezczelną pożądlivością. „Jeśli Cambray pozwoli sobie wobec ciebie na zbyt wiele, chcę o tym natychmiast wiedzieć, rozumiałaś?”, przypominał od czasu do czasu Valmorain, ale ona zawsze udawała, że nie wie, o co chodzi; wołała nie prowokować gniewu przełożonego nadzorców.

Na rozkaz pana, który nie chciał, by Maurice nauczył się *parler nèg*, mówić po murzyńsku, w domu Tété zawsze używała francuskiego. Z resztą ludzi na plantacji porozumiewała się w języku *créole*, a z Eugenią w języku hiszpańskim, którego znajomość ograniczyła się u niej ostatecznie do kilku niezbędnych słów. Chora była pogrążona w tak uporczywej melancholii i w tak całkowitym zubożeniu zmysłów, że gdyby Tété nie karmiła jej i nie myła, Eugenia osłabłaby z głodu i zarosła brudem jak świnia; gdyby nie zmuszała do ruchu i zmiany pozycji, pozrastałyby jej się kości, a gdyby nie zachęcała do rozmowy, straciłaby zdolność mówienia. Nie miała już napadów paniki, spędzała całe dni w fotelu, w stanie lunatycznym, ze wzrokiem wbitym w jeden punkt, jak duża lalka. Odmawiała jeszcze różaniec, który zawsze nosiła przy sobie w skórzanym woreczku zawieszonym na szyi, ale nie zwracała uwagi na słowa. „Kiedy umrę, ty weźmiesz mój różaniec; nie pozwól, by ktokolwiek ci go odebrał, bo został poświęcony przez papieża”, mawiała, zwracając się do Tété. W rzadkich chwilach przytomności umysłu modliła się, aby Bóg zabrał ją do siebie. Zdaniem Tante Rose jej *ti-bon-ange* utknął na tym świecie i potrzebna była specjalna „usługa”, by go uwolnić, nic bolesnego ani skomplikowanego, ale Tété nie mogła się zdecydować na tak ostateczne rozwiązanie. Chciała pomóc swojej nieszczęsnej pani, ale odpowiedzialność za jej śmierć byłaby nieznośnym ciężarem, nawet gdyby miała ją dzielić z Tante Rose. Może *ti-bon-ange* dońi Eugonii miał jeszcze coś do zrobienia w jej ciele; należało dać mu czas, by sam powoli odszedł.

Toulouse Valmorain często narzucał się Tété ze swoimi uściskami, bardziej z nawyku niż z czułości czy pożądania, bez palącej potrzeby, którą odczuwał w czasach, kiedy ona osiągnęła dojrzałość, a on dał się porwać niespodziewanej namiętności. Jedynie obłąd tłumaczył, że Eugenia nie zdała sobie sprawy z tego, co dzieje się na jej oczach. „Pani coś podejrzewa, ale co ma zrobić? Nie może temu przeszkodzić”, uznała Tante Rose, jedyna osoba, której Tété odważyła się zwierzyć, kiedy zaszła w ciążę. Bała się reakcji pani, kiedy brzuch stanie się widoczny, ale zanim do tego doszło, Valmorain wywiózł żonę na Kubę, gdzie chętnie zostawiłby ją na zawsze, gdyby zakonnice z klasztoru zgodziły się nią zająć. Kiedy przywiózł ją z powrotem na plantację, noworodek Tété już zniknął, a Eugenia nigdy nie zapytała, dlaczego jej niewolnicy łyżeczą z oczu jak paciorki. Zmysłowość Valmoraina była zachłanna, a w łóżku – gorączkowa. Szukał zaspokojenia, nie tracąc czasu na wstępy. Tak jak mierzył go rytuał narzucany niegdyś przy stole przez Eugenię, którego elementami były długi obrus i srebrne kandelabry, tak samo bezużyteczna wydawała mu się gra miłosna.

Dla Tété stanowiło to jeszcze jeden, dodatkowy obowiązek; wypełniała go w parę minut, chyba że w jej pana wstępował diabeł, co nie zdarzało się często, ale zawsze budziło w niej strach. Była wdzięczna losowi, ponieważ Lacroix, właściciel plantacji sąsiadującej z Saint-Lazare, utrzymywał harem dziewczynek, przykutych łańcuchami w jednym z baraków, dla zaspokajania swoich fantazji przy udziale zapraszanych gości i kilku Murzynów, o których mawiał „moje żrebaki”. Valmorain tylko raz wziął udział w takim okrutnym wieczorku towarzyskim i wrócił tak wzburzony, że nigdy więcej tam nie poszedł. Nie miewał skrupułów, uważał jednak, że za podstawowe zbrodnie trzeba prędzej czy później zapłacić, i nie chciał znaleźć się w pobliżu Lacroix, kiedy temu przyjdzie odpowiadać za swoje winy. Byli przyjaciółmi, prowadzili wspólnie interesy, od hodowli zwierząt po najem niewolników do zbierania trzciny. Uczestniczył w organizowanych przez niego przyjęciach, rodeach i walkach zwierząt, ale zdecydował, że jego noga więcej nie postanie w tamtym baraku. Lacroix miał do niego absolutne zaufanie, powierzał



mu swoje oszczędności (zwykle zabezpieczone jedynie pokwitowaniem), aby Toulouse, kiedy płynął na Kubę, złożył pieniądze na sekretnym koncie, z dala od chciwych łap żony i krewnych. Valmorain musiał wykazać wiele taktu, odrzucając co raz zaproszenia do udziału w jego orgiach.

Tété nauczyła się ulegać mu z biernością owcy. Rozluźnione ciało nie stawiało oporu, a umysł i dusza błędziły gdzie indziej, dzięki czemu jej pan szybko kończył i natychmiast zapadał w kamienny sen. Wiedziała, że alkohol będzie sprzymierzeńcem, jeśli poda go w odpowiedniej ilości. Po jednym czy dwóch kieliszkach pana ogarniało podniecenie, przy trzecim musiała już uważać, bo stawał się brutalny, przy czwartym zaś zanurzał się w oparach odurzenia alkoholowego i jeśli zręcznie mu umykała, zasypiał, nim zdążył jej dotknąć.

Valmorain nigdy nie zastanawiał się, co czuła w czasie tych spotkań, tak jak nie przyszłoby mu do głowy spytać, co czuje koń, którego dosiada. Przyzwyczyił się do niej i rzadko szukał towarzystwa innych kobiet. Czasami budził się z mglistym uczuciem niepokoju, w pustym łożu, w którym pozostał jeszcze ledwo zauważalny ślad po ciepłym ciele Tété, i wtedy wspominał odległe noce z Violette Boisier albo miłostki z czasów młodości we Francji, jakby były udziałem innego mężczyzny, kogoś, kto puszcza wodze fantazji na widok kobiecej kostki i jest w stanie swawolić raz po raz z odnawianą werwą. Teraz było to dla niego nieosiągalne. Tété nie podniecała go już tak jak kiedyś, jednak nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby kimś ją zastąpić, bo czuł się przy niej dobrze, poza tym był człowiekiem o silnie zakorzenionych nawykach, Czasami dopadał z marszu jakąś młodą niewolnicę, ale wszystko ograniczało się do pospiesznego gwałtu, dającego mniej przyjemności niż lektura kolejnej strony czytanej właśnie książki. Brak pożądania przypisywał atakowi malarii, który niemal wyprawił go na tamten świat i po którym opadł z sił. Doktor Parmentier ostrzegał go przed skutkami picia alkoholu, równie zgubnego w tropikach jak febra, ale on nie pil za dużo, tego był pewien, tylko tyle, by zagłuszyć nudę i samotność. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że Tété skwapliwie napełnia jego kielich. Dawniej, gdy często bywał w Le Cap, korzystał? okazji, żeby zabawić się z jakąś modną kurtyzaną, jedną z tych ładniutkich *poules*, które na początku rozbudzały w nim namiętność, a potem zawodziły jego oczekiwania. W drodze obiecywał sobie przyjemności, których później nie pamiętał, po części dlatego, że w czasie takich podróży pil na umór. Płacił tym dziewczynom za to, co koniec końców robił z Tété, za to samo prymitywne obłapywanie, za ten sam pośpiech, po czym odchodził chwiejnym krokiem z poczuciem, że został oszukany. Z Violette byłoby inaczej, ale ona porzuciła swój zawód, odkąd zamieszkała z Relais'm. Valmorain wracał do Saint-Lazare przed czasem, myśląc o Maurisie, ogarnięty tęsknotą za bezpieczną rutyną dnia codziennego. „Robię się stary”, mruczał do siebie, studiując w lustrze swe oblicze, kiedy niewolnik golił mu brodę. Widział pajęczynę drobnych zmarszczek wokół oczu i zarys podwójnego podbródka. Miał czterdzieści lat, tyle samo, co Prosper Cambray, ale brakowało mu jego energii, poza tym przybierał na wadze. „To wina tego przekłętego klimatu”, dodawał. Czuł, że jego życie jest żeglowaniem bez steru i busoli, że dryfuje, czekając na coś, czego nie potrafił nazwać. Nienawidził tej wyspy. W ciągu dnia zajęty był krzątaniem na plantacji, ale wieczory i noce zdawały się nie mieć końca. Kiedy zachodziło słońce i zapadał zmierzch, godziny zaczynały się wlec, a każda naładowana wspomnieniami, obawami, wyrzutami sumienia i widmami. Zabijał czas, czytając i grając z Tété w karty. Dla niej były to jedyne chwile, kiedy się odprężała i z entuzjazmem oddawała zabawie. Na początku, zaraz po tym, jak nauczył ją grać, zawsze on był górą, ale domyślił się, że specjalnie mu na to pozwala, ze strachu, że go rozgniewa. „To dla mnie żadna przyjemność. Postaraj się ze mną wygrać”, zażądał któregoś dnia i wtedy zaczął przegrywać. Zdumiony zadawał sobie pytanie, jakim sposobem ta Mulatka może rywalizować z nim jak równy z równym w grze wymagającej logicznego myślenia, sprytu i kalkulacji. Tété nikt nie uczył arytmetyki, ale liczyła punkty instynktownie, tak samo jak domowe wydatki. Myśl, że mogłaby być równie zręczna jak on, niepokoiła go i wprawiała w zakłopotanie.

Pan jadał kolacje wcześniej, zawsze w jadalni: trzy proste, treściwe dania, najbardziej obfity posiłek w ciągu dnia, podawany przez dwóch milczących niewolników. Wypijał kilka kieliszków dobrego wina,

tęgo samego, które nielegalnie wysyłał Sanchowi i które sprzedawano na Kubie za cenę dwukrotnie wyższą niż na Saint-Domingue. Po deserze Tété przynosiła mu butelkę koniaku i zdawała relację z domowych spraw. Dziewczyna stawiała bosc stopy tak cicho, jakby płynęła, ale on rejestrował delikatny brzęk kluczy, szelest spódnicy i ciepło jej obecności, zanim jeszcze zdążyła wejść. „Siadaj; nie lubię, jak mówisz do mnie ponad moją głowę”, powtarzał jej co wieczór. Czekwała na ten rozkaz, by usiąść na krześle w niewielkiej odległości, wyprostowana, z dłońmi spoczywającymi na spódnicy i ze spuszczo- nym wzrokiem. W blasku świec jej regularne rysy i wysmukła szyja wyglądały jak wyrzeźbione w drewnie. Wydłużone, senne oczy błyszczały, rzucając złociste refleksy. Odpowiadała na pytania bez- barwnym głosem, chyba że mówiła o Maurisie – wtedy ożywiała się, chwalać każdy figiel chłopczyka, jakby chodziło o jakiś wyczyn. „Wszyscy chłopcy biegają za kurami, Tété”, żartował Valmorain, ale w głębi duszy podzielał jej przekonanie, że wychowują geniusza. Cenił ją z tego właśnie powodu, bardziej niż z jakiegokolwiek innego: jego syn nie mógł trafić w lepsze ręce. Wbrew sobie, bo nie był zwolenni- kiem przesadnych pieszczot, wzruszał się, kiedy patrzył na łączące ich czułości i sekrety właściwe mat- kom i dzieciom. Maurice odwzajemniał miłość Tété z tak ślepym oddaniem, że ojciec często czuł się zazdrosny. Valmorain zabronił chłopcu mówić do niej *maman*, ale Maurice go nie słuchał. „*Maman*, przysięgnij mi, że nigdy, ale to nigdy się nie rozstaniemy”, usłyszał, jak syn szepce jej do ucha za jego plecami. „Przysięgam, moje dziecko”. Z braku innego rozmówcy Toulouse przywykł dzielić się z Tété swoimi troskami dotyczącymi interesów, zarządzania plantacją i niewolników. Trudno było to nazwać rozmowami, nie oczekiwał bowiem odpowiedzi, wygłaszał raczej monologi, dzięki którym mógł się wyzalić i posłuchać ludzkiego głosu, choćby swojego. Czasami wymieniali opinie, ale wydawało mu się, że ona nic nie wnosi; nie zdawał sobie bowiem sprawy, że nie musi dużo mówić, by nim manipulo- wać.

– Widziałaś towar, który wczoraj przywiózł Cambray?

– Tak, panie. Pomagałam Tante Rose przy ich badaniu.

– I?

– Nie wyglądają dobrze.

– Dopiero co przypłynęli, w czasie podróży bardzo tracą na wadze. Cambray kupił ich hurtem, wszystkich za tę samą cenę. To najgorszy system, nie można ich obejrzyć i sprzedają człowiekowi kota w worku. Handlarze czarnymi to zawodowi oszuści. Mam mimo wszystko nadzieję, że przełożony nad- zorców wie, co robi. Co mówi Tante Rose?

– Dwóch ma biegunkę, nie są w stanie utrzymać się na nogach. Mówi, żeby zostawić jej ich na ty- dzień do wyleczenia.

– Tydzień!

– To lepsze, niż ich stracić, panie. Tak mówi Tante Rose.

– Czy jest jakaś kobieta w tej partii towaru? Potrzebujemy jednej do kuchni.

– Nie, ale jest chłopiec, ma jakieś czternaście lat...

– Ten, którego Cambray wychłostał po drodze? Powiedział, że chciał uciec i musiał dać mu od razu nauczkę.

– Tak mówi pan Cambray, panie.

– A według ciebie, Tété, co się stało?

– Nie wiem, panie, ale sądzę, że chłopiec bardziej się przyda w kuchni niż na polu.

– Tutaj znowu spróbuje uciec, w domu są gorzej pilnowani.

– Z domu, panie, nie uciekł jeszcze żaden niewolnik.

Nie dokończyli tej rozmowy, ale kiedy Valmorain oglądał później swoje nowe nabytki, rozpoznał chłopca i podjął decyzję.

Po kolacji Tété wychodziła sprawdzić, czy Eugenia jest czysta i leży spokojnie w łóżku, i czekała przy Maurisie, aż zaśnie. Valmorain siadał w galerii, jeśli pozwalała na to pogoda, albo w ciemnym sa-

lonie, źle oświetlonym przez oliwną lampkę, l książką lub gazetą, głaszcząc kieliszek z trzecim już tego dnia koniakiem. Wiadomości docierały z kilkutygodniowym opóźnieniem, ale nie miało to dla niego znaczenia, wydarzenia rozgrywały się w innym świecie. Odprawiał służbę, bo pod koniec dnia nękało go podejrzenie, że odgadują, o czym myśli, i zostawał sam z książką. Kiedy niebo przybierało postać nieprzeniknionej czarnej peleryny i słychać było tylko bezustanny świst dobiegający z pól trzciny, szeptał cieni wewnątrz domu, a czasem tajemnicze wibracje bębnów, szedł do swojej sypialni i rozbierał się przy zapalanej świecy. Wiedział, że wkrótce przyjdzie Tété.

## Zarité

Tak to zapamiętałam. Na zewnątrz świejszcze i pohukiwanie puchacza, w środku światło księżyca oświetlające równymi pasami jego uśpione ciało. Taki młody! Pilnuj mi go, Erzulie, loa najgłębszych wód, błagałam, obracając w rękach lalkę, tę, którą dał mi dziadek Honoré i którą wtedy jeszcze miałam. Przyjdź, Erzulie, matko, kochanko, w swoich naszyjnikach ze szczerego złota, w pelerynie z piór tukana, wianku z kwiatów i z trzema obrączkami, po jednej na każdego męża. Pomóż nam, loa snów i nadziei. Chroń go przed Cambrayem, uczynń niewidocznym dla oczu pana, ostrożnym wobec innych, ale cudownym w moich ramionach, wycisz jego dzikie serce za dnia, żeby przeżył, i daj mu odwagę w nocy, żeby nie przestało mu zależeć na wolności. Patrz na nas łaskawym okiem, Erzulie, loa zawiści. Nie zazdrość nam, bo to szczęście jest tak kruche jak skrzydełka muchy. On odejdzie. Jeśli nie odejdzie, umrze, ty to wiesz, ale jeszcze mi go nie odbieraj, pozwól mi głaskać jego chude, chłopięce plecy, zanim staną się plecami mężczyzny.

Był wojownikiem, ten mój ukochany, jak imię, które dał mu jego ojciec, Gambo, co znaczy wojownik. Szeptalam to zakazane słowo, kiedy byliśmy sami. Gambo – dźwięczało w moich żyłach. Musiał dostać wiele kijów, zanim ukrył swoje prawdziwe imię i zaczął reagować na to, które nadali mu tutaj. Gambo, powiedział mi, dotykając swojej piersi, kiedy kochaliśmy się pierwszy raz. Gambo, Gambo, powtarzał, aż odważyłam się wypowiedzieć. Wtedy on przemówił w swoim języku, a ja odpowiadałam w moim. Zajęło mu trochę czasu, zanim poznał créole i poduczył mnie swojego języka, którego moja matka nie zdążyła mi przekazać, ale od początku nie musieliśmy nic mówić. Słowa miłości są nieme, bardziej przejrzyste niż woda.

Gambo dopiero co przyjechał, wyglądał jak dziecko, skóra i kości, cały przerażony. Inni niewolnicy, wyżsi i silniejsi, zostali w słonym morzu, dryfując w – poszukiwaniu drogi do Gwinei. Jak mu się udało przetrwać podróż? Z zadanych batem ran wyzierało żywe mięso; tą metodą Cambray próbował złamać nowych i tej samej używał wobec psów i koni. Na piersi, na sercu, Gambo miał krwawy, jeszcze niezabliźniony znak składający się z pierwszych liter nazwy towarzystwa handlującego Murzynami, który zrobili mu w Afryce, zanim załadowali go na statek. Tante Rose kazała mi przemywać rany wodą, dużą ilością wody, i robić okłady z czarnej psianki, aloesu i łożu. Miały zrastać się od środka do zewnątrz. Na poparzenia żadnej wody, tylko sam tłuszcz. Nikt nie umiał leczyć tak jak ona, sam doktor Parmentier próbował poznać jej sekrety, a ona je przed nim odkrywała, nawet jeśli miałyby przynosić ulgę białym, bo wiedza pochodzi od Papy Bondye, należy do wszystkich i jeśli się nią nie dzielimy, przepada. Tak to jest. W tych dniach była zajęta przy nowych niewolnikach, którzy przybyli chorzy, a mnie przypadło leczenie Gambo.

Kiedy go zobaczyłam pierwszy raz, leżał twarzą do ziemi w lazarecie dla niewolników, pokryty muchami. Posadziłam go z trudem, aby dać mu łyk tafii i łyżeczkę kropli, które ukradłam pani z jej niebieskiej buteleczki. Od razu zabrałam się za czyszczenie jego ran, co było niewdzięcznym zajęciem. Nie jątrzyły się zbyt, bo Cambray nie mógł natrzeć ich solą i octem, ale ból musiał być straszny. Gambo przygryzał usta, bez słowa skargi. Potem usiadłam obok niego, żeby mu pośpiewać, bo nie znałam słów pociechy w jego języku. Chciałam mu wytłumaczyć, co trzeba robić, żeby nie prowokować ręki, która trzyma bat, jak pracować i być posłusznym, kiedy rozpala się chęć zemsty, ten ogień, który płonie w środku. Moja opiekunka przekonała Cambraya, że chłopiec ma dżumę i że lepiej zostawić go samego, by nie zaraził reszty. Przełożony nadzorców pozwolił położyć go w jej chacie, bo nie chciał nadziei, że Tante Rose zarazi się jakąś zabójczą febrą, ale ona była odporna, miała umowę z Legbą, loa od czarów. Ja tymczasem zaczęłam podsuwać panu myśl o przydzieleniu Gambo do kuchni. Nie przetrwałby na po-

lach trzciny, bo przełożony nadzorców od początku miał go na oku.

Tante Rose zostawiała nas samych w swojej chacie, w czasie kiedy się nim zajmowałam. Odgadła. I czwartego dnia stało się. Gambo był tak udręczony bólem i tym, że wszystko stracił – swoją ojczyznę, swoją rodzinę, swoją wolność – że chciałam objąć go tak, jak zrobiłaby to jego matka. Czułość pomaga wyzdrowieć. Jeden ruch prowadził do następnego, wsuwałam się pod niego, nie dotykając jego pleców, żeby mógł oprzeć głowę na mojej piersi. Jego ciało płonęło, jeszcze gorączkował, nie sądzę, żeby zdawał sobie sprawę, co robimy. Ja nie wiedziałam, czym jest miłość. To, co robił ze mną pan, było mroczne i wstydlive, tak mu kiedyś powiedziałam, ale on mi nie uwierzył. Przy panu moja dusza, mój ti-bon-ange, odrywała się i gdzieś ulatywała, i tylko moje corps-cadavre leżało w łóżku. Gambo. Jego lekkie ciało na moim, jego ręce na mojej talii, jego oddech w moich ustach, jego oczy patrzące na mnie z drugiego brzegu morza, z Gwinei. To była miłość. Erzulie, loa miłości, uchron go od wszelkiego zła, osłaniaj go. Tak błagałam.

## *Czas niepokoju*

Minęło ponad trzydzieści lat, odkąd legendarny czarownik Mackandal zasiał ziarno buntu. Od tego czasu jego duch przenosił się z wiatrem z jednego krańca wyspy na drugi, wciskał do baraków, chat, *ajopas*, tłoczni cukrowych, kusząc niewolników obietnicą wolności. Przybierał postać węża, żuka, małpy, papugi guacamaya, pocieszał szmerem deszczu, nawoływał grzmotem, podburzał do rewolty donośnym odgłosem burzy. Biali również czuli jego obecność. Każdy niewolnik stawał się wrogiem, było ich już ponad pół miliona, z czego dwie trzecie przyplęnęło prosto z Afryki z olbrzymim ładunkiem nienawiści, i żyli tylko po to, by zerwać łańcuchy i dokonać zemsty. Na Saint-Domingue przybywały tysiące niewolników, ale nigdy nie dość ich było do zaspokojenia nienasyconego apetytu plantacji. Bat, głód, praca. Ani nadzór, ani najbardziej brutalne represje nie były w stanie zapobiec licznym ucieczkom; niektórzy podejmowali je w porcie, gdy po wyładowaniu ze statku zdejmowano im łańcuchy, by ich ochrzcić. Zrywali się do biegu, nadzy i chorzy, ogarnięci jedną tylko myślą: uciec od białych. Przemierzali równiny, czołgali się po pastwiskach, zapuszczali w dżunglę i wspinali na szczyty gór tej nieznannej krainy. Jeśli zdołali przyłączyć się do bandy marronów, unikali niewolnictwa. Wojna, wolność. Murzyni przybyli z Afryki, urodzeni jako wolni ludzie i gotowi umrzeć, żeby znowu takimi się stać, zarażali odwagą tych urodzonych na wyspie, którzy nie wiedzieli, co to wolność, i dla których Gwinea była niewyraźnym królestwem na dnie morza. Plantatorzy żyli pod bronią, czekając. Pułk stacjonujący w Le Cap wzmocniono czterema tysiącami francuskich żołnierzy, którzy zaraz po zejściu na ląd padli rażeni cholerą, malarią i dyzenterią.

Niewolnicy wierzyli, że siejące pomór Moskity to wojska Mackandala walczące przeciwko białym. Mackandal uwolnił się ze stosu zamieniony w moskita. Mackandal wrócił, tak jak obiecał. Z Saint-Lazare uciekło mniej niewolników niż w innych częściach wyspy. Valmorain uważał, że to dlatego, iż nie lubuje się w zadawaniu cierpienia swoim Murzynom; żadnego smarowania melasą i zostawiania na pastwę czerwonych mrówek, jak to robił Lacroix. W swoich dziwacznych nocnych monologach mówił Tété, że nikt nie może oskarżać go o okrucieństwo, ale jeśli sytuacja się pogorszy, będzie musiał dać Cambrayowi wolną rękę. Ona pilnowała się, by nie wypowiedzieć w jego obecności słowa bunt. Tante Rose zapewniła ją, że powszechna rewolta niewolników jest tylko kwestią czasu i że Saint-Lazare skończy w płomieniach jak wszystkie inne plantacje na wyspie.

Prosper Cambray rozmawiał z pryncypałem o tych nieprawdopodobnych pogłoskach. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze mówiono to samo, jednak nigdy nie przechodzono do czynu. Co mogło począć paru nędznych niewolników przeciwko straży konnej i mężczyznom takim jak on, zdecydowanym na wszystko? Jak się zorganizują i uzbroją? Kto nimi pokieruje? To niemożliwe. Spędzał dzień w siodle, sypiał z dwoma pistoletami w zasięgu ręki i jednym okiem otwartym, zawsze czujny. Bat był przedłużeniem jego pięści, językiem, który znał najlepiej i którego wszyscy się bali; nic nie dawało mu większej satysfakcji niż strach, który wzbudzał. Jedynie skrupuły pryncypała powstrzymywały go przed stosowaniem bardziej wymyślnych metod represji, ale odkąd zaczęły pojawiać się coraz nowe ogniska powstania, i tu szykowały się zmiany. Nadarzała się okazja, by pokazać, że jest w stanie kierować plantacją nawet w najgorszych warunkach. Zbyt wiele lat czekał na stanowisko administratora. Nie mógł narzekać: dzięki łapówkom, drobnym kradzieżom i przemytowi zgromadził pokaźny kapitał; Valmorain nawet nie podejrzewał, ile wina znika z jego składu. Cambray chełpił się, że jest ogierem – żadnej dziewczynie nie udało się uniknąć świadczenia usług w jego hamaku i nikt się do tego nie wtrącał. O ile nie naprzykrzał się Tété, mógł kopolować do woli, ale jedynie ona rozpałała w nim pożądanie i gniew, ponieważ była poza jego zasięgiem. Obserwował ją z daleka, śledził z bliska, natychmiast przyłapywał na najdrobniejszym zaniedbaniu, ale zawsze mu się wymykała. „Niech pan uważa, panie Cambray. Jeśli mnie pan tknie, powiem właścicielowi”, ostrzegała go Tété, starając się opanować drżenie głosu. „To ty uwa-

żaj, dziwko, bo kiedy dostanę cię w swoje ręce, zapłacisz mi za wszystko. Za kogo się uważasz, ladacz-nico? Masz już dwadzieścia lat, niedługo twój pan zastąpi cię młodszą i wtedy przyjdzie moja kolej. Kupię cię. Kupię cię tanio, bo nie jesteś nic warta, nie nadajesz się nawet do reprodukcji. A może to twój pan nie ma jaj? Przy mnie przekonasz się, co jest dobre. Twój pan będzie szczęśliwy, mogąc cię sprzedać”, groził, bawiąc się batem z plecionej skóry. W tym czasie rewolucja francuska dotarła do kolonii, wstrząsając nią aż po fundamenty niczym uderzenie smoczego ogona. *Grands blancs*, konserwatyści i monarchiści, obserwowali zmiany z przerażeniem, ale *petits blancs* popierali Republikę, która położyła kres podziałom na klasy: wolność, równość i braterstwo dla białych ludzi. *Affranchis* z kolei wysyłali do Paryża delegacje, które domagały się dla nich praw obywatelskich przed Zgromadzeniem Narodowym, na Saint-Domingue bowiem żaden biały, ani bogaty, ani biedny, nie zamierzał im ich przyznać. Valmorain odłożył na czas nieokreślony swój powrót do Francji, zrozumiał, że nic już nie łączy go z tym krajem. Dawniej wściekał się na rozrzutność monarchii, teraz – na republikański chaos. Przez tyle lat odrzucał myśl o pozostaniu w kolonii, ale w końcu pogodził się z tym, że jego miejsce jest w Nowym Świecie. Sancho Garda del Solar napisał mu w liście ze zwykłą sobie szczerością, żeby zapomniał o Europie, a zwłaszcza o Francji, gdzie nie ma miejsca dla ludzi przedsiębiorczych, i że przyszłość jest w Luizjanie. Miał koneksje w Nowym Orleanie, brakowało mu tylko kapitału, żeby wcielić w życie projekt, którym interesowało się już wielu innych, on wołał jednak dać pierwszeństwo jemu, przez wzgląd na łączące ich więzy rodzinne i dlatego, że to, do czego przyłożyli razem rękę, zamieniało się w złoto. Wyjaśnił mu, że Luizjana była początkowo kolonią francuską, a od jakichś dwudziestu lat jest hiszpańska, jednak mieszkańcy z uporem trzymają się swoich korzeni. Rządzili Hiszpanie, ale kultura i język pozostały francuskie. Klimat przypominał ten z Antyli i udawały się te same uprawy, zjedną pozytywną różnicą: było tam więcej przestrzeni i ziemia leżała odłogiem. Mogli nabyć dużą plantację i eksploatować ją, nie martwiąc się o politykę i zbuntowanych niewolników. Sancho obiecywał, że w ciągu kilku lat zgromadzą fortunę.

Po utracie pierwszego dziecka Tété pragnęła być bezpłodna jak muły pracujące w młynie. Do tego, by kochać i cierpieć jak matka, wystarczył jej Maurice, delikatny malec, który płakał ze wzruszenia przy muzyce i moczył się ze strachu w obliczu okrucieństwa. Maurice bał się Cambraya; gdy słyszał stukot jego butów w galerii, uciekał w poszukiwaniu schronienia. Tété, podobnie jak inne niewolnice, by uniknąć kolejnej ciąży, korzystała z leków Tante Rose, ale te nie zawsze skutkowały. Uzdrowicielka mówiła, że niektóre dzieci nalegają na przyjście na świat, bo nie podejrzewają, co je czeka. Tak było z drugim dzieckiem Tété. Na nic zdały się garście pakuł nasyconych octem, mające zapobiec ciąży, ani napary z ogórecznika lekarskiego, okadzanie gorczycą czy kogut złożony w ofierze *loa*, by doprowadzić do poronienia. Przy trzeciej pełni księżyca bez menstruacji poszła błagać opiekunkę, żeby rozwiązała jej problem zaostrzonym patykiem, ta jednak odmówiła: ryzyko zakażenia było ogromne, a jeśli nakryto by je podczas zamachu na własność pana, Cambray miałyby doskonały powód, żeby wychłostać” je do żywego ciała.

- Przypuszczam, że to również jest dziecko pana – powiedziała Tante Rose.
- Nie jestem pewna. Może być Gambo – szepnęła zawstydzona Tété.
- Czyje?
- Pomocnika kucharki. Jego prawdziwe imię to Gambo.
- Taki smarkacz, ale widzę, że już potrafi zabrać się do rzeczy jak mężczyzna. Musi być jakieś pięć, sześć lat młodszy od ciebie.
- Jakie to ma znaczenie? Ważne jest to, że jeśli dziecko będzie czarne, pan zabije nas oboje!
- Mieszane dzieci często wychodzą ciemne jak dziadkowie – zapewniła ją Tante Rose.

Przerażona możliwymi konsekwencjami ciąży Tété wyobrażała sobie, że ma w środku guz, ale w czwartym miesiącu poczuła jakby muśnięcie gołębiego skrzydła, nieustające tchnienie, pierwszą wyraźną oznakę życia, i nie mogła uciec od czułości i współczucia dla istoty skulonej w jej brzuchu. W nocy,

leżąc obok Maurice'a, szeptem prosiła dziecko o wybaczenie strasznej krzywdy, jaką mu wyrządzi, wydając je na świat jako niewolnika. Tym razem nie musiała ukrywać brzucha ani pan nie wyjechał w po-  
płochu z żoną na Kubę, bo do biedaczki już nic nie docierało. Eugenia od dawna nie miała kontaktów z  
mężem, a przy nielicznych okazjach, kiedy dostrzegała go w rozmazanym świetle swego szaleństwa,  
pytała, kim jest ten mężczyzna. Nie poznawała też Maurice'a. W chwilach lepszego samopoczucia wra-  
cała do czasów młodości: miała czternaście lat i bawiła się z innymi hałaśliwymi uczennicami w klasz-  
torze u sióstr w Madrycie, czekając na gęstą czekoladę na śniadanie. Przez resztę czasu błądziła po  
mglistej krainie pozbawionej wyraźnych konturów, w której nie cierpiała już tak jak kiedyś. Tété sama  
postanowiła stopniowo ograniczać jej opium, co nie spowodowało żadnej zmiany w zachowaniu Euge-  
nii. Zdaniem Tante Rose pani spełniła swoją misję polegającą na urodzeniu Maurice'a i nie miała już na  
tym świecie nic do roboty.

Valmorain znalazł ciało Tété lepiej, niż zdołał poznać ciało Eugenie czy którejkolwiek ze swych przelot-  
nych kochanek, i szybko zauważył, że staje się grubsza w pasie i ma nabrzmiałe piersi. Zapytał ją o to,  
kiedy leżeli w łóżku po jednym z tych zbliżeń, które ona zносиła z rezygnacją, a które jemu przynosiły  
jedynie nostalgiczną ulgę. Tété wybuchnęła płaczem. Był zaskoczony, bo nie widział niewolnicy wyle-  
wającej łez od czasu, gdy zabrał jej pierwsze dziecko. Słyszał, że czarni mają obniżony próg cierpienia,  
czego dowodził fakt, że żaden biały nie wytrzymałby tego, co oni znosili, i tak jak sukcom zabiera się  
szczenięta czy krowom cielęta, tak samo można było odseparować niewolnice od ich dzieci; po krótkim  
czasie przychodziły do siebie po stracie i potem nawet o niej nie pamiętały. Nigdy wcześniej nie myślał  
o uczuciach Tété, zakładał, że są bardzo ograniczone. Kiedy jej nie widział, dziewczyna rozmyślała się,  
rozmyślała zawieszona w nicości, dopóki on znowu jej nie potrzebował; wtedy na powrót się materia-  
lizowała, istniała tylko po to, żeby mu służyć. Nie była już dzieckiem, ale dla niego się nie zmieniła. Pa-  
miętał jak przez mgłę chudą dziewczynkę, którą wiele lat temu przekazała mu Violette Boisier; podlot-  
ka, który jak owoc wyłonił się z tak mało obiecującego pączka i którego on rozdziewiczył jednym  
pchnięciem, w pokoju, gdzie spała odurzona narkotykami Eugenia; nastolatkę, która urodziła bez jedne-  
go jęku, z kawałkiem drewna między zębami; szesnastoletnią matkę żegnającą pocałunkiem w czoło  
dziecko, którego miała już nigdy nie zobaczyć; kobietę, która kołysała Maurice'a z niebywałą czuło-  
ścią, która zamykała oczy i przygryzała wargi, kiedy on w nią wchodził, która czasami zasypiała przy  
nim wycieńczona trudami dnia, ale zaraz budziła się przestraszona i z imieniem Maurice'a na ustach  
wybiegała z pokoju. Te wszystkie obrazy Tété zlewały się w jeden, jakby nie dotyczył jej upływ czasu.  
Tamtej nocy, kiedy wyczuł zmiany w ciele niewolnicy, kazał jej zapalić lampę i zaczął uważnie obser-  
wować dziewczynę. Spodobało mu się to, co zobaczył: sylwetkę o długich, mocnych liniach, skórę w  
kolorze brązu, obfite biodra, zmysłowe usta. Uznał, że jest jego najcenniejszą własnością. Palcem ze-  
brał łzę, która spływała jej wzdłuż nosa, i nie zastanawiając się, podniósł ją do ust. Była słona, jak łzy  
Maurice'a.

– Co ci jest? – zapytał.

– Nic, panie.

– Nie płacz. Tym razem będziesz mogła zatrzymać dziecko, bo dla Eugenie nie może to już mieć żad-  
nego znaczenia.

– Skoro tak, dlaczego nie odzyska pan mojego syna?

– To byłoby bardzo kłopotliwe.

– Proszę mi powiedzieć, czy żyje...

– Oczywiście, że żyje, kobieto! Powinien mieć teraz jakieś cztery, pięć lat, prawda? Twoim obowiąz-  
kiem jest zajmować się Maurice'em. Nigdy więcej nie wspominaj o tamtym chłopcu w mojej obecności  
i niech wystarczy, że pozwalam ci wychować dziecko, które nosisz w sobie.



## Zarité

Gambo wolałby ścinanie trzciny od poniżającej pracy w kuchni. „Gdyby widział mnie ojciec, powstałby z martwych, żeby splunąć mi pod stopy i wyrzec się mnie, swojego najstarszego syna, za robienie rzeczy dobrych dla kobiet. Mój ojciec zginął tak, jak giną mężczyźni, w walce z tymi, którzy zaatakowali naszą wioskę”. Tak mi mówił. Łowcy niewolników byli z innego plemienia, przybyli z daleka, z zachodu, na koniach i z muszkietami jak te przełożonego nadzorców. Inne wioski zniknęły podpalane, zabierali młodych, zabijali starszych i małe dzieci, ale jego ojciec wierzył, że oni są bezpieczni, chroniła ich odległość i las. Łowcy sprzedawali swoich jeńców istotom o kłach hieny i pazurach krokodyla, które żywiły się ludzkim mięsem. Nikt nigdy nie wracał. Gambo był jedynym z całej rodziny, którego schwytali żywym, na szczęście dla mnie i na nieszczęście dla niego. Wytrzymał pierwszy etap drogi, trwający dwa pełne cykle księżyca, pieszo, przywiązany do innych sznurami i z drewnianym jarzmem na szyi, popędzany kijami, praktycznie bez jedzenia i wody. Kiedy nie był już w stanie zrobić kolejnego kroku, przed jego oczami pojawiło się morze, którego nikt w długim rządzie jeńców nie znał, i wspaniała zamek na piasku. Nie zdążyli nacieszyć się ogromem i kolorem wody, która zlewała się z niebem na horyzoncie, bo ich zamknęli. Wtedy Gambo pierwszy raz zobaczył białych i pomyślał, że to demony; potem dowiedział się, że są ludźmi, ale nigdy nie uwierzył, że mogą być istotami ludzkimi takimi jak my. Byli ubrani w przepocone szmaty, metalowe napierśniki i skórzane długie buty, krzyczeli i bili bez powodu. Żadnych kłów ani pazurów, mieli za to włosy na twarzy, broń i baty, a ich zapach był tak odrażający, że nawet ptaki na niebie odczuwały mdłości. Tak mi opowiadał. Oddzielili go od kobiet i dzieci, wsadzili do zagrody, gorącej w dzień i zimnej w nocy, z setkami mężczyzn, którzy nie mówili jego językiem. Nie wiedział, ile czasu tam spędził, bo zapomniał o śledzeniu drogi księżyca, ani ilu umarło, bo nikt nie miał imienia i nikt ich nie liczył. Na początku byli tak stłoczeni, że nie mogli położyć się na ziemi, ale w miarę jak usuwano zwłoki, robiło się więcej miejsca. Potem przyszło najgorsze, to, czego nie chciał pamiętać, a co od nowa przeżywał w snach: statek. Płynęli, leżąc jeden przy drugim, jak drwa, na kilku piętrach z bali, z żelaznymi obręczami na szyi i w łańcuchach, jęcząc, wymiotując, srając, umierając, nie wiedząc, dokąd ich wiozł ani dlaczego ta ogromna tykwa się kołysze. Smród był taki, że docierał aż do świata zmarłych i czuł go jego ojciec. Tam Gambo także nie mógł mierzyć czasu, choć wielokrotnie miał nad sobą słońce i gwiazdy, kiedy wyprowadzali całe grupy na pokład, żeby ich obmyć, lejąc wiadra morskiej wody, i zmusić do tańczenia, aby nie zapomnieli, do czego służą nogi i ręce.

Zmarłych i chorych marynarze wyrzucali za burtę, potem wybierali paru jeńców i chłostali ich dla zabawy. Co zuchwalszych wieszali za nadgarstki i powoli spuszczały do wody, która kipiała od rekinów, a kiedy ich wyciągali, zostawały tylko ręce. Gambo widział też, co robili z kobietami. Czekał na okazję, żeby rzucić się za burtę, myśląc, że po uczcie rekinów, które towarzyszyły statkowi od Afryki po Antyle, jego dusza popłynie na podmorską wyspę, by spotkać się z ojcem i resztą rodziny. „Gdyby mój ojciec wiedział, że chciałem umrzeć bez walki, znowu splunęłyby mi pod stopy”. Tak mi opowiadał. Jedynym powodem, dla którego został w kuchni Tante Mathilde, były przygotowania do ucieczki. Znał ryzyko. W Saint-Lazare żyli niewolnicy bez nosa i uszu albo we wrośniętych w kostki kajdanach; nie mogli ich zdjąć i nie sposób było z nimi biec. Myślę, że odwlekał ucieczkę przeze mnie, przez to, jak na siebie patrzyliśmy, przez wiadomości z kamyczków w kurniku, łakocie, które kradł dla mnie z kuchni, wyczekiwanie okazji, żeby się przytulić i poczuć w całym ciele łagodne pieczenie pieprzu, i przez te rzadkie chwile, kiedy w końcu byliśmy sami i mogliśmy się dotykać. „Będziemy wolni, Zarité, i będziemy zawsze razem. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek innego, bardziej niż mojego ojca i jego pięć żon, które były moimi matkami, bardziej niż moich braci i moje siostry, bardziej niż ich wszystkich razem, ale nie bardziej niż

*mój honor”. Wojownik robi to, co musi zrobić, to jest ważniejsze niż miłość, jak miałabym tego nie rozumieć. My, kobiety, kochamy głębiej i dłużej, to również wiem. Gambo był dumny, a nie ma większego niebezpieczeństwa dla niewolnika niż duma. Błagałam go, żeby został w kuchni, jeśli chce żyć, żeby stał się niewidzialny i unikał Cambraya, ale prosiłam go o zbyt wiele, prosiłam, by żył jak tchórz. Los jest zapisany w naszej z’etoile i nie możemy go zmienić. „Pójdiesz ze mną, Zarité?”. Nie mogłam z nim iść, byłam bardzo ciężka i razem nie uszlibyśmy daleko.*

## Kochankowie

Minęło wiele lat, odkąd Violette Boisier porzuciła nocne życie Le Cap. Nie dlatego, że utraciła młodość – nadal mogła konkurować z każdą ze swoich rywalek – ale ze względu na Étienne’a Relais’go. Ich związek zmienił się w miłosną zażyłość, okraszoną jego namiętnością i jej życzliwością. Byli razem już prawie dziesięć lat, które bardzo szybko im zleciały. Początkowo żyli osobno, mogli widywać się tylko podczas krótkich wizyt Relais’go pomiędzy kolejnymi wyprawami wojennymi. Przez jakiś czas Violette nadal wykonywała dawny zawód, oferując jednak swoje wyśmienite usługi tylko garstce najbardziej hojnych klientów. Stała się tak wybredna, że Loula musiała wykreślić z listy mężczyzn porywczych, nieuleczalnie brzydkich i o nieprzyjemnym oddechu; preferowała natomiast starych, bo umieli okazać wdzięczność. Kilka lat po poznaniu Violette Relais’go awansowano na stopień podpułkownika i uczyniono odpowiedzialnym za bezpieczeństwo na północy; wtedy zaczął wyjeżdżać na krócej. Gdy tylko mógł przenieść się na stałe do Le Cap, przestał sypiać w koszarach i wziął z nią ślub. Zrobił to ostentacyjnie, z pompą, uroczystością w kościele i ogłoszeniem w gazecie, jak w przypadku zaślubin *grands blancs*, ku zaskoczeniu towarzyszy broni niezdolnych zrozumieć powody, dla których ożenił się z kolorową kobietą, do tego wątpliwej reputacji, choć mógł przecież utrzymywać ją jako kochankę. Żaden z nich nie zapytał go o to wprost, a on nie udzielił im wyjaśnień. Liczył na to, że nikt nie odważy się czynić afrontów jego żonie. Violette zakomunikowała „przyjaciołom”, że nie jest już do ich dyspozycji, rozdzieliła między inne *cocottes* paradne suknie, których nie udało jej się przerobić na skromniejsze stroje, sprzedała mieszkanie i przeniosła się z Loulą do domu wynajętego przez Relais’go w dzielnicy *petits blancs* i *affranchis*. Jej nowi znajomi byli Mulatami, niektórzy całkiem bogatymi, właścicielami plantacji i niewolników, katolikami, choć po kryjomu praktykowali wodou. Byli dziećmi i wnukami białych, i choć ci nimi gardzili, oni we wszystkim ich naśladowali i jak mogli, wypierali się afrykańskiej krwi swoich matek. Relais niełatwo nawiązywał przyjaźnie, dobrze czuł się tylko wśród szorstkich kompanów z koszar, ale od czasu do czasu chodził z żoną na spotkania towarzyskie. „Uśmiechaj się, Étienne, niech moi znajomi przestaną bać się brytana z Saint-Domingue”, prosiła go Violette. Powiedziała Louli, że tęskni za blaskiem zabaw i przedstawień, które dawniej wypełniały jej noc. „Wtedy miałaś pieniądze i korzystałaś z życia, mój aniołku, teraz jesteś biedna i się nudzisz. Co ci dał ten twój żołnierz?” Utrzymywały się z żołdu podpułkownika, ale bez jego wiedzy robiły interesy: drobny przemysł, pożyczki na procent. Tak powiększały kapitał, który zgromadziła Violette, a który Loula potrafiła dobrze zainwestować.

Étienne Relais nie zapomniał o swoich planach powrotu do Francji, tym bardziej teraz, kiedy Republika dała władzę zwykłym obywatelom takim jak on. Miał dosyć życia w kolonii, nie zaoszczędził jednak wystarczająco dużo, żeby przejść w stan spoczynku. Wojna nie budziła w nim odrazy, był centaurem wielu bitew, przyzwyczajonym, by cierpieć i zadawać cierpienie, czuł się jednak zmęczony panującym na Saint-Domingue zamieszaniami. Nie rozumiał sytuacji: zawierano sojusze, które zrywano po kilku godzinach, biali walczyli między sobą i przeciwko *affranchis*, nikt nie przywiązywał wagi do narastającego buntu czarnych, który on uważał za groźniejszy od wszystkiego innego. Mimo anarchii i przemocy para znalazła spokojne szczęście, którego żadne z nich do tej pory nie zaznało. Unikali rozmów o dzieciach, ona nie mogła ich począć, a on nie był nimi zainteresowany, ale kiedy owego pamiętnego popołudnia Toulouse Valmorain zjawiał się u nich z owiniętym w chustę noworodkiem, przyjęli chłopca – jak maskotkę, która miała wypełnić czas Violette i Louli – nie podejrzewając, że będzie ich synem, o którym nie śmieli nawet marzyć. Valmorain zaniósł go Violette, bo nie wpadł na inny pomysł, jak pozbyć się malca przed powrotem Eugenii z Kuby. Nie chciał, by żona dowiedziała się, że dziecko Tété jest także jego synkiem. Nie mogło mieć innego ojca, jako że był jedynym białym w Saint-Lazare. Nie

wiedział, że Violette wyszła za wojskowego. Nie zastał dawnej kochanki w mieszkaniu przy placu Clugny, które teraz miało innego właściciela, ale z łatwością znalazł jej nowe miejsce pobytu i pojawił się tam z chłopcem i mamką, którą zdobył dzięki swemu sąsiadowi Lacroix. Przedstawił sprawę jako wyjście tymczasowe, nie mając pojęcia, jak rozwiąże ją w przyszłości, i poczuł prawdziwą ulgę, kiedy Violette i jej mąż przyjęli dziecko, pytając jedynie o jego imię. „Nie był ochrzczony, możecie nazwać go, jak chcecie”, powiedział.

Étienne Relais pozostał równie drapieżny, pełen życia i zdrowy jak w czasach młodości. Wciąż był tym samym połączeniem mięśni i tęczy, miał gęste siwe włosy i żelazny charakter, dzięki któremu awansował w wojsku i zdobył wiele odznaczeń. Najpierw służył królowi, teraz z równym oddaniem Republice. Nadal pragnął bezustannie kochać się z Violette, a ona chętnie towarzyszyła mu w miłosnych akrobacjach, zdaniem Louli niestosownych w przypadku dojrzałych małżonków.

Jego opinia okrutnika zdecydowanie kontrastowała ze skrywaną czułością, której nie szczędził żonie i dziecku, chłopczyk bowiem szybko podbił jego serce, którego – jak utrzymywano w koszarach – w ogóle nie posiadał. „Ten malec mógłby być moim wnukiem”, mawiał często i rzeczywiście pieścił się z nim jak dziadek. Violette i dziecko byli jedynymi osobami w jego życiu, które kochał, ale gdyby go trochę przycisnąć, przyznałby, że kocha także Loulę, despotyczną Murzynkę, która na początku tak z nim wojowała, gdy próbowała skłonić Violette, by znalazła sobie odpowiedniejszego narzeczonego. Relais zaproponował jej wolność, na co Loula rzuciła się na ziemię, skomląc, że chcą się jej pozbyć, jak tylu innych niewolników, nieprzydatnych z powodu starości lub choroby, których panowie wyrzucali na ulicę, żeby nie musieć ich utrzymywać; że spędziła życie, opiekując się Violette, a teraz, kiedy jest już niepotrzebna, skazują ją na żebranię albo śmierć głodową. Beładnie wykrzykiwała w kółko to samo, ale w końcu Relais’mu udało się zmusić ją, aby wysłuchała jego zapewnień, że może pozostać niewolnicą do końca swych dni, jeśli takie ma życzenie. Za sprawą tej obietnicy kobieta zmieniła nastawienie i zamiast podkładać mu pod łóżko poprzekłuwane szpilkami laleczki, dwoiła się i troiła, przygotowując jego ulubione potrawy.

Violette dojrzewiała jak owoce mango – powoli. Z upływem lat nie utraciła świeżości, dumnego wyglądu ani perlistego śmiechu, jedynie trochę przytyła, czym mąż był zachwycony. Odznaczała się ufnością właściwą osobom, które wiedzą, że są kochane. Czas i stosowana przez Loulę strategia polegająca na rozpuszczaniu pogłosek sprawiły, że stała się legendą, i wszędzie odprowadzały ją spojrzenia i szept, nawet tych, którzy nie przyjmowali jej w swoich domach. „Muszą się teraz zastanawiać, jak to było z tym gołębim jajem”, żartowała Violette.

Najbardziej wyniośli mężczyźni, kiedy szli sami, uchylali na jej widok kapeluszy, wielu z nich wspominało gorące noce w mieszkaniu przy placu Clugny, ale kobiety, bez względu na kolor skóry, z zazdrości odwracały wzrok. Violette lubiła wesołe barwy, a jej jedynymi ozdobami były pierścionek z opalem – prezent od męża – i ciężkie złote koła w uszach, które podkreślały jej wspaniałe rysy i skórę koloru kości słoniowej, przez całe życie chronioną przed promieniami słońca. Nie miała innej biżuterii, sprzedała wszystko, by powiększyć kapitał niezbędny do lichwiarskich transakcji. W dołku wykopanym na patio przez lata gromadziła oszczędności w postaci ciężkich złotych monet, nie budząc podejrzeń męża. Wreszcie podjęli decyzję o wyjeździe. Kiedy pewnej niedzieli leżeli na łóżku w godzinie sjeisty, nie dotykając się ze względu na panujący upał, oznajmiła mu, że jeśli rzeczywiście chce wrócić do Francji, o czym zawsze mówił, mają środki, żeby to zrobić. Tej samej nocy pod osłoną ciemności wykopała z Loulą swój skarb. Kiedy podpułkownik zważył w ręku worek monet i otrząsnął się z zaskoczenia, odłożył na bok obiekcje samca poniżonego przez kobietą przebiegłość i postanowił porzucić wojsko. Aż nadto przysłużył się Francji. Przystąpili do planowania podróży, Loula zaś musiała się pogodzić z tym, że będzie wolna, bo we Francji niewolnictwo zostało zniesione.

## *Dzieci pana*

Tego popołudnia państwo Relais czekali na najważniejszą wizytę w ich życiu, jak to określiła Violette w rozmowie z Loulą. Dom wojskowego był nieco większy niż trzypokojowe mieszkanie przy placu Clugny, wygodny, ale bez luksusów. Zasada prostoty przyjęta przez Violette w kwestii garderoby rozciągała się także na wnętrza, urządzone meblami miejscowych rzemieślników, bez orientaliów, które niegdyś tak lubiła. Półmiski owoców, wazon, kilka kotów, ptaki w klatkach nadawały domowi przytulny charakter. Jako pierwszy tego popołudnia zjawił się notariusz w asyście młodego pisarza i z wielką księgą w niebieskich okładkach. Violette zaprowadziła ich do pokoju sąsiadującego z głównym salonem, służącego Relais'emu za gabinet, i zaproponowała kawę z lekkimi *beignets* od zakonnic, będącymi zdaniem Louli zwykłymi smażonymi ciastkami, które ona potrafiłaby zrobić dużo lepiej. Chwilę później zapukał do drzwi Toulouse Valmorain. Przybyło mu kilka kilogramów, był bardziej zniszczony i szerszy, niż zapamiętała go Violette, zachował jednak nienaruszoną wyniosłość *grand blanc*, która zawsze ją śmieszyła, bo miała wprawę w rozbieraniu mężczyzny jednym spojrzeniem – nagim na nic zdawały się tytuły, władza, majątek czy rasa, brała pod uwagę tylko ich wygląd i intencje. Valmorain wykonał na powitanie ruch, jakby chciał pocałować ją w rękę, nie dotknął jednak dłoni ustami – byłoby to nietaktem wobec Relais'go.

Usiadł i przyjął szklanekę soku owocowego, który mu zaproponowano.

– Minęło kilka lat, odkąd ostatni raz się widzieliśmy, monsieur – powiedziała Violette oficjalnym tonem, nowym w ich relacjach, próbując ukryć wzbierający w piersiach niepokój.

– Dla pani czas się zatrzymał, madame; wygląda pani wciąż tak sarno.

– Proszę mnie nie obrażać, wyglądam lepiej – uśmiechnęła się zdumiona widokiem rumieńca, który oblał twarz mężczyzny. Może denerwował się tak samo jak ona.

– Jak panu wiadomo z mojego listu, monsieur Valmorain, zamierzamy wkrótce wyjechać do Francji – zaczął Étienne Relais, ubrany w mundur, siedząc sztywno na swoim krześle.

– Tak, tak – przerwał mu Valmorain. – Przede wszystkim chciałbym obojgu państwu podziękować, że opiekowali się chłopcem przez te lata. Jak się nazywa?

– Jean-Martin – odparł Relais.

– Musi być już małym mężczyzną. Chciałbym go zobaczyć, jeśli to możliwe.

– Za chwilę. Jest na spacerze z Loulą, zaraz wróci.

Violette wygładziła dół swojej skromnej sukni z ciemnozielonej krey, z fioletowymi lamówkami, i dołała soku do szklanek. Drżały jej ręce. Przez dwie trwające wieczność minuty nikt się nie odezwał. Jeden z kanarków w klatce zaczął śpiewać, przerywając ciężką ciszę. Valmorain ukradkiem obserwował Violette, odnotowując zmiany w ciele, które kiedyś zawzięcie kochał, choć teraz nie pamiętał już dobrze, co robili w łóżku. Zastanawiał się, ile może mieć lat i czy przypadkiem nie używa jakichś tajemniczych balsamów, by zachować urodę – wyczytał gdzieś, że robiły tak starożytne królowe egipskie, które ostatecznie kończyły jako mumie. Poczł zazdrość, wyobrażając sobie, jak szczęśliwy musi być z nią Relais.

– Toulouse, w obecnej sytuacji nic możemy zabrać ze sobą Jeana-Martina – powiedziała w końcu Violette poufałym tonem, jakim zwracała się do niego, gdy byli kochankami, i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie należy do nas – dodał podpułkownik z grymasem na twarzy i wzrokiem wbitym w dawnego rywala.

– Bardzo kochamy tego chłopca, a on myśli, że jesteśmy jego rodzicami. Zawsze chciałam mieć dzieci, Toulouse, ale Bóg mi ich nie dał. Dlatego chcemy kupić Jeana-Martina, wyzwolić go i zabrać do Francji pod nazwiskiem Relais, jako naszego prawowitego syna – powiedziała Violette i zaraz wybuch-

nęła płaczem, wstrząsana szlochaniem.

Żaden z mężczyzn nie próbował jej pocieszyć. Zakłopotani patrzyli na kanarki, aż udało jej się uspokoić, dokładnie w momencie, gdy weszła Loula, trzymając za rękę małego chłopca. Był śliczny. Podbiegł do Relais'go, by pokazać mu coś, co ścisnął w pięści, i szczebiotał podekscytowany, z zarumienionymi policzkami. Relais wskazał na gościa; malec podszedł, wyciągnął pulchną rączkę i przywitał się bez cienia nieśmiałości. Valmorain przyjrzał mu się z satysfakcją i stwierdził, że nie przypomina w niczym ani jego, ani jego syna Maurice'a.

– Co tam masz? – zapytał.

– Ślimaka.

– Dasz mi go?

– Nie mogę, jest dla mojego papy – odparł Jean-Martin, wracając do Relais'go, by wdrapać mu się na kolana.

– Idź z Loulą, synu – polecił mu wojskowy. Chłopiec natychmiast usłuchał, złapał kobietę za spódnicę i razem zniknęli.

– Jeśli się zgodzisz... No cóż, zaprosiliśmy notariusza, na wypadek gdybyś przyjął naszą propozycję, Toulouse. Potem trzeba by iść do sędziego – wybąkała Violette, znów bliska płaczu.

Valmorain przyszedł na rozmowę bez żadnego planu. Wiedział, o co go poproszą, bo Relais wyjaśnił mu wszystko w liście, ale nie podjął decyzji, chciał najpierw zobaczyć chłopca. Zrobił na nim bardzo dobre wrażenie, był ładny i najwyraźniej nie brakowało mu charakteru, wart był sporo pieniędzy, ale dla niego stanowiłby problem. Rozpieszczali go od urodzenia, to oczywiste, i chłopczyk nie podejrzewał, jaka jest jego prawdziwa pozycja w społeczeństwie. Co począłby z tym małym bękartem mieszanej krwi? Musiałby trzymać go w domu przez pierwsze lata. Nie miał pojęcia, jak zareaguje Tété; pewnie poświęciłaby się synowi, a Maurice, którego do tej pory wychowywano jako jedynaka, poczułby się opuszczony. Krucha równowaga jego ogniska domowego mogła lec w gruzach. Pomyślał też o Violette Boisier, o mglistym wspomnieniu miłości, jaką ją darzył, o przysługach, jakie przez lata nawzajem sobie wyświadczała, i o tej prostej prawdzie, że była matką Jeana-Martina dużo bardziej niż Tété. Relais oferowali dziecku coś, czego on mu dać nie zamierzał: wolność, wykształcenie, nazwisko, godną pozycję.

– Proszę, monsieur, niech pan nam sprzeda Jeana-Martina. Zapłacimy, ile pan zażąda, choć, jak pan widzi, nie jesteśmy majętni – prosił Étienne Relais, spięty i zdenerwowany, a Violette drżała, oparta o drzwi dzielące ich od notariusza.

– Niech pan mi powie, ile pan wydał na jego utrzymanie przez te wszystkie lata? – zapytał Valmorain.

– Nigdy tego nie liczyłem – odpowiedział Relais, zaskoczony.

– W porządku, tyle wart jest chłopiec. Jesteśmy kwita. Ma pan swojego syna.

Ciąża Tété nie przyniosła w jej życiu żadnych zmian; jak zawsze pracowała od wschodu do zachodu słońca i przychodziła do łóżka pana za każdym razem, kiedy miał na to ochotę. Gdy brzuch zaczął jej przeszkadzać, robili to jak psy. W głębi duszy Tété przeklinała Valmorain, bała się jednak, że zastąpi ją inną niewolnicą i sprzeda Cambrayowi, co byłoby najgorszą rzeczą, jaka mogła jej się przydarzyć.

– Będzie dobrze, Zarité, jeśli nadejdzie ten moment, sama zajmę się przełożonym nadzorców – obiecała jej Tante Rose.

– Dlaczego teraz tego nie zrobisz? – zapytała dziewczyna.

– Bo nie należy zabijać bez bardzo ważnego powodu. Tego popołudnia Tété była spuchnięta, miała wrażenie, że nosi w środku arbuza; szyła w kącie, kilka kroków od Valmoraina, który czytał i palił, siedząc w swoim fotelu. Ostry zapach tytoniu, który normalnie lubiła, teraz wywracał jej wnętrzności. Od miesięcy nikt nie przyjeżdżał z wizytą do Saint-Lazare, bo nawet najwierniejszy z gości, doktor Par-

mentier, obawiał się podróży; po północnej części wyspy nie można było się poruszać bez silnej ochrony. Valmorain wprowadził nowy zwyczaj, kolejny z wielu obowiązków, jakie narzucił Tété – musiała towarzyszyć mu po kolacji. O tej porze marzyła tylko o tym, aby skulić się obok Maurice’a i zasnąć. Z trudem znosiła swoje zawsze gorące, zmęczone, spocone ciało, ucisk dziecka na kości, ból pleców, twarde piersi, rozpalone sutki. Tego dnia czuła się najgorzej, brakowało jej powietrza, nie mogła oddychać. Było jeszcze wcześniej, ale ponieważ burza przyspieszyła nadejście nocy i zmusiła do zamknięcia okiennic, dom sprawiał przytłaczające wrażenie więzienia. Od pół godziny Eugenia spała pod okiem opiekunki, a Maurice czekał na Tété, nauczył się jednak, że nie należy jej wołać, by nie dawać ojcu powodu do gniewu.

Burza ustąpiła równie szybko, jak się zaczęła, ucichły odgłosy bębnienia kropli deszczu i smagające porywy wiatru. Zastąpił je żabi chór. Tété podeszła do jednego z okien i otworzyła okiennice, wdychając głęboko powiew wilgoci i świeżości, który omiótł pokój. Miała wrażenie, że ten dzień nigdy się nie skończy. Kilkakrotnie zaglądała do kuchni pod pretekstem porozmawiania z Tante Mathilde, ale nie widziała Gambo. Gdzie przepadł ten chłopak? Drżała o mego. Do Saint-Lazare docierały pogłoski z innych części wyspy, przekazywane z ust do ust przez Murzynów i otwarcie komentowane przez białych, którzy nigdy nie zważali na to, co mówią w obecności swoich niewolników. Najświeższa nowina dotyczyła Deklaracji Praw Człowieka ogłoszonej we Francji. Biali siedzieli jak na rozżarzonych węglach, a zawsze marginalizowani *affranchis* dostrzegli w końcu szansę na zrównanie z białymi. Prawa człowieka nie obejmowały czarnych, jak wyjaśniła Tante Rose ludziom zgromadzonym na calendzie, wolności nie dostawało się za darmo, trzeba było ją wywalczyć. Wszyscy wiedzieli, że z pobliskich plantacji zniknęły setki niewolników, żeby przyłączyć się do band buntowników. Z Saint-Lazare uciekło dwudziestu, ale Prosper Cambrey i jego ludzie ruszyli za nimi w pościg i wrócili z czternastoma. Zdaniem przełożonego nadzorców pozostałych sześciu zginęło od kul, ale nikt nie widział ciał i Tante Rose sądziła, że udało im się dotrzeć do gór. To umocniło determinację Gambo, by uciec. Tété nie mogła go już powstrzymać – zaczęła się gehenna rozstania i wydzierania go sobie z serca. Nie ma gorszego cierpienia, niż kochać w strachu, mawiała Tante Rose.

Valmorain podniósł wzrok znad książki, żeby pociągnąć kolejny łyk koniaku, i skierował oczy na niewolnicę, która od dłuższego czasu stała w otwartym oknie. W słabym świetle lamp zobaczył, jak dyszy, spocona, z rękoma zaciśniętymi na brzuchu. Nagle Tété stłumiła jęk i podniosła spódnicę nad kostki, patrząc z zakłopotaniem na kałużę, która rozlewała się po podłodze i moczyła jej bosa stopy. „Już czas”, szepnęła, i opierając się o meble, ruszyła w stronę galerii. Dwie minuty później inna niewolnica przybiegła pospiesznie, by wytrzeć podłogę szmatą.

– Zawołaj Tante Rose – rozkazał jej Valmorain.

– Już po nią poszli, panie.

– Zawiadom mnie, kiedy się urodzi. I przynieś mi jeszcze koniaku.

## Zarité

Rosette urodziła się w tym samym dniu, w którym zniknął Gambo. Tak było. To ona pomogła mi znieść strach, że złapią go żywego, i pustkę, którą zostawił w moim ciele. Byłam pochłonięta moją matką. Gambo biegnący lasem, ścigany przez psy Cambrya zajmował tylko część moich myśli. Erzulie, loa matko, miej w opiece tę dziewczynkę. Nigdy wcześniej nie czułam tego rodzaju miłości, bo mojego pierwszego dziecka nie mogłam przyłożyć do piersi. Pan ostrzegł Tante Rose, że nie powinnam, oglądać syna, dzięki czemu rozłąka miała być łatwiejsza, ale ona pozwoliła mi przez chwilę go potrzymać, zanim go zabrali. Potem, kiedy mnie myła, powiedziała, że to zdrowy i silny chłopiec. Przy Rosette rozumiałam lepiej, co straciłam. Jeśli zabraliby mi również i ją, oszalałabym jak doña Eugenia. Staralam się o tym nie myśleć, bo myślenie może sprawić, że rzeczy się naprawdę wydarzą, ale niewolnica zawsze żyje w niepewności. Nie możemy chronić dzieci ani obiecywać im, że zostaniemy przy nich, dopóki będą nas potrzebowały. Za szybko je tracimy, dlatego lepiej nie wydawać ich na świat. W końcu przebaczyłam mojej matce, że nie chciała przechodzić przez tę udrękę.

Zawsze wiedziałam, że Gambo odejdzie beze mnie. W głowach oboje to zaakceptowaliśmy, ale nie w sercach. Gambo w pojedynkę miał szansę, jeśli tak było zapisane w jego z'etoile i jeśli pozwoliłyby mu na to loa, ale nawet wszystkie loa razem wzięte nie uratowałyby go przed pojmaniem, gdybym poszła razem z nim. Gambo kładł mi rękę na brzuchu i czuł, jak rusza się dziecko, pewien, że jest jego i że nazwie je Honoré, na pamiątkę niewolnika, który wychował mnie w domu madame Delphine. Nie mógł nazwać go imieniem własnego ojca, który przebywał wśród les Morts i les Mystères, ale Honoré nie był moim krewnym, dlatego użycie jego imienia nie byłoby nieostrożne. Honoré jest odpowiednim imieniem dla kogoś, kto stawia honor ponad wszystko, nawet ponad miłość. „Dla wojownika nie ma honoru bez wolności. Chodź ze mną, Zarité”. Nie mogłam tego zrobić z dużym brzuchem, nie mogłam też zostawić doñi Eugenii, która leżała w łóżku jak kukła, a tym bardziej Maurice'a, mojego chłopca, któremu obiecałam, że nigdy się nie rozstaniemy.

Gambo nie dowiedział się, że urodziłam, bo kiedy ja parłam w chacie Tante Rose, on mknął niczym wiatr. Dobrze to zaplanował. Uciekł o zmierzchu, zanim dozorczy wyszli z psami. Tante Mathilde podniosła alarm dopiero następnego dnia w południe, choć zauważyła jego nieobecność o świcie, dzięki czemu miał kilka godzin przewagi. Była opiekunką Gambo. W Saint-Lazare, jak na wszystkich plantacjach, nowo przybyłym Murzynom przydzielano innego niewolnika, opiekuna, żeby nauczył ich posłuszeństwa, a ponieważ Gambo trafił do kuchni, dali go Tante Mathilde; miała już swoje lata, straciła własne dzieci i polubiła go, dlatego mu pomogła. Prosper Cambray wyjechał z grupą Marechaussée, ścigając niewolników, którzy uciekli jakiś czas wcześniej. Ponieważ zapewniał, że zostali zabici, nikt nie rozumiał, dlaczego z takim uporem szuka ich dalej. Gambo wyruszył w przeciwnym kierunku i przełożonemu nadzorców zajęło trochę czasu takie zorganizowanie polowania, by objęło i jego. Odszedł tej nocy, bo tak wskazały mu loa: pod nieobecność Camhraya i przy pełni księżyca. Nie można biec w bezksiężycową noc. Tak myślę.

Moja córka urodziła się z otwartymi oczami, wydłużonymi, w kolorze moich. Długo nie mogła złapać oddechu, ale kiedy to zrobiła, płomień świecy zadrzał od jej ryku. Przed umyciem Tante Rose położyła mi ją na piersi, choć wciąż byłyśmy połączone grubym flakiem. Nazwałam ją Rosette, ze względu na Tante Rose, którą poprosiłam, żeby by ta jej babką, bo nie miałyśmy żadnej rodziny. Następnego dnia pan ją ochrzcił, polewając czoło wodą i szepcząc jakieś chrześcijańskie słowa, ale w pierwszą niedzielę Tante Rose zorganizowała dla Rosette prawdziwą ceremonię Rada. Pan pozwolił nam urządzić calendę i dał dwie kozy do upieczenia. Tak było. To zaszczyt, ho na plantacji nie świętowało się narodzin niewol-



ników. Kobiety przygotowały jedzenie, a mężczyźni zapalili ogniska i pochodnie i zaczęli grać na bębnach w hunforze Tante Rose. Cienką linią z mąki kukurydzianej moja opiekunka narysowała na ziemi wokół środkowego słupa – poteau-mitan – święty symbol vévé; tam zstąpiły loa i dosiadły kilku sług, ale nie mnie. Tante Rose złożyła w ofierze kurę: najpierw złamała jej skrzydła, potem zębami oderwała głowę, tak jak należało zrobić. Ofiarowałam moją córkę Erzulie. Tańczyłam i tańczyłam; ciężkie piersi, ręce w górze, oszalałe biodra, nogi z dala od moich myśli, odpowiadające na wołanie bębnów.

Na początku pan w ogóle nie interesował się Rosette. Przeszkadzało mu, że płacze i że się nią zajmuję, nie pozwalał mi nosić jej zawieszanej na plecach, jak robiłam z Maurice'em. Musiałam zostawiać ją w skrzynce, kiedy pracowałam. Wkrótce pan znowu wezwał mnie do swojego pokoju, bo podniecały go moje piersi, które stały się dwa razy większe i wystarczyło na nie spojrzeć, żeby popłynęło mleko. Potem zaczął zauważać Rosette, bo Maurice był do niej bardzo przywiązany. Chłopiec po urodzeniu wyglądał jak blada i cicha myszka, która mieściła mi się cała w dłoni, zupełnie inaczej niż moja córka, duża i krzykliwa. Maurice'owi dobrze zrobiło, że spędził pierwsze miesiące życia przyklejony do mnie jak mali Afrykańczycy, których – lak mi powiedziano – zawsze nosi się na rękach: dotykają ziemi dopiero, gdy potrafią już chodzić. Ciepło mojego ciała i dobry apetyt sprawiły, że rósł zdrowy i uniknął chorób, które zabijają tyle dzieci. Był bystry, wszystko rozumiał, a odkąd skończył dwa lata, zadawał pytania, na które nawet jego ojciec nie potrafił odpowiedzieć. Nikt nie uczył go créole, którym posługiwał się tak samo jak francuskim. Pan nie pozwalał mu przebywać z niewolnikami, ale on zniknął, żeby pobawić się z nie licznymi Murzyniátkami z plantacji, a ja nie mogłam go za to ganić, bo nie ma nic smutniejszego od samotnego dziecka. Od początku Maurice stał się stróżem Rosette. Nie odstępował jej na krok, chyba że ojciec zabierał go na przejażdżkę, by pokazać mu posiadłość. Pan zawsze przykładął dużą wagę do swego dziedzictwa, dlatego kilka lat później tak cierpiał z powodu zdrady syna. Maurice spędzał godziny obok skrzynki Rosette, bawiąc się klockami i drewnianym konikiem, płakał, kiedy ona płakała, płatał jej figle i umierał ze śmiechu, jeśli na nie reagowała. Pan zabronił mi mówić, że Rosette jest jego córką, co nigdy nie przyszłoby mi do głowy, ale Maurice odgadł to albo sobie wymyślił, bo nazywał ją siostrą. Ojciec zwracał mu ciągle uwagę, ale nie potrafił go tego oduczyć, jak oduczył go mówienia do mnie ma-ma. Maurice bał się swojej prawdziwej matki, nie chciał jej widzieć, nazywał ją „chorą panią”. Nauczył się zwracać do mnie Tété, jak wszyscy, oprócz tych, którzy wiedzą, jaka jestem w środku, i mówią do mnie Zarité.

## Wojownik

Po kilku dniach pościgu za Gambo Prosper Cambray wrócił czerwony z wściekłości. Nie natrafił na ślad chłopaka i został ze sforą otępiałych psów, półślepych, z poranionymi pyskami. Winą obarczył Tété. Po raz pierwszy oskarżył ją otwarcie i wiedział, że tym samym coś bardzo ważnego pękło w jego relacjach z pryncypałem. Do tej pory wystarczyło jedno jego słowo, by wyrok na niewolnika był nieodwołalny, a kara natychmiastowa, ale nigdy nie odważył się atakować Tété.

– Domem nie kieruje się tak jak plantacją, Cambray – tłumaczył Valmorain.

– To ona odpowiada za służących! – nalegał tamten. – Jeśli nie damy jej nauczki, będą znikać inni.

– Załatwię to po swoim – odparł pryncypał, który niezbyt kwapił się, by podnieść rękę na Tété, bo dopiero co urodziła dziecko i zawsze była nienaganną gospodynią. W domu wszystko chodziło jak w zegarku, a służba dobrze wykonywała swoje obowiązki. Poza tym był jeszcze Maurice i uczucie, jakim chłopiec darzył tę kobietę. Wychłostanie jej, czego domagał się Cambray, byłoby jak wychłostanie Maurice'a.

– Ostrzegałem pana jakiś czas temu, szefie, że ten czarnuch ma zły charakter; nie bez powodu musiałem go obić, jak tylko go kupiłem, ale widocznie powinienem być bardziej stanowczy.

– W porządku, Cambray, jak go złapiesz, będziesz mógł z nim zrobić, co uznasz za stosowne – pozwolił mu Valmorain, podczas gdy Tété, która słuchała, stojąc w kącie niczym winowajca, za wszelką cenę starała się ukryć niepokój.

Valmorain zbyt martwił się swoimi interesami i sytuacją w kolonii, żeby zaprzętać sobie głowę tym, że ma jednego niewolnika mniej lub więcej. Zupełnie go sobie nie przypominał, niemożliwością było odróżnienie jednego od setek innych. Tété kilka razy wspomniała o „chłopcu z kuchni” i wyobrażał go sobie jako smarkacza, nie mógł nim jednak być, skoro zdobył się na tak wiele – żeby uciec, trzeba mieć jaja. Był pewien, że Cambray wkrótce trafi na jego trop, miał aż nadto doświadczenia w polowaniu na czarnych. Musiał przyznać rację przełożonemu nadzorców: powinni zwiększyć dyscyplinę. Na wyspie było zbyt dużo problemów z wolnymi, żeby tolerować zuchwałość niewolników. Francuskie Zgromadzenie Narodowe odebrało kolonii jej niewielką autonomię: oznaczało to, że jacyś biurokraci z Paryża, których noga nigdy nie postąpiła na Antylach i, jak twierdził, ledwo umieli podetrzeć sobie tyłek, teraz decydowali o sprawach najwyższej wagi. Żaden *grand blanc* nie miał zamiaru akceptować absurdalnych dekretów, które wymyślali. Trzeba było widzieć ignorancję tych ludzi! Rezultatem były rozprężenie i chaos, o czym świadczyła sprawa niejakiego Vincenta Ogé, bogatego Mulata, który pojechał do Paryża żądać równych praw dla *affranchis* i – co było do przewidzenia – wrócił z podkulonym ogonem, no bo gdzie byśmy zaszli, gdyby zatarły się naturalne różnice między klasami i rasami. Ogé i jego kompan Chavannes, z pomocą kilku abolicjonistów, których nigdy nie brakuje, podzegli do buntu na północy, bardzo blisko Saint-Lazare. „Trzystu dobrze uzbrojonych Mulatów! Trzeba było całego pułku z Le Cap, żeby ich pokonać”, powiedział Valmorain Tété w czasie jednej z ich nocnych rozmów. Dodał, że bohaterem dnia był jego znajomy, podpułkownik Étienne Relais, wojskowy o dużym doświadczeniu i odwadze, lecz republikańskich poglądach. Tych, którzy pozostali przy życiu, schwytano po szybkiej akcji i w następnych dniach w centrum miasta wzniesiono setki szubienic, las wisielców powoli kruszejących w ciepłe – uczta dla sępów. Obu przywódców poddano powolnym torturom na miejskim placu, odmawiając im aktu miłosierdzia, którym było dobicie uderzeniem topora. Nie żeby był zwolennikiem okrutnych kar, ale te czasami okazywały się budujące dla społeczeństwa. Tété słuchała niema, myśląc o Relais'm – wtedy jeszcze kapitanie – którego ledwo pamiętała. Nie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądała, widziała go tylko dwa razy w mieszkaniu przy placu Clugny, wiele lat temu. Jeśli ten mężczyzna nadal kochał Violette, musiało mu być trudno walczyć z *affranchis* – Ogé mógł należeć do jej przyjaciół lub krewnych.

Jeszcze przed ucieczką Gambo został wyznaczony do opieki nad mężczyznami złapanymi przez Cambraya, trzymanymi w gnojowisku, które służyło za lazaret. Kobiety z plantacji karmiły ich kukurydzą, batatami, okrą, juką i bananami z własnych zapasów, ale Tante Rose – jako że rozmowa z Cambrayem była bezcelowa – stawiała się przed panem i oznajmiła mu, że nie przeżyją bez zupy na kościach, ziołach i wątrobie zwierząt spożywanych we dworze. Valmorain podniósł wzrok znad książki o ogrodach Króla Słońce, zły, że mu przerywają, jednak ponieważ ta dziwna kobieta go onieśmielała, postanowił jej wysłuchać. „Ci czarni dostali już nauczki. Daj im swojej zupy, a jeśli ich uratujesz, nie będę na tym stratny”, odpowiedział. Przez pierwsze dni karmił ich Gambo, bo nie mogli jeść sami; rozdzielał między nich papkę z liści i spopielonego ziarna komosy ryżowej, którą zdaniem Tante Rose powinni trzymać w ustach, obracając jak kulę, żeby wytrzymać ból i nabrać energii. Był to sekret araukańskich kacyków, który jakimś sposobem przetrwał trzysta lat i który znali tylko nieliczni uzdrowiciele. Roślina należała do bardzo rzadkich, nie sprzedawano jej na straganach dla czarowników, a Tante Rose nie udało się jej wyhodować w swoim ogródku, dlatego stosowała ją wyłącznie w najcięższych przypadkach.

Gambo wykorzystał chwile spędzane sam na sam z ukaranymi niewolnikami, żeby dowiedzieć się, jak uciekli, dlaczego ich złapano i co stało się z sześcioma, których brakowało. Ci, którzy mogli mówić, opowiadali, że rozdzielili się po opuszczeniu plantacji; część poszła w stronę rzeki z zamiarem popłynięcia w górę, ale z prądem można walczyć tylko przez chwilę, bo w końcu zawsze wygrywa. Usłyszeli strzały i nie byli pewni, czy tamtych zabito, ale bez względu na to, co się z nimi stało, na pewno spotkał ich lepszy los, Gambo wypytywał o las, drzewa, liany, błoto, kamienie, siłę wiatru, temperaturę i światło. Cambray i inni łowcy Murzynów znali okolicę na pamięć, były jednak miejsca, których unikali, jak bagna i „skrzyżowania” zmarłych, dokąd nie zapuszczali się nawet najbardziej zdesperowani uciekinierzy, oraz miejsca niedostępne dla mułów i koni. Biali całkowicie zależeli od swoich zwierząt i broni palnej, co czasami okazywało się kłopotliwe. Konie łamały sobie nogi w kostkach i trzeba było je zabijać. Załadowanie muszkietu zajmowało kilka sekund, broń często się zapychała albo proch wilgotniał i wtedy nagi człowiek z nożem do cięcia trzciny wykorzystywał swoją przewagę. Gambo zrozumiał, że największym zagrożeniem są psy, zdolne wyczuć zapach człowieka na odległość kilometra. Nie było nic bardziej przerażającego niż nadciągające chóralne ujadanie.

W Saint-Lazare psiarnie znajdowały się za stajniami, na jednym z dworskich podwórców. Psy myśliwskie i stróżujące były na dzień zamykane, aby nie oswajały się z ludźmi – wyprowadzano je tylko na nocne obchody. Dwa jamajskie brytany, pokryte bliznami i wyszkolone, by zabijać, należały do Prospera Cambraya. Kupił je z myślą o walkach psów, z których czerpał podwójną korzyść: zaspokajały jego upodobanie do okrucieństwa i przynosiły dochody. Ten sport zastąpił mu zawody niewolników, z których musiał zrezygnować, ponieważ zabronił ich Valmorain. Dobry mistrz afrykański, umiejący zabić rywala gołymi rękoma, mógł dać właścicielowi wielkie zyski. Cambray miał swoje sposoby; żywił ich surowym mięsem, przed każdymi zawodami doprowadzał do szału mieszanką tafii, prochu strzelniczego i ostrej papryki, po zwycięstwie nagradzał kobietami, a za przegraną kazał drogo płacić. Kiedy był jeszcze łowcą Murzynów, uzupełniał swoje dochody dzięki dwóm mistrzom, Kongijczykowi i Mandindze, ale potem sprzedał ich i kupił brytany, których sława dotarła aż do Le Cap. Trzymał je bez jedzenia i picia, uwiązane, żeby się wzajemnie nie rozszarpały. Gambo musiał się ich pozbyć, ale gdyby je otruł, Cambray katowałby pięciu niewolników za każdego psa, dopóki któryś nie wyznałby prawdy.

W porze sjeisty, kiedy przełożony nadzorców szukał ochłody w rzece, chłopak udał się do jego chaty stojącej na końcu alei obsadzonej palmami kokosowymi, w pewnej odległości od dworu i pomieszczeń niewolników pracujących w domu. Wcześniej sprawdził, które niewolnice Cambray wybrał w tym tygodniu na swoje konkubiny. Były to dziewczynki dopiero wchodzące w okres dojrzewania, a już wylęknione jak okładane kijami zwierzęta. Przyjęły go wystraszone, ale uspokoił je kawałkiem ukradzionego z kuchni ciasta i poprosił, by zrobiły mu kawę. Zajęte podsycaniem ognia nie zauważyły, że wślizgnął się do wnętrza. Dom był niewielki, lecz wygodny, zbudowany tak, by zapewnić przewiew, i postawiony

na wzniesieniu jak dwór, dla uniknięcia szkód w czasie powodzi. Część nielicznych, prostych mebli należała kiedyś do Valmoraina, który wyrzucił je, kiedy się ożenił. Gambo obszedł wszystko w niespełną minutę. Zamierzał ukraść koc, ale w kącie zobaczył kosz z brudnymi ubraniami, szybko wyciągnął stamtąd koszulę przełożonego nadzorców, zwinął ją w kulę i wyrzucił przez okno w zarośla, potem bez pośpiechu wypił swoją kawę i pożegnał dziewczynki, obiecując, że jak tylko będzie mógł, przyniesie im więcej ciasta. Kiedy zapadł zmierzch, wrócił po koszulę. W spiżarni, do której klucze zawsze wisały u pasa Tété, trzymano worek ostrej papryki, trującego proszku używanego do tępienia skorpionów i gryzoni, które padały trupem po jego powąchaniu. Nawet jeśli Tété zauważyła, że ubyło zbyt wiele papryki, nic nie powiedziała.

W dniu wskazanym przez *loa* chłopak wyruszył w drogę, o zmierzchu, kiedy jedynym wspomnieniem po mijającym dniu były resztki światła. Musiał przejść przez wioskę niewolników, podobną do tej, w której spędził pierwsze piętnaście lat życia i która płonęła niczym wielki stos, kiedy widział ją po raz ostatni. Ludzie nie wrócili jeszcze z pól i było prawie pusto. Kobieta niosąca dwa duże wiadra wody nie zdziwiła się na widok nieznajomej twarzy, bo niewolników było mnóstwo i wciąż przybywali nowi. Pierwsze godziny będą dla Gambo balansowaniem między wolnością a śmiercią. Tante Rose, która mogła chodzić nocą tam, gdzie inni bali się zapuszczać w biały dzień, opisała mu teren, opowiadając o roślinach leczniczych i takich, których należało unikać: o grzybach zwiastujących nieszczęście, drzewach, których liście całkowicie pozbawiają człowieka skóry, anemonach, pod którymi kryją się ropuchy odbierające wzrok jednym plunięciem. Wy tłumaczyła mu, jak przeżyć w lesie dzięki owocom, orzechom, korzeniom i pędom tak pożywnym jak kawałek pieczonej koźliny, i jak odnaleźć właściwy kierunek za pomocą robaczków świętojańskich, gwiazd i świstu wiatru. Gambo nigdy nie opuszczał Saint-Lazare, ale dzięki Tante Rose był w stanie odtworzyć w głowie położenie krainy zarośli mangrowych i bagnisk, gdzie wszystkie zmię są jadowite, oraz miejsc, w których krzyżują się dwa światy i gdzie czekają *les invisibles*. „Byłam tam i widziałam na własne oczy Kalfu i Gede, ale się nie bałam. Trzeba im się pokłonić z szacunkiem, poprosić, żeby pozwolili przejść, i zapytać o drogę. Jeśli nie wybiła godzina twojej śmierci, to ci pomogą. Oni decydują”, powiedziała uzdrowicielka. Chłopak zapytał ją o zombi, o których usłyszał po raz pierwszy na wyspie; w Afryce nikt nie podejrzewał ich istnienia. Wyjaśniła, że rozpoznaje się ich po trupim wyglądzie, zapachu zgnilizny i sposobie poruszania – na sztywnych nogach i ze sztywnymi rękami. „Bardziej niż zombi trzeba się bać niektórych żywych, takich jak Cambrey”, dodała. Ta rada nie uszła jego uwagi. Kiedy pojawił się księżyc, chłopak zaczął biec zygzakiem. Co jakiś czas zostawiał w zaroślach strzęp koszuli przełożonego nadzorców, aby zmylić brytany, które rozpoznawały tylko jego zapach, jako że nikt inny się do nich nie zbliżał, i wprowadzić w błąd inne psy. Dwie godziny później dotarł nad rzekę. Z jękiem ulgi zanurzył się w zimnej wodzie aż po szyję, ale suchą torbę trzymał wysoko nad głową. Obmył pot i krew z zadrapań i skaleczeń, które pozostawiły na jego ciele gałęzie i kamienie, skorzystał z okazji, żeby się napić i wysikać. Poszedł dalej korytem rzeki, nie zbliżając się do brzegu, choć to nie mogło zmylić psów, które węsząc, zataczały coraz większe kręgi, aż natrafiały na trop, ale w ten sposób zostawiał je z tyłu. Nie próbował dostać się na drugą stronę. Prąd był bezlitosny, tylko w kilku miejscach dobry pływak mógłby podjąć takie ryzyko, ale on ich nie znał i nie umiał pływać. Z położenia księżyca wywnioskował, że jest mniej więcej północ; kiedy obliczył odległość, jaką przebył, wyszedł z wody i zaczął rozsypywać sproszkowaną paprykę. Nie czuł zmęczenia, był pijany wolnością.

Wędrował trzy dni i trzy noce, żywiąc się jedynie magicznymi liśćmi Tante Rose. Czarna kula, którą trzymał w ustach, powodowała drętwienie dziąseł i sprawiała, że był rześki i nie czuł głodu. Opuściwszy pola trzciny, szedł przez las, dżunglę, bagniska, okrążając równinę w kierunku gór. Nie słyszał szczekania psów i to dodawało mu otuchy. Pił wodę z kałuż, jeśli je znalazł, ale trzeciego dnia musiał wytrzymać bez picia, w ognistym słońcu, które wypełniło świat rozżarzoną bielą. Kiedy nie był już w stanie zrobić następnego kroku, z nieba spadł krótkotrwały, ale chłodny deszcz, który przywrócił go do

życia. Znajdował się wtedy na otwartej przestrzeni, na drodze, którą Cambray z góry wykluczył, bo tylko szalenie odważyłby się nią pójść. Nie mógł tracić czasu na szukanie pożywienia, a jeśli zatrzymałby się na odpoczynek, nie byłby w stanie się podnieść. Jego nogi poruszały się same, napędzane deliryczną nadzieją i kulą z liści w ustach. Już nie myślał, nie czuł bólu, zapomniał o strachu i o wszystkim, co zostawił za sobą, nawet o ciele Zarité; pamiętał tylko swoje imię wojownika. Przez jakiś czas szedł energicznym krokiem, ale nie biegiem, spokojnie pokonując przeszkody w terenie, zgodnie z tym, co powiedziała mu Tante Rose, aby nie opaść z sił i nie zgubić drogi. W pewnym momencie wydało mu się, że płacze żywymi łzami, ale nie był pewien, czy nie jest to po prostu wspomnienie kropli rosy albo deszczu na skórze. Zobaczył kozę ze złamaną nogą, beczącą między dwiema skałami, ale przewyciężył pokusę, by poderżnąć jej gardło i wypić krew, tak samo jak nie szukał schronienia wśród wzgórz, które wydawały się w zasięgu ręki, i nie przysiadł, by zasnąć na chwilę, korzystając ze spokoju nocy. Wiedział, dokąd musi dojść, liczył się każdy krok, każda minuta.

Wreszcie dotarł do podnóża gór i rozpoczął mozolną wspinaczkę, z kamienia na kamień, nie patrząc w dół, by nie poczuć zawrotu głowy, ani w górę, by nie stracić ducha. Wypluł ostatnią porcję liści i znowu dopadło go pragnienie. Wargi miał spuchnięte i popękane. We wrzącym powietrzu stracił jasność umysłu, kręciło mu się w głowie, z trudem przypominał sobie instrukcje Tante Rose, błagał o cień i wodę, ale wspinał się dalej, uczepiony skał i korzeni. Nagle znalazł się w pobliżu swojej wioski, na bezkresnych równinach; pilnował bydła o długich rogach i myślał o jedzeniu, które jego matki podadzą w chacie ojca, najważniejszym miejscu rodzinnej wspólnoty. Tylko on, Gambo, najstarszy syn, jadał z ojcem, siedząc u jego boku, jak równy z równym. Od urodzenia przygotowywał się, by go zastąpić; pewnego dnia on też zostanie sędzią i wodzem. Nieostrożne stąpienie i ostry ból spowodowany uderzeniem o kamienie przeniosły go z powrotem na Saint-Domingue; zniknęły krowy, wioska, rodzina, a jego *ti-bon-ange* znów znalazł się w złym śnie niewoli, który trwał już rok. Przez wiele godzin chłopak wspinał się po urwistych zboczach, aż w końcu miał wrażenie, że robi to nie on, lecz jego ojciec. Głos ojca powtarzał imię Gambo. I to ojciec trzymał na dystans czarnego ptaka o nagiej szyi, który zataczał kręgi nad jego głową.

Dotarł do stromej, wąskiej ścieżki na skraju przepaści, wijącej się między skałami i szczelinami. Za zakrętem natknął się na coś, co wyglądało jak wykute w litej skale schody, ukrytą drogę indiańskich wodzów, którzy zdaniem Tante Rose nie zniknęli po tym, jak zabili ich biali, byli bowiem nieśmiertelni. Tuż przed zmierzchem stanął na jednym z budzących strach „skrzyżowań”. Zanim tam dotarł, zobaczył znaki: krzyż utworzony przez dwa kije, ludzką czaszkę, kości, kłębek piór i włosów, kolejny krzyż. Wiatr niósł wilcze głosy rozbrzmiewające wśród skał, a dwa czarne drapieżne ptaki dołączyły do pierwszego, wypatrując go z góry. Strach, który przez trzy dni miał za plecami, teraz zaatakował od przodu, ale Gambo nie mógł się już wycofać. Szczekał zębami, jego pot zamarzał. Słabo widoczna ścieżka wodzów urwała się nagle w miejscu, gdzie ktoś wbił w ziemię dzidę i podparł ją stosem kamieni: był to *poteau-mitan*, gdzie przecinały się niebo i to, co poniżej, świat *loa* i świat ludzi. Wtedy ich zobaczył. Najpierw dwa cienie, potem błysk metalu – noży albo maczet. Nie podniósł wzroku. Wypowiedział pokorne pozdrowienie, powtarzając hasło, które otrzymał od Tante Rose. Nie było odpowiedzi, ale czuł ciepło tych istot, stojących tak blisko, że mógłby ich dotknąć, gdyby wyciągnął rękę. Nie cuchnęły zgnilizną ani cmentarzem, wydzielały taki sam zapach jak ludzie z pól trzciny. Poprosił Kalfu i Gede, aby go przepuścili, i znów nie doczekał się odpowiedzi. Wreszcie, słabym głosem, który zdołał wydobyć z gardła, dławiąc się szorstkim piaskiem, zapytał, którądy ma iść dalej. Poczuł, jak biorą go pod rękę.

Po długim czasie Gambo obudził się w ciemnościach. Chciał usiąść, ale bolały go wszystkie włókna mięśni i nie mógł się poruszyć. Jęknął, ponownie zamknął oczy i zanurzył w świecie tajemnic, do którego bezwolnie wchodził i z którego wychodził, czasem skulony z bólu, to znów unosząc się w przestrzeni ciemnej i głębokiej jak sklepienie niebieskie w bezksiężycową noc, Powoli odzyskiwał świadomość,

otulony gęstą mgłą, odrętwiały. Leżał nieruchomo i cicho, przyzwyczajając oczy do półmroku. Nie było księżycy ani gwiazd, żadnego szeptu wiatru, tylko cisza i chłód. Pamiętał jedynie dzidę ze „skrzyżowania”. Nagle zobaczył światełko chwiejące się w niewielkiej odległości, a zaraz potem jakaś postać pochyliła się nad nim z lampką, kobiecy głos powiedział mu coś, czego nie zrozumiał, czyjeś ramię pomogło mu usiąść i jakaś ręka podsunęła do ust tykwę z wodą. Łapczywie wypił całą zawartość. Tak dowiedział się, że dotarł do celu. Był w jednej ze świętych grot Arawaków, którą zbiegli niewolnicy wykorzystywali jako punkt obserwacyjny.

W ciągu kolejnych dni, tygodni i miesięcy Gambo będzie odkrywał świat uciekinierów, istniejący na tej samej wyspie i w tym samym czasie, ale w innym wymiarze, świat taki jak w Afryce, choć o wiele bardziej prymitywny i nędzny. Będzie słuchał znajomo brzmiących języków i opowieści, będzie jeść fufu swoich matek; znowu usiądzie przy ognisku, aby naostrzyć broń, jak robił to z ojcem, tyle że pod innymi gwiazdami. W obozach rozsianych w najbardziej niedostępnych partiach gór, na prawdziwym pustkowiu, mieszkały tysiące mężczyzn i kobiet, którzy uciekli przed niewolnictwem, i mieszkały ich dzieci urodzone jako wolni ludzie. Żyli w stałej gotowości do obrony i nie ufali niewolnikom, którzy zbiegli z plantacji, ci bowiem mogli ich zdradzić, ale Tante Rose przekazała im jakimiś tajemnymi kanałami, że Gambo jest w drodze. Z dwudziestu uciekinierów z Saint-Lazare tylko sześciu dotarło do „skrzyżowania”; dwaj z nich byli tak ciężko poranieni, że nie przeżyli. Potwierdziło się podejrzenie Gambo, że Tante Rose służy jako łączniczka między niewolnikami a bandami marronów. Żadne tortury nie wydobyły jej imienia z tych, których schwytał Cambray.

## Konspiracja

Osiem miesięcy później, bez ceregieli i bez lęków, zmarła we dworze *habitation* Saint-Lazare Eugenia García del Solar. Miała trzydzieści jeden lat, z czego przez siedem była nie zrównoważona, a cztery przeżyła w opiumowym półśnie. Tamtego ranka jej opiekunka zasnęła i to Tété, która jak zwykle weszła, by nakarmić ją kaszką i przebrać na dzień, znalazła Eugenię wtuloną w poduszki jak noworodek. Pani uśmiechała się, a zadowolenie z tego, że umarła, sprawiło, iż jej twarz odzyskała coś z dawnego piękna i młodości. Tété była jedyną osobą, która opłakiwała tę śmierć – zajmowała się madame tak długo, że w końcu prawdziwie ją pokochała. Umyła Eugenię, ubrała i uczesała po raz ostatni, potem wsunęła mszał w jej skrzyżowane na piersi ręce. Poświęcony różaniec – spadek, który dostała od pani – schowała do zamszowego woreczka i powiesiła na szyi pod bluzką. Zanim się pożegnała, zdjęła Eugenie złoty medalik z wizerunkiem Najświętszej Panienki, aby dać go Maurice'owi. Potem poszła po Valmoraina.

Mały Maurice nie zdał sobie sprawy ze śmierci matki, ponieważ od miesięcy „chora pani” przebywała w odosobnieniu, a teraz nie pozwolono mu zobaczyć ciała. Kiedy z domu wynoszono trumnę z drewna orzechowego zdobioną srebrnymi nitami, którą jego ojciec kupił od amerykańskiego przemytnika, po tym jak żonę naszła chęć, żeby się zabić, Maurice bawił się na podwórku z Rosette w pogrzeb zdechłego kota. Nigdy wcześniej nie brał udziału w tego rodzaju rytuałach, ale nie brakowało mu wyobraźni – zwierzaka pożegnano z większym uczuciem i bardziej uroczyście niż Eugenię.

Rosette była śmiała i nad wiek rozwinięta. Zdziwiająco szybko pełzała po ziemi na pulchnych kolankach, a za nią Maurice, który nie odstępował jej na krok. Tété kazała zaryglować skrzynie i meble, w których dziewczynka mogła przyciąć sobie place, i zablokować wejścia na galerię kratami z kurnika, żeby nie wypadła. Pogodziła się z obecnością myszy i skorpionów, skoro jej córka potrafiła przytknąć nos do zabójczej papryki, co o wiele bardziej rozważnemu Maurice'owi nigdy nie przyszłoby do głowy. Była ładną dziewczynką. Jej matka przyznawała to z ciężkim sercem, bo dla niewolnicy uroda jest nie szczęściem – lepiej, gdyby pozostawała niewidzialna. Tété, która w wieku dziesięciu lat tak bardzo pragnęła być jak Violette Boisier, stwierdziła zdumiona, że za sprawą jakiegoś cudownego zrządzenia losu Rosette jest podobna do tamtej pięknej kobiety o pofalowanych włosach i zniewalającym uśmiechu z dwoma dołeczkami. W skomplikowanej klasyfikacji rasowej obowiązującej na wyspie była kwarteronką, córką białego i Mulatki, i kolorem skóry bardziej przypominała ojca niż matkę. Mamrotała coś w żargonie brzmiącym jak język odszczepieńców, który Maurice bez trudu tłumaczył. Chłopiec znosił jej kaprysy z cierpliwością dziadka, która z czasem przekształciła się w czułą troskliwość i miała odcisnąć piętno na ich życiu. Stał się jej jedynym przyjacielem, pocieszał ją w smutkach i uczył wszystkiego, co nieodzwonne, począwszy od omijania z daleka psów do walk, a skończywszy na literach alfabetu. Ale to było później. Na początku pokazał jej rzecz najważniejszą: jak trafić do serca ojca. Maurice uczynił to, czego Tété nie odważyła się zrobić – narzucił dziewczynkę Toulouse'owi Valmorainowi w sposób nie dopuszczający sprzeciwu. Pan przestał ją traktować, jakby była jednym z należących do niego przedmiotów, i zaczął szukać w jej rysach i charakterze siebie samego. Niczego nie znalazł, ale mimo to darzył ją wyrozumiałą czułością, jaką budzą zwierzątka domowe, i pozwalał jej mieszkać we dworze, zamiast odesłać do części przeznaczony dla niewolników. W przeciwieństwie do matki, której powaga była niemal wadą, Rosette okazała się gadułą i czarującym, tryskającym energią dzieckiem, które wносиło do domu radość, najlepsze lekarstwo na panującą w tamtych latach niepewność jutra.

Kiedy Francja rozwiązała Zgromadzenie Kolonialne na Saint-Domingue, patrioci – jak określali samych siebie monarchistyczni koloniści – odmówili podporządkowania się władzom w Paryżu. Po długim okresie izolacji Valmorain zaczął spiskować z innymi plantatorami. Ponieważ często jeździł do Le Cap, wynajął tam umeblowany dom należący do bogatego portugalskiego kupca, który chwilowo prze-

bywał w swoim kraju. Budynek stał blisko portu i był wygodny, ale Toulouse myślał o rychłym kupnie własnego domu, z pomocą agenta, który sprzedawał jego cukier, tego samego starego, nadzwyczaj uczciwego Żyda, który służył ojcu.

To Valmorain rozpoczął potajemne rozmowy z Anglikami. W młodości poznał pewnego marynarza, który teraz dowodził brytyjską flotą na Karaibach. Dostał instrukcje, by interweniować w kolonii, gdy tylko nadarzy się okazja. Był to czas, kiedy starcia między białymi i Mulatami stały się niesłychanie zaciekłe, a Murzyni wykorzystywali chaos, żeby się buntować, najpierw na zachodzie wyspy, potem na północy, w Limbe. Patrioci śledzili rozwój wydarzeń z wielką uwagą, w napięciu wyczekując sposobności, by zdradzić rząd francuski.

Valmorain od miesiąca mieszkał w Le Cap z Tété, dziećmi i trumną Eugenii. Zawsze podróżował ze swoim synem, a Maurice z kolei nie ruszał się nigdzie bez Rosette i Tété. Sytuacja polityczna była zbyt niestabilna, żeby rozstawać się z dzieckiem, nie chciał też zostawiać Tété na łasce Prospera Cambraya, który miał ją na oku i nawet zamierzał ją kupić. Valmorain uważał, że ktoś inny na jego miejscu sprzedałby ją, by zadowolić przełożonego nadzorców i przy okazji pozbyć się niewolnicy, która już go nie podniecała, ale Maurice kochał Tété jak matkę. W dodatku sprawa ta stała się przedmiotem cichej wojny między nim a przełożonym nadzorców. W tamtym czasie brał udział w politycznych zebraniach patriotów, które odbywały się w jego domu, w atmosferze tajemnicy i konspiracji, choć w rzeczywistości nikt ich nie szpiegował. Zamierzał znaleźć nauczyciela dla Maurice'a, który miał właśnie skończyć pięć lat, a żył jak dzikus. Powinien zapewnić mu podstawy wykształcenia, co w dalszej przyszłości umożliwiłoby chłopcu naukę w szkole z internatem we Francji. Tété modliła się, by ten moment nigdy nie nastąpił, przekonana, że Maurice umarłby z dała od niej i od Rosette. Musiał również coś postanowić w sprawie Eugenii. Dzieci przywykły do trumny tarasującej korytarz i w sposób naturalny przyjęły do wiadomości, że zawiera doczesne szczątki „chorej pani”. Nie pytały, czym dokładnie są doczesne szczątki, oszczędzając Tété tłumaczenia czegoś, co wywołałoby u Maurice'a kolejne koszmary, ale kiedy Valmorain nakrył je na próbie otwarcia trumny kuchennym nożem, zrozumiał, że najwyższy czas podjąć jakąś decyzję. Poleciał swojemu agentowi wysłać skrzynię na cmentarz zakonnic na Kubie, gdzie Sancho wykupił niszę – Eugenia, w obawie, że jej kości wylądują w murzyńskim bębnie, kazała mu przysiąc, iż nie pochowa jej na Saint-Domingue. Agent postanowił, że wyśle trumnę statkiem odpływającym w tamtym kierunku, a na razie oparł ją o ścianę w kącie piwniczki z winami, gdzie stała zapomniana do czasu, kiedy dwa lata później strawił ją pożar.



## *Powstanie na północy*

Prospera Cambraya obudził o świcie pożar na jednym z pól i krzyki niewolników, z których wielu nie wiedziało, co się dzieje, ponieważ nie zostali wtajemniczeni w plany powstania. Korzystając z powszechnego zamętu, przełożony nadzorców kazał otoczyć teren, na którym stały chaty, aby zapanować nad ludźmi, zanim zdążą zareagować. Służba domowa nie brała w niczym udziału, stała stłoczona wokół dworu, spodziewając się najgorszego. Cambray rozkazał zamknąć kobiety i dzieci, a sam przeprowadził czystkę pośród mężczyzn. Nie było specjalnych powodów do lamentu: pożar został szybko opatnowany, spłonęły tylko dwa *carrés* suchej trzciny; o wiele groźniej wyglądała sytuacja na innych plantacjach na północy. Kiedy przybyły pierwsze oddziały Marechaussée z zadaniem przywrócenia porządku w regionie, Prosper Cambray ograniczył się do przekazania im tych, których uznał za podejrzanych. Wolałby osobiście się nimi zająć, ale chodziło o skoordynowanie wysiłków i stłumienie buntu w zarodku. Zabrano ich do Le Cap, by zmusić do wydania imion przywódców.

Dopiero następnego dnia, kiedy w Saint-Lazare trzeba było opatrzeć ukaranych chłostą, przełożony nadzorców zauważył, że zniknęła Tante Rose.

W tym czasie w Le Cap Violette Boisier i Loula skończyły pakowanie dobytku rodziny i oddały go na przechowanie do jednego z portowych składów, gdzie miał czekać na statek, który zawiezie ich do Francji. Nareszcie, po prawie dziesięciu latach czekania, pracy, oszczędzania, pożyczania na procent i cierpliwości, miał się urzeczywistnić plan obmyślony przez Étienne'a Relais'go na początku jego związku z Violette. Już zaczęli żegnać się z przyjaciółmi, kiedy wojskowego wezwano do biura gubernatora, wicehrabiego de Blanchelande. Budynek nie miał w sobie nic z przepychu intendentury, odznaczał się koszarową surowością, pachniał skórą i metalem. Wicehrabia był człowiekiem dojrzałym, miał za sobą błyskotliwą karierę wojskową: zanim wysłano go na Saint-Domingue, był marszałkiem polowym i gubernatorem Trynidadu. Przyjechał niedawno, dopiero zaczynał sondować nastroje i nie wiedział, że na obrzeżach miasta zanoszą się na rewolucję. Posiadał listy uwierzytelniające Zgromadzenia Narodowego w Paryżu, którego kapryśni członkowie mogli odebrać mu swoje zaufanie równie szybko, jak go nim obdarzyli. Zdaniem największych radykałów, jakobinów, którzy starali się usunąć nawet najmniejsze pozostałości ustroju monarchistycznego, szlacheckie pochodzenie i majątek działały na jego niekorzyść. Étienne'a Relais'go poprowadzono do kancelarii wicehrabiego przez szereg niemal pustych sal, w których wisały ciemne, przyczernione sadzą z lamp obrazy przedstawiające wielkie sceny bitewne. Gubernator, ubrany po cywilnemu i bez peruki, niknął za ciężkim koszarowym stołem, który widać stał tu od lat, bo był cały poobijany. Za jego plecami wisała francuska flaga zwieńczona herbem Rewolucji, a po lewej stronie, na innej ścianie – fantazyjna mapa Antyli ilustrowana potworami morskimi i starymi galeonami.

– Podpułkownik Étienne Relais, z pułku w Le Cap – zameldował oficer, czując się śmiesznie w galowym mundurze i ze wszystkimi odznaczeniami w obecności zwyczajnie ubranego zwierzchnika.

– Niech pan siada, podpułkowniku, myślę, że ma pan ochotę na kawę – westchnął wicehrabia, który wyglądał, jakby miał za sobą ciężką noc.

Wyszedł zza stołu i poprowadził gościa do dwóch zniszczonych skórzanych foteli. Natychmiast, nie wiadomo skąd, pojawił się ordynans w asyście trzech niewolników, cztery osoby do niesienia dwóch filiżaneczek: jeden z nich trzymał tacę, drugi nalewał kawę, trzeci proponował cukier. Po obsłużeniu obu mężczyzn niewolnicy wycofali się tyłem, natomiast ordynans stanął na baczność między fotelami. Gubernator był człowiekiem średniego wzrostu, szczupłym, miał głębokie zmarszczki i rzadkie siwe włosy. Z bliska robił o wiele mniejsze wrażenie niż na koniu, w kapeluszu z piórami, obwieszony odznaczeniami i ze skrzyżowaną na piersi szarfą odpowiadającą jego stanowisku. Relais czuł się bardzo nie-swojo, siedząc na brzeжку fotela i niezdarnie trzymając porcelanową filiżankę, która mogła rozpaść się

na kawałki od jednego dmuchnięcia. Nie umiał obejść się bez sztywnego ceremoniału, do którego zobowiązywał wojskowy stopień gubernatora.

– Zadaje pan sobie zapewne pytanie, podpułkowniku Relais, dlaczego pana wezwałem – powiedział Blanchelande, mieszając kawę. – Co pan sądzi o sytuacji na Saint-Domingue?

– Co sądzę? – powtórzył zbity z tropu Relais.

– Koloniści chcą się uniezależnić, a z portu widać angielską flotyllę, gotową im pomóc. O cóż innego chodzi Anglii, jeśli nie o aneksję Saint-Domingue! Powinien pan wiedzieć, o kim mówię, mógłby mi pan podać nazwiska podżegaczy.

– Na liście znalazłoby się jakieś piętnaście tysięcy osób, panie marszałku: wszyscy właściciele ziemscy i ci, którzy mają pieniądze, zarówno biali, jak i *affranchis*.

– Tego się obawiałem. Nie mam dostatecznej liczby oddziałów, by obronić kolonię i zaprowadzić nowe prawa Francji.

Będę z panem szczery: niektóre dekryty wydają mi się absurdalne, na przykład ten z piętnastego maja, który przyznaje prawa polityczne Mulatom.

– Dotyczy tylko tych *affranchis*, którzy są dziećmi wolnych rodziców i posiadaczami ziemskimi, to mniej niż czterysta osób.

– Nie w tym rzecz! – przerwał mu wicehrabia. – Problemem jest to, że biali nigdy nie zaakceptują równości Mulatów, i nie obwiniam ich za to. To destabilizuje kolonię. Nic nie jest jasne w polityce Francji, a my ponosimy konsekwencje tego nieudanego przedsięwzięcia. Dekryty zmieniają się z dnia na dzień, podpułkowniku. Jeden statek przywozi mi instrukcje, a następny odwołanie rozkazów.

– Jest jeszcze problem zbuntowanych niewolników – dodał Relais.

– Ach, Murzyni! Nie mogę się tym teraz zajmować. Bunt w Limbe został stłumiony i wkrótce dostaniemy przywódców.

– Żaden z więźniów nie ujawnił imion. Nie będą mówić.

– Zobaczymy. Marechaussée wie, jak postępować w takich sytuacjach.

– Z całym szacunkiem, panie marszałku, ale uważam, że ta sprawa zasługuje na pańską uwagę – nalegał Étienne Relais, stawiając filiżankę na stoliku. – Sytuacja na Saint-Domingue jest inna niż w pozostałych koloniach. Tutaj niewolnicy nigdy nie pogodzili się ze swoim losem, buntują się co raz już od prawie stu lat, w górach są dziesiątki tysięcy marronów. Wiedzą, że Republika zniosła niewolnictwo we Francji, i są gotowi walczyć, żeby tutaj osiągnąć to samo. Marechaussée nie będzie w stanie nad nimi zapanować.

– Proponuje pan, podpułkowniku, żebyśmy użyli wojska przeciwko czarnym?

– Do przywrócenia porządku trzeba będzie użyć wojska.

– Jak mielibyśmy to pańskim zdaniem zrobić? Dostaję jedną dziesiątą żołnierzy, o których proszę, a gdy tylko schodzą na ląd, od razu zaczynają chorować. I właśnie o tym chciałem porozmawiać, podpułkowniku Relais: w tej chwili nie mogę pozwolić, by przeszedł pan w stan spoczynku.

Étienne Relais wstał, blady na twarzy. Gubernator poszedł w jego ślady i przez kilka sekund obaj mierzyli się wzrokiem.

– Panie marszałku, wstąpiłem do wojska w wieku siedemnastu lat, służyłem przez trzydzieści pięć, sześć razy byłem ranny. Mam już pięćdziesiąt jeden lat – powiedział Relais.

– Ja mam pięćdziesiąt pięć i też chciałbym wyjechać do mojej posiadłości w Dijon, ale Francja mnie potrzebuje, tak jak potrzebuje pana – odparł sucho wicehrabia.

– Moją rezygnację podpisał pański poprzednik, gubernator De Peiner. Nie mam już domu, mieszkamy z rodziną w pensjonacie, gotowi do wejścia w najbliższy czwartek na pokład szkunera „Marie Thérèse”.

Blanchelande utkwiał swe błękitne spojrzenie w oczach podpułkownika, który w końcu spuścił wzrok i stanął na baczność.

– Rozkaz, panie gubernatorze – przystał, pokonany. Blanchelande znowu westchnął i potarł oczy, wyczerpany, potem gestem pokazał ordynansowi, żeby wezwał sekretarza, i zbliżył się do stołu.

– Proszę się nie martwić, podpułkowniku Relais, władze zapewnią panu dom. A teraz niech pan pojdzie i pokaże mi na mapie najsłabsze punkty na wyspie. Nikt nie zna terenu lepiej niż pan.

## Zarité

Tak mi opowiedzieli. Tak było w Bois-Caïman. Tak jest zapisane w legendzie miejsca, które teraz nazywa się Haiti i było pierwszą niezależną republiką Murzynów. Nie wiem, co to znaczy, ale musi być ważne, skoro Murzyni, kiedy o tym mówią, biją brawo, a biali, kiedy o tym mówią, są wściekli. Bois-Caïman leży na północy, niedaleko wielkich równin, po drodze do Le Cap, kilka godzin od habitation Saint-Lazare. To olbrzymi las, miejsce „skrzyżowań” i świętych drzew, gdzie pod postacią węża mieszka Dambala, loa źródeł i rzek, leśny strażnik. W Bois-Caïman żyją duchy przyrody i zmarłych niewolników, którzy nie odnaleźli drogi do Gwinei. Tamtej nocy przybyły do lasu również inne duchy, którym jest dobrze pośród les Morts i les Mystères, ale stawily się ochotnie, by wziąć udział w walce, bo zostały wezwane. Wielka armia duchów walczyła po stronie Murzynów, dlatego w końcu pokonali białych. Co do tego wszyscy się zgadzali, nawet żołnierze francuscy, którzy odczuli ich wściekłość. Pan Valmorain, który nie wierzył w to, czego nie rozumiał, a ponieważ rozumiał bardzo mało, nie wierzył w nic, również doszedł do przekonania, że zmarli pomagali buntownikom. To wyjaśniało, dlaczego byli w stanie pokonać najlepszą, jak twierdził, armię Europy. Niewolnicy zebrali się w Bois-Caïman w połowie sierpnia, w upalną noc, mokrą od potu ziemi i ludzi. Jak rozeszła się wieść? Mówią, że to bębny niosły ją od calendy do calendy, od hunforu do hunforu, od ajoupy do ajoupy. Dźwięk bębnów dociera dalej i szybciej niż odgłosy burzy i wszyscy znają ich język. Przybyli niewolnicy z plantacji na północy, chociaż ich panowie i Marechaussée mieli się na baczności od czasu powstania w Limbe, które wybuchło kilka dni wcześniej. Złapali żywcem paru buntowników i wyglądało na to, że wyciągnęli z nich informacje. Nikt nie wytrzyma w lochach Le Cap bez wyznania prawdy. W kilka godzin marroni przenieśli swoje obozy jeszcze wyżej, by umknąć przed jeźdźcami Marechaussée, i przyspieszyli termin zgromadzenia w Bois-Caïman. Nie wiedzieli, że żaden z więźniów nic nie powiedział i nie powie.

Tysiące marronów zeszło z gór. Gambo przybył z grupą Zambo Boukmana, olbrzymia, który jako dowódca i hungan budził podwójny respekt. Przez półtora roku, które spędził na wolności, Gamba wyrósł na mężczyznę, miał szerokie ramiona, niestrudzone nogi i maczetę do zabijania. Zdobył zaufanie Boukmana. Zakradał się na plantacje, by rabować jedzenie, narzędzia, broń i zwierzęta, ale nigdy nie próbował się ze mną zobaczyć. To było ryzykowne. Wieści od niego docierały do mnie przez Tante Rose. Moja opiekunka nie mówiła mi, jak je otrzymuje, więc zaczęłam się bać, że wszystkie wymyśla, by mnie uspokoić, bo w tym czasie znów czułam palącą jak węgle potrzebę bycia z Gambo. „Daj mi jakieś lekarstwo na tę miłość, Tante Rose”. Ale na to nie ma lekarstwa. Kładłam się spać wykończona pracą w ciągu dnia, z dzieckiem po każdej stronie, i nie mogłam zasnąć. Godzinami słuchałam niespokojnego oddechu Maurice’a i pomrukiwania Rosette, odgłosów z głębi domu, szczekania psów, rehotania ropuch, piania kogutów, a kiedy w końcu zasypiałam, to jakbym zanurzała się w melasie. Przyznaję ze wstydem: czasami, kiedy leżałam z panem, wyobrażałam sobie, że jestem z Gambo. Zagryzałam wargi, żeby zatrzymać jego imię, i w czarnej przestrzeni za zamkniętymi oczyma udawałam, że zapach alkoholu białego jest oddechem zielonego pastwiska Gambo, któremu zęby nie zgnity jeszcze od jedzenia zepsutych ryb, że dyszący nade mną owłosiony, ciężki mężczyzna to Gambo, szczupły i zwinny, o młodej skórze pokreślonej bliznami, słodkich ustach, ciekawskim języku, szepczącym głosem. Moje ciało otwierało się i falowało na wspomnienie doznanych przyjemności. Potem pan klepał mnie w pośladek i śmiał się zadowolony; wtedy mój ti-bon-ange wracał do tego łóżka i do tego mężczyzny, a ja otwierałam oczy i docierało do mnie, gdzie jestem. Biegłam na podwórzec i z furią szorowałam ciało, zanim położyłam się obok dzieci. Ludzie wędrowali godzinami, żeby dojść do Bois-Caïman, niektórzy wyruszyli ze swoich plantacji za dnia, inni przybyli znad zatok wybrzeża, a wszyscy dotarli tam ciemną nocą. Mówią, że jakaś grupa

marronów przybyła z Port-au-Prince, ale nie wydaje mi się, bo to bardzo daleko. Las był pełen, mężczyźni i kobiety w całkowitej ciszy ukradkiem przemykali między drzewami, mieszając się ze zmarłymi i z cieniami, ale kiedy czuli w nogach pierwsze drżenie bębnow, ożywiali się, przyspieszali kroku, zaczęli mówić szeptem, a potem krzyżeć, pozdrawiać się, zwracać do siebie po imieniu. Las rozjaśnił się od pochodni. Niektórzy znali drogę i prowadzili innych ku wielkiej polanie, którą wybrał Boukman, hungan. Pierścień ognisk i pochodni oświetlał hunfor. Mężczyźni przygotowali zawczasu święty poteau-mitan, gruby, wysoki pień, bo droga dla loa powinna być szeroka. Ubrane na białe hunsi, ustawione w długi szereg, przyprowadziły Tante Rose, też w bieli, z ceremonialnym assonem. Ludzie pochylali się, aby dotknąć rąbka spódnicy albo bransolet pobrzękujących na jej rękach. Odmłodziła, bo od czasu kiedy opuściła habitation Saint-Lazare, towarzyszyła jej Erzulie: stała się niezmordowana, by móc wędrować z miejsca na miejsce bez kija, i niewidzialna, żeby nie znalazła jej Marechaussée. Ustawione w półkole bębny wołały tam, tam, tam. Ludzie zbierali się w grupy i rozmawiali o wydarzeniach w Limbé i o tym, przez co przechodzili więźniowie w Le Cap. Głos zabrał Boukman. Zwrócił się do najwyższego boga, Papy Bondye, prosił, by poprowadził ich do zwycięstwa. „Posłuchajcie głosu wolności, śpiewającego w sercach nas wszystkich!”, zawołał, a niewolnicy odpowiedzieli krzykiem, który wstrząsnął wyspą. Tak mi opowiedzieli.

Przemówiły bębny, odpowiadały jeden drugiemu, wyznaczały rytm ceremonii. Hunsi tańczyły wokół poteau-mitan, poruszając się niczym flamingi, pochylały się i prostowały, ich szyje falowały, ramiona wykonywały ruchy skrzydeł. Śpiewem wzywały loa, jak zawsze najpierw Legbę, potem jedno po drugim pozostałe. Mambo, Tante Rose, nakreśliła vévé, rozsypując wokół świętego słupa mieszankę mąki i popiołu, aby nakarmić loa i oddać cześć zmarłym. Bębny dostroiły się do jej intencji, rytm przyspieszył i cały las dygotał od najgłębszych korzeni aż po najdalsze gwiazdy. Wtedy zstąpił Ogun, wojowniczo usposobiony, Ogun-Ferraille, bóg broni, męski, napastliwy, rozdrażniony, niebezpieczny, i Erzulie opuściła Tante Rose, robiąc miejsce dla Oguna, który ją dosiadł. Wszyscy zobaczyli przemianę. Tante Rose wyprostowała się, była po dwakroć wyższa, już nie utykała i nie dźwigała na plecach lat, z białkami oczu na wierzchu wykonała niesamowity skok i upadła przy jednym z ognisk. Z ust Oguna wydobył się ryk grzmotu i loa zatańczył przy huku bębnow, podnosząc się z ziemi, przewracając i odbijając jak piłka, z mocą właściwą duchom. Dwaj najbardziej odważni mężczyźni podeszli, żeby go uspokoić, podając mu cukier, ale loa schwycił ich, jakby byli kukłami, i odrzucił daleko. Przybył z przestaniem wojny, sprawiedliwości i krwi. Wziął w palce kawałek rozżarzonego węgla i włożył do ust, zrobił pełen obrót, wysysając ogień, i wypluł, nie poparzywszy sobie warg. Zaraz potem zabrał najbliższemu stojącemu mężczyźnie wielki nóż, odłożył asson na ziemię, podszedł do czarnego ofiarnego wieprzka przywiązanego do drzewa i ręką wojownika jednym cięciem pozbawił go wielkiej głowy, oblewając się krwią. W tym czasie loa dosiadły wielu sług, a las wypełnili les Invisibles, les Morts i les Mystères, loa i duchy wymieszane z ludźmi. Wszyscy się kręcili, śpiewali, tańczyli, skakali, przewracali o bębny, chodzili po rozżarzonych węglach, lizali rozgrzane do czerwoności ostrza noży i garściami jedli ostrą paprykę. Nocne powietrze było ciężkie, jakby zapowiadało straszliwą burzę, ale nie czuło się najmniejszego powiewu wiatru. Pochodnie oświetlały jak słońce w południe, ale krążąca po okolicy Marechaussée ich nie zobaczyła. Tak mi opowiedzieli.

Długo potem, kiedy gęsty tłum dygotał, jakby był jednym ciałem, Ogun wydał z siebie ryk lwa, nakazując ciszę. Bębny zamilkły natychmiast, wszyscy poza mambo wrócili do swoich postaci, a loa wycofały się w korony drzew. Ogun-Ferraille wzniosł asson ku niebu i głos najpotężniejszego loa wybuchnął w ustach Tante Rose, żądając kresu niewolnictwa, wzywając do powszechnego buntu i wyznaczając dowódców; Boukmana, Jeana-Françoisa, Jeannota, Boisseau, Celestina i wielu innych. Nie wymienił Toussainta, bo człowiek, który miał zostać duszą buntowników, był wtedy jeszcze na plantacji w Bréda,

*gdzie służył jako woźnica. Przyłączył się do rewolty dopiero kilka tygodni później, po tym jak uratował całą rodzinę swojego pana. Ja usłyszałam imię Toussainta dopiero rok później.*

*Tak zaczęła się rewolucja. Minęło wiele lat i nadal leje się krew, którą nasiąka ziemia Haiti, ale ja nie płaczę, bo już mnie tam nie ma.*

## Zemsta

Kiedy tylko Toulouse Valmorain dowiedział się o powstaniu niewolników i o więźniach z Limbé, którzy umarli, nie ujawniając żadnych nazwisk, nakazał Tété, by szybko zorganizowała powrót do Saint-Lazare, nie bacząc na ostrzeżenia innych, zwłaszcza doktora Parmentiera, przed niebezpieczeństwami, jakie groziły białym na plantacjach. „Niech pan nie przesadza, doktorze. Czarni zawsze byli skorzy do buntu. Prosper Cambray panuje nad sytuacją”, odparł stanowczo Valmorain, choć wcale nie był tego taki pewien. Podczas gdy na północy odgłos bębnow wzywał niewolników na spotkanie w Bois-Caïman, powóz Valmoraina mknął pod eskortą wzmocnionej straży w stronę plantacji. Dotarli na miejsce w tumanach kurzu, rozgorączkowani, niespokojni; dzieci były prawie nieprzytomne, a Tété wycieńczona kołysaniem pojazdu. Pan zeskoczył z wozu i zamknął się z przełożonym nadzorców w gabinecie, żeby wysłuchać informacji o stratach, które okazały się minimalne. Potem objechał posiadłość i stanął twarzą w twarz z niewolnikami, którzy zdaniem Cambraya wzięli udział w buncie, choć nie na tyle aktywnie, by wydać ich Marechaussée, jak postąpił z innymi. Była to jedna z tych ostatnio częstych sytuacji, w których Valmorain czuł się nie na miejscu. Przełożony nadzorców bronił interesów Saint-Lazare lepiej niż właściciel, działał stanowczo i bez cackania, on natomiast wahał się nieskory do plamienia sobie rąk krwią. Kolejny raz pokazał swoją nieudolność. W ciągu dwudziestu kilku lat, które spędził w kolonii, nie zdołał się przystosować, ciągle miał wrażenie, że jest tu przejazdem, a niewolnicy byli dla niego najmniej przyjemnym obciążeniem. Nie czuł się na siłach wydać rozkaz, by upieczono na wolnym ogniu człowieka, nawet gdyby Cambray uznał taki środek za niezbędny. W rozmowach z przełożonym nadzorców i z *grands blancs* – ponieważ nieraz musiał się tłumaczyć – wysuwał argument, że okrucieństwo jest nieskuteczne, bo niewolnicy niszczą wszystko, co tylko mogą, począwszy od ostrzy noży, skończywszy na własnym zdrowiu, bo popełniają samobójstwa albo zjadają padlinę i słabną po wyrzuceniu z siebie wymiocin i gówna, on zaś woli unikać takich skrajności. Zadawał sobie pytanie, czyjego starania czemuś służą, czy też jest równie znienawidzony jak Lacroix. Może Parmentier miał rację, że z niewolnictwem nieodłącznie wiążą się przemoc, strach i nienawiść, ale plantator nie może pozwolić sobie na luksus odczuwania skrupułów. Kiedy szedł do łóżka trzeźwy (a zdarzało się to rzadko), nie mógł zasnąć, dręczony wizjami. Rodzinna fortuna, której dorobił się ojciec i którą on wielokrotnie pomnożył, była splamiona krwią. W odróżnieniu od innych *grands blancs*, nie potrafił ignorować podnoszących się w Europie i Ameryce głosów, że na plantacjach Antyli panuje piekło.

Pod koniec września rebelia rozprzestrzeniła się w całej północnej części wyspy: niewolnicy masowo uciekali, a przed odejściem puszczali wszystko z dymem. Brakowało rąk do pracy na polach, ale plantatorzy nie chcieli kupować nowych niewolników, bo ci uciekali, gdy tylko spuściło się ich z oczu. Targ Murzynów w Le Cap był praktycznie sparaliżowany. Prosper Cambray podwoił liczbę *commandeurs* oraz zaostrzył czujność i dyscyplinę, a Valmorain uległ, godząc się na bestialstwo swojego pracownika, i już nie interweniował. W Saint-Lazare nikt nie spał spokojnie. Życie, które nigdy nie płynęło tam beztrudnie, stało się jednym wielkim móżdżem i cierpieniem. Zlikwidowano calendy i przerwy na odpoczynek, chociaż w nieznośnym skwarze południa praca nie przynosiła zysków. Od zniknięcia Tante Rose nie było nikogo, kto by leczył, doradzał czy udzielał duchowego wsparcia. Jedynym zadowolonym z nieobecności *mamho* był Prosper Cambray, który nawet nie próbował jej ścigać, bo im dalej przebywała ta czarownica zdolna zmienić zwykłego śmiertelnika w zombi, tym lepiej. W jakim innym celu miałyby przechowywać pył z grobów, wątróbki rozdymek, ropuchy i trujące rośliny, jeśli nie z myślą o takich wariactwach? Dlatego przełożony nadzorców nigdy nie zdejmował butów. Wszak Murzyni rozrzucają na ziemi potłuczone szkło i przez skaleczenia na stopach do krwi dostaje się trucizna; pierwszej nocy po pogrzebie wykopują trupa zamienionego w zombi i przywracają do życia potężnym ude-

zaniem. „Mam nadzieję, że nie wierzysz w te wymysły!”, roześmiał się Valmorain, kiedy rozmawiali o tym pewnego razu. „Wierzyć nie wierzę, monsieur, ale że zombi istnieją, to pewne”, odparł przełożony nadzorców.

W Saint-Lazare, podobnie jak na całej wyspie, życie upływało na ciągłym oczekiwaniu. Tété słuchała pogłosek powtarzanych przez pana albo przez niewolników, ale bez Tante Rose nie wiedziała, jak je interpretować. Plantacja zamknęła się w sobie niczym pięść. Dni były nużące, a noce nie miały końca. Tęskniono nawet za wariatką. Śmierć Eugenii pozostawiła pustkę, odczuwało się nadmiar godzin i przestrzeni, dom wydawał się olbrzymi i nie był w stanie go wypełnić nawet harmider podnoszony przez dzieci. Wszechobecne poczucie nietrwałości sprawiło, że zasady uległy rozluźnieniu, a odległości skróceniu. Valmorain przywykł do Rosette i w końcu pozwolił jej na pewną zażyłość, Nie nazywała go panem, mówiła do niego monsieur, co brzmiało w jej ustach jak miauknięcie. „Kiedy będę duży, ożenię się z Rosette”, mawiał Maurice. „Przyjdzie czas, żeby zrobić z tym porządek”, myślał jego ojciec. Tété starała się uświadomić dzieciom zasadniczą różnicę, jaka ich dzieliła: Maurice miał przywileje zakazane Rosette, mógł na przykład wchodzić do pokoju bez pozwolenia albo siadać na kolanach pana, nie czekając, aż zostanie do tego zachęcony. Chłopczyk był już w wieku, w którym dzieci domagają się wyjaśnień, a Tété zawsze szczerze odpowiadała na jego pytania. „Bo jesteś prawowitym synem pana, jesteś mężczyzną, białym, wolnym i bogatym, a Rosette nie”. Zamiast go zadowalać, takie odpowiedzi wywoływały u Maurice’a napady płaczu. „Dlaczego, dlaczego?”, powtarzał, łkając. „Bo takie jest to przekłete życie, moje dziecko. Chodź do mnie, wytrzymaj ci nos”, odpowiadała Tété. Valmorain uważał, że jego syn jest już wystarczająco duży, żeby spać osobno, ale za każdym razem, kiedy próbowali go do tego zmusić, chłopiec dostawał drgawek i gorączkował. Ojciec pozwolił mu więc nadal spać z Tété i Rosette, zastrzegając, że tylko do czasu, aż sytuacja wróci do normy. Atmosfera napięcia panująca na wyspie była jednak daleka od normalności.

Pewnego popołudnia zjawili się strażnicy, którzy objeżdżali północne plantacje, próbując zapanować nad anarchią, a z nimi przybył Parmentier. Doktor bardzo rzadko wyjeżdżał poza Le Cap ze względu na czyhające na drogach niebezpieczeństwa i na obowiązki wobec francuskich żołnierzy konających w jego szpitalu. W jakichś koszarach doszło do zachorowań na żółtą febrę. Udało się nad nimi zapanować, nim dały początek epidemii, za to malaria, cholera i denga czyniły prawdziwe spustoszenie. Parmentier przyłączył się do strażników – co było jedynym sposobem na w miarę bezpieczne podróżowanie – nie tyle po to, by złożyć wizytę Valmorainowi, z którym widywał się w Le Cap, ile po to, by zasięgnąć porady u Tante Rose. Poczuł się zawiedziony, gdy usłyszał o zniknięciu swojej nauczycielki. Valmorain zaoferował gościnę przyjacielowi i strażnikom, którzy przyjechali pokryci kurzem, spragnieni i wyczerpani. Przez kilka dni we dworze panował ruch, słychać było męskie głosy, a nawet muzykę, kilku mężczyzn bowiem potrafiło grać na instrumentach. Wreszcie przydały się zakupy Violette Boisier zrobione dla kaprysu trzynastoletniej wcześniej, kiedy urzędowała dom. Instrumenty, choć nienastrojone, wciąż nadawały się do użytku. Valmorain wezwał paru niewolników grających dobrze na bębnach i zorganizowano zabawę. Tante Mathilde opróżniła spiżarnię z najlepszych zapasów, przygotowała tarty z owocami i skomplikowane kreolskie potrawy, tłuste i ostre w smaku, których od dawna nie robiła. Prosper Cambrey zajął się pieczeniem jagnięcia, jednego z niewielu, które jeszcze posiadali, wszystkie bowiem, tak jak i świnie, zniknęły w tajemniczy sposób. Marroni nie mogli kraść tych ciężkich zwierząt bez pomocy niewolników z plantacji, więc kiedy brakowało jakiegoś wieprzka, Cambrey na chybił trafił wybierał dziesięciu Murzynów i kazał ich chłostać, bo ktoś musiał zapłacić za stratę. W owych miesiącach przełożony nadzorców, obdarzony większą władzą niż kiedykolwiek wcześniej, zachowywał się tak, jakby to on był prawdziwym panem Saint-Lazare, a jego zuchwałość wobec Tété, coraz bardziej bezczelna, miała sprowokować pryncypała, który od wybuchu rebelii robił wrażenie wystraszonego. Podczas nieoczekiwanej wizyty strażników, Mulatów jak on, pyszałkowatość Cambreya stała się jeszcze bardziej widoczna: rozlewał wódkę Valmoraina, nie pytając go o zgodę, kategorycznym tonem wydawał rozkazy



służbie domowej w jego obecności i stroił sobie z niego żarty. Widział to doktor Parmentier, widział też, że Tété i dzieci drżą w obecności przełożonego nadzorców.

Miał nawet zamiar powiedzieć coś na ten temat gospodarzowi, ale doświadczenie nauczyło go powściągliwości. Każda plantacja była odrębnym światem, miała własny system powiązań, własne tajemnice i występki. Na przykład Rosette – dziewczynka o tak jasnej skórze nie mogła nie być dzieckiem Valmoraina. A co się stało z pierwszym dzieckiem Tété? Miał ochotę to sprawdzić, ale nigdy nie zdobył się na odwagę, żeby zapytać Valmoraina; relacje między białymi i ich niewolnicami były w towarzystwie tematem zakazanym.

– Domyślam się, doktorze, że widział pan zniszczenia spowodowane przez rebeliantów – rzekł Valmorain. – Bandy spustoszyły całą okolicę.

– Owszem. Kiedy tu jechaliśmy, widzieliśmy dymy pożaru na plantacji Lacroix – odparł Parmentier, – Kiedy podjechaliśmy bliżej, pola trzciny jeszcze się paliły. Nigdzie żywego ducha. Panowała przeraźliwa cisza.

– Wiem, doktorze, bo byłem jednym z pierwszych, którzy dotarli do *habitation* Lacroix po napadzie – wyjaśnił Valmorain. – Cała rodzina, ich nadzorcy i służba domowa zostali zabici, reszta niewolników zniknęła. Wykopaliśmy dół i tymczasowo pochowaliśmy w nim ciała, póki władze nie przeprowadzą śledztwa w sprawie tego, co się wydarzyło. Nie mogliśmy zostawić ich porzuconych jak padlinę. Murzyni urządzili tam krwawą łaźnię.

– Nie boi się pan, że i tutaj wydarzy się coś takiego? – zapytał Parmentier.

– Jesteśmy uzbrojeni i czujni, poza tym ufam umiejętnościom Cambraya – odparł Valmorain. – Ale muszę panu przyznać, że jestem wielce zaniepokojony. Czarni obeszli się bestialsko z Lacroix i jego rodziną.

– Pański przyjaciel Lacroix miał opinię człowieka okrutnego – przerwał mu lekarz. – To jeszcze bardziej rozpaliło napastników, ale w tej wojnie nikt się z nikim nie liczy, *mon ami*. Trzeba przygotować się na najgorsze.

– Czy pan wie, doktorze, że sztandarem buntowników jest białe dziecko nadziane na bagnet?

– Wszyscy o tym wiedzą. We Francji z przerażeniem zareagowano na te wydarzenia. Niewolnicy nie mają już ani jednego sympatyka w Zgromadzeniu, milczy nawet Towarzystwo Przyjaciół Murzynów, tyle że takie okrucieństwa są logiczną reakcją na te, które my popełniliśmy wobec nich.

– Proszę nas do tego nie mieszać, doktorze! – zawołał Valmorain. – Pan i ja nigdy nie dopuściliśmy się takich ekscesów!

– Nie mam na myśli nikogo konkretnego, ale normę, którą narzuciliśmy. Zemsta Murzynów była nieunikniona. Wstydzę się, że jestem Francuzem – powiedział ze smutkiem Parmentier.

– Jeśli chodzi o zemstę, doszliśmy do punktu, w którym musimy wybrać – albo oni, albo my. My, plantatorzy, będziemy bronić naszej ziemi i naszych inwestycji. Odzyskamy kolonię za wszelką cenę. Nie będziemy siedzieć z założonymi rękami!

Nikt nie był bezczynny. Koloniści, Marechaussée i żołnierze urządzali polowania, a każdego złapanego zbuntowanego Murzyna obdzierano żywcem ze skóry. Przywieziono tysiąc pięćset psów z Jamajki, a z Martyniki dwa razy tyle mułów przyuczonych do ciągnięcia armat w górach.

## Terror

Północne plantacje płonęły jedna po drugiej. Pożary trwały miesiącami, w nocy blask płomieni widać było na Kubie, a gęsty dym dusił Le Cap i według niewolników dotarł aż do Gwinei. Podpułkownik Étienne Relais, do którego zadań należało informowanie gubernatora o stratach, pod koniec grudnia doliczył się ponad dwóch tysięcy zabitych wśród białych, a jeśli jego szacunki były prawidłowe, Murzynów zginęło o dziesięć tysięcy więcej. Na wieść o losie kolonistów z Saint-Domingue nastroje we Francji się odwróciły i Zgromadzenie Narodowe anulowało niedawny dekret przyznający prawa polityczne *affranchis*. Jak powiedział Relais w rozmowie z Violette, w tej decyzji nie było ni krzty logiki, jako że Mulaci nie mieli z rebelią nic wspólnego, byli największymi wrogami czarnych i naturalnymi sojusznikami *grands blancs*, z którymi łączyło ich wszystko poza kolorem skóry. Gubernator Blanchelande, daleki od sympatyzowania z republikanami, musiał użyć wojska do tłumienia rewolty niewolników, przybierającej rozmiary katastrofy, i do interweniowania w barbarzyński konflikt między białymi i Mulatami, który wybuchł w Port-au-Prince. *Petits blancs* urządzili masakrę *affranchis*, a ci odpowiedzieli bestialstwem jeszcze gorszym niż to, co robili Murzyni i biali razem wzięci. Nikt nie mógł czuć się bezpiecznie. Cała wyspa drżała od zadawnionej nienawiści, która tylko czekała na pretekst, aby buchnąć płomieniami.

W Le Cap biała tłuszcza, zachęcona wydarzeniami w Port-au-Prince, napadała na Mulatów na ulicach, wdzierając się do ich domów, gwałciła kobiety, podrzynała gardła dzieciom i wieszała mężczyzn na ich własnych balkonach. Smród trupów czuło się na statkach zakotwiczonych poza portem. W liście wysłanym Valmorainowi Parmentier komentował wieści z miasta: „Nic ma nic równie niebezpiecznego jak bezkarność, mój przyjacielu. Ludzi ogarnia wtedy obłęd i popełniają najgorsze bestialstwa, bez względu na kolor skóry, wszyscy są tacy sami. Gdyby pan zobaczył to, co ja widziałem, musiałby pan zwątpić w wyższość białej rasy, o której tak często dyskutowaliśmy”.

Przerażony takim rozpasaniem doktor stawiał się w spartańskim gabinecie Étienne’a Relais’go, którego znał z racji pracy w szpitalu wojskowym i którego poprosił o audiencję. Wiedział, że podpułkownik ożenił się z kolorową kobietą i że chadzał z nią pod rękę, nie bacząc na złośliwe języki, czego on sam nigdy nie odważył się zrobić z Adèle. Liczył, że ten mężczyzna lepiej niż ktokolwiek inny zrozumie jego sytuację, i był gotów zdradzić mu swój sekret. Oficer poprosił go, by usiadł, wskazując mu jedyne wolne krzesło.

– Niech mi pan wybaczy, podpułkowniku, że ośmielam się naprzykrzać ze sprawą natury osobistej...  
– wyjąkał doktor Parmentier.

– jak mogę panu pomóc? – odparł uprzejmie Relais, który zawdzięczał lekarzowi życie wielu swoich podwładnych.

– Chodzi o to, że mam rodzinę. Moja żona nazywa się Adèle. Właściwie nie jest moją małżonką, rozumie pan, prawda? Ale jesteśmy ze sobą od wielu lat i mamy trójkę dzieci. Jest *affranchie*.

– O wszystkim wiem, doktorze – powiedział Relais.

– Jak to pan wie? – wykrzyknął ten, zaskoczony.

– Moja praca wymaga, abym był dobrze poinformowany, a moja żona, Violette Boisier, zna Adèle. Kupiła od niej kilka sukni.

– Adèle jest znakomitą krawcową – dorzucił lekarz.

– Domyślam się, że przychodzi pan porozmawiać ze mną o atakach na *affranchis*. Nie mogę panu obiecać, doktorze, że sytuacja szybko się poprawi. Staramy się kontrolować ludność, ale wojsko nie dysponuje wystarczającymi środkami. Jestem bardzo niespokojny. Moja żona od dwóch tygodni nie wychyliła nosa za drzwi.

– Boję się o Adèle i dzieci...

– Osobiście uważam, że jedynym sposobem, by chronić moją rodzinę, jest wysłanie jej na Kubę, dopóki nie przejdzie ta burza. Jutro wypływają statkiem. Jeśli pan chce, mogę zaproponować to samo pańskim bliskim. Podróż będzie niewygodna, ale krótka.

Tej nocy pluton żołnierzy odprowadził kobiety i dzieci na statek. Adèle była ciemną, potężną Mulatką, niezbyt atrakcyjną na pierwszy rzut oka, ale miała w sobie niewyczerpane zasoby słodyczy i poczucia humoru. Każdy zauważyłby różnicę pomiędzy nią, ubraną jak służąca i zdecydowaną pozostać w cieniu, by chronić reputację ojca swoich dzieci, a piękną Violette, która nosiła się jak królowa. Nie należały do tej samej klasy społecznej, dzieliło je kilka stopni koloru skóry, które na Saint-Domingue decydowały o losie człowieka, a także to, że jedna była krawcową, a druga jej klientką; uściskały się jednak z sympatią, miały bowiem razem podjąć ryzyko wygnania. Loula popłakiwała z Jeanem-Martinem uczepionym jej ręki. Powiesiła mu pod koszulą talizmany – chrześcijańskie i vodou, tak, by nie widział ich Relais, zdeklarowany agnostyk. Niewolnica nie podróżowała dotąd łodzią, a tym bardziej statkiem, dlatego przerażała ją perspektywa wypłynięcia w morze pełne rekinów w tej wiązce kiepsko połączonych ze sobą pali, z żaglami przypominającymi halki. Podczas gdy doktor Parmentier dawał z daleka dyskretne znaki, rozstając się z rodziną, Étienne Relais w obecności swoich żołnierzy rozpaczliwym pocałunkiem i obietnicą rychłego spotkania pożegnał się z Violette, jedyną kobietą, którą kochał. Miał jej już nigdy nie zobaczyć.

W obozie Zambo Boukmana nikt teraz nie głodował. Ludzie zaczęli odzyskiwać siły – mężczyznom nie wystawały zebra, dzieci, których było niewiele, przestały przypominać szkielety ze spuchniętymi brzuchami i trupimi oczodołami, a kobiety zaczęły zachodzić w ciążę. Przed powstaniem, kiedy marrońcy żyli ukryci w skalnych szczelinach, zaspokajali głód snem, a pragnienie kroplami deszczu. Kobiety uprawiały rachityczną kukurydzę, którą często musiały zostawiać, zanim zebrały plony. Bez wahania oddałyby życie w obronie nielicznych kóz, bo żywot urodzonych na wolności dzieci byłby krótki, gdyby zabrakło im mleka tych zacnych zwierząt. Zadaniem Gambo i pięciu innych najbardziej odważnych mężczyzn było zdobywanie pożywienia. Jeden z nich miał muszkiet i potrafił ustrzelić biegnącego zająca z nieprawdopodobnie dużej odległości, ale tych kilka sztuk amunicji, które posiadali, chowali na większe zdobycze. Mężczyźni przedostawali się nocą na plantacje, gdzie niewolnicy – dobrowolnie bądź pod przymusem – dzielili się z nimi swoimi zapasami, istniało jednak olbrzymie niebezpieczeństwo, że zostaną zdradzeni lub nakryci. Jeśli udało im się dostać do kuchni albo zabudowań służby domowej, zabierali kilka worków mąki lub beczkę suszonych ryb, niedużo, ale lepsze to niż żucie jaszczurek. Gambo, który miał rękę do zwierząt, czasami przyprowadzał z młyna jakiegoś starego muła, którego potem zjadano do ostatniej kostki. Operacja ta wymagała zarówno szczęścia, jak odwagi, bo jeśli muł się zaparł, nie było sposobu, żeby go ruszyć, a jeśli okazywał się posłuszny, Gambo musiał ukradkiem wprowadzić go w mrok puszczy. Tam prosił zwierzę o wybaczenie, że odbiera mu życie – tak jak uczył go ojciec, kiedy wychodzili na polowanie – i od razu je zabijał. W sześciu nieśli mięso w góry, zacierając ślady, żeby uniknąć pościgu. Teraz te desperackie naloty wyglądały inaczej. Na plantacjach już nikt się im nie przeciwstawiał; z reguły byty opuszczone, mogli brać wszystko, co ocalało z pożaru. Dzięki temu w obozie nie brakowało świń ani kur, mieli ponad sto kóz, worki kukurydzy, juki, batatów, fasoli, mieli nawet rum, a kawy tyle ile dusza zapagnie, i cukier, którego wielu niewolników nigdy nie skosztowało, mimo że od lat pracowali przy jego produkcji. Dawni uciekinierzy stali się rewolucjonistami. Nie byli już wynędzniałymi zbiegami, ale wojownikami gotowymi na wszystko, bo nie mieli odwrotu – umierało się albo w walce, albo podczas tortur. Musieli postawić na zwycięstwo.

Obóz otaczały słupy zwieńczone czaszkami i nabite na pale ciała rozkładające się na słońcu. W dużej zagrodzie trzymano białych więźniów, którzy czekali, aż przyjdzie kolej na ich egzekucję. Kobiety stały się niewolnicami i konkubinami, jak Murzynki na plantacjach. Gambo nie czuł litości dla więź-

niów, sam by z nimi skończył, gdyby trzeba było to zrobić, nie otrzymał jednak takiego rozkazu. Ponieważ miał szybkie nogi i umiał tramie oceniać sytuację, Boukman wysyłał go z wiadomościami do innych dowódców i na przespīgi. W okolicy wprost roiło się od band marronów, które chłopak dobrze znał. Najgorszy dla białych był obóz Jeannota, gdzie codziennie wybierano kilka osób, by zadać im powolną i okrutną śmierć, na wzór bestialskich metod wprowadzonych przez samych osadników. Podobnie jak Boukman, Jeannot był potężnym hunganem, ale odurzyła go wojna i jego apetyt na okrucieństwo stał się nie do zaspokojenia. Przechwalał się, że pije krew ofiar z ludzkiej czaszki. Budził strach nawet w swoich ludziach. Gambo słyszał, jak inni przywódcy rozmawiali o konieczności wyeliminowania Jeannota, zanim jego występki rozszoszczą Papę Bondye, nie powtórzył jednak tego nikomu, bo jako szpieg cenił sobie dyskrecję.

W jednym z obozów poznał Toussainta, który pełnił podwójną funkcję doradcy wojskowego i lekarza, znał się bowiem na roślinach leczniczych. Miał istotny wpływ na dowódców, chociaż w tamtym czasie pozostawał jeszcze na drugim planie. Był jednym z niewielu, którzy potrafili czytać i pisać; dzięki temu dowiadywał się – co prawda z opóźnieniem – o wydarzeniach na wyspie i we Francji. Nikt od niego nie znał mentalności białych. Urodził się i żył jako niewolnik na plantacji w Bréda, był samoukiem, przyjął żarliwie religię chrześcijańską i zdobył szacunek swojego pana, który gdy nadszedł moment ucieczki, powierzył mu swoją rodzinę. Te relacje rodziły pewne podejrzenia, wielu sądziło, że Toussaint zachowuje się służalczo wobec białych, ale Gambo wielokrotnie słyszał, jak mówi, że jego życiowym celem jest skończenie z niewolnictwem na Saint-Domingue i że nic ani nikt nie odwiedzie go od tego zamiaru. Od samego początku przyciągała go jego osobowość i postanowił, że jeśli Toussaint zostanie dowódcą, on bez wahania przejdzie na jego stronę. Boukman, olbrzym o głosie donośnym jak burza, wybraniec Oguna-Feraille'a, był iskrą, która rozpałiła ogień rebelii w Bois-Caïman, ale Gambo przewidział, że najjaśniej świecić będzie na niebie gwiazda Toussainta, brzydkiego człowieczka o wystającej szczęce i kabłąkowatych nogach, który przemawiał niczym kaznodzieja i modlił się do Jezusa białych. I nie pomylił się: kilka miesięcy później niepokonany Boukman, który stawiał czoło ogniom wroga, smagnięciami bicia z wolego ogona odpędzając kule jak muchy, został schwytany przez wojsko w czasie jednej z potyczek. Étienne Relais rozkazał stracić go na miejscu, by uprzedzić działania buntowników z innych obozów. Zabrali jego głowę, nabili na włócznię i wystawili na środku rynku w Le Cap, gdzie wszyscy przychodzili ją zobaczyć. Gambo jako jedyny uszedł z życiem z zasadzki dzięki swej zdumiewającej szybkości i mógł dalej przekazać wiadomość. Potem dołączył do obozu, w którym przebywał Toussaint, choć obóz Jeannota był liczniejszy. Wiedział, że dni tego ostatniego są policzone. I rzeczywiście: zaatakowano go o świcie i powieszono, nie poddając torturom, jakie on zadawał swoim ofiarom, bo nie było na to czasu – biali przygotowywali się do rokowań z wrogiem. Gambo sądził, że po śmierci Jeannota i wielu spośród jego oficerów wybiła także godzina białych jeńców, zwyciężył jednak pomysł Toussainta, by zachować ich przy życiu i wykorzystać jako zakładników podczas negocjacji.

W obliczu katastrofy w kolonii Francja wysłała komisję na rozmowy z czarnymi dowódcami, którzy na znak dobrej woli wyrazili gotowość wydania zakładników. Na miejsce spotkania wyznaczono jedną z plantacji na północy. Kiedy biali więźniowie, którzy przeżyli miesiące w piekle wymyślonym przez Jeannota, doszli do zabudowań i zrozumieli, że nie przyprowadzono ich po to, by popełnić jakiś potworny mord, ale by ich uwolnić, zapanowało zamieszanie – mężczyźni ruszyli biegiem, trając kobiety i dzieci, w poszukiwaniu bezpiecznej kryjówki. Gambo zadbał, by znaleźć się w pobliżu Toussainta i innych osób wyznaczonych do rozmów z komisarzami. Kilku *grands blancs* reprezentujących osadników towarzyszyło władzom przybyłym z Paryża, które nie zdawały sobie do końca sprawy, co tak naprawdę dzieje się na Saint-Domingue. Gambo aż podskoczył, widząc wśród nich swojego dawnego pana, i zrobił krok do tyłu, by się schować, ale zaraz pomyślał, że Valmorain nie zwrócił na niego uwagi, a jeśli nawet, i tak by go nie rozpoznał.

Rozmowy prowadzono na zewnątrz, pod drzewami na dziedzińcu. Od pierwszych słów wyczuwało się napięcie. Wśród buntowników panowały nieufność i uraza, a wśród osadników ślepa pycha. Gambo w osłupieniu wysłuchał warunków pokoju zaproponowanych przez jego dowódców: wolność dla nich i garstki zwolenników w zamian za posłuszny powrót reszty buntowników do niewolniczej pracy na plantacjach. Komisarze z Paryża od razu się zgodzili – ta klauzula nie mogła być bardziej korzystna – ale *grands blancs* z Saint-Domingue nie byli skłonni do żadnych ustępstw: chcieli, by wszyscy niewolnicy poddali się bezwarunkowo. „Co oni sobie wyobrażają! Że będziemy układać się z czarnymi? Niech im wystarczy, że uratują życie!”, krzyknął jeden z nich. Valmorain próbował przemówić swoim towarzyszom do rozsądku, ale w końcu zwyciężył głos większości i postanowili nie dawać niczego tym zbuntowanym czarnuchom. Przywódcy buntowników wycofali się obrażeni, a za nimi Gambo, płonąć gniewem, bo gotowi byli zdradzić ludzi, z którymi żyli i walczyli, Jak tylko będę miał okazję, pozabijam ich wszystkich, jednego po drugim”, obiecał sobie. Stracił wiarę w rewolucję. Nie mógł wiedzieć, że owa chwila przesądza o przyszłości wyspy: nieprzejednane stanowisko kolonistów zmusi buntowników do dalszej walki przez wiele kolejnych lat, aż do zwycięstwa i obalenia niewolnictwa.

Bezsilni w obliczu anarchii komisarze opuścili w końcu Saint-Domingue, a niedługo potem przybyli kolejni trzej delegaci na czele z Sonthonaksem, młodym zażywnym prawnikiem. Wraz z nimi nadciągnęły posiłki w postaci sześciu tysięcy żołnierzy i przysłano nowe instrukcje z Paryża. Kolejny raz zmieniono ustawę, przyznając wolnym Mulatom prawa, których niedawno im odmówiono, przysługujące każdemu francuskiemu obywatelowi. Niektórzy *affranchis* zostali mianowani oficerami, ale wielu białych wojskowych odmówiło służby pod ich rozkazami i zdezerterowało. To podgrzało nastroje – odwieczna nienawiść między białymi i *affranchis* nabrała apokaliptycznych rozmiarów. Zgromadzenie Kolonialne, które do tej pory zajmowało się wewnętrznymi sprawami wyspy, zostało zastąpione komisją złożoną z sześciu białych, pięciu Mulatów i jednego wolnego Murzyna. Pośród narastającej przemoicy, nad którą nikt już nie był w stanie zapanować, gubernator Blanchelande został oskarżony o niewykonywanie rozkazów rządu republikańskiego i popieranie monarchistów. Deportowano go do Francji zakutego w kajdany. Niedługo potem stracił głowę pod gilotyną.

## *Smak wolności*

Tak miały się sprawy latem następnego roku, kiedy pewnej nocy Tété obudziła się nagle, czując, jak czyjaś silna dłoń zakrywa jej usta. Pomyślała, że w końcu doszło do ataku na plantację, którego od dawna się obawiano, i błagała, by śmierć była szybka, przynajmniej dla śpiących u jej boku Maurice'a i Rosette. Czekwała, nie próbując się bronić, żeby nie obudzić dzieci, z nikłą nadzieją, że to tylko zły sen. W słabym świetle pochodni z dziedzica przenikającym przez woskowany papier w oknie udało jej się dostrzec nachyloną nad nią postać. Nie rozpoznała go, bo po półtora roku rozłąki chłopak nie był już tą samą osobą, ale kiedy wyszeptał jej imię, Zarité, poczuła w piersi żar wywołany już nie strachem, lecz szczęściem. Podniosła rękę, żeby przyciągnąć go do siebie i natrafiła na metal noża, który trzymał w zębach. Wyjęła go i Gambo z jękiem opadł na jej ciało, które już układało się, żeby go przyjąć. Wiedzione pragnieniem nagromadzonym podczas tak długiej rozłąki jego wargi odnalazły jej wargi, język utorował sobie drogę w jej ustach, a dłonie przez cienką koszulę ścisnęły jej piersi. Poczuła, jak twardej pomiędzy jej udami, i otworzyła się, ale zaraz go odepchnęła, przypomniawszy sobie o dzieciach, o których na moment zapomniała. „Chodź ze mną”, szepnęła.

Podnieśli się ostrożnie i przeszli nad Maurice'em. Gambo wziął swój nóż i włożył go za pas z koziej skóry, a Tété rozpostarła moskitierę, żeby zabezpieczyć dzieci. Dała mu znak, by poczekał, i wysłała upewnić się, że pan jest w swoim pokoju, gdzie zostawiła go dwie godziny wcześniej. Potem zdmuchnęła płomień lampy w korytarzu i wróciła po kochanka. Po omacku zaprowadziła go do pokoju wariatki, na drugim końcu domu, niezamieszkanego od jej śmierci.

Padli objęci na materac, który czuć było wilgocią i starzyzną, i kochali się po ciemku, w całkowitej ciszy, dławieni niemymi słowami i okrzykami rozkoszy, które gasły w westchnieniach. Podczas rozłąki Gambo szukał pociechy u innych kobiet z obozów, ale nie udało mu się zaspokoić nienasyconego apetytu na miłość. Miał siedemnaście lat i spalał się trawiony nieustannym pożądaniem Zarité. Pamiętał ją jako kobietę wysoką, o bujnych, obfitych kształtach, teraz jednak była mniejsza od niego, a piersi, które niegdyś uważał za ogromne, mieściły się swobodnie w jego dłoniach. Zarité topniała pod nim. Niepokój i łapczywość tak długo poskramianej namiętności sprawiły, że nie udało mu się w nią wejść: w okamgnieniu – jedną eksplozją – uszło z niego życie. Trwał zanurzony w pustce, dopóki wrzący oddech Zarité przy jego uchu nie sprowadził go na powrót do pokoju obłąkanej. Szeptała mu tkliwe słowa, poklepując po plecach, jak to robiła, kiedy chciała pocieszyć Maurice'a, a gdy poczuła, że odżywa, obróciła go na łóżku, unieruchomiła, kładąc mu jedną rękę na brzuch, podczas gdy drugą, delikatnymi wargami i wygłodniałym językiem masowała go i ssała, unosząc do nieba, gdzie zatracił się pośród spadających gwiazd miłości, którą wyobrażał sobie w każdej wolnej chwili, w każdej przerwie w walkach, każdego mglistego ranka spędzonego w liczących tysiące lat skalnych szczelinach indiańskich wodzów, gdzie tylekroć pełnił wartę. Nie mógł już dłużej czekać: objął ją w talii i uniósł, a ona dosiadła go okrakiem, wbiła się na parzący członek, którego tak bardzo pożądała, pochyliła, by okryć mu twarz pocałunkami, lizać uszy, pieścić sutkami, kołysać się na jego znieruchomiłych biodrach, ścisnąć go udami amazonki, wijąc się niczym węgorz po piaszczystym dnie morza. Swawolili, jakby to był ich pierwszy i ostatni raz, wymyślając nowe kroki do starego tańca, Pokój wypełniły zapach spermy i potu, ostrożna brutalność przyjemności, bezwstyd miłości, zduszone jęki, tłumione śmiechy, rozpaczliwe szturmy, dyszenie konającego, które natychmiast przechodziło w odgłosy radosnych pocałunków. Może i nie robili rzeczy, których nie zaznali już z innymi, ale uprawianie miłości, kiedy się kocha, smakuje zupełnie inaczej.

Wyczerpani szczęściem zasnęli złączeni płataniną rąk i nóg, oszołomieni ciężkim upałem lipcowej nocy. Gambo ocknął się po kilku minutach, przerażony, że stracił czujność, ale kiedy poczuł przy sobie odprężoną kobietę mrużącą przez sen, nie mógł się powstrzymać i zaczął delikatnie dotykać Zarité, tak

by jej nie obudzić, szukając zmian w ciele, które gdy odchodził, zmniejszała cięża. Piersi nadal miały mleko, ale były bardziej obwisłe, a sutki wyciągnięte; talia wydała mu się bardzo szczupła, choć nie pamiętał jej sprzed ciąży, brzuch, biodra, pośladki i uda były samą obfitością i słodyczą. Zapach Tété także się zmienił, nie pachniała już mydłem, ale mlekiem, a teraz przesiąkła zapachem ich obojga. Zanurzył nos w jej szyi, czując pulsowanie krwi w żyłach, rytm oddechu, bicie serca. Tété przeciągnęła się z pełnym satysfakcji westchnieniem. Śniła o Gambo i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że naprawdę są razem i że nie musi sobie tego wyobrażać.

– Przyszedłem po ciebie, Zarité. Czas ruszać w drogę – wyszeptał Gambo.

Wyjaśnił, że nie wrócił wcześniej, bo nie miał jej dokąd zabrać, ale nie może już dłużej czekać. Nie wiedział, czy biali zdołają zdławić rebelię, ale żeby móc ogłosić zwycięstwo, będą musieli wybić co do jednego wszystkich czarnych. Żaden z buntowników nie miał zamiaru stać się na powrót niewolnikiem. Śmierć swobodnie krążyła po wyspie i czekała. Nigdzie nie było bezpiecznie, ale dalsza rozłąka wydawała się gorsza niż strach i wojna. Powiedział jej, że nie ufa przywódcom, nawet Toussaintowi, że nie ma wobec nich żadnych zobowiązań i zamierza walczyć po swojemu, zmieniając stronnictwa lub dezertując, w zależności od tego, jak potoczą się wypadki. Wspomnił, że przez jakiś czas mogliby mieszkać razem w jego obozie, gdzie zbudował ajoupę z pali i liści palmowych, i gdzie nie zabraknie im jedzenia. Miał jej do zaoferowania jedynie ciężkie życie, ona zaś przywykła do wygod tego domu należącego do białego, ale nigdy nie będzie żałować, bo kiedy ktoś raz zakosztuje wolności, nie może się już cofnąć. Poczul gorące łzy na twarzy Tété.

– Nie zostawię dzieci, Gambo – powiedziała.

– Zabierzemy ze sobą mojego syna.

– To dziewczynka, nazywa się Rosette i nie jest twoją córką, tylko pana.

Gambo usiadł zaskoczony. Przez ostatnie półtora roku myślał o swoim synu, czarnym chłopcu o imieniu Honoré, i nie przyszło mu do głowy, że dziecko może być Mulatką, córką pana.

– Nie możemy zabrać Maurice’a, bo jest biały, ani Rosette, bo jest za mała, żeby znieść niedostatki – wyjaśniła Tété.

– Musisz iść ze mną, Zarité. I to jeszcze tej nocy, jutro będzie za późno. To są dzieci białego. Zapomnij o nich. Pomyśl o nas i o dzieciach, które będziemy mieli, pomyśl o wolności.

– Dlaczego mówisz, że jutro będzie za późno? – spytała, wycierając łzy wierzchem dłoni.

– Bo zaatakują plantację. To ostatnia, jaka została, pozostałe zniszczono.

Wtedy zrozumiała znaczenie tego, o co prosił ją Gambo: chodziło o dużo więcej niż o rozstanie z dziećmi, chodziło o porzucenie ich na pastwę straszliwego losu. Stawiła mu czoło, wybuchając gniewem równie silnym jak namiętność sprzed kilku minut: nigdy ich nie zostawi, ani dla niego, ani dla wolności. Gambo przycisnął Tété do piersi, jakby chciał wziąć ją na ręce. Powiedział, że Maurice tak czy inaczej jest zgubiony, ale w obozie mogliby zaakceptować Rosette, pod warunkiem że nie jest zbyt jasna.

– Żadne z nich nie przeżyje wśród buntowników, Gambo. Uratują się, tylko jeśli zabierze je pan. Jestem pewna, że odda życie za Maurice’a, ale nie za Rosette.

– Nie ma na to czasu, twój pan jest już trupem, Zarité – odparł.

– Jeśli on umrze, umrą też dzieci. Musimy przed świtem wydostać całą trójkę z Saint-Lazare. Jeśli nie chcesz mi pomóc, zrobię to sama – postanowiła Tété, zakładając w półmroku koszulę.

Jej plan był dziecinnie naiwny, ale przedstawiła go z taką determinacją, że Gambo w końcu ustąpił. Nie mógł jej zmusić, by z nim poszła, ale nie mógł jej też zostawić. On znał okolicę, był przyzwyczajony do życia w ukryciu, potrafił poruszać się nocą, unikać niebezpieczeństw, wiedział, jak się obronić, ona – nie.

– Myślisz, że biały się na to zgodzi? – zapytał w końcu.

– Jakie ma inne wyjście? Jeśli zostanie, wyprują flaki jemu i Maurice’owi. Nie tylko się zgodzi, ale

nawet za to zapłaci. Poczekaj tu na mnie – odpowiedziała.



## Zarité

Miałam gorące i wilgotne ciało, twarz nabrzmiałą od pocałunków i łez, skórę pachnącą tym, co robiłam z Gambo, ale to nie miało dla mnie znaczenia. W korytarzu zapaliłam jedną z lamp oliwnych, poszłam do jego pokoju i weszłam bez pukania, czego nigdy wcześniej nie robiłam. Był odurzony alkoholem, leżał na plecach, z otwartych ust spływała mu po brodzie strużka śliny, miał dwudniowy zarost i rozczochrane wyblakłe włosy. Całe obrzydzenie, jakie do niego czułam, wstrząsnęło moim ciałem i myślałam, że wymiotuję. Moja obecność i światło dopiero po jakimś czasie przebiły się przez opary koniaku; obudził się z krzykiem i jednym ruchem ręki wyciągnął pistolet, który trzymał pod poduszką. Kiedy mnie rozpoznał, opuścił lufę, ale nie odłożył broni. „Co się dzieje, Tété?”, huknął na mnie, wyskakując z łóżka. „Przychodzę z pewną propozycją, panie”, powiedziałam. Nie drżał mi głos, nie drżała też lampa w mojej dłoni. Nie zapytał, jakim prawem budzę go w środku nocy, przeczuwał, że chodzi o coś bardzo poważnego. Usiadł na łóżku z pistoletem na kolanach, a ja wyjaśniłam mu, że za kilka godzin buntownicy zaatakują Saint-Lazare. Na nic zda się powiadomianie Cambraya – żeby ich powstrzymać, trzeba by całej armii. Tak samo jak gdzie indziej, tak i tu niewolnicy przyłączą się do napastników, dojdzie do rzezi i pożaru, dlatego powinniśmy natychmiast uciekać z dziećmi, albo jutro będziemy martwi.

I to przy odrobinie szczęścia, bo powolna śmierć byłaby gorsza. Tak mu powiedziałam. Skąd o tym wiem? Jeden z jego niewolników, który uciekł przeszło rok temu, wrócił, żeby mnie ostrzec. On nas poprowadzi, bo sami nigdy nie dotrzemy do Le Cap, okolicę opanowali buntownicy.

– Kto to jest? – zapytał, ubierając się w pośpiechu.

– Nazywa się Gambo i jest moim kochankiem... Głowa odskoczyła mi na bok od uderzenia w policzek, które prawie mnie zamroczyło, ale kiedy chciał je powtórzyć, złapałam go za nadgarstek z siłą, której się po sobie nie spodziewałam. Do tej pory nigdy nie spojrzałam mu w twarz i nie wiedziałam, że ma oczy jasne jak zasnute obłokami niebo.

– Spróbujemy ocalić życie panu i Maurice'owi, ale ceną jest wolność moja i Rosette – powiedziałam, wymawiając wyraźnie każde słowo, żeby mnie dobrze zrozumiał.

Wbił mi palce w ramiona, przybliżając groźnie twarz. Szczękały mu zęby, kiedy mnie wyzywał, zaślepiony wściekłością. Minęła bardzo długa, trwająca całą wieczność chwila, i znów poczułam mdłości, ale nie odwróciłam wzroku. W końcu usiadł, z głową w dłoniach, pokonany.

– Idź sobie z tym przeklętym czarnuchem. Nie potrzebujesz wolności ode mnie.

– A Maurice? Pan nie może go ochronić. Nie chcę uciekać przez całe życie, chcę być wolna.

– W porządku, dostaniesz to, o co prosisz. Dalej, pospiesz się, włóż coś na siebie i przygotuj dzieci. Gdzie jest ten niewolnik? – zapytał.

– Nie jest już niewolnikiem. Zawołam go, ale wcześniej niech mi pan wypisze papier, że Rosette i ja jesteśmy wolne.

Bez słowa usiadł przy stole i błyskawicznie napisał coś na kartce, potem wysuszył atrament, zdmuchnął talk i odcisnął w laku pieczęć swoim pierścieniem – widziałam wcześniej, że zawsze tak robi z ważnymi dokumentami. Przeczytał mi na głos tekst, boja nie mogłam Lego zrobić. Zaszło mi w gardle, a serce zaczęło łomotać w piersi: ten kawałek papieru był w stanie zmienić życie moje i mojej córki. Złożyłam go ostrożnie na cztery i schowałam do woreczka na różaniec należącego do doñi Eugonii, który zawsze nosiłam zawieszony na szyi, pod bluzką. Musiałam zostawić, różaniec, i mam nadzieję, że doña Eugenia mi to wybaczy.

– Teraz proszę dać mi pistolet – powiedziałam.

Nie chciał rozstawać się z bronią; wyjaśnił mi, że nie ma zamiaru użyć jej przeciwko Gambo, on był

naszym jedynym ratunkiem. Nie pamiętam dobrze, jak to zorganizowaliśmy, ale w kilka minut uzbroił się w dwa dodatkowe pistolety i zabrał wszystkie złote monety ukryte w gabinecie, a ja podałam dzieciom laudanum z jednej z niebieskich buteleczek doñi Eugenii, które ciągle trzymaliśmy. Padły jak nieprzytomne, bałam się, że dostały zbyt dużą dawkę. Nie martwiłam się o niewolników z pola, jutro miał być ich pierwszy dzień wolności, ale niewolników służących w domu spotykał w czasie takich ataków równie okrutny los jak panów. Gambo postanowił ostrzec Tante Mathilde. Dzięki kucharce zyskał przewagę kilku godzin podczas swojej ucieczki, za co została ukarana; teraz nadeszła jego kolej, by odwdzięczyć się przysługą. Po półgodzinie, kiedy bylibyśmy już wystarczająco daleko, mogłaby zebrać służbę i wmieszać się w tłum niewolników pracujących na polu. Przywiązałam Maurice'a do pleców ojca, podałam Gambo dwa tobołki z zapasami i wzięłam na ręce Rosette. Podróżowanie na piechotę wydało się panu szaleństwem, mogliśmy wziąć konie ze stajni, ale zdaniem Gambo to zwróciłoby uwagę strażników, a droga, którą mieliśmy pójść, nie nadawała się dla koni. Pokonaliśmy dziedziniec w cieniu budynków, omijając aleję palmową, bo tam przechadzał się strażnik, i poszliśmy w stronę plantacji. Pustoszące pola szczury o odrażających ogonach przecinały nam drogę. Pan zawahał się, ale Gambo przyłożył mu nóż do szyi; nie zabił go tylko dlatego, że przytrzymałam mu rękę. Przypomniałam, że jest nam potrzebny, by chronić dzieci.

Weszliśmy w przerażający syk trzciny kołyszących się od wiatru, gwizdów, świstów noży przecinających powietrze, demonów ukrytych w zaroślach, węży, skorpionów, w labirynt, gdzie dźwięki ulegają zniekształceniu, a odległości przybierają kształt spirali, gdzie można się zgubić na zawsze, i choćbyś krzyczał i krzyczał, nigdy cię nie znajdą. Dlatego pola dzielą się na kwadraty lub kwartały, a trzcinę zawsze ścina się od brzegów ku środkowi. Jedna z kar Cambraya polegała na pozostawieniu niewolnika na noc na polu trzcinowym, po to, by o świcie poszczuć go psami. Nie wiem, jak Gambo zdołał nas wyprowadzić, może dzięki instynktowi, a może dzięki doświadczeniu zdobytemu podczas kradzieży na plantacjach, Szliśmy gęsiego, jedno za drugim, żeby się nie zgubić, w miarę możliwości unikając ostrych liści, aż w końcu, po długim czasie, zeszliśmy z pola i znaleźliśmy się w dżungli. Wędrowaliśmy godzinami, bardzo powoli. O brzasku wyraźnie zobaczyliśmy niebo pomarańczowe od pożaru w Saint-Lazare i poczuliśmy duszący, ostry, słodkawy dym przyniesiony przez wiatr. Uśpione dzieci ciążyły nam na ramionach jak kamienie. Erzulie, loa matko, pomóż nam.

Zawsze chodziłam boso, ale nie byłam przyzwyczajona do takiego terenu, miałam zakrwawione stopy. Przewracałam się ze zmęczenia; natomiast pan, o dwadzieścia lat starszy, szedł bez zatrzymywania, dźwigając Maurice'a. W końcu Gambo, najmłodszy i najsilniejszy z nas wszystkich, powiedział, że powinniśmy odpocząć. Pomógł nam odwiązać dzieci i ułożyliśmy je na kupie liści, którą wcześniej rozgrzeliśmy kijem, żeby wystraszyć żmije. Gambo chciał wziąć od pana pistolety, ale ten przekonał go, że w jego rękach są bardziej przydatne, bo Gambo nie zna się na takiej broni. Uzgodnili, że on weźmie jeden, a pan dwa pozostałe. Doszliśmy w pobliże bagien, gdzie roślinność ledwo przepuszczała promienie słońca. Powietrze było jak gorąca woda. Ruchome błota mogły pochłonąć człowieka w jednej chwili, ale Gambo nie wyglądał na zaniepokojonego. Znalazł kałużę, napiliśmy się, zmoczyliśmy ubrania nasze i dzieci. Maurice i Rosette nadal byli nieprzytomni. Rozdzieliliśmy chleb z zapasów i trochę odpoczęliśmy.

Wkrótce Gambo kazał nam ruszać dalej, a pan, któremu nikt nigdy nie rozkazywał, posłuchał bez słowa. Bagna nie były grzęzawiskiem, jak sobie wyobrażałam, ale brudną, stojącą wodą i śmierdzącymi oparami. Błoto znajdowało się na dnach. Pomyślałam o doñi Eugenii, która wolałaby dostać się w ręce buntowników, niż wejść w ten gęsty obłok moskitów; na szczęście była już w niebie chrześcijan. Gambo znał wszystkie przejścia, ale nie było łatwo iść za nim z ciężkimi dziećmi. Erzulie, loa wody, ocal nas. Gambo rozdarł mój lignon, obłożył mi stopy liśćmi i obwiązał materiałem. Pan miał buty z wysokimi

cholewami i Gambo uznał, że kły drapieżników nie mają dostępu do odcisków na jego stopach. Tak szliśmy.

Maurice obudził się wystraszony, kiedy byliśmy jeszcze na bagnach. Gdy obudziła się Rosette, przyłożyłam ją na chwilę do piersi, nie przerywając marszu, i z powrotem zasnęła. Wędrowaliśmy cały dzień i dotarliśmy do Bois-Caïman, gdzie nie groziło nam, że zapadniemy się w błoto, ale mogliśmy zostać zaatakowani. To tu Gambo widział początek powstania, gdy moja opiekunka, ujeżdżana przez Oguna, wezwwała do wojny i wyznaczyła dowódców. Tak opowiadał Gambo. Tante Rose chodziła potem od jednego obozu do drugiego; uzdrawiała, odprawiała obrzędy dla loa i przepowiadała przyszłość, budząc u wszystkich strach i szacunek. Wypełniała przeznaczenie zapisane w jej z'etoile. Powiedziała Gambo, żeby schronił się pod skrzydła Toussainta, bo to on zostanie królem, kiedy skończy się wojna. Gambo zapisał ją, czy wtedy będziemy wolni, a ona zapewniła go, że Lak, ale wcześniej trzeba będzie zabić wszystkich białych, nawet noworodki, i w ziemię wsiąknie tyle krwi, że kolby kukurydzy zabarwią się na czerwono.

Dałam dzieciom więcej kropli i ułożyliśmy je między korzeniami dużego drzewa. Gambo bardziej niż ludzi i duchów bał się sfor dzikich psów, ale nie mieliśmy odwagi rozpalić ogniska, żeby trzymać je na odległość. Zostawiliśmy pana z dziećmi i trzema nabitymi pistoletami, pewni, że nie ruszy się na krok od Maurice'a, a sami odeszliśmy na bok, żeby zrobić to, na co mieliśmy ochotę. Nienawiść wykrzywiła twarz pana, kiedy wstawałam, by pójść za Gambo, ale nic nie powiedział. Bałam się, co będzie ze mną potem, bo znam okrucieństwo białych, kiedy wybija godzina zemsty, a taki czas wcześniej czy później nadejdzie. Byłam wyczerpana i obolała od ciężaru Rosette, ale pragnęłam znaleźć się w ramionach Gambo. Nic innego mnie wtedy nie obchodziło. Erzulie, loa przyjemności, pozwól, by ta noc trwała wiecznie. Tak to zapamiętałam.

## Uciekinierzy

Buntownicy napadli na Saint-Lazare o tej nieokreślonej porze, kiedy noc zaczyna ustępować, chwilę przed tym, zanim dzwon wzywający do pracy obudził ludzi. Najpierw był błyszczący ogon komety, szybko przemieszczające się punkty świetlne – pochodnie. Pola trzciny skrywały postacie ludzkie, a kiedy cienie zaczęły wyłaniać się z gęstej roślinności, okazało się, że są ich setki. Jednemu ze strażników udało się dobiec do dzwonu, ale dwadzieścia dłoni wywijających nożami zamieniło go w nierozpoznawalną miazgę. Pierwsze spłonęły suche trzciny, od ich żaru zajęły się pozostałe i po niespełna dwudziestu minutach ogień pokrywał pola i przesuwiał się w stronę dworu. Płomienie skakały na wszystkie strony, tak wysokie i potężne, że nawet przeciwpożarowa przestrzeń dziedzińców nie była w stanie ich zatrzymać. Huk pożaru mieszał się z ogłuszającym wrzaskiem napastników i posępnym odgłosem muszli, w które dęli, ogłaszając wojnę. Biegali nadzy lub ledwo okryci strzępami ubrania, uzbrojeni w maczety, łańcuchy, noże, kije, bagnety, muszkiety bez kul, które wznosili niczym dzidy. Wielu miało ciała umazane sadzą, inni byli w transie lub pijani, ale całej tej anarchii przyświecał jeden cel: zniszczyć wszystko. Niewolnicy z pola, przemieszani ze służbą domową, która została w porę ostrzeżona przez kucharkę, opuścili chaty i przyłączyli się do tłumu, by wziąć udział w saturnaliach zemsty i spustoszenia. Niektórzy początkowo się wahali, ze strachu przed nieokiełznaną przemocą buntowników i nieuniknionymi represjami ze strony pana, ale nie mieli już wyboru. Ci, którzy się cofali, ginęli.

*Commandeurs* wpadali jeden po drugim w ręce hordy. Prosper Cambray wraz z dwoma innymi mężczyznami zamknęli się w piwnicach dworu zaopatrzeni w broń i amunicję wystarczającą do wielogodzinnej obrony. Liczyli, że pożar ściągnie Marechaussée lub patrolujących okolicę żołnierzy. Ataki Murzynów były pełne furii i szybkie niczym tajfun, trwały kilka godzin, a potem słabły. Przełożonego nadzorców zdziwiło, że dom jest pusty, pomyślał, że Valmorain przygotował sobie zawczasu podziemne schronienie i zaszył się tam z synem, Tété i dziewczynką. Zostawił swoich ludzi i poszedł do gabinetu, który zawsze zamykano na klucz, ale tym razem był otwarty. Nie znał kombinacji do kasy pancernej; zamierzał roztrzaskać ją kulami, i tak nikt by nie wiedział, kto ukradł złoto, ale i ta stała otworem. Pierwszy raz zaświtało mu w głowę, że Valmorain uciekł bez uprzedzenia. „Przeklęty tchórz!”, wykrzyknął z wściekłością. Żeby uratować swoją nędzną skórę, porzucił plantację. Nie tracąc czasu na lamenty, Cambray dołączył do swoich ludzi dokładnie w chwili, gdy mieli już na karku wyjących napastników.

Przełożony nadzorców usłyszał rżenie koni i szczekanie psów; rozpoznał głosy swoich brytanów zabójców, bardziej ochryple i dzikie. Liczył na to, że przed śmiercią jego cenne zwierzęta zbiorą krwawe żniwo. Dom był otoczony, napastnicy zajęli dziedzińce i stratowali ogród, nie ostała się ani jedna z pięknych orchidei pana. Cambray słyszał hałasy na galerii – wyważali drzwi, wchodzili przez okna i demolowali wszystko, co napotkali na drodze, wybebeszali francuskie meble, rozpruwali holenderskie gobeliny, opróżniali hiszpańskie kufry, rozbijali w drzazgi chińskie parawany i tłukli na kawałki porcelanę, niemieckie zegary, połączone klatki, rzymskie posągi i weneckie lustra, wszystko to, co swego czasu nabyła Violette Boisier. A kiedy zmęczeni się niszczeniem, zaczęli szukać rodziny. Cambray i *commandeurs* zabarykadowali drzwi piwnicy workami, beczkami i meblami i zaczęli strzelać spomiędzy żelaznych prętów chroniących małe okienka. Jedynie deski ścian oddzielały ich od buntowników, rozzuwalonych wolnością i niezważających na kule. W świetle poranka widzieli, jak wielu z nich pada, tak blisko, że czuli ich zapach mimo cuchnących kłębow dymu unoszących się nad spaloną trzcina. Zwalali się na ziemię, a inni przechodzili po nich, zanim Cambray i jego ludzie zdążyli ponownie załadować broń. Słyszeli walenie w drzwi, deski dudniły wstrząsane huraganem nienawiści, która narastała na Karibach od stu lat. Dziesięć minut później dwór płonął jak olbrzymi stos. Niewolnicy czekali na po-

dwórcu i kiedy *commandeurs* wyszli, uciekając przed płomieniami, buntownicy pojмали ich żywcem. Prosperowi Cambrayowi nie mogli jednak odpłacić torturami, na które zasłużył, bo wolał włożyć sobie lufę pistoletu do ust i roztrzaskać głowę.

W tym czasie Gambo i jego mała grupka wspinali się, czepiając skał, pni, korzeni i lian, przepawali się przez przepaście i po pas zanurzali w wartkich strumieniach. Gambo nie przesadzał – to była droga dla małp, nie dla koni. W głębokiej zieleni wkrótce zaczęły pojawiać się kolorowe maźnięcia pędzlem: żółto-pomarańczowy dziób tukana, mieniające się wszystkimi barwami pióra papug, zwisające z gałęzi tropikalne kwiaty. Wszędzie była woda – strumyczki, kałuże, deszcz, przecięte łukami tęczy krystaliczne wodospady, które spadały z nieba i ginęły w gęstej masie połyskujących paproci. Tété zmoczyła chustkę i owiązała nią głowę, żeby zakryć oko zsiniałe od uderzenia Valmoraina. By uniknąć starcia między mężczyznami, powiedziała Gambo, że ugryzł ją w powiekę jakiś robak. Valmorain zdjął przemoczone buty; miał stopy otarte do krwi i Gambo zaśmiał się na ich widok, nie rozumiejąc, jak biały może iść przez życie na tak delikatnych, różowych podszewkach, przypominających obdarte ze skóry króliki. Po kilku krokach Valmorain musiał na powrót włożyć buty. Nie mógł już nieść Maurice’a. Chłopiec to szedł za rękę z ojcem, to siedział na ramionach Gambo, uczepiony jego sztywnej, gęstej czupryny. Kilkakrotnie musieli kryć się przed buntownikami, których wszędzie było pełno. Raz Gambo zostawił wszystkich w grocie, a sam wyszedł na spotkanie niewielkiego oddziału, który znał z czasów spędzonych w obozie Boukmana. Jeden z mężczyzn miał naszyjnik z uszu – niektóre były wysuszone jak skóra, inne świeże i różowe. Podzielili się z nim zapasami, gotowanymi batatami i plastrami wędzonego koziego mięsa i chwilę odpoczęli, wymieniając uwagi na temat przebiegu wojny i pogłoski o nowym dowódcy, Toussaincie. Mówili, że nie przypomina człowieka, że ma serce dzikiego psa, przebiegłego samotnika; że jest nieczuły na pokusy takie jak alkohol, kobiety czy pozłacane medale, których pożąдали inni dowódcy; nie śpi, żywi się owocami i może spędzić dwa dni i dwie noce na grzbiecie konia. Nigdy nie podnosił głosu, ale ludzie drżeli w jego obecności. Był „medykiem od liści” i wróżbiarzem, umiał odczytywać wskazówki natury, znaki zapisane w gwiazdach i najskrytsze ludzkie zamiary; dzięki temu uniknął zdrady i zasadzek. Pożegnali się o zmierzchu, gdy powiało chłodem. Gambo stracił trochę czasu, zanim zorientował się, gdzie jest, odszedł bowiem od jaskini na znaczną odległość, ale w końcu odnalazł ich, omdlałych z pragnienia i gorąca, gdyż nie mieli odwagi wyjść na zewnątrz i poszukać wody. Zaprowadził ich do pobliskiej kałuży, gdzie mogli napić się do woli, musieli jednak racjonować skąpe zapasy żywności.

Obute stopy Valmoraina były jedną wielką raną, kłujący ból przeszywał mu nogi. Płakał z wściekłości, walcząc z pokusą, by położyć się i poczekać na śmierć, ale szedł dalej – dla Maurice’a. Drugiego dnia o zmierzchu zobaczyli dwóch nagich mężczyzn, odzianych jedynie w skórzane pasy, by mieć gdzie zatknąć nóż, uzbrojonych w maczety. Zdołali ukryć się w paprociach i czekali przeszło godzinę, aż tamci w końcu zniknęli w gęstwinie. Gambo podszedł do palmy, której korona wznosiła się kilka metrów ponad innymi roślinami, wspiął się po prostym pnieniu, czepiając łusek kory, i zerwał parę kokosów, które cicho spadły w paprocie. Dzieci mogły napić się mleka i podzielić delikatnym mięszem. Powiedział, że z góry widział równinę; Le Cap było blisko. Spędzili noc pod drzewami. Resztę skromnych zapasów zachowali na następny dzień. Maurice i Rosette zasnęli zwinięci w kłębek, pilnowani przez Valmoraina, który w ciągu ostatnich dni postarzał się o sto lat; czuł, że jest strzępem człowieka, utracił honor, godność mężczyzny, duszę, stał się zwierzęciem, ciałem, cierpieniem, krwawym ochłapem, który jak pies szedł za jakimś przeklętym czarnuchem, spółkującym z jego niewolnicą. Słyszał ich tej nocy, podobnie jak poprzednich, nawet się przed nim nie kryli, nic czuli wstydu ani strachu. Wyraźnie docierały do niego jęki rozkoszy, westchnienia pożądania, wymyślane słowa, stłumiony śmiech. Pan płakał z upokorzenia: kopulowali, raz, drugi i jeszcze raz, jak zwierzęta, bo w tak wielkim pożądaniu i energii nie było nic ludzkiego. Wyobrażał sobie znane mu ciało Tété, jej nogi wędrowca, jej mocne plecy, wąską talię, obfite piersi, gładką skórę, miękką, słodką, wilgotną od potu, pożądania, grzechu, zuchwałości i prow-

kacji. Wydawało mu się, że widzi jej twarz w takich momentach, przymknięte oczy, miękkie usta gotowe dawać i przyjmować, śmiały język, rozszerzone nozdrza wdychające zapach tego mężczyzny. I mimo wszystko, mimo udręczonych stóp, mimo bezmiaru zmęczenia, podeptanej dumy i przerażenia, że umrze, Valmorain czuł podniecenie.

– Jutro zostawimy białego i jego syna na równinie. Stamtąd musi już tylko iść cały czas prosto – oznajmił Gambo między dwoma pocałunkami w ciemności.

– A co będzie, jeśli spotkają buntowników, zanim dotrą do Le Cap?

– Ja zrobiłem, co miałem zrobić, wyciągnąłem ich żywych z plantacji. Teraz niech sami sobie radzą. My pójdziemy do obozu Toussainta. Jego z'etoile jest najjaśniejsza na niebie.

– A Rosette?

– Jeśli chcesz, pójdzie z nami.

– Nie mogę, Gambo, muszę iść z białym. Wybacz mi... – wyszeptła przybita.

Chłopak odsunął ją z niedowierzaniem. Musiała powtórzyć mu to dwa razy, aby zrozumiał, że to nieodwracalna decyzja, jedyna możliwa. Wśród buntowników Rosette byłaby nieszczęsną kwarteronką, odrzuconą, głodną, narażoną na niebezpieczeństwa rewolucji; z Valmorainem będzie bezpieczniejsza. Wy tłumaczyła mu, że nie może rozstać się z dziećmi, ale Gambo nie słuchał jej argumentów, zrozumiał tylko, że jego Zarité woli białego.

– A wolność? To cię nie obchodzi? – złapał ją za ramiona i potrząsnął.

– Jestem wolna, Gambo. Mam papier w tym woreczku, podpisany i opieczętowany. Rosette i ja jesteśmy wolne. Będę służyła panu jeszcze przez jakiś czas, dopóki nie skończy się wojna, a potem pójdę z tobą, dokąd zechcesz.

Rozstali się na równinie. Gambo zabrał pistolety, odwrócił się do nich plecami i pobiegł w kierunku gąszczu, bez pożegnania, nie patrząc za siebie, by rzucić im ostatnie spojrzenie, bo nie chciał ulec przemożnej pokusie zabicia Valmoraina i jego syna. Zrobiłby to bez wahania, ale wiedział, że jeśli wyrządzi krzywdę Maurice'owi, straci Tété na zawsze. Valmorain, kobieta i dzieci dotarli do drogi, szerokiej na trzy konie, odsłoniętej, co groziło spotkaniem ze zbuntowanymi Murzynami lub rozjuszonymi na białych Mulatami. Valmorain nie mógł już zrobić ani kroku na obdartych ze skóry stopach, jęcząc, czołgał się po ziemi, a za nim szedł Maurice, który płakał razem z ojcem. Tété znalazła miejsce w cieniu pod krzakami, data Maurice'owi resztki zapasów i wytłumaczyła, że po niego wróci, ale może jej to zająć trochę czasu, a on musi być dzielny. Pocałowała go, zostawiła z Valmorainem i ruszyła ścieżką z Rosette na plecach. Odtąd wszystko było kwestią szczęścia. Promienie słońca padały wprost na jej odkrytą głowę. Przygnębiająco monotony teren usiany był skałami i niskimi krzewami spłaszczonymi siłą wiatru, pokryty grubą trawą, niską i sztywną. Ziemia była sucha i ziarnista, bez śladu wody. Z drogi, ruchliwej w normalnych czasach, od wybuchu rebelii korzystali jedynie żołnierze i Marechaussée. Tété wiedziała mniej więcej, jaka odległość dzieli ją od Le Cap, nie potrafiła jednak oszacować, ile godzin musi iść, żeby dojść do fortyfikacji w pobliżu miasta, zwykle bowiem podróżowała wozem Valmoraina. „Erzulie, *loa* nadziei, nie opuszczaj mnie”. Szła zdecydowanym krokiem, myśląc nie o tym, ile jej jeszcze brakuje, ale ile już przeszła. Okolica była opustoszała, brakowało punktów orientacyjnych, wszystko wyglądało tak samo, tkwiła w jednym miejscu, jak w złych snach. Rosette domagała się wody, miała suche wargi i szklisty wzrok. Dała jej więcej kropli z niebieskiej buteleczki i kołysała, aż dziewczynka usnęła i Tété mogła iść dalej.

Szła trzy, cztery godziny bez przerwy, z pustką w głowie. „Wody, nie mogę iść dalej bez wody”. Jeden krok, drugi krok, i jeszcze jeden. „Erzulie, *loa* wód słodkich i słonych, nie skazuj nas na śmierć z pragnienia”. Nogi poruszały się same. Słyszała bębny: wezwanie bouli, kontrpunkt segonu, łamiące rytym, głębokie westchnienie mamana, i jeszcze raz od nowa, wariacje, niuanse, przeskoki, nagle radosny odgłos marakasów, i znów niewidoczne dłonie uderzające w napiętą skórę bębnów. Dźwięki wypełniały ją od środka, zaczęła poruszać się w takt muzyki. Kolejna godzina. Unosiła się w rozżarzonej

przestrzeni. Coraz bardziej nieprzytomna, nie czuła już smagnięć batem w kościach ani hałasu kamieni w głowie. Kolejny krok, kolejna godzina. „Erzulie, *loa* współczucia, pomóż mi”. Nagle, kiedy kolana odmówiły jej posłuszeństwa, wstrząsnął nią prąd błyskawicy, od czaszki po stopy, ogień, lód, wiatr, cisza. I wtedy nadeszła bogini Erzulie jak potężny poryw wichru i dosiadła Zarité, swoją służebnicę.

Pierwszy dostrzegł ją Étienne Relais, który jechał na czele oddziału. Ciemna, cienka linia na drodze, złudzenie, drżąca sylwetka w odbitym świetle nieubłaganego słońca. Spiał konia ostrogami i pojechał przodem, by sprawdzić, komu przyszło do głowy odbywać tak niebezpieczną podróż na tym pustkowiu i w tym upale. Kiedy był bliżej, zobaczył odwróconą plecami kobietę, wyprostowaną, majestatyczną, z rękami rozłożonymi do lotu, wijącą się w rytm tajemniczego triumfalnego tańca. Zauważył tobolek, który miała przywiązany z tyłu, i wywnioskował, że to dziecko, może martwe. Krzyknął do niej, ale nie odpowiedziała, dalej unosiła się niczym fatamorgana, dopóki nie zatrzymał przed nią konia. Na widok białych oczu zrozumiał, że jest obłąkana lub znajduje się w transie. Widywał już wcześniej ten natchniony wyraz twarzy w czasie *calend*, ale sądził, że jest wynikiem zbiorowej hysterii bębnow. Jako francuski wojskowy, pragmatyk i ateista brzydził się takimi stanami opętania, uważając je za kolejny dowód na prymitywność Afrykańczyków. Erzulie wyprostowała się przed jeźdźcem, kusząca i piękna; miała żmijowy język między czerwonymi ustami, a ciało niczym płomień. Oficer uniósł bat, dotknął jej ramienia. Czar natychmiast prysnął. Erzulie rozpląnęła się i Tété bez tchu padła na ziemię jak kupka szmat na pokrytej kurzem drodze. Żołnierze dogonili dowódcę, ich konie otoczyły wyczerpaną kobietę. Étienne Relais zeskoczył na ziemię, pochylił się nad nią i zaczął szarpać zaimprovizowany plecak, aż uwolnił zawartość: śpiącą lub nieprzytomną dziewczynkę. Kiedy obrócił ciało, zobaczył Mulatkę, zupełnie inną niż ta, która tańczyła na drodze, biedną dziewczynę pokrytą brudem i polem, o zeszpeconej twarzy, z podbitym okiem, wargami popękkanymi z pragnienia, zakrwawionymi stopami wystającymi ze szmat. Jeden z żołnierzy również zsiadł z konia, schylił się, by wlać strumyk wody ze swojej manierki w usta dziewczynki, a potem kobiety. Tété otworzyła oczy i przez kilka minut nie mogła sobie niczego przypomnieć, ani forsownego marszu, ani swojej córki, ani bębnow, ani Erzulie. Pomogli jej się podnieść i dali więcej wody, aż zaspokoila pragnienie, a obrazy w jej głowie nabrały sensu. „Rosette...”, wybełkotała. „Żyje, ale nie reaguje, nie możemy jej dobudzić”, powiedział Relais. Wówczas niewolnica przypomniała sobie grozę ostatnich dni: *laudanum*, plantację w płomieniach, Gambo, pana i Maurice’a, którzy na nią czekali.

Valmorain zobaczył na drodze obłok kurzu. Skulił się między krzakami, porażony panicznym strachem, który pierwszy raz poczuł na widok odartego ze skóry trupa sąsiada, Lacroix, i który narastał aż do teraz, kiedy stracił poczucie czasu, przestrzeni, odległości, i nie wiedział, dlaczego zaszył się w zaroślach jak zając ani kim jest ten leżący obok niego omdlały smarkacz. Grupa jeźdźców podjechała bliżej, a jeden z nich zawołał go po imieniu. Wówczas odważył się wyjrzeć. Kiedy zobaczył mundury, z piersi wyrwał mu się jęk ulgi. Wyszedł na czworakach, rozczochrany, obdarty, podrapany, pokryty strupami i zaschniętym błotem, szlochając jak dziecko. Klęczał przed końmi, powtarzając: dziękuję, dziękuję, dziękuję. Oślepiiony słońcem i odwodniony, nie rozpoznał Relais’go ani nic zauważył, że wszyscy mężczyźni z plutonu to Mulaci. Wystarczyły mu ich francuskie mundury, by zrozumieć, że jest ocalony. Wyjął sakiewkę, którą miał przywiązaną do pasa, i rzucił przed żołnierzy garść monet. Złoto błyszcząło na ziemi, dziękuję, dziękuję. Zniesmaczony tym spektaklem Étienne Relais kazał mu pozbierać pieniądze. Na jego znak jeden z jeźdźców zsiadł, by podać Valmorainowi wodę i oddać konia. Tété, która siedziała na zadzie innego wierzchowca, zeszła z trudem, bo nie nawykła do jazdy konno, poza tym ciążyła jej uwieszona na plecach Rosette. Ruszyła na poszukiwanie Maurice’a. Znalazła go w krzakach, zwinętego w kłębek i majaczącego z pragnienia.

Byli blisko Le Cap i kilka godzin później, bez dalszych przygód, wjechali do miasta. W tym czasie Rosette doszła do siebie po odrętwieniu wywołanym *laudanum*, Maurice zasnął wycieńczony w ramionach jednego z żołnierzy, a Toulouse Valmorain odzyskał równowagę. Obrazy z ostatnich trzech dni za-

częły się zacierać w jego umyśle, a historia zmieniać swój przebieg. Kiedy miał okazję wyjaśnić, co się wydarzyło, jego wersja wydarzeń nie przypominała tej, którą Relais usłyszał od Tété: Gambo w ogóle nie istniał, atak buntowników przewidział on sam, a w obliczu niemożności obrony plantacji uciekł, by chronić swojego syna, zabierając ze sobą niewolnicę, która wychowała Maurice'a, oraz jej córkę. To on, on sam wszystkich uratował. Relais powstrzymał się od komentarza.



## *Paryż Antyli*

Le Cap było pełne uciekinierów, którzy opuścili plantacje. Dym pożarów, przywleczony przez wiatr, tygodniami unosił się w powietrzu. Paryż Antyli cuchnął śmieciami, odchodami, trupami skazańców gnijącymi na szubienicach i zbiorowymi mogiłami ofiar wojny i epidemii. Zaopatrzenie docierało bardzo nieregularnie, zwykli ludzie mogli liczyć tylko na statki i łodzie rybackie, ale *grands blancs* żyli w tym samym luksusie co dawniej, z tą różnicą, że teraz musieli za niego drożej płacić. Na ich stołach niczego nie brakowało, racjonowanie żywności dotyczyło innych. Nadal odbywały się bale, z uzbrojonymi strażnikami w drzwiach, nie zamknięto teatrów ani barów, a oszałamiające *cocottes* wciąż dostarczały nocnych uciech. Nie było ani jednego wolnego pokoju, gdzie mogliby się zatrzymać, ale Valmorain miał dom Portugalczyka, o który postarał się przed wybuchem powstania. Zamieszkał w nim teraz, próbując otrząsnąć się ze strachu i dojść do siebie po fizycznych i moralnych urazach. Obsługiwało go sześciu wynajętych niewolników zarządzanych przez Tété; nie opłacało mu się ich kupować, w chwili gdy zamierzał zmienić swoje życie. Nabył jedynie wyszkolonego we Francji kucharza, którego potem mógł sprzedać bez strat – cena dobrego kucharza była jedną z niewielu stabilnych rzeczy, które jeszcze się ostały. Był przekonany, że odzyska swoją własność, wszak nie pierwszy raz dochodziło do powstania niewolników na Antylach i wszystkie zostały stłumione. Francja nie pozwoli, by kilku czarnych bandytów zrujnowało kolonię. Tak czy inaczej, nawet jeśli sytuacja wróci do normy, porzuci Saint-Lazare, już to postanowił. Wiedział o śmierci Prospera Cambraya, bo straż konna znalazła w zgliszczach plantacji jego ciało. „W inny sposób bym się od niego nie uwolnił!”, pomyślał. Jego posiadłość obróciła się w popiół, ale ziemia była tam nadal, nikt nie mógł mu jej odebrać. Znajdzie administratora, kogoś przyzwyczajonego do klimatu i doświadczonego, to nie czasy na zarządców sprowadzanych z Francji, jak tłumaczył Parmentierowi, gdy ten okładał mu stopy ziołami, których Tante Rose używała, by przyspieszyć zabliznianie się ran.

– Wróci pan do Paryża, *mon ami*? – zapytał doktor.

– Nie sądzę. Prowadzę interesy na Karaibach, nie we Francji. Wszedłem w spółkę z Sanchem Gardą del Solar, bratem Eugenii, niech odpoczywa w pokoju. Kupiliśmy ziemię w Luizjanie. A pan, doktorze, jakie ma plany?

– Jeśli sytuacja tutaj się nie poprawi, zamierzam wyjechać na Kubę.

– Ma pan tam rodzinę?

– Tak – przyznał lekarz, oblewając się rumieńcem.

– Pokój w kolonii zależy od rządu we Francji. Całą winę za to, co się tu stało, ponoszą republikanie, król nigdy by nie dopuścił do takich skrajności.

– Myślę, że rewolucja francuska jest nieodwracalna – odparł lekarz.

– Republika, doktorze, nie ma pojęcia, jak kierować tą kolonią. Komisarze odesłali połowę żołnierzy pułku z Le Cap i zastąpili ich Mulatami. To prowokacja, żaden biały nic zgodzi się służyć pod rozkazami kolorowego oficera.

– Może nadszedł moment, żeby biali i *affranchis* nauczyli się żyć razem, bo ich wspólnym wrogiem są czarni.

– Zastanawiam się, czego chcą te dzikusy – powiedział Valmorain.

– Wolności, *mon ami* – wyjaśnił Parmentier. – Jeden z przywódców, nazywa się chyba Toussaint, twierdzi, że plantacje mogą funkcjonować, opierając się na wolnej sile roboczej.

– Czarni nie pracowaliby, nawet gdyby im zapłacić! – wykrzyknął Valmorain.

– Nie wiadomo, nikt tego nie sprawdził. Toussaint mówi, że Afrykańczycy są wieśniakami i dobrze znają ziemię, jej uprawa to właśnie to, co potrafią i chcą robić – nie dawał za wygraną Parmentier.

– Tym, co potrafią i chcą robić, doktorze, jest zabijanie i niszczenie! W dodatku ten Toussaint przeszedł na stronę Hiszpanów.

– Szuka schronienia pod flagą Hiszpanii, bo francuscy koloniści nie chcieli pójść na ustępstwa wobec buntowników – przypomniał lekarz.

– Byłem tam, doktorze. Bezskutecznie próbowałem przekonać innych plantatorów, żebyśmy przyjęli warunki pokoju zaproponowane przez czarnych, którzy prosili tylko o wolność dla dowódców i ich zastępców, w sumie dla około dwustu ludzi – powiedział Valmorain.

– W takim razie przyczyną wojny nie jest brak kompetencji republikańskiego rządu we Francji, ale duma kolonistów z Saint-Domingue – orzekł Parmentier.

– Przyznaję, że powinniśmy wykazywać się większym rozsądkiem, ale nie możemy negocjować z niewolnikami jak równy z równym, to byłby niedobry precedens.

– Należałoby dogadać się z Toussaintem, który wydaje się najbardziej rozsądnym z dowódców buntowników.

Tété słuchała uważnie, kiedy mówili o Toussaincie. W głębi duszy kochała Gambo, była pogodzona z myślą, że nie zobaczą się przez długi czas, może nigdy, ale nosiła go w sercu i przypuszczała, że jest właśnie w szeregach Toussainta. Słyszała, jak Valmorain mówi, że żaden bunt niewolników w historii nie zakończył się zwycięstwem, ośmielała się jednak marzyć i zastanawiać, jak wyglądałoby życie bez niewolnictwa. Zarządzała domem jak zawsze, ale Valmorain wytłumaczył jej, że nie mogą już żyć jak w Saint-Lazare, gdzie liczyła się tylko wygoda i nie miało znaczenia, czy do stołu podawano w rękawiczkach, czy bez. W Le Cap trzeba było zachować pewien styl. Nawet gdyby ogień buntu płonął u bram miasta, on musiał odwzajemniać uprzejmości rodzin, które często go zapraszały i które postawiły sobie za cel znalezienie mu żony.

Pan popytał tu i ówdzie i znalazł dla Tété nauczyciela: majordomusa intendentury. Był to ten sam afrykański adonis, który służył tam w 1780 roku, kiedy Valmorain zjawił się z chorą Eugenią, prosząc o gościnę, tyle że teraz wyglądał jeszcze atrakcyjniej, bo z wiekiem nabrał niezwykłego uroku. Nazywał się Zacharie; urodził się i dorastał w tych murach. Jego rodzice byli niewolnikami poprzednich intendentów, którzy sprzedawali ich swoim następcom, kiedy musieli wracać do Francji. Tak stali się częścią inwentarza. Ojciec Zachariego, równie przystojny jak syn, od małego przyuczał go do pracy na prestiżowym stanowisku majordomusa, widział bowiem, że chłopiec posiada zalety mające w tej pracy zasadnicze znaczenie: inteligencję, spryt, godność i ostrożność. Zacharie strzegł się pułapek ze strony białych kobiet, ponieważ wiedział, czym ryzykuje; dzięki temu uniknął wielu problemów. Valmorain zaproponował intendentowi, że zapłaci mu za usługi majordomusa, ale ten nie chciał o tym słyszeć. „Proszę mu dać jakąś drobną sumę, to wystarczy. Zacharie oszczędza, żeby wykupić sobie wolność, choć nie rozumiem, do czego mu ona potrzebna. Jego sytuacja nie mogłaby być lepsza”, powiedział. Uzgodnili, że Tété będzie codziennie przychodziła do intendentury, by nabierać ogłady.

Zacharie przyjął ją chłodno i od początku utrzymywał pewien dystans, sprawował bowiem najwyższą funkcję w hierarchii służby domowej na Saint-Domingue, a ona była niewolnicą bez żadnej rangi. Szybko jednak górę wziął jego dydaktyczny zapał; przekazywał jej sekrety zawodu ze wspaniałomyślnością przekraczającą znacznie gratyfikację wypłaconą mu przez Valmoraina. Zdziwiło go, że ta młoda dziewczyna nie przejawia zainteresowania jego osobą, był bowiem przyzwyczajony do podziwu ze strony kobiet. Udzielanie wymijających odpowiedzi na komplementy i odrzucanie awansów czynionych mu przez damy wymagało z jego strony wielkiego wycucia, ale przy Tété mógł pozwolić sobie na odprężenie, bo w ich relacjach nie było ukrytych intencji. Zwracali się do siebie oficjalnie, monsieur Zacharie i mademoiselle Zarité.

Tété wstawała o świcie, wydawała polecenia niewolnikom, przydzielała prace domowe, zostawiała dzieci pod opieką tymczasowej niańki wynajętej przez pana i szła na lekcje w swojej najlepszej bluzce i świeżo wykrochmalonym tignonie. Nigdy nie dowiedziała się, ilu służących miała intendentura, w sa-

mejszej kuchni było trzech kucharzy i siedmiu pomocników, wyliczyła jednak, że musi być ich nie mniej niż pięćdziesięciu. Zacharie zajmował się finansami i służył za łącznika między państwem a służbą; był najwyższą władzą w tej skomplikowanej organizacji. Żaden z niewolników nie śmiał zwrócić się do niego, jeśli nie został wezwany, dlatego wszyscy czuli się urażeni odwiedzinami Tété, która już po kilku dniach złamała zasady i bez pytania wchodziła do zakazanej świątyni, jaką był maleńki gabinet majordomusa. Zacharie zaczął bezwiednie wyglądać tych wizyt, bo uczenie jej sprawiało mu przyjemność. Stawiała się punktualnie do wyznaczonej godziny, wypijali kawę i zaraz potem przystępował do przekazywania jej swojej wiedzy. Obchodzili przyległości domu i przyglądali się służbie. Praktykantka była pojętna i wkrótce знаła przeznaczenie ośmiu kieliszków nieodzownych na każdym bankiecie, różnicę między widelcem do ślimaków i innym, podobnym, do langusty, wiedziała, po której stronie stawia się dzban z wodą do mycia rąk i w jakiej kolejności należy podawać poszczególne gatunki serów, jak w najbardziej dyskretny sposób rozstawić nocniki podczas przyjęcia, co zrobić z pijaną damą i jak rozsadzać gości przy stole. Po skończonej lekcji Zacharie zapraszał ją na jeszcze jedną kawę i korzystał z okazji, by porozmawiać o polityce – był to temat, który najbardziej go pasjonował. Z początku słuchała z grzeczności, zastanawiając się, dlaczego niewolnika miałyby obchodzić kłótnie między wolnymi ludźmi, aż do czasu, kiedy wspomniał o możliwości obalenia niewolnictwa. „Proszę sobie wyobrazić, mademoiselle Zarité, od lat oszczędzam na wolność, a może być tak, że doczekam się jej, zanim zdążę ją kupić”, śmiał się Zacharie. Był poinformowany o wszystkim, o czym mówiło się w intendenturze, nawet o tym, co komentowano za zamkniętymi drzwiami. Wiedział, że w Zgromadzeniu Narodowym w Paryżu dyskutowano na temat niemającej żadnego uzasadnienia sprzeczności, jaką było utrzymywanie niewolnictwa w koloniach po obaleniu go we Francji. „Czy wie pan coś o Toussaincie, monsieur?”, zapytała Tété. Majordomus wyrecytował jej biografię, którą wyczytał w poufnej teczce intendenta, i dodał, że komisarz Sonthonax i gubernator będą musieli dojść z nim do porozumienia, bo dowodzi bardzo dobrze zorganizowanym wojskiem i ma poparcie Hiszpanów po drugiej stronie wyspy.

## *Nieszczęsne noce*

Dzięki lekcjom Zachariego po dwóch miesiącach dom Valmoraina funkcjonował z wyrafinowaną wytwornością, jaką jego właściciel nie cieszył się od swych młodzieńczych lat spędzonych w Paryżu. Toulouse postanowił wydać przyjęcie, korzystając z usług drogiej, lecz cieszącej się dużym prestiżem firmy bankietowej monsieur Adriena, wolnego Mulata, którego polecił Zacharie. Dwa dni przed przyjęciem monsieur Adrien wtargnął do domu wraz z grupą niewolników, odesłał kucharza i zastąpił go pięcioma grubymi, władczyimi kobietami, które przygotowały menu złożone z czternastu dań zainspirowane jednym z bankietów w intendenturze. Mimo że dom nie nadawał się do urządzania wykwintnych przyjęć, okazał się całkiem elegancki, kiedy usunięto okropne ozdoby portugalskiego właściciela i przystrojono go karłowatymi palmami w donicach, bukietami kwiatów i chińskimi lampionami. Wyznaczonego wieczoru organizator bankietu stawiał się z kilkudziesięcioma służącymi w niebiesko-złoty libiach, którzy zajęli swoje miejsca, zdyscyplinowani niczym żołnierze. Domy *grands blancs* rzadko dzieliła odległość większa niż dwie przecznice, ale zaproszeni przybyli powozami, a kiedy parada pojazdów już się przetoczyła, ulica przypominała bajoro pełne końskiego łajna, które lokaje usunęli, żeby odór nie kłócił się z zapachem damskich perfum.

„Jak wyglądam?“, zapytał Valmorain Tété. Miał na sobie brokatową kamizelkę przetykaną złotymi i srebrnymi nićmi, taką ilość koronek przy mankietach i kołnierzyku, że wystarczyłoby ich na obrus, różowe pończochy i buty do tańca. Ona nic nie odpowiedziała zaskoczona widokiem peruki w kolorze lawendy. „Jakobińscy prostacy chcą skończyć z perukami, ale to niezbędny element elegancji na takich przyjęciach. Tak mówi mój fryzjer“, poinformował ją Valmorain.

Monsieur Adrien podał zaproszonym drugą kolejkę szampana, a orkiestra przystąpiła z brawurą do wykonania kolejnego menueta, kiedy nagle jeden z sekretarzy gubernatora wpadł z niewiarygodną wiadomością, że we Francji zgilotynowano Ludwika XVI. Królewską głowę niesiono ulicami Paryża, tak jak w Le Cap głowy Boukmana i wielu innych. O wydarzeniach, do których doszło w styczniu, na Saint-Domingue dowiedziano się dopiero w marcu. Wybuchła panika, goście rozpieczęli się w pośpiechu, zanim jeszcze podano do stołu, i taki był finał pierwszego i ostatniego przyjęcia, jakie Toulouse Valmorain wydał w tym domu.

Tej samej nocy, kiedy szlochający monsieur Adrien, fanatyczny monarchista, oddalił się już ze swoimi ludźmi, Tété podniosła z podłogi lawendową perukę podeptaną przez Valmoraina, sprawdziła, czy Maurice śpi spokojnie, zaryglowała drzwi i okna i poszła odpocząć do pomieszczenia, które zajmowała z Rosette. Korzystając z przeprowadzki, Valmorain wyciągnął syna z pokoju Tété, aby spał oddzielnie, ale ponieważ Maurice był jednym kłębkim nerwów, w obawie, że znowu zacznie gorączkować, urządził mu prowizoryczne legowisko w kącie swojej sypialni. Od przybycia do Le Cap Valmorain nie wspominał o Gambo, ale też i nie wzywał Tété nocą. Między nimi stał cień kochanka. Wyleczenie stóp zajęło tygodnie, a kiedy był już w stanie chodzić, wypuszczał się gdzieś co wieczór, aby zapomnieć o złych chwilach. Jego nasycone lepkiem kwiatowym zapachem ubranie wskazywało, że odwiedzał *cocottes*. Tété uznała, że wreszcie skończyło się dla niej upokarzające obłapianie, dlatego teraz poczuła niepokój, kiedy zobaczyła, jak w kapciach i szlafroku z zielonego aksamitu siedzi w nogach jej łóżka, na którym Rosette chrapała z rozłożonymi nogami, z bezwstydem niewinnej istoty. „Chodź ze mną!“, rozkazał i pociągnął ją za rękę w stronę jednego z pokoiów gościnnych. Przewrócił dziewczynę mocnym pchnięciem, szarpnął, zdzierając z niej ubranie i szybko zgwałcił po ciemku, z niecierpliwością bliższą nienawiści niż pożądania. Wspomnienie Tété kopulującej z Gambo doprowadzało go do furii, ale wywoływało także wizje, którym nie był w stanie się oprzeć. Ten dzikus miał czelność położyć swoje plugawe dłonie na jego własności. Zabiłby czarnucha, gdyby dostał go w swoje ręce. Kobieta również zasługiwała na przykładną karę, ale minęły dwa miesiące, a on jeszcze nie kazał jej zapłacić za tę niewia-

rygodną bezczelność. Suka. Grzejąca się suka. Nie mógł wymagać moralnego i przyzwoitego zachowania od niewolnicy, ale powinien narzucić jej swoją wolę. Dlaczego tego nie zrobił? Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Rzuciła mu wyzwanie – należało zrobić z tym porządek. Ale miał wobec niej również dług. Tété zrezygnowała z wolności, aby ratować jego i Maurice’a. Pierwszy raz zadał sobie pytanie, co czuje do niego ta Mulatka. Był w stanie odtworzyć we wspomnieniach upokarzające noce w dżungli, kiedy tarzała się ze swoim kochankiem, ich uściski, pocałunki, powracające uniesienia, nawet zapach, jaki miały ich ciała, kiedy wracali. Tété jako demon, czysta żądza, liżąca, spocona i jęcząca. Kiedy gwałcił ją w pokoju gościnnym, nie mógł usunąć tej sceny z głowy. Znowu się na nią rzucił, wszedł w jej ciało z wściekłością, zdumiony własną energią. Tété jęknęła, a on zaczął okładać ją pięściami w szale zazdrości, z przyjemnością, którą daje odwet, „ty suko, sprzedam cię, ty kurwo, ty kurwo, i sprzedam też twoją córkę”. Tété zamknęła oczy i oddała się, rozluźniając ciało, nie stawiając oporu ani nie próbując unikać ciosów, a w tym czasie jej dusza ulatywała gdzie indziej. „Erzulie, *ba* pożądania, spraw, żeby szybko skończył”. Valmorain zwałił się na nią po raz drugi, mokry od potu. Tété odczekała kilka minut bez ruchu. Ich oddechy uspokajały się stopniowo; próbowała powoli wyslizgnąć się z łóżka, ale ją przytrzymał.

– Jeszcze nie odchodź – rozkazał.

– Chce pan, żebym zapaliła świece, monsieur? – zapytała słabym głosem, bo oddech palił ją między potłuczonymi żebrami.

– Nie, wolę tak, jak jest.

Pierwszy raz powiedziała do niego monsieur zamiast panie i Valmorain to zauważył, ale puścił mimo uszu. Tété usiadła na łóżku, wycierając sobie krew z ust i nosa porwaną na strzępy bluzką.

– Jutro zabierzesz Maurice’a z mojego pokoju – powiedział Valmorain. – Powinien spać osobno. Za bardzo go rozpieściłaś.

– Ma dopiero pięć lat.

– Ja w jego wieku umiałem już czytać, jeździłem na polowania na własnym koniu i brałem lekcje szermierki.

Przez chwilę trwali bez ruchu, aż w końcu odważyła się zadać pytanie, które cisnęło się jej na usta, odkąd przybyli do Le Cap.

– Kiedy będę wolna, monsieur? – spytała i skuliła się w oczekiwaniu na kolejne uderzenie, ale on wstał, nawet jej nie dotknąwszy.

– Nie możesz być wolna. Z czego byś żyła? Ja cię utrzymuję i chronię, przy mnie ty i twoja córka jesteście bezpieczne. Zawsze traktowałem cię bardzo dobrze, na co się skarżasz?

– Nie uskarżam się...

– Sytuacja jest bardzo niebezpieczna. Zapomniałaś już o okropnościach, które przeżyliśmy? O okrucieństwach, które popełniono? Odpowiedz!

– Nie, monsieur.

– Wolność, powiadasz? I zostawisz Maurice’a?

– Jeśli pan sobie życzy, mogę dalej opiekować się Maurice’em, przynajmniej do czasu, kiedy pan się znowu ożeni.

– Ożenić się? – Wybuchnął śmiechem. – Eugenia była dla mnie nauczka! To ostatnia rzecz, jaką bym zrobił. Jeśli masz mi dalej służyć, po co się wyzwalać?

– Wszyscy chcą być wolni.

– Kobiety nigdy nie są wolne, Tété. Potrzebują mężczyzny, który o nie zadba. Kiedy są pannami, należą do ojca, a kiedy wyjdą za mąż – do męża.

– Papier, który mi pan dał... To moja wolność, tak? – nalegała.

– Oczywiście.

– Ale Zacharie mówi, że musi go podpisać sędzia, żeby był ważny.

– Kto to jest Zacharie?

– Majordomus intendenta.

– Ma rację. Ale to nie jest odpowiedni moment. Poczekajmy, aż na Saint-Domingue wróci spokój.

Nie mówmy o tym więcej. Jestem zmęczony. Powiedziałem: jutro chcę spać sam i żeby wszystko znowu było tak jak przedtem, rozumiałaś?

Nowy gubernator, generał Galbaud, przybył na wyspę, by położyć kres chaosowi panującemu w kolonii. Miał pełnię władzy wojskowej, ale rząd republikański reprezentowali Sonthonax i dwaj inni komisarze. Pierwszy raport złożył mu Étienne Relais. Produkcja na wyspie spadła do zera, północ zamieniła się w jedną wielką chmurę dymu, na południu nieustannie dochodziło do rzezi, miasto Port-au-Prince zostało całkowicie spalone. Nie było transportu, normalnie działających portów i nikt nie mógł czuć się bezpiecznie. Zbuntowani Murzyni mieli poparcie Hiszpanii, a armada brytyjska kontrolowała Karaiby, gotowa do natychmiastowego zajęcia miast na wybrzeżu. Znaleźli się w potrzasku, nie mogli przyjmować oddziałów ani dostaw z Francji, obrona była prawie niemożliwa. „Niech pan się nie martwi, podpułkowniku, znajdziemy jakieś dyplomatyczne rozwiązanie”, odparł Galbaud. Prowadził potajemne rozmowy z Toulouse'em Valmorainem i Klubem Patriotów, zagorzałymi zwolennikami niepodległości kolonii i oddania jej pod opiekę Anglii. Gubernator zgadzał się z konspiratorami, że republikanie z Paryża nic nie rozumieją z tego, co dzieje się na wyspie, i robią jedno nieodwracalne głupstwo za drugim. Do najpoważniejszych należało rozwiązanie Zgromadzenia Kolonialnego: Saint-Domingue odebrano całą autonomię, wszystkie decyzje podejmowano teraz we Francji i trzeba było na nie czekać tygodniami. Galbaud miał na wyspie ziemię i żonę Kreolkę, w której po wielu latach małżeństwa nadal był zakochany; lepiej niż inni rozumiał napięcia rasowe i klasowe.

W generale, którego bardziej niż powstanie Murzynów martwiła walka pomiędzy białymi i *affranchis*, członkowie Klubu Patriotów znaleźli idealnego sojusznika. Wielu *grands blancs* prowadziło interesy na Karaibach i w Stanach Zjednoczonych, matka ojczyzna nie była im do niczego potrzebna. Uważali, że niepodległość jest dla nich najlepszym rozwiązaniem, chyba że wszystko się zmieni i we Francji zostanie przywrócona silna monarchia. Egzekucja króla była tragedią, ale także znakomitą okazją do znalezienia mniej tępego monarchy. Niepodległość nie podobała się natomiast *affranchis*, bo tylko republikański rząd Francji gotów był zaakceptować ich jako obywateli, do czego nigdy by nie doszło, gdyby Saint-Domingue znalazło się pod protektoratem Anglii, Stanów Zjednoczonych czy Hiszpanii. Generał Galbaud wierzył, że gdy tylko zostanie rozwiązany problem relacji między białymi i Mulatami, dość łatwo będzie rozgromić Murzynów, zakuć ich ponownie w łańcuchy i zaprowadzić porządek, ale nie wspominał o tym Étienne'owi Relais'emu.

– Niech mi pan coś powie o komisarzu Sonthonaksie, podpułkowniku – poprosił.

– Wykonuje polecenia rządu, generale. Dekret z czwartego kwietnia przyznał prawa polityczne wolnym kolorowym. Komisarz przybył tu z sześcioma tysiącami żołnierzy, aby dopilnować wprowadzenia go w życie.

– Tak, tak... To już wiem. Proszę mi powiedzieć, w zaufaniu oczywiście, jakim człowiekiem jest ten Sonthonax?

– Mało go znam, generale, ale mówią, że jest bardzo bystry i poważnie traktuje interesy Saint-Domingue.

– Sonthonax oświadczył, że nie ma zamiaru wyzwalać niewolników, ale doszły do mnie pogłoski, że mogłoby to zrobić – powiedział Galbaud, wpatrując się w nieporuszoną twarz oficera. – Pan wie, że oznaczałoby to koniec cywilizacji na wyspie, prawda? Proszę sobie wyobrazić ten chaos: czarni wolni, biali na wygnaniu, Mulaci robiący, co im się żywnie podoba, porzucona ziemia.

– Nic mi o tym nie wiadomo, generale.

– Co pan by zrobił w takim przypadku?

– Wypełniałbym rozkazy, jak zwykle, generale.

Galbaud potrzebował zaufanych oficerów w armii, aby zmierzyć się z potęgą francuskiej metropolii, ale nie mógł liczyć na Étienne’a Relais’go. Sprawdził, że jest ożeniony z Mulatką, że prawdopodobnie sympatyzuje ze sprawą *affranchis* i najwyraźniej podziwia Sonthonaksa. Wydał mu się człowiekiem ograniczonym, o mentalności urzędnika i bez ambicji, bo trzeba było być jej całkowicie pozbawionym, żeby wziąć ślub z kolorową kobietą. Zasługiwało na uwagę, że mimo takiego balastu udawało mu się awansować. Z drugiej strony, Relais bardzo go interesował, bo cieszył się lojalnością swoich żołnierzy; tylko jemu udało się bez problemów przemieszać w szeregach swojego oddziału białych, Mulatów, a nawet Murzynów. Zadawał sobie pytanie, ile wart jest ten człowiek. Każdy ma swoją cenę.

Tego samego popołudnia w koszarach zjawiał się Toulouse Valmorain, by porozmawiać z Relais’em jak przyjaciel z przyjacielem – tak to ujął. Zaczął od podziękowania za uratowanie mu życia, kiedy musiał uciekać ze swojej plantacji.

– Mam wobec pana dług, podpułkowniku – powiedział bardziej aroganckim niż wyrażającym wdzięczność tonem.

– Nie wobec mnie ma pan dług, monsieur, ale wobec swojej niewolnicy. Ja tylko tamtędy przejeżdżałem; to ona pana uratowała – odparł Relais skrzępowany.

– Grzeszy pan skromnością. A proszę mi powiedzieć, jak tam pańska rodzina?

Relais natychmiast zaczął podejrzewać, że Valmorain chce go przekupić i wspomina o rodzinie po to, by przypomnieć, że oddał im Jeana-Martina. Teraz byli kwita: życie Valmoraina za adoptowanego syna. Spiał się jak przed bitwą, wbił w gościa oczy o lodowatym spojrzeniu, które sprawiało, że podwładni drżeli ze strachu, i czekał, aż mu wyjaśni, o co właściwie chodzi. Valmorain zignorował jego milczenie i ostry jak brzytwa wzrok.

– Żaden *affranchi* nie jest bezpieczny w tym mieście – powiedział uprzejmym tonem. – Pańskiej żonie grozi niebezpieczeństwo, dlatego przychodzę zaoferować panu moją pomoc. Jeśli zaś chodzi o dziecko... jak ono się nazywa?

– Jean-Martin Relais – odparł oficer z zaciśniętymi szczękami.

– Oczywiście, Jean-Martin. Przepraszam, mam tyle kłopotów na głowie, że zapomniałem. Posiadam dość wygodny dom na wprost portu, w dobrej dzielnicy, gdzie nie ma zamieszek. Mogę przyjąć pańską żonę i pańskiego syna...

– Proszę się o nich nie martwić, monsieur. Są bezpieczni na Kubie – przerwał mu Relais.

Valmorain zmieszał się, widząc, że traci kartę przetargową w swojej grze, ale natychmiast odzyskał pewność siebie.

– Ach, tam mieszka mój szwagier, don Sancho García del Solar. Napiszę do niego jeszcze dziś, żeby wziął pańską rodzinę pod swoją opiekę.

– To nie będzie konieczne, monsieur, dziękuję.

– Oczywiście, że będzie, podpułkowniku. Samotna kobieta zawsze potrzebuje opieki dżentelmena, zwłaszcza tak piękna jak pańska małżonka.

Étienne Relais wstał błądy z oburzenia wywołanego tą zawołaną znie wagą, uznając spotkanie za zakończone, ale Valmorain siedział dalej z nogą założoną na nogę, jakby był w swoim gabinecie. Zaczął grzecznie, acz dobitnie tłumaczyć, że *grands blancs* mają zamiar odzyskać kontrolę nad kolonią, mobilizując wszystkie środki, które są w zasięgu ich ręki, i że należałoby się określić i stanąć po czyjejś stronie. Nikt, zwłaszcza wysoki rangą wojskowy, nie mógł pozostać obojętny ani zachować neutralności w obliczu straszliwych wydarzeń, które już nastąpiły, i tych, które nadejdą i bez wątpienia będą jeszcze bardziej dramatyczne. Rolą armii jest zapobiec wojnie domowej. Anglicy zeszli na ląd na południu i ogłoszenie niepodległości Saint-Domingue pod brytyjską flagą jest kwestią dni. Można to zrobić w sposób cywilizowany albo ogniem i mieczem – wszystko zależy od armii. Oficer popierający szlachetną sprawę niepodległości miałby wielką władzę, byłby prawą ręką gubernatora Galbauda, a to stanowisko

więzałoby się oczywiście z wysoką pozycją ekonomiczną i społeczną. Nikt nie robiłby afrontów mężczyźnie ożenionemu z Mulatką, gdyby ów mężczyzna był na przykład nowym głównodowodzącym sił zbrojnych na wyspie.

– Krótko mówiąc, monsieur, namawia mnie pan do zdrady – odparł Relais, nie mogąc powstrzymać się od ironicznego uśmiechu, który Valmorain odebrał jako zachętę do dalszej rozmowy.

– Nie chodzi o zdradę Francji, podpułkownik Relais, lecz o zdecydowanie, co jest najlepsze dla Saint-Domingue. Żyjemy w czasach głębokich przemian, nie tylko tutaj, ale także w Europie i w Ameryce. Trzeba się dostosować. Proszę mi przynajmniej obiecać, że przemyśli pan to, o czym rozmawialiśmy – powiedział Valmorain.

– Przemyślę bardzo starannie, monsieur – odparł Relais, odprowadzając go do drzwi.



## Zarité

Pan potrzebował dwóch tygodni, aby skłonić Maurice'a do spania osobno. Oskarżył mnie, że wychowałam go na tchórza, jak kobietę, a ja odpowiedziałam mu wściekła, że my, kobiety, nie jesteśmy tchórzami. Podniósł rękę, ale mnie nie uderzył. Coś się zmieniło. Myślę, że nabrał do mnie szacunku. Kiedyś, w Saint-Lazare, urwało się wielkie psisko do pilnowania i rozszarpało kurę na podwórzu. Już miało rzucić się na drugą, gdy nagle stanął mu na drodze piesek Tante Mathilde. Ten kundel o wyglądzie kota stawiał mu czoło, warcząc z obnażonymi kłami i zaślinionym pyskiem. Nie wiem, co działo się we łbie bestii, ale uciekła z podkulonym ogonem, ścigana przez pieska. Prosper Cambray zabił ją potem jednym strzałem, za tchórzostwo. Przyzwyczajony do głośnego ujadania i budzenia strachu pan skulił się jak tamten pies w zatknięciu z pierwszym, który stawiał mu czoło: z Gambo. Myślę, że tak bardzo przejmował się odwagą Maurice'a, bo sam jej nie miał. Pod wieczór Maurice robił się nerwowy na myśl, że zostanie sam. Kładłam go z Rosette i czekałam, aż zasną. Ona padała po dwóch minutach, przytulona do brata, a on wsłuchiwał się w hałasy dobiegające z domu i z ulicy. Na rynku stały szubienice dla skazańców, ich krzyki przenikały przez ściany i zostawały w pokojach, rozbrzmiewały jeszcze wiele godzin po tym, jak uciszyła je śmierć. „Słyszysz, Tété?”, pytał Maurice, dygocząc. Ja też je słyszałam, ale jak miałam mu to powiedzieć? „Nic nie słyszę, moje dziecko, śpij już”, i zaczynałam mu śpiewać. Kiedy wreszcie zasnął zmęczony, zabierałam Rosette do naszego pokoju. Maurice wspomniał kiedyś przy ojcu, że po domu chodzą skazańcy, i pan zamknął go w szafie, schował klucz do kieszeni i wyszedł. Rosette i ja usiadłyśmy pod szafą i opowiadałyśmy mu o różnych wesołych rzeczach, ani na chwilę nie zostawiłyśmy go samego, ale zjawy wcisnęły się do środka, i kiedy pan wrócił, żeby wypuścić syna, chłopiec miał gorączkę od długiego płakania. Przez dwa dni był rozpalony, a ojciec nie ruszał się na krok od jego łóżka, ja zaś starałam się ulżyć mu kompresami z zimnej wody i napojem z lipy.

Pan uwielbiał Maurice'a, ale w tamtym czasie zachowywał się tak, jakby miał wywichnięte serce. Liczyła się tylko polityka, nie mówił o niczym innym i przestał zajmować się synem. Maurice nie chciał jeść i zaczął moczyć się w nocy. Doktor Parmentier, który był jedynym prawdziwym przyjacielem pana, powiedział, że dziecko jest chore ze strachu i potrzebuje czułości; dopiero wtedy ojciec ustąpił i mogłam przenieść chłopca do mojego pokoju. Tego dnia doktor został przy Maurisie, czekając, aż spadnie mu gorączka, i mogliśmy porozmawiać w cztery oczy. Zadał mi dużo pytań. Étienne Relais opowiedział mi, że pomogłam panu w ucieczce z plantacji, ale ta wersja nie zgadzała się z wersją pana. Chciał znać szczegóły. Musiałam wspomnieć o Gambo, ale nie powiedziałam o naszej miłości. Pokazałam mu papier, który dawał mi wolność. „Pilnuj go, Tété, bo jest na wagę złota”, powiedział mi po jego przeczytaniu. Ja już to wiedziałam.

Pan spotykał się w domu z innymi białymi. Madame Delphine, moja pierwsza właścicielka, nauczyła mnie, jak być cichą, czujną i uprzedzać życzenia państwa; mówiła, że niewolnica powinna być niewidzialna. W ten sposób nauczyłam się szpiegować. Nie rozumiałam wiele z rozmów pana z patriotami i tak naprawdę interesowały mnie tylko wiadomości o buntownikach, ale Zacharie, który dzięki lekcjom w intendenturze został moim przyjacielem, prosił mnie, żebym powtarzała mu wszystko, o czym mówili. „Biali uważają, że my, czarni, jesteśmy głusi, a nasze kobiety głupie. To dla nas bardzo wygodne. Proszę nadstawiać ucha i o wszystkim mi opowiadać, mademoiselle Zarité”. Dowiedziałam się od niego, że tysiące buntowników rozłożyły się obozem pod Le Cap. Pokusa, żeby odszukać Gambo, nie dawała mi spać, ale wiedziałam, że polem nie mogłabym już wrócić. Miałabym porzucić moje dzieci? Poprosiłam Zachariego, który miał kontakty nawet na księżycu, żeby sprawdził, czy Gambo jest wśród buntowników, ale zapewnił mnie, że nic o nich nie wie. Musiałam zadowolić się wysyłaniem do Gambo wiadomości w

myślach. Czasami wyjmowałam z sakiewki papier z moją wolnością, rozkładałam czubkami palców, żeby go nie zniszczyć, i patrzyłam, jakbym miała nauczyć się tekstu na pamięć, chociaż nie znałam liter.

W Le Cap wybuchła wojna domowa. Pan wyjaśnił mi, że na wojnie wszyscy walczą ze wspólnym wrogiem, a w wojnie domowej ludzie się dzielą, i wojsko też, i zabijają się nawzajem, tak jak teraz biali z Mulatami. Czarni się nie liczą, bo nie są ludźmi, tylko własnością. Wojna domowa nie rozegrała się w ciągu jednej nocy, trwała ponad tydzień, skończyły się targowiska, calendy czarnych i życie towarzyskie białych, otwartych było bardzo mało sklepów i nawet szubienice na placu stały puste. Nieszczęście wisiało w powietrzu. „Przygotuj się, Tété, bo niedługo wszystko się zmieni”, zapowiedział pan. Jak mam się przygotować?”, zapytałam, ale on sam tego nie wiedział. Zrobiłam tak jak Zacharie, który gromadził zapasy i pakował co lepsze rzeczy, na wypadek gdyby intendent i jego żona zdecydowali się wsiąść na statek odpływający do Francji.

Którejś nocy służbowym wejściem wniesiona skrzynię pełną pistoletów i muszkietów; pan powiedział, że amunicji wystarczyłoby dla całego pułku. Upały były coraz większe, w domu polewaliśmy płytki na podłodze wodą, a dzieci chodziły gołe. Wtedy zjawił się bez uprzedzenia generał Galbaud. Choć wiele razy przychodził na spotkania patriotów, ledwo go poznałam, bo nie miał na sobie swojego kolorowego munduru obwieszanego medalami, ale ciemny strój podróżny. Nigdy nie podobał mi się ten biały, był bardzo wyniosły i wiecznie w złym humorze, łagodniał tylko wtedy, kiedy jego szczurze oczka spoczywały na żonie, rudowłosej dziewczynie. Kiedy podawałam im wino, ser i zimne mięso, usłyszałam, że komisarz Sonthonax pozbawił gubernatora Galbauda urzędu, oskarżając go o spiskowanie przeciwko legalnym władzom kolonii. Sonthonax planował masową deportację swoich politycznych – przeciwników, trzymał już pięciuset w ładowniach statków, które czekały w porcie na rozkaz podniesienia kotwicy. Galbaud ogłosił, że nadszedł czas, by zacząć działać.

Zaraz potem przyszli inni patrioci, których wcześniej powiadomiono. Usłyszałam, że biali żołnierze regularnej armii i prawie trzy tysiące marynarzy z portu są gotowi walczyć u boku Galbauda. Sonthonax mógł liczyć tylko na poparcie gwardii narodowej i oddziałów Mulatów. Generał obiecał, że bitwa rozstrzygnie się w ciągu kilku godzin, Saint-Domingue zdobędzie niepodległość, dla Sonthonaksa będzie to ostatni dzień życia, prawa affranchis zostaną cofnięte, a niewolnicy wrócą na plantacje. Wszyscy wstali, żeby wznieść toast. Jeszcze raz napełniłam kieliszki, a potem wyszłam cichutko i pobiegłam do Zachariego, który kazał mi powtórzyć wszystko słowo w słowo. Mam dobrą pamięć. Bał mi się napić lemoniady – na zmartwienie – i odesłał z powrotem, polecając trzymać buzię na kłódkę i zamknąć dom na cztery spusty. Tak zrobiłam.

## Wojna domowa

Spocony z powodu upału i zdenerwowania, wtłoczony w swój czarny kaftan i koszulę z ciasnym kołnierzykiem komisarz Sonthonax przedstawił w krótkich słowach sytuację Étienne'owi Relais'mu. Nie wspomniał jednak, że o spisku Galbauda dowiedział się nie dzięki swojej rozbudowanej siatce szpiegów, lecz pogłosce, którą przekazał mu majordomus intendentury. Do jego biura przyszedł bardzo wysoki, przystojny Murzyn, ubrany jak *grand blanc*, tak świeży i wyperfumowany, jakby właśnie wyszedł z kąpieli; przedstawił się jako Zacharie i nalegał na rozmowę w cztery oczy. Sonthonax zaprowadził go do sąsiedniego pokoju, dusznej dziupli bez okien, z czterema gołymi ścianami, wojskową pryczą, krzesłem, dzbanem na wodę i stojącą na podłodze miednicą. Od kilku miesięcy tu właśnie sypiał. Usiadł na łóżku i wskazał gościowi krzesło, ale ten wolał stać. Sonthonax, niski i gruby, z pewną zazdrością przyglądał się wysokiej i dystygowanej sylwetce, która sięgała głową sufitu. Zacharie powtórzył mu słowa Tété.

– Dlaczego pan mi to opowiadasz? – zapytał Sonthonax nieufnie. Nie potrafił zakwalifikować tego mężczyzny, który przedstawił mu się tylko z imienia, bez nazwiska, jak niewolnik, ale jego sposób bycia znamionował pewność siebie osoby wolnej i manieri właściwe klasie wyższej.

– Bo sympatyzuję z rządem republikańskim – brzmiała prosta odpowiedź Zachariego.

– Jak pan uzyskał tę informację? Ma pan dowody?

– Informacja pochodzi prosto od generała Galbauda. Dowody będziecie mieli za niecałą godzinę, kiedy usłyszycie pierwsze wystrzały.

Sonthonax zmoczył chusteczkę w dzbanku z wodą i przetarł sobie twarz i szyję. Bolał go brzuch, czuł ten przytłumiony, uporczywy ból, ucisk w kiszkiach, który nękał go, zawsze kiedy znajdował się pod presją, czyli odkąd pierwszy raz postawił stopę na Saint-Domingue.

– Niech pan do mnie przyjdzie, jeśli jeszcze czegoś się pan dowie. Podejmę niezbędne środki – powiedział, uznając spotkanie za zakończone.

– Jeśli będę panu potrzebny, to jestem w intendenturze, panie komisarzu – pożegnał się Zacharie.

Sonthonax natychmiast polecił wezwać Étienne'a Relais'go. Przyjął go w tym samym pokoju, bo pozostałą część budynku opanowali cywilni i wojskowi urzędnicy. Relais, najwyższy rangą oficer, na którego mógł liczyć w konfrontacji z Galbaudem, zawsze wykazywał się nieskazitelną lojalnością wobec kolejnych rządów francuskich.

– Czy zdezerterował któryś z pańskich białych żołnierzy, podpułkowniku? – zapytał.

– Właśnie przed chwilą stwierdziłem, że dziś o świcie zdezerterowali wszyscy, panie komisarzu. Mam tylko oddziały Mulatów.

Sonthonax powtórzył mu to, co powiedział Zacharie.

– To oznacza, że będziemy musieli walczyć z białymi wszelkiego autoramentu, cywilami i wojskowymi, nie licząc marynarzy Galbauda, których są jakieś trzy tysiące – podsumował.

– Mają dużą przewagę, panie komisarzu. Będziemy potrzebowali posiłków – powiedział Relais.

– Nie mamy ich. Pan dowodzi obroną, podpułkowniku. Po zwycięstwie zadbam o pański awans – obiecał Sonthonax.

Relais przyjął zadanie z właściwym sobie spokojem, wynegocjowawszy uprzednio z komisarzem, że zamiast wyższego stopnia zostanie przeniesiony w stan spoczynku. Powiedział, że szczerze mówiąc, ma już dość służby w wojsku, że żona i syn czekają na Kubie, że nie wie, kiedy do nich dołączy. Sonthonax zapewnił go, że tak się stanie, choć nie miał najmniejszego zamiaru spełnić obietnicy; to nie był odpowiedni moment, by zajmować się osobistymi problemami kogokolwiek.

Tymczasem w porcie zaroilo się od łodzi wypełnionych uzbrojonymi marynarzami, którzy przypuścili szturm na Le Cap niczym horda piratów. Tworzyli przedziwną mieszaninę różnych narodowości,

byli ludźmi bezprawia, którzy całe miesiące spędzali na pełnym morzu, wyczekując niecierpliwie okazji, by móc przez kilka dni oddać się pijaństwu i rozpuście. Nie walczyli z przekonania, bo nawet nie byli pewni kolorów swojej flagi, lecz dla przyjemności zejścia na stały ląd i niszczenia połączonego z rabowaniem. Od dawna im nie płacono, a to bogate miasto miało wiele do zaoferowania, począwszy od kobiet i rumu aż po złoto, jeśli wpadłoby im w ręce. Galbaud liczył, że uda mu się przeprowadzić atak dzięki wojskowemu doświadczeniu i pomocy regularnych oddziałów złożonych z białych, którzy od razu przeszli na jego stronę, mając dość upokorzeń, jakie musieli znosić od żołnierzy Mulatów. Nie było widać *grands blancs*, natomiast *petits blancs* i marynarze przemierzali ulice kolejnych dzielnic, ściera-  
jąc się z grupkami niewolników, którzy wykorzystując zamieszanie, też plądrowali miasto. Murzyni zadeklarowali się jako zwolennicy Sonthonaksa, by przeciwstawić się swoim panom i pohulać przez kilka godzin, ale było. im wszystko jedno, kto wygra w walce, która ich nie dotyczyła. Obie bandy ludzi, przez okazję uczynionych szubrawcami, zaatakowały składy portowe, gdzie przechowywano beczki z rumem czekające na wywóz, i wkrótce alkohol płynął strumieniami po ulicznym bruku. Między pijanymi krążyły zdezorientowane szczury i psy, które nalizawszy się rumu, chodziły niepewnym krokiem. Rodziny *affranchis* zabarykadowały się w domach gotowe do obrony wszelkimi możliwymi sposobami.

Toulouse Valmorain zwolnił niewolników, którzy i tak by uciekli, jak zrobiła większość. Powiedział Tété, że woli nie mieć wrogów we własnym domu. Nie należeli do niego, zostali wynajęci, ich odzyskanie było problemem właścicieli. „Wrócą na kolanach, kiedy znów zapanuje porządek. W więzieniu będzie mnóstwo roboty”, stwierdził. W mieście panowie woleli nie brudzić sobie rąk, więc niewolników, którzy popełnili jakieś przewinienia, posyłali do więzienia, aby tam, za przystępną cenę, karę wymierzili im kaci będący na usługach państwa. Kucharz nie chciał odejść i schował się w drewnitni na patio. Żadnymi groźbami nie udało się wyciągnąć go z kryjówki, w której się skulił. Nie mogli liczyć na to, że poda im zupę, więc Tété, która ledwo potrafiła rozpaścić ogień, jako że do jej licznych obowiązków nigdy nie należało gotowanie, przyniosła dzieciom chleb, owoce i ser. Wcześniej położyła je spać. Udawała spokój, by ich nie wystraszyć, choć sama była roztrzęsiona. Przez kilka następnych godzin Valmorain uczył ją trudnej czynności ładowania broni, którą byle żołnierz wykonywał w kilka sekund, a która jej zajmowała kilka minut. Valmorain rozdzielił swoją broń między innych patriotów, ale zostawił sobie kilkanaście sztuk do własnej obrony. W głębi duszy żywił przekonanie, że nie zajdzie potrzeba jej użycia, nie on powinien walczyć, od tego byli żołnierze i marynarze Galbauda.

Niedługo po zachodzie słońca pojawili się trzej młodzi konspiratorzy, często widywani przez Tété na spotkaniach politycznych, z wiadomością, że Galbaud przejął arsenał i uwolnił więźniów, których Sonthonax trzymał na statkach i zamierzał deportować i którzy oczywiście oddali się pod rozkazy generała. Postanowili urządzić w domu kwaterę, wykorzystując dogodne położenie z pełnym widokiem na port. Można było doliczyć się już prawie setki statków, nie mówiąc o trudnej do oszacowania liczbie łodzi, które pływały tam i z powrotem, przewożąc ludzi. Po lekkim posiłku wyszli, żeby, jak to nazwali, trochę powalczyć, entuzjazm nie starczył na długo, wrócili po niecałej godzinie, by wypić kilka butelek wina i położyć się spać, ustalwszy wcześniej kolejność wart.

Z okien widzieli tłum napastników, ale tylko raz musieli użyć broni, by się ratować, i to nie przed bandami niewolników ani żołnierzami Sonthonaksa, lecz przed własnymi sojusznikami, kilkoma pijanymi marynarzami, którzy chcieli ograbić dom. Wystraszyli intruzów strzałami w powietrze. Valmorain postanowił przekupić ich tafią i jeden z patriotów musiał wyjść na ulicę, turlając baryłkę z wódką, podczas gdy pozostali celowali z okien do tłuszczy. Marynarze od razu odszpuntowali beczkę i już po pierwszym łyku kilku padło na ziemię w ostatnim stadium zatrucia, jako że pili od rana. W końcu odeszli, krzycząc, że spodziewana bitwa okazała się jedną wielką klapą, bo nie mieli z kim się zmierzyć. Rzeczywiście tak było. Większość oddziałów Sonthonaksa opuściła ulice, nie podejmując walki, i rozłożyła się obozem za miastem.

Następnego dnia rano Étienne Relais, raniony kulą w ramię, ale niewzruszony mimo zakrwawionego

munduru, kolejny raz tłumaczył Sonthonakowski, który wraz ze swym sztabem schronił się na pobliskiej plantacji, że bez pomocy nie będą w stanie pokonać wroga. Ataki nie odbywały się już w atmosferze karnawału jak pierwszego dnia – Galbaudowi udało się zorganizować ludzi i niewiele mu brakowało, by opanować całe miasto. Dzień wcześniej wybuchowy komisarz nie chciał słuchać żadnych argumentów, chociaż już wtedy przytłaczająca przewaga sił wroga była oczywista, teraz jednak wysłuchał do końca. Informacja Zachariego sprawdziła się co do joty.

– Będziemy musieli wynegocjować jakieś honorowe wyjście, komisarzu, bo nie widzę, skąd mogliśmy ściągnąć posiłki – zakończył Relais, blady, z podkrążonymi oczami, Rękę przywiązał sobie do piersi zaimprovizowanym temblakiem, a pusty rękaw wojskowej kurty zwisał luźno z boku.

– A ja widzę, podpułkowniku Relais. Przemyślałem to. Za miastem obozuje ponad piętnaście tysięcy buntowników. To są posiłki, których potrzebujemy – powiedział Sonthonax.

– Czarni? Nie sądzę, by chcieli się do tego mieszać – odrzekł Relais.

– Zrobią to w zamian za wyzwolenie. Wolność dla nich i dla ich rodzin.

Nie był to jego pomysł, przyszedł do głowy Zachariemu, któremu udało się powtórnie spotkać z komisarzem. Wtedy Sonthonax wiedział już, że Zacharie jest niewolnikiem, i zrozumiał, że postawił wszystko na jedną kartę, bo jeśli Galbaud odniósłby zwycięstwo, co wydawało się nieuniknione, a jego rola informatora wyszłaby na jaw, skończyłby łamany kołem na placu. Zacharie wytłumaczył, że Sonthonax może uzyskać pomoc wyłącznie od czarnych buntowników. Trzeba ich tylko odpowiednio zachęcić.

– Poza tym będą mieli prawo spłądować miasto – obwieścił Sonthonax z triumfalną miną. – Co pan na to, podpułkowniku?

– Ryzykowne.

– Na wyspie są setki tysięcy czarnych buntowników; ja sprawię, że się do nas przyłączą.

– Większość jest po hiszpańskiej stronie granicy – przypomniał mu Relais.

– W zamian za wolność przejdą pod francuską flagę, zapewniam pana. Wiem, że na przykład Tous-saint chce powrotu na łono Francji. Proszę zebrać mały oddział czarnych żołnierzy i towarzyszyć mi w rokowaniach z buntownikami. Są o godzinę drogi stąd. I niech pan zadba o to ramię, żeby nie wdało się zakażenie.

Étienne Relais, który nie wierzył w ten plan, zdziwił się, widząc, jak szybko buntownicy przyjęli ofertę. Nie raz i nie dwa zostali zdradzeni przez białych, a mimo to uczyli się mglistej obietnicy wyzwolenia. Płądowanie było przynętą niemal tak samo skuteczną jak wolność, bo od tygodni czekali beczynn timer i nuda zaczynała podkopywać ich morale.

## *Krew i popiół*

Z w wysokości swojego balkonu Toulouse Valmorain pierwszy zobaczył ciemną masę przesuwającą się od strony wzgórza ku miastu. Nie od razu zrozumiał, co to takiego, bo nie miał już tak dobrego wzroku jak kiedyś, poza tym unosiła się lekka mgła, a powietrze drgało od upału i wilgoci.

– Tété! Chodź tutaj i powiedz mi, co to jest! – rozkazał.

– Murzyni, monsieur. Tysiące Murzynów – odparła, nie będąc w stanie opanować drżenia. Lękowi na widok tego, co nadciągało, towarzyszyła nadzieja, że jest wśród nich Gambo.

Valmorain obudził patriotów chrapiących w salonie i kazał im ogłosić alarm. Sąsiedzi szybko pochoowali się w domach, ryglując drzwi i okna, a ludzie generała Galbauda dochodzili do siebie po pijaństwie i gotowali się do bitwy, z góry skazanej na przegraną. Jeszcze o tym nie wiedzieli, ale na każdego białego żołnierza przypadało pięciu Murzynów rozpalonych obłąkańczą odwagą, której użył im Ogun. Najpierw usłyszeli przeraźliwe wycie i przenikliwe, coraz głośniejsze odgłosy muszli wzywających do wojny. Buntowników było o wiele więcej i znajdowali się o wiele bliżej, niż przypuszczano. Spadli na Le Cap pośród ogłuszającego tumultu, niemal nadzy, źle uzbrojeni, źle zorganizowani, gotowi zrównać wszystko z ziemią. Mogli mścić się bezkarnie i niszczyć do woli. W okamgnieniu pojawiły się tysiące pochodni i miasto buchnęło wielkim płomieniem: drewniane domy zapalały się jeden od drugiego, ulica po ulicy, całymi dzielnicami. Upał stał się nie do zniesienia, niebo i morze zmieniły kolor na czerwono-pomarańczowy. Pośród trzasku płomieni i łoskotu budynków walących się w kłębach dymu dały się słyszeć wyraźnie triumfalne wrzaski Murzynów i okrzyki śmiertelnej trwogi ich ofiar. Ulice wypełniły się ciałami mieszkańców traktowanymi przez napastników, przed którymi uciekano w przerażeniu, i przez setki cwałujących koni wypuszczonych ze stajni. Nikt nie był w stanie przeciwstawić się takiej fali. Większość marynarzy zginęła w ciągu pierwszych godzin, a w tym czasie regularne oddziały Galbauda starały się ratować białych cywilów. Tysiące uciekinierów biegły w stronę portu. Niektórzy próbowali zabrać jakieś toboły, ale porzucali je po kilku metrach panicznej ucieczki.

Wyglądającemu z okna na drugim piętrze Valmorainowi wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się w sytuacji. Pożar był blisko, wystarczyłaby jedna iskra, by zamienić jego dom w pochodnię. Po sąsiednich ulicach biegały bandy Murzynów, mokrych od potu i krwi; bez wahania wystawiali się na strzały nielicznych żołnierzy, którzy jeszcze trzymali się na nogach. Napastnicy padali dziesiątkami, ale za nimi szli inni, przeskakując przez stosy ciał poległych towarzyszy. Valmorain zobaczył, jak jakaś grupa okrążyła rodzinę, która próbowała dotrzeć do przystani, dwie kobiety i kilkoro dzieci bronionych przez dwóch młodych ludzi i starszego mężczyznę, z pewnością ich ojca. Uzbrojeni w pistolety biali zdążyli oddać każdy po jednym strzale z bliskiej odległości i natychmiast zniknęli z pola widzenia otoczeni przez horde. Kilku Murzynów niosło głowy, trzymając je za włosy; inni wyważyli drzwi domu, którego dach już płonął, i z wrzaskiem wdarli się do środka. Wyrzucili przez okno ciało kobiety z podeźniętym gardłem, meble i sprzęty, i dopiero płomienie zmusiły ich do ucieczki. Chwilę potem Valmorain usłyszał pierwsze uderzenia kolbami w drzwi wejściowe domu. Strach, który go paraliżował, nie był nowy, odczuwał dokładnie taki sam, kiedy uciekał z plantacji, prowadzony przez Gambo. Nie rozumiał, jak doszło do tego, że karta się odwróciła i że hałaśliwe uliczne zamieszki wywołane przez pijanych marynarzy i białych żołnierzy, które zdaniem Galbauda miały potrwać tylko kilka godzin i doprowadzić do pełnego zwycięstwa, zamieniły się w koszmar zgotowany przez rozwścieczonych Murzynów. Ścisnął broń palcami tak zeszywniałymi, że nie byłby w stanie z niej strzelić. Oblał go kwaśny pot, którego odrażającą woń rozpoznawał: był to zapach bezsilności i przerażenia niewolników torturowanych przez Cambraya. Czuł, że jego los został przesądzony i że tak jak dla Murzynów na jego plantacji, i dla niego nie ma już ratunku. Walczył z mdłościami i niezdolnością pokusą, by skulić się w kącie i dać sparaliżować haniebnemu tchórzostwu. Ciepły płyn zmoczył mu spodnie.

Tété stała na środku pokoju, z dziećmi ukrytymi w fałdach spódnicy, i trzymała oburącz pistolet, lufą do góry. Straciła nadzieję na spotkanie z Gambo, bo jeśli nawet był w mieście, i tak nie dotarłby do niej wcześniej niż rozwścieczony tłum. Sama nie mogła obronić Maurice'a i Rosette. Widząc, jak Valmorain moczy się ze strachu, zrozumiała, że jej poświęcenie i rozstanie z Gambo okazały się daremne, bo pan nie był w stanie ich chronić. Lepiej by zrobiła, gdyby odeszła z buntownikami i zaryzykowała, zabierając ze sobą dzieci. Wizja tego, co miało je zaraz spotkać, natchnęła ją ślełą odwagą i przerażliwym spokojem tych, którzy gotują się na śmierć. Port leżał zaledwie kilka ulic dalej i choć wydawało się, że w takich okolicznościach jest to odległość nie do pokonania, nie było innego ratunku. „Wyjdziemy tyłem, drzwiami dla służby”, oznajmiła zdecydowanym głosem. Z dołu dobiegało łomotanie w drzwi wejściowe i huk rozbijanych szyb na pierwszym piętrze, ale Valmorain uważał, że w środku są bardziej bezpieczni, że może uda im się gdzieś schować, „Spalą dom. Wychodzę i zabieram dzieci”, odparła i odwróciła się do niego plecami. W tym momencie Maurice wychylił z fałd spódnicy brudną od łez, zasmarkaną twarzyczkę i podbiegł do ojca, obejmując go za nogi. Przypływ miłości do dziecka wstrząsnął Valmorainem jak prąd. Zdał sobie sprawę z opłakanego stanu, w jakim się znajdował. Nie mógł dopuścić, by jego syn – jeśli jakimś cudem przeżyje – zapamiętał go jako tchórza. Wziął głęboki oddech, starając się opanować drżenie ciała, wsadził pistolet za pas, odwiódł kurek drugiego, wziął Maurice'a za rękę i niemal unosząc go w powietrzu, pociągnął za Tété, która już schodziła z Rosette w ramionach po wąskich, krętych schodach łączących drugie piętro z pomieszczeniami niewolników w piwnicy.

Przez drzwi dla służby wyjrzeni na uliczkę za domem, zasypaną kawałkami nadpalonego drewna i popiołem z płonących domów, ale pustą. Valmorain stracił orientację, nigdy nie korzystał z tych drzwi ani z tego przejścia i nie wiedział, dokąd prowadzi, ale Tété ruszyła bez wahania, prosto w ogień bitwy. W tej samej chwili, kiedy spotkanie z tłumem wydawało się nieuniknione, usłyszeli wystrzały i zobaczyli niewielką grupkę żołnierzy Galbauda, którzy zrezygnowali z obrony miasta i walcząc, wycofywali się w stronę statków. Strzelali w szyku, spokojni, nie łamiąc szeregów. Zbuntowani Murzyni zajmowali część ulicy, ale kule trzymały ich na dystans. Wtedy Valmorain zaczął wreszcie trzeźwo myśleć i zdał sobie sprawę, że nie mogą tracić czasu. „Dalej! Biegnijcie!”, krzyknął. Rzucili się do ucieczki za żołnierzami; szukając wśród nich osłony, przeskakując przez leżące ciała i płonące usypiska, przebiegli kilka ulic, najdłuższych w ich życiu, a broń palna torowała im drogę. Nie wiadomo jakim cudem znaleźli się w porcie oświetlonym pożarem, jasnym jak w dzień, gdzie kłębiły się już tysiące uciekinierów i ciągle napływali nowi. Kilka szeregów żołnierzy broniło białych, strzelając do Murzynów atakujących z trzech stron, podczas gdy zezwierzęcony tłum walczył, by wsiąść na łodzie, które się jeszcze ostały. Nikt nie kierował odwrotem; była to przerażona ludzka masa. Niektórzy desperaci skakali do wody i próbowali dopłynąć wpław do statków, ale morze kotłowało się od rekinów zwabionych zapachem krwi.

Nagle pojawił się generał Galbaud na koniu, z żoną za plecami, otoczony nieliczną strażą przyboczną, która broniła go i torowała drogę, okładając tłum kolbami. Atak Murzynów zaskoczył Galbauda, był ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, ale generał od razu zrozumiał, że sytuacja się odwróciła i nie pozostaje mu nic innego, jak tylko ratować własną skórę. Zdażył jeszcze zabrać żonę, która od kilku dni leżała w łóżku, dochodząc do siebie po ataku malarii, i nie miała pojęcia, co dzieje się na zewnątrz. Była okryta szalem narzuconym na *déshabillé*, stopy miała bose, włosy splecione w zwisający na plecach warkocz, a na jej twarzy malowała się obojętność, jakby nie widziała ani bitwy, ani pożaru. Jakimś cudem zdołała dotrzeć bez szwanku aż do portu, za to jej mąż miał brodę i włosy osmalone ogniem, a ubranie podarte, poplamione krwią i sadzą.

Valmorain ruszył w stronę wojskowego, unosząc pistolet. Utorował sobie przejście między strażnikami, stanął naprzeciw i wolną ręką uczeplił się jego nogi. „Łódź! Łódź!”, błagał tego, którego uważał za przyjaciela, ale w odpowiedzi Galbaud odepchnął go kopnięciem w pierś. Oślepiiony błyskiem gniewu i desperacji Valmorain zamienił się w osaczoną bestię. Runął szkielet dobrych manier, na którym wspie-

rał się przez czterdzieści trzy lata życia. Skoczył z niespodziewaną siłą i zręcznością, chwycił żonę generała w tali i ściągnął ją z konia gwałtownym szarpnięciem. Kobieta spadła z rozkraczonymi nogami na gorący bruk i zanim straż zdążyła zareagować, przyłożył jej do głowy pistolet. „Łódź albo zabiję ją na miejscu!”, zagroził z taką determinacją, że nikt nie wątpił, iż faktycznie to uczyni. Galbaud powstrzymał swoich żołnierzy. „W porządku, przyjacielu, niech się pan uspokoi, zdobędę dla pana łódź”, powiedział głosem ochrypłym od dymu i prochu. Valmorain chwycił kobietę za włosy, podniósł ją i zmusił, by szła przed nim z pistoletem przytkniętym do karku, Szal został na ziemi – przez przezroczy- sty materiał *déshabillé* w pomarańczowym świetle tej opętańczej nocy widać było jej szczupłe ciało, które jakby samo sunęło na palcach, potykając się, zawieszona w powietrzu na warkoczu. Tak dotarli do łodzi czekającej na Galbauda. W ostatniej chwili generał próbował negocjować: było wolne miejsce tyl- ko dla Valmoraina i jego syna, nie mogli dać pierwszeństwa Mulatce, gdy tysiące białych walczyły, żeby wejść na pokład. Valmorain przechylił żonę generała za pomost, nad wodą czerwoną od krwi i od- bijającego się ognia. Galbaud zrozumiał, że przy najmniejszym wahaniu z jego strony ten niepoczytalny mężczyzna rzuci ją rekinom, i ustąpił. Valmorain, Tété i dzieci wsiedli do łodzi.



## *Pomóc umrzeć*

Miesiąc później, pośród dymiących resztek Le Cap obróconego w ruinę i popiół, Sonthonax ogłosił wyzwolenie niewolników na Saint-Domingue. Bez nich nie mógł walczyć z wewnętrznymi wrogami ani z Anglikami, którzy zajęli południe wyspy. Tego samego dnia w swoim obozie na hiszpańskim terytorium wyzwolenie ogłosił także Toussaint. Podpisał dokument jako Toussaint Louverture, nazwiskiem, pod którym przejdzie do historii. Jego oddziały rosły, miał większe wpływy niż pozostali dowódcy buntowników i już wówczas myślał o zmianie frontu, tylko republikańska Francja bowiem uznałaby wolność jego ludzi; żaden inny kraj nie był skłonny jej tolerować.

Zacharie czekał na taką okazję, odkąd zaczął posługiwać się rozumem – żył opętany myślą o wolności, choć ojciec od kołyski wbijał mu do głowy, że powinien być dumny ze stanowiska majordomusa w intendenturze, które zazwyczaj zajmował białe. Pozbył się swojego operetkowego uniformu admirała, zabrał oszczędności i wsiadł na pierwszy statek, który tego dnia wyruszał z portu, nie pytając, dokąd płynie. Zdał sobie sprawę, że wyzwolenie jest jedynie polityczną kartą, która w każdej chwili może się odwrócić, i postanowił, że kiedy to nastąpi, jego już tu nie będzie. Dzięki stałemu obcowaniu z białymi zdążył ich dokładnie poznać. Podejrzewał, że jeśli w kolejnych wyborach do francuskiego Zgromadzenia zwyciężą monarchiści, zdejmą Sonthonaksa ze stanowiska, zagłosują przeciwko wyzwoleniu i Murzyni w kolonii będą musieli dalej walczyć o swoją wolność. Ale on nie zamierzał się poświęcać; wojna była jego zdaniem marnowaniem zasobów i ludzkiego życia, najmniej rozsądnym sposobem rozwiązywania konfliktów. Tak czy inaczej, jego doświadczenie majordomusa nie miało wartości na tej wyspie, targanej przemocą od czasów Kolumba; powinien wykorzystać nadarzącą się okazję, by odkryć nowe horyzonty. Miał trzydzieści osiem lat i był gotów zmienić swoje życie.

Étienne Relais dowiedział się o podwójnym ogłoszeniu wyzwolenia niewolników na kilka godzin przed śmiercią. W dniach kiedy Le Cap było plądrowane i płonęło aż po fundamenty, rana postrzałowa na ramieniu wyglądała z każdą godziną coraz gorzej, i gdy w końcu mógł się nią zająć, miał już gangrenę. Doktor Parmentier, który w tym czasie bez chwili wytchnienia doglądał setek rannych z pomocą tych zakonnic, które przeżyły gwałty, zbadał go zbyt późno. Podpułkownik miał strzaskany obojczyk, a umiejscowienie rany nic pozwalało na skrajne rozwiązanie, jakim była amputacja. Metody, których lekarz nauczył się od Tante Rose i innych uzdrowicieli, okazały się bezużyteczne. Étienne Relais widział już różne rany i po zapachu zorientował się, że umiera. Najbardziej żałował, że w przyszłości nie będzie mógł chronić Violette przed przeciwnościami losu. Leżał w lazarecie, na plecach, na podłodze bez materaca, oddychał z trudem, zlany gęstym potem agonii. Komuś innemu ból wydałby się nie do zniesienia, ale on odniósł już wiele ran, prowadził życie pełne wyrzeczeń i czuł stoicką pogardę dla cierpień swojego ciała. Nie skarżył się. Z zamkniętymi oczami przywoływał wspomnienie Violette, jej chłodnych dłoni, ochrypłego śmiechu, giętkiej talii, niemal przezroczystych uszu, ciemnych sutków. Wtedy na jego twarzy pojawiał się uśmiech i czuł, że jest najszczęśliwszym mężczyzną na świecie, bo miał Violette przez czternaście lat: zakochaną, piękną, wieczną, jego. Parmentier nie próbował go oszukiwać. Ograniczył się do zaproponowania mu opium, jedyne go dostępnego środka uspokajającego, albo trucizny o błyskawicznym działaniu, która w ciągu kilku minut zakończyłaby jego mękę. Jako lekarz nie powinien sugerować takiego rozwiązania, ale widział na tej wyspie tyle cierpienia, że przysięga o ochronie życia za wszelką cenę straciła tu sens; w niektórych przypadkach bardziej etycznie było pomóc umrzeć. „Trucizna, pod warunkiem że nie zabraknie jej dla innego żołnierza”, wybrał ranny. Doktor musiał się nachylić bardzo nisko, by usłyszeć, co mówi, jego głos był bowiem ledwie szeptem. „Proszę odnaleźć Violette i powiedzieć, że ją kocham”, dodał Étienne Relais, zanim lekarz wlał mu do ust zawartość buteleczki.

Dokładnie w tym samym momencie na Kubie Violette Boisier uderzyła prawą dłoń o kamienną

studnię, do której poszła po wodę, i opał z noszonego przez czternaście lat pierścionka rozbił się na kawałki. Uniosła się, przyciskając rękę do serca, z krzykiem, który uwiązał jej w gardle. Adèle, która stała obok, pomyślała, że ukąsił ją skorpion. „Étienne, Étienne...”, wyjąkała Violette, tonąc we łzach.

Pięć ulic od studni, przy której Violette dowiedziała się, że została wdową, pod ogrodową markizą najlepszego hotelu w Hawanie stała Tété, a obok Maurice i Rosette pili przy stole sok ananasowy. Nie wolno jej było siedzieć razem z gośćmi, podobnie jak Rosette, ale dziewczynka uchodziła za Hiszpankę i nikt nie podejrzewał jej prawdziwej pozycji społecznej. Maurice uwiarygodniał to oszustwo, traktując ją jak młodszą siostrę. Przy innym stoliku Toulouse Valmorain rozmawiał ze swoim szwagrem Sanchem i z bankierem. Statki z uchodźcami, których generał Galbaud wy dostał z Le Cap owej złowieszczej nocy, w deszczu popiołu popłynęły pod pełnymi żaglami w stronę Baltimore, ale kilka ze stu jednostek skierowało się na Kubę, zabierając *grands blancs*, którzy mieli tam krewnych bądź interesy. Z dnia na dzień na wyspie wylądowały tysiące francuskich rodzin, by przeczekać polityczną burzę szalejącą na Saint-Domingue. Kubańscy i Hiszpanie okazali szczerą gościnność – nie przyszło im do głowy, że przerażeni goście zamienią się na stałe w uchodźców. Wśród tych ostatnich byli Valmorain, Tété i dzieci. Sancho García del Solar zabrał ich do swojego domu, którego stan w ciągu ostatnich lat jeszcze się pogorszył, bo nikt o niego nie dbał. Z powodu karaluchów Valmorain wolał zamieszkać w najlepszym hotelu w Hawanie, gdzie wraz z Maurice'em zajmował dwubalkonowy apartament z widokiem na morze, a Tété z Rosette spały w pomieszczeniach dla niewolników, którzy towarzyszyli swoim panom w podróżach – klitkach bez okien, gdzie ubita ziemia zastępowała podłogę.

Sancho prowadził bez troskie życie zaprzysięgłego kawalera. Wydawał nieprzyzwoicie dużo na przyjęcia, kobiety, konie i salony gier, ale nadal snuł młodzieńcze marzenia, by zbić fortunę i przywrócić swemu nazwisku prestiż, jaki miało za czasów jego dziadków. Wciąż polował na okazje do zrobienia pieniędzy. Kilka lat wcześniej przyszło mu do głowy, by dzięki środkom, które udostępnił mu Valmorain, kupić ziemię w Luizjanie. Jego wkładem były wizja przedsięwzięcia, kontakty towarzyskie i praca, pod warunkiem że nie nazbyt ciężka, jak mówił ze śmiechem, szwagier zaś wyłożył kapitał. Odkąd pomysł nabrał realnych kształtów, często podróżował do Nowego Orleanu i w końcu nabył posiadłość nad brzegami Missisipi. Początkowo Valmorain traktował cały projekt jako nedorzeczną awanturę, ale teraz stanowił on jedyne zabezpieczenie, jakie miał w rękach. Postawił sobie za cel przekształcenie tej leżącej odłogiem ziemi w wielką plantację trzciny. Sporo stracił na Saint-Domingue, ale dzięki inwestycjom, interesom prowadzonym wspólnie z Sanchem oraz przenikliwości żydowskiego agenta i kubańskiego bankiera nie brakowało mu środków finansowych. Takie wyjaśnienie podał szwagrowi i wszystkim, którzy niedyskretnie o to pytali. Stojąc twarzą w twarz ze swoim odbiciem w lustrze, nie mógł uciec przed oskarżycielską prawdą, którą widział we własnych oczach: większa część tego kapitału należała do Lacroix. Powtarzał sobie, że ma czyste sumienie, bo nigdy nie próbował zarobić na tragedii przyjaciela ani przywłaszczyć sobie jego pieniędzy, po prostu spadły mu z nieba. Kiedy buntownicy wymordowali na Saint-Domingue rodzinę Lacroix, a podpisane przez niego kwity za otrzymane pieniądze spłonęły w pożarze, stał się właścicielem konta w pesos w złocie, które sam otworzył w Hawanie, by ukryć oszczędności sąsiada, i którego istnienia nikt nie podejrzewał. W czasie każdej podróży wpłacał pieniądze, które powierzał mu sąsiad, a jego bankier składał je na koncie oznaczonym jedynie numerem. Bankier nic nie wiedział o Lacroix, nie zgłosił więc objękcji, kiedy Valmorain przelał fundusze na własne konto, zakładał bowiem, że są jego własnością. Lacroix posiadał we Francji spadkobierców, którzy mieli pełne prawo do tych dóbr, ale po przeanalizowaniu sytuacji Valmorain doszedł do wniosku, że ich poszukiwanie nie należy do jego obowiązków i że byłoby głupotą zostawić złoto pogrzebane w bankowych podziemiach. Był to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy fortuna puka do drzwi i tylko głupiec pozwoliłby jej odejść.

Czternaście dni później, gdy wieści docierające z Saint-Domingue nie pozostawiały wątpliwości co do okrutnej anarchii panującej w kolonii, Valmorain postanowił wyjechać razem z Sanchem do Luizja-

ny. Osobom skłonny do wydawania pieniędzy życie w Hawanie oferowało mnóstwo rozrywek, ale on nie mógł dłużej marnować czasu. Zrozumiał, że jeśli dalej będzie chodził za szwagrem po szulerniach i burdelach, w końcu straci oszczędności i zdrowie. Bardziej opłacało się zabrać uroczego krewniaka daleko od jego koleżków i zaproponować mu projekt na miarę jego ambicji. Pomyślał, że plantacja w Luizjanie może rozpalić w Sanchu ogień siły moralnej, która jest w prawie każdym człowieku. Przez te wszystkie lata niczym starszy brat przywiązał się do tego mężczyzny, którego wad i zalet sam nie posiadał. Dlatego tak dobrze się rozumieli. García del Solar był gadatliwy, awanturniczny, obdarzony wyobraźnią i porywczy, należał do tych, co potrafią żyć za pan brat i z książętami, i z piratami, i którym nie oprze się żadna kobieta – był szelmą i lekkoduchem. Valmorain nie spisał Saint-Lazare na straty, ale dopóki nie był w stanie odzyskać plantacji, mógł skoncentrować całą energię na projekcie Sancha w Luizjanie. Polityka przestała go interesować, po porażce Galbauda czuł się oszukany. Nadeszła pora, by wrócić do produkcji cukru, jedynej rzeczy, którą potrafił robić.

## Kara

Valmorain oznajmił Tété, że za dwa dni wyruszają amerykańskim szkunerem, i dał jej pieniądze, by zaopatrzyła rodzinę w ubrania.

– O co chodzi? – zapytał, widząc, że kobieta nie sięga po sakiewkę z monetami.

– Pan wybaczy, monsieur, ale... nie chcę jechać w to miejsce – wyjąkała.

– Co ty wygadujesz, idiotko? Milcz i bądź posłuszna!

– Papier na moją wolność też jest tam ważny? – odważyła się zapytać Tété.

– To cię martwi? Oczywiście, że jest, tam i gdziekolwiek indziej. Ma mój podpis i pieczęć, jest prawomocny nawet w Chinach.

– Luizjana jest bardzo daleko od Saint-Domingue, prawda? – nalegała Tété.

– Nie wrócimy na Saint-Domingue, jeśli o to pytasz. Nie wystarczy ci, co tam przeszliśmy? Jesteś bardziej ograniczona, niż myślałem! – krzyknął poirytowany Valmorain.

Tété odeszła ze spuszczoną głową i zabrała się za przygotowania do podróży. Drewniana lalka, którą wyrzeźbił dla niej niewolnik Honoré, gdy była dzieckiem, została w Saint-Lazare, i teraz brakowało jej tego talizmanu. „Zobaczę kiedyś Gambo, Erzulie? Jedziemy jeszcze dalej i między nami będzie jeszcze więcej wody”. Po sjeście odczekała, aż bryza morska przyniesie popołudniowe orzeźwienie, i zabrała dzieci na zakupy. Na polecenie pana, który nie chciał, żeby Maurice bawił się z małą obdartuską, ubierała je tak samo ładnie, dlatego w oczach osoby postronnej oboje wyglądali jak bogate dzieci w towarzystwie niańki. Zgodnie z planami Sancha mieli zamieszkać w Nowym Orleanie, plantacja była bowiem oddalona tylko o dzień drogi od miasta. Mieli już ziemię, brakowało jednak całej reszty: młynów, maszyn, narzędzi, niewolników, pomieszczeń mieszkalnych i głównego budynku. Trzeba było przygotować i obsadzić teren. Zaczęliby produkcję nie wcześniej niż za dwa lata, ale dzięki rezerwom Valmoraina nie zaznaliby biedy. Jak mówił Sancho, za pieniądze nie da się kupić szczęścia, można jednak kupić prawie całą resztę. Nie chcieli przybyć do Nowego Orleanu jako uciekinierzy, byli inwestorami, nie uchodźcami. Opuścili Le Cap w tym, co mieli na sobie, a na Kubie kupili niezbędne minimum, ale przed podróżą do Nowego Orleanu potrzebowali kompletnej garderoby, kufrów i waliz. „Wszystko najlepszej jakości, Tété. Kup też ze dwie sukienki dla siebie, nie chcę, żebyś wyglądała jak żebraczka. I włoż buty!”, rozkazał, ale w jedynych trzewikach, jakie miała, cierpiała prawdziwe katusze. W *comptoirs* w centrum miasta nabyła potrzebne rzeczy, po długim targowaniu zgodnie ze zwyczajem panującym na Saint-Domingue i, jak sądziła, także na Kubie. Na ulicy mówiono po hiszpańsku, i choć trochę nauczyła się tego języka przy Eugenii, nie rozumiała jego kubańskiej odmiany, śliskiej i śpiewnej, jakże różnej od twardej i dźwięcznej hiszpańszczyzny jej zmarłej pani. Na bazarze nie potrafiłaby się targować, ale w sklepach używano też francuskiego.

Skończyła robić zakupy i poprosiła, żeby zgodnie z instrukcjami pana odesłano je do hotelu. Dzieci były głodne, a ona zmęczona, ale kiedy usłyszeli bębny, nie mogła oprzeć się wezwaniu. Wąskimi uliczkami dotarli do placyku, przy którym zebrał się tłum kolorowych, tańczących zapamiętałe w rytm muzyki granej przez jakąś orkiestrę. Tété dawno nie czuła wulkanicznego porywu do tańca. Od ponad roku żyła na plantacji w strachu, przesładowana jękiem skazańców w Le Cap, uciekając, żegnając się, czekając. Teraz rytm przeniknął ją od stóp aż po węzeł tignonu, bębny wzięły w posiadanie całe jej ciało, tak samo radosne jak wtedy, gdy kochała się z Gambo. Puściła dzieci i przyłączyła się do wesołej wrzawy: niewolnik, który tańczy, jest wolny, dopóki tańczy, tak uczył ją Honoré. Ale ona nie była już niewolnicą, była wolna, brakowało tylko podpisu sędziego. Wolna, wolna! Poruszała się ze stopami przyklejonymi do ziemi, rozpalonymi nogami i biodrami, kręcąc prowokująco pośladkami, rozkładając ręce niczym skrzydła mewy, potrząsając piersiami, tracąc nad sobą panowanie. Afrykańska krew Rosette także odpowiedziała na przemożne wezwanie muzyki i trzyletnia dziewczynka wskoczyła między

tańczących, rozedrgana tą samą radością i oddaniem co matka. Maurice cofnął się, przywierając plecami do ściany. W *habitation* Saint-Lazare kilka razy uczestniczył w tańcach niewolników jako widz, bezpieczny u boku ojca, ale na tym nieznanym placu był sam, wessany przez ogarniętą uniesieniem ludzką masę, ogłuszony przez bębny, zapomniany przez Tété, jego Tété, która przeistoczyła się w cyklon spódnic i rąk, zapomniany także przez Rosette, która zniknęła między nogami tancerzy, zapomniany przez wszystkich. Zaczął głośno płakać i krzyczeć. Jakiś Murzyn udający błazna, odziany jedynie w opaskę na biodrach i trzy sznury naszyjników w jaskrawych kolorach, stanął przed nim, skacząc i potrząsając grzechotką z tykwy. Chciał go rozśmieszyć, ale osiągnął tyle, że chłopiec jeszcze bardziej się wystraszył i co sił w nogach rzucił do ucieczki. Bębny dudniły przez kolejne godziny i Tété być może tańczyłaby do czasu, aż o świcie zamilkłby ostatni z nich, gdyby nie cztery silne dłonie, które chwyciły ją za rękę i wyciągnęły z bawiącego się tłumu.

Minęły prawie trzy godziny, od chwili gdy Maurice instynktownie pobiegł w stronę morza, które widział z balkonów swojego apartamentu. Był ledwie żywy ze strachu i nie pamiętał nazwy hotelu, ale dobrze ubrany blondynek, który siedział skulony na ulicy i płakał, nie mógł pozostać niezauważony. Ktoś zatrzymał się, żeby mu pomóc, wydobył z niego nazwisko ojca i popytał w różnych miejscach, dopóki nie znalazł Toulouse'a Valmoraina, który nie miał czasu myśleć o Maurisie. Z Tété jego syn był bezpieczny. Kiedy zdołał wyciągnąć ze szlochającego chłopca, co się wydarzyło, wyskoczył jak oparzony na poszukiwanie kobiety. Zanim jednak doszedł do pierwszej przecznicy, zdał sobie sprawę, że nie zna miasta i nie będzie w stanie jej znaleźć; wtedy zwrócił się do straży. Dwóch mężczyzn wyruszyło, by zapolować na Tété, kierując się mało precyzyjnymi wskazówkami Maurice'a. Wkrótce odgłos bębnów doprowadził ich do placu, gdzie odbywały się tańce. Zabrali wierzgającą kobietę do lochu, a ponieważ Rosette szła za nimi, krzycząc, żeby puścili jej mamę, zamknęli także i ją.

W duszącej ciemności celi, cuchnącej moczem i kałem, Tété skuliła się w kącie z Rosette w ramionach. Zauważyła, że nie jest sama, ale zajęło jej trochę czasu, zanim odróżniła w półmroku kobietę i trzech mężczyzn, cichych i nieruchomych, którzy oczekiwali na chłostę nakazaną przez ich panów. Jeden z mężczyzn od kilku dni wracał do siebie po pierwszych dwudziestu pięciu batach i czekał, aż jego stan pozwoli mu znieść resztę. Kobieta spytała po hiszpańsku o coś, czego Tété nie zrozumiała. Dopiero teraz zaczęła uzmysławiać sobie konsekwencje tego, co zrobiła – w wirze tańca porzuciła Maurice'a. Jeśli chłopcu przytrafiło się coś złego, przypłaci to życiem, dlatego ją aresztowali i dlatego przebywała w tej odrażającej norze. Bardziej niż życie liczył się dla niej los jej dziecka.

„Erzulie, *loa* matko, spraw, żeby Maurice był bezpieczny”. A co będzie z Rosette? Dotknęła woreczka pod gorsetem. Jeszcze nie były wolne, żaden sędzia nie podpisał dokumentu, jej córka mogła zostać sprzedana. Spędziły w lochu resztę nocy, najdłuższej, jaką Tété pamiętała. Rosette zmęczyła się płaczem i proszeniem o wodę i w końcu rozpalona zasnęła. Rankiem przez grube pręty wpadło bezlitosne światło Karaibów, a na kamiennej framudze jedyne okienka usiadł kruk, wydziubując owady. Kobieta zaczęła jęczeć i Tété nie wiedziała, czy to z powodu czarnego ptaka zwiastującego nieszczęście, czy też tego dnia miała być jej kolej. Mijały godziny, upał narastał, powietrza zrobiło się tak mało i było tak gorące, że Tété czuła, jakby jej głowę wypełniała bawełna. Nie wiedziała, jak ugasić pragnienie córki, przyłożyła ją do piersi, ale nie miała już mleka. Około południa krata się otworzyła i drzwi wypełniła ogromna postać, która zawołała ją po imieniu. Tété zdołała wstać dopiero za drugim podejściem; nogi odmawiały jej posłuszeństwa, a pragnienie sprawiło, że miała przywidzenia. Nie puszczając Rosette, chwiejnym krokiem podążyła w stronę wyjścia. Za plecami usłyszała, jak kobieta żegnają słowami, których ona nauczyła się od Eugonii: „Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami, grzesznymi”. Tété odpowiedziała w duchu, bo nie była w stanie wydobyć głosu z zaschniętych ust: „Erzulie, *loa* współczucia, chroń Rosette”. Zabrali ją na mały, otoczony wysokim murem dziedziniec, na który prowadziły tylko jedne drzwi i na którym wznosiły się szafot z szubienicą, pal i czarny, pokryty zaschniętą krwią pień, służący do obcinania kończyn. Katem był szeroki jak szafa Kongijczyk; miał policzki pocięte rytualny-

mi szramami, zęby o zaostrzonych końcach, nagi tors i skórzany, ubrudzony ciemnymi plamami fartuch. Zanim mężczyzna jej dotknął, Tété odepchnęła Rosette i kazała stanąć daleko. Dziewczynka posłuchała, popłakując, zbyt słaba, żeby zadawać pytania. „Jestem wolna! Jestem wolna!”, krzyknęła Tété w swoim słabym hiszpańskim i pokazała katowi woreczek zawieszony na szyi, ale łąpsko mężczyzny zerwało go razem z bluzką i gorsetem, które rozdarły się od pierwszego szarpnięcia. Drugie uderzenie ręką ściągnęło z niej spódnicę i została naga. Nie próbowała się zakryć. Powiedziała Rosette, żeby stanęła twarzą do muru i pod żadnym pozorem się nie odwracała; potem pozwoliła zaprowadzić się do pała i sama wyciągnęła ręce, żeby przywiązali jej nadgarstki sizalowym sznurem. Usłyszała straszliwy świst bicia w powietrzu i pomyślała o Gambo.

Toulouse Valmorain czekał po drugiej stronie drzwi. Poinstruował kata, by za zwyczajową opłatę i dodatkowy napiwek napędził niewolnicy stracha, o którym nigdy nie zapomni, nie wyrządzając jej jednak krzywdy. Maurice'owi na szczęście nic poważnego się nie stało; za dwa dni mieli wyruszyć w podróż i potrzebował Tété bardziej niż kiedykolwiek, a nie mógł zabrać ze sobą świeżo wychłostanej kobiety. Bicz trzasnął o bruk dziedzińca, sypiąc iskry, ale Tété poczuła go na plecach, w sercu, we wnętrznościach, w duszy. Kolana ugięły się pod nią i zawisła na nadgarstkach. Z oddali dobiegł ją śmiech kata i krzyk Rosette: „Monsieur! Monsieur!”. Z nadludzkim wysiłkiem otworzyła oczy i obróciła głowę. Kilka kroków dalej stał Valmorain, a Rosette obejmowała go za kolana, z twarzą przyklejoną do jego nóg, zanosząc się szlochem. Pogłaskał ją po głowie i wziął na ręce, a dziewczynka bezwładnie mu uległa. Nie odzywając się słowem do niewolnicy, dał znak katowi i zawrócił w stronę drzwi. Kongijczyk rozwiązał Tété, zebrał podarte części ubrania i wręczył je kobiecie. Ta, choć chwilę wcześniej nie mogła się ruszyć, w przyływie energii zrodzonej z przerażenia pospiesznie podążyła za Valmorainem, chwiejnym krokiem, naga, przyciskając do piersi swoje szmaty. Kat odprowadził ją do wyjścia i wręczył skórzany woreczek z jej wolnością.

# *Część druga*

*Luizjana, 1793-1810*

## *Dobrze urodzeni Kreole*

Dom w sercu Nowego Orleanu, w okolicy zamieszkaney przez Kreoli wywodzących się ze starych francuskich rodów, był odkryciem Sancha Garcíi del Solar. Każda rodzina stanowiła tu patriarchalną społeczność, liczną i zamkniętą, która mieszała się tylko z ludźmi reprezentującymi ten sam poziom. Pieniądze nie otwierały tych drzwi, wbrew temu, co utrzymywał Sancho. Powinien być lepiej poinformowany, bo nie otwierały ich także wśród należących do podobnej kasty społecznej Hiszpanów. Jednak kiedy zaczęli przybywać uchodźcy z Saint-Domingue, pojawiła się szpara, przez którą można było się wcisnąć. Na początku, zanim ich napływ przybrał postać ludzkiej lawiny, niektóre kreolskie rodziny, przepełnione litością i przerażone tragicznymi wieściami z wyspy, przygarniały *grands blancs*, którzy utracili swoje plantacje. Trudno im było wyobrazić sobie coś gorszego od powstania czarnych. Valmorain, by pokazać się w towarzystwie, odkurzył tytuł *chevaliera*, a jego szwagier napomknął tu i ówdzie o *château* w Paryżu, niestety opuszczonym, odkąd matka Valmoraina zamieszkała we Włoszech, uciekając przed terrorem wprowadzonym przez tego jakobina Robespierre'a. Sanchowi przewracały się wnętrzności na myśl, że ludziom obcinają głowy za ich poglądy czy tytuły, jak to było we Francji. Nie sympatyzował ani ze szlachtą, ani z pospólstwem; francuska republika wydawała mu się równie prostacka jak amerykańska demokracja. Kiedy kilka miesięcy później dowiedział się, że ścięto Robespierre'a na tej samej gilotynie, na której straciły życie setki jego ofiar, uczcił wiadomość dwudniowym pijaństwem. Zrobił to po raz ostatni, bo choć wśród Kreoli nikt nie był abstynentem, opilstwa nie tolerowano; człowiek, który tracił umiar w piciu, nie był przez nikogo przyjmowany. Także Valmorain, który przez lata ignorował ostrzeżenia doktora Parmentiera dotyczące alkoholu, musiał się mitygować. Odkrył, że nie pije z powodu nałogu, jak w głębi duszy podejrzewał, ale że alkohol stanowi remedium na jego samotność.

Zgodnie z tym, co zaplanowali, szwagrowie nie przybyli do Nowego Orleanu wmieszani w tłum uchodźców, lecz zjawili się jako właściciele plantacji trzciny cukrowej. Była to najbardziej prestiżowa pozycja w hierarchii kast. Pomysł Sancha, by nabyć ziemię, okazał się zrzędzeniem opatrności. „Nie zapominaj, szwagrze, że przyszłość to bawełna. Cukier otacza zła sława”, ostrzegł Valmoraina. O niewolnictwie na Antylach krążyły straszliwe opowieści, a abolicjoniści zaangażowali się w międzynarodową kampanię na rzecz sabotażu cukru skalanego krwią. „Wierz mi, Sancho, nawet gdyby kostki cukru były czerwone, spożycie i tak by rosło. Słodkie złoto uzależnia bardziej niż opium”, uspokoił go Valmorain. W zamkniętych kręgach śmietanki towarzyskiej nikt o tym nie rozmawiał. Kreole zapewniali, że bestialstwa popełniane na wyspach w Luizjanie się nie zdarzają. Wśród tych ludzi, połączonych skomplikowaną mozaiką więzów rodzinnych, gdzie nie mógł utrzymać się żaden sekret, bo wcześniej czy później wszystko wychodziło na jaw, okrucieństwo było źle widziane i niestosowne – tylko głupiec działał na szkodę swojej własności. Poza tym kler, na którego czele stał brat Antonio de Sedella znany jako Père Antoine, hiszpański duchowny budzący strach z racji otaczającej go sławy świętego, kładł nacisk na odpowiedzialność przed Bogiem za ciała i dusze niewolników.

Kiedy Valmorain przystąpił do kupowania siły roboczej do pracy na plantacji, zetknął się z rzeczywistością całkowicie inną niż ta na Saint-Domingue – cena niewolników była wysoka. Oznaczało to konieczność zainwestowania większych pieniędzy, niż planował, a on musiał uważać na wydatki, jednak w głębi duszy poczuł ulgę. Teraz miał praktyczny powód, by dbać o niewolników, a nie tylko humanitarne skrupuły, które mogły zostać odebrane jako słabość. Najgorszą rzeczą w ciągu dwudziestu trzech lat spędzonych w Saint-Lazare, gorszą niż szaleństwo żony, niż klimat, który zżerał zdrowie i kruszył zasady nawet najprzyzwoitszego mężczyzny, niż samotność, niż głód książek i rozmów, była absolutna władza, jaką sprawował nad życiem innych, z jej brzemieniem pokus i degeneracji. Doktor Parmentier miał rację, twierdząc, że rewolucja na Saint-Domingue jest nieuchronną zemstą niewolników za brutal-



ność kolonistów. Luizjana dawała Valmorainowi okazję do powrotu do młodzieńczych ideałów, uśpio-nych w zakamarkach pamięci. Zaczął marzyć o wzorcowej plantacji zdolnej produkować tyle cukru ile Saint-Lazare, ale na której niewolnicy żyliby jak ludzie. Tym razem bardzo starannie wybierze nadzor-ców i ich przełożonego. Nie życzył sobie kolejnego Prospera Cambraya.

Sancho zajął się podtrzymywaniem przyjaźni z Kreolami, bez których nie mogli odnieść sukcesu, i wkrótce stał się duszą spotkań towarzyskich. Pomagał mu aksamitny głos, którym śpiewał przy akom-paniamencie gitary, dobry humor, z jakim przyjmował porażki przy stołach do gry, rozmarzone spojrze-nie i finezyjne poczucie humoru. Usilnie zabiegał o względy matron i komplementował je, bo bez ich zgody nikt nie przekraczał progu kreolskich domów. Grał w bilard, tryktraka, domino i karty, tańczył z wdziękiem, miał coś do powiedzenia na każdy temat i posiadał sztukę pojawiania się zawsze we właści-wym miejscu i czasie. Jego ulubioną trasą spacerów była wysadzona drzewami ścieżka tamy chroniącej miasto przed powodziami, gdzie spotykali się ludzie wszelkiego pokroju – od członków znakomitych rodów po gwarny tłum marynarzy, niewolników, wolnych kolorowych i wszędzie obecnych *kaintocks*. Ci ostatni cieszyli się sławą pijaków, awanturników i kobieciarzy; płynęli w dół Missisipi z Kentucky i innych północnych regionów, by sprzedać swoje produkty: tytoń, bawełnę, skóry i drewno. Po drodze stawiali czoła wrogim Indianom i innym niebezpieczeństwom i z tego powodu zawsze byli dobrze uzbrojeni. W Nowym Orleanie sprzedawali swoje łodzie na opał, przez kilka tygodni oddawali się ucie-cho-m, po czym wyruszali w ciężką podróż powrotną.

Sancho chciał, by go widywano, dlatego bywał na przedstawieniach teatralnych i w operze, a w każ-dą niedzielę uczestniczył w mszy świętej. Jego prosty czarny ubiór, włosy zebrane w koński ogon i wy-pomadowane wąsy kontrastowały z pełnymi brokatu i koronek strojami Francuzów, nadając mu nieco groźny wygląd, który przyciągał kobiety. Miał nienaganne maniery – podstawowy wymóg w klasie wyższej, gdzie właściwe użycie widelca było ważniejsze niż moralność. Te wspaniałe zalety na nic zda-łyby się nieco ekscentrycznemu Hiszpanowi, gdyby nie pokrewieństwo z Valmorainem, rodowitym, bo-gatym Francuzem. Kiedy Sancho przychodził na przyjęcie, nikt nie zamierzał go wyrzucać. Valmorain był wdowcem, ledwie czterdziestopięcioletnim, niebrzydkim mimo paru zbędnych kilogramów, dlatego patriarchowie z Vieux Carré starali się usidlić go z myślą o jednej ze swych córek czy siostrzenic. Szwagier o niemożliwym do wymówienia nazwisku także stanowił dobrą partię, bo hiszpański zięć był lepszy niż wstyd posiadania niezamężnej córki.

Nikt się nie sprzeciwił, choć pojawiły się komentarze, kiedy para cudzoziemców wynajęła jeden z domów w dzielnicy i jakiś czas potem odkupiła go od właściciela. Budynek miał dwa piętra i mansardę, nie posiadał jednak piwnicy, Nowy Orlean bowiem został wzniesiony na wodzie i wystarczyło wykopać dołek na głębokość piędzi, żeby się do niej dostać. Mauzolea cmentarne stały na podwyższeniach, by zmarli nie wypływali podczas każdej burzy. Jak wiele innych, dom Valmoraina zbudowany był z cegły i drewna, w hiszpańskim stylu, z szerokim podjazdem dla powozów, brukowanym dziedzińcem, studnią z płytek ceramicznych i chłodnymi balkonami o żelaznych kratkach pokrytych wonnymi pnączami. Val-morain urządził dom, unikając przepychu, będącego tu oznaką karierowiczostwa. Choć nie potrafił na-wet gwizdać, zainwestował w instrumenty muzyczne – podczas wieczorków towarzyskich panienki lu-biły popisywać się grą na pianinie, harfie czy klawikordzie, a dżentelmeni – grą na gitarze.

Maurice i Rosette musieli uczyć się muzyki i tańca u prywatnych nauczycieli, jak inne dzieci boga-tych rodziców. Lekcje muzyki udzielał im różgą uchodźca z Saint-Domingue, a pewien afektowany gru-basek uczył ich, także za pomocą różgi, modnych tańców. Te umiejętności mogły się kiedyś Mauri-ce’owi przydać, podobnie jak gry salonowe i znajomość szermierki użyteczna w pojedynkach. Rosette mogły pomóc w zabawianiu gości, z zastrzeżeniem, że nigdy nie będzie rywalizować z białymi dziew-czynkami. Miała wdzięk i dobry głos, za to Maurice odziedziczył po ojcu fatalny słuch i uczestniczył w lekcjach zrezygnowany niczym galernik. Wolał książki, które były niepotrzebne w Nowym Orleanie, gdzie inteligencja wzbudzała podejrzenia; dużo wyżej ceniono umiejętność korzystania z doczesnych

uciech, prowadzenia rozmów na błahe tematy i elegancję.

Valmorainowi, przyzwyczajonemu do pustelniczego życia w Saint-Lazare, godziny spędzane na banalnych rozmowach w kawiarniach i barach, do których zaciągał go Sancho, wydawały się stratą czasu. Dużo wysiłku kosztowało go uczestnictwo w grach i zakładach, nie znosił walk kogutów, kiedy krew tryskała na publiczność, ani wyścigów koni i chartów, bo zawsze przegrywał. Każdego dnia tygodnia w jednym z salonów odbywało się spotkanie towarzyskie pod przewodnictwem matrony, która rejestrowała w pamięci, kto przyszedł i o czym plotkował. Samotni mężczyźni zawsze zjawiali się na takich spotkaniach z jakimś prezentem – najczęściej był to monstrualnych rozmiarów deser z cukru i orzechów, ciężki niczym krowi łeb. Zdaniem Sancha udział w tych zamkniętych przyjęciach był obowiązkiem. Tańce, *soirées*, pikniki, zawsze te same twarze i rozmowy o niczym. Valmorain wolał plantację, ale zrozumiał, że w Luizjanie jego samotnicze skłonności będą interpretowane jako przejaw skąpstwa.

Salony i jadalnia domu w mieście znajdowały się na pierwszym piętrze, sypialnie na drugim, a kuchnia i pokoje dla niewolników z tyłu, od strony patio. Okna wychodziły na mały, ale zadbane ogród. Największym pomieszczeniem była jadalnia, jak we wszystkich kreolskich domach, gdzie życie kręciło się wokół stołu i gościnności, która stanowiła powód do dumy. Szanująca się rodzina posiadała zastawę stołową dla co najmniej dwudziestu czterech osób. Jeden z pokoi na pierwszym piętrze, z osobnym wejściem, przeznaczano zwykle dla syna, który jeszcze nie znalazł żony – tam mógł się zabawiać, nie obrażając dam z rodziny. Na plantacjach rolę takich *garçonnières* spełniały ośmioboczne pawilony stojące w pobliżu drogi. Maurice'owi brakowało około dwunastu lat, by domagać się tego przywileju; na razie po raz pierwszy w życiu spał sam, w pokoju położonym między sypialniami ojca i wuja Sancha.

Tété i Rosette nie mieszkały z pozostałymi siedmioma niewolnikami: kucharką, praczką, woźnicą, szwaczką, dwiema służącymi i chłopcem na posyłki – spały razem na mansardzie, między skrzyniami, w których trzymano ubrania. Tété jak zawsze prowadziła dom. Pokoje łączył sznur z dzwonkiem, którym Valmorain wzywał ją w nocy.

Gdy tylko Sancho zobaczył Rosette, domyślił się relacji łączącej jego szwagra z niewolnicą i przewidział, jakie może mieć konsekwencje. „Co zrobisz z Tété, kiedy się ożenisz?“, zapytał niespodziewanie Valmoraina. Ten nigdy z nikim nie rozmawiał na ten temat i zaskoczony wymamrotał, że nie zamierza szukać żony. „Jeśli chcemy dalej mieszkać razem pod jednym dachem, któryś z nas będzie musiał to zrobić, inaczej pomyślą, że coś z nami nie tak“, podsumował Sancho.

W zamęcie ucieczki owej złowieszczej nocy w Le Cap Valmorain stracił swojego kucharza, który siedział zamknięty w drewni, kiedy on uciekał z Tété i dziećmi, nie żałował go jednak, bo w Nowym Orleanie potrzebował kogoś obeznanego z *cuisine créole*. Nowi znajomi ostrzegali, by nie kupował pierwszej kucharki, jaką zaproponują mu na Maspero Échange, uchodzącym za najlepszy targ niewolników w Ameryce, czy przy ulicy Chartres, gdzie przebierano Murzynów w eleganckie stroje, by zrobić wrażenie na klientach, nie dając jednak żadnej gwarancji co do jakości. Najlepszymi niewolnikami handlowano prywatnie wśród członków rodziny i przyjaciół. W ten sposób nabył Célestine, około czterdziestoletnią kobietę, wyszkoloną przez jednego ze znakomitych francuskich kucharzy pracujących dla markiza de Marigny, która potrafiła wyczarować wspaniałe potrawy i ciastka. Sprzedano ją, ponieważ nikt nie był w stanie znieść jej wybuchów gniewu. Kiedyś cisnęła talerzem z *gumbo* z owoców morza pod stopy markiza, który nieopatrznie ośmielił się poprosić o więcej soli. Anegdotka ta nie odstraszyła Valmoraina, zmagania z kucharką miały bowiem należeć do obowiązków Tété. Célestine była chuda i szorstka, zazdrośnie broniła dostępu do swojej kuchni i spiżarni, sama wybierała wina i wódki i nie ulegała żadnym sugestiom odnośnie do jadłospisu. Tété wyjaśniła jej, że powinna i umiarem stosować przyprawy, bo pan cierpi na bóle żołądka. „To niech wytrzyma. Jak będzie chciał rosołku dla chorych, sama mu go przygotujesz“, odpowiedziała, ale odkąd zaczęła rządzić garnkami, Valmorain czuł się zdrowo. Célestine pachniała cynamonem i po kryjomu, by nikt nie odkrył jej słabości, przygotowywała dzieciom lekkie jak bezy *beignets*, *tarte tatin* z jabłkami w karmelu, *crêpes* z mandarynkami i śmietaną,

*mousse au chocolat* z miodowymi herbatniczkami i inne smakołyki, które potwierdzały teorię, że ludzie nigdy nie przestaną konsumować cukru. Maurice i Rosette jako jedyni mieszkańcy domu nie bali się kucharki.

Życie kreolskiego dżentelmena upływało na rozrywkach – pracowitość uważano za przywarę protestantów w ogóle i Amerykanów w szczególności. Valmorain i Sancho mieli problemy z ukryciem, jak wiele wysiłku wkładali w rozruch plantacji, która po śmierci właściciela i kolejnych bankructwach jego spadkobierców leżała odłogiem przez ponad dziesięć lat.

Przede wszystkim należało kupić niewolników, na początek stu pięćdziesięciu, dużo mniej, niż pracowało w Saint-Lazare. Valmorain zamieszkał w kącie zrujnowanego dworu na czas budowy nowego, wznoszonego według projektu architekta z Francji. Baraki niewolników, zżarte przez termyty i wilgoć, zostały zburzone i zastąpione drewnianymi chatami, ustawionymi rzędami w równoległe i prostopadłe uliczki z małym placem pośrodku. Wystający okap dawał cień i chronił przed deszczem, a każdy domek miał trzy izby, które mieściły dwie rodziny. Szwagrowie zwiedzili kilka plantacji, jak wiele innych osób, które w weekendy zjawiały się bez zaproszenia, korzystając z tradycyjnej gościnności. Valmorain doszedł do wniosku, że w porównaniu z Saint-Domingue Murzyni z Luizjany nie mają powodów do narzekań, ale Sancho dowiedział się, że są właściciele, których niewolnicy chodzą niemal nago i jedzą rzadką kaszę kukurydzianą, wlewaną do koryta jak zwierzęca pasza, skąd z braku łyżki każdy wybiera swoją porcję muszlą ostrygi, kawałkiem dachówki albo rękami.

Dwa lata zajęły im same przygotowania: sadzenie, budowa młyna i organizacja pracy. Valmorain snuł ambitne plany, musiał jednak skupić się na najbliższej przyszłości; będzie jeszcze czas, by wcielić w życie fantazje na temat ogrodu, tarasów, altanek, ozdobnego mostku nad rzeką i innych rzeczy cieszących oko. Miał obsesję na punkcie drobiazgów, o których dyskutował z Sanchem i opowiadał Maurice'owi.

– Spójrz, synu, to wszystko będzie twoje. – Siedząc w siodle, pokazywał chłopcu pola trzciny. – Cukier nie spada z nieba, potrzeba dużo pracy, żeby go otrzymać.

– Pracę wykonują Murzyni – zauważył Maurice.

– Nie daj się zwieść pozorom. Oni wykonują pracę fizyczną, bo nie potrafią robić niczego innego, ale to wyłącznie pan jest za wszystko odpowiedzialny. Powodzenie plantacji zależy ode mnie i w jakimś stopniu także od twojego wuja Sancha. Żadna trzcina nie jest ścinana bez mojej wiedzy. Przyjrzyj się dobrze, bo któregoś dnia przyjdzie twoja kolej na podejmowanie decyzji i zarządzanie ludźmi.

– Dlaczego sami sobą nie zarządzają, *papa*?

– Nie mogą, Maurice. Trzeba wydawać im rozkazy, są niewolnikami, synu.

– Nie chciałbym być taki jak oni.

– Nigdy nie będziesz, Maurice – uśmiechnął się ojciec. – Jesteś Valmorainem.

Nie mógłby pokazać synowi Saint-Lazare z tą samą dumą. Był gotów naprawić błędy, słabości i zaniedbania z przeszłości i w tajemnicy odpokutować za potworne grzechy Lacroix, którego kapitał wykorzystał, aby kupić tę ziemię. Na każdego torturowanego mężczyznę i każdą skrzywdzoną dziewczynkę przypadać będzie jeden zdrowy i dobrze traktowany niewolnik z plantacji Valmoraina. W ten sposób usprawiedliwiał przed sobą przywłaszczenie pieniędzy sąsiada – nie mógłby ich lepiej zainwestować.

Sancho nie wykazywał zbytniego zainteresowania planami szwagra, nic takiego nie ciążyło mu bowiem na sumieniu; myślał tylko o tym, jak się zabawić. Skład zupy dla niewolników czy kolor ich chat nie miał dla niego znaczenia. Valmoraina pochłaniała zmiana w jego życiu, ale dla Hiszpana było to tylko jedno z wielu rozpoczynanych z entuzjazmem i porzucanych bez żalu przedsięwzięć. Ponieważ nie miał nic do stracenia, bo całe ryzyko podejmował jego wspólnik, wpadał na odważne pomysły, które zwykły przynosić zaskakujące efekty, jak rafineria, dzięki której mogli sprzedawać biały cukier, dający dużo większe zyski niż melasa innych plantatorów.

Sancho znalazł przełożonego nadzorców, Irlandczyka, który doradził mu przy zakupie siły roboczej,

Nazywał się Owen Murphy i już na początku zażądał, żeby niewolnicy uczestniczyli we mszy. Powiedział, że trzeba wybudować kaplicę i znaleźć księży na przychodne, by umocnić katolicyzm, zanim wtrącą się Amerykanie głoszący swoje herezje i skażą tych niewinnych ludzi na piekło. „Moralność jest najważniejsza”, oznajmił. Murphy w pełni podzielał pogląd Valmoraina, że nie należy nadużywać bicia. To wielkie owłosione chłopsko z czarną brodą, o wyglądzie mieszańca, miało łagodne serce. Irlandczyk zamieszkał wraz z liczną rodziną w namiocie na czas budowy ich domu. Jego żona, Leanne, sięgała mu do pasa i wyglądała jak niedożywiona nastolatka z twarzą muchy, ale jej kruchość była pozorna – wydała na świat sześciu chłopców i oczekiwała siódmego. Wiedziała, że będzie płci męskiej, bo Bóg postanowił wystawić jej cierpliwość na próbę. Nigdy nie podnosiła głosu: jedno spojrzenie wystarczyło, by synowie i mąż posłusznie wykonywali jej polecenia. Valmorain pomyślał, że Maurice w końcu będzie miał kogoś do zabawy i przestanie włóczyć się za Rosette; ta gromada Irlandczyków należała do dużo niższej klasy społecznej niż on, ale byli biali i wolni. Nie podejrzewał, że dziewczynka zauroczy również szóstkę Murphych. Rosette skończyła pięć lat i posiadała przytłaczającą osobowość, którą ojciec tak chętnie widziałby u Maurice’a.

Owen Murphy od siedemnastego roku życia zajmował się nadzorowaniem niewolników i znał na pamięć błędy i sukcesy tej niewdzięcznej pracy. „Trzeba traktować ich jak własne dzieci. Autorytet, sprawiedliwość, jasne zasady, kara, nagroda i trochę wolnego czasu; w przeciwnym razie chorują”, powiedział pryncypałowi i dodał, że niewolnicy mają prawo odwołać się do pana w przypadku kary cięższej niż piętnaście batów. „To nie będzie konieczne; polegam na panu, Murphy”, odparł Valmorain, niezbyt skłonny do występowania w roli sędziego. „Dla mojego własnego spokoju wolę, żeby tak zostało, proszę pana. Nadmiar władzy niszczy duszę każdego chrześcijanina, a moja jest słaba”, wyjaśnił Irlandczyk.

W Luizjanie trzeba było dbać o siłę roboczą, bo jej wartość równała się jednej trzeciej wartości ziemi. Produkcja zależała od nieszczęśliwych zdarzeń, których nie dało się przewidzieć: huraganów, suszy, powodzi, zaraz, szcurów, skoków cen cukru, problemów z maszynami i zwierzętami, pożyczek bankowych i innych przeciwności losu. „Nie wspominając o złym stanie zdrowia czy zniechęceniu niewolników”, powiedział Murphy. Był tak różny od Cambraya, że Valmorain zadawał sobie pytanie, czy się co do niego nie pomylił, ale szybko stwierdził, że Owen pracuje bez wytchnienia i potrafi narzucić swoją wolę samą obecnością, bez konieczności użycia siły. Trzymani krótko nadzorcy naśladowali go, dzięki czemu niewolnicy byli wydajniejsi niż w reżimie terroru Prospera Cambraya. Murphy wprowadził pracę na zmiany, by mogli odpocząć po morderczym dniu spędzonym na polu. Poprzedni pryncypał zwolnił go, bo kiedy kazał mu wychłostać niewolnicę, on nawet jej nie dotknął – uderzał biczem o ziemię, a kobieta krzyczała ile sił w płucach, by wywołać odpowiednie wrażenie. Niewolnica była brzemienna, dlatego jak zwykle w takich wypadkach, położono ją na ziemi tak, by jej brzuch znalazł się w wykopanym dole. „Obiecałem żonie, że nigdy nie wychłostam dziecka ani kobiety w ciąży”, wyjaśnił Irlandczyk zapytany o to przez Valmoraina.

Dali ludziom dwa dni odpoczynku w tygodniu, aby mogli uprawiać ogródki, opiekować się zwierzętami i zająć pracami domowymi, ale w niedzielę niewolnicy mieli narzucony przez Murphy’ego obowiązek uczestniczenia we mszy świętej. W wolnym czasie mogli grać na instrumentach i tańczyć, a nawet od czasu do czasu, pod kontrolą przełożonego nadzorców, organizować *bambousses*, skromne zabawy z okazji ślubu, pogrzebu czy innej uroczystości. Teoretycznie niewolnikom nie wolno było odwiedzać innych posiadłości, jednak w Luizjanie niewielu właścicieli przestrzegało tej reguły. Śniadanie na plantacji Valmoraina składało się z zupy na mięsie lub boczku – żadnej cuchnącej ryby jak w Saint-Lazare – na obiad jedli kukurydziany placek, solone lub świeże mięso i budyń, a na kolację sycącą zupę. Jedną z chat przystosowano, by pełniła funkcję lazaretu, i zatrudniono lekarza, który raz w miesiącu składał prewencyjną wizytę i przyjeżdżał, kiedy wzywano go do nagłych wypadków. Ciężarnym kobietom dawano więcej jedzenia i pozwalano dłużej odpoczywać. Valmorain nie wiedział – bo też nigdy o

to nie zapytał – że w Saint-Lazare niewolnice rodziły w kucki w trzcinowych zaroślach, że liczba poronień przewyższała liczbę narodzin i że większość noworodków umierała przed ukończeniem trzeciego miesiąca życia. Na nowej plantacji rolę akuszerki pełniła Leanne Murphy, która opiekowała się także dziećmi.

## Zarité

Ze statku Nowy Orlean przypominał ćwiartkę księżycą unoszącą się na morzu, białą i błyszczącą. Kiedy go zobaczyłam, wiedziałam, że nie wrócę na Saint-Domingue. Czasem miewam takie przecucia i nie zapominam o nich, dlatego jestem przygotowana, kiedy się spełniają. Ból po stracie Gambo był jak włócznia w piersi. W porcie czekał don Sancho, brat doñi Eugenii, który przyjechał kilka dni przed nami i miał już dla nas dom. Ulica pachniała jaśminem, a nie dymem i krwią jak w Le Cap, podpalonym przez buntowników, którzy potem wycofali się, by dalej robić swoją rewolucję w innych częściach wyspy. Przez pierwszy tydzień w Nowym Orleanie pracowałam sama, czasem z pomocą niewolnika, którego wypożyczała nam znajoma rodzina don Sancha, ale potem pan i jego szwagier kupili służących. Maurice'owi przydzielili nauczyciela, Gasparda Sévérina, uchodźcę z Saint-Domingue, jak my, tyle że biednego. Uchodźcy napływali stopniowo, najpierw mężczyźni, żeby się jakoś urządzić, potem kobiety i dzieci. Niektórzy przywozili swoje kolorowe rodziny i niewolników. Wtedy były ich już tysiące i ludzie z Luizjany nie chcieli, by przyjeżdżało ich więcej. Nauczyciel nie akceptował niewolnictwa; myślę, że był jednym z tych abolicjonistów, których tak nienawidził monsieur Valmorain. Miał dwadzieścia siedem lat, mieszkał w pensjonacie dla czarnych, zawsze nosił ten sam strój i ręce trzęsły mu się ze strachu na wspomnienie o tym, co przeżył na Saint-Domingue. Czasami, kiedy pana nie było w domu, prałam mu koszulę i czyściłam plamy na surducie, ale nigdy nic mogłam usunąć z jego ubrania zapachu strachu. Dawałam mu też jedzenie, żeby zabrał ze sobą, zawsze pod jakimś pretekstem, bo nie chciałam go urazić. Przyjmował je, jak gdyby robił mi przysługę, ale był wdzięczny i dlatego zgodził się, by Rosette uczestniczyła w jego lekcjach. Błagałam pana, żeby pozwolił jej się uczyć, i w końcu, mimo zakazu kształcenia niewolników, ustąpił, bo miał wobec niej plany: chciał, by opiekowała się nim na starość i czytała, kiedy zawiedzie go wzrok. Czy zapomniał, że jest nam winien wolności Rosette nie wiedziała, że pan jest jej ojcem, ale i tak go uwielbiała i przypuszczam, że na swój sposób on także ją kochał, bo nikt nie mógł oprzeć się urokowi mojej córki. Od dziecka Rosette była czarująca. Lubiła także podziwiać sama siebie w lustrze, a to niebezpieczny nawyk.

W tamtym czasie w Nowym Orleanie żyło dużo wolnych kolorowych, bo pod rządami Hiszpanów nie-trudno było uzyskać albo kupić wolność. Amerykanie jeszcze nie narzucili nam swoich praw. Pan został na plantacji, a ja spędzałam większość czasu w mieście, zajęta domem i Maurice'em, który musiał się uczyć. Nie odmawiałam sobie niedzielnych bambousses na placu Congo, z bębnami i tańcami, kilka ulic od miejsca, gdzie mieszkaliśmy. Bambousses przypominały calendy z Saint-Domingue, ale bez usługiwania loa, bo wtedy w Luizjanie wszyscy byli katolikami. Teraz wielu jest baptystami, bo w swoich kościołach mogą śpiewać i tańczyć, więc oddawanie czci Jezusowi sprawia im przyjemność. Vodou dopiero się zaczynało, przywieźli je niewolnicy z Saint-Domingue, i tak się zmieszało z wierzeniami chrześcijan, że trudno mi je rozpoznać. Na placu Congo tańczyliśmy od południa do nocy. Biali byli oburzeni, bo kręciliśmy pośladkami, żeby wzbudzić w nich brzydkie myśli, i ocieraliśmy się o siebie jak zakochani, żeby – wzbudzić ich zazdrość.

Rano, po odebraniu wody i drewna, które rozwożą od domu do domu na wozach, wychodziłam na zakupy. Rynek Francuski istniał od dwóch lat, ale zajmował już wiele ulic i po tamie był drugim ulubionym miejscem spotkań. Nadal nim jest. Do tej pory można tam wszystko kupić, od jedzenia po biżuterię, tam urzędują wróżbiarze, czarownicy i medycy od liści. Nie brakuje szarlatanów, którzy leczą wodą zabarwioną na różne kolory, a na bezpłodność, bóle porodowe, gorączki reumatyczne, plucie krwią, zmęczenie serca, łamliwe kości i prawie wszystkie pozostałe dolegliwości ludzkiego ciała stosują środek z sarsaparilli. Nie wierzę w ten środek. Gdyby był tak cudowny, używałaby go Tante Rose, a ona nigdy nie

interesowała się krzewem sarsaparilli, choć rósł w okolicach Saint-Lazare.

Na rynku zaprzyjaźniłam się z innymi niewolnikami i w ten sposób poznałam zwyczaje Luizjany. Tak jak na Saint-Domingue, tak i tu wielu wolnych kolorowych ma wykształcenie, żyje ze swojej pracy i zawodu, a niektórzy są właścicielami plantacji. Mówi się, że zwykle postępują z niewolnikami okrutniej niż biali, ale nie miałam okazji tego zobaczyć. Tak mi opowiedzieli. Na targu można spotkać białe i kolorowe panie w towarzystwie służących obładowanych kosztami. Nie noszą nic w rękach, mają tylko rękawiczki i torebkę z pieniędzmi haftowaną drobnymi paciorkami. Zgodnie z prawem Mulatki ubierają się skromnie, żeby nie prowokować białych kobiet, a swoje jedwabie i biżuterię trzymają na nocne zabawy. Panowie noszą potrójnie wiązane fulary, wełniane spodnie, wysokie buty, rękawiczki z giemy i kapelusze z króliczej sierści. Don Sancho mówi, że Mulatki z Nowego Orleanu są najpiękniejszymi kobietami na świecie. „Mogłabyś być jak one, Tété. Spójrz, jak chodzą, lekko kołysząc biodrami, z wyprostowaną głową, uniesioną pupą, prowokującymi piersiami. Przypominają rasowe klacze. Żadna biała kobieta nie potrafi tak chodzić”.

Ja nigdy nie będę jak te kobiety, ale Rosette być może tak. Co się stanie z moją córką? O to samo pytał pan, kiedy kolejny raz wspomniałam o mojej wolności. „Chcesz, żeby twoja córka żyła w biedzie? Nie można wyzwolić niewolnika, dopóki nie skończy trzydziestu lat. Brakuje ci szczęścia, więc nie zwracaj mi tym więcej głowy”. Sześć lat! Ja nie znałam tego prawa. Dla mnie to cała wieczność, ale Rosette będzie mogła dorosnąć pod opieką ojca.

## *Festyn*

W 1795 roku Valmorain zainaugurował swoją plantację trwającą trzy dni wiejską zabawą, która kosztowała majątek, tak jak chciał Sancho i jak to było przyjęte w Luizjanie. Dwupiętrowy dom w greckim stylu miał kształt prostokąta, na parterze galerię, a na piętrze zadaszony balkon okalający budynek z czterech stron, kolumny, jasne pokoje i mahoniowe podłogi. Pomalowano go na pastelowe kolory, zgodnie z gustem francuskich katolickich Kreoli, w odróżnieniu od domów protestanckich Amerykanów, które zawsze były białe. Według Sancha wyglądał jak przesłodzona replika Akropolu, ale zdaniem większości należał do najpiękniejszych domów nad Missisipi. Brakowało mu jeszcze niektórych elementów wystroju, ale nie sprawiał wrażenia pustego – wypełniono go kwiatami i zapalono tyle świateł, że przez trzy noce festynu było w nim jasno jak w dzień. Stawiła się cała rodzina w komplecie, włącznie z nauczycielem Gaspardem Sévérimem, który miał nowy surdut – prezent od Sancha – i nieco mniej żaloszny wygląd, jako że na wsi jadł i zażywał powietrza. W miesiącach letnich, kiedy zabierali go na plantację, by Maurice mógł kontynuować naukę, wysyłał całą swoją pensję braciom na Saint-Dominique. Valmorain wynajął dwa barkasy na dwunastu wioślarzy, ozdobione kolorowymi baldachimami, by przewieźć gości, którzy przybyli z kuframi i osobistymi niewolnikami, a czasem nawet z własnymi fryzjerami. Wynajął kilka orkiestr wolnych Mulatów, które zmieniały się, żeby nie zabrakło muzyki, i ściągnął tyle porcelanowej zastawy i srebrnych sztucców, że wystarczyłoby dla pułku żołnierzy. Czas upływał na spacerach, konnych przejażdżkach, polowaniach, grach salonowych, tańcach, a duszą całej tej hucznej zabawy był niezmordowany Sancho, zawsze dużo bardziej gościnny od Valmoraina. Równie swobodnie czuł się na eleganckich przyjęciach, co uczestnicząc w hulankach opryszków z El Pantano. Kobiety spędzały poranki na odpoczynku, wychodziły na dwór dopiero po sjeście, w gęstych woalkach i rękawiczkach, a wieczorami wkładały swoje najlepsze stroje. W łagodnym świetle lamp wszystkie wydawały się naturalnie piękne: miały ciemne oczy, perłową skórę i lśniące włosy, żadnych wypacykowanych twarzy ani sztucznych pieprzyków jak we Francji, ale w zaciszu buduarów przyciemniały sobie brwi węgielkiem, wcierały w policzki płatki czerwonych róż, poprawiały usta karminem, pokrywały siwiznę (jeśli któraś ją miała), używając fusów z kawy, a połowa loków z ich fryzur kiedyś należała do innej głowy. Używały jasnych kolorów i lekkich tkanin; nawet niedawno owdowiałe kobiety nie ubierały się w czerń – posepny kolor, który ani nie jest twarzowy, ani nie daje pocieszenia.

Na wieczornych tańcach damy rywalizowały o miano najbardziej wytwornej; niektóre przychodziły z Murzynkiem, który nosił za nimi tren. Ośmioletni Maurice i pięcioletnia Rosette tańczyli walca, polkę i kotyliona. Różgi maestra okazały się usprawiedliwione, bo pokazy wywoływały okrzyki zachwytu publiczności. „Dziewczynka musi być Hiszpanką, córką szwagra, tego, jak mu tam, Sancha, czy jakoś tak”, usłyszała Tété. Rosette, ubrana w biały jedwab i czarne pantofelki, z różową wstążką w długich włosach, tańczyła pewna siebie, podczas gdy Maurice pocił się ze wstydu w swoim galowym ubranku, licząc kroki: dwa podskoki w lewo, jeden w prawo, skłon i półobrót, w tył, do przodu i ukłon. I jeszcze raz to samo. Ona go prowadziła, zawsze gotowa zatuszować potknięcia partnera zaimprovizowanym piruetem. „Kiedy dorosnę, co wieczór będę chodzić na tańce, Maurice. Jeśli chcesz się ze mną ożenić, lepiej się ucz”, ostrzegła go na próbach.

Valmorain kupił majordomusa, który zajął się domem na plantacji, a w Nowym Orleanie funkcję tę pełniła Tété i dzięki lekcjom pobieranym w Le Cap u pięknego Zachariego robiła to bez zarzutu. Nic wchodziło im w paradę, ale w czasie przyjęcia przyszło im współpracować, aby obsługa funkcjonowała jak dobrze naoliwiony mechanizm. Wyznaczyli trzy niewolnice, które miały zająć się wyłącznie noszeniem wody i opróżnianiem nocników, oraz jednego chłopca do zbierania kup po dwóch chorych psach o poskręcanej sierści będących własnością panny Hortense Guizot. Valmorain najął dwóch kucharzy, wolnych Mulatów, i przydzielił kilku pomocników domowej kucharce, Célestine. Wszyscy razem



ledwo dali radę przygotować ryby, owoce morza, drób, dzikie ptactwo, kreolskie dania i desery. Owen Murphy dyrygował pieczeniem zabitego z tej okazji cielaka. Valmorain oprowadził gości po fabryce cukru, destylarni rumu i stajniach, ale z największą dumą pokazywał miejsce, gdzie mieszkali niewolnicy. Murphy dał Murzynom trzy dni wolnego, ubrania i słodycze, i kazał śpiewać na cześć Maryi Panny. Niektóre kobiety wzruszyły się do łez żarliwą nabożnością niewolników. Zgromadzeni gratulowali Valmorainowi, choć za jego plecami niejeden z nich komentował, że taki idealizm prowadzi do ruiny.

Początkowo Tété rozpoznawała Hortense Guizot pośród innych dam tylko po dokuczliwych pieskach, które wszędzie srały. Instynkt ją zawiódł – nie domyśliła się, jaką rolę ta kobieta odegra w jej życiu. Hortense skończyła dwadzieścia osiem lat i wciąż była panną, nie z powodu brzydoty czy ubóstwa, ale dlatego, że narzeczony, którego miała w wieku lat dwudziestu czterech, skrzył sobie kark, kiedy popisując się przed nią na wierzgającym koniu. Było to rzadko spotykane narzeczeństwo z miłości, a nie z rozsądku, jak bywało wśród Kreoli wywodzących się ze starych rodów. Denise, osobista niewolnica Hortense, powiedziała Tété, że pani pierwsza podbiegła i stwierdziła, że ukochany nie żyje. „Nie zdążyła się z nim pożegnać”, dodała. Po zakończeniu oficjalnej żałoby ojciec Hortense zaczął szukać dla niej innego kandydata. Co prawda z powodu przedwczesnej śmierci narzeczonego imię dziewczyny było na ustach wszystkich, ale przeszłość miała nienaganną. Była wysoką blondynką o różowej cerze, tęgą, jak wiele kobiet w Luizjanie, które lubiły sobie pojeść i zażywały mało ruchu. Gorset unosił jej piersi jak dwa melony, ku radości patrzących na nie mężczyzn. Hortense Guizot spędziła kilka dni festynu, przebierając się co dwie, trzy godziny, radosna, bo wspomnienie narzeczonego nie towarzyszyło jej podczas zabawy. Zawładnęła pianinem, śpiewała sopranem i tańczyła z werwą aż do rana, doprowadzając do wycieńczenia wszystkich partnerów z wyjątkiem Sancha. Zwykł mawiać, że nie ma kobiety, która byłaby w stanie go wykończyć, ale musiał przyznać, że Hortense jest wspaniałą przeciwniczką.

Trzeciego dnia, kiedy odpłynęły już łodzie wyładowane zmęczonymi gośćmi, muzykami, służącymi i salonowymi pieskami, a niewolnicy sprząтали walające się śmieci, przybiegł Owen Murphy wystraszony wiadomością, że banda marronów przemieszcza się wzdłuż rzeki, zabijając białych i podburzając Murzynów do buntu. Wiedziano o zbiegłych niewolnikach, którzy znaleźli schronienie wśród indiańskich plemion, ale na bagnach żyli też inni, ludzie błota, wody i alg. Byli odporni na moskity i jad węży, niewidzialni dla oczu prześladowców, uzbrojeni w noże, zardzewiałe maczety i zaostrzone kamienie, oszalali z głodu i pijani wolnością. Najpierw rozeszła się wieść, że napastników jest około trzydziestu, ale kilka godzin później mówiono już o stu pięćdziesięciu.

– Dotrą aż tutaj, Murphy? Myśli pan, że nasi czarni mogą się zbuntować? – zapytał Valmorain.

– Nie wiem, proszę pana. Są blisko i mogą na nas napaść. A jeśli chodzi o naszych ludzi, to nie można przewidzieć, jak zareagują.

– Jak to nie można przewidzieć? Są tutaj szanowani, nigdzie nie będzie im lepiej. Niech pan z nimi porozmawia!

– krzyczał wzburzony Valmorain, chodząc w tę i z powrotem po salonie.

– Rozmowa nic tutaj nie da, proszę pana – zauważył Murphy.

– Ten koszmar mnie prześladuje! Nie ma sensu dobrze traktować czarnych! Nic ich nie zmieni!

– Spokojnie, szwagrze – przerwał mu Sancho. – Na razie nic się nie dzieje. Jesteśmy w Luizjanie, nie na Saint-Domingue, gdzie było pół miliona rozwścieczonych Murzynów i garstka bezlitosnych białych.

– Muszę wywieźć Maurice’a w bezpieczne miejsce. Murphy, proszę przygotować łódź, natychmiast płynę do miasta – rozkazał Valmorain.

– Co to, to nie! – zawołał Sancho. – Nikt się stąd nie ruszy. Nie będziemy uciekać jak szczury. Poza tym rzeka wcale nie jest bezpieczna, buntownicy też mają łodzie. Panie Murphy, będziemy bronili posiadłości. Proszę przynieść broń palną, wszystko, co mamy.

Ułożyli ją na stole w jadalni; dwaj najstarsi synowie Murphy’ego, trzynasto- i jedenastoletni, załado-

wali pistolety i rozdali czterem białym, w tym także Gaspardowi Sévérinowi, który nigdy w życiu nie pociągnął za spust, a drżącymi rękami nie był w stanie nawet dobrze wycelować. Murphy rozdzielił niewolników: mężczyźni zamknęli w stajniach, a dzieci w domu pana – bez nich kobiety nie ruszyłyby się ze swoich chat. Majordomus i Tété zajęli się służbą domową, zaniepokojoną wieściami. Wszyscy niewolnicy w Luizjanie słyszeli, jak biali mówią o groźbie rewolty, ale sądzili, że takie rzeczy zdarzają się tylko w egzotycznych miejscach, i nie byli w stanie jej sobie wyobrazić. Tété wyznaczyła dwie kobiety do opieki nad dziećmi, potem pomogła majordomusowi założyć sztaby na drzwi i okna. Célestine zareagowała nadspodziewanie spokojnie, zważywszy na jej charakter. W czasie zabawy pracowała za trzech, nadąsana i despotyczna, konkurując z kucharzami z miasta, bezczelnymi leniuchami, którzy – jak mruczała pod nosem – brah’ pieniądze za to, co ona musiała robić za darmo. Właśnie moczyła sobie nogi, kiedy przyszła Tété i powiedziała, co się dzieje. „Nikt nie będzie głodny”, oznajmiła Célestine krótko i wraz z pomocnicami zabrała się za przygotowywanie jedzenia.

Czekali cały dzień. Valmorain, Sancho i przerażony Gaspard Sévérin trzymali w dłoniach pistolety, Murphy stał na straży na wprost stajni, a jego synowie pilnowali rzeki, żeby w razie potrzeby podnieść alarm. Leanne Murphy uspokoiła kobiety obietnicą, że ich dzieci będą bezpieczne w domu, gdzie każde dostanie filiżankę czekolady. O dziesiątej wieczorem, kiedy wszyscy ledwo trzymali się na nogach ze zmęczenia, przyjechał na koniu Brandan, najstarszy z synów Murphy’ego, z pochodnią w rękę i pistoletem za pasem, i oznajmił, że zbliża się oddział patrolowy. Dziesięć minut później mężczyźni zsiadali z wierzchowców przed domem. Valmorain, który w ciągu tych kilku godzin na nowo przeżył wspomnienie horroru z Saint-Lazare i Le Cap, przyjął ich z tak nieukrywaną ulgą, że Sanchowi zrobiło się za niego wstyd. Wysłuchał relacji żołnierzy i kazał otworzyć butelki z najlepszą wódką. Kryzys minął; zatrzymano dziesięciu zbuntowanych Murzynów, jedenastu zabito, pozostali mieli zostać powieszeni o świącie. Reszta rozproszyła się i najprawdopodobniej wróciła do swoich kryjówek na bagnach. Jeden ze strażników, osiemnastoletni rudzielec, podniecony nocą pełną przygód i alkoholem, usiłował wmówić Gaspardowi Sévérinowi, że ci, którzy wkrótce zawisną, mają nogi ropuchy, skrzela ryby i zęby kajmana i że to z powodu długiego przebywania na bagnach. Wielu okolicznych plantatorów przyłączyło się z entuzjazmem do patroli, żeby zapolować na buntowników, bo był to sport, który rzadko mieli okazję uprawiać na większą skalę. Przysięgli sobie, że wytną w pień zbiegłych Murzynów. Straty wśród białych okazały się minimalne: jeden nadzorca zabity, ranny jeden plantator, poranionych trzech uczestników patrolu, a do tego jeden koń ze złamaną nogą. Rewoltę udało się szybko stłumić, ponieważ któryś z domowych niewolników podniósł alarm. „Jutro, kiedy buntownicy zawisną na szubienicach, ten człowiek będzie wolny”, pomyślała Tété.

## *Hiszpański hidalgo*

Sancho García del Solar krążył między plantacją i miastem. Spędzał więcej czasu w łodzi i w siodle niż gdziekolwiek indziej. Tété nigdy nie wiedziała, kiedy pojawi się w mieście, za dnia czy nocą, na zmordowanym koniu, zawsze uśmiechnięty, ożywiony, wygłodniały. W któryś poniedziałek pojedynkował się o świcie z jakimś Hiszpanem, urzędnikiem z siedziby gubernatora, w ogrodach Saint-Antoine, miejscu, w którym dżentelmeni zwykli się zabijać albo przynajmniej ranić, co było jedynym sposobem, by oczyścić splamiony honor. Pojedynki stanowiły ulubioną rozrywkę, a ogrody i ich bujne krzewy zapewniały niezbędną dyskrecję. W domu nie wiedziano o niczym aż do śniadania, kiedy Sancho zjawił się w zakrwawionej koszuli i poprosił o kawę i koniak. Chichocząc, powiedział Tété, że został tylko draśnięty w żebra, za to jego rywal będzie miał na twarzy blizny. „Dlaczego panowie się bili?“, zapytała, przemijając ranę, zadana pchnięciem szpady tak blisko serca, że gdyby była odrobinę głębsza, Tété musiałaby ubierać go do trumny. „Bo krzywo na mnie spojrział“, brzmiała odpowiedź. Cieszyło go, że nie ma na sumieniu śmierci człowieka. Potem Tété dowiedziała się, że powodem ich pojedynku była Adi Soupir, Mulatka o ekscytujących wypukłościach, o której względy obaj zabiegali.

Sancho potrafił obudzić dzieci w środku nocy, żeby pokazać im, jak można oszukiwać podczas gry w karty, a kiedy Tété protestowała, chwycił ją w pasie, podnosił i kręcił w kółko, a potem zaczynał tłumaczyć, że nie można przeżyć na tym świecie bez uciekania się do podstępów i że lepiej opanować tę sztukę jak najszybciej. Ni z tego, ni z owego wpadał na pomysł, by zjeść pieczonego prosiaka o szóstej rano, i trzeba było pędzić na targ w poszukiwaniu zwierzęcia, albo informował, że idzie do krawca, zniknął na dwa dni i wracał przesiąknięty zapachem alkoholu, w towarzystwie kompanów, którym zaproponował gościnę. Ubierał się starannie, choć skromnie, analizując w lustrze każdy szczegół swojego wyglądu. Przyuczył niewolnika, czternastoletniego chłopca na posyłki, żeby pomadował mu wąsy i golił policzki hiszpańską brzytwą ze złotą rączką, która była w rodzinie Garcíów del Solar od trzech pokoleń. „Wujku Sancho, ożenisz się ze mną, kiedy będę duża?“, pytała Rosette. „Jeśli zechcesz, ślicznotko, to nawet jutro“, i dawał jej kilka głośnych całusów. Tété traktował jak zubożałą krewną, z mieszaniną poufałości i szacunku okraszaną żartami. Czasami, kiedy wyczuwał, że cierpliwość niewolnicy jest na wyczerpaniu, przynosił jej prezent i obdarzał jakimś komplementem, całując w rękę, co przyjmowała z zażenowaniem. „Rośnij szybko, Rosette, bo ożenię się z twoją matką“, groził żartobliwie.

Rano Sancho wstępował do Café des Émigrés i przyłączał się do grających w domino. Jego wieczny optymizm i zabawna fanfaronada hidalga kontrastowały z zachowaniem francuskich emigrantów, upokorzonych i skazanych na ubóstwo przez wygnanie, którzy spędzali czas na opłakiwaniu utraconych dóbr, tych autentycznych i tych wymaginowanych, oraz na rozmowach o polityce. Złe wieści głośiły, że na Saint-Domingue nadal panuje przemoc i że Anglicy zajęli kilka miast na wybrzeżu, nie udało im się jednak opanować centrum kraju, dlatego uniezależnienie kolonii stało się mniej realne, „Toussaint – jak się teraz nazwa ten łotr? Louverture? Ale sobie wymyślił nazwisko! No więc ten Toussaint był z Hiszpanami, a potem zmienił front i walczy u boku francuskich republikanów, którzy bez jego pomocy tkwiliby w gównie po uszy. Zanim się przefarbował, wyciął w pień hiszpańskie oddziały, którymi dowodził. Osądźcie sami, czy w ogóle można ufać tej hołocie! General Laveaux awansował go na generała i dowódcę Kordonu Zachodniego, i teraz ta mała parady w kapeluszu z piórami, można skonać ze śmiechu. Oto do czego doszliśmy, rodacy! Francja sprzymierzona z czarnymi! Co za historyczne poniżenie!“, wykrzykiwali uchodźcy pomiędzy jedną partyjką domina a drugą.

Ale napływały również wieści pomyślne dla emigrantów. We Francji rosły wpływy osadników o poglądach monarchistycznych, a ludzie nie chcieli już słyszeć ani słowa więcej o prawach Murzynów. Jeśli koloniści uzyskają niezbędną liczbę głosów, Zgromadzenie będzie zmuszone wysłać na Saint-Domingue odpowiednią liczbę żołnierzy, by stłumić rewoltę. Na mapie wyspa jest wielkości muchy – mó-

wili – nigdy nie będzie w stanie przeciwstawić się potędze francuskiej armii. Po zwycięstwie emigranci mogliby wrócić i wszystko znowu byłoby jak dawniej. Wtedy nie będzie miłosierdzia dla czarnych, wybiją wszystkich i przywiozą z Afryki świeże mięso.

Tété miała najnowsze wiadomości z plotek na Rynku Francuskim. Toussaint był czarownikiem i wróżbitą, mógł rzucać klątwy na odległość i zabijać myślą. Toussaint wygrywał bitwę za bitwą i kule się go nie imaly. Toussainta chronił Jezus, który jest potężny. Tété słyszała, jak jej pan snuje plany odzyskania swych posiadłości w kolonii. Spytała Sancha, bo nie miała odwagi poruszać tego tematu z Valmorainem, czy wróćą kiedykolwiek na Saint-Domingue, a on odparł, że trzeba być szaleńcem, żeby pakować się do takiej rzeźni. Potwierdziło się jej przecucie, że nie zobaczy już Gambo.

Valmorain skupił się na plantacji, wyrosłej na ruinach poprzedniej, i tam spędzał większą część roku. Na zimę przenosił się niechętnie do domu w mieście, bo Sancho nalegał na podtrzymywanie kontaktów towarzyskich. Tété i dzieci mieszkali w Nowym Orleanie, a na plantację jeździli tylko w miesiącach upałów i epidemii, kiedy wszystkie zamożne rodziny uciekały z miasta. Sancho wpadał na wieś z krótkimi wizytami, bo ciągle chodził mu po głowie pomysł uprawy bawełny. Choć nigdy nie widział jej w stanie pierwotnym, a tylko w postaci wykrochmalonych koszul, stworzył sobie poetycką wizję przyszłego projektu, w której nie było miejsca na wysiłek z jego strony. Najął amerykańskiego agronoma i zanim jeszcze wsadził w ziemię pierwszą roślinę, już planował zakup niedawno wynalezionej maszyny do zbierania bawełny, która – jak sądził – zrewolucjonizuje rynek. Amerykanin i Murphy proponowali płodozmian: kiedy ziemia zmęczy się trzcina, sadziłoby się bawełnę, i na odwrót.

Jedyną istotą, którą kapryśne serce Sancha Garcíi del Solar darzyło zawsze jednakowym uczuciem, był siostrzeniec. Maurice przyszedł na świat mały i kruchy, ale okazał się zdrowszy, niż to prognozował doktor Parmentier, a gorączka, która go czasem nękała, była wynikiem nerwów. Zdrowia miał w nadmiarze, ale brakowało mu charakteru. Był żądny wiedzy, wrażliwy i skory do płaczu; wolał obserwować mrowisko w ogrodzie albo czytać Rosette bajki, niż brać udział w brutalnych zabawach Murphych. Sancho, obdarzony krańcowo różną osobowością, bronił go przed krytyką Valmoraina. Aby nie zawieść oczekiwań ojca, Maurice pływał w lodowatej wodzie, galopował na nieujeżdżonych koniach, podglądał niewolnice podczas kąpieli i brał udział w bijatykach z Murphymi, tarzając się z nimi w kurzu, aż krew kapała mu z nosa, ale nie potrafił zastrzelić zajaca ani wybebeszyć żywej ropuchy, by zobaczyć, jak wygląda w środku.

Nie miał w sobie nic z chwalipięty, lekkoducha ani zabijaki, w przeciwieństwie do innych dzieci chowanych z podobną pobłażliwością. Valmorain martwił się, że jego syn jest skryty i ma zbyt miękkie serce, zawsze gotowe bronić najsłabszych; odbierał to jako oznaki słabości charakteru.

Niewolnictwo było dla Maurice'a czymś szokującym i żaden argument nie skłonił go do zmiany zdania. „Skąd mu się biorą te pomysły, skoro zawsze żył otoczony niewolnikami?”, zastanawiał się jego ojciec. Chłopiec miał głębokie, niezachwiane poczucie sprawiedliwości, ale szybko nauczył się, że nie należy zadawać zbyt wielu pytań, bo temat był drażliwy, a odpowiedzi niezadowolające. „To niesprawiedliwe!”, powtarzał, bolejąc nad każdym nadużyciem. „A kto ci powiedział, Maurice, że życie jest sprawiedliwe?”, odpowiadał wuj Sancho. To samo mówiła Tété. Ojciec zmuszał go do wysłuchiwanie zawiłych wywodów o narzuconych przez naturę kategoriach, na które dzielą się istoty ludzkie, koniecznych do utrzymania równowagi w społeczeństwie: kiedyś zrozumie, że bardzo trudno jest rządzić – o wiele łatwiej jest być posłusznym.

Dziecku brakowało dojrzałości i zasobu słów, by odeprzeć argumenty Valmoraina. Maurice miał niejasne przecucie, że Rosette nie jest wolna jak on, choć w praktyce różnica była niezauważalna. Dziewczynka ani Tété nie kojarzyły mu się z niewolnikami służącymi w domu, a już na pewno nie z tymi, którzy pracowali na polu. Upominano go tak często, że przestał nazywać ją siostrą, nie tyle z powodu przykrości, które musiał znosić, ile dlatego, że był w niej zakochany. Kochał ją miłością przeraźliwą, zaborczą, absolutną, jak kochają samotne dzieci, a Rosette odwdzięczała mu się czułością, w której nie

było zazdrości ani niepokoju. Maurice nie wyobrażał sobie życia bez niej, bez jej nieustannej paplaniny, jej ciekawości, jej dziecinnych pieszczot i ślepego podziwu, jakim go darzyła. Przy Rosette czuł się silny, opiekuńczy i mądry, bo taki był w jej oczach. Wszystko budziło jego zazdrość. Cierpiał, gdy zwracała uwagę, choćby przez chwilę, na któregoś z chłopców Murphy'ego, kiedy podejmowała jakąś inicjatywę, nie spytawszy go o zdanie, kiedy miała jakieś sekrety. Odczuwał potrzebę, by dzielić z nią nawet najskrytsze myśli, obawy i pragnienia, by dominować, a jednocześnie służyć jej z całkowitym oddaniem. Nie zauważało się trzech lat różnicy, bo ona wyglądała na starszą, a on na młodszego; ona była wysoka, silna, przebiegła, żywa, pewna siebie, on zaś drobny, prostoduszny, skryty, nieśmiały; ona chłonęła cały świat, on żył przytłoczony rzeczywistością. Zawczasu rozpaczał z powodu nieszczęść, które mogłyby ich rozdzielić, ale ona była jeszcze za mała, żeby wyobrażać sobie przyszłość. Oboje instynktownie wyczuwali, że ich zażyłość jest czymś zakazanym, że jest ze szkła, przezroczysta i krucha, i że powinni jej bronić, utrzymując w tajemnicy. W obecności dorosłych zachowywali powściągliwość, która Tété wydawała się podejrzana, dlatego ich śledziła. Jeśli przyłapała dzieci gdzieś w kącie na pieszczotach, wyciągała je za uszy ze złością niewspółmierną do przewinienia, a potem skruszona obsypywała pocałunkami. Nie mogła im wytłumaczyć, dlaczego te intymne zabawy, tak częste wśród ich rówieśników, w tym przypadku były grzechem. Kiedy jeszcze we trójkę dzielili jeden pokój, rodzeństwo szukało się po omacku w ciemności, a potem, kiedy Maurice spał sam, Rosette przychodziła do jego łóżka. Tété budziła się o północy bez córki u boku i chodziła po nią na palcach do pokoju chłopca. Spali objęci ramionami. Wciąż byli tylko dziećmi, niewinnymi, ale nie na tyle, żeby nie wiedzieli, co robią. „Jeśli złapię cię jeszcze raz w łóżku Maurice'a, dostaniesz takie lanie różgą, że popamiętasz do końca życia. Zrozumiałaś?”, groziła Tété córce, przerażona skutkami, jakie mogła mieć ta miłość. „Nie wiem, jak się tu znalazłam, mamó”, płakała Rosette tak przekonująco, że matka zaczęła w końcu wierzyć, iż dziewczynka lunatykuje.

Valmorain obserwował uważnie zachowanie syna; obawiał się, że może być słaby albo cierpieć na zaburzenia umysłowe, jak matka. Sanchowi wątpliwości szwagra wydawały się absurdalne. Posłał siostrzeńca na lekcje szermierki i postawił sobie za cel nauczenie go swojej własnej odmiany boksu, polegającej na bezpiecznym rozdawaniu kopniaków i ciosów pięściami. „Kto uderza pierwszy, uderza dwa razy, Maurice. Nie czekaj, aż cię sprowokują, wymierz pierwszego kopniaka prosto w jaja”, tłumaczył, a chłopiec popłakiwał, starając się unikać razów. Maurice nie miał drygu do sportu, to lektura była jego pasją, odziedziczoną zresztą po ojcu, jedynym plantatorze w Luizjanie, który w planach swojego domu uwzględnił bibliotekę. Początkowo Valmorain nie miał nic przeciwko książkom, sam je zbierał, bał się jednak, że jeśli jego syn będzie tyle czytał, skończy jako mięczak. „Rusz się, Maurice! Musisz być mężczyzną!”, krzyczał i zaczynał tłumaczyć, że kobiety rodzą się kobietami, ale mężczyźni stają się mężczyznami dzięki odwadze i twardości. „Daj spokój, Toulouse. Kiedy nadejdzie właściwy moment, sam go wtajemniczę w męskie sprawy”, podśmiewał się Sancho, ale Tété nie widziała w tym niczego zabawnego.

## Macocha

Hortense Guizot została macochą Maurice'a rok po przyjęciu na plantacji. Miesiącami opracowywała strategię, mając za współników tuzin sióstr, ciotek i kuzynek zdecydowanych zakończyć dramat jej państwa oraz ojca, zachwyconego perspektywą przyciągnięcia Valmoraina do swojego kurnika. Rodzina Guizotów cieszyła się nieposzlakowaną reputacją, ale nie była tak bogata, za jaką chciała uchodzić, dlatego związek z Valmorainem przedstawiał dla niej wiele korzyści. Ten początkowo nie zdawał sobie sprawy z istnienia strategii, która miała na celu złapanie go w sieci; sądził, że adresatem względów okazywanych przez rodzinę Guizotów jest młodszy i przystojniejszy Sancho. Kiedy nie kto inny jak Sancho uświadomił mu, że się myli, chciał uciekać na inny kontynent; było mu dobrze z nawykami starego kawalera, a coś tak nieodwracalnego jak małżeństwo budziło w nim przerażenie.

– Prawie nie znam tej panny, rzadko ją widywałem – argumentował.

– Mojej siostry' też nie znałeś, a jednak się z nią ożeniłeś – przypomniał mu Sancho.

– I zobacz, jak na tym wyszedłem!

– Nieżonaci mężczyźni budzą podejrzenia, Toulouse. Hortense jest wspaniałą kobietą.

– Jak ci się tak podoba, to sam się z nią ożeń – odrzekł Valmorain.

– Guizotowie już mnie przejrzeni, szwagrze. Wiedzą, że jestem golcem i hulaką.

– Mniejszym hulaką niż ci wszyscy tutejsi ludzie, Sancho. Ja w każdym razie nie zamierzam się żenić.

Ale myśl została rzucona i w ciągu następnych tygodni chodziła Valmorainowi po głowie, początkowo jako niedorzeczność, potem jako ewentualność. Mógł jeszcze zostać ojcem; zawsze przecież chciał mieć dużą rodzinę, a zmysłowość Hortense uznał za dobry znak. Dziewczyna była gotowa do macierzyństwa. Nie wiedział, że ujmuje sobie lat – w rzeczywistości miała trzydzieści.

Hortense była Kreolką o nieskazitelnym rodowodzie i wystarczającym wykształceniu. Urszulanki nauczyły ją podstaw pisania i czytania, geografii, historii, prac domowych, haftowania i katechizmu; tańczyła z wdziękiem i miała przyjemny głos. Nikt nie wątpił w jej cnotliwość; cieszyła się powszechną sympatią, ponieważ przez nieudolność narzeczonego, który nie potrafił utrzymać się na koniu, została wdową, zanim jeszcze wyszła za mąż. Guizotowie byli ostoją tradycji, ojciec odziedziczył plantację, a dwaj starsi bracia Hortense prowadzili prestiżową kancelarię prawniczą, wykonując jedyny zawód, który skłonna była zaakceptować ta klasa społeczna. Rodowód Hortense rekompensował jej niewielki posag, a Valmorain chciał dostać się do towarzystwa, nie tyle dla siebie, ile po to, by utorować drogę Maurice'owi.

Toulouse, schwytyany w mocną pajęczą sieć utkaną przez kobiety, zgodził się, by Sancho został jego przewodnikiem na wyboistej drodze zalotów, bardziej wyrafinowanych niż na Saint-Domingue czy Kubie, gdzie zakochał się w Eugenii. „Na razie żadnych prezentów ani liścików dla Hortense, skup się na matce. Jej zgoda jest kluczowa”, uprzedził Sancho. Dziewczęta na wydaniu bardzo rzadko pojawiały się publicznie, tylko od czasu do czasu bywały w operze w towarzystwie całej rodziny, bo te, które widywano zbyt często, były „spalone” i mogły skończyć jako stare panny opiekujące się dziećmi swoich sióstr. Hortense dysponowała jednak trochę większą swobodą. Miała już za sobą wiek, w którym szuka się małżonka (między szesnastym i dwudziestym czwartym rokiem życia) i przeszła do kategorii „przejrzałych”.

Sanchowi i pełniącym rolę swatek harpiom udało się zaprosić Valmoraina i Hortense na kilka *soirées*, jak nazywano połączone z tańcami kolacje dla krewnych i przyjaciół, gdzie w zaciszu domowego ogniska mogli zamienić ze sobą kilka słów, chociaż nigdy sam na sam. Protokół zmuszał Valmoraina do szybkiego zadeklarowania swoich zamiarów. Sancho poszedł z nim na rozmowę do pana Guizot i podczas poufnej pogawędki poruszyli – w serdecznej atmosferze, ale bez niedomówień – ekonomiczne

aspekty związku. Wkrótce potem odbyły się zaręczyny połączone z *déjeuner de fiançailles*, obiadem, w którego trakcie Valmorain wręczył narzeczonej modny pierścionek: rubin otoczony diamentami i oprawiony w złoto.

Któręgoś wtorku po południu Père Antoine, najbardziej znany ksiądz w Luizjanie, udzielił im ślubu w katedrze, w obecności gości należących do wąskiego kręgu rodziny Guizot, czyli łącznie zaledwie dziewięćdziesięciu dwóch osób, bo panna młoda wolała ślub kameralny. Weszli do kościoła eskortowani przez gwardzistów gubernatora. Hortense miała na sobie jedwabną suknię wyszywaną perłami, w której wcześniej wyszły za mąż jej babcia, matka i kilka siostr. Była na nią zbyt obcisła, choć popuszczono ją w szwach. Po ceremonii bukiet z kwiatów pomarańczy i jaśminu posłano zakonnicom, by umieściły go w kaplicy, u stóp Maryi Panny. Przyjęcie odbyło się w domu państwa Guizot, gdzie serwowano wielki wybór wystawnych dań przygotowanych przez tych samych organizatorów bankietów, których najął Valmorain, kiedy urządził zabawę na swojej plantacji. Podano bażanta nadziewanego kasztanami, kaczki w marynacie, płonące w wódce raki, świeże ostrygi, różnego rodzaju ryby, zupę zółwiową i ponad czterdzieści odmian deserów, nie licząc tortu ślubnego, niezniszczalnej konstrukcji z marcepanu i suszonych owoców.

Po wyjściu gości Hortense wystrojona w muślinową koszulę, z rozpuszczonymi blond włosami sięgającymi ramion, czekała na męża w panińskim pokoju, gdzie rodzice zamienili jej łóżko na inne, z baldachimem. W tamtych latach furorę robiły łoża dla nowożeńców z osłoną z błękitnego jedwabiu imitującego przejrzyste, bezchmurne niebo i z mnóstwem uzbrojonych w łuki i strzały pulchnych kupidynków, bukietów sztucznych kwiatów i koronkowych wstążek.

Zgodnie z obyczajem nowożeńcy spędzili trzy dni zamknięci w pokoju, obsługiwani przez dwóch niewolników, którzy przynosili im jedzenie i zabierali nocniki. Byłoby wstyd, gdyby narzeczona pokazała się publicznie – nawet własnej rodzinie – w czasie kiedy dostępowała wtajemniczenia w arka miłości. Valmorain, czerwony z powodu upału, znużony zamknięciem, z bólem głowy, jaki w jego wieku wywołują młodzieńcze harce, i świadom, że na zewnątrz z uchem przyklejonym do ściany czeka tuzin krewnych, zrozumiał, że ożenił się nie tylko z Hortense, ale z całym plemieniem Guizotów. Czwartego dnia opuścił wreszcie więzienie i uciekł z żoną na plantację, gdzie mogli się lepiej poznać, bo mieli tam więcej czasu i przestrzeni. Był akurat początek sezonu letniego i wszyscy chcieli wyrwać się z miasta.

Hortense nigdy nie wątpiła, że usidli Valmoraina. Zleciła zakonnicom wyhaftowanie na bieliźnie pościelowej splecionych inicjałów ich obojga, jeszcze zanim nieustępliwe stręczycielki wzięły sprawy w swoje ręce. Pościel, którą przechowywała od lat w kufrze nadziei, pachnąca lawendą, z inicjałami poprzedniego narzeczonego, też się nie zmarnowała – kazała naszyć na litery aplikacje z kwiatów i przeznaczyła ją do pokoi gościnnych. Częścią wiana była Denise, niewolnica służąca u niej od piętnastego roku życia, jedyna, która potrafiła ją uczesać i uprasować suknię tak, jak ona chciała, oraz niewolnik domowy, którego ojciec dał córce w prezencie ślubnym, kiedy wyraziła wątpliwości co do kwalifikacji majordomusa z plantacji Valmoraina. Chciała mieć kogoś, koniu mogłaby całkowicie zaufać.

Sancho kolejny raz zapytał Valmoraina, co zamierza zrobić z Tété i Rosette, bo takiej sytuacji nie sposób było je ukrywać. Wiciu białych miało kolorowe kochanki, ale zawsze trzymali je z dala od oficjalnej rodziny. Inaczej działo się w przypadku konkubiny będącej niewolnicą; ślub pana kończył taki związek. Należało się jej pozbyć, sprzedając albo wysyłając na plantację, daleko od żony. Zamieszkanie z nałożnicą i córką pod jednym dachem, co zamierzał zrobić Valmorain, było nie do przyjęcia. Rodzina Guizotów i sama Hortense rozumieli, że pocieszał się niewolnicą w latach wdowieństwa, ale teraz musiał ten problem rozwiązać.

Hortense widziała na zabawie, jak Rosette tańczy z Maurice'em, i mogła nabrać podejrzeń, choć Valmorain uważał, że w całym tym zgiełku i zamęcie nie zwróciła na nich uwagi. „Nie bądź naiwny, szwagrze, kobiety instynktownie wyczuwają takie rzeczy”, odparł Sancho. W dniu kiedy Hortense w asyście orszaku siostr pojechała zobaczyć dom w mieście, Valmorain nakazał Tété, by zniknęła wraz z Rosette

aż do zakończenia wizyty. Nie chciał robić niczego w pośpiechu, jak wyjaśnił Sanchowi. Zgodnie ze swoim charakterem wolał odłożyć podjęcie decyzji na później, w nadziei, że wszystko samo się ułoży. Nie wspominał o tej sprawie Hortense.

Przez jakiś czas dalej sypiał z Tété, kiedy mieszkali pod jednym dachem, ale nie uznał za konieczne powiedzieć jej, że zamierza wziąć ślub. Dowiedziała się z plotek, krążących z prędkością porywistego wiatru. W czasie zabawy na plantacji rozmawiała z Denise, gadatliwą kobietą, którą potem widywała przy różnych okazjach na Rynku Francuskim, i to od niej dowiedziała się, że jej przyszła pani jest wybuchowa i zazdrosna. Zdawała sobie sprawę, że każda zmiana będzie niekorzystna i że nie uda jej się uchronić Rosette. Ogarnięta gniewem i strachem raz jeszcze uświadomiła sobie, jak bardzo jest bezsilna. Gdyby miała dostęp do pana, rzuciłaby mu się do nóg, uległa z wdzięcznością każdemu jego kapryśności, zrobiła wszystko, żeby tylko utrzymać obecny stan rzeczy, ale odkąd ogłoszono zaręczyny z Hortense Guizot, ani razu nie wezwał jej do łóżka. „Erzulie, *loa* matko, chroń przynajmniej Rosette”. Naciskanemu przez Sancha Valmorainowi przyszło do głowy rozwiązanie tymczasowe: Tété miała zostać z dziewczynką w mieście i zajmować się domem od czerwca do listopada, kiedy on będzie z rodziną na plantacji; w ten sposób zyska czas, aby odpowiednio nastroić Hortense. Dla Tété oznaczało to kolejnych sześć miesięcy niepewności.

Hortense zajęła pokój w kolorze błękitu cesarskiego, sama, bo ani ona, ani jej mąż nie mieli zwyczaju sypiać w towarzystwie, a po upojnym miodowym miesiącu oboje potrzebowali trochę własnej przestrzeni. Jej sypialnię zdobiły zabawki z dzieciństwa, przerażające lalki ze szklanymi oczami i ludzkimi włosami; pieski o sierści baranka wylegiwały się na łóżku, meblu dwumetrowej szerokości, z rzeźbionymi kolumnami, baldachimem, poduszkami, firankami, frędzlami, pomponami i materiałowym zagłówkiem, który osobiście wyhaftowała w szkole urszulanek. Z góry zwieszało się jedwabne niebo z pulchnymi aniołkami, które rodzice podarowali jej z okazji ślubu.

Świeżo upieczona żona wstawała po obiedzie; dwie trzecie dnia spędzała w łóżku, skąd kierowała losami innych. Pierwszej nocy po ślubie, jeszcze w domu rodziców, przyjęła męża w *déshabillé* z dekoltem zdobionym piórkami łabędzia, bardzo odpowiednim na tę okazję, ale pechowym dla Valmoraina, bo pióra wywołały u niego atak kichania, którego nie mógł opanować. Tak zły początek nie przeszkodził w skonsumowaniu małżeństwa i Valmorain był mile zaskoczony, że żona odpowiada na jego życzenia z większą hojnością niż ta, którą kiedykolwiek okazały mu Eugenia czy Tété.

Hortense była dziewicą, choć nie do końca. W jakiś sposób udało jej się zmylić czujność rodziny i dowiedzieć o rzeczach, których istnienia niezamężne kobiety nawet nie podejrzewają. Zmarły narzeczonny spoczął w grobie nieświadom, że oddawała mu się namyślnie w wyobraźni i że będzie robić to przez następne lata w zaciszu swojego łóża, dręczona niezaspokojonym pożądaniem i niespełnioną miłością. Zamężne siostry udzieliły jej kilku wskazówek dydaktycznych. Nie były ekspertkami, ale wiedziały przynajmniej, że wszyscy mężczyźni doceniają przejawy entuzjazmu, które jednak nie mogą być zbyt żywiołowe, aby nie wzbudzać podejrzeń. Hortense sama zdecydowała, że i ona, i małżonek są już zbyt starzy na świętoszkowatość. Siostry powiedziały jej, że najlepszym sposobem na podporządkowanie sobie męża jest udawanie głupiej i zaspokajanie go w łóżku. To pierwsze miało się okazać o wiele trudniejsze niż to drugie, bo w niej samej nie było ni krzty głupoty.

Valmorain przyjął zmysłowość żony jako dar i nie zadawał pytań, na które wolałby nie znać odpowiedzi. Krągłe ciało Hortense z jego wypukłościami i zagłębieniami przypominało mu Eugenię, zanim oszalała, kiedy jej wdzięki wylewały się z sukni, a obnażone wyglądały jak ulepione z ciasta migdałowego: były jasne, miękkie, pachnące, pulchne i słodkie. Nieszczęsna kobieta zamieniła się później w stracha na wróble i mógł ją przytulić tylko wtedy, kiedy otępieł go alkohol albo ogarniała desperacja. Hortense oglądana w złocistym blasku świec, nimfa o obfitych kształtach jak na obrazach przedstawiających sceny mitologiczne, była prawdziwą przyjemnością dla oka. Czuł, że odzyskuje męskość, którą uznał za nieodwracalnie nadwyreżoną. Żona podniecała go tak jak kiedyś Violette Boisier w mieszkaniu



przy placu Clugny i jak Tété, gdy była zmysłową nastolatką, Zdumiewała go ta żądza, odnawiająca się każdej nocy, a czasami nawet w południe, kiedy przychodził niezapowiedziany, w zabłoconych butach, i zastawał ją haftującą pośród poduszek na łóżku; przeganiał wtedy psy i rzucał się na nią z radością, jaką daje wrażenie, że znów ma się osiemnaście lat. Kiedyś w czasie takich harców od bezchmurnego nieba nad łóżkiem oderwał się jeden z kupidynów i spadł mu na kark, ogłuszając na kilka minut. Obudził się zlany lodowatym polem, bo we mgle nieświadomości ujrzał swego dawnego przyjaciela Lacroix, który przyszedł, by zażądać zwrotu skradzionego majątku.

Hortense objawiała w łóżku najlepszą stronę swojego charakteru. Lubiła niewinne żarciki (kiedyś zrobiła mężowi na szydełku elegancki kapturek ze wstążeczkami na fiutka), ale też i cięższego kalibru – pokazała mu na przykład wystające z tyłka kurze flaki i oznajmiła, że wychodzą z niej wnętrzości. Po tyłu swawolach w pościeli z inicjałami wyszytymi przez zakonnice w końcu zapałali do siebie uczuciem, tak jak się tego spodziewała. Wyszło na to, że są stworzeni do małżeńskiej zażyłości, bo jedno stanowiło przeciwieństwo drugiego: on był bojaźliwy, niezdecydowany i podatny na manipulowanie, ona posiadała niezachwianą stanowczość, której jemu brakowało. Razem mogliby góry przenosić.

Sancho jako pierwszy wychwycił cechy osobowości Hortense i zaczął żałować, że zabiegał o ożenek szwagra. Poza swoim błękitnym pokojem Hortense stawała się innym człowiekiem: była małostkowa, skąpa i uciążliwa. Tylko muzyka sprawiała, że na chwilę wznosiła się ponad swój siejący spustoszenie zdrowy rozsądek. Oświeślała ją anielskim blaskiem, a dom wypełniały wibrujące tryle, od których niewolnicy drętwieli, a salonowe pieski zaczynały wyć. Przez wiele lat odgrywała niewdzięczną rolę starej panny i miała dosyć traktowania ze skrywanym lekceważeniem; pragnęła wzbudzać zazdrość, dlatego chciała, by mąż zaszedł daleko. Valmorain będzie potrzebował dużo pieniędzy, żeby w oczach starych kreolskich rodów zrekompensować brak korzeni i godny pożałowania fakt, że przyjechał z Saint-Domingue.

Sancho postanowił, że nie dopuści, by ta kobieta zniszczyła braterską przyjaźń łączącą go ze szwagrem, i starał się jej przypodobać, stosując swoje sztuczki, ale Hortense okazała się odporna na to epatowanie wdziękami pozbawione w jej mniemaniu bezpośredniego celu praktycznego. Nie lubiła Sancha i trzymała go na dystans, choć traktowała grzecznie, by nie urazić męża. Nie rozumiała jego słabości do szwagra. Po co mu Sancho? Plantacja i dom w mieście należały do Valmoraina, mógł pozbyć się współnika, który niczego nie wnosił. „To pomysł Sancha, by przyjechać do Luizjany, wpadł na niego przed rewolucją na Saint-Domingue i kupił ziemię. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nic on”, wyjaśnił Valmorain, kiedy o to zapytała. Dla niej ta męska lojalność była niepotrzebnym i uciążliwym sentymentalizmem. Plantacja dopiero ruszyła, brakowało jeszcze co najmniej trzech lat, zanim można będzie ogłosić sukces, i podczas gdy jej mąż inwestował kapitał, pracował i oszczędzał, tamten wydawał pieniądze niczym książe. „Sancho jest dla mnie jak brat”, powiedział Valmorain w nadziei, że tym samym zamknie sprawę. „Ale nie jest twoim bratem”, odparła ona.

Hortense wychodziła z założenia, że służba kradnie, więc zamknęła wszystko na klucz i narzuciła drastyczne środki oszczędnościowe, które sparaliżowały dom. Kawałeczki cukru odłupywane z twardej jak kamień stożkowatej bryły wiszącej na haku pod sufitem były liczone przed wsypaniem do cukiernicy i ktoś sprawdzał, ile się ich zużywa. Resztek jedzenia, które zostawały na stole, nie rozdzielano już między niewolników jak kiedyś, lecz przetwarzano w nowe dania. Célestine wpadła w gniew, „Jeśli chcą państwo dojadać resztki resztek i okruchy okruchów, to nie jestem państwu potrzebna, byle czarny z pola trzciny nada się na kucharza”, oznajmiła. Pani jej nie cierpiała, ale krążyła opinia, że przygotowywane przez nią żabie udka w czosnku, kurczaki z pomarańczą, zupa *gumbo* z mięsem wieprzowym i babeczki z ciasta francuskiego wypełnione krewetkami nie mają sobie równych, kiedy więc pojawili się zainteresowani kupnem kucharki za niebotyczną sumę, Hortense postanowiła zostawić ją w spokoju i skierowała swoją uwagę na niewolników pracujących w polu. Wyliczyła, że można stopniowo ograniczać im ilość jedzenia i jednocześnie zaostrzać dyscyplinę bez zbytniego uszczerbku dla wydajności.

Jeśli ten zabieg sprawdzał się w przypadku mułów, warto było spróbować z niewolnikami. Valmorain początkowo sprzeciwił się takim metodom, bo nijak miały się do jego pierwotnych zamierzeń, ale żona wyjaśniła mu, że tak się postępuje w Luizjanie. Pomysł przetrwał tydzień, do czasu kiedy Owen Murphy wpadł we wściekłość, od której zatrzęsły się drzewa. Pani musiała niechętnie zaakceptować, że pola, podobnie jak kuchnia w domu, nie wchodzi w zakres jej kompetencji. Przełożony nadzorców postawił na swoim, ale atmosfera na plantacji się zmieniła. Niewolnicy domowi chodzili na palcach, a ci z pól bali się, że nowa pani wyrzuci Murphy'ego.

Hortense wymieniała i odprowadzała służbę jak w niekończącej się partii szachów. Nigdy nie było wiadomo, do kogo należy się zwrócić, nikt nie miał wyraźnie określonego zakresu obowiązków. To ją złościło i kończyło się biciem służących końskim batem, który nosiła w ręku tak jak inne damy noszą wachlarz. Przekonała Valmoraina, żeby sprzedał majordomusa i zastąpił go niewolnikiem przywiezionym przez nią z domu rodziców, który biegał wszędzie z pękami kluczy, szpiegował resztę personelu i donosił o wszystkim pani. Zmiany dokonywały się szybko, bo mogła liczyć na bezwarunkowe przyzwolenie męża, którego o swoich decyzjach informowała w łóżku pomiędzy kolejnymi akrobacjami godnymi trapezistki. „Chodź tu, kochanie, pokaż mi, jak folgują sobie seminarzyści”. Kiedy dom funkcjonował już tak, jak chciała, Hortense zabrała się za trzy czekające na rozwiązanie problemy: Maurice'a, Tété i Rosette.

## Zarité

Pan wziął ślub, wyjechał z żoną i Maurice'em na plantację, a ja zostałam na kilku miesięcy w domu w mieście sama z Rosette. Dzieci dostały spazmów, kiedy je rozdzielano, a potem tygodniami chodziły nadsane, obwiniając za wszystko madame Hortense. Moja córka знаła ją tylko z opisu Maurice'a, który wyśmiewał jej śpiew, pieski, suknie i maniery; była czarownicą, intruzem, macochą, grubaską. Nie chciał do niej mówić mamam, a ponieważ ojciec zabronił nazywać ją inaczej, przestał z nią rozmawiać. Kazali mu całować ją na powitanie, a on zawsze starał się zostawiać resztki śliny lub jedzenia na jej twarzy, aż wreszcie sama madame Hortense uwolniła go od tego obowiązku. Maurice pisał do Rosette listy i wysyłał drobne prezenty, które docierały do niej przez don Sancha, a ona odpowiadała rysunkami i słowami, które potrafiła napisać.

Był to czas niepewności, ale leż i wolności, bo nikt mnie nie kontrolował. Don Sancho, który spędzał dużą część czasu w Nowym Orleanie, nie zwracał uwagi na drobiazgi; wystarczało spełniać nieliczne prośby, z którymi się zwracał. Zakochał się w Mulatce, o którą się pojedynekował, niejakej Adi Soupir, i przebywał częściej z nią niż z nami. Popytałam o nią i nie spodobało mi się to, co usłyszałam. Miała osiemnaście lat i już zyskała sławę frywolnej i chciwej kobiety, która odebrała majątek kilku zalotnikom. Tak mi opowiedzieli. Nie ośmieliłam się ostrzec don Sancha, bo wpadłby we wściekłość. Każdego ranka wychodziłam z Rosette na Rynek Francuski, gdzie spotykałam inne niewolnice, i siadałyśmy w cieniu, żeby porozmawiać. Niektóre oszukiwały, nie oddawały reszty swoim panom, kupowały sobie szklanek napoju albo tuzin świeżych ostryg przyprawionych cytryną, ale mnie nikt nie rozliczał i nie musiałam kraść. To było, zanim madame Hortense przyjechała do domu w mieście. Wiele osób zwracało uwagę na Rosette, która w sukience z tafty i lakierowanych bucikach wyglądała jak dziewczynka z dobrej rodziny. Zawsze lubiłam targowisko, stragany z owocami i warzywami, zapach smażonych pikantnych dań, hałaśliwy tłum kupujących, kaznodziejów i szarlatanów, brudnych Indian sprzedających kosze, okaleczonych żebraków, wytatuowanych piratów, zakonników, zakonnic i ulicznych grajków.

Którejś środy przyszedłam na targ z zapuchniętymi oczami, bo w nocy dużo płakałam, myśląc o przyszłości Rosette. Moje przyjaciółki tak długo wypytywały, że w końcu przyznałam się do obaw, które nie dawały mi spać. Niewolnice poradziły mi, żebym, postarała się o gris-gris dla ochrony, ale ja już miałam jeden taki amulet, woreczek z ziołami, kosteczkami, paznokciami moimi i mojej córki, przygotowany przez kapłankę vodou. Na nic się nie przydał. Ktoś opowiedział mi o Père Antoine, hiszpańskim duchownym o wielkim sercu, który służył jednakowo panom i niewolnikom. Ludzie go ubóstwiali. „Wspowiadać się u niego, ma w sobie coś magicznego”, tak mi powiedzieli. Nigdy się nie spowiadałam, bo na Saint-Domingue niewolnicy, którzy to robili, płacili za swoje grzechy nie na tamtym, ale na tym świecie. Nie miałam do kogo się zwrócić, dlatego poszłam do niego z Rosette. Długo czekałam, byłam ostatnia w kolejce potrzebujących, którzy przyszli ze swoimi winami i prośbami. Kiedy nadeszła moja kolej, nic wiedziałam, co robić, nigdy nie znalazłam się tak blisko katolickiego kungana. Ojciec Antoine był jeszcze młody, ale jego twarz wyglądała staro. Miał długi nos, ciemne dobroduszne oczy, brodę jak grzywa konia i nogi jak żółw, w bardzo znoszonych sandałach. Przywołał nas ruchem dłoni, podniósł Rosette i posadził ją sobie na kolanach. Moja córka nie stawiała oporu, mimo że pachniał czosnkiem, a jego brązowy habit był brudny.

– Popatrz, mamam! Ma włosy w nosie i okruszki chleba w brodzie – skomentowała Rosette ku mojemu przerażeniu.

– Jestem bardzo brzydki – zaśmiał się.

– Ja jestem ładna – odparła.

– To prawda, dziewczynko, i w twoim przypadku Bóg wybacza grzech pychy.

Jego francuski brzmiał jak hiszpański wymawiany przez zakatarzony nos. Chwilę żartował z Rosette, a potem spytał, jak może mi pomóc. Kazałam córce pobawić się na dworze, żeby nie słyszała. Erzulie, loa przyjaciółko, wybaczone, nie miałam zamiaru zbliżyć się do Jezusa białych, ale miły głos Père Antoine'a ujął mnie i zaczęłam znowu płakać, choć w nocy zmarnowałam wiele łez. Łzy nigdy się nie kończą. Opowiedziałam mu, że nasz los wisi na włosku, bo nowa pani ma twarde serce i jak tylko zacznie podejrzewać, że Rosette jest córką jej męża, zemści się nie na nim, ale na nas.

– Skąd wiesz, moje dziecko? – zapytał.

– Wszystko się wie, mon père.

– Nikt nie zna przyszłości, tylko Bóg. Czasami to, co budzi największy lęk, okazuje się błogosławieństwem. Drzwi tego kościoła zawsze są otwarte, możesz przychodzić, kiedy zechcesz. Może Bóg pozwoli, bym ci pomógł, kiedy nadejdzie właściwa chwila.

– Boję się boga białych, Père Antoine. Jest bardziej okrutny niż Prosper Cambray.

– Kto taki?

– Przełożony nadzorców na plantacji na Saint-Domingue. Nie jestem służebnicą Jezusa, mon père. Ja mam loa, które przyjechały z moją matką z Gwinei. Należę do Erzulie.

– Tak, dziecko, znam twoją Erzulie – uśmiechnął się ksiądz. – Mój Bóg to twój Papa Bondye, tyle że pod innym imieniem. Twoje loa są jak moi święci. W sercu człowieka jest miejsce dla wszystkich bóstw.

– Vodou było zakazane na Saint-Domingue, mon père.

– Tu możesz dalej wierzyć w swoje vodou, moje dziecko, bo nikomu to nie przeszkadza, byle tylko nie było zgorszenia. Niedziela jest dniem bożym, przyjdź rano na mszę, a po południu idź na plac Congo tańczyć z twoimi loa. W czym problem?

Podał mi brudną szmatę, swoją chusteczkę, żeby wycierać łzy, ale wolałam użyć rąbka spódnicy. Kiedy wychodziłyśmy, powiedział mi o siostrach urszulankach. Tej samej nocy odbył rozmowę z don Sanchem. Tak było

## *Pora huraganów*

Hortense Guizot była w życiu Valmoraina wiatrem odnowy, który napełnił go optymizmem, zdecydowanie kontrastującym z odczuciami reszty rodziny i ludzi z plantacji. Czasami pod koniec tygodnia małżonkowie urządzali na wsi przyjęcia, zgodnie z zasadami kreolskiej gościnności, ale wizyty były coraz rzadsze, aż w końcu zupełnie ustały, bo Hortense nie kryła niezadowolenia, kiedy ktoś wpadał niezaproszony. Valmorainowie spędzali czas sami. Oficjalnie Sancho mieszkał z nimi, jak tylu innych mężczyzn stanu wolnego spokrewnionych z rodziną, ale widywali się rzadko. Sancho szukał pretekstów, by unikać spotkań, i Valmorain tęsknił za braterstwem, które zawsze ich łączyło. Dnie mijały mu teraz na grze w karty z żoną, na słuchaniu, jak wygrywa na pianinie ozdobione tryłami melodie, albo na czytaniu, kiedy ona malowała jeden po drugim obrazki przedstawiające panny na huśtawce albo kotki z kłębkami wełny. Hortense migła szydełkiem, produkując serweteczki rozkładane w domu dosłownie wszędzie. Miała białe, delikatne, pulchne dłonie o nieskazitelnych paznokciach, chętne do robótek i haftowania, zwinne na klawiaturze, zuchwałe w miłości. Rozmawiali niewiele, ale porozumiewali się za pomocą tkliwych spojrzeń i całusów posyłanych na odległość od jednego krzesła do drugiego w olbrzymiej jadalni, gdzie samotnie spożywali kolacje. Sancho rzadko pojawiał się w domu, a Maurice zgodnie z jej sugestią jadał ze swoim nauczycielem w ogrodowej altance, jeśli pozwalała na to pogoda, albo w dziennej jadalni, bo dzięki temu nie musiał przerywać lekcji. Zdaniem Hortense, która miała tuzin siostrzeńców i uważała, że jest specjalistką od wychowywania dzieci, jej pasierb zachowywał się jak mały chłopczyk, mimo że skończył dziewięć lat. Powinien przywyknąć do towarzystwa innych chłopców z jego klasy społecznej, a nie przebywać tylko wśród tych ordynarnych Murphych. Mówiła, że jest bardzo rozpieszczony, przypomina dziewczynkę i należy go poddać surowym rygorom życia.

Valmorain odmłodził, pozbył się bokobrodów i stracił trochę na wadze za sprawą nocnych akrobacji i skąpych porcji, które teraz podawano do stołu. Znalazł małżeńskie szczęście, którego nie zaznał z Eugenią. Nawet strach przed buntem niewolników, prześladowający go od czasów Saint-Domingue, zszedł na drugi plan. Plantacja nie spędzała mu snu z powiek, bo Owen Murphy wykazywał się godną pochwały wydajnością, a to, czego nie był w stanie sam zrobić, zlecał synowi Brandanowi, młodzieńcowi krzepkiemu jak ojciec i praktycznemu jak matka, który od szóstego roku życia pracował, nie zsiadając z konia.

Leanne Murphy wydała właśnie na świat siódmego syna, silnego i czarnowłosego jak jego bracia, ale znajdowała czas na pracę w lazarecie dla niewolników, gdzie pojawiała się codziennie z noworodkiem w wózku. Na swoją panią nie mogła patrzeć nawet na obrazku. Za pierwszym razem, kiedy Hortense podjęła próbę ingerencji na jej terytorium, stanęła przed nią ze skrzyżowanymi ramionami i z wyrazem lodowatego spokoju na twarzy. Ta metoda pozwoliła jej przez ponad piętnaście lat panować nad gangiem Murphych, i w przypadku Hortense również okazała się skuteczna. Gdyby przełożony nadzorców nie był tak dobrym pracownikiem, Hortense Guizot pozbyłaby się ich wszystkich tylko po to, by „rozdeptać tego irlandzkiego robaka”, ale produkcja była ważniejsza. Jej ojciec, plantator o niedzisiejszych poglądach, mawiał, że cukier utrzymywał Guizotów przez pokolenia i nie ma potrzeby eksperymentować, ona jednak wypytała amerykańskiego agronoma o zalety bawełny i tak jak Sancho, zastanawiała się nad pozytywnymi stronami tej uprawy. Ale nie mogła się obyć bez Owena Murphy’ego.

Potężny sierpniowy huragan doprowadził do zalania znacznej części Nowego Orleanu; nie było to nic poważnego, zdarzało się często i nikt nie przejmował się zanadto ulicami zamienionymi w kanały i przelewającą się przez patia brudną wodą. Życie biegło normalnym trybem, tyle że na mokro. Tego roku ucierpiało niewiele osób; jedynie ubodzy zmarli wypłynęli z globów, unosząc się na powierzchni błotnistej zupy – bogaci nadal spoczywali w pokoju w swoich mauzoleach, pewni, że ich kości nie skończą zhańbione w gardzielach bezdomnych psów. Ponieważ na niektórych ulicach woda sięgała ko-

lan, znalazło się paru mężczyzn, którzy przynosili ludzi na plecach. Dzieci z radością taplały się w kałużach pośród odpadków i końskiego łajna.

Lekarze, zawsze skłonni do paniki, ostrzegali przed straszliwą epidemią, ale Père Antoine zorganizował procesję z Przenajświętszym Sakramentem na czele i nikt nie odważył się kpić z jego metody na okiełznanie klimatu, bo zawsze okazywała się skuteczna. Już wówczas duchowny cieszył się sławą świętego, choć przybył do miasta zaledwie trzy lata wcześniej. Mieszkał w Nowym Orleanie bardzo krótko w 1790 roku, kiedy inkwizycja wysłała go z misją wypędzenia żydów, ukarania heretyków i szerzenia wiary ogniem i mieczem. Nie miał jednak w sobie nic z fanatyka i ucieszył się, kiedy oburzeni mieszkańcy Luizjany, niezbyt skłonni do tolerowania obecności inkwizytora, na nic się nie oglądając, odesłali go do Hiszpanii. Wrócił w 1795 roku jako rektor katedry Saint-Luis, świeżo odbudowanej po pożarze. Był gotów zaakceptować żydów, przymknąć oko na heretyków i szerzyć wiarę współczuciem i miłosierdziem. Traktował wszystkich jednakowo, wolnych i niewolników, przestępców i przykładnych obywateli, damy pobożne i rozwiązłe, złodziei, korsarzy, prawników, katów, ekskomunikowanych i lichwiarzy. W jego kościele było miejsce dla każdego. Wszyscy stali tam ramię w ramię. Biskupi nienawidzili duchownego za brak subordynacji, ale stadko wiernych broniło go z oddaniem. Père Antoine, w swoim habicie kapucyna i z brodą apostoła, był duchową pochodnią tego grzesznego miasta. Dzień po procesji woda cofnęła się z ulic i tego roku nie doszło do epidemii.

Dom państwa Valmorainów jako jedyny w mieście ucierpiał wskutek powodzi. Woda nie spłynęła z ulicy, ale wytrysnęła z ziemi, bulgocząc niczym gęsty pot. Fundamenty przez lata heroicznie znosiły złą wilgoć, jednak po tym podstępny atak tym razem uległy. Sancho postarał się o majstra budowlanego z ekipą murarzy i stolarzy, którzy wtargnęli na parter z rusztowaniami, dźwigniami i podnośnikami. Przenieśli skrzynie i meble na wyższą kondygnację, gdzie przykryto je prześcieradłami. Musieli zerwać kostkę brukową na patio, założyć dreny i zburzyć zatopione w błocie pomieszczenia mieszkalne domowych niewolników.

Mimo niewygód i wydatków Valmorain był zadowolony, zniszczenia dawały mu bowiem więcej czasu na rozwiązanie problemu Tété. W trakcie wizyt, które składał z żoną w Nowym Orleanie – on w interesach, ona w celach towarzyskich – zatrzymywali się w domu Guizotów, trochę przyciasnym, ale lepszym niż hotel. Hortense nie okazała najmniejszego zainteresowania postępowaniem prac, zażądała jednak, żeby dom był gotowy na październik, aby rodzina mogła spędzić zimę w mieście. Życie na wsi jest bardzo zdrowe, ale należało zaznaczyć swoją obecność wśród ludzi z wyższych sfer, to znaczy z własnej klasy. Zbyt długo byli nieobecni.

Sancho przyjechał na plantację, kiedy zakończył się remont domu, jak zwykle robiąc wokół siebie dużo zamieszania, ale przejawiał także z trudem hamowaną niecierpliwość kogoś, kto musi załatwić jakąś nieprzyjemną sprawę. Hortense to zauważyła i instynktownie domyśliła się, że chodzi o niewolnicę, której imię wisiało w powietrzu – o konkubinę. Za każdym razem gdy Maurice pytał o Tété czy o Rosette, Valmorain czerwieniał na twarzy. Hortense przeciągnęła kolację i grę w domino, żeby nie dać mężczyznom okazji do rozmowy sam na sam. Obawiała się wpływu Sancha, który uważała za zgubny, i chciała przygotować męża – w łóżku – na każdą ewentualność. O jedenastej w nocy Valmorain przeciągnął się, ziewając i oznajmił, że pora iść spać.

– Muszę porozmawiać z tobą na osobności, Toulouse – zakomunikował mu Sancho, wstając.  
– Na osobności? Nie mam tajemnic przed Hortense – odparł ten, nie tracąc dobrego humoru.  
– Oczywiście, że nie, ale to męska sprawa. Przejdźmy do biblioteki. Wybacz, Hortense – powiedział Sancho, patrząc wyzywająco na kobietę.

W bibliotece czekał na nich majordomus w białych rękawiczkach. Miał niby podać im koniak, ale Sancho rozkazał mu wyjść i zamknąć drzwi. Odwrócił się do szwagra i zażądał, by podjął decyzję w sprawie dalszych losów Tété. Do października brakowało tylko jedenastu dni, a dom był gotowy na przyjęcie rodziny.

- Nie zamierzam niczego zmieniać. Ta niewolnica będzie służyła jak zawsze i lepiej dla niej, by robiła to chętnie – powiedział przyparty do muru Valmorain.
- Obiecałeś jej wolność, Toulouse, podpisałeś nawet papier.
- Tak, ale nie chcę, żeby na mnie naciskała. Zrobię to w stosownym czasie. Wtedy opowiem o wszystkim Hortense. Jestem pewien, że zrozumie. Dlaczego się tym interesujesz, Sancho?
- Bo byłoby przykro, gdyby ta sprawa zaszkodziła twojemu małżeństwu.
- Nie dojdzie do tego. Na Boga, Sancho, tak jakbym to ja pierwszy przespał się z niewolnicą!
- A Rosette? Jej obecność będzie dla Hortense upokarzająca – nalegał szwagier. – Jest oczywiste, że to twoja córka. Ale mam pomysł, jak się jej pozbyć. Urszulanki przyjmują kolorowe dziewczynki i kształcą je równie dobrze jak białe, oczywiście osobno. Rosette mogłaby spędzić najbliższe lata w internacie zakonnicy.
- Nie wydaje mi się to konieczne, Sancho.
- Dokument, który pokazała mi Tété, dotyczy także Rosette. Kiedy stanie się wolna, będzie musiała zarobić na życie, a do tego, Toulouse, potrzebne jest wykształcenie. Chyba że chcesz ją wiecznie utrzymywać.

W owych dniach na Saint-Domingue ustanowiono na mocy dekretu, że koloniści mieszkający gdziekolwiek poza wyspą, nie licząc Francji, zostają uznani za zdrajców, a ich własność będzie skonfiskowana. Niektórzy emigranci byli gotowi wracać, żeby upomnieć się o zwrot swoich ziem, ale Valmorain miał wątpliwości: nie było żadnych podstaw, by przypuszczać, że nienawiść rasowa osłabła. Postanowił przyjąć radę swego dawnego agenta z Le Cap, który zaproponował listownie, że czasowo zarejestruje *habitation* Saint-Lazare na swoje nazwisko, by nikt sobie nie przywłaszczył plantacji. Hortense uznała to za farsę – było dla niej oczywiste, że ten człowiek właśnie to robi. Valmorain jednak ufał starcowi, który służył jego rodzinie przez ponad trzydzieści lat, a ponieważ żona nic była w stanie zaproponować innego rozwiązania, zrobił, jak chciał.

Toussaint Louverture został naczelnym dowódcą sił zbrojnych; porozumiał się bezpośrednio z rządem Francji i ogłosił, że rozwiąże połowę swoich oddziałów, by wróciły na plantacje jako wolna siła robocza. „Wolna” okazało się pojęciem względnym – musieli odsłużyć pod nadzorem wojskowym co najmniej trzy lata przymusowej pracy; w oczach wielu Murzynów był to zawołowany powrót do niewolnictwa. Valmorain rozważał szybką podróż na Saint-Domingue, żeby samemu z bliska ocenić sytuację, ale Hortense zaczęła lamentować wniebogłosy. Była w piątym miesiącu ciąży; mąż nie mógł zostawić jej w tym stanie i narażać swojego życia na niebezpieczeństwo na tej nieszczęsnej wyspie, tym bardziej że musiałby płynąć statkiem w sezonie huraganów. Valmorain przełożył podróż i obiecał jej, że jeśli odzyska swoją posiadłość, oddają w ręce administratora, a oni zostaną w Luizjanie. To uspokoiło kobietę na kilka miesięcy, potem jednak powiedziała mu otwarcie, że nie powinni mieć inwestycji na Saint-Domingue. Raz w życiu Sancho przyznał jej rację. Miał jak najgorsze zdanie o wyspie, gdzie kilkakrotnie odwiedził swoją siostrę Eugenię. Zaproponował, by sprzedali Saint-Lazare pierwszemu chętnemu, i razem z Hortense tak długo naciskał na Valmoraina, że po tygodniach wahania szwagier w końcu ustąpił. Mówił, że ta ziemia ma związek z ojcem, z nazwiskiem rodziny, z jego młodością, ale wszystkie argumenty rozbijały się o twardą rzeczywistość kolonii będącej areną walk, na której zabijali się nawzajem ludzie wszystkich kolorów skóry i wszystkich ras.

Biedny Gaspard Sévérin wrócił na Saint-Domingue, nie zważając na ostrzeżenia uchodźców napływających do Luizjany smętnym strumieniem. Wiadomości, które przywozili, były przygnębiające, ale Sévérin nie zdołał się zadomowić i wołał dołączyć do rodziny, mimo że wciąż drżały mu ręce i wciąż nękały go krwawe koszmary. Wróciłby tak samo biedny, jak wyjechał, gdyby Sancho García del Solar nie wręczył mu skromnej sumy, tytułem pożyczki, jak się wyraził, choć obaj wiedzieli, że nigdy nie zostanie oddana. Sévérin zawiózł agentowi Valmoraina upoważnienie do sprzedaży ziemi. Znalazł Żyda

pod tym samym adresem, pod którym mieszkał od zawsze, choć budynek był nowy, bo poprzedni zamienił się w popiół po pożarze Le Cap. Wśród towarów zgromadzonych w nim wtedy z myślą o wywozie, które wszystkie spaliły się w piwnicach, znajdowała się wykonana z drzewa orzechowego i srebra trumna Eugenii Garcíi del Solar. Starzec dalej prowadził swoje interesy, sprzedając nieliczne produkty wytwarzane w kolonii i importując domy z drewna cyprysowego ze Stanów Zjednoczonych, które docierały w częściach, gotowe do złożenia jak zabawki. Popyt był nie do zaspokojenia, bo każde starcie wrogów kończyło się pożarem. Nie było już nabywców na towary, które w przeszłości przynosiły mu wielkie zyski, czyli sukna, kapelusze, narzędzia, meble, uprząże, kajdany, kotły do gotowania melasy...

Dwa miesiące po wyjeździe nauczyciela Valmorain otrzymał odpowiedź pośrednika, który znalazł kupca na Saint-Lazare: Mulata, oficera armii Toussainta. Nie mógł wiele zapłacić, ale ponieważ był jedynym zainteresowanym, agent poradził Valmorainowi, żeby przyjął ofertę, bo od czasu wyzwolenia niewolników i wojny domowej nikt nie dawał tu za ziemię złamanego grosza. Hortense musiała przyznać, że nie miała racji. Żyd okazał się uczciwszy, niż można było oczekiwać w tych burzliwych czasach, w których moralna busola kręciła się tak szybko. Agent sprzedał posiadłość, wziął swoją prowizję i wysłał resztę pieniędzy Valmorainowi.



## *Pod razami bata*

Wyjazd Sévérina oznaczał dla Maurice'a koniec prywatnych lekcji i początek gehenny w szkole dla dzieci z wyższych sfer w Nowym Orleanie, gdzie niczego się nie uczył, za to musiał stawić czoła zabi-  
jakom, którzy się na niego zawzięli. To nie uczyniło go bardziej odważnym, jak oczekiwali ojciec i ma-  
cocha, ale bardziej ostrożnym, czego obawiał się wuj Sancho. Wróciły koszmarne sny o skazańcach z  
Le Cap i kilka razy zmoczył w nocy łóżko, ale nikt się o tym nie dowiedział, bo Tété po kryjomu uprała  
prześcieradła. Nie mógł nawet liczyć na pocieszenie ze strony Rosette – ojciec nie pozwolił mu odwied-  
zać jej u urszulanek i zabronił wspominać o dziewczynce w obecności Hortense.

Toulouse Valmorain czekał na spotkanie Hortense i Tété z przesadną obawą, nie wiedział bowiem, że  
w Luizjanie tak banalna sprawa nie zasługuje na robienie scen. U Guizotów, jak we wszystkich kreol-  
skich rodzinach, nikt nie ośmielał się sprzeciwić patriarsze; kobiety znosiły zachcianki mężów, dopóki  
zaspokajali je dyskretnie, a tak było zawsze. Tylko prawowita żona i dzieci liczyli się w tym i w przy-  
szłym życiu; nie warto trwonić zazdrości na niewolnicę – należało raczej zachować ją dla pięknych,  
wolnych i Mulatek z Nowego Orleanu, które potrafiły zniewolić mężczyznę, odbierając mu całkowicie  
ducha. Ale nawet gdy w grę wchodziły kurtyzany, dobrze urodzona dama udawała obojętność i milcza-  
ła; tak wychowano Hortense. Majordomus, który został na plantacji do pilnowania licznego domowego  
personelu, potwierdził jej podejrzenia co do Tété.

– Monsieur Valmorain kupił ją, kiedy miała jakieś dziewięć lat, i przywiózł ze sobą z Saint-Domin-  
gue. Jest jego jedyną konkubina, o której wiadomo, pani – powiedział.

– A smarkula?

– Zanim monsieur się ożenił, traktował ją jak córkę, a młody Maurice kocha ją jak siostrę.

– Mój pasierb musi się jeszcze wiele nauczyć – mruknęła pod nosem Hortense.

Uznała za zły znak, że mąż ucieka się do skomplikowanych manewrów, żeby miesiącami trzymać tę  
kobietę z daleka. Może wciąż go podniecała. Hortense uspokoiła się jednak w dniu, kiedy przyjechali  
do domu w mieście. Powitali ich ustawieni w szeregu, elegancko ubrani służący, z Tété na czele. Val-  
morain dokonywał prezentacji z nerwową życzliwością, podczas gdy jego żona od stóp do głów mierzy-  
ła niewolnicę spojrzeniem i przeszywała ją wzrokiem, by ostatecznie uznać, że nic stanowi pokusy dla  
nikogo, a tym bardziej dla męża, który dosłownie jadł jej z ręki. Mulatka była trzy lata młodsza od niej,  
ale zniszczona pracą i zaniedbana, miała odciski na stopach, sflaczałe piersi i posępny wyraz twarzy.  
Przyznała, że jest zgrabna, dumna jak na niewolnicę i ma ciekawe rysy. Żałowała, że jej mąż jest tak po-  
błażliwy i że pozwolił, by tej kobiecie uderzyła do głowy woda sodowa. Przez kolejne dni Valmorain  
obsypywał Hortense względami, co ta zinterpretowała jako oczywistą chęć poniżenia dawnej konkubi-  
ny. „Nie musisz się trudzić – pomyślała – już ja się postaram, żeby wiedziała, gdzie jest jej miejsce”.  
Tété nie dawała jednak powodów do narzekania. Cekał na nich nieskazitelnie czysty dom – po huku  
młotków, bajorze na patio, obłokach kurzu i zapachu potu murarzy nie zostało nawet wspomnienie.  
Każda rzecz była tam, gdzie być powinna, kominki czyste, zasłony uprane, balkony ozdobione kwiatami,  
a pokoje przewietrzane.

Na początku Tété usługiwała wystraszona i milcząca, ale po tygodniu przestała być tak spięta, na-  
uczyła się bowiem zwyczajów i kaprysów nowej pani i dokładała starań, by jej nie prowokować. Hor-  
tense była wymagająca i nieustępliwa: raz wydane polecenie, nawet bezsensowne, musiało zostać wy-  
konane. Zwróciła uwagę na dłonie Tété – szczupłe i eleganckie – i kazała jej prać bieliznę. Praczą bez-  
czynnie spędzała dzień na dziedzińcu, bo Célestine nie chciała na pomocnicę kobiety tak beznadziejnie  
tępej i pachnącej ługiem. Potem pani uznała, że Tété nie może udawać się na spoczynek wcześniej niż  
ona – miała czekać ubrana, dopóki małżonkowie nie wrócili do domu, chociaż wstawiała o świcie i pra-  
cowała cały dzień, potykając się ze zmęczenia. Valmorain próbował nieśmiało przekonać żonę, że to nie

jest konieczne, skoro chłopak na posyłki gasił światła i zamykał dom, a rozbieranie pani należało do obowiązków Denise, ale Hortense postawiła na swoim. Była despotyczna wobec służby, która musiała znosić krzyki i razy, brakowało jej jednak werwy i czasu, żeby jak na plantacji narzucać swoją wolę z użyciem bata. Spuchła z powodu ciąży; pochłaniało ją życie towarzyskie, *soirées* i przedstawienia, o własnej urodzie i zdrowiu nie wspominając.

Po obiedzie Hortense spędzała kilka godzin na ćwiczeniu głosu, ubieraniu się i czesaniu. Nie wychylała nosa z pokoju przed czwartą, piątą po południu; dopiero wtedy była przyszykowana do wyjścia i gotowa, by poświęcić całą swą uwagę Valmorainowi. Moda narzucona przez Francję dobrze jej służyła: suknie z lekkich materiałów w jasnych kolorach z lamówkami w greckie wzory, z podwyższonym stanem, okrągłym, szerokim, falbaniastym dołem i nieodzownym koronkowym szaleni na ramionach. Kapelusze były solidnymi konstrukcjami ze strusich piór, tasiemek i tiuli, które sama przerabiała. Tak jak postanowiła wykorzystywać resztki jedzenia, tak samo „odzyskiwała” nakrycia głowy: usuwała pompony z jednego, by przełożyć je do drugiego, wyciągała kwiaty z drugiego, żeby dodać do pierwszego, nawet farbowała pióra, tak że nie traciły kształtu. Dzięki temu każdego dnia prezentowała inny kapelusz.

Pewnej soboty – mieszkali już wówczas w mieście od kilku tygodni – wracali o północy powozem z teatru, kiedy Hortense zapytała męża o córkę Tété.

– Gdzie jest ta Mulateczka, kochanie? Nie widziałam jej, odkąd przyjechaliśmy, a Maurice ciągle o nią pyta – powiedziała niewinnym tonem.

– Masz na myśli Rosette? – wyjąkał Valmorain, rozwiązując kokardę pod szyją.

– Tak się nazywa? Musi być w wieku Maurice’a, prawda?

– Niedługo skończy siedem lat. Jest dość wysoka. Nie myślałem, że będziesz o niej pamiętać, widziałas ją tylko raz – odparł Valmorain.

– Wyglądała wdzięcznie, tańcząc z Maurice’em. W tym wieku może już pracować. Dostalibyśmy za nią dobrą cenę – rzuciła Hortense, głaszcząc męża po karku.

– Nie zamierzam jej sprzedać, Hortense.

– Aleja mam już kupca! Moja siostra, Oliwę, zachwyciła się nią na przyjęciu i chce ją podarować swojej córce na piętnaste urodziny, za dwa miesiące. Nie możemy jej odmówić!

– Rosette nie jest na sprzedaż – powtórzył Valmorain.

– Mam nadzieję, Toulouse, że nie będziesz żałował. Ta smarkula nie jest nam do niczego potrzebna i możemy mieć przez nią problemy.

– Nie chcę o tym więcej mówić! – ryknął jej mąż.

– Proszę, nie krzycz na mnie... – szepnęła Hortense bliska płaczu, podtrzymując dłońmi w rękawiczkach krągły brzuch.

– Wybacz mi, Hortense. Co za upał panuje w tym powozie! Później coś postanowimy, kochana, nie ma pośpiechu.

Zrozumiała, że zachowała się nierozważnie. Powinna postępować jak jej matka i siostry, które chytrze pociągały za sznurki, nie sprzeciwiając się mężom, tak by wierzyli, że to oni podejmują decyzje. Z małżeństwem trzeba obchodzić się jak z jajkiem – bardzo ostrożnie.

Kiedy jej brzuch stał się widoczny i nie mogła wychodzić z domu – żadna dama nie pokazywała się publicznie z dowodem na to, że spółkowała – Hortense spędzała dni na leżąc, tkając niczym tarantula. Nie ruszała się z miejsca, ale wiedziała dokładnie, co dzieje się w jej królestwie, znała plotki z życia towarzyskiego, lokalne nowiny, sekrety swoich przyjaciółek i każdy krok nieszczęsnego Maurice’a. Tylko Sancho wymykał się spod jej kontroli – trudno było nadążyć za kimś tak nieuporządkowanym i nieprzewidywalnym. Hortense urodziła w Boże Narodzenie, z pomocą lekarza mającego opinię najlepszego specjalisty w Nowym Orleanie, w domu opanowanym przez kobiety z rodziny Guizot. Tété i pozostali służący mieli ręce pełne roboty przy obsłudze gości, Pomimo zimy panowała duchota, dlatego

przydzielono dwóch niewolników do poruszania wiatraków w salonie i pokoju pani.

Hortense nie była już pierwszej młodości. Lekarz ostrzegał, że mogą pojawić się komplikacje, ale po niespełna czterech godzinach urodziła dziewczynkę, rumianą jak wszyscy Guizotowie. Klęcząc przy łożu swojej, żony Toulouse Valmorain ogłosił, że mała będzie się nazywać Marie-Hortense, jak przystało na pierworodną. Wszyscy zaczęli bić brawo wzruszeni, poza Hortense. Rozpłakała się z wściekłości, liczyła bowiem na chłopca, który konkurowałby z Maurice'em o spadek.

Ulokowano mamkę na mansardzie, a Tété wyrzucono do celi przy patio, którą dzieliła z dwiema innymi służącymi. Zdaniem Hortense należało zrobić to dużo wcześniej, by oduczyć Maurice'a złego nawyku przychodzenia do łóżka niewolnicy.

Mała Marie-Hortense odpychała pierś z taką determinacją, że lekarz poradził zmienić mamkę, zanim dziecko umrze z wycieńczenia. Zbiegło się to w czasie z chrztem dziewczynki, uświetnionym przez najlepsze dania z repertuaru Célestine: prosię z czereśniami, marynowane kaczki, owoce morza na ostro, różne rodzaje *gumho*, żółwią skorupę wypełnioną ostrygami, wyroby cukiernicze wzorowane na kuchni francuskiej i kilkupiętrowy tort zwieńczony maleńką porcelanową kołyską. Zgodnie z tradycją matka chrzestna powinna pochodzić z rodziny matki (była nią jedna z jej sióstr), ojciec chrzestny zaś – z rodziny ojca, Hortense nie chciała jednak, żeby taki lekkoduch jak Sancho, jedyny krewny męża, został strażnikiem moralności jej córki, dlatego zaszczyt ten przypadł w udziale jednemu z jej braci. Tego dnia każdy z gości dostał prezent – srebrne pudełeczko z imieniem dziewczynki wypełnione migdałami w cukrze, a niewolnicy – po kilka monet. Podczas gdy biesiadnicy opychali się przy stołach, Marie-Hortense darła się z głodu, bo nie chciała także mleka drugiej mamki. Trzecia ostała się niecałe dwa dni.

Tété próbowała ignorować ten desperacki płacz, ale w końcu złamała się i wyjaśniła Valmorainowi, że w Saint-Lazare Tante Rose leczyła podobny przypadek kozim mlekiem. Kiedy szukano kozy, niewolnica rozgotowała ryż, dodała szczyptę soli i łyżeczkę cukru, przecedziła i podała dziewczynce. Cztery godziny później przygotowała podobną mieszankę, tym razem z owsa, i tak, od kaszki do kaszki i także dzięki kozie, którą doiła na patio, uratowała małą. „Czasem te Murzynki wiedzą więcej od nas”, zauważył zdziwiony lekarz. Hortense postanowiła, że niewolnica wróci na mansardę i na stałe będzie opiekować się jej córką. Pani nadal nie wychodziła z domu, dlatego Tété nie musiała czekać, aż zapieje kogut, by położyć się spać, a ponieważ Marie-Hortense nie przeszkadzała w nocy, mogła wreszcie odpocząć.

Pani spędziła w łóżku trzy miesiące, z psami na kołdrze, przy palącym się kominku i rozsuniętych zasłonach wpuszczających zimowe słońce, zabijając nudę przyjmowaniem damskich wizyt i objadaniem się słodyczami. Wreszcie zaczęła doceniać Célestine. Kiedy w końcu na usilne prośby matki i sióstr, zaniepokojonych próżniactwem odaliski, zakończyła wypoczynek, nie dopinała się na niej żadna suknia, więc dalej używała tych z okresu ciąży, dokonując niezbędnych poprawek, by wyglądały inaczej. Otrząsnęła się z letargu jeszcze bardziej próżna, gotowa korzystać z miejskich rozrywek, dopóki nie skończy się zima i nie będą musieli wyjechać na plantację. Wychodziła w towarzystwie męża albo przyjaciółek, by przejść się po szerokiej tamie, słusznie nazwanej najdłuższą drogą świata, po alejach obsadzonych drzewami i uroczych zakątkach, gdzie – poza motłochem, którego nie dostrzegała – zawsze można było spotkać powozy, dziewczęta w towarzystwie przyzwoitek i zerkających na nie kątem oka młodzieńców na koniach. Czasami posyłała przodem dwóch niewolników z podwieczorkiem i psami, a sama szła wolnym krokiem, by zaczerpnąć świeżego powietrza, w asyście Tété z Marie-Hortense na rękach.

W owych dniach markiz Marigny zaoferował gościnę pewnemu francuskiemu szlachcicowi podczas jego długiej wizyty w Luizjanie. W wieku zaledwie piętnastu lat Marigny odziedziczył olbrzymią fortunę i mówiono, że jest najbogatszym człowiekiem w Ameryce. Nawet jeśli nim nie był, robił wszystko, by za takiego uchodzić: swoje cygara przypalał banknotami. Musiał być bardzo rozrzutny i ekstrawagancki, skoro szokował nawet dekadencją klasę wyższą Nowego Orleanu! Père Antoine potępiał z am-

bony takie obnoszenie się z zamożnością, przypominając wiernym, że prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne niż bogaty przez bramy niebieskie, ale wołania o umiar wpadały zgromadzonym jednym uchem, a wypadały drugim. Najbardziej dumne rodziny płaszczyły się, żeby zdobyć zaproszenie od i Marigny'ego; żaden wielbłąd, nawet prosto z Biblii, nie skłoniłby ich do rezygnacji z udziału w tych przyjęciach.

Hortense i Toulouse zostali zaproszeni nie dzięki swoim nazwiskom, jak się łudzili, ale dzięki Sanchoowi, który stał się kompanem hulanki Marigny'ego i między jednym kieliszkiem a drugim szepnął mu, że szwagrostwo pragnie poznać szlachcica. Sancho miał wiele wspólnego z młodym markizem – tę samą heroiczną odwagę, konieczną w pojedynkach z powodu wyimaginowanych zniewag, niespożyte siły do zabawy, nadmierne upodobanie do hazardu, koni, kobiet, dobrej kuchni i alkoholu i tę samą, właściwą bogom, pogardę dla pieniędzy. Sancho García del Solar zasługuje, by być Kreolem czystej krwi, głosił Marigny, który przechwalał się, że z zamkniętymi oczami potrafi rozpoznać prawdziwego dżentelmena.

W dniu balu w domu Valmorainów ogłoszono stan wyjątkowy. Od świtu służący uwijali się, spełniając kategoryczne rozkazy Hortense. Biegali schodami w górę i w dół z wiadrami gorącej wody na kąpiel, kremami do masażu, moczopędnymi naparami, które w trzy godziny miały zlikwidować wałki odkładające się przez lata, z pastą do rozjaśnienia skóry, butami, sukniami, szalami, wstążkami, biżuterią, smarowidłami do makijażu. Szwaczka nie nadążała, a francuski fryzjer zemdłał i trzeba go było cucić octem. Valmorain, na którego w tej gorączkowej krzątaninie nikt nie zwracał uwagi, postanowił przeczekać ją z Sanchem w Café des Émigrés, gdzie nigdy nie brakowało znajomych do gry w karty. Kiedy fryzjer i Denise skończyli w końcu wznosić na głowie Hortense wieżę z loków, przybraną bażancimi piórami i zapinką ze złota i diamentów identycznych jak te z naszyjnika i kolczyków, nadszedł uroczysty moment włożenia sukni z Paryża. Denise i szwaczka nasunęły ją od dołu, żeby nie naruszyć fryzury. Było to cudo z białego przezroczystego materiału i głębokich plis nadających Hortense oszałamiający wygląd olbrzymiego greckiego posągu. Kiedy usiłowały zapiąć na plecach trzydzieści osiem miniaturowych guziczków z masy perłowej, okazało się, że choćby nie wiem jak mocno ciągnęły, nie dadzą rady, bo mimo środków moczopędnych w ostatnim tygodniu z powodu nerwów przybyły jej kolejne dwa kilogramy. Hortense wydała z siebie ryk, który ściągnął wszystkich mieszkańców domu. Lampy omal nie rozprysły się na kawałki.

Denise i szwaczka skuliły się w kącie na podłodze, czekając na wyrok śmierci, ale Tété, która nie znała dość dobrze pani, popełniła błąd i zaproponowała, by spiąć suknię w pasie agrafkami i ukryć je pod kokardą. Hortense odpowiedziała kolejnym wściekłym ryknięciem, chwyciła bat, który zawsze miała pod ręką, i rzuciła się na nią, wypływając z siebie iście marynarskie przekleństwa. W ten sposób wyładowała całą nagromadzoną nienawiść do konkubiny i złość na samą siebie za to, że przytyła.

Tété upadła skulona na kolana, zasłaniając głowę rękami. Trzask, trzask! uderzał bat, a każdy jęk niewolnicy rozniecał w pani coraz większy ogień. Osiem, dziewięć, dziesięć razy spadło z odgłosem ognistych błyskawic, ale Hortense, czerwona i ociekająca potem, z wieżą włosów rozsypującą się w żalosne kosmyki, wyglądała, jakby nie miała jeszcze dosyć.

W tym momencie do pokoju wtargnął Maurice, niczym byk roztrącając tych, którzy jak sparaliżowani przyglądali się całej scenie, i jednym straszliwym pchnięciem, zupełnie nieoczekiwanym u chłopca, który przez jedenaście lat swego życia starał się unikać przemocy, powalił macochę na podłogę. Wyrwał jej bat i uderzył, celując w twarz, trafił jednak w szyję, od czego oddech i krzyk zamarły kobiecie w piersiach. Wyprowadzony z równowagi jak ona sekundę wcześniej podniósł rękę, by uderzyć jeszcze raz, ale Tété podczołgała się do niego, złapała za nogi i pociągnęła do tyłu. Drugie smagnięcie biczem spadło na fałdy muślinowej sukni Hortense.

## Wioska niewolników

Maurice został wysłany do szkoły z internatem w Bostonie, czym tylekroć straszyl go ojciec, gdzie rygorystyczni amerykańscy nauczyciele mieli zrobić z niego mężczyznę w oparciu o dyscyplinę i metody dydaktyczne stosowane w wojsku. Maurice wyjechał z niewielkim dobytkiem mieszczącym się w jednym kufrze, w towarzystwie opiekuna, specjalnie zatrudnionego na tę okoliczność, który pożegnał go w drzwiach internatu pocieszającym klepieniem w ramię. Chłopcu nie udało się zobaczyć z Tété, bo dzień po batach została odesłana prosto na plantację z poleceniem dla Owena Murphy'ego, by natychmiast przydzielił ją do ścinania trzciny. Widząc kobietę pokrytą pręgami grubszymi niż postronki do prowadzenia wołów – na szczęście żadnej nie miała na twarzy – przełożony nadzorców zaprowadził ją do lazaretu swojej żony. Zajęta skomplikowanym porodem Leanne poleciła Tété, by nałożyła sobie maść z aloesu, a sama skupiła uwagę na młodej krzyczącej dziewczynie przerażonej nawałnicą od wielu godzin targającą jej ciałem.

Leanne, która szybko i bez teatralnych scen urodziła siedmiu synów, wypchniętych przez jej ciało kurcząc się między dwiema zdrowaškami, wiedziała, że ma do czynienia z beznadziejnym przypadkiem. Wzięła Tété na bok i wyjaśniła jej cicho, aby tamta nie słyszała, że dziecko ułożyło się w poprzek i w żaden sposób nic wyjdzie na zewnątrz. „Nigdy nie umarła mi przy porodzie żadna kobieta, ta będzie pierwsza”, wyszeptala. „Niech pani pozwoli mi zobaczyć”, odparła Tété. Przekonała matkę, żeby pozwoliła się zbadać, posmarowała dłoń oliwą i szczupłymi, wprawnymi palcami sprawdziła, że ciężarna jest gotowa do porodu, a diagnoza Leanne trafna. Domyśliła się sposobu ułożenia dziecka, jakby widziała je pod napiętą skórą. Kazała kobiecie uklęknąć z głową opartą o ziemię i uniesionymi pośladkami, żeby zmniejszyć nacisk na miednicę, i masowała jej brzuch, uciskając obiema dłońmi, by obrócić dziecko od zewnątrz. Nigdy sama nie wykonała tego zabiegu, ale zapamiętała, jak to robiła Tante Rose. W tym momencie Leanne wyrwał się okrzyk: z dróg rodnych wysunęła się zaciśnięta pięść. Tété wepchnęła ją delikatnie do środka, żeby nie wyrwać rączki ze stawu, i cierpliwie kontynuowała swoją pracę. Po jakimś czasie, który wydawał się nieskończenie długi, poczuła, jak dziecko powoli się przekręca i w końcu układa prawidłowo główkę. Nie mogła powstrzymać szlochu wdzięczności. Miała wrażenie, że widzi obok uśmiechniętą Tante Rose.

Wraz z Leanne podniosły matkę, która zrozumiała, co się dzieje, i zaczęła współpracować. Już się nie opierała oszalala ze strachu; kazały jej chodzić w kółko, przemawiały do niej, głaskały. Na dworze zaszło słońce – nagle zdały sobie sprawę, że siedzą po ciemku. Leanne zapaliła łojową lampę i chodziły dalej, aż nadszedł moment odebrania porodu. „Erzulie, *loa* matko, pomóż mu przyjść na świat”, poprosiła na głos Tété. „Święty Rajmundzie Nonnacie, skup się. Nie pozwolisz chyba, żeby jakaś afrykańska święta okazała się lepsza od ciebie”, odparła Leanne tym samym tonem i obie wybuchnęły śmiechem. Posadziły matkę w kucki na kawałku czystego płótna, podtrzymując ją za ramiona. Dziesięć minut później Tété trzymała w rękach posiniałego noworodka, którego zmusiła do złapania oddechu klepieniem w pośladki, podczas gdy Leanne przecinała pępowinę.

Kiedy matka była już umyta i miała dziecko przy piersi, zebrały pokrwawione szmaty, usunęły pozostałości po porodzie i usiadły na ławeczce przy drzwiach, żeby odpocząć pod czarnym rozgwieżdżonym niebem. Tam zastał je Owen Murphy, który nadszedł z dzbankiem gorącej kawy, kołysząc lampą.

– Jak idzie? – zapytał i podał im kawę, nie podchodząc zbyt blisko, onieśmielały go bowiem kobiece sekrety.

– Twój pryncypał ma już kolejnego niewolnika, a ja mam pomocnicę – odpowiedziała mu żona, wskazując na Tété.

– Nie utrudniaj mi życia, Leanne. Mam rozkaz przydzielić ją do jednej z grup pracujących na polu – wymamrotał Murphy.

– Od kiedy przedkładaś rozkazy innych nad moje? – uśmiechnęła się ona, stając na palcach, żeby pocałować go w szyję w miejscu, gdzie kończyła się czarna broda.

Tak też się stało i nikt nie zadawał pytań, jako że Valmorain nie chciał nic wiedzieć, a Hortense uznała nieprzyjemną sprawę konkubiny za zakończoną i przestała o niej myśleć.

Na plantacji Tété dzieliła chatę z trzema kobietami i dwójką dzieci. Jak wszyscy inni wstawiała wraz z biciem dzwonu o świcie i spędzała dnie w lazarecie, w kuchni, przy zwierzętach domowych i tysiącu innych zajęć, które zlecali przełożony nadzorców i Leanne. Praca wydawała jej się lekka w porównaniu z zachciankami Hortense. Zawsze służyła w domu, dlatego kiedy wysłano ją na wieś, myślała, że została skazana na powolne umieranie, które oglądała na Saint-Domingue. Nie przypuszczała, że znajdzie tu coś na kształt szczęścia.

Z prawie dwustu niewolników część pochodziła z Afryki i z Antyli, ale większość urodziła się w Luizjanie; wszystkich łączyła potrzeba wspierania się nawzajem i wspólna niedola związana z tym, że byli czyjąś własnością. Kiedy po południu rozlegał się głos dzwonu i grupy robotników wracały z pól, we wspólnocie zaczynało się prawdziwe życie. Rodziny zbierały się i dopóki było widno, siedziały na zewnątrz, bo w chatach brakowało miejsca i powietrza. Z kuchni przysyłano zupę, rozdzielaną prosto z wózka, ludzie przynosili własne warzywa, jajka i – jeśli był jakiś szczególny powód do świętowania – kury lub zające. Zawsze mieli coś do roboty, gotowali, szyli, podlewali ogródki, naprawiali dachy. Jeśli nie padało i nie było zbyt zimno, kobiety umilały sobie czas rozmowami, a mężczyźni brzdąkaniem na bandžo albo grą w kamyczki na narysowanych na ziemi polach. Dziewczęta czesały się nawzajem, dzieci biegały, ludzie skupieni w grupkach słuchali różnych opowieści. Największym powodzeniem cieszyły się historie o Bras Coupé, wielkim jednorękiem Murzynie, który krążył po bagnach, ponad sto razy uciekał śmierci i budził strach zarówno w dzieciach, jak i w dorosłych.

Była to społeczność zhierarchizowana. Dużym poważaniem cieszyli się doświadczeni myśliwi, których Murphy wysyłał po mięso na zupę: polowali na jelenie, ptaki i dzikie wieprze. Na szczycie drabiny stali ci, którzy posiadali jakiś zawód, jak kowale czy stolarze, a najgorzej notowani byli nowo przybyli. Rządziły staruszki, ale największy autorytet miał kaznodzieja, mężczyzna około pięćdziesiątki, o skórze tak czarnej, że wyglądała na niebieską, zajmujący się mułami, wołami i końmi pociągowymi. Przewodniczył religijnym śpiewom barytonem, któremu nie sposób było się oprzeć, cytował wymyślane przez siebie przypowieści o świętych, a kiedy dochodziło do sprzeczek, pełnił rolę arbitra, jako że nikt nie chciał wynosić swoich problemów poza wspólnotę. Nadzorcy, choć byli niewolnikami i mieszkali z całą resztą, mieli niewiele przyjaciół. Ci, którzy służyli w domu, często odwiedzali chaty, ale nikt ich nie lubił, bo zadzierali nosa, lepiej się ubierali i lepiej jedli, poza tym mogli szpiegować dla właścicieli. Tété przyjęto z ostrożnym szacunkiem, wiedziano bowiem, że obróciła dziecko w brzuchu matki. Powiedziała, że to wspólny cud Erzulie oraz świętego Rajmunda Nonnata, i takie wyjaśnienie zadowoliło wszystkich, nawet Owena Murphy'ego, który wcześniej nie słyszał o Erzulie i wziął ją za katolicką świętą.

W czasie przeznaczonym na odpoczynek nadzorcy zostawiali niewolników w spokoju, nie było uzbrojonych patroli, wściekłego ujadania dzikich psów ani Prospera Cambraya, który stałby w cieniu ze zwiniętym biczem i żądał jedenastoletniej dziewczicy do swojego hamaka. Po kolacji Owen Murphy i jego syn Brandan objeżdżali plantację, by ostatni raz rzucić okiem, czy wszystko jest w porządku, a potem szli do domu, gdzie rodzina czekała na nich z posiłkiem i modlitwą. Nadzorca udawał, że nie czuje o północy zapachu pieczonego mięsa, który wskazywał, że ktoś po ciemku wyszedł zapolować na opo-sy. Jeśli o świcie ten niewolnik stawiał się punktualnie do pracy, nie podejmował żadnych kroków.

Jak wszędzie, bywało, że niezadowoleni niewolnicy niszczyli narzędzia, wznecali pożary i znęcali się nad zwierzętami, były to jednak odosobnione przypadki. Inni się upijali, zawsze znalazł się ktoś, kto trafiał do szpitala, symulując chorobę, by przez chwilę odpocząć. Prawdziwi chorzy wierzyli w tradycyjne leki: plasterki ziemniaka na bolące miejsca, tłuszcz kajmana na artretyzm, gotowane ciernie na robaki w jelitach i indiańskie korzenie na kolki. Tété na próżno próbowała wprowadzić niektóre receptury

Tante Rose. Nikt nie chciał przeprowadzać eksperymentów na własnym zdrowiu.

Tété przekonała się, że tylko nieliczni z jej towarzyszy cierpią na obsesję ucieczki, jak było na Saint-Domingue, a jeśli już uciekali, zazwyczaj wracali sami po dwóch, trzech dniach, zmęczeni błędzeniem po bagnach bądź schwytani przez pilnujących dróg strażników. Dostawali chłostę i poniżeni dołączali do wspólnoty – nie wzbudzali zbytnej sympatii, bo nikt nie chciał mieć problemów. Wędrowni misjonarze i Owen Murphy wbijali im do głowy cnotę rezygnacji, nagradzaną w niebie, gdzie wszystkie dusze cieszą się jednakowym szczęściem. Tété uznała takie rozwiązanie za wygodniejsze dla białych niż dla czarnych; najlepiej, żeby szczęście było sprawiedliwiej rozdzielone na tym świecie. Nie odważyła się jednak porozmawiać na ten temat z Leanne, z tego samego powodu, dla którego z udawanym entuzjazmem uczestniczyła we mszach – żeby jej nie urazić. Nie ufała religii panów. Vodou, które wyznawała, także było na swój sposób fatalistyczne, ale przynajmniej mogła doświadczyć boskiej mocy, kiedy dosiadały jej *loa*.

Zanim zaczęła żyć wśród ludzi z wioski, niewolnica nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest samotna, pozbawiona czułości innej niż ta, którą okazywali jej Maurice i Rosette, i jak bardzo potrzebuje kogoś, z kim mogłaby dzielić wspomnienia i marzenia. Szybko przyzwyczała się do tej społeczności, tęskniła jedynie za dziećmi. Wyobrażała sobie, jak leżą same w nocy przestraszone, i serce ścisnęło jej się z żalu.

– Następnym razem, kiedy Owen pojedzie do Nowego Orleanu, przywiezie ci wiadomości o córce – obiecała Leanne.

– Kiedy to będzie, proszę pani?

– Będzie, kiedy pryncypał rozkaże, Tété. Podróż do miasta jest bardzo droga, a my oszczędzamy każdego centa.

Oboje marzyli o kupnie ziemi i uprawianiu jej razem z synami, co zrobiło już wielu innych imigrantów oraz niektórzy Mulaci i wolni Murzyni. Mało było plantacji tak dużych jak ta Valmoraina; większość stanowiły średnie lub małe poletka uprawiane przez żyjące skromnie rodziny. Nawet jeśli miały one jakichś niewolników, to wiedli oni takie samo życie jak ich właściciele. Leanne opowiedziała Tété, że przyjechała do Ameryki na rękach rodziców, którzy najęli się na dziesięć lat do pracy na plantacji jako służący, by móc opłacić koszt podróży statkiem z Irlandii, co w praktyce niczym nie różniło się od niewolnictwa.

– Wiesz, Tété, że istnieją także biali niewolnicy? Mają mniejszą wartość niż czarni, bo nie są tak silni. Za białe kobiety płacą więcej. Domyślasz się pewnie, do czego ich używają.

– Nigdy nie widziałam białych niewolników, proszę pani.

– Na Barbados jest ich wielu, tutaj zresztą także. Rodzice Leanne nie przewidzieli, że ich pracodawcy każą im płacić za każdy kawałek chleba, który wkładali do ust, i odliczą każdy dzień, którego nie przepracowali, nawet jeśli winna była pogoda. I tak dług zamiast maleć, stopniowo wzrastał.

– Mój ojciec zmarł po dwunastu latach przymusowej pracy, a ja z matką służyłyśmy jeszcze wiele lat, dopóki Bóg nie zesłał nam Owena, który zakochał się we mnie i wydał wszystkie swoje oszczędności, żeby spłacić nasze długi. Tak moja matka i ja odzyskałyśmy wolność.

– Nigdy nie myślałam, że pani była niewolnicą – powiedziała Tété poruszona.

– Matka chorowała i umarła niedługo potem, ale zdążyła jeszcze zobaczyć mnie wolną. Wiem, co znaczy niewolnictwo. Traci się wszystko: nadzieję, godność, wiarę – dodała Leanne.

– Pan Murphy... – wyjąkała Tété, nie wiedząc, jak sformułować pytanie.

– Mój mąż jest dobrym człowiekiem, Tété, stara się czynić lepszym życie swoich ludzi. Nie podoba mu się niewolnictwo. Kiedy kupimy własną ziemię, będziemy uprawiać ją sarni z naszymi synami. Pojedziemy na północ, tam będzie łatwiej.

– Życzę państwu szczęścia, pani Murphy, ale tutaj wszystkim będzie bardzo przykro, kiedy państwo wyjadą.

## *Kapitan La Liberté*

Doktor Parmentier przyjechał do Nowego Orleanu na początku 1800 roku, trzy miesiące po tym, jak Napoleon Bonaparte ogłosił się pierwszym konsulem Francji. Lekarz opuścił Saint-Domingue w 1794 roku, po rzezi ponad tysiąca białych cywili dokonanej przez buntowników. Wśród ofiar było wielu jego znajomych i ten fakt oraz pewność, że nie może żyć bez Adèle i dzieci, skłoniły go do wyjazdu. Po wysłaniu rodziny na Kubę dalej pracował w szpitalu w Le Cap, żywiąc irracjonalną nadzieję, że burza rewolucji ucichnie i jego bliscy będą mogli wrócić. Nie padł ofiarą obław, spisków, napadów i rzezi, a ponieważ pozostało niewiele lekarzy, Toussaint Louverture, który szanował ten zawód jak żaden inny, osobiście roztoczył nad nim opiekę. W rzeczywistości był to zawołany nakaz aresztowania, który Parmentierowi udało się złamać dzięki potajemnej pomocy jednego z najbliższych Toussaintowi oficerów, jego zaufanego człowieka, kapitana La Liberté. Mimo młodego wieku – dopiero co skończył dwadzieścia lat – kapitan dał wiele dowodów całkowitej lojalności. Od kilku lat towarzyszył generałowi w dzień i w nocy, a ten stawiał go za przykład prawdziwego wojownika, odważnego i przebiegłego. Jak mawiał Toussaint, to nie rzucający wyzwania śmierci, nierozważni bohaterowie wygrają tę długą wojnę, ale ludzie tacy jak La Liberté, którzy chcą żyć. Ze względu na jego dyskrecję zlecał mu najdelikatniejsze misje, a ze względu na jego zimną krew – misje wymagające największej odwagi. Kapitan miał kilkanaście lat, kiedy oddał się pod jego rozkazy; przyszedł niemal nagi, a jedynym majątkiem, jaki posiadał, były szybkie nogi, ostry jak brzytwa nóż do cięcia trzciny i imię, które nadał mu w Afryce ojciec, Toussaint wyniósł go do rangi kapitana po tym, jak chłopak trzeci raz ocalił mu życie, w zasadzce, którą w pobliżu Limbe urządził na niego inny dowódca buntowników; zginął w niej brat generała, Jean-Pierre. Zemsta Toussainta była błyskawiczna i ostateczna: obóz zdrajcy został zrównany z ziemią. Podczas pogawędki o świcie, kiedy ocaleli z rzezi kopali groby, a kobiety składały trupy na stos, żeby sępy nie rozrywały zwłok, Toussaint zapytał chłopaka, o co walczy.

– O to, o co walczymy wszyscy, generale, o wolność – brzmiała odpowiedź.

– Już ją mamy, niewolnictwo zostało zniesione. Ale możemy ją w każdej chwili stracić.

– Tylko jeśli będziemy się nawzajem zdradzać, generale. Zjednoczeni jesteśmy silni.

– Droga do wolności jest kręta, synu. Czasami będzie się wydawało, że robimy krok w tył, pakujemy, tracimy z oczu ideały rewolucji... – szepnął generał, przebijając go wzrokiem.

– Byłem tam, kiedy dowódcy zaproponowali białym, że przywrócą niewolnictwo w zamian za wolność dla nich, ich rodzin i niektórych oficerów – odparł chłopak świadom, że jego słowa mogą zostać zrozumiane jako zarzut albo prowokacja.

– W strategii wojennej niewiele rzeczy widać wyraźnie, poruszamy się pośród cieni – odrzekł spokojnie Toussaint.

– Czasami trzeba negocjować.

– Tak, generale, ale nie za taką cenę. Żaden z pańskich żołnierzy nie zostanie na nowo niewolnikiem, wszyscy wolimy zginąć.

– Ja także, synu – powiedział Toussaint.

– Przykro mi, generale, z powodu śmierci pańskiego brata, Jeana-Pierre’a.

– Jean-Pierre i ja bardzo się kochaliśmy, ale trzeba poświęcić życie prywatne dla wspólnej sprawy. Jesteś bardzo dobrym żołnierzem, chłopcze. Awansuję cię na kapitana. Chciałbyś mieć nazwisko? Jakie na przykład?

– La Liberté, generale – odpowiedział bez wahania, stając na baczność zgodnie z wojskową dyscypliną, którą oddziały Toussainta zapożyczyły od Francuzów.

– Dobrze. Od tej chwili będziesz Gambo La Liberté – powiedział Toussaint.

Kapitan La Liberté postanowił pomóc doktorowi Parmentierowi w potajemnym opuszczeniu wyspy,



bo kiedy położył na jednej szali obowiązek rygorystycznego wykonywania poleceń, który wpoił mu Toussaint, a na drugiej dług wdzięczności, który miał wobec lekarza, przeważyła wdzięczność. Biali wyjeżdżali, gdy tylko udało im się zdobyć paszport i uporządkować sprawy finansowe. Większość kobiet i dzieci odpłynęła na inne wyspy albo do Stanów Zjednoczonych, ale mężczyznom bardzo trudno było uzyskać dokument podróży, jako że Toussaint potrzebował ich do zasilenia swoich oddziałów i kierowania plantacjami. Kolonia została niemal całkowicie sparaliżowana, brakowało rzemieślników, rolników, kupców, urzędników i specjalistów ze wszystkich dziedzin, za to w nadmiarze było kurtyzan i bandytów, którzy potrafili przetrwać w każdych okolicznościach. Gambo La Liberté zawdzięczał dyskretnemu lekarzowi dłoń generała Toussainta i własne życie.

Kiedy zakonnice opuściły wyspę, Parmentier prowadził szpital wojskowy z pomocą pielęgniarek, które sam wyszkolił. Był tam jedynym lekarzem i jedynym białym.

Podczas ataku na fort Belair wybuch kuli armatniej rozerwał Toussaintowi palce dłoni. Rana była skomplikowana i brudna, amputacja wydawała się więc oczywistym rozwiązaniem, ale generał uznał ją za ostateczność. Jako „medyk od liści” Toussaint wolał, by jego pacjenci trwali w nienaruszonym stanie tak długo, jak to tylko możliwe. Zrobił więc sobie okład z ziół, dosiadł swego wspaniałego konia, słynnego Bel Argent, i prowadzony przez Gambo La Liberté pognął galopem do szpitala w Le Cap. Parmentier obejrzał ranę zdziwiony, że nie została zainfekowana, choć była nieleczona i narażona na kurz podczas drogi. Poprosił o pół litra rumu, który miał znieczulić pacjenta, i o dwóch ordynansów, którzy mieli go trzymać, ale Toussaint nie chciał skorzystać z pomocy. Nie pił alkoholu i nie pozwalał, by dotykał go ktokolwiek spoza rodziny. Parmentier wykonał bolesny zabieg oczyszczenia ran i złożenia kości jedna po drugiej, pod czujnym spojrzeniem generała, któremu jedyną ulgę dawał gruby kawałek skóry zaciskany w zębach. Kiedy lekarz skończył robić opatrunek i zawiesił mu rękę na temblaku, Toussaint wypluł przezutą skórę, podziękował uprzejmie i polecił zająć się jego kapitanem. Dopiero wtedy Parmentier odwrócił się w stronę mężczyzny, który przywiózł generała do szpitala. Zobaczył, że oparty o ścianę stoi w kałuży krwi i patrzy na niego szklistymi oczami.

W ciągu pięciu tygodni, na które Parmentier zatrzymał go w szpitalu, Gambo był kilka razy jedną nogą na tamtym świecie, jednak zawsze wracał do życia z uśmiechem, ze świeżym wspomnieniem tego, co widział w gwinejskim rajku na podmorskiej wyspie, gdzie czekał na niego ojciec, gdzie zawsze grała muzyka, drzewa uginały się od owoców, rośliny rosły same, a ryby wyskakiwały z wody i można je było bez trudu łapać; gdzie wszyscy ludzie byli wolni. Stracił dużo krwi z powodu trzech ran po kulach: dwóch na udzie i jednej na piersi. Parmentier spędzał całe dni i noce u boku chorego, robiąc wszystko, co możliwe, by wygrać ze śmiercią. Nigdy nie uznał się za pokonanego, bo czuł do kapitana sympatię. Gambo był niezwykle odważny, taki jaki on sam chciałby być.

– Wydaje mi się, że już pana gdzieś wcześniej widziałem, kapitanie – powiedział mu podczas jednego z bolesnych zabiegów.

– O, widzę, że nie jest pan jednym z tych białych, którzy nie potrafią odróżnić jednego czarnucha od drugiego – zażartował Gambo.

– W tej pracy kolor skóry ma najmniejsze znaczenie, wszyscy krwawią jednakowo. Choć wyznam panu, że czasami trudno mi odróżnić jednego białego od drugiego – odparł Parmentier.

– Ma pan dobrą pamięć, doktorze. Musiał mnie pan widzieć na plantacji Saint-Lazare. Byłem pomocnikiem kucharki.

– Nic pamiętam, ale pańska twarz wydaje mi się znajoma – powiedział lekarz. – W tamtych czasach odwiedzałem mojego przyjaciela Valmoraina i Tante Rose, uzdrowicielkę. Zdaje mi się, że uciekła, zanim buntownicy zaatakowali plantację. Nie widziałem jej już więcej, ale nadal o niej myślę. Gdybym jej nie poznał, zacząłbym od odcięcia panu nogi, kapitanie, a potem starałbym się pana leczyć upuszczaniem krwi. Zabiłbym pana od razu, mimo jak najlepszych chęci. Jeśli wciąż pan żyje, to dzięki metodom, których ona mnie nauczyła. Ma pan o niej jakieś wieści?

– Jest zielarką i *mambo*. Widziałem ją kilka razy, bo nawet generał Toussaint zasięga jej rad. Chodzi od obozu do obozu, lecząc i doradzając. Czy wie pan coś o Zarité?

– O kim?

– O jednej z niewolnic Valmoraina. Nazywali ją Tété.

– Tak, znałem ją. Wyjechała ze swoim panem po pożarze w Le Cap, myślę, że na Kubę – powiedział Parmentier.

– Nic jest już niewolnicą, doktorze. Ma swoją wolność na papierze z podpisem i pieczęcią.

– Tété pokazała mi ten papier, ale kiedy stąd wyjeżdżali, jej wyzwolenie wciąż nie zostało oficjalnie potwierdzone – wyjaśnił doktor.

W czasie tych pięciu tygodni Toussaint Louverture dopytywał się o kapitana, a Parmentier za każdym razem udzielał takiej samej odpowiedzi: „Jeśli chce pan, generale, żebym go panu oddał, proszę mnie nie poganiać”. Pielęgniarki kochały się w La Liberté, a kiedy mógł już siadać, niektóre nocą wchodziły ukradkiem do jego łóżka, kładły się na nim tak, by go nie zgnieść, i aplikowały mu w rozsądnych dawkach najlepsze lekarstwo na anemię. On w tym czasie szeptał imię Zarité. Parmentier wiedział o wszystkim, ale doszedł do wniosku, że jeśli dzięki temu ranny zdrowieje, mogą się dalej w nim kochać. W końcu Gambo odzyskał siły na tyle, żeby dosiąść swego rumaka, zarzucić muszkiet na ramię i wyruszyć na spotkanie ze swoim generałem.

– Dziękuję, doktorze. Nie myślałem, że uda mi się poznać przyzwoitego białego – powiedział przy pożegnaniu.

– A ja nie myślałem, że uda mi się poznać wdzięcznego Murzyna – odparł doktor z uśmiechem.

– Nigdy nie zapominam przysług ani zniewag. Mam nadzieję, że nadarzy się okazja, by wynagrodzić to, co pan dla mnie zrobił. Proszę na mnie liczyć.

– Może pan odwdzińczyć się już teraz, kapitanie, jeśli pan sobie życzy. Muszę dołączyć do swojej rodziny na Kubie, a wiadomo panu, że wydostanie się stąd jest niemal niemożliwe.

Jedenaście dni później, w bezksiężycową noc, wiosłowa łódź rybacka zabrała doktora Parmentiera na fregatę zakotwiczoną w pewnej odległości od portu. Kapitan Gambo La Liberté wystarał się dla niego o list żelazny i bilet – była to jedna z niewielu spraw, które w trakcie swej błyskotliwej kariery wojskowej załatwił za plecami Toussainta Louverture. Postawił lekarzowi warunek: jeśli zobaczy Tété, ma przekazać jej wiadomość. „Proszę powiedzieć, że moim przeznaczeniem jest wojna, nie miłość; niech na mnie nie czeka, bo już o niej zapomniałem”. Parmentier uśmiechnął się, widząc wewnętrzną sprzeczność tego przesłania.

Fregatę, na której płynął Parmentier i inni francuscy uchodźcy, niepomyślnie wiatry zepchnęły w stronę Jamajki, gdzie nie pozwolono im zejść na ląd. Po kilku okrążeniach na pełnych zdradzieckich prądów wodach Morza Karaibskiego, omijając po drodze tajfuny i korsarzy, dotarli do Santiago de Cuba. Doktor wyruszył lądem do Hawany na poszukiwanie Adèle. Podczas rozłąki nie mógł wysiać jej pieniędzy i nie wiedział, czy nie zastanie rodziny w wielkiej biedzie. Mając adres, który otrzymał w liście kilka miesięcy wcześniej, trafił do dzielnicy skromnych, choć dobrze utrzymanych budynków, na wyłożoną brukiem ulicę, gdzie domy były jednocześnie warsztatami rozmaitych rzemieślników: rymarzy, perukarzy, szewców, stolarzy wyrabiających meble, malarzy i kucharek, które gotowały jedzenie na patiach i sprzedawały je na ulicy. Te wysokie, majestatyczne Murzynki, w wykrochmalonych bawełnianych sukniach i jaskrawych tignonach, pachnące przyprawami i cukrem, chodziły, kołysząc tacami i koszami pełnymi przepysznych duszonych potrawek i ciast, ciągnąc za sobą gromadki gołych dzieci i psów. Budynki nie były numerowane, ale Parmentier miał przy sobie opis i bez trudu trafił na dom Adèle, pomalowany na kobaltowy błękit, z czerwonymi dachówkami, drzwiami i dwoma oknami ozdobionymi begoniami w donicach. Wykonany grubymi literami napis zawieszony na fasadzie głosił po hiszpańsku: „Madame Adèle, moda paryska”. Zapukał z walącym sercem, usłyszał szczekanie psa, pospieszne kroki, ktoś otworzył drzwi. Znalazł się twarzą w twarz z młodszą córką, o piędź wyższą, niż ją

zapamiętał. Dziewczynka krzyknęła i rzuciła mu się na szyję, oszalała z radości, a kilka sekund później otaczała go cała rodzina. Kolana ugięły mu się pod ciężarem zmęczenia i miłości. Wielokrotnie myślał, że już więcej ich nie zobaczy.

## Uchodźcy

Adèle prawie się nie zmieniała, miała nawet na sobie tę samą suknię, w której półtora roku wcześniej wyjechała z Saint-Domingue. Jak zawsze zarabiała na życie szyciem. Skromne dochody ledwo starczyły, by opłacić czynsz i wykarmić dzieci, ale w jej naturze nie leżało narzekanie na to, czego brakuje, tylko dziękowanie za to, co ma. Przystosowała się do życia między wolnymi Murzynami, których w mieście było bardzo dużo, i szybko zdobyła wierną klientelę. Doskonale radziła sobie z igłą i nitką, nie znała się jednak na modzie. Projektowanie należało do Violette Boisier. Powstała między nimi zażyłość, łącząca na wygnaniu osoby, które wcześniej nie zwróciłyby na siebie uwagi.

Dzięki kolorowi skóry i pieniądząm zaoszczędzonym na Saint-Domingue Violette zamieszkała z Loulą w skromnym wprawdzie domu, ale za to w dzielnicy białych i Mulatów, stojącej kilka szczebli wyżej w hierarchii klasowej niż dzielnica Adèle. Wyzwoliła Loulę wbrew jej woli i umieściła Jeana-Martina w szkole z internatem prowadzonej przez księży, aby zapewnić mu możliwie najlepsze wykształcenie. Miała wobec niego ambitne plany. Ośmioletni chłopiec, Mulat o brązowym kolorze skóry, miał rysy i ruchy tak harmonijne, że gdyby nie krótkie włosy, można by go wziąć za dziewczynkę. Nikt – a już na pewno nie on – nie wiedział, że został adoptowany; Violette i Loula trzymały to w tajemnicy.

Kiedy syn był już bezpieczny w rękach zakonników, Violette zarzuciła sieci, by nawiązać kontakty z ludźmi o wysokiej pozycji, którzy mogli ułatwić jej życie w Hawanie. Obracała się wśród Francuzów, ponieważ Hiszpanie i Kubańczycy pogardzali uchodźcami zalewającymi wyspę w ostatnich latach. *Grands blancs*, jeśli mieli pieniądze, lądowali ostatecznie na prowincji, gdzie było w bród ziemi, na której mogli sadzić trzcinę cukrową albo kawę. Reszta ledwo wiązała koniec z końcem w miastach, niektórzy żyli z procentów albo z odnajmowania swoich niewolników, inni pracowali albo robili interesy, nie zawsze legalne. Miejskowa gazeta oskarżała cudzoziemców o nieuczciwą konkurencję zagrażającą stabilności Kuby.

Violette nie musiała imać się źle opłacanych zajęć, jak tyłu jej ziomków, ale życie było drogie i należało ostrożnie wydawać oszczędności. Nie miała ani odpowiedniego wieku, ani chęci, by wrócić do dawnej profesji. Loula nalegała, żeby zapolowała na majątnego męża, ale ona nadal kochała Étienne'a Relais'go i nie chciała, żeby Jean-Martin miał ojczyma. Szła przez życie, starając się zdobyć sympatię innych; dzięki tej sztuce po niedługim czasie zyskała grupę przyjaciółek, którym sprzedawała płyny upiększające przygotowywane przez Loulę i suknie szyte przez Adèle. Tak zarabiała na utrzymanie. Obie kobiety zostały jej bliskimi przyjaciółkami, siostrami, których nigdy nie miała. Z nimi wypijała niedzielną kawę, siedząc w kapciach pod daszkiem na patio, snując plany na przyszłość i podliczając rachunki.

– Będę musiał powiedzieć madame Relais, że jej mąż nie żyje – oznajmił Parmentier, kiedy wysłuchał relacji Adèle.

– Nie trzeba, ona już wie.

– Skąd może to wiedzieć?

– Bo w jej pierścionku pękł opal – wyjaśniła, nakładając mu drugą porcję ryżu ze smażonym bananem i szpikowanym słonią mięsem.

Doktor Parmentier, który w czasie samotnych nocy postanowił sobie, że wynagrodzi Adèle utrzymaną w tajemnicy, bezwarunkową miłość, którą obdarzała go przez tyle lat, w Hawanie wrócił do podwójnego życia z Le Cap. Zamieszkał w oddzielnym domu, ukrywając swoją rodzinę przed wzrokiem innych. Należał do lekarzy mających największe wzięcie wśród uchodźców, nie zdołał jednak zyskać dostępu do kreolskiej klasy wyższej. Był jedynym, który potrafił wyleczyć cholera wodą, zupą i herbatą, jedynym na tyle uczciwym, by przyznać, że nie ma lekarstwa na syfilis i czarne wymioty, jedynym, który wiedział, jak powstrzymać zakażenie rany, i sprawić, że ukąszenie skorpiona nie kończyło się pogrze-

bem. Kłopot polegał na tym, że przyjmował wszystkich bez względu na kolor skóry. Jego biali klienci jakoś to tolerowali, bo na wygnaniu naturalne różnice zwykle się zacierały. Nie mogli domagać się wyłączności, ale nie wybaczyliby mu żony i dzieci mieszanej krwi. Tak powiedział Adèle, choć nigdy nie prosiła go o wyjaśnienia.

Parmentier wynajął w dzielnicy białych dwupiętrowy dom, którego parter przeznaczył na gabinet, a pierwsze piętro na mieszkanie. Nikt nie dowiedział się, że noce spędza kilka przecznic dalej, w małym domku w kolorze kobaltowego błękitu. Co niedziela w domu Adèle widywał Violette Boisier. Miała trzydzieści sześć lat, ale wyglądała na mniej. W środowisku imigrantów cieszyła się opinią cnotliwej wdowy. Jeśli ktoś odnosił wrażenie, że rozpoznaje w niej słynną *cocotte* z Le Cap, szybko odrzucał wątpliwości, uznając je za nieprawdopodobne. Violette nadal nosiła pierścionek z pękniętym opalem i nie było dnia, żeby nic myślała o Étienne Relais'm.

Żadne z nich nie potrafiło przywyknąć do życia na Kubie. Po kilku latach wciąż czuli się tam tak sarno obcy jak pierwszego dnia, tym bardziej że Kubańczycy darzyli uchodźców coraz większą niechęcią, bo liczba tych ostatnich ciągle rosła. Nie byli to już majętni *grands blancs*, ale uważani za intruzów bankruci, skupieni w dzielnicach, które stały się siedliskiem przestępczości i chorób, Władze hiszpańskie nękały ich, piętrząc przeszkody prawne, w nadziei, że wyniosą się na zawsze.

Rządowy dekret anulował licencje na wykonywanie zawodu, które nie zostały wydane w Hiszpanii, i okazało się, że Parmentier uprawia medycynę nielegalnie. Francuska pieczęć królewska na jego pergaminie nic mu już nie dawała; w tych warunkach mógł więc przyjmować tylko niewolników i biedaków, którzy rzadko kiedy mieli czym zapłacić. Poza tym nie znał ani słowa po hiszpańsku, w przeciwieństwie do Adèle i dzieci, którzy mówili płynnie z kubańskim akcentem.

Tymczasem Violette Boisier uległa w końcu naciskom Louli i zdecydowała, że wyjdzie za właściciela hotelu, sześćdziesięcioletniego bogatego Hiszpana o słabym zdrowiu. Louli wydawał się idealnym kandydatem, bo wkrótce w sposób naturalny albo przy jej niewielkiej pomocy miał zejść z tego świata i zabezpieczyć im przyszłość. Hotelarz, któremu ta spóźniona miłość odjęła rozum, nie chciał sprawdzać, na ile prawdziwe są pogłoski, że Violette nie jest biała, ponieważ nie robiło mu to żadnej różnicy. Nigdy nie pragnął nikogo tak bardzo jak tej zmysłowej kobiety, a kiedy wziął ją wreszcie w ramiona, odkrył, że budzi w nim niedorzeczną czułość starszego pana, która jej była na rękę, bo nie kłóciła się ze wspomnieniem o Étienne Relais'm. Hiszpan otworzył przed nią kiesę, z której mogła czerpać niczym żona sułtana, jeśli przyszłaby jej na to ochota, zapomniał tylko wspomnieć, że jest już żonaty. Jego małżonka i ich jedyny syn, ksiądz dominikanin, mieszkali w Hiszpanii i żadne z nich nie interesowało się mężczyzną, którego nie widzieli od dwudziestu siedmiu lat. Matka i syn domyślali się, że żyje w grzechu śmiertelnym w zepsutych koloniach karaibskich, umilając sobie życie kobietami o szerokich tyłkach, ale dopóki przysyłał regularnie pieniądze, nie obchodził ich stan jego duszy. Hotelarz sądził, że jeśli ożeni się z wdową Relais, rodzina nigdy się o tym nie dowie, i tak by rzeczywiście było, gdyby nie ingerencja pewnego łasego na pieniądze adwokata, który sprawdził jego przeszłość i postanowił ją wykorzystać. Hiszpan zrozumiał, że nie kupi milczenia kauzyperdy, bo szantaż trwałby w nieskończoność. Po chaotycznej wymianie korespondencji kilka miesięcy później na Kubie pojawił się niespodziewanie syn zakonnik, gotów wyrwać ojca ze szponów Szatana, a spadek ze szponów ulicznicy. Za radą Parmentiera Violette zrezygnowała z zamążpójścia, ale od czasu do czasu odwiedzała zakochanego hotelarza, żeby nie umarł z żalu.

Owego roku Jean-Martin skończył trzynaście lat, a od pięciu powtarzał, że pojedzie do Francji i poświęci się karierze wojskowej, jak jego ojciec. Dumny i uparty – zawsze był taki – nie słuchał argumentów Violette, która nie miała ochoty na rozstanie i panicznie bała się wojska, gdzie ten dorodny chłopiec mógłby paść ofiarą jakiegoś sierżanta sodomity. Upór Jeana-Martina był jednak tak zacięty, że w końcu matka musiała ustąpić. Violette wysłała syna do Francji, wykorzystując przyjaźń łączącą ją z kapitanem statku, którego poznała jeszcze w Le Cap. Odebrał go brat Étienne'a Relais'go, również wojskowy, któ-

ry umieścił chłopca w paryskiej szkole kadetów, gdzie kształcili się wszyscy mężczyźni z rodziny. Wiedział, że jego brat ożenił się z kobietą z Antyli, i nie przywiązywał wagi do koloru skóry dziecka, które nie było jedynym mieszkańcem w akademii.

Ponieważ sytuacja uchodźców na Kubie stawała się coraz, trudniejsza, doktor Parmentier postanowił spróbować szczęścia w Nowym Orleanie, a jeśli wszystko dobrze by poszło, sprowadzić do siebie rodzinę. Wtedy Adèle sprzeciwiła mu się pierwszy raz w ciągu osiemnastu lat, które spędzili razem. Postawiła sprawę jasno: nie będą się znowu rozdzielać. Albo jadą wszyscy, albo nikt. Jest gotowa dalej żyć w ukryciu, być grzechem mężczyzny, którego kocha, ale nie pozwoli na rozpad rodziny. Zaproponowała, że popłyną tym samym statkiem, ale ona i dzieci trzecią klasą, i wysiądą oddzielnie, tak by nikt nie widział ich razem. Sama zdobyła paszporty. Musiała przekupić odpowiednich urzędników, co było powszechnie praktykowane, i udowodnić, że jest wolna i że utrzymuje dzieci z pracy własnych rąk. „Nie jadę do Nowego Orleanu, aby żebrać – powiedziała konsulowi z wrodzoną łagodnością – ale po to, aby szyć suknie”.

Kiedy Violette Boisier dowiedziała się, że przyjaciele zamierzają znów wyemigrować, dostała jednego z tych gwałtownych napadów konwulsji wywołanych wściekłością i płaczem, które miewała w młodości i które ustały wiele lat temu. Poczuli się zdradzona przez Adèle.

– Jak możesz jechać za człowiekiem, który nie przyznaje się do matki swoich dzieci? – załkała.

– Kocha mnie z całych sił – odparła niespeszona Adèle.

– Nauczył dzieci udawać przed ludźmi, że go nie znają! – wykrzyknęła Violette.

– Ale utrzymuje je, kształci i bardzo kocha. To dobry ojciec. Moje życie jest związane z jego, Violette, i już nigdy więcej się nie rozstaniemy.

– A ja? Co ja tu będę robić sama? – spytała niepokieszona Violette.

– Możesz pojechać z nami... – podsunęła przyjaciółka.

Violette uznała ten pomysł za znakomity. Słyszała, że w Nowym Orleanie żyje doskonale prosperująca społeczność wolnych Mulatów, w której wszyscy mogliby się świetnie urządzić.

Nie tracąc czasu, zasięgnęła opinii Louli i obie uznały, że nic ich nie trzyma na Kubie. Nowy Orlean miał być ostatnią okazją, by zapuścić gdzieś korzenie i zacząć myśleć o starości.

Toulouse Valmorain, który przez ostatnie siedem lat utrzymywał z Parmentierem kontakt poprzez sporadycznie wysyłane listy, zaproponował mu pomoc i gościnę, ale uprzedził, że w Nowym Orleanie lekarzy jest więcej niż piekarzy i że konkurencja będzie duża. Na szczęście królewska licencja z Francji była ważna w Luizjanie. „I nie będzie pan musiał mówić po hiszpańsku, mój szanowny doktorze, bo tutaj językiem jest francuski”, napisał w liście. Parmentier zszedł ze statku i wpadł prosto w objęcia przyjaciela, który czekał na niego na przystani. Nie widzieli się od 1793 roku. Valmorain nie pamiętał, żeby doktor był kiedykolwiek taki drobny i kruchy, z kolei Parmentier nigdy nie widział go tak zaokrąglonego. Valmorain wyglądał teraz na człowieka spełnionego, nic nie zostało się z udręczonego mężczyzny, z którym na Saint-Domingue wiódł niekończące się dyskusje o polityce i filozofii.

Czekali na bagaż, podczas gdy pozostali pasażerowie schodzili ze statku. Valmorain nie zwrócił najmniejszej uwagi na Adèle, ciemną Mulatkę z dziewczynką i dwoma chłopcami, która próbowała wypożyczyć jakiś wózek do przewiezienia swoich tobołów, dostrzegł za to w tłumie damę w eleganckim jaskrawoczerwonym stroju podróznym, kapeluszu, rękawiczkach i z torebką w tym samym kolorze, kobietę tak piękną, że nie sposób było nie zwrócić na nią uwagi. Natychmiast ją rozpoznał, choć było to ostatnie miejsce, w którym spodziewałby się znowu zobaczyć dawną znajomą. Jej imię wyrwało mu się z gardła; z entuzjazmem małego chłopca podbiegł, by ją powitać. „Monsieur Valmorain, cóż za niespodzianka!”, zawołała Violette Boisier i wyciągnęła do niego dłoń w rękawiczkę, ale on chwycił ją za ramiona i ucałował trzy razy, po francusku.

Z zachwytem stwierdził, że niewiele się zmieniła i że wiek uczynił ją jeszcze bardziej ponętą. Opowiedziała mu w kilku słowach, że owdowiała i że Jean-Martin studiuje we Francji, ale Valmorain nie

miał pojęcia, o kogo chodzi. Kiedy dowiedział się, że przyjechała sama, wróciły żądze z czasów młodości. „Mam nadzieję, że uczynisz mi zaszczyt, pozwalając się odwiedzić”, pożegnał ją poufałym tonem, którym nic zwracał się do niej od dziesięciu lat. W tym momencie przerwała im Loula, która miotając przekleństwa, użerała się z dwoma tragarzami mającymi przenieść ich kufry. „Zasady się nie zmieniły. Będzie pan musiał stanąć w kolejce, jeśli chce, by madame go przyjęła”, powiedziała, odpychając Valmoraina łokciem.

Adèle wynajęła drewniany domek na ulicy Rampart, przy której mieszkały wolne Mulatki, w większości utrzymywane przez białych protektorów, zgodnie z tradycyjnym systemem *plaçage* – „lokowania” – sięgającym początków kolonii, kiedy to niełatwo było przekonać młode Europejki, by ruszyły w ślad za mężczyznami w te dzikie okolice. W mieście funkcjonowało około dwóch tysięcy tego rodzaju układów. Dom Adèle był podobny do innych na tej samej ulicy: mały, wygodny, przewiewny, z patio na tyłach, które otaczał mur obrosnięty bugenwillą. Doktor Parmentier mieszkał kilka przecznic dalej, tam też miał swoją klinikę, ale wolne godziny spędzał z rodziną i robił to o wiele bardziej otwarcie niż w Le Cap czy w Hawanie. Jedyną rzeczą, która mogła dziwić w ich sytuacji, był wiek, *plaçage* łączył bowiem białych z piętnastoletnimi Mulatkami, natomiast doktor Parmentier miał właśnie skończyć sześćdziesiątkę, a Adèle wyglądała na babcię każdej ze swoich sąsiadek.

Violette i Loula znalazły większy dom przy ulicy Chartres. Wystarczyła krótka przechadzka po placu Broni, po tamie w porze spacerów i do kościoła księdza Antoine’a w niedzielne południe, by zauważyły, jak próżne są tutejsze kobiety. Białym damom udało się przeforsować ustawę zabraniającą kolorowym noszenia w miejscach publicznych kapeluszy, biżuterii i eleganckich sukni, pod karą chłosty, ale Mulatki wiązały swoje tignony z takim wdziękiem, że prześcigały elegancją najbardziej wytworne kapelusze z Paryża, nosiły dekolty tak kuszące, że jakakolwiek biżuteria tylko odwracałaby od nich uwagę, i stąpały z taką gracją, że białe wyglądały przy nich jak praczki. Violette i Loula natychmiast oszacowały dochody, jakie mogą przynieść im płyny upiększające. Zwłaszcza krem do rozjaśniania skóry przygotowany ze śluzu ślimaka i pereł rozpuszczonych w soku cytrynowym.

## *Szkoła w Bostonie*

Uderzenie batem zadane przez Maurice'a nie przeszkodziło Hortense Guizot w pojawieniu się na słynnym balu u Marigny'ego, bo ukryła pręgę pod cienkim welonem opadającym z tyłu aż do ziemi i zasłaniającym agrafy spinające suknię na plecach. Pozostał jednak brzydki fioletowy ślad, który utrzymał się przez kilka tygodni. Ten siniak sprawił, że udało jej się namówić Valmoraina, by wysłał syna do Bostonu. Miała jeszcze jeden argument: od narodzin Marie-Hortense tylko raz miesiączkowała, znowu zaszła w ciążę i powinna dbać o stan swoich nerwów, dlatego należało na jakiś czas oddalić chłopca. Jej płodność nie miała nic wspólnego z cudem, wbrew temu, co opowiadała przyjaciółkom, albowiem już dwa tygodnie po porodzie swawoliła z mężem z takim samym zapamiętaniem jak w czasie miodowego miesiąca. Była święcie przekonana, że tym razem urodzi chłopca, który odziedziczy nazwisko i przedłuży dynastię. Nikt nie ośmielił się przypomnieć jej o istnieniu Maurice'a Valmoraina.

Maurice znienawidził szkołę, od chwili gdy przekroczył jej próg i zamknął za sobą skrzydła ciężkich drewnianych drzwi. Uczucie odrazy trwało niezmiennie aż do trzeciej klasy, gdy trafił na niezwykłego nauczyciela. Chłopiec przyjechał do Bostonu zimą, kiedy padała lodowata mżawka. Znalazł się w świecie, w którym wszystko było szare, niebo zasnuwały chmury, place pokrywał szron, a drzewa z nielicznymi zeszywniałymi ptaszyskami na nagich gałęziach przypominały szkielety. Do tej pory nie wiedział, co to prawdziwy chłód. Zima ciągnęła się w nieskończoność; bolały go kości, miał sine uszy i czerwone odmrożone dłonie, nie zdejmował płaszcza nawet na noc i żył wpatrzony w niebo w oczekiwaniu na miłosierny promień słońca. W końcu sypialni stał piec na węgiel, który rozpalano tylko na dwie godziny po południu, żeby chłopcy mogli wysuszyć skarpety, Pościel była zawsze lodowata, a ściany usiane zielonkawą pleśnią. Żeby się umyć, rano musieli tłuc w miednicach lodową skorupę.

Chłopcy, hałaśliwi i zaczepni, w mundurkach tak samo szarych jak krajobraz, mówili językiem, który Maurice, jeśli rozszyfrowywał, to tylko dzięki swojemu dawnemu nauczycielowi Gaspardowi Sévérinowi – ten znał kilka słów po angielsku, a resztę improwizował w czasie lekcji, korzystając ze słownika. Minęły miesiące, zanim był w stanie odpowiadać na pytania nauczycieli, i rok, zanim zaczął brać udział w psotach amerykańskich kolegów, którzy nazywali go „Francuzikiem” i zadreńczali, zadając wymyślne cierpienia. Maurice'owi przydały się osobliwe podstawy boksu wuja Sancha, polegające na kopaniu przeciwnika w przyrodzenie. Dzięki lekcjom szermierki mógł wygrywać turnieje zarządzane przez dyrektora szkoły, który robił zakłady z nauczycielami, a potem karał pokonanych uczniów.

Jedzenie posiłków miało cel czysto dydaktyczny – ćwiczyło charakter. Kto był w stanie przełknąć gotowaną wątróbkę albo kurzą szyję z resztkami piór, a do tego kalafior i przypalony ryż, ten mógł stawiać czoła niebezpieczeństwom życia, nawet wojnie, do której Amerykanie wciąż się przygotowywali. Przyzwyczajony do wykwintnej kuchni Célestine Maurice spędził trzynaście dni, poszcząc jak fakir, czym nikt się nie przejął, i kiedy w końcu zemdlał z głodu, nie pozostało mu nic innego, jak jeść to, co nakładano mu na talerz.

Dyscyplina była równie żelazna jak absurdalna. Nieszczęśni chłopcy musieli wyskakiwać z łóżek o świcie, myć się w lodowatej wodzie, dla rozgrzewki (o ile rozgrzaniem można nazwać mrowienie w rękach) trzy razy okrążyć biegiem dziedziniec, ślizgając się na kałużach, studiować łacinę przez dwie godziny przed śniadaniem złożonym z kakao, suchego chleba i owsianki, wytrzymać kilka godzin lekcji, a potem jeszcze zajęcia sportowe, do których Maurice zupełnie się nie nadawał. Pod koniec dnia, kiedy ofiary padały ze zmęczenia, serwowano im umoralniającą pogadankę, która trwała godzinę lub dwie, w zależności od tego, jak bardzo natchniony był dyrektor. Droga krzyżowa kończyła się chóralną recytacją Deklaracji Niepodległości.

Rozpieszczany przez Tété Maurice podporządkował się temu więziennemu reżimowi bez słowa skargi. Wysiłki, by nadążyć za innymi chłopcami i obronić się przed zabijakami, absorbowwały go tak



bardzo, że pozbył się koszmarów i nie myślał już o szubienicach z Le Cap. Lubił się uczyć. Na początku ukrywał głód książek, by nie grzeszyć arogancją, ale wkrótce zaczął pomagać innym w odrabianiu prac domowych i w ten sposób zyskał sobie szacunek. Nikomu się nie przyznał, że potrafi grać na pianinie, tańczyć kadryla i układać wiersze, bo natychmiast by go zniszczyli. Koledzy widzieli, że pisze listy z poświęceniem średniowiecznego mnicha, ale nie kpili z niego otwarcie, bo powiedział im, że wysła je kalekiej matce. Z matki, podobnie jak z ojczyzny, nie wolno żartować: jest święta.

Maurice spędził zimę, kaszląc, ale wraz z nadejściem wiosny wrócił do zdrowia. Przez kilka miesięcy chodził skulony w swoim płaszczu, z głową wtuloną między ramiona, pochylony, niewidoczny. Kiedy słońce rozgrzało mu kości i mógł zdjąć dwie kamizelki, wełniane kalessony, szalik, rękawiczki oraz płaszcz i chodzić wyprostowany, zauważył, że ubranie jest na niego za wąskie i za krótkie. Był klasycznym przykładem na szybki rozwój w okresie dojrzewania – z jednego z najbardziej wychudzonych chłopców w swojej klasie stał się jednym z najwyższych i najsilniejszych. Patrzenie na świat z góry, z przewagą kilku centymetrów, dodawało mu pewności siebie.

Przyzwyczajonemu do wrzącego klimatu Karaibów Maurice'owi lato i jego gorąca wilgoć nie dały się we znaki. Szkoła opustoszała, uczniowie i prawie wszyscy nauczyciele wyjechali na wakacje i chłopak został praktycznie sam, czekając na instrukcje, by wrócić do rodziny. Takie polecenie nigdy nie nadeszło; zamiast tego ojciec wysłał Jules'a Beluche'a, opiekuna, który towarzyszył mu w długiej, przegnębiającej podróży statkiem z domu w Nowym Orleanie, przez wody Zatoki Meksykańskiej, wzdłuż wybrzeży Florydy, po Morzu Sargassowym i falach Oceanu Atlantyckiego, aż do szkoły w Bostonie. Opiekun, daleki ubogi krewny rodziny Guizolów, mężczyzna w średnim wieku, zdjęty litością starał się w miarę możliwości umilić chłopcu podróż, ale we wspomnieniach Maurice'a zawsze już kojarzył się z wygnaniem z ojcowskiego domu.

Beluche pojawił się w szkole z listem od Valmoraina wyjaśniającym synowi powody, dla których w tym roku miał nie wracać do domu, oraz z sumą pieniędzy wystarczającą na zakup ubrań, książek i – tytułem pocieszenia – na zaspokojenie każdej zachcianki. Beluche otrzymał polecenie, by służyć Maurice'owi za przewodnika w kulturoznawczej podróży do historycznego miasta Filadelfia, które każdy młody człowiek o jego pozycji powinien poznać, bo tam właśnie wykiełkowało ziarno narodu amerykańskiego, jak głosił pompacyjny list Valmoraina. Maurice wyjechał z Beluche'em i przez kilka tygodni tej przymusowej turystyki pozostał cichy i obojętny, starając się ukryć zainteresowanie podróżą i zwalczyć w sobie rosnącą sympatię do tego nieboraka.

Następnego lata chłopiec znowu czekał dwa tygodnie w szkole ze spakowanym kufrem, aż zjawił się ten sam opiekun, by zawieźć go do Waszyngtonu i innych miast, których nie miał ochoty zwiedzać.

Harrison Cobb, jeden z nielicznych profesorów, którzy zostawali w szkole na Boże Narodzenie, zwrócił uwagę na Maurice'a Valmoraina, ponieważ był jedynym uczniem, którego nikt nie odwiedzał, który nie dostawał prezentów i spędzał święta, czytając samotnie w niemal pustym budynku. Cobb należał do jednej z najstarszych rodzin w Bostonie, osiadłej w mieście w połowie siedemnastego wieku i mającej szlacheckie korzenie, o czym wszyscy wiedzieli, a czemu on sam zaprzeczał. Jako fanatyczny obrońca republiki amerykańskiej nienawidził szlachty. Ten pierwszy abolicjonista, jakiego poznał Maurice, miał odcisnąć na chłopcu głębokie piętno. W Luizjanie abolicjonizm był traktowany gorzej niż syfilis, ale w stanie Massachusetts bezustannie dyskutowano o niewolnictwie, ponieważ stanowa konstytucja, zreagowana dwadzieścia lat wcześniej, zawierała zakazującą go klauzulę.

Cobb znalazł w Maurisie chłonny umysł i gorące serce, a jego humanitarne argumenty natychmiast trafiały na podatny grunt. Wśród książek, które dał mu do przeczytania, była *Ciekawa opowieść o życiu Olaudah Equiana*, wydana w Londynie w 1789 roku i ciesząca się wielkim powodzeniem. Ta dramatyczna historia afrykańskiego niewolnika, napisana w pierwszej osobie, poruszyła czytelników w Europie i Ameryce, ale w Luizjanie poznało ją niewielu i chłopiec nigdy wcześniej o niej nie słyszał. Profesor i jego uczeń spędzali popołudnia, czytając, analizując i dyskutując. Maurice mógł wreszcie wyrazić

swoje niemiłe odczucie, jakie zawsze budziło w nim niewolnictwo.

– Mój ojciec ma ponad dwustu niewolników, którzy pewnego dnia będą moi – wyznał Cobbowi.

– Czy tego właśnie pragniesz, synu?

– Tak, bo będę mógł ich wyzwolić.

– Wtedy będziemy mieli ponad dwustu Murzynów pozostawionych na pastwę losu i nierozważnego chłopca żyjącego w biedzie. Co się na tym zyska? – odparował profesor. – Walki z niewolnictwem nie prowadzi się plantacja po plantacji, Maurice, trzeba zmienić myślenie ludzi i prawa tego kraju i całego świata. Powinieneś studiować, kształcić się i uczestniczyć w polityce.

– Ja się do tego nie nadaję, proszę pana!

– Skąd wiesz? Wszyscy mamy w sobie nieprzewidywalne pokłady siły, która ujawnia się, kiedy życie wystawia nas na próbę.

## Zarité

Według moich obliczeń spędziłam na plantacji prawie dwa lata, zanim państwo zdecydowali, że znowu mam służyć w mieście. Przez cały ten czas ani razu nie widziałam Maurice'a, bo pan nie pozwalał mu wracać do domu na wakacje. Zawsze robili tak, żeby go gdzieś wysłać, a kiedy w końcu skończył szkołę, ojciec zabrał syna do Francji, by poznał swoją babkę. Ale to było później. Pan wolał trzymać go z daleka od madame Hortense. Nie mogłam też widywać Rosette, ale za każdym razem, gdy pan Murphy jeździł do Nowego Orleanu, przywoził mi od niej wiadomości, „Co zrobisz z taką śliczną dziewczynką, Tété? Powinnaś trzymać ją w zamknięciu, żeby nie wywoływała zamieszek na ulicy”, żartował.

Madame Hortense powiła drugą córkę, Marie-Luise, która urodziła się z dusznością. Klimat nie służył dziewczynce, ale ponieważ nikt nie umie zmienić klimatu, poza Père Antoine'em w beznadziejnych sytuacjach, niewiele można było zrobić, by jej ulżyć. To z jej powodu zabrali mnie z powrotem do domu w mieście. Tego roku przyjechał doktor Parmentier, który wcześniej mieszkał przez długi czas na Kubie, i zastąpił lekarza rodzinnego Guizotów. Pierwsze, co zrobił, to odstawił pijawki i nacierania gorczyczą, które zabijały dziewczynkę. Potem zapytał o mnie. Nie wiem, jakim cudem pamiętał mnie po tylu latach. Przekonał pana, że jestem najbardziej odpowiednią osobą do opieki nad Marie-Luise, bo nauczyłam się dużo od Tante Rose. Kazali – przełożonemu nadzorców wysiać mnie do miasta. Z wielkim smutkiem pożegnałam przyjaciółki i Murphych i po raz pierwszy wyruszyłam w podróż sama, z pisemnym pozwoleniem, żeby mnie nie aresztowali.

Wiele się pozmieniało w Nowym Orleanie w czasie mojej nieobecności: było więcej śmieci, powozów i ludzi, pospiesznie budowano domy i przedłużono ulice.. Nawet targowisko się rozrosło. Don Sancho nie mieszkał już w domu Valmoraina, przeprowadził się do mieszkania w tej samej dzielnicy. Zdaniem Célestine zapomniał o Adi Soupier i teraz kochał się w jakiejś Kubance, której nikt z domu nie miał okazji zobaczyć. Zamieszkałam na poddaszu z Marie-Luise, bladą dziewczynką, tak słabą, że nawet nie płakała. Pomyślałam, że przywiążę ją sobie do ciała, co okazało się tak dobroczynne dla Maurice'a, który też urodził się chorowity, ale madame Hortense powiedziała, że to dobre dla czarnych, ale nie dla jej córki. Nie chciałam kłaść małej do kołyski, boby umarła, i postanowiłam, że będę ją stale nosić na rękach.

Jak tylko nadarzyła się okazja, zagadnęłam pana, żeby przypomnieć mi, że tego roku kończę trzydzieści lat i że należy mi się moja wolność.

– A kto będzie opiekował się moimi córkami? – zapytał.

– Ja, jeśli pan się zgodzi, monsieur.

– To znaczy, że wszystko zostanie po staremu.

– Nie po staremu, monsieur, bo jeśli stanę się wolna, będę mogła odejść, kiedy zechcę, pan i pani nie będą mogli mnie bić i muszą mi coś płacić, żebym miała z czego żyć.

– Płacić! – krzyknął zdziwiony.

– Tak pracują woźnice, kucharki, pielęgniarki, szwaczki i inne wolne osoby, monsieur.

– Widzę, że jesteś bardzo dobrze poinformowana. Wiesz zatem, że nikt nie zatrudnia niańki, zawsze jest nią ktoś z rodziny, to jakby druga matka, a potem jakby babcia.

– Nie jestem z pańskiej rodziny, monsieur, jestem – pańską własnością.

– Zawsze traktowałam cię jak członka rodziny! No nic, jeśli naprawdę tego chcesz, i tak potrzebuję czasu, żeby przekonać madame Hortense, ale wiedz, że to bardzo zły precedens i zaraz zaczniesz się gadać. Zrobię, co będę mógł.

Pozwolił mi pójść zobaczyć się z Rosette. Moja córka zawsze była wysoka i w wieku jedenastu lat wy-

glądała na piętnaście. Pan Murphy nie kłamał, była bardzo ładna. Zakonnicom udało się poskromić jej porywczosć, ale nie wymazały z twarzy uśmiechu z dołeczkami ani uwodzicielskiego spojrzenia. Powitała mnie układnym dygnięciem i zeszywniała, kiedy ją objęłam; myślę, że wstydziła się swojej matki, niewolnicy w kolorze kawy z mlekiem. Na niczym w świecie nie zależało mi bardziej niż na mojej córce. Żyliśmy złączone jak jedno ciało, jedna dusza, dopóki do rozstania nie zmusił mnie strach przed tym, że ją sprzedadzą albo że kiedy osiągnie dojrzałość, zgwałci ją własny ojciec, jak zrobił ze mną. Nieraz widziałam, jak pan ją obmacuje, tak jak mężczyźni dotykają dziewczynki, żeby sprawdzić, czy są już dojrzałe. To było, zanim ożenił się z madame Hortense, kiedy moja Rosette była ufnym dzieckiem i siadała mu na kolanach spragniona pieścizot. Zabolał mnie chłód córki: chciałam ją chronić, ale być może ją straciłam.

W Rosette nie zostało nic z jej afrykańskich korzeni. Wiedziała o moich loa i o Gwinei, ale w szkole zapomniała o wszystkim i stała się katoliczką; zakonnice bity się wodou prawie tak samo jak protestantów, żydów i kaintoeks. Czy mogłam mieć jej za złe, że pragnie życia lepszego niż moje? Ona chciała być taka jak Valmorainowie, nie taka jak ja. Rozmawiała ze mną z fałszywą uprzejmością, tonem, którego nie znałam, jak z obcą osobą. Tak to zapamiętałam. Powiedziała, że lubi szkołę, że zakonnice są dobre i że uczą ją muzyki, religii i ładnego pisania, ale żadnych tańców, ho te kuszą szatana. Zapytałam ją o Maurice'a i odparła, że miewa nie dobrze, ale dokucza mu samotność i chciałby wrócić. Wiedziała, co u niego słyhać, bo pisywali do siebie, jak zawsze od momentu rozstania. Listy szły dość długo, ale oni wysyłali jeden za drugim, nie czekając na odpowiedź, jak w rozmowie gęsi z prosięciem. Rosette mówiła, że czasami przychodziło ich pół tuzina jednego dnia, a potem przez kilka tygodni nie było żadnych wieści. Teraz, pięć lat później, wiem, że w listach nazywali siebie bratem i siostrą, by zmylić zakonnice, które otwierały korespondencję wychowanek. Mieli religijny szyfr do wyrażania swoich uczuć: Duch Święty oznaczał miłość, pocałunki były modlitwami, Rosette – aniołem stróżem, on mógł być dowolnym świętym lub męczennikiem z kalendarza katolickiego, a urszulanki występowały rzecz jasna jako diabły. Maurice pisał na przykład, że Duch Święty nawiedza go nocą, kiedy śni o aniele stróżu, a po przebudzeniu ma ochotę modlić się i modlić. Ona mu odpisywała, że modli się za niego i że musi uważać na zastępy demonów, które nieustannie zagrażają śmiertelnikom. Teraz trzymam te listy w szkatułce i choć nie znam liter, wiem, co zawierają, bo Maurice przeczytał mi niektóre fragmenty, te mniej zuchwałe. Rosette podziękowała mi za słodycze, wstążki i książki, które dostawała w prezencie, ale to nie ja je wysyłałam. Jak mogłabym to zrobić, nie mając pieniędzy? Powiedziałam, że pewnie przywoził je pan Valmorain, ale odparła, że nigdy jej nie odwiedził. To don Sancho dawał jej prezenty w moim imieniu. Niech Bondye błogostawi dobremu don Sanchowi! Erzulie, loa matko, nie miałam nic do ofiarowania własnej córce. Tak było.

## Obietnica do spełnienia

Przy pierwszej nadarżającej się okazji Tété poszła na rozmowę do Père Antoine'a. Musiała poczekać na niego kilka godzin, bo akurat odwiedzał w więzieniu skazanych. Znosił im jedzenie i przemywał rany, a strażnicy nie mieli odwagi mu tego zabronić, bo rozeszła się pogłoska o jego świętości i byli tacy, którzy twierdzili, że widziano go w kilku miejscach jednocześnie i że czasami chodzi ze świetlistą aureolą nad głową. W końcu kapucyn dotarł do kamiennego domku, który służył mu za mieszkanie i biuro, z pustym koszem i przemożną chęcią, by wreszcie odpocząć, ale czekali na niego inni potrzebujący. Poza tym brakowało jeszcze trochę do zachodu słońca – pory pacierza, kiedy jego kości zażywały przez chwilę odpoczynku, a dusza unosiła się ku niebu. „Bardzo żałuję, siostró Lucie, że nie starcza mi zapału, żeby modlić się więcej i lepiej”, mawiał do zakonnicy, która go doglądała. „*Mon père*, po co chce się ojciec więcej modlić, skoro już jest świętym?”, odpowiadała mu niezmiennie. Przyjął Tété z otwartymi ramionami, jak wszystkich. Nie zmienił się, miał to samo łagodne spojrzenie wielkiego psa, tak samo pachniał czosnkiem, nosił tę samą brudną sutannę, drewniany krzyż i brodę proroka.

– Gdzie się podziewałaś, Tété? – zawołał.

– Ojciec ma tysiące parafian, *mon père*, a pamięta moje imię – zauważyła poruszona.

Wyjaśniła, że była na plantacji i po raz drugi pokazała mu papier przyznający jej wolność, poźółkły i łamliwy, który trzymała od wielu lat i który na razie do niczego się nie przydał, bo pan zawsze znajdował jakiś powód, żeby odwlec to, co jej obiecał. Père Antoine wcisnął na nos grube jak teleskop okulary, przysunął dokument do jedynej świecy, jaka znajdowała się w pokoju, i powoli go przeczytał.

– Kto jeszcze o tym wie, Tété? Mam na myśli kogoś, kto mieszka w Nowym Orleanie.

– Doktor Parmentier widział ten papier, kiedy byliśmy na Saint-Domingue, ale teraz mieszka tutaj. Pokazałam go również don Sanchowi García del Solar, szwagrowi mojego pana.

Zakonnik usiadł przy chybotliwym stoliku i zaczął pisać coś mozolnie, bo choć rzeczy z tamtego świata postrzegał wyraźnie, rzeczy z tego świata widział jakby przez lekką mgiełkę. Wręczył jej dwa pisma powalane atramentem i poinstruował, żeby przekazała je do rąk własnych obu dżentelmenom.

– Co jest w tych listach, *mon père*? – dopytywała Tété.

– Żeby przyszli ze mną porozmawiać. Ty też powinnaś przyjść tutaj w następną niedzielę po mszy. Tymczasem ja przechowam dokument.

– Proszę mi wybaczyć, *mon père*, ale nigdy nie rozstawałam się z tym papierem... – odparła podejrzliwie.

– Zatem to będzie pierwszy raz – uśmiechnął się kapucyn, chowając dokument do szuflady stolika. – Nie bój się, córko, tu jest bezpieczny.

Stół na chwiejnych nogach nie wydawał się najlepszym miejscem dla najcenniejszej rzeczy, którą posiadała, ale Tété nie miała odwagi głośno wyrazić swoich wątpliwości.

W każdą niedzielę pół miasta gromadziło się w katedrze, w tym także rodziny Guizotów i Valmorainów z częścią służby domowej. Nie licząc targowiska, było to jedyne miejsce w Nowym Orleanie, gdzie mieszały się biali i kolorowi, wolni i niewolnicy, choć kobiety siadały po jednej stronie, a mężczyźni po drugiej. Protestancki pastor goszczący przejazdem w mieście napisał gdzieś w gazecie, że kościół Père Antoine'a jest najbardziej tolerancyjnym miejscem w całym chrześcijańskim świecie. Tété nie zawsze mogła uczestniczyć we mszy, była uzależniona od astmy Marie-Luise, ale tego dnia mała obudziła się w dobrej formie i mogli ją zabrać ze sobą. Po uroczystości zostawiła dziewczynki pod opieką Denise i powiedziała pani, że trochę się spóźni, bo musi porozmawiać ze świętym. Hortense nie sprzeciwiła się, myśląc, że Tété pójdzie wreszcie do spowiedzi. Niewolnica przywiozła z Saint-Domingue swoje szatańskie przesady i któż, jeśli nie Père Antoine, mógł wybawić jej duszę od vodou. Zona

Valmoraina często wymieniała ze swoimi siostrami uwagi na temat niewolników z Antyli, którzy ten straszny afrykański kult przenieśli do Luizjany. Mogły się o tym przekonać na placu Congo, gdzie chodziły z mężami i przyjaciółmi popatrzeć – z czystej ciekawości – na murzyńskie orgie. Kiedyś było to zwykle wymachiwanie kończynami i hałasy, teraz brała w tym udział czarownica, która tańczyła jak opętana z długim, grubym węzłem oplatającym jej ciało, a połowa uczestników wpadała w trans. Nazwała się Sanité Dédé i przyjechała z Saint-Domingue z innymi Murzynami i z diabłem w środku. Trzeba było widzieć to groteskowe widowisko z udziałem mężczyzn i kobiet toczących pianę z ust i wywracających białka oczu, którzy potem wczolgiwali się w krzaki i tarzali tam jak zwierzęta. Ludzie ci oddawali cześć mieszaninie afrykańskich bogów i katolickich świętych, Mojżeszowi, planetom i miejscu zwanemu Gwineą. Tylko Père Antoine był w stanie rozeznaczyć się w tym zamęcie i niestety przymykał na niego oko. Hortense Guizot zapewniała, że gdyby nie był świętym, sama zaczęłaby publiczną kampanię, aby usunąć go z katedry. Słyszała o ceremoniach vodou, podczas których wypijano krew złożonych w ofierze zwierząt; pojawiał się tam szatan we własnej osobie, aby spółkować z kobietami od przodu i z mężczyznami od tyłu. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby niewolnica, której powierzyła ni mniej, ni więcej, tylko swoje niewinne córki, brała udział w takich bachanaliach.

W domku z kamienia czekali już na krzesłach kapucyn oraz zaintrygowani Parmentier, Sancho i Valmorain, którzy nie wiedzieli, po co ich wezwano. Święty znał strategiczną wartość ataku przez zaskoczenie. Stareńka siostra Lucie, szurając pantoflami i z trudem utrzymując w równowadze tacę, podała im pośledniego gatunku wino w wyszczerbionych glinianych czarkach i zostawiła ich samych. Był to znak, na który czekała Tété, aby wejść, zgodnie z poleceniem zakonnika.

– Wezwałem was do tego domu bożego, żeby sprostować pewne nieporozumienie, moje dzieci – powiedział Père Antoine, wyciągając z szuflady papier. – Zgodnie z tym dokumentem ta oto dobra kobieta, Tété, powinna zostać wyzwolona siedem lat temu. Czyż nie tak, monsieur Valmorain?

– Siedem lat? Ale Tété skończyła właśnie trzydzieści! Nie mogłem jej wcześniej wyzwolić! – zakrzyknął wywołany do tablicy.

– Zgodnie z Czarnym Kodeksem niewolnik, który ratuje życie członkowi rodziny swojego pana, ma prawo do natychmiastowej wolności, niezależnie od wieku. Tété uratowała życie panu i pańskiemu synowi Maurice'owi.

– Tego nie da się udowodnić, *mon père* – odparł Valmorain z pogardliwym grymasem na twarzy.

– Pańska plantacja na Saint-Domingue spłonęła, pańskich nadzorców zabito, wszyscy pańscy niewolnicy uciekli i przyłączyli się do buntowników. Powiedz mi, synu, czy sądzisz, że przeżyłbyś bez pomocy tej kobiety?

Valmorain wziął do ręki papier i rzucił na niego okiem z głośnym prychnięciem.

– Tu nie ma daty, *mon père*.

– Rzeczywiście, wydaje się, że w pośpiechu i z nerwów spowodowanych ucieczką zapomniał pan ją wstawić. To zrozumiałe. Na szczęście doktor Parmentier widział ten dokument w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim w Le Cap, możemy więc założyć, że nosi datę z tamtego okresu. Ale to najmniej ważne. Jesteśmy tu w gronie chrześcijańskich dżentelmenów, ludzi wian' mających dobre intencje. W imię Boga proszę pana, monsieur Valmorain, aby dotrzymał pan słowa.

Święty przeszył Valmoraina spojrzeniem. Ten odwrócił się w stronę Parmentiera, który wbił wzrok w swoją czarkę z winem, sparaliżowany koniecznością wyboru między lojalnością wobec przyjaciela, wszak tak wiele mu zawdzięczał, a szlachetnością, do której po mistrzowsku odwołał się Père Antoine. Sancho z trudem skrywał uśmiech pod wyzywającym wąsem. Cała sprawa ogromnie go bawiła, bo od lat przypominał szwagrowi, że musi jakoś rozwiązać problem konkubiny, ale trzeba było aż bożej interwencji, żeby się tym zajął. Nie rozumiał, dlaczego Toulouse zatrzymuje Tété, skoro już jej nie pożąda i skoro jej obecność w oczywisty sposób ciąży Hortense. Valmorainowie mogli wybrać spośród swoich licznych niewolnic inną piastunkę dla córek.

– Proszę się nie martwić, *mon père*, mój szwagier zrobi to co należy – wtrącił się po krótkiej chwili ciszy. – Doktor Parmentier i ja będziemy świadkami. Jutro pójdziemy do sędziego, żeby zalegalizować wyzwolenie Tété.

– Dobrze, moje dzieci. Winszuję, Tété, od jutra będziesz wolna – ogłosił Père Antoine, wznosząc toast filiżanką.

Mężczyźni wykonali ruch, jakby chcieli opróżnić swoje czarki, jednak żaden z nich nie był w stanie przełknąć ohydneho płynu; wstali, zbierając się do wyjścia, ale Tété ich zatrzymała.

– Chwileczkę. A Rosette? Ona też ma prawo do wolności. Tak mówi dokument.

Valmorainowi uderzyła do głowy krew, a między żebrami zabrakło powietrza. Ścisnął rączkę swojej laski tak mocno, że zbieleły mu kostki palców, i z trudem powstrzymał się, żeby nie podnieść jej na zuchwałą niewolnicę, ale zanim zdążył zareagować, wtrącił się święty.

– Oczywiście, Tété. Monsieur Valmorain wie, że dotyczy to również Rosette. Jutro ona też będzie wolna. Doktor Parmentier i don Sancho dopilnują, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Niech Bóg was błogosławi, moje dzieci...

Trzej mężczyźni wyszli, a zakonnik zaproponował Tété, by uczcili szczęśliwe zakończenie filiżanką czekolady. Godzinę później, kiedy wróciła do domu, jej państwo czekali w salonie, siedząc obok siebie na krzesłach z wysokimi oparciami, jak dwójka surowych sędziów. Hortense wściekła, a Valmorain obrażony, bo nie mieściło mu się w głowie, że kobieta, na którą mógł liczyć przez dwadzieścia lat, upokorzyła go w obecności księdza i najbliższych przyjaciół. Hortense zapowiedziała, że wniesie sprawę do sądu: dokument został napisany pod presją i był nieważny, ale Valmorain uznał, że nic tędy droga – nie chciał skandalu.

Państwo przerywali sobie w pół słowa, zasypując niewolnicę oskarżeniami, ale ona ich nic słuchała, bo w jej głowie radośnie pobrzękiwały dzwoneczki. „Niewdzięcznico! Skoro myślisz tylko o tym, żeby odejść, to odejdiesz natychmiast. Nawet twoje ubranie jest naszą własnością, ale możesz je sobie zabrać, żebyś nie wyszła stąd naga. Daję ci pół godziny na opuszczenie tego domu i niech twoja noga więcej tu nie postanie. Zobaczymy, jak sobie dasz radę na ulicy! Będziesz mogła co najwyżej oddawać się marynarzom jak jakaś łajdaczka”, ryczała Hortense, waląc batem w nogi krzesła.

Tété opuściła pokój, zamknęła ostrożnie drzwi i poszła do kuchni, gdzie wszyscy wiedzieli już, co się wydarzyło. Ryzykując, że ściągnie na siebie gniew pani, Denise zaproponowała, aby spała z nią i odeszła o świcie, dzięki czemu nie musiałyby spędzić nocy na dworze. Nie była jeszcze wolna i jeśli straż zatrzymałaby ją bez glejtu, wylądowałaby w więzieniu. Ona jednak nie mogła się doczekać, kiedy sobie pójdzie. Uściskała wszystkich po kolei, obiecując, że będzie się z nimi widywać na mszy, na placu Congo i na targowisku; nie zamierzała wyjeżdżać, powiedziała, że Nowy Orlean jest dla niej doskonałym miastem. „Nie będziesz miała pana, który cię ochroni, Tété, może ci się wszystko przydarzyć. Tam na zewnątrz czyha wiele niebezpieczeństw. Z czego będziesz żyć?”, zapytała ją Célestine.

– Z tego, z czego zawsze żyłam. Z pracy.

Nie zatrzymała się, by zabrać z pokoju swój skromny majątek, wzięła tylko papier dający jej wolność i koszyk zjedzeniem, który przygotowała Célestine. Przecięła plac lekkim krokiem, okrążyła katedrę i zastukała do drzwi domku świętego. Otworzyła jej siostra Lucie ze świecą w dłoni i nie zadając żadnych pytań, poprowadziła korytarzem łączącym dom z kościołem, do słabo oświetlonej sali, gdzie za stołem, przy talerzach z zupą i chlebie siedział tuzin biedaków. Père Antoine jadł z nimi. „Siadaj, moje dziecko, czekaliśmy na ciebie. Siostra Lucie przygotowuje ci jakiś kąs, gdzie na razie będziesz mogła spać”, powiedział.

Następnego dnia święty towarzyszył jej do sądu. Dokładnie o wyznaczonej godzinie stawili się Valmorain, Parmentier i Sancho, aby zalegalizować wyzwolenie „kobiety Zarité, zwanej Tété, Mulatki, lat trzydzieści, dobrego prowadzenia, za lojalną służbę. Mocą niniejszego dokumentu, jej córka Rosette, Mulatka drugiego stopnia, lat jedenaście, jest własnością wspomnianej Zarité jako niewolnica”. Sędzia

nakazał wywiesić ogłoszenie mówiące, że „osoby, które mają zastrzeżenia prawne, powinny stawić się w tutejszym sądzie nie później niż w terminie czterdziestu dni, licząc od dnia dzisiejszego”. Po zakończeniu formalności, które trwały zaledwie dziewięć minut, wszyscy opuścili budynek w dobrym nastroju, nie wyłączając Valmoraina, ponieważ w nocy, kiedy Hortense usnęła zmęczona wybuchem wściekłości i biadoleniem, miał czas, żeby wszystko przemyśleć, i doszedł do wniosku, że musi przyznać Sanchowi rację: powinien pozbyć się Tété. W drzwiach sądu przytrzymał ją za ramię.

– Chociaż wyrządziłaś mi wielką krzywdę, nie żywię do ciebie urazy – powiedział ojcowskim tonem, rad, że okazał taką wielkoduszność. – Myślę, że skończysz jako żebraczka, ale uratuję przynajmniej Rosette. Pozostanie nadal u urszulanek, dopóki nie skończy nauki.

– Pańska córka będzie panu za to wdzięczna, monsieur – odparła i odeszła ulicą tanecznym krokiem.



## Święty z Nowego Orleanu

Przez pierwsze dwa tygodnie Tété zarabiała na chleb i siennik do spania, pomagając Père Antoine'owi w jego rozlicznych dziełach miłosierdzia. Wstawiała przed świtem, kiedy on już od dłuższego czasu się modlił, i towarzyszyła mu do więzienia, szpitala, przytułku dla obłąkanych, sierocińca i kilku prywatnych domów, gdzie udzielał komunii przykutym do łóżka starcom i chorym. Przez cały dzień, czy to w słońcu, czy w deszczu, chuda postać zakonnika w brązowym habicie i ze zmierzwioną brodą krążyła po mieście. Widywano go w domach bogaczy i w ubogich chatkach, w klasztorach i w burdelach, jak prosi o jałmużnę na targowisku i w pijalniach kawy albo jak rozdaje chleb okaleczonym żebrakom i wodę niewolnikom na licytacjach w Maspero Échange, zawsze w asyście sfory wygłodniałych psów. Nigdy nie zapomniał podnieść na duchu skazańców zakutych w dyby ustawione na ulicy za budynkiem rady miejskiej, najbardziej nieszczęsnych owieczek z jego stada, którym z powodu słabego wzroku oczyszczał rany tak niezdarnie, że Tété musiała interweniować.

– Masz anielskie dłonie, Tété! Pan cię wyznaczył, żebyś była pielęgniarką. Może zostaniesz i będziesz pracować ze mną? – zaproponował święty.

– Nie jestem zakonnica, *mon père*, nie mogę wiecznie pracować za darmo, muszę utrzymać córkę.

– Nie ulegaj zachłanności, moje dziecko; za służbę bliźniemu czeka zapłata w niebie, tak obiecał Jezus.

– Proszę mu powiedzieć, żeby już tutaj mi zapłacił, choćby troszeczkę.

– Powiem mu, córko, ale Jezus ma mnóstwo wydatków – odparł zakonnik z szelmowskim uśmiechem.

Po zmierzchu wracali do kamiennego domku, gdzie czekała na nich siostra Lucie z wodą i mydłem, aby mogli umyć się przed posiłkiem spożywanym w towarzystwie ubogich. Tété moczyła sobie nogi w wiadrze z wodą i cięła pasy z materiału, które służyły jako bandaże, a on spowiadał, wcielał się w rolę sędziego, naprawiał krzywdy, łagodził urazy. Nie udzielał rad, bo wiedział z doświadczenia, że to strata czasu – każdy popełnia własne błędy i na nich się uczy.

W nocy święty zarzucał na siebie zjedzoną przez mole derkę i razem z Tété wychodził bratać się z najbardziej niebezpieczną hołotą, uzbrojony w lampę, jako że żadna z osiemdziesięciu miejskich latarni nie stała w miejscu, w którym mogłaby mu się przydać. Przestępcy tolerowali go, ponieważ na wyzwiska odpowiadał błogosławieństwem wypowiedzanym sarkastycznym tonem i nie dawał się nikomu zastraszyć. Nie przychodził jako zarozumialec, który potępia, ani po to, by zbawiać dusze, tylko by opatrywać podźganych nożem, rozdzielać porywczych, zapobiegać samobójstwom, wspomagać kobiety, zbierać zwłoki i zaganiać dzieci do prowadzonego przez zakonnice sierocińca. Jeśli jakiś nieorientowany *kaintock* odważył się go tknąć, setka uniesionych pięści uświadamiała przybyszowi, kim jest Père Antoine. Zapuszczał się w głąb dzielnicy El Pantano, najgorszej jaskini grzechu w całym dorzeczu Missisipi, chroniony przez swoją niezmaconą prostotę i domniemaną aureolę. W tamtejszych szulerniach i lupanarach zbierali się wioślarze, piraci, sutenerzy, dziwki, dezertery z wojska, hulaszcy marynarze, złodzieje i mordercy. Przerazona Tété brnęła, omijając błoto, wymiociny, gówna i szczury, uczepiona habitu kapucyna, głośno wzywając Erzulie. On natomiast w poczuciu zagrożenia znajdował przyjemność. „Jezus czuwa nad nami, Tété”, zapewniał ją cały szczęśliwy. „A co będzie, *mon père*, jeśli się na chwilę zagapi?”

Po dwóch tygodniach Tété miała poranione nogi, łamało ją w krzyżu, a serce ścisnęło się na myśl o ludzkiej nędzy i z powodu wątpliwości, czy ścinanie trzciny nie jest o wiele lżejszym zajęciem niż okazywanie miłosierdzia niewdzięcznikom. Któregoś wtorku spotkała na placu Broni Sancha Gardę del Solar, ubranego na czarno i tak wyperfumowanego, że nawet muchy się do niego nie zbliżały, bardzo za-

dowolonego, bo właśnie wygrał w *écarte* z jakimś zbyt pewnym siebie Amerykaninem. Ku zdumieniu przechodniów powitał ją wytwornym ukłonem, ucałował w dłoń i zaprosił na kawę.

– Tylko szybko, don Sancho, bo zaraz przyjdzie po mnie *mon père*, który leczy teraz krosty jakiegoś grzesznika i nie sądzę, żeby zajęło mu to dużo czasu.

– Nie pomagasz mu, Tété?

– Pomagam, ale ten grzesznik ma chorobę hiszpańską, a *mon père* nie pozwala mi oglądać wstydliwych części ciała. Jakby to było dla mnie coś nowego!

– Święty ma absolutną rację, Tété. Gdyby mnie zaatakowała ta choroba – Boże, uchwaj! – nie chciałbym, żeby piękna kobieta obrażała moją wstydlivość.

– Proszę nie kpić, don Sancho, przecież takie nieszczęście może się przytrafić każdemu. Oczywiście z wyjątkiem Père Antoine’a.

Usiedli przy stoliku z widokiem na plac. Właściciel kawiarni, wolny Mulat, znajomy Sancha, nie krył zdziwienia wobec kontrastu, jaki stanowili Hiszpan i jego towarzyszka: on wyglądał jak król, ona jak żebraczka. Sancho też zwrócił uwagę na opłakany stan Tété, a kiedy opowiedziała mu, jak spędziła ostatnie dwa tygodnie, wybuchnął gromkim śmiechem.

– Świętość to z pewnością ciężkie brzemię, Tété. Musisz uciec od Père Antoine’a albo skończysz jak zgrzybiała siostra Lucie – powiedział.

– Nie mogę za długo nadużywać uprzejmości Père Antoine’a, don Sancho. Odejdę, kiedy od wyroku sędziego minie czterdzieści dni i będę już wolna. Wtedy zobaczę, co zrobię; muszę zdobyć pracę.

– A Rosette?

– Nadal jest u urszulanek. Wiem, że pan ją odwiedza i zanosz jej prezenty w moim imieniu. Jak mogę odwdziżyć się za pańską dobroć, don Sancho?

– Nie jesteś mi nic winna, Tété.

– Muszę zaoszczędzić trochę pieniędzy dla Rosette, kiedy skończy szkołę.

– A co mówi Père Antoine? – zapytał Sancho, wysypując do swojej filiżanki z kawą pięć łyżeczek cukru i dodając kilka kropli koniaku.

– Że Bóg dopomoże.

– Mam nadzieję, że tak się stanie, ale na wszelki wypadek dobrze by było, żebyś miała jakiś plan awaryjny. Potrzebuję gospodyni, mój dom jest w opłakanym stanie, ale jeśli cię zatrudnię, Valmorainowie nigdy mi tego nie wybaczą.

– Rozumiem, don Sancho. Ktoś da mi pracę, jestem pewna.

– Do ciężkich robót są niewolnicy, od uprawiania pól po opiekę nad dziećmi. Wiedziałaś, że w Nowym Orleanie są trzy tysiące niewolników?

– A ile jest wolnych osób?

– Mówią, że jakieś pięć tysięcy białych i dwa tysiące kolorowych.

– Czyli wolnych ludzi jest ponad dwa razy więcej niż niewolników – obliczyła. – Jak miałabym nie znaleźć kogoś, kto będzie mnie potrzebował! Na przykład jakiegoś abolicjonistę.

– Abolicjonistę w Luizjanie? Jeśli takowi istnieją, to są dobrze ukryci – zaśmiał się Sancho.

– Nie umiem czytać, pisać ani gotować, ale znam się na pracach domowych, potrafię przyjąć poród, zszywać rany i leczyć choroby – nie dawała za wygraną.

– Nie będzie łatwo, ale spróbuję ci pomóc – powiedział Sancho. – Mam przyjaciółkę, która twierdzi, że niewolnicy wychodzą drożej niż pracownicy. Jedna wolna osoba pracująca z ochotą może zrobić sama to, do czego potrzeba kilku opieszających niewolników. Rozumiesz?

Mniej więcej – przyznała Tété, starając się zapamiętać każde słowo, by potem powtórzyć je Père Antoine’owi.

– Niewolnikowi brakuje motywacji, opłaca mu się pracować powoli i źle, bo jego wysiłek przynosi korzyści tylko panu, a wolni ludzie pracują, żeby odłożyć pieniądze i awansować, i to jest ich motywa-

cją.

– Motywacją w Saint-Lazare był bat pana Cambraya – odparła.

– I sama widzisz, jak skończyła ta kolonia, Tété. Nie można w nieskończoność stosować terroru.

– Pan musi być ukrytym abolicjonista, don Sancho, bo mówi pan jak nauczyciel Gaspard Sévérin i monsieur Zacharie w Le Cap.

– Nie powtarzaj tego przy ludziach, bo narobisz mi kłopotów. Jutro chcę cię widzieć w tym samym miejscu, czystą i ładnie ubraną. Pójdziemy odwiedzić moją przyjaciółkę.

Następnego dnia Père Antoine sam ruszył do swoich zajęć, a Tété, w świeżo upranej sukience (jedynej, jaką miała) i w wykrochmalonym tignonie, poszła z Sancho pierwszy raz w życiu szukać pracy. Nie uszli daleko, kilka przecznic kolorową uliczką Chartres, przy której mieściły się sklepy z kapeluszami, koronkami, trzewikami, tkaninami i wszystkim, co służyło zaspokajaniu kobiecej kokieterii. Zatrzymali się przed dwupiętrowym domem pomalowanym na żółto, z żelaznymi balkonami w zielonym kolorze.

Sancho zastukał do drzwi małą kołatką w kształcie ropuchy; otworzyła im gruba Murzynka, która widząc Sancha, zamieniła grymas niezadowolenia w szeroki uśmiech. Tété pomyślała, że po dwudziestu latach zatoczyła koło, by skończyć w tym samym miejscu, w którym znalazła się, kiedy opuściła dom madame Delphine. Miała przed sobą Loulę. Kobieta jej nie rozpoznała, to byłoby niemożliwe, ale ponieważ przyszła z Sanchem, przywitała ją i zaprowadziła do salonu. „Madame zaraz przyjdzie, don Sancho. Oczekuje pana”, powiedziała i zniknęła, a jej słoniowe kroki zadudniły na deskach podłogi.

Kilka minut później Tété z sercem w gardle zobaczyła tę samą Violette Boisier co w Le Cap, równie piękną jak wtedy, tryskającą pewnością siebie, którą dają lata i wspomnienia. Sancho zmienił się w okamgnieniu. Zniknęła chępliwość hiszpańskiego samca, był nieśmiałym chłopcem, który pochylał się, by ucałować dłoń piękności, i czubkiem szpady przewrócił mały stolik. Tété zdołała złapać w powietrzu porcelanową figurkę średniowiecznego trubadura i przycisnęła ją do piersi, patrząc w osłupieniu na Violette. „Mniemam, że to jest kobieta, o której mi mówiłeś, Sancho”, powiedziała. Tété dostrzegła zażyłość w sposobie, w jaki się do niego zwróciła, i zmieszanie Sancha; przypomniała sobie plotki i zrozumiała, że to Violette jest ową Kubanką, która zdaniem Célestine zastąpiła Adi Soupir w kochliwym sercu Hiszpana.

– Madame... Poznałyśmy się wiele lat temu. Kupiła mnie pani od madame Delphine, kiedy byłam dzieckiem – zdołała wykrztusić Tété.

– Tak? Nie pamiętam – zawahała się Violette.

– W Le Cap. Kupiła mnie pani dla monsieur Valmoraina. Jestem Zarité.

– Oczywiście! Podejdź do okna, żebym mogła ci się dobrze przyjrzeć. Jak miałabym cię rozpoznać? Byłaś wtedy chudą dziewczynką opętaną myślą o ucieczce.

– Teraz jestem wolna. No, prawie wolna.

– Mój Boże, co za dziwny zbieg okoliczności. Loula! Chodź zobaczyć, kto przyszedł! – zawołała Violette.

Loula weszła, wlokąc swoje cielsko, a kiedy zrozumiała, o kogo chodzi, zgmiotła Tété w gorylim uścisku. Kilka łez napłynęło do oczu kobiety na wspomnienie Honoré, kojarzącego się w jej pamięci z dziewczynką, którą była wówczas Zarité. Powiedziała, że przed powrotem do Francji madame Delphine próbowała go sprzedać, ale nie miał żadnej wartości, był schorowanym starcem; musiała go wyzwolić, żeby sam sobie radził, żebrząc o jałmużnę.

– Odszedł z buntownikami przed wybuchem rewolucji. Przyszedł się ze mną pożegnać, byliśmy przyjaciółmi. Prawdziwy dżentelmen z tego Honoré. Nie wiem, czy udało mu się dojść do gór, bo droga była stroma, a on miał powykręcane kości. Jeśli doszedł, kto wie, czy go przyjęli, nie był w stanie walczyć na żadnej wojnie – westchnęła Loula.

– Na pewno go przyjęli, bo potrafił grać na bębnach i gotować. To ważniejsze niż noszenie broni – pocieszyła ją Tété.

Pożegnała się z księdzem i stareńką siostrą Lucie, obiecując, że w miarę możliwości będzie pomagać im przy chorych, i została u Violette i Louli, o czym tak marzyła w wieku dziesięciu lat. Żeby zaspokoić nurtującą ją od dwóch dekad ciekawość, zapytała, ile Violette zapłaciła za nią madame Delphine, i dowiedziała się, że kosztowała tyle co para kóz, a kiedy została oddana Valmorainowi, cena wzrosła o piętnaście procent. „To więcej niż twoja ówczesna wartość, Tété. Byłaś brzydką, źle wychowaną dziewczynką”, zapewniła Loula z poważną miną.

Przydzielono jej jedyny pokój dla niewolników w całym domu, klitkę bez wentylacji, ale czystą; Violette przejrzała swoje rzeczy i znalazła dla niej odpowiedni strój. Tété miała tyle obowiązków, że trudno byłoby je wyliczyć. Polegały głównie na wypełnianiu poleceń Louli, której wiek ani siły nie pozwalały na angażowanie się w domowe roboty i która spędzała dni w kuchni, przygotowując upiększające maści i syropy rozbudzające zmysłowość. Na ulicy nie było żadnego szyldu informującego, co oferowano w tych czterech ścianach – wystarczały wiadomości przekazywane z ust do ust, które przyciągały niekończący się sznur kobiet w różnym wieku, w większości kolorowych, choć przychodziły także białe damy, ukryte pod gęstymi woalkami.

Violette przyjmowała tylko po południu, zachowała bowiem zwyczaj poświęcania porannych godzin na toaletę i odpoczynek. Jej skóra, rzadko wystawiana na światło słoneczne, pozostała delikatna jak *crème caramel*, a drobne zmarszczki pod oczami dodawały jej wyrazistości. Dłonie, które nigdy niczego nie uprały ani nie ugotowały, były młode, a kilka dodatkowych kilogramów podkreśliło jej kształty i zaokrągliło figurę, nie nadając jednak wyglądu matrony. Dzięki tajemniczym balsomom przetrwał agatowy kolor jej włosów, które jak dawniej czesała w skomplikowany kok, wypuszczając kilka loków mających działać na wyobraźnię. Nadal budziła pożądanie u mężczyzn i zazdrość u kobiet. Wiedziała o tym i dlatego odważnie kołysała biodrami, a jej śmiech przypominał mruczenie zadowolonej kotki. Klientki powierzały Violette swoje zmartwienia, po cichu prosiły o radę i nie targując się, w całkowitej tajemnicy, kupowały wyrabiane przez nią mikstury. Tété towarzyszyła madame, kiedy ta szukała składników: od pereł do rozjaśnienia skóry, które dostarczali jej piraci, po buteleczki z malowanego szkła, które pewien kapitan przywoził z Włoch. „Opakowanie liczy się bardziej niż zawartość. Ważny jest wygląd”, wyjaśniła Violette. „Père Antoine twierdzi coś przeciwnego”, roześmiała się Tété.

Raz w tygodniu szły do pisarza miejskiego, któremu Violette podawała przybliżoną treść listu do przebywającego we Francji syna. Skryba ubierał jej myśli w kwieciste zdania i pięknie kaligrafował. Po niespełna dwóch miesiącach listy docierały do rąk młodego kadeta, który od razu odpowiadał czterema zdaniami pisanymi wojskowym żargonem, informując na przykład, że ma się dobrze i że uczy się języka wroga, nie precyzując, o jakiego wroga konkretnie chodzi, bo Francja miała ich wielu. „Jest taki sam jak ojciec”, wzdychała Violette, czytając jego zaszyfrowane listy. Kiedy Tété ośmieliła się zapytać, co sprawiło, że jej ciało nie zwiotczało po ciąży, Violette odparła, że odziedziczyła to po senegalskiej babce. Nie przyznała się, że Jean-Martin został adoptowany, tak jak nigdy nie wspomniała o swoim romansie z Valmorainem. Opowiadała natomiast o długim związku z Étienne'em Relais'm, kochankiem i mężem, którego pamięci pozostała wierna do czasu, kiedy pojawił się Sancho Garda del Solar. Żaden z wcześniejszych pretendentów na Kubie, nawet ów Hiszpan, który o mały włos się z nią ożenił, nie zdołał jej w sobie rozkochać.

– Żeby zachować formę, zawsze miałam towarzystwo w moim wdowim łożu. Stąd moja ładna cera i dobry humor.

Tété stwierdziła, że wkrótce będzie pomarszczona i melancholijna, bo od lat pociesza się sama, a jedyną podniecię stanowi wspomnienie Gambo.

– Don Sancho jest bardzo dobrym człowiekiem, madame. Jeśli go pani kocha, dlaczego się nie pobierzecie?

– Na jakim ty świecie żyjesz, Tété? Biali nie żenią się z kolorowymi kobietami, to nielegalne. Poza tym w moim wieku nie należy wychodzić za mąż, tym bardziej za takiego nieuleczalnego hulakę jak

Sancho.

– Mogliby państwo razem zamieszkać.

– Nie chcę go utrzymywać. Sancho umrze w biedzie, a ja zamierzam umrzeć bogata i chcę być pochowana w grobowcu z marmurowym archaniołem.

Kilka dni przed ostatecznym wyzwoleniem Tété Sancho i Violette udali się z nią do szkoły urszulanek, żeby przekazać wiadomość Rosette. Spotkali się w sali odwiedzin, obszernej i niemal pustej, gdzie stały cztery krzesła z surowego drewna, a z sufitu zwisał wielki krucyfiks. Na stoliku czekały filiżanki letniej czekolady ze skorupką skrzepniętej śmietany unoszącej się na powierzchni i puszka na datki, które pomagały w utrzymaniu przychodzących do klasztoru żebraków. W spotkaniu uczestniczyła zakonnica, która kątem oka kontrolowała sytuację, uczennice nie mogły bowiem przebywać bez przyzwolonej w towarzystwie mężczyzny, nawet gdyby był nim biskup, nie mówiąc już o tak uwodzicielskim Hiszpanie.

W rozmowach z córką Tété rzadko poruszała temat niewolnictwa. Rosette orientowała się, że ona i jej matka należą do Valmoraina, i porównywała to do sytuacji Maurice'a, który całkowicie zależał od swojego ojca i nie mógł sam o niczym decydować. Nie widziała w tym nic dziwnego. Wszystkie kobiety i dziewczynki, które знаła, wolne czy nie, należały do jakiegoś mężczyzny: ojca, męża lub Jezusa. Niemniej jednak był to stały temat listów Maurice'a, który jako człowiek wolny dużo bardziej niż ona przejmował się absolutną amoralnością niewolnictwa, jak się wyrażał. W dzieciństwie, kiedy różnice między nimi były dużo mniej widoczne, Maurice często wpadał w tragiczny nastrój z dwóch powodów, na których punkcie miał obsesję: sprawiedliwości i niewolnictwa. „Kiedy urośniemy, ty zostaniesz moim panem, ja twoją niewolnicą, i będziemy szczęśliwi”, powiedziała mu kiedyś Rosette. Maurice potrząsnął nią, dławiąc się szlochem: „Ja nigdy nie będę miał niewolników! Nigdy! Nigdy!”.

Rosette należała do dziewczynek o najjaśniejszej skórze wśród kolorowych uczennic i nikt nie wątpił, że jest córką wolnych rodziców; tylko matka przełożona znała jej prawdziwy status, ale przyjęła ją przez wzgląd na darowiznę, którą przekazał szkole Valmorain, i obietnicę, że w niedalekiej przyszłości dziewczynka zostanie wyzwolona. Wizyta przebiegła w mniej napiętej atmosferze niż poprzednie, kiedy matka i córka przebywały sam na sam i obie skrępowane nie miały sobie nic do powiedzenia. Rosette i Violette od razu się polubiły. Widząc je razem, Tété pomyślała, że na swój sposób są do siebie podobne, nie tyle z wyglądu, ile z racji koloru skóry i zachowania. Godzinę przeznaczoną na wizytę spędziły, rozmawiając z ożywieniem, podczas gdy ona i Sancho przyglądali im się w milczeniu.

– Jaka bystra i śliczna dziewczynka z tej twojej Rosette, Tété! Chciałabym mieć taką córkę! – zawołała Violette, kiedy wyszli.

– Co z nią będzie, kiedy skończy szkołę, madame? Przywykła żyć jak bogaczka, nigdy nie pracowała i uważa się za białą – westchnęła Tété.

– Mamy jeszcze czas. Coś wymyślimy – odparła Violette.

## Zarité

W wyznaczonym dniu stanęłam w drzwiach sądu, gdzie miałam poczekać na sędziego. Obwieszczenie wciąż wisiało na ścianie. Widziałam je każdego popołudnia przez te czterdzieści dni, kiedy z duszą na ramieniu i trzymając w ręku gris-gris na szczęście, chodziłam tam, by sprawdzić, czy ktoś sprzeciwia się mojemu wyzwoleniu. Madame Hortense mogła w prosty sposób temu przeszkodzić: wystarczyłoby, żeby oskarżyła mnie o złe prowadzenie albo niedobry charakter, ale wygląda na to, że nie miała odwagi prowokować męża. Monsieur Valmorain panicznie bał się plotek. W tych dniach miałam dużo czasu na myślenie i ogarnęły mnie wątpliwości. Dźwięczały mi w głowie ostrzeżenia Célestine i groźby państwa Valmorain: wolność oznaczała, że nie mogę liczyć na niczyją pomoc, że będę pozbawiona opieki i bezpieczeństwa. Jeśli nie znajdę pracy albo zachoruję, skończę w kolejce żebraków dokarmianych przez urszulanki. A Rosette? „Spokojnie, Tété. Zaufaj Bogu, który nigdy nas nie opuszcza”, pocieszał mnie Père Antoine. Nikt nie przyszedł do sądu, żeby się sprzeciwić, i 30 listopada 1800 roku sędzia podpisał moją wolność i oddał mi Rosette. Tylko Père Antoine był tam ze mną, bo don Sancho i doktor Parmentier, którzy obiecali, że przyjdą, zapomnieli. Sędzia zapytał, pod jakim nazwiskiem chcę się wpisać, i święty pozwolił, żebym użyła jego. Zarité Sedella, lat trzydzieści, Mulatka, wolna. Rosette, lat jedenaście, Mulatka drugiego stopnia, niewolnica, własność Zarité Sedelli. To mówił papier, który Père Antoine odczytał słowo po słowie, zanim udzielił mi błogosławieństwa i mocno uściśnął. Tak było.

Święty poszedł zaraz pomagać swoim potrzebującym, a ja usiadłam na ławeczce przy placu Broni i rozpłakałam się, tak bardzo mi ulżyło. Nie wiem, ile czasu lam siedziałam, ale musiałam długo płakać, bo słońce przesunęło się na niebie i twarz wyschła mi już w cieniu. Wtedy poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia, i usłyszałam głos, który od razu rozpoznałam: „W końcu się pani uspokoiła, mademoiselle Zarité! Myślałam, że rozpłynie się pani we łzach”. To był Zacharie, siedział na ławce obok i przyglądał mi się z daleka. Był najprzystojniejszym mężczyzną na świecie, ale wcześniej tego nie zauważyłam, zaślepiona miłością do Gambo. W intendenturze w Le Cap, ubrany w swoją odświętną liberię, imponował, ale tam, na placu, w kamizelce wyszywanej ciemnobrunatnym jedwabiem, batystowej koszuli, butach z kutymi klamrami i z kilkoma złotymi pierścieniami wyglądał jeszcze lepiej. „Zacharie! To naprawdę pan?” Wydawał się zjawą – był elegancki, miał kilka siwych włosów na skroniach i ciekłą łaskę z rączką z kości słoniowej.

Usiadł obok i poprosił, żebyśmy przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń porzucili sztywne formy – ty jest lepsze niż pan. Opowiedział mi, że opuścił pośpiesznie Saint-Domingue, gdy tylko ogłoszono koniec niewolnictwa. Wszedł na pokład amerykańskiego szkunera, który zostawił go w Nowym Jorku, gdzie nie znalazł żywej duszy, trząsł się z zimna i nie rozumiał ani słowa z żargonu, którym mówili tamtejsi ludzie. Wiedział, że większość uchodźców z Saint-Domingue osiedliła się w Nowym Orleanie, i postarał się tu przyjechać. Szło mu bardzo dobrze. Kilka dni wcześniej przypadkiem zobaczył w sądzie obwieszczenie o mojej wolności, trochę popytał i kiedy upewnił się, że chodzi o tę samą Zarité, niewolnicę monsieur Toulouse’a Valmoraina, którą kiedyś poznał, postanowił zjawić się w wyznaczonym dniu, bo i tak zarzucił kotwicę w Nowym Orleanie. Widział, jak wchodziłam do sądu z Père Antoine’em, poczekał na mnie na placu Broni, a potem taktownie pozwolił mi się wypłakać, zanim podszedł.

– Trzydzieści lat marzyłam o tej chwili, a kiedy nadeszła, zamiast tańczyć z radości, zaczynam płakać – powiedziałam zawstydzona.

– Będiesz miała czas, żeby tańczyć, Zarité. Jeszcze dziś po południu pójdziemy to uczcić – zaproponował.

– Nie mam co na siebie włożyć!

– Będę musiał kupić ci suknię; przynajmniej na tyle zasługujesz w takim dniu, najważniejszym w twoim życiu.

– Jesteś bogaty, Zacharie?

– Jestem biedakiem, ale żyję jak bogacz – zaśmiał się. – To mądrzejsze, niż być bogaczem i żyć jak biedak. Kiedy umrę, przyjaciele będą musieli zorganizować zbiórkę, żeby mnie pochować, ale na moim nagrobku zostanie wypisane złotymi literami: tu spoczywa Zacharie, najbogatszy Murzyn z Missisipi. Kazałem już wyryć tablicę i trzymam ją pod łóżkiem.

– Tego samego pragnie madame Violette Boisier: wspaniałego grobu.

– To jedyne, co przetrwa, Zarité. Za sto lat odwiedzający cmentarz będą podziwiali groby Violette i Zachariego i wyobrażać sobie, że mieliśmy dobre życie.

Odprowadził mnie do domu. W połowie drogi minęliśmy dwóch białych mężczyzn, prawie tak dobrze ubranych jak Zacharie, którzy zmierzili go od stóp do głów szyderczym spojrzeniem. Jeden z nich splunął Zachariemu pod nogi, ale on tego nie zauważył albo wolał zlekceważyć.

Nie musiał kupować mi sukni, bo madame Violette postanowiła wystroić mnie na moją pierwszą w życiu randkę. Razem z Loulą przygotowały mi kąpiel, natarły kremem migdałowym, wypolerowały paznokcie i na ile się dało, doprowadziły do porządku moje stopy, ale nie mogły nic poradzić na odciski, które zrobiły się od chodzenia boso przez tyle lat. Madame mnie umalowała, i o dziwo w lustrze zamiast wypacykowanej twarzy pojawiła się prawie ładna Zarité Sedella. Violette ubrała mnie w swoją muślinową suknię w stylu empire, z pelerynką w tym samym brzoskwiniowym kolorze, i zawiązała po swojemu jedwabny tignon. Pożyczyła mi taftowe pantofelki i wielkie złote kolczyki, jej jedyną biżuterię, nie licząc pierścionka z pękniętym opalem, którego nigdy nie zdejmowała z palca. Nie musiałam iść w chodakach i zabierać pantofelków w torbie, żeby ich nie zabrudzić na ulicy, jak zwykle się robić, bo Zacharie przyjechał wynajętym powozem. Myślę, że Violette, Loula i sąsiadki, które przyszły się pogapić, zadawały sobie pytanie, dlaczego taki dżentelmen traci czas na kogoś tak mało znaczącego jak ja.

Zacharie przyniósł dwie gardenie; Loula wpięła mi je w dekolt i poszliśmy do teatru. Tej nocy wystawiali operę kompozytora Saint-Georges'a, syna plantatora z Gwadelupy i jego afrykańskiej niewolnicy. Król Ludwik XVI mianował go dyrygentem opery paryskiej, ale nie przetrwał długo, bo primadonny i tenorzy nie chcieli występować pod jego batutą. Tak opowiedział mi Zacharie. Może nikt z białej publiczności, która tak głośno klaskała, nie wiedział, że to muzyka Mulata. Mieliśmy najlepsze miejsca w części przeznaczonej dla kolorowych, na drugim piętrze pośrodku. Gęste powietrze w teatrze pachniało alkoholem, potem i tytoniem, ale ja czułam tylko moje gardenie. Na galeriach siedziało kilku kaintocks, którzy przeszkadzali hałaśliwymi żartami, aż w końcu wygnano ich stamtąd szturchańcami i muzycy mogli grać dalej. Potem poszliśmy do Salón Orléans, gdzie grano walce, kadryle i polki, te same tańce, których Maurice'a i Rosette nauczono za pomocą różgi. Zacharie prowadził, wcale nie deptał mi po stopach ani nie wpadał na inne pary. Musieliśmy wykonywać na parkiecie różne figury, ale bez wymachiwania rękami i kręcenia tyłkiem. Zauważyłam kilku białych mężczyzn i żadnej białej kobiety. Zacharie był tam najczarniejszy, nie licząc muzyków i kelnerów, i najładniejszy, Przewyższał wszystkich wzrostem, tańczył, jakby unosił się w powietrzu, i pokazywał w uśmiechu idealnie białe zęby.

Zostaliśmy na tańcach przez jakieś pół godziny. Zacharie zorientował się, że zupełnie tam nie pasuję, i wyszliśmy. Pierwszą rzeczą, którą zrobiłam po wejściu do powozu, było zdjęcie butów.

Trafiliśmy w końcu w okolice rzeki, na dyskretną uliczkę, daleko od centrum. Moją uwagę zwróciło kilka powozów stojących u jej wylotu. Lokaje drzemali na kozłach, jakby czekali tam od dłuższego czasu. Zatrzymaliśmy się przed pokrytą bluszczem ścianą, z wąskimi drzwiami słabo oświetlonymi latarnią. Pilnował ich biały mężczyzna uzbrojony w dwa pistolety, który z szacunkiem przywitał Zachariego. Weszliśmy na dziedziniec, gdzie stał tuzin osiodłanych koni, i usłyszeliśmy dźwięki orkiestry. Dom, niewi-

doczny z ulicy, był sporych rozmiarów, ale nie rzucał się w oczy; jego wnętrze skrywały grube zasłony w oknach.

– Witam w Chez Fleur, najśłynniejszym domu gry w Nowym Orleanie – oznajmił Zacharie, wskazując ręką na fasadę.

Wkrótce znaleźliśmy się w obszernym salonie. W dymie cygar zobaczyłam białych i kolorowych mężczyzn; jedni siedzieli przy stołach do gry, inni popijali, kilku tańczyło z wydekoltowanymi kobietami. Ktoś wcisnął nam w dłonie kieliszki z szampanem. Posuwaliśmy się powoli, bo co krok jakiś człowiek zatrzymywał Zachariego, żeby go przywitać.

Nagle pomiędzy kilkoma graczami wybuchła kłótnia i Zacharie już zamierzał interweniować, kiedy uprzedziła go olbrzymia postać z kępą sztywnych jak sucha słoma włosów, cygarem w zębach i w butach drwała, która wymierzyła parę głośnych policzków i sprzeczka ucichła. Dwie minuty później mężczyźni siedzieli z kartami w dłoniach, żartując, jak gdyby przed chwilą wcale nie dostali w twarz. Zacharie przedstawił mnie osobie, która zaprowadziła porządek. Myślałam, że to mężczyzna z biustem, ale okazało się, że to kobieta z zarostem na twarzy. W jej wymyślnym imieniu, które nie pasowało do wyglądu, był kwiat i ptak: Fleur Hironnelle.

Zacharie wyjaśnił mi, że z pieniędzy, które oszczędzał latami, by kupić sobie wolność, i zabrał, wyjeżdżając z Saint-Domingue, oraz dzięki pożyczce bankowej zdobytej przez jego partnerkę, Fleur Hironnelle, mogli kupić dom. Był w złym stanie, ale urządzili go ze wszelkimi wygodami, a nawet pewnym luksusem. Nie mieli problemów z władzami, bo część pieniędzy przeznaczali na łapówki. Serwowali alkohol i jedzenie, mieli dwie orkiestry grające skoczną muzykę i oferowali najlepsze damy do towarzysstwa w całej Luizjanie. Nie pracowały dla kasyna, ale jako niezależne artystki, bo Chez Fleur nie było burdelem: tych nie brakowało w mieście i nikt nie potrzebował kolejnego. Przy stołach ludzie tracili, a czasem wygrywali fortuny, ale większość pieniędzy zostawała w domu gry. Chez Fleur było dobrym interesem, choć nadal spłacali pożyczkę i mieli dużo wydatków.

– Marzę o tym, żeby mieć kilka kasyn, Zarité. Oczywiście potrzebowałbym białych partnerów, jak Fleur Hironnelle, żeby zdobyć pieniądze.

– Ona jest biała? Wygląda jak Indianin.

– Francuzka czystej krwi, tyle że spalona słońcem.

– Miałeś szczęście, że ją spotkałeś, Zacharie. Nie należy brać partnerów, lepiej komuś zapłacić, żeby użył swojego nazwiska. Tak robi madame Violette, by obejść prawo. Don Sancho występuje w jej imieniu, ale ona nie pozwala mu wsadzać nosa w prywatne interesy.

W kasynie tańczyłam po swojemu i noc upłynęła w mgnieniu oka. Świtało, kiedy Zacharie odwoził mnie do domu. Musiał podtrzymywać mnie pod ramię, bo kręciło mi się w głowie ze szczęścia i od szampana, którego wcześniej nigdy nie piłam. „Erzulie, loa miłości, nie pozwól, żebym zakochała się w tym mężczyźnie, bo będę cierpieć”, prosiłam tej nocy, pamiętając, jak patrzyły na niego kobiety w Salón Orléans i jak narzucały mu się w Chez Fleur.

Przez okienko powozu zobaczyliśmy Père Antoine’a, który po nocy dobrych uczynków wracał do kościoła, powłócząc, nogami w sandałach. Był wycieńczony. Zatrzymaliśmy się, żeby go podwieźć, chociaż wstydziłam się, że czuć ode mnie alkoholem i że mam wydekoltowaną suknię. „Widzę, moje dziecko, że uczciłaś z pompą pierwszy dzień wolności. Kto jak kto, ale ty zasłużyłaś na trochę rozrywki”, powiedział, zanim dał mi swoje błogosławieństwo.

Zacharie mi obiecał, i to rzeczywiście był szczęśliwy dzień. Tak to zapamiętałam.



## *Bieżąca polityka*

François Dominique Toussaint, nazywany Louverture'em z powodu umiejętności negocjowania, wprowadził na Saint-Domingue dyktaturę wojskową i sprawował niepewną kontrolę nad krajem. Siedem lat przemocy spustoszyło kolonię i zubożyło Francję. Napoleon nie zamierzał dopuścić, żeby jakiś koślawiec, jak go nazywał, stawiał mu warunki. Toussaint ogłosił się dożywotnim gubernatorem, zainspirowany tytułem dożywotniego pierwszego konsula, jaki przyjął Bonaparte, i chciał z nim pertraktować jak równy z równym. Napoleon zamierzał zmiażdżyć go jak karalucha, odesłać Murzynów do pracy na plantacjach, odzyskać kolonię i przekazać rządy białym. Stali bywalcy nowoorleańskiej Café des Émigrés śledzili rozgorączkowani zagmatwane wydarzenia kolejnych miesięcy, nie tracili bowiem nadziei, że kiedyś powrócą na wyspę. Napoleon wysłał liczną ekspedycję pod dowództwem szwagra, generała Leclerca, który zabrał ze sobą żonę, piękną Pauline Bonaparte. Siostra pierwszego konsula wyruszyła w podróż z dworzanami, muzykami, akrobatami, artystami, meblami, ozdobami i wszystkim, co niezbędne do założenia w kolonii dworu równie wspaniałego jak ten, który zostawiła w Paryżu.

Wyłynęli z Brestu pod koniec 1801 roku. Dwa miesiące później Le Cap zostało ostrzelane przez okręty Leclerca i drugi raz w ciągu dziesięciu lat obrócone w popiół. Toussaintowi Louverture'owi nie drgnęła nawet powieka. Niewzruszony czekał na odpowiedni moment do ataku lub odwrotu, a kiedy taka chwila nadchodziła, jego oddziały zostawiały za sobą spaloną doszczętnie ziemię. Biali, którzy nie zdążyli oddać się pod opiekę Leclerca, byli mordowani. W kwietniu na francuskie wojska, nienawykłe do klimatu i bezbronne wobec epidemii, spadło kolejne przekleństwo w postaci żółtej febry. Z siedemnastu tysięcy ludzi, którymi Leclerc dysponował na początku ekspedycji, zostało mu siedem tysięcy w opłakanym stanie; z pozostałych pięć tysięcy dogorywało, a drugie pięć gryzło już ziemię. Kolejny raz Toussaint dziękował skrzydlatym wojskom Mackandala za w porę zesłaną pomoc.

Napoleon wysłał posiłki i w czerwcu kolejne trzy tysiące żołnierzy i oficerów zmarły z powodu tej samej febry. Brakowało palonego wapna do zasypywania ciał w zbiorowych mogiłach, a sępy i psy rozrywały zwłoki na kawałki. Ale jeszcze w tym samym miesiącu z *'etoile* Toussainta zgasła na nieboskłonie. Generał wpadł w pułapkę zastawioną przez Francuzów pod pretekstem rokowań, został aresztowany i wraz z rodziną wywieziony do Francji. Napoleon pokonał „największego murzyńskiego generała w historii”, jak nazywano Louverture'a. Leclerc ogłosił, że jedynym sposobem na przywrócenie spokoju jest wybicie wszystkich czarnych z gór i połowy Murzynów z równin, mężczyzn i kobiet, i pozostawienie przy życiu jedynie dzieci poniżej dwunastego roku życia. Nie udało mu się jednak zrealizować tego planu, bo zachorował.

Biali emigranci z Nowego Orleanu, nie wyłączając monarchistów, pili za zdrowie niepokonanego Napoleona, a w tym czasie Toussaint Louverture powoli konał w lodowatej celi w fortecy w Alpach, niedaleko granicy ze Szwajcarią, na wysokości dwóch tysięcy dziewięciuset metrów. Wojna nieubłagana toczyła się dalej przez cały rok 1802. Niewielu doliczyło się, że podczas tej krótkiej kampanii Leclerc stracił prawie trzydzieści tysięcy ludzi, zanim w listopadzie sam umarł na „Smoka Syjamu”. Pierwszy konsul obiecał wysłać na Saint-Domingue kolejne trzydzieści tysięcy żołnierzy.

Pewnego zimowego popołudnia 1802 roku doktor Parmentier i Tété rozmawiali na patio w domu Adèle, gdzie często się spotykali. Trzy lata wcześniej, kiedy zaraz po przyjeździe z Kuby lekarz zobaczył Tété w domu Valmorainów, zgodnie z obietnicą przekazał jej wiadomość od Gambo. Opowiedział o okolicznościach, w jakich go spotkał, o jego straszliwych ranach i długiej rekonwalescencji, dzięki której mogli się poznać. Wspomnił też, że dzielny kapitan pomógł mu opuścić Saint-Domingue, kiedy wydawało się to praktycznie niemożliwe. „Powiedział, żebyś na niego nie czekała, Tété, bo już o tobie zapomniał, ale jeśli przekazał ci tę wiadomość, to znaczy, że wcale nie zapomniał”, zauważył lekarz. Sądził, że Tété uwolniła się od zmory tamtej miłości. Znal Zachariego; każdy mógł się domyślić, jakim

darzy ją uczuciem, choć doktor nie przyłapał ich nigdy na żadnych intymnych gestach zdradzających zażyłość. Może nawyk ostrożności i skrytości, użyteczny, kiedy byli niewolnikami, zbyt głęboko zapuścił korzenie. Zacharie był zajęty domem gry, poza tym od czasu do czasu podróżował na Kubę i inne wyspy, gdzie zaopatrywał się w trunki, cygara i wszelkie towary potrzebne w jego interesie. Tété nigdy nie wiedziała, kiedy zjawi się w domu przy ulicy Chartres. Parmentier widział się z nim kilkakrotnie, gdy Violette zapraszała doktora na kolację. Zacharie był uprzejmy i oficjalny, zawsze przynosił tradycyjne ciasto migdałowe dla uświetnienia posiłku. Z lekarzem rozmawiał o polityce, która była jego ulubionym tematem; z Sanchem o zakładach, koniach i wyimaginowanych interesach, z kobietami zaś o wszystkim, co mogło im sprawić przyjemność. Od czasu do czasu towarzyszyła mu współpracowniczka, Fleur Hironnelle, którą – jak się wydawało – łączyła z Violette dziwna zażyłość. Odkładała broń przy wejściu, siadała w saloniku, by napić się herbaty, a potem znikwała w głębi domu w ślad za gospodynią. Doktor gotów był przysiąc, że wracała bez włosów na twarzy, a któregoś razu widział, jak do woreczka na proch strzelniczy chowa jakąś buteleczkę, na pewno perfumy, bo słyszał, jak Violette mówiła, że wystarczy kilka wonnych kropel, by rozniecić w duszy kobiety ogień kokieterii. Zacharie, który czekał, aż Tété wyszykuje się do wyjścia, udał, że nie zauważa słabostek swojej współpracowniczki.

Pewnego razu zabrali doktora do Chez Fleur, gdzie poznał świat Zachariego i Fleur Hironnelle i zobaczył szczęśliwą Tété tańczącą na bosaka. Tak jak pomyślał, kiedy spotkał ją jako bardzo młodą dziewczynę w *habitation* Saint-Lazare, Tété miała w sobie olbrzymie pokłady zmysłowości, które wówczas ukrywała pod poważnym wyrazem twarzy. Patrząc, jak tańczy, lekarz doszedł do wniosku, że wyzwolenie nie tylko zmieniło status prawny niewolnicy, ale ujawniło także ten aspekt jej charakteru.

W Nowym Orleanie związek Parmentiera z Adèle uchodził za normalny, bo wielu jego przyjaciół i pacjentów utrzymywało kolorowe rodziny. Pierwszy raz doktor nie musiał uciekać się do poniżających wybiegów, żeby odwiedzić swoją towarzyszkę życia. Skończyło się przemykanie o świcie niczym zbieg, by nikt go nie zobaczył. Prawie co wieczór jadł z nią kolację, spał w jej łóżku, a następnego dnia o dziesiątej rano spokojnym krokiem udawał się do gabinetu, głuchy na komentarze, jakie mogły się pojawić. Uznał swoje dzieci, które teraz nosiły jego nazwisko. Obaj chłopcy uczyli się we Francji, a dziewczynka u urszulanek. Adèle zajmowała się szyciem i oszczędzała, tak jak robiła to przez całe życie. Dwie pracownice pomagały jej przy gorsetach Violette Boisier, wzmacnianych fiszbinami konstrukcjach, które dodawały krągłości nawet najbardziej płaskim kobietom i były na tyle niewidoczne, że suknie sprawiały wrażenie, jakby spływały po nagim ciele. Białe damy zastanawiały się, dlaczego stroje wzorowane na modzie starożytnej Grecji lepiej leżą na Afrykankach niż na nich. Tété krążyła między obu domami, nosząc szkice, miary, materiały, gorsety i gotowe suknie, które Violette sprzedawała potem swoim klientkom. Właśnie przy jednej z takich okazji Parmentier rozmawiał z Tété i Adèle na patio obrosniętym bugenwillami, które o tej porze roku były suchymi badyłami bez kwiatów i liści.

– Toussaint Louverture umarł sześć miesięcy temu. Kolejna zbrodnia Napoleona. Zabili go, skazując na głód, zimno i samotność w więzieniu, ale nie zostanie zapomniany; generał przeszedł do historii – powiedział doktor.

Popijali kseres po kolacji, na którą podano suma w warzywach – do licznych zalet Adèle należały też umiejętności kucharskie. Patio było najprzyjemniejszym miejscem w domu, nawet podczas nocy tak zimnych jak ta. Słabe światło biło z kociołka z rozżarzonymi polanami, które Adèle podpałała, by użyć do żelazka, a przy okazji ogrzać trochę grupkę przyjaciół.

– Śmierć Toussainta nie oznacza końca rewolucji. Teraz dowództwo objął generał Dessalines. Mówią, że to nieugięty człowiek – ciągnął lekarz.

– Co mogło stać się z Gambo? Nie ufał nikomu, nawet Toussaintowi – powiedziała Tété.

– Potem zmienił zdanie co do Louverture'a. Wielokrotnie narażał życie, żeby ocalić generała, był jego zaufanym człowiekiem.

– Czyli był z nim, kiedy go aresztowano – powiedziała Tété.

– Toussaint poszedł na spotkanie z Francuzami, żeby negocjować dyplomatyczne zakończenie wojny, ale został zdradzony. Podczas gdy on czekał w domu, na zewnątrz spokojnie wymordowano straż i żołnierzy, którzy z nim przyjechali. Obawiam się, że kapitan La Liberté poległ tego dnia, broniąc swojego generała – wytłumaczył ze smutkiem Parmentier.

– Gambo chodził za mną, doktorze.

– Jak to?

– W snach – odpowiedziała Tété niepewnie.

Nie wyjaśniła, że dawniej co noc wzywała go w myślach, jak w modlitwie, i czasami wywoływała obraz Gambo tak wyraźny, że budziła się z ciałem ociążonym, gorącym, wyczerpanym, szczęśliwa, że spała w objęciach kochanka. Czuła ciepło i zapach Gambo na swojej skórze. Nie myślała, by przedłużyć złudzenie, że z nim była. Te spotkania w świecie snów stanowiły jedyną pociechę w samotnym łóżu. To jednak minęło. Pogodziła się ze śmiercią Gambo, bo gdyby żył, dałby jej jakiś znak. Teraz był Zacharie. Podczas wspólnych nocy, kiedy miała go dla siebie, odpoczywała zaspokojona i wdzięczna, z wielką dłońią mężczyzny na swoim ciele. Odkąd pojawił się w jej życiu, przestała sama siebie pieścić i wzywać Gambo. Porzuciła ten sekretny zwyczaj, bo pragnienie pocałunków innego, nawet jeśli był tylko zjawą, oznaczałoby zdradę, na którą Zacharie nie zasługiwał. Niczym niezagrożona, spokojna czułość, jaką się nawzajem obdarzali, wypełniała jej życie; nie potrzebowała niczego więcej.

– Nikt nie uszedł cało z pułapki zastawionej na Toussainta. Nie wzięli więźniów, poza generałem, a potem aresztowali też jego rodzinę – dodał Parmentier.

– Wiem, że nie schwytali Gambo żywego, doktorze, bo nigdy by się nie poddał. Tyle poświęcenia i tyle wojny po to, żeby w końcu zwyciężyli biali!

– Jeszcze nie zwyciężyli. Rewolucja trwa nadal. Generał Dessalines właśnie pokonał oddziały Napoleona i Francuzi zaczęli opuszczać wyspę. Wkrótce będziemy mieli tu kolejną falę uchodźców, tym razem bonapartystów. Dessalines wezwał białych osadników, by wracali na swoje plantacje, bo są mu potrzebni do wytwarzania bogactw, które dawniej miała kolonia.

– Tę historyjkę słyszeliśmy już wiele razy, doktorze. To samo zrobił Toussaint. Wróciłby pan na Saint-Domingue? – zapytała Tété.

– Mojej rodzinie jest lepiej tutaj. Zostaniemy. A ty?

– Ja też, Tu jestem wolna, a Rosette będzie wolna już niedługo.

– Nie jest za mała, żeby ją wyzwolić?

– Pomaga mi Père Antoine. Zna prawie wszystkich wzdłuż i wszerz Missisipi, żaden sędzia nie odważy się odmówić mu przysługi.

Tej nocy Parmentier zapytał Tété o znajomość z Tante Rose. Wiedział, że nie tylko asystowała jej przy porodach i leczeniu chorych, ale pomagała także przygotowywać lekarstwa, a jego interesowały receptury. Pamiętała większość z nich i zapewniła, że nie są skomplikowane i że składniki można kupić u „medyków od liści” na Rynku Francuskim. Rozmawiali o tym, jak tamować krwotoki, obniżyć gorączkę i unikać zakażeń, o wywarach oczyszczających wątrobę i niosących ulgę cierpiącym na kamienie w woreczku żółciowym i nerkach, o solach na migrenę, ziołach wywołujących poronienie i leczących krwotoki, środkach moczopędnych i przeczyszczających oraz receptach na wzmocnienie krwi, które Tété znała na pamięć. Oboje wyśmiali środek wzmacniający z sarsaparilli, używany przez Kreoli na wszelakie dolegliwości, i przyznali, że bardzo im brakuje wiedzy Tante Rose. Następnego dnia Parmentier zjawił się u Violette Boisier z propozycją, żeby rozszerzyła produkcję balsamów upiększających o produkty lecznicze stosowane przez Tante Rose, które Tété mogłaby przygotowywać w kuchni, a on zobowiązałby się, że je wszystkie kupi. Violette nie musiała długo myśleć, interes wydawał się korzystny dla wszystkich zainteresowanych: doktor miałby leki, Tété dostalaby swój udział, a jej przypadłaby pozostała część zysków i nie musiałaby nawet kiwnąć palcem.

## Amerykanie

W owym czasie Nowym Orleanem wstrząsnęła nieprawdopodobna pogłoska. W kawiarniach i tawernach, na ulicach i placach, zbierali się ludzie i ze wzburzeniem komentowali niepotwierdzoną jeszcze wiadomość, jakoby Napoleon Bonaparte sprzedał Luizjanę Amerykanom. Po upływie kilku dni górę wzięło przekonanie, że chodzi o zwykłe kłamstwo, ale nadal rozmawiano o przeklętym Korsykaninie, bo pamiętajcie, panowie, że Napoleon jest z Korsyki; nie można powiedzieć, że jest Francuzem; sprzedał nas *kaintoeks*. Była to największa i najtańsza w historii transakcja dotycząca ziemi: ponad dwa miliony kilometrów kwadratowych za kwotę piętnastu milionów dolarów, czyli po kilka centów za hektar. Większość terytorium, zajętego przez rozproszone plemiona indiańskie, nie została wystarczająco zbadana przez białych i nikt nie potrafił wyobrazić sobie jego ogromu, ale kiedy Sancho García del Solar puścił w obieg mapę kontynentu, nawet najmniej rozgarnięci mogli obliczyć, że Amerykanie dwukrotnie zwiększyli powierzchnię swojego kraju. „Co teraz z nami będzie? Co miał do tego przedsięwzięcia Napoleon? Czyż nie jesteśmy kolonią hiszpańską?” Trzy lata wcześniej Hiszpania przekazała Luizjanę Francji na mocy tajnego traktatu z San Ildefonso, ale większość mieszkańców jeszcze o tym nie wiedziała, bo życie biegło zwykłym torem. Zmiana rządu pozostała niezauważona, hiszpańskie władze zachowały swoje stanowiska, Napoleon tymczasem wojował z Turkami, Austriakami, Włochami i każdym, kto stanął mu na drodze, o buntownikach z Saint-Domingue nie wspominając. Musiał walczyć na zbyt wielu frontach, także przeciwko Anglii, swemu odwiecznemu wrogowi, i potrzebował czasu, żołnierzy i pieniędzy. Nic mógł zająć ani bronić Luizjany, a bał się, że wpadnie w ręce Brytyjczyków, dlatego wolał sprzedać ją jedynemu zainteresowanemu – prezydentowi Jeffersonowi.

W Nowym Orleanie wszyscy – poza obibokami z Café des Émigrés, którzy jedną nogą byli już na statku, by wrócić na Saint-Domingue – przyjęli tę wiadomość z przerażeniem. Uważano Amerykanów za dzikusów okrytych bawolimi skórami, którzy jedzą z nogami na stole i są całkowicie pozbawieni przyzwoitości, umiaru i honoru. Nie mówiąc o klasie! Interesowały ich wyłącznie zakłady, picie, strzelanie i bójki na pięści, prowadzili szatańsko rozwiązły tryb życia i na domiar złego byli protestantami. Poza tym nie mówili po francusku. No cóż, musieli się go nauczyć, bo inaczej jak zamierzali żyć w Nowym Orleanie? Całe miasto było zgodne co do tego, że przynależność do Stanów Zjednoczonych oznacza koniec rodziny, kultury i jedynej prawdziwej religii. Valmorain i Sancho, którzy z racji swoich interesów utrzymywali stosunki z Amerykanami, starali się uciszyć cały ten zgiełk, tłumacząc, że *kaintocks* są ludźmi z pogranicza, mniej więcej takimi jak korsarze, i nie można na ich przykładzie osądzać wszystkich Amerykanów. Valmorain powiedział, że podczas swoich podróży poznał wielu z nich – ludzi raczej wykształconych i spokojnych. Można im było jedynie zarzucić zbyt moralistyczne i spartańskie zasady, w przeciwieństwie do zwyczajów *kaintocks*. Uważał, że ich największą wadą jest traktowanie pracy, nawet fizycznej, jako cnoty. Byli materialistami, zwycięzcami, kierował nimi mesjanistyczny entuzjazm, z jakim chcieli reformować tych, którzy myśleli inaczej niż oni. Nie stanowili jednak bezpośredniego zagrożenia dla cywilizacji. Nikt nie słuchał tych argumentów, poza kilkoma szaleńcami, takimi jak Bernard de Marigny, który w pozyskaniu przychylności Amerykanów zwęszył olbrzymie możliwości handlowe, czy Père Antoine, który żył z głową w chmurach.

Najpierw dokonano – z trzyletnim opóźnieniem – oficjalnego przekazania hiszpańskiej kolonii francuskim władzom. Zdaniem prefekta, który wygłosił pompacyjne przemówienie do tłumu przybyłego na ceremonię, dusze mieszkańców Luizjany „ogarnęła ekstaza niewysłowionego szczęścia”. Zgodnie z najlepszą tradycją kreolską wydarzenie uświetniono tańcami, koncertem, bankietami i przedstawieniami teatralnymi. Usunięty rząd hiszpański i nowy rząd francuski prześcigały się w kurtuazji, wyszukanej elegancji i rozrzutności, trwało to jednak krótko, bo dokładnie w momencie, gdy podnoszono flagę Francji, do portu zawinął statek z Bordeaux, który przywiózł potwierdzenie sprzedaży Luizjany Amery-

kanom. Sprzedani jak bydło! Świąteczny nastrój dnia poprzedniego zastąpiło uczucie poniżenia i wściekłości. Kolejne przekazanie władzy, tym razem z rąk Francuzów w ręce Amerykanów, którzy rozłożyli się obozem dwie mile za miastem, gotowi je zająć, nastąpiło siedemnaście dni później, 20 grudnia 1803 roku, i nie było żadną „ekstazą niewysłowionego szczęścia”, ale zbiorową żałobą.

W tym samym miesiącu Dessalines ogłosił niepodległość Saint-Domingue jako Murzyńskiej Republiki Haiti z nową, niebiesko-czerwoną flagą. Haiti, „ziemia gór”. Tak nazwali wyspę arawaccy tubylcy, którzy wyginęli wiele lat wcześniej. Aby wyeliminować rasizm, to przekleństwo kolonii, wszystkich obywateli, bez względu na kolor skóry, nazywano teraz *nègs*, a wszystkich, którzy obywatelami nie byli, określano mianem *blancs*.

– Myślę, że Europa, a nawet Stany Zjednoczone, będą próbowały pogрузić tę biedną wyspę, bo jej przykład może zachęcić do niepodległości inne kolonie. Nie pozwolą też, żeby rozpowszechniło się znoszenie niewolnictwa – powiedział Parmentier swojemu przyjacielowi Valmorainowi.

– Tutaj w Luizjanie upadek Haiti jest nam na rękę, bo sprzedajemy więcej cukru i po lepszej cenie – podsumował Valmorain, którego nie obchodziły już losy wyspy, ponieważ wszystkie inwestycje ulokował gdzie indziej.

Emigranci z Saint-Domingue przebywający w Nowym Orleanie nie mieli nawet czasu porządnie się zadziwić z powodu powstania pierwszej czarnej republiki, cała ich uwaga bowiem skupiła się na wydarzeniach w mieście. Pewnego pięknego, słonecznego dnia na placu Broni zebrał się wielobarwny tłum Kreoli, Francuzów, Hiszpanów, Indian i Murzynów, żeby zobaczyć przedstawicieli amerykańskich władz wjeżdżających konno do miasta z oddziałem dragonów, dwiema kompaniami piechoty i jedną karabinierów. Nikt nie czuł sympatii do tych ludzi, którzy puszyli się, jakby to każdy z nich wyłożył ze swojej kieszeni piętnaście milionów dolarów na zakup Luizjany.

W czasie krótkiej oficjalnej ceremonii w ratuszu wręczono klucze do miasta nowemu gubernatorowi, a następnie dokonano wymiany flag na placu: opuszczono powoli trójkolorową francuską i podniesiono gwiazdzistą Stanów Zjednoczonych. Kiedy mijaly się w połowie, na chwilę je zatrzymano i rozległ się wystrzał armatni, znak, na który statki znajdujące się na morzu natychmiast odpowiedziały kanonadą. Orkiestra zagrała ludową melodię amerykańską, której ludzie wysłuchali w milczeniu; wielu lało łzy, a kilka dam zemdlało z żalu. Nowo przybyli zamierzali zająć miasto w możliwie najmniej agresywny sposób, natomiast miejscowa ludność postanowiła utrudniać im życie. Guizotowie rozesłali już listy, w których pouczali znajomych, by trzymali się z daleka od Amerykanów; nikt nie powinien z nimi współpracować ani przyjmować ich w swoim domu. Nawet najbardziej godny pożałowania żebrak z Nowego Orleanu czuł się kimś lepszym od Amerykanów.

Jednym z pierwszych kroków podjętych przez gubernatora Claiborne’a było ogłoszenie angielskiego językiem oficjalnym. Kreole przyjęli to z drwiącym niedowierzaniem. Angielski? Przez dziesięciolecia żyli w hiszpańskiej kolonii, rozmawiając po francusku; Amerykanie musieli mieć chyba nie po kolei w głowie, skoro oczekiwali, że ich gardłowa mowa zastąpi najbardziej melodyjny język świata.

Ogarnięte przerażeniem siostry urszulanki, przekonane, że najpierw bonapartyści, a za nimi *kaintocks*, zrównają miasto z ziemią, sprofanują ich kościół, a potem je zgwałcą, w pośpiechu wsiadły na statek odpływający na Kubę, mimo błagań podopiecznych, sierot i setek nędzarzy, którym pomagały. Z dwudziestu pięciu zakonnic zostało tylko dziewięć. Pozostałych szesnaście ze spuszczoneymi głowami w welonach pomaszzerowało w stronę portu. Płakały, kiedy orszak przyjaciół, znajomych i niewolników odprowadzał je na statek.

Valmorain otrzymał napisany naprędce liścik z żądaniem, by w ciągu dwudziestu czterech godzin odebrał swoją podopieczną ze szkoły. Hortense, która oczekiwała kolejnego dziecka, z nadzieją, że tym razem będzie to upragniony chłopiec, dała mu jednoznacznie do zrozumienia, że noga tej czarnej dziewczynki nie postanie w jej domu i że nie chce, by ktokolwiek go z nią widział. Ludzie byli niezyczliwi i na pewno rozpuściliby plotki – oczywiście nieprawdziwe – że Rosette jest jego córką.

Tak jak to przewidział doktor Parmentier, wraz z klęską oddziałów napoleońskich na Haiti do Nowego Orleanu napłynęła kolejna lawina uchodźców; początkowo setki, potem tysiące. Byli bonapartystami, radykałami i ateistami, różniącymi się znacznie od przybyłych wcześniej katolickich monarchistów. Konfrontacja obu grup emigrantów była nieunikniona i zbiegła się w czasie z wkroczeniem Amerykanów do miasta. Gubernator Claiborne, młody wojskowy o niebieskich oczach i krótko ściętej żółtej czuprynie, nie znał ani słowa po francusku i nie rozumiał mentalności Kreoli, których uważał za leni i dekadentów.

Z Saint-Domingue przypląwał statek za statkiem, wszystkie wypełnione cywilami i żołnierzami chorymi na febrę, którzy stanowili zagrożenie polityczne ze względu na swoje rewolucyjne poglądy i zagrożenie dla zdrowia publicznego ze względu na możliwość wybuchu epidemii. Claiborne próbował izolować ich w oddalonych od miasta obozach, ale to rozwiązanie spotkało się z ostrą krytyką i nie powstrzymało strumienia uchodźców, którzy i tak znajdowali sposób, by dostać się do Nowego Orleanu. Zamykał w więzieniu niewolników przywożonych przez białych, w obawie, że zasieją wśród miejscowej ludności ziarno buntu. Wkrótce zabrakło miejsca w celach, a gubernatora zalały skargi właścicieli, oburzonych konfiskatą ich własności. Utrzymywali, że Murzyni są lojalni i sprawdzeni, w przeciwnym razie by ich ze sobą nie zabrali. Poza tym było ich bardzo niewiele. Chociaż w Luizjanie nikt nie przestrzegał zakazu przywożenia niewolników i piraci stale zaopatrywali rynek, zapotrzebowanie było ogromne. Claiborne, który nie należał do zwolenników niewolnictwa, uległ społecznej presji i zobowiązał się rozpatrywać każdy przypadek indywidualnie, co trwało miesiącami, a tymczasem wszyscy mieszkańcy Nowego Orleanu siedzieli jak na rozżarzonych węglach.

Violette Boisier szybko dostosowała się do zmian wprowadzonych przez Amerykanów. Wyczuła, że uprzejmi Kreole, z ich próżniaczą kulturą, nie wytrzymają naporu tych przedsiębiorczych i praktycznych ludzi. „Zapamiętaj moje słowa, Sancho, wkrótce ci *parvenus* zmiotą nas z powierzchni ziemi”, ostrzegła swojego kochanka. Słyszała o egalitarnym duchu Amerykanów, nieodłącznym elemencie demokracji, i pomyślała, że skoro dawniej w Nowym Orleanie było miejsce dla wolnych Mulatów, tym bardziej będzie i teraz. „Nie łudź się, są większymi rasistami niż Anglicy, Francuzi i Hiszpanie razem wzięci”, tłumaczył jej Sancho, ale nie chciała mu wierzyć.

Podczas gdy inni nie zamierzali obcować z Amerykanami, Violette zaczęła ich z bliska obserwować; a nuż się od nich czegoś nauczy i utrzyma na powierzchni pośród nieuniknionych zmian, które mieli wnieść w życie Nowego Orleanu. Była zadowolona ze swojego niezależnego i wygodnego życia. Nie żartowała, kiedy mówiła, że chce umrzeć bogata. Dzięki dochodom z kremów i porad dotyczących mody i urody, po niecałych trzech latach kupiła dom przy ulicy Chartres i planowała nabyć kolejny. „Trzeba inwestować w nieruchomości, to jedyne, co zostaje, reszta przemija z wiatrem”, powtarzała Sanchowi, który nie miał nic na własność, bo plantacja należała do Valmoraina. Pomysł zakupu ziemi i jej uprawiania wydawał się Sanchowi fascynujący przez pierwszy rok, w drugim stracił na atrakcyjności, a potem stanowił już tylko źródło udręki. Entuzjazm dla bawełny prysł, gdy zainteresowała się nią Hortense – wolał nie wchodzić w interesy z tą kobietą. Wiedział, że knuje, by się go pozbyć, i musiał przyznać, że ma ku temu powody, był ciężarem, który Valmorain dźwigał na plecach przez wzgląd na ich przyjaźń. Violette radziła mu, żeby rozwiązał swoje problemy, bogato się żeniąc. „To znaczy, że mnie nie kochasz?”, odpowiadał obrażony Sancho. „Kocham cię, ale nie na tyle, żeby cię utrzymywać. Ożeń się, a my nadal będziemy kochankami”.

Loula nie podzielała entuzjazmu Violette dla nieruchomości. Twierdziła, że w tym mieście katastrof ich życie zależy od kaprysów pogody i pożarów, należy więc inwestować w złoto i zająć się pożyczaniem pieniędzy, co robiły wcześniej z tak dobrym skutkiem. Violette jednak nie chciała narobić sobie wrogów z powodu lichwiarskich transakcji. Osiągnęła wiek, w którym człowiek staje się ostrożny, i zaczęła pracować nad swoją pozycją społeczną. Martwił ją tylko Jean-Martin, który, jak wynikało z jego zaszyfrowanych listów, nadal niezłomnie trwał przy zamiarze pójścia w ślady ojca, którego pamięć ota-

czał wielką czią. Ona chciała dla swojego syna czegoś lepszego; doskonale wiedziała, jak ciężkie jest życie w wojsku, wystarczyło popatrzeć, w jak opłakanym stanie przybywali żołnierze pokonani na Haiti, Nie zdołałaby mu tego wyperswadować w listach dyktowanych pisarzowi miejskiemu; musiałaby pojechać do Francji i przekonać go, żeby wyuczył się jakiegoś dobrze płatnego zawodu. Mógłby być na przykład adwokatem. Żaden adwokat, nawet najmniej kompetentny, nie umierał w biedzie. Nie miało znaczenia, że Jean-Martin nie wykazywał zainteresowania sprawiedliwością – interesowała niewielu prawników. Potem ożeniłaby go w Nowym Orleanie z możliwie najbielszą dziewczyną, kimś takim jak Rosette, ale majątną i z dobrej rodziny. Z jej doświadczeń wynikało, że jasna skóra i pieniądze zapewniają praktycznie wszystko. Chciała, żeby już w chwili przyjścia na świat jej wnuki były w lepszym niż ona położeniu.

## Rosette

Valmorain zobaczył kiedyś Tété na ulicy, bo trudno było nie wpaść na siebie w tym mieście. Udał, że jej nie zna, wiedział jednak, że pracuje u Violette Boisier. Rzadko kontaktował się z piękną, którą niegdyś kochał, bo zanim zdołał odnowić przyjaźń, czego zapragnął, kiedy zobaczył Violette w Nowym Orleanie, w drogę wszedł mu Sancho – elegancki, przystojny, a w dodatku kawaler. Valmorain nie był w stanie pojąć, jak szwagier mógł z nim wygrać. Związek z Hortense stracił blask, od kiedy pochłonięta macierzyństwem zaczęła zaniedbywać akrobacje w wielkim małżeńskim łóżu ozdobionym pulchnymi aniołkami. Bez przerwy była w ciąży. Nie zdążyła jeszcze odzyskać sił po jednej dziewczynce, a już spodziewała się następnej, za każdym razem coraz bardziej zmęczona, coraz grubsza i coraz bardziej despotyczna. Miesiące spędzane w Nowym Orleanie nużyły Valmoraina, dusił się w opanowanym przez kobiety domu i w ciągłym towarzystwie Guizotów, dlatego uciekał na plantację, zostawiając Hortense i dziewczynki w mieście. W głębi duszy ona też wolała takie rozwiązanie: jej mąż zajmował zbyt wiele przestrzeni. Na plantacji nie zauważało się tego tak bardzo, ale w mieście pokoje stawały się dla nich za ciasne, a godziny za długie. Miał własne życie poza domem, ale w odróżnieniu od innych mężczyzn o jego pozycji nie utrzymywał konkubiny, która osładzałaby mu kilka wieczorów w tygodniu. Kiedy zobaczył Violette Boisier na przystani, pomyślał, że byłaby dla niego idealną kochanką: piękną, dyskretną i bezpłodną. Miała już swoje lata, ale on nie pragnął dziewczynki, którą szybko by się zmęczył. Violette zawsze stanowiła wyzwanie, tym większe teraz, kiedy dojrzała; przy niej nigdy nie zaznałby nudy. Jednak zgodnie z przyjętą wśród dżentelmenów zasadą nie zabiegał o spotkanie, po tym jak Sancho się w niej zakochał. Poszedł do żółtego domu z listem od urszulanek w kieszeni surduta, w nadziei, że ją zobaczy. Drzwi otworzyła mu Tété, z którą nie zamienił słowa w ciągu ostatnich trzech lat.

– Madame Violette w tej chwili nie ma – oznajmiła od progu.

– Nieważne, przyszedłem porozmawiać z tobą. Zaprowadziła go do salonu i zaproponowała kawę, na którą się zgodził, aby złapać oddech, choć wywoływała u niego uczucie palenia w żołądku. Usiadł w okrągłym fotelu, w którym ledwo zmieścił tyłek, z laską między nogami, posapując. Nie było gorąco, ale ostatnio często brakowało mu powietrza. „Powinienem trochę schudnąć”, mawiał do siebie co rano, walcząc z paskiem i potrójnie wiązonym fularem; nawet buty go uciskały. Tété wróciła z tacą, podała mu ciemną, gorzką kawę, jaką lubił, po czym nalała dla siebie drugą filiżankę, z dużą ilością cukru. Valmorain zauważył – trochę rozbawiony, trochę poirytowany – nutkę wyniosłości w zachowaniu jego byłej niewolnicy. Choć nie patrzyła mu w oczy i nie była na tyle zuchwała, by usiąść, miała czelność pić kawę w jego obecności, nie pytając o pozwolenie, a w jej głosie nie znalazł dawnej pokory. Musiał przyznać, że nigdy wcześniej nie wyglądała tak dobrze. Z pewnością nauczyła się kilku sztuczek od Violette. Na to wspomnienie mocniej zabiło mu serce: jej skóra w kolorze gardenii, czarne włosy, oczy ocienione długimi rzęsami. Tété nie mogła z nią konkurować, ale teraz, kiedy już nie należała do niego, wydała mu się ponętna.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę, monsieur? – zapytała.

– Chodzi o Rosette. Nie obawiaj się, twojej córce nic nie jest, ale jutro opuszcza szkołę, bo z powodu Amerykanów zakonnice wyjeżdżają na Kubę. To przesadzona reakcja i na pewno wrócą, ale teraz sama będziesz musiała zająć się Rosette.

– Jak mam to zrobić, monsieur? – zapytała Tété wystraszona. – Nie wiem, czy madame Violette zgodzi się, żebym ją tu sprowadziła.

– To nie moja sprawa. Jutro rano musisz po nią pójść. Twój problem, co z nią później zrobisz.

– Pan również ponosi odpowiedzialność za Rosette, monsieur.

– Dzięki mnie ta dziewczynka żyła jak panienczka i otrzymała najlepsze wykształcenie. Przyszedł czas, żeby stawiała czoła rzeczywistości. Będzie musiała pracować, chyba że znajdzie męża.



– Ma czternaście lat!

– To aż nadto, żeby wyjść za mąż. Murzynki wcześniej dojrzewają – podniósł się z trudem, zamierzając odejść.

Tété zapłonęła gniewem, ale trzydzieści lat posłuszeństwa i strach, jaki zawsze w niej budził, nie pozwoliły powiedzieć tego, co miała na czubku języka. Nie zapomniała pierwszego razu, kiedy zgwałcił ją jeszcze jako małą dziewczynkę, nie zapomniała nienawiści, bólu, wstydu ani kolejnych gwałtów, które znosiła latami. W milczeniu, drżąc na całym ciele, podała mu kapelusz i odprowadziła do drzwi. Zatrzymał się na progu.

– Przydała ci się na coś ta wolność? Żyjesz w większej biedzie niż przedtem, nie możesz nawet zapewnić córce dachu nad głową. W moim domu Rosette zawsze miała swoje miejsce.

– Miejsce niewolnicy, monsieur. Wolę, żeby żyła w biedzie, ale wolna – odparła Tété, powstrzymując łzy.

Duma stanie się twoim przekleństwem. Nie masz swojego miejsca, nie masz zawodu, nie jesteś już młoda. Co zrobisz? Szkoda mi ciebie, dlatego pomogę twojej córce. To dla Rosette.

Wręczył jej sakiewkę z pieniędzmi, szedł po pięciu stopniach prowadzących na ulicę i zadowolony z siebie ruszył w stronę domu. Po przejściu dziesięciu kroków zapomniał o całej sprawie – miał co innego na głowie.

W tamtym czasie Violette Boisier nie dawała spokoju natrętna myśl, która zaczęła zaprzętać ją rok wcześniej i przybrała konkretny kształt, kiedy urszulanki zostawiły Rosette na ulicy. Nikt lepiej niż Violette nie znał męskich słabostek i kobiecych potrzeb, zamierzała więc wykorzystać swoje doświadczenie, by zarobić, a przy okazji zaoferować usługi, których tak brakowało w Nowym Orleanie. Dlatego zaproponowała Rosette gościnę. Dziewczynka zjawiła się w swoim szkolnym mundurku, poważna i wyniosła; dwa kroki za nią szła Tété objuczona bagażami, nie przestając błogosławić Violette za to, że przyjęła je obie pod swój dach.

Rosette miała szlachetne rysy, oczy – odziedziczone po matce – w których igrały złote promyki, migdałową skórę jak kobiety z obrazów hiszpańskich malarzy, usta koloru śliwki, kręcone włosy sięgające do połowy pleców i łagodnie zaokrąglone kształty dorastającej dziewczyny. W wieku czternastu lat była w pełni świadoma straszliwej siły swojej urody i w odróżnieniu od Tété, która pracowała od dziecka, wyglądała, jakby została stworzona do tego, by jej usługiwano. „Jest zepsuta, urodziła się jako niewolnica, a udaje królową. Już ja pokażę tej dziewczynie, gdzie jej miejsce”, orzekła Loula z pogardliwym parsknięciem, ale kiedy Violette roztoczyła przed nią wizję przyszłości opartej o plan, który zakładał inwestowanie i zyski (te dwa amerykańskie pojęcia Loula przyswoiła sobie już dawno temu), dała się przekonać i oddała Rosette swój pokój, a sama spała z Tété w klitce dla służby. „Dziewczynka musi porządnie wypocząć”, powiedziała madame.

– Kiedyś zapytałaś mnie, co masz zrobić z córką, gdy opuści szkołę. Przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie – oznajmiła Violette, zwracając się do Tété.

Przypomniała matce, że Rosette nie ma wielkiego wyboru. Wydanie za mąż bez godziwego posagu oznaczało skazanie jej na przymusową pracę u boku ubogiego małżonka. Powinny od razu odrzucić Murzyna, mogłaby wyjść tylko za Mulata, ale ci żenili się po to, by poprawić swoją kondycję finansową lub społeczną, czego Rosette nie mogła zaoferować. Nie nadawała się na krawcową, fryzjerkę, pielęgniarkę ani do pracy w żadnym innym zawodzie odpowiadającym jej pozycji w społeczeństwie. Na razie jedynym kapitałem, jaki miała, była uroda, tyle że w Nowym Orleanie mieszkało wiele pięknych dziewcząt.

– Tak to urządzimy, żeby Rosette nie musiała pracować i żeby jej się dobrze żyło – oznajmiła Violette.

– Jak to zrobimy, madame? – uśmiechnęła się Tété z niedowierzaniem.

– *Plaçage*. Rosette potrzebuje białego mężczyzny, który będzie ją utrzymywał.

Violette długo rozmyślała nad mentalnością klientek, które kupowały u niej płyny upiększające, gorsety z fiszbinami i zwiewne suknie szyte przez Adèle. Były tak ambitne jak ona i wszystkie chciały, by ich dzieciom powiodło się w życiu. Zapewniały stanowisko lub zawód synom, ale drżały o przyszłość córek. Lepiej było oddać je białemu, niż wydać za Mulata, ale na każdego białego kawalera przypadało dziesięć dziewcząt i bez dobrych koneksji praktycznie nie dało się tego załatwić. Mężczyzna wybierał sobie dziewczynkę, a potem traktował ją wedle swoich upodobań – układ bardzo wygodny dla niego i ryzykowny dla niej. Taki związek trwał zwykle do momentu, kiedy on żenił się z damą należącą do jego klasy, mniej więcej około trzydziestego roku życia, ale zdarzały się również przypadki, kiedy tego rodzaju relacja trwała do śmierci, i takie, kiedy z miłości do kolorowej kobiety mężczyzna postanawiał trwać w stanie kawalerskim. W każdym razie los dziewczyny zależał od jej protektora. Plan Violette zakładał wymuszenie sprawiedliwych zasad: dziewczyna *placée* powinna zażądać zabezpieczenia dla siebie i swoich dzieci, skoro oferowała w zamian pełne poświęcenie i wierność. Jeśli młodzieniec nie mógł dać gwarancji, powinien zrobić to jego ojciec, tak jak matka gwarantowała, że jej córka jest cnotliwa i przyzwyczajona do prowadzenia.

– Co powie na to Rosette, madame...? – wyjąkała wystraszona Tété.

– Jej zdanie w ogóle się nie liczy. Pomyśl. To nie ma nic wspólnego z prostytutką, choć niektórzy twierdzą inaczej. Mogę cię zapewnić na podstawie własnego doświadczenia, że opieka białego jest niezbędna. Moje życie ułożyłoby się zupełnie inaczej bez Étienne’a Relais’go.

– Ale pani za niego wyszła... – przypomniała Tété.

– Tutaj to jest niemożliwe. Sama powiedz, Tété, co różni białą mężatkę od kolorowej dziewczyny *placée*? Obie są utrzymankami, zależnymi, powołanymi do tego, by służyć mężczyźnie i dać mu dzieci.

– Małżeństwo oznacza bezpieczeństwo i szacunek – upierała się Tété.

– *Plaçage* powinien być tym samym – odparła Violette dobitnie. – Musi dawać korzyści obu stronom, a nie być tylko terenem łowów dla białych. Zacznę od twojej córki. Nie ma pieniędzy ani dobrej rodziny, ale jest ładna i dzięki Père Antoine’owi już wolna. To będzie najlepiej ulokowana dziewczyna w Nowym Orleanie. Za rok wprowadzimy ją do towarzystwa, akurat wystarczy mi czasu, żeby ją przygotować.

– Nie wiem... – Tété zamilkła, bo nie miała dla córki niczego lepszego; poza tym ufała Violette Boisier.

Nie spytały o zdanie Rosette, ale dziewczynka okazała się sprytniejsza, niż przypuszczały, wszystko odgadła i nie protestowała, bo ona także miała pewien plan.

W ciągu następnych tygodni Violette odwiedziła kolejno należące do klasy wyższej matki dorastających Mulatek, matriarchinie z *Société du Cordon Bleu*, i wyłożyła im cały pomysł. To one rządziły w swoim środowisku, wiele z nich posiadało własne interesy, ziemie, niewolników, z którymi niekiedy łączyło je pokrewieństwo. Ich babcie były wyzwolonymi niewolnicami, które miały dzieci ze swoimi panami i od nich otrzymały pomoc. Relacje rodzinne, nawet jeśli łączyły różne rasy, stanowiły rusztowanie podtrzymujące skomplikowany gmach kreolskiego społeczeństwa. Pomysł, by dzielić mężczyznę z inną lub innymi kobietami, nie był obcy Mulatkom, których prababki pochodziły z poligamicznych rodzin z Afryki. Miały obowiązek zapewnić dobrobyt córkom i wnukom, nawet jeśli musiałyby go zawdzięczać mężowi innej kobiety.

Te wspaniałe matki, których liczba pięciokrotnie przewyższała liczbę mężczyzn z tej samej klasy, rzadko zdobywały odpowiedniego zięcia. Wiedziały, że najlepiej zadbają o swoje córki, oddając je komuś, kto będzie w stanie zapewnić im ochronę. W przeciwnym razie będą zdane na łaskę pierwszego lepszego drapieżnika. Uprowadzenie, przemoc fizyczna i gwałt nie stanowiły przestępstwa, kiedy ich ofiarą padała Mulatka, nawet wolna.

Violette wyjaśniła matkom, że jej pomysł polega na wydaniu eleganckiego balu w najlepszej sali, jaką uda im się znaleźć, sfinansowanego z zebranych wśród nich składek. Zaproszenia mieli otrzymać

majątni biali młodzieńcy poważnie zainteresowani *plaçage* oraz ich ojcowie, jeśli zajdzie taka potrzeba; żadnych zuchwałych zalotników szukających nieostrożnej dziewczyny, z którą mogliby zabawić się bez zobowiązań. Kilka matek zasugerowało, żeby mężczyźni płacili za wstęp, ale zdaniem Violette otworzyłyby to drzwi niepożądanym gościom, tak jak działo się na balach karnawałowych czy przyjęciach w Salón Orléans i teatrze, gdzie za skromną opłatę mógł wejść każdy, byle nie był czarny. To miał być bal dla wybranych, taki jak bale dla białych debutantek. Zdążą sprawdzić przeszłość zaproszonych, bo przecież nikt nie chce oddać córki mężczyźnie nieobyčajnemu czy zadłużonemu. „Nareszcie biali będą musieli zaakceptować nasze warunki”, powiedziała Violette.

Aby nie wzbudzać niepokoju, przemilczała, że na liście zaproszonych planuje uwzględnić w przeszłości Amerykanów, choć Sancho ostrzegł ją, że żaden protestant nie zrozumie korzyści płynących z *plaçage*. Będzie czas, żeby o tym pomyśleć; na razie musiała skoncentrować się na pierwszym balu.

Biały mógłby zatańczyć z wybranką kilka razy i jeśli mu się spodoba, on lub jego ojciec powinien od razu przystąpić do negocjacji z matką dziewczynki, nie tracąc czasu na zbędne zaloty. Protektor miałby wnieść dom, roczną pensję i zapewnić wykształcenie dzieciom z takiego związku. Po uzgodnieniu tych punktów dziewczyna *placée* przeprowadzi się do nowego domu i rozpoczną wspólne życie. Ona zagwarantuje dyskrecję przez okres, kiedy będą razem, i nie będzie robić scen, gdy związek zostanie zerwany. O rozstaniu będzie decydował wyłącznie on. „*Plaçage* powinien być umową honorową, przestrzeganie reguł leży w interesie wszystkich”, powiedziała Violette. Biali nie dopuszczają, by ich młode kochanki żyły w nędzy, bo może to zagrozić delikatnej równowadze zaakceptowanego przez obie strony konkubinat. Nie będzie podpisywany żaden kontrakt, ale jeśli mężczyzna złamałby dane słowo, one zajmą się zniszczeniem jego reputacji. Bal miał się nazywać Cordon Bleu i Violette obiecała, że dla młodych ludzi wszystkich kolorów skóry będzie to najbardziej oczekiwane wydarzenie roku.

## Zarité

Zgodziła się w końcu na plaçage, który matki innych dziewcząt przyjmowały jako coś naturalnego. Mnie to raziło. Nie tego chciałam dla mojej córki, ale co innego mogłam jej dać? Rosette zrozumiała od razu, kiedy zebrałam się na odwagę, żeby jej o wszystkim powiedzieć. Miała więcej zdrowego rozsądku niż ja.

Madame Violette organizowała bal z pomocą kilku Francuzów, którzy wystawiali przedstawienia. Założyła też Akademię Etykiety i Urody, bo tak zaczęło nazywać żółty dom, gdzie przygotowywała dziewczynki, udzielając im lekcji. Powiedziała, że to właśnie one będą najbardziej oblegane i będą same mogły wybrać sobie protektora. W ten sposób przekonała matki i żadna nie narzekała na koszty. Pierwszy raz w ciągu czterdziestu pięciu lat jej życia madame Violette wcześniej wstawiała z łóżka. Budziłam ją ciemną kawą i od razu uciekałam, zanim zdążyła wylać mi ją na głowę. Zły humor trwał cały poranek. Madame przyjęła tylko tuzin uczennic, nie miała miejsca na więcej, ale na następny rok planowała znaleźć odpowiedni lokal. Zatrudniła nauczycieli śpiewu i tańca; dziewczynki chodziły z filizanką wody na głowie, żeby poprawić postawę, nauczyła je, jak się czesać i malować, a w wolnym czasie ja tłumaczyłam im, jak prowadzi się dom, bo sporo o tym wiem. Zaprojektowała im również, każdej osobno, w zależności od figury i koloru skóry, stroje, które potem szyła madame Adèle i jej pomocnice. Doktor Parmentier zaproponował, by dziewczynki przygotowały jakieś tematy do rozmów, ale zdaniem madame Violette żadnego mężczyzny nie interesuje, co mówi kobieta, i don Sancho się z tym zgodził. Doktor jednak zawsze słucha opinii Adèle i postępuje według jej rad, bo sam myśli tylko o leczeniu. To Adèle podejmuje decyzje dotyczące rodziny. Kupili dom na ulicy Rampart i wychowują dzieci za to, co zarobi i wyłoży ona, bo pieniądze doktora gdzieś się rozplywają.

W połowie roku uczennice poczyniły już takie postępy, że don Sancho założył się z przyjaciółmi z Café des Émigrés, że wszystkie zostaną dobrze ulokowane. Podglądałam lekcje, bo chciałam zobaczyć, czy coś mi się przyda, żeby sprawić przyjemność Zachariemu. Przy nim wyglądam na służącą, nie mam wdzięku madame Violette ani inteligencji Adèle; nie potrafię być kokietką, co doradzał mi don Sancho, i nie jestem wesoła, jak chciałby doktor Parmentier.

W ciągu dnia moja córka chodziła uwięziona w gorsecie, a w nocy spała wysmarowana kremem wybielającym, ze wstążeczką, która miała spłaszczyć uszy, i z końskim popręgiem ściskającym ją w pasie. Piękno to złudzenie – mawiała madame – w wieku piętnastu lat wszystkie są ładne, ale żeby pozostały takie na dłużej, potrzebna jest dyscyplina. Rosette musiała czytać na głos spisy towarów na statkach w porcie i w ten sposób uczyła się, jak robiąc dobrą minę, wytrzymać z nudnym mężczyzną. Prawie nic nie jadła, prostowała włosy gorącym żelazem, depilowała się karmelem, nacierała owsem i cytryną, spędzała całe godziny, ćwicząc dygnięcia, tańce i gry salonowe. Po co być wolnym, skoro człowiek musi się tak zachowywać? Mówiłam sobie, że żaden mężczyzna nie zasługuje na tyle, ale madame Violette przekonała mnie, że to jedyny sposób, by zapewnić jej przyszłość. Moja córka, która nigdy nie była posłuszna, uległa bez słowa skargi. Zaszła w niej jakaś zmiana, już nie starała się nikogo zadowolić, stała się milcząca. Przedtem żyta zapatrzona w siebie – teraz używała lustra tylko w czasie lekcji, kiedy wymagała tego madame.

Madame uczyła, jak schlebiać bez służalczości, jak powstrzymać się od robienia wymówek, ukrywać zazdrość i przewycięzać pokusę kosztowania pocałunków innych mężczyzn. Uważała, że najważniejsze to umieć wykorzystać ogień, który my, kobiety, mamy w brzuchu. Tego najbardziej boją się mężczyźni i tego najbardziej pożądają. Radziła dziewczynkom, żeby poznawały swoje ciało i sprawiały sobie przyjemność palcami, bo bez przyjemności nic ma zdrowia ani urody. Tego samego próbowała mnie nauczyć Tante Rose w czasach, kiedy pan Valmorain zaczął mnie gwałcić, ale jej nie słuchałam, byłam wtedy

smarkulą i za bardzo się bałam. Tante Rose robiła mi kąpiele z ziół i kładła na brzuch i uda rozrobioną glinę, która na początku była zimna i ciężka, ale potem rozgrzewała, zdawała się wrzeć, jakby żyła. Tak mnie uzdrawiała. Ziemia i woda leczą ciało i duszę. Myślę, że z Gambo doznałam pierwszy raz tego, o czym mówiła madame, ale rozstaliśmy się zbyt szybko. Potem nie czułam nic przez lata, do czasu, aż Zacharie rozbudził moje ciało. Kocha mnie i jest cierpliwy. Oprócz Tante Rose tylko on policzył moje bliźny w sekretnych miejscach, gdzie pan czasami gasił cygaro. Madame Violette jest jedyną kobietą, od której usłyszałam to słowo: rozkosz. Jak dacie ją mężczyźnie, jeśli same nie będziecie jej znały?”, mówiła. Rozkosz kochania, karmienia piersią dziecka, tańczenia. Rozkoszą jest również czekanie na Zachariego, kiedy wiadomo, że przyjdzie.

Tego roku miałam dużo obowiązków w domu, nie licząc zajmowania się uczennicami, biegania ze zleceniami do madame Adèle i przygotowywania leków dla doktora Parmentiera. W grudniu, niedługo przed balem Cordon Bleu, wyliczyłam, że nie krwawię od trzech miesięcy. Zdziwiło mnie tylko, że nie zaszłam w ciążę wcześniej, bo już od dawna byłam z Zachariem i nie stosowałam zabezpieczeń, których nauczyła mnie Tante Rose. Chciał się ze mną żenić, zaraz jak mu o tym powiedziałam, ale najpierw musiałam dobrze ulokować moją Rosette.

## Maurice

Kiedy po czwartym roku nauki zaczęły się wakacje, Maurice jak zawsze czekał na Jules'a Beluche'a. Nie miał już ochoty na spotkanie z rodziną i jedynym powodem, dla którego wróciłby do Nowego Orleanu, była Rosette, choć szansa zobaczenia jej wydawała się znikoma. Urszulanki nic pozwalały nikomu na niezapowiedziane odwiedziny, tyra bardziej młodzieńcowi, który nie był w stanie wykazać bliskiego pokrewieństwa. Wiedział, że ojciec nigdy nie da mu na to pozwolenia, ale nie tracił nadziei, że będzie mógł towarzyszyć wujowi Sanchowi, którego zakonnice znały, bo regularnie odwiedzał Rosette.

Z listów dowiedział się, że po incydencie z Hortense Tété odesłano na plantację, i mógł mieć o to pretensje tylko do siebie. Wyobrażał sobie, jak od świtu do zmierzchu ścina trzcinę, i czuł, że coś ściska mu żołądek. Nie tylko on i Tété zapłacili drogo za tamto uderzenie batem, najwidoczniej w niełaskę popadła również Rosette. Dziewczynka pisała kilkakrotnie do Valmoraina, prosząc, by się z nią spotkał, ale ani razu nie otrzymała odpowiedzi. „Co takiego zrobiłam, że straciłam szacunek twojego ojca? Przedtem byłam jak jego córka, dlaczego o mnie zapomniał?”, skarżyła się raz po raz w listach do Maurice'a, ale on nie mógł udzielić jej uczciwej odpowiedzi. „Nie zapomniał o tobie, Rosette, *papa* kocha cię jak zawsze i zależy mu na twoim szczęściu, ale jest zajęty interesami i plantacją. Ja też nie widziałem go od ponad trzech lat”. Po co miał pisać, że Valmorain nigdy nie uważał jej za swoją córkę? Zanim został skazany na wygnanie w Bostonie, poprosił ojca, żeby zabrał go w odwiedziny do siostry, a ten odpowiedział mu rozeźlony, że jego jedyną siostrą jest Marie-Hortense.

Tamtego lata Jules Beluche nie pojawił się w Bostonie, przyjechał za to Sancho Garda del Solar, w kapeluszu z szerokim rondem, galopem, z przytroczonym do siodła drugim koniem. Zeskoczył z wierzchowca i uderzeniami sombrera strzepnął kurz z ubrania, zanim uściskał siostrzeńca. Jules Beluche został pchnięty nożem za długi karciane i Guizotowie musieli interweniować, żeby uniknąć plotek, bo choć łączące ich pokrewieństwo było bardzo dalekie, złe języki skojarzyłyby go i szanowaną gałęzią rodziny. Uczynili to, co każdy Kreol należący do ich klasy robił w podobnych okolicznościach: spłacili jego długi, udzielili schronienia do czasu, aż rana się zagoiła i był w stanie sam sobie poradzić, wręczyli mu kieszonkowe i wsadzili na statek z instrukcją, by nie schodził na ląd wcześniej niż w Teksasie i nigdy nie wracał do Nowego Orleanu. Wszystko to Sancho opowiedział Maurice'owi, skręcając się ze śmiechu.

– To mogłem być ja, Maurice. Dotąd miałem szczęście, ale któregoś dnia dostaniesz wiadomość, że twojego ulubionego wuja podziurawili sztyletem w jakiejś podłej szulerni – dodał.

– Uchowaj Boże, wuju. Przyjechał wuj zabrać mnie do domu? – zapytał Maurice głosem, który w jednym zdaniu przechodził z barytonu w sopran.

– Co też ci przyszło do głowy, chłopcze! Chcesz się zagrzebać na plantacji na całe lato? Ty i ja udajemy się w podróż – obwieścił Sancho.

– Czyli to samo, co robiłem wcześniej z Beluche'em.

– Nie przyrównuj mnie do niego, Maurice. Nie mam zamiaru przykładać ręki do twojej edukacji obywatelskiej, pokazując ci pomniki. Mam zamiar cię zdeprawować. Co ty na to?

– W jaki sposób, wuju?

– Na Kubie, siostrzeńcze. Nie ma lepszego miejsca dla takiej pary łotrów jak my. Ile masz lat?

– Piętnaście.

– I ciągle jeszcze zmienia ci się głos?

– Już mi się zmienił, wuju, ale teraz mam katar – wyjąkał chłopiec.

– Ja w twoim weku byłem niezłym szatanem. Masz zaległości, Maurice. Przygotuj rzeczy, jutro wyjeżdżamy – polecił Sancho.

Zostawił na Kubie niemało kochanek i licznych przyjaciół, którzy zgodzili się udzielić mu gościny w

czasie wakacji i jakoś znieść obecność jego towarzysza, dziwnego chłopca, który spędzał czas na pisanu listów i poruszał tak absurdalne tematy jak niewolnictwo i demokracja, na które żaden z jego rozmówców nie miał wyrobionej opinii. Bawił ich widok Sancha w roli niańki. Wypełniał swoje zadanie z poświęceniem, o które nikt by go nie posądzał. Rezygnował z najlepszych hulanek tylko dlatego, że nie chciał zostawiać siostrzeńca samego, i przestał chadzać na walki zwierząt – byków z niedźwiedziami, węży z łaściami, kogutów z kogutami, psów z psami – bo psuły Maurice’owi humor. Postanowił nauczyć chłopca pić, co kończyło się obmywaniem go z wymiocin w środku nocy. Pokazał mu wszystkie swoje karciane sztuczki, ale siostrzeńcowi brakowało przebiegłości, dlatego inni, sprytniejsi, ogrywali go, a na Sancha spadało płacenie długów. Szybko musiał też zrezygnować z zamiaru wtajemniczenia go w miłosne zapasy, bo kiedy raz spróbował, Maurice o mały włos nie umarł z przerażenia. Uzgodnił szczegóły ze swoją przyjaciółką, niemłoda, ale wciąż atrakcyjną kobietą o gołęmbim sercu, która zgodziła się posłużyć jego siostrzeńcowi za nauczycielkę dla czystej przyjemności, jaką było oddanie przysługi wujowi chłopca. „Ten smarkacz jest jeszcze bardzo zielony...”, mruknął zawstydzony Sancho, kiedy Maurice uciekł na widok damy półleżącej na sofie w prowokującej sukni o podwyższonym stanie. „Nikt mi dotąd nie zrobił podobnego afrontu, Sancho – zaśmiała się ona. – Zamknij drzwi i chodź mnie pocieszyć”. Pomimo tych potknięć Maurice spędził niezapomniane lato i wrócił do szkoły wyższy, silniejszy, opalony i z ostatecznie wykształconym głosem tenora. „Nie ucz się za dużo, bo to psuje wzrok i charakter, i przygotuj się na następne lato. Zabiorę cię do Nowej Hiszpanii”, pożegnał go Sancho. Dotrzymał słowa i od tego czasu Maurice z niecierpliwością czekał na kolejne wakacje.

Kiedy w 1805 roku chłopiec skończył szkołę, przyjechał po niego nie wuj, jak bywało wcześniej, lecz ojciec. Maurice wydedukował, że chce go zawiadomić o jakimś nieszczęściu, i zaczął się bać o Tété i Rosette, ale nie o to chodziło. Valmorain zorganizował podróż do Francji, aby młodzieniec odwiedził babkę i dwie rzekome ciotki, o których istnieniu nikt mu wcześniej nie wspominał. „Czy potem pojedziemy do domu, monsieur?”, zapytał Maurice, wspominając Rosette, której listy wyściełały dno jego kufra. On sam napisał ich sto dziewięćdziesiąt trzy. Nie myślał o nieuniknionych zmianach, jakie musiały się w niej dokonać w ciągu siedmiu lat rozłąki. Pamiętał ją jako dziewczynkę całą we wstążeczkach i koronkach. Widział ją ostatni raz tuż przed ślubem ojca z Hortense Guizot. Nie potrafił wyobrazić jej sobie jako piętnastolatki, tak jak ona nie wyobrażała go sobie jako osiemnastolatka. „Oczywiście pojedziemy do domu, synu; twoja matka i siostry czekają na ciebie”, skłamał Valmorain.

Podróż, najpierw statkiem, który lawirował pośród letnich burz i ledwo zdołał uciec przed atakiem Anglików, a potem powozem do Paryża, nie zbliżyła ojca i syna. Valmorain zaplanował ją po to, by o kolejnych kilka miesięcy odsunąć nieprzyjemny moment, w którym jego żona będzie musiała ponownie spotkać się z Maurice’em, ale nie mógł odkładać tego w nieskończoność. Powinien w końcu stawić czoło sytuacji, której upływ lat wcale nie złagodził. Hortense nie przepuszczała okazji, by saczyć jad nienawiści przeciwko pasierbowi. Co roku bezskutecznie próbowała zastąpić go własnym synem, ale wydawała na świat same dziewczynki. To dla niej Valmorain wykluczył Maurice’a z rodziny, czego teraz żałował. Od dziesięciu lat nie zajmował się poważnie swoim synem, zawsze pochłonięty własnymi sprawami, najpierw na Saint-Domingue, potem w Luizjanie, a teraz zaabsorbowany Hortense i narodzinami córek. Chłopiec był dla niego nieznanym, który odpisywał na jego nieliczne listy kilkoma oficjalnymi zdaniem na temat postępów w nauce i nigdy nie pytał o nikogo z rodziny, jakby chciał dać do zrozumienia, że już do niej nie należy. Nie zareagował nawet, kiedy ojciec napisał mu jednym zdaniem, że Tété i Rosette zostały wyzwolone i że nie ma z nimi teraz kontaktu.

Valmorain bał się, że w ciągu tych burzliwych lat przegapił moment, w którym stracił syna. Introwertyczny młodzieniec, wysoki i przystojny, obdarzony rysami matki, w niczym nie przypominał chłopczyka o zaczerwienionych policzkach, którego kołysał w ramionach, błagając niebiosa, by uchroniły go od wszelkiego zła. Kochał syna wciąż tak samo, a może nawet bardziej, bo teraz jego miłość była zabarwiona poczuciem winy. Starał się przekonać samego siebie, że Maurice odwzajemnia ojcow-

ską czułość, chociaż chwilowo są rozdzieleni, ale nachodziły go wątpliwości. Miał wobec niego ambitne plany, choć jeszcze nie spytał, co syn pragnie zrobić ze swoim życiem. W rzeczywistości nie wiedział nic o jego zainteresowaniach ani doświadczeniach, nie rozmawiali ze sobą całe wieki. Chciał go odzyskać i wyobrażał sobie, że miesiące, które spędzą razem, sami we Francji, zbudują między nimi relacje, jakie łączą dorosłych. Musiał dać mu dowód swojego uczucia i wyjaśnić, że Hortense i ich córki w niczym nie zmieniają jego pozycji jedyne go spadkobiercy, ale kiedy poruszał ten temat, nie otrzymywał żadnej odpowiedzi. „Tradycja majoratu jest bardzo mądra, Maurice: nie wolno dzielić dóbr między dzieci, bo każdy podział osłabia rodzinny majątek. Jako pierworodny dostaniesz spadek w całości i będziesz musiał opiekować się siostrami. Kiedy mnie już nie będzie, ty zostaniesz głową rodziny Valmorainów. Czas, żebyś zaczął się do tego przygotowywać, nauczysz się inwestować pieniądze, zarządzać plantacją i poruszać w towarzystwie”, tłumaczył. Odpowiedzią było milczenie. Rozmowy zamierały, zanim się zaczęły. Valmorain żeglował od monologu do monologu.

Maurice bez słowa komentarza oglądał napoleońską Francję (ciągle w stanie wojny), muzea, pałace, parki, aleje, które pragnęła pokazać mu ojciec. Odwiedzili zrujnowany *château*, gdzie babka spędzała ostatnie lata życia, opiekując się dwiema córkami, starymi pannami, zniszczonymi przez upływ czasu i samotność bardziej niż ona sama. Była to dumna staruszka, ubrana zgodnie z modą panującą za Ludwika XVI, zdecydowana lekceważyć zmiany zachodzącej w świecie. Tkwiła mocno korzeniami w epoce poprzedzającej rewolucję francuską i wymazała z pamięci terror, gilotynę, wygnanie we Włoszech i powrót do ojczyzny, która zmieniła się nie do poznania. Na widok Toulouse’a Valmoraina, syna nieobecnego od ponad trzydziestu lat, wysunęła do pocałowania kościstą dłoń ze staroświeckimi pierścionkami na każdym palcu i kazała córkom podać czekoladę. Valmorain przedstawił jej wnuka i próbował streścić swoje życie od czasu, kiedy w wieku dwudziestu lat wsiadł na statek płynący na Antyle, aż do tej chwili. Słuchała go w milczeniu, a w tym czasie siostry podawały parujące filiżanki i talerzyki z nieświeżymi ciastkami, z rezerwą spoglądając na Valmoraina. Pamiętały lekkomyślnego młodzieńca, który pożegnał je roztargnionym pocałunkiem, odjechał z lokajem i kilkoma kuframi, by spędzić parę tygodni z ojcem na Saint-Domingue, i nigdy już nie wrócił. Nie poznały brata, który miał teraz przerzedzone włosy, podwójny podbródek, duży brzuch i mówił z dziwnym akcentem. Wiedziały co nieco o powstaniu niewolników w kolonii, tu i ówdzie słyszały wyrwane z kontekstu zdania o potwornościach popełnianych na tej upadającej wyspie, ale nie były w stanie powiązać tego wszystkiego z kimś ze swojej rodziny. Nigdy nie okazały na tyle ciekawości, by zapytać, skąd pochodzą środki, z których żyją. Zbroczony krwią cukier, zbuntowani niewolnicy, płonące plantacje, wygnanie i cała reszta, o której opowiadał brat, były dla nich równie niezrozumiałe jak chińska mowa.

Matka za to dokładnie wiedziała, o czym mówi Valmorain, ale już nic na tym świecie nie budziło w niej większego zainteresowania. W wyschniętym sercu kobiety nie było miejsca na uczucia i nowiny. Wysłuchiwała syna w obojętnym milczeniu, a jedyne pytanie, jakie mu w końcu zadała, dotyczyło pieniędzy: czy może liczyć na więcej, bo suma, którą jej regularnie przysyła, ledwo im wystarcza. Oznajmiła, że trzeba koniecznie wyremontować to domiszcze popadające w ruinę pod wpływem lat i zmiennych kolei losu. Nie mogła umrzeć, zostawiając córki pod gołym niebem. Valmorain i Maurice spędzili pośród tych posępnych ścian kilka dni, które wydały im się długie niczym dwa tygodnie. „Już się nie zobaczymy. Może to i lepiej”, pożegnała syna i wnuka stara dama.

Maurice posłusznie towarzyszył ojcu, wszędzie poza luksusowym burdelem, gdzie Valmorain zamierzał uraczyć go najdroższymi w Paryżu profesjonalistkami.

– Co się z tobą dzieje, synu? To jest normalne i konieczne. Trzeba rozładować cielesne humory i oczyścić umysł, dzięki temu można skoncentrować się na innych rzeczach.

– Nie mam kłopotów z koncentracją, monsieur.

– Mówiłem ci już, żebyś zwracał się do mnie *papa*, Maurice. Przypuszczam, że w czasie podróży z wujem Sanchem... No cóż, nie brakowało ci okazji...



– To sprawa osobista – przerwał mu Maurice.

– Mam nadzieję, że amerykańska szkoła nie zrobiła z ciebie zakonnika ani niewieściucha – powiedział ojciec tonem, który miał być żartobliwy, a zabrzmiał jak pomruk niezadowolenia.

Chłopiec nie udzielił żadnych wyjaśnień. W czasie ostatnich wakacji stracił cnotę dzięki wujowi, który – nie mając innego wyjścia – musiał uciec się do zręcznego podstępu, by doprowadzić do inicjacji siostrzeńca. Sancho podejrzewał, że Maurice cierpi z powodu pragnień i fantazji właściwych jego wiekowi, ale jest romantykiem i miłość sprowadzona do handlowej transakcji budzi w nim odrazę. Uznał, że powinien mu pomóc. Byli właśnie w zamożnym porcie Savannah w Georgii, który Sancho chciał poznać, bo oferował niezliczone rozrywki, a Maurice – bo profesor Harrison Cobb podawał to miejsce za przykład sprzedajnej moralności.

Założona w 1733 roku Georgia była trzynastą i ostatnią kolonią brytyjską w Ameryce Północnej, a Savannah jej pierwszym miastem. Nowo przybyli utrzymywali przyjazne stosunki z plemionami indiańskimi, unikając w ten sposób przemocy, która wyniszczała inne kolonie. Początkowo w Georgii zakazane było nie tylko niewolnictwo, ale także alkohol i prawnicy. Jednak mieszkańcy szybko zdali sobie sprawę, że mają idealny klimat i glebę dla uprawy ryżu i bawełny, więc zalegalizowali niewolnictwo. Po uzyskaniu niepodległości Georgia przekształciła się w stan Unii, a Savannah rozkwitło jako port handlowy dzięki przywozowi Afrykańczyków, w których zaopatrywały się okoliczne plantacje. „To pokazuje, Maurice, że przyzwoitość szybko przegrywa z chciwością. Tam gdzie chodzi o to, by się wzbogacić, większość ludzi składa w ofierze duszę. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak żyją plantatorzy w Georgii dzięki pracy swoich niewolników”, perorował Harrison Cobb. Młodzieniec nie musiał sobie niczego wyobrażać, przeżył to na Saint-Domingue i w Nowym Orleanie, ale nie chcąc zawieść swojego nauczyciela, przyjął propozycję wuja Sancha, by spędzić wakacje w Savannah. „Nie wystarczy umiłowanie sprawiedliwości, żeby pokonać niewolnictwo, Maurice. Trzeba widzieć rzeczywistość i znać dogłębnie prawa i mechanizmy polityki”, twierdził Cobb, który przygotowywał chłopca do tego, by odniósł triumf tam, gdzie on poniósł porażkę. Znał swoje ograniczenia; ani temperament, ani zdrowie nie pozwalały mu toczyć sporów w Kongresie, o czym marzył w młodości, ale był dobrym nauczycielem: potrafił odkryć w uczniu talent i kształtować jego charakter.

Podczas gdy Sancho García del Solar korzystał ile dusza zapragnie z wyrafinowania i gościnności Savannah, Maurice miał poczucie winy, że dobrze się bawi. Co powie nauczycielowi, kiedy wróci do szkoły? Że mieszkał w uroczym hotelu, był obsługiwany przez armię nadgorliwych służących i że czas płynął mu zbyt szybko na lekkomyślnej zabawie?

Przebywali w Savannah zaledwie jeden dzień, kiedy Sancho zaprzyjaźnił się z pewną szkocką wdową, mieszkającą dwie przecznice od hotelu. Dama zaproponowała, że pokaże im miasto, jego domy, pomniki, kościoły i parki, pięknie odbudowane po niszczycielskim pożarze. Dotrzymując słowa, stawiała się z córką, delikatną Giselle, i we czwórkę wybrali się na spacer, nawiązując w ten sposób przyjaźń, bardzo wygodną dla wuja i siostrzeńca. Spędzili razem wiele godzin.

Podczas gdy matka i Sancho rozgrywali niekończące się partie kart i od czasu do czasu znikali z hotelu bez słowa wyjaśnienia, Giselle podjęła się pokazania Maurice'owi okolic. Jeździli we dwoje na konne wycieczki, z dala od oczu szkockiej wdowy, co dziwiło Maurice'a, który nie miał pojęcia, że dziewczyna może mieć tyle swobody. Kilka razy Giselle zaprowadziła go na odludną plażę, gdzie zjadali coś lekkiego i wypijali butelkę wina. Mówiła mało, a to, co miała do powiedzenia, było tak przeraźliwie banalne, że Maurice przestał odczuwać zakłopotanie i wylewał z siebie potok słów, które zwykle więzły mu w gardle. Wreszcie miał rozmówczynię, która nie ziewała, kiedy poruszał tematy filozoficzne, lecz słuchała z niekłamanym podziwem. Od czasu do czasu kobiece palce muskały go jakby niechcący; przejście od tych muśnięć do śmielszych pieszczot było kwestią trzech zachodów słońca. Szturmy przypuszczane pod gołym niebem, wystawianie się na ukłucia owadów, dłonie zabłąkane pod ubra-

niem i obawa przed tym, że ktoś ich nakryje, to wszystko jego wprawiało w zachwyt, a ją raczej nudziło.

Reszta wakacji minęła zbyt szybko; Maurice oczywiście w końcu zakochał się jak młokos, którym przecież był, Miłość pogłębiła wyrzuty sumienia, że splamił honor Giselle. Istniał tylko jeden rycerski sposób zmycia winy, jak wytłumaczył Sanchowi, kiedy wreszcie zebrał się na odwagę.

– Poproszę o rękę Giselle – oznajmił.

– Czyś ty rozum stracił, Maurice? Jak się ożenisz, skoro nie potrafisz wytrzeć sobie nosa?

– Nie obrażaj mnie, wuju. Jestem już prawdziwym mężczyzną.

– Bo przespałeś się z dziewczyną? – wybuchnął gromkim śmiechem Sancho.

Wuj ledwo zdołał się uchylić przed ciosem, który Maurice wymierzył mu pięścią w twarz. Wszystko wyjaśniło się, gdy szkocka dama oznajmiła, że Giselle nie zamierza dalej odgrywać roli córki, a dziewczyna wyznała, że jej imię to teatralny pseudonim, że nie ma szesnastu lat, tylko dwadzieścia cztery, i że Sancho García del Solar zapłacił, żeby zabawiała jego siostrzeńca. Wuj przyznał, że popełnił straszne głupstwo, i starał się obrócić całą sprawę w żart, ale faktycznie przeholował. Zdruzgotany Maurice poprzysiągł, że już nigdy w życiu się do niego nie odezwie. Jednak w Bostonie czekały na niego dwa listy od Rosette i namiętne uczucie do piękności z Savannah zaczęło się rozpląwać. Dopiero wtedy przebaczył wujowi. Przy pożegnaniu uściskali się tak samo przyjaźnie jak zawsze, obiecując sobie rychłe spotkanie.

W czasie podróży do Francji Maurice nie opowiedział ojcu o tym, co wydarzyło się w Savannah. Valmorain jeszcze kilkakrotnie usiłował namówić syna na zabawę z królowymi nocy, ale chociaż próbował osłabić opór chłopca wódką, nie zdołał go skłonić, by zmienił zdanie, i w końcu postanowił nic poruszać tego tematu aż do powrotu do Nowego Orleanu, gdzie zamierzał udostępnić mu garsonierę, jak zwykli czynić rodzice młodych Kreoli z jego pozycją społeczną. Na razie nie chciał dopuścić, by podejrzana niewinność syna zaburzyła kruchą równowagę w ich relacjach.

## Szpiedzy

Jean-Martin Relais pojawił się w Nowym Orleanie na trzy tygodnie przed pierwszym balem Cordon Bleu organizowanym przez jego matkę. Przyjechał bez munduru wojskowego, noszonego od trzynastego roku życia, jako sekretarz Isidore'a Morisseta, naukowca, który badał warunki terenowe Antyli i Florydy, co wiązało się z planami założenia nowych plantacji trzciny cukrowej, bo straty na Saint-Domingue wydawały się nieodwracalne. W Murzyńskiej Republice Haiti generał Dessalines systematycznie unicestwiał wszystkich białych, tych samych, których wcześniej zachęcał do powrotu. Napoleon, nawet jeśli rozważał porozumienie handlowe z Haiti, choć nie udało mu się zająć jej przy użyciu armii, teraz odstąpił od tego zamiaru po straszliwych rzeziach; do zbiorowych mogił trafiały wtedy nawet dzieci.

Isidore Morisset był mężczyzną o nieprzeniknionym spojrzeniu, złamanym nosie, plecach zapaśnika, od których pękały szwy jego surduta, i czerwonej jak cegła twarzy spalonej w czasie podróży morskiej bezlitosnym słońcem. Mówił monosylabami, co sprawiało, że budził antypatię, kiedy tylko otwierał usta. Wypowiadane przez niego zdania – zawsze zbyt krótkie – brzmiały jak kichnięcia. Odpowiadał na pytania spontanicznym parskaniem, z nieufnym wyrazem twarzy kogoś, kto spodziewa się po rozmówcy najgorszego. Natychmiast został przyjęty przez gubernatora Claiborne'a, ze względami należnymi cudzoziemcowi cieszącemu się wielkim poważaniem poświadczonym przez listy rekomendacyjne wielu towarzyszt naukowych; te przekazał sekretarz w teczce z zielonej wytłaczanej skóry.

Uwagę Claiborne'a, będącego w żałobie po śmierci żony i córki, które padły ofiarą niedawnej epidemii żółtej febry, zwrócił ciemny kolor skóry sekretarza. Ze sposobu, w jaki przedstawił go Morisset, domyślił się, że to wolny Mulat, i tak też potraktował go przy powitaniu. „Nigdy nie wiadomo, jakie zasady etykiety należy stosować wobec narodów śródziemnomorskich”, pomyślał gubernator. Nie należał do ludzi zdolnych od razu dostrzec męską urodę, ale nie mógł nie zauważyć delikatnych rysów twarzy młodzieńca, gęstych rzęs, kobiecych ust, okrągłego podbródka z dołeczkiem, co kontrastowało z jego szczupłym i gibkim ciałem o niewątpliwie męskich proporcjach. Młody człowiek, wykształcony i o nienaganych manierach, służył za tłumacza, jako że Morisset mówił tylko po francusku. Stopień, w jakim sekretarz, opanował język angielski, pozostawiał sporo do życzenia, ale w zasadzie wystarczał, zważywszy że Morisset nie był zbyt rozmowny.

Instynkt ostrzegł gubernatora, że goście coś ukrywają. Cukrowa misja Morisseta wydała mu się równie podejrzana jak jego wygląd zabijaki, niepasujący do wyobrażeń Claiborne'a o naukowcach, ale obiekcje te nie zwalniały go z obowiązującej w Nowym Orleanie gościnności. Po skromnym obiedzie, podanym przez wolnych Murzynów – bo nie miał niewolników – zaproponował przybyszom, by zatrzymali się w jego domu. Sekretarz przetłumaczył, że to nie będzie konieczne, przyjechali bowiem tylko na kilka dni i w oczekiwaniu na statek do Francji zostaną w hotelu.

Zaledwie wyszli, Claiborne kazał ich dyskretnie śledzić i dzięki temu dowiedział się, że po południu obaj mężczyźni opuścili hotel – ciemnoskóry młodzieniec udał się pieszo w kierunku ulicy Chartres, a muskularny Morisset pojechał na wynajętym koniu w stronę małej kuźni przy końcu ulicy Saint Philippe.

Podejrzenia gubernatora okazały się słuszne: Morisset nie miał nic z naukowca – był szpiegiem Bonapartego. W grudniu 1804 roku Napoleon został cesarzem Francji. Sam założył sobie koronę na głowę, bo nawet papież, zaproszony specjalnie na tę okazję, nie wydal mu się wystarczająco godnym, by to uczynić. Podbił już połowę Europy, ale szczególną nienawiścią darzył Wielką Brytanię, mały naród brzydkich ludzi żyjących w strasznym klimacie, który rzucał mu wyzwanie z drugiego brzegu cieśniny nazywanej kanałem La Manche. Dwudziestego pierwszego października 1805 roku oba narody starły się na południowy zachód od Hiszpanii, pod Trafalgarem: z jednej strony flota francusko-hiszpańska z trzydziestoma trzema okrętami, z drugiej Anglicy z dwudziestoma siedmioma pod dowództwem słyn-

nego admirała Horatia Nelsona, geniusza wojen na morzu. Nelson został śmiertelnie ranny i zmarł, ale już po spektakularnym zwycięstwie i zniszczeniu wrogiej floty, które oznaczało koniec napoleońskiego marzenia o podboju Anglii. W tamtych dniach Paulina Bonaparte odwiedziła brata, by złożyć mu kondolencje z powodu klęski pod Trafalgarem. Obcięła sobie włosy, które włożyła do trumny męża roga-cza, generała Leclerca, zmarłego na febrę na Saint-Domingue i pochowanego w Paryżu. Ten dramatyczny gest niepokieszonej wdowy wywołał rozbawienie całej Europy. Bez długich włosów w kolorze mahoni, które czesała na sposób greckich bogiń, Paulina roztaczała nieodparty urok i jej nowa fryzura szybko stała się modna. Tego dnia przybyła w towarzystwie Morisseta, a na głowie miała tiarę ze słynnymi diamentami rodziny Borghese.

Napoleon podejrzewał, że gość jest kolejnym kochankiem jego siostry, i przyjął go chłodno, ale zainteresował się nim natychmiast, kiedy Paulina opowiedziała mu, że statek, którym Morisset podróżował po Karaibach, został zaatakowany przez piratów, a on sam był kilka miesięcy więźniem niejakiego Jena Lafitte'a, aż w końcu zdołał zapłacić okup i wrócić do Francji. W niewoli nawiązał z Lafitte'em coś w rodzaju przyjaźni, opartej na szachowych turniejach. Napoleon wypytał mężczyznę o świetnie funk-cjonującą organizację Lafitte'a, którego flota kontrolowała całe Karaiby; żaden statek nie był bezpieczny, z wyjątkiem jednostek pływających pod banderą Stanów Zjednoczonych, które dzięki lojalności, jaką pirat nie wiadomo czemu wykazywał wobec Amerykanów, nigdy nie były atakowane.

Cesarz zaprowadził Morisseta do małej sali, gdzie sam na sam spędzili dwie godziny. Może Lafitte potrafił rozwiązać dylemat, który dręczył Napoleona od klęski pod Trafalgarem: jak uniemożliwić Anglikom opanowanie handlu morskiego. Ponieważ nie dysponował odpowiednią flotą, by ich powstrzy-mać, myślał o sprzymierzeniu się z Amerykanami, którzy rywalizowali z Wielką Brytanią od czasu wojny o niepodległość w 1775 roku, ale prezydent Jefferson wolał zająć się konsolidowaniem własnego terytorium i nie miał zamiaru ingerować w europejskie konflikty. W przebłysku natchnienia, jednym z tych, które wyniosły go ze skromnych szeregów żołnierskich na szczyty władzy, Napoleon zlecił Isidore'owi Morissetowi, by zwerbował piratów gotowych nękać statki angielskie na Atlantyku. Morisset rozumiał, że chodzi o delikatną misję, bo cesarz nie mógł wystąpić jako sprzymierzeniec bandytów. Uznał, że mógłby, nie zwracając na siebie uwagi, podróżować pod przykrywką działalności naukowej. Bracia Jean i Pierre Lafitte bogacili się bezkarnie przez lata, gromadząc łupy pochodzące z napadów i wszelkiego rodzaju kontrabandy, ale władze amerykańskie nie tolerowały uchylania się od płacenia podatków i mimo nieskrywanej sympatii piratów dla demokracji Stanów Zjednoczonych, ogłosiły wyjęcie ich spod prawa.

Jean-Martin Relais nie znał człowieka, któremu miał towarzyszyć w wyprawie przez Atlantyk. Pewnego poniedziałkowego poranka dyrektor akademii wojskowej wezwał go do swojego gabinetu, wręczył pieniądze i kazał kupić cywilne ubranie i kufer, bo za dwa dni miał się znaleźć na pokładzie statku. „Proszę nikomu nie mówić o tym, co pan usłyszał, Relais, to poufna misja”, uprzedził dyrektor. Wierny wojskowemu wychowaniu, które otrzymał, młodzieniec wykonał rozkaz, nie zadając pytań. Później do-wiedział się, że został wybrany, ponieważ był najbardziej aktywnym uczniem na kursie angielskiego i ponieważ dyrektor założył, że jako osoba pochodząca z kolonii nie padnie rażony pierwszym ukłuciem tropikalnego moskita.

Młodzieniec pognał co koń wyskoczy do Marsylii, gdzie z biletami w ręku czekał na niego Isidore Morisset. W głębi duszy był wdzięczny za to, że mężczyzna ledwo na niego spojrział, bo denerwował się na myśl, że w czasie podróży będą dzielić ciasną kajutę. Nic nie raniło jego wielkiej dumy tak bar-dzo jak aluzje czynione mu przez innych mężczyzn.

– Nie chce pan wiedzieć, dokąd płyniemy? – zapytał Morisset, kiedy mieli już za sobą kilka dni na pełnym morzu, a oni ograniczyli się jedynie do wymiany uprzejmości.

– Płynę tam, gdzie posyła mnie Francja – odparł Relais, stając na baczność, nastroszony.

– Żadnych pozdrowień wojskowych, młodzieńcze. Jesteśmy cywilami, rozumiano?

- Tak jest.
- Mów pan jak człowiek, na Boga!
- Rozkaz, proszę pana.

Bardzo szybko Jean-Martin odkrył, że Morisset, tak powściągliwy i niemiły w towarzystwie, prywatnie potrafił być czarujący. Alkohol rozwiązywał mu język i odpęczał tak bardzo, że wydawał się innym człowiekiem: miłym, dowcipnym, uśmiechniętym.

Dobrze grał w karty i znał tysiące historii, które opowiadał bez upiększeń, w kilku zdaniach. Po każdym wypitym razem kieliszku koniaku poznawali się coraz lepiej i tak zrodziła się naturalna zażyłość dwóch przyjaciół.

– Kiedyś Paulina Bonaparte zaprosiła mnie do swojego *boudoir* – opowiadał Morisset. – Jakiś Murzyn z Antyli, tylko w opasce na biodrach, przyniósł ją na rękach i wykąpał w mojej obecności. Pani Bonaparte chwali się, że jest zdolna uwieść każdego, ale ze mną jej nie wyszło.

- Dlaczego?
- Męczy mnie kobieca głupota.
- Woli pan męską głupotę? – zażartował młodzieniec, z nutką kokieterii w głosie. On też wypił kilka kieliszków i czuł się pewny siebie.
- Wolę konie.

Ale Jeana-Martina bardziej niż zdolności jeździeckie i higiena pięknej Pauliny interesowali piraci. Kolejny raz udało mu się skierować rozmowę na przygodę, którą przeżył wśród nich jego nowy przyjaciel, kiedy uprowadzono go na wyspę Baratariá. Ponieważ Morisset wiedział, że nawet europejskie okręty wojenne nie zapuszczają się w pobliże wyspy braci Lafitte, od razu odrzucił pomysł, by przybyć tam bez zaproszenia: podejrzyto by im gardła, zanim postawiliby stopę na plaży, nie dając okazji do wyjaśnienia, dlaczego zdobyli się na taką zuchwałość. Poza tym nie był pewien, czy imię Napoleona otworzy im drzwi do Lafitte'ów; mogło stać się dokładnie na odwrót, dlatego postanowił nawiązać z nimi kontakt w Nowym Orleanie, na bardziej neutralnym gruncie.

– Lafitte'owie są wyjęci spod prawa. Nie wiem, jak ich znajdziemy – oznajmił Morisset Jeanowi-Martinowi.

- To będzie proste, bo się nie ukrywają – uspokoił go młodzieniec.
- Skąd pan wie?
- Z listów mojej matki.

Do tego momentu Relais'mu nie przyszło do głowy wspomnieć, że w Nowym Orleanie mieszka jego matka. Uznał to za mało istotny szczegół w zestawieniu z wagą misji zleconej przez cesarza.

- Pańska matka zna Lafitte'ów?
- Wszyscy ich znają, są królami Missisipi – odparł Jean-Martin.

O szóstej po południu Violette Boisier odpoczywała naga i mokra z rozkoszy w łóżku Sancha Garcii del Solar. Od czasu kiedy zamieszkały u niej Tété i Rosette, a dom opanowały uczennice przeznaczone do *plaçage*, wolała mieszkanie swojego kochanka, gdzie w porze sjeisty oddawali się miłości albo ograniczali do drzemki, jeśli nie starczało im zapachu na nic więcej. Na początku Violette myślała, żeby posprzątać i przystroić wnętrze, ale nie miała powołania służącej; poza tym absurdem byłoby marnotrawić cenne godziny intymności na próby uporania się z potwornym bałaganem, w jakim żył Sancho. Jedyne jego służący nadawał się tylko do parzenia kawy. Należał do Valmoraina, który nie był w stanie go sprzedać, bo nikt nie wyrażał zainteresowania jego kupnem. Spadł z dachu, miał coś nie w porządku z głową i śmiał się sam do siebie. Hortense Guizot nie bez powodu nie mogła go znieść. Sancho tolerował niewolnika, a nawet darzył go pewną sympatią z powodu jakości i smaku parzonej przez niego kawy i również dlatego, że nie kradł reszty, kiedy szedł na Rynek Francuski po zakupy. W Violette budził niepokój: była przekonana, że ich szpieguje, kiedy się kochają. „To twoje wymysły. Jest tak nierozgarnięty,

że nawet by na to nie wpadł”, uspokajał kochankę Sancho.

Loula i Tété siedziały w wiklinowych fotelach na ulicy, przed wejściem do żółtego domu, jak wszystkie sąsiadki o tej porze. Dźwięki melodii ćwiczonej gdzieś na pianinie mąciły spokój jesiennego wieczoru. Loula z przymkniętymi oczami paliła cygaro z czarnego tytoniu, delektując się chwilą wypoczynku, którego domagały się jej kości, a Tété szyła kaftanik dla niemowlaka. Nie było jeszcze widać brzucha, ale poinformowała już o swoim stanie niewielkie grono przyjaciółek. Jediną osobą, która okazała zdziwienie, była Rosette, tak pochłonięta sobą, że nie zauważyła romansu matki z Zachariem. Tam zastał je Jean-Martin Relais. Nie napisał, by powiadomić o przyjeździe, bo rozkazy mówiły o zachowaniu podróży w tajemnicy; poza tym list dotarłby później niż on sam.

Loula nie spodziewała się chłopca, a ponieważ nie widzieli się od wielu lat, nie poznała go. Kiedy przed nią stanął, właśnie zaciągała się cygarem. „To ja, Jean-Martin!”, zawołał wzruszony młodzieniec. Matrona potrzebowała kilku sekund, żeby rozpoznać go w obłoku dymu i zrozumieć, że to naprawdę jej dziecko, jej księżę, światło jej starych oczu. Okrzyki radości wypełniły całą ulicę. Objęła go w pasie, podniosła i okryła pocałunkami, zalała się łzami, podczas gdy on bronił swojej godności, starając się stanąć na czubkach palców. „Gdzie jest *maman*?”, zapytał, gdy tylko zdołał się uwolnić i odzyskał swój podeptany kapelusz. „W kościele, synu, modli się za duszę twojego zmarłego ojca. Wejdźmy do domu, zrobię ci kawę, a tym czasem moja przyjaciółka, Tété, pójdzie po matkę”, odparła Loula bez chwili wahania. Tété ruszyła biegiem w stronę mieszkania Sancho.

W salonie Jean-Martin zobaczył dziewczynkę w błękitnej sukni, grającą na pianinie, z filiżanką na głowie. „Rosette! Zobacz, kto przyjechał! Moje dziecko, mój Jean-Martin!”, zawołała Loula, dokonując w ten sposób prezentacji. Rosette przerwała swoje ćwiczenia muzyczne i powoli się odwróciła. Przywitali się, on sztywnym skinieniem głowy i stuknięciem obcasów, jakby miał na sobie mundur, ona szybkim mruganiem długich jak u żyrafy rzęs. „Witamy, monsieur. Nie ma dnia, żeby madame i Loula o panu nie mówiły”, powiedziała Rosette z wymuszoną grzecznością, której nauczyły ją urszulanki. Mówiła szczerą prawdę. Pamięć o chłopcu unosiła się w domu niczym duch. Rosette tyle słyszała o Jeanie-Martinie, że był dla niej kimś znajomym.

Loula wzięła od dziewczynki filiżankę i poszła przygotować kawę; z patio dobiegały jej wesołe pokrzykiwania. Rosette i Jean-Martin siedzieli w milczeniu na brzeżkach krzeseł, rzucając sobie ukradkowe spojrzenia. Mieli poczucie, że już się kiedyś poznali. Dwadzieścia minut później, kiedy młodzieniec sięgał po trzeci kawałek ciasta, zjawiała się zdyszana Violette, a za nią Tété. Matka wydała się Jeanowi-Martinowi jeszcze piękniejsza niż we wspomnieniach, nie zastanawiał się więc, dlaczego wraca z mszy rozczochrana i w krzywo zapiętej sukni.

Stojąca na progu Tété obserwowała z rozbawieniem chłopaka, zakłopotanego pocałunkami matki, która nie puszczała jego dłoni, i pieszczotami Louli, która szczypała go w policzki. Słone wiatry podczas podróży morskiej sprawiły, że skóra Jeana-Martina była o kilka tonów ciemniejsza, a lata szkolenia wojskowego pogłębiły surowość zapożyczoną od mężczyzny, którego uważał za ojca. Pamiętał Étienne’a Relais’go jako człowieka silnego, poważnego i opanowanego; tym bardziej był wdzięczny za czułość, którą hojnie okazywał mu w domowym zaciszu. Z kolei matka i Loula zawsze traktowały go jak dziecko i najwyraźniej nadal zamierzały to robić. Przesadny dystans, oschłość i ów kamienny wyraz twarzy, jaki zwykli przyjmować wojskowi, miał być przeciwwagą dla jego ładnej buzi. W dzieciństwie cierpiał, bo brano go za dziewczynkę, a jako nastolatek – z powodu kpin lub zalotów kolegów. Domowe pieszczoty w obecności Rosette i Mulatki, której imienia nie dosłyszał, wzbudzały w nim uczucie zażenowania, nie miał jednak odwagi ich odtrącić. Tété nie zastanowiło, że Jean-Martin ma takie same rysy jak Rosette, bo zawsze uważała, że jej córka przypomina Violette Boisier, a podobieństwo to uwydatniło się jeszcze bardziej podczas miesięcy przygotowań do *plaçage*, kiedy dziewczyna zaczęła naśladować gesty swojej nauczycielki.

W tym czasie Morisset dotarł do kuźni przy ulicy Saint Philippe, dowiedział się bowiem, że służy za

przykrywkę dla działań piratów, nie zastał jednak osoby, której szukał. Korciło go, żeby zostawić Jeanowi Lafitte'owi wiadomość z prośbą o spotkanie i przypomnieniem znajomości, którą zawarli kiedyś przy szachownicy, ale wiedział, że byłby to gruby błąd. Od prawie trzech miesięcy szpiegował przebrany za naukowca, a do tej pory nie przywykł do myśli, że jego misja wymaga rozwagi, i co chwila łapał się na tym, że jest o krok od popełnienia jakiejś nieostrożności. Nieco później, tego samego dnia, kiedy Jean-Martin przedstawi Morisseta swojej matce, taka przezorność wydała mu się śmieszna, bo Violette zaproponowała jak gdyby nigdy nic, że zaprowadzi go do piratów. Siedzieli w salonie w żółtym domu, nieco za małym dla rodziny i znajomych, którzy przyszli poznać Jeana-Martina: doktora Parmentiera, Adèle, Sancha i kilku sąsiadek.

– Rozumiem, że za głowy braci Lafitte wyznaczono nagrodę – powiedział szpieg.

– To sprawa Amerykanów, monsieur Moriste! – zaśmiała się Violette.

– Morisset. Isidore Morisset, madame.

– Bracia Lafitte cieszą się dużym szacunkiem, bo sprzedają tanio. Nikomu nie przyszłoby na myśl wydać ich za pięćset dolarów, które dają za ich głowy – wtrącił się Sancho García del Solar.

Dodał, że Pierre ma opinię prostaka, ale Jean jest dżentelmenem w każdym calu, rycerskim wobec kobiet, uprzejmym dla mężczyzn, mówi pięcioma językami, pisze nienagannie, słynie ze szczodrości i gościnności. Niejeden raz udowodnił, że jest odważny, a jego ludzie, w liczbie około trzech tysięcy, są gotowi oddać za niego życie.

– Jutro jest sobota i będzie licytacja. Chciałby pan wybrać się do Świątyni? – zapytała Violette.

– Powiedziała pani do Świątyni?

– Tam odbywają się ich licytacje – wyjaśnił Parmentier.

– Skoro wszyscy wiedzą, gdzie są, dlaczego nikt ich nie aresztował? – wtrącił Jean-Martin.

– Bo nikt nie ma odwagi. Claiborne poprosił o posiłki – ci ludzie budzą strach, stosują prawo pięści i uzbrojeni są lepiej niż wojsko.

Następnego dnia Violette, Morisset i Jean-Martin wybrali się na wycieczkę zaopatrzeni w koszyk z podwieczorkiem i dwie butelki wina. Violette udało się zostawić Rosette w domu pod pretekstem lekcji pianina, zauważyła bowiem, że Jean-Martin zbyt często spogląda na dziewczynę, a jako matka musiała zapobiec niepożądanym fantazjom syna. Rosette była najlepszą uczennicą, idealną do *plaçage*, ale zupełnie nieodpowiednią dla Jeana-Martina, którego Violette chciała wprowadzić do *Société du Cordon Bleu* przez dobrego ożenek. Zamierzała wybrać synową, kierując się trzeźwą oceną rzeczywistości i nie dając Jeanowi-Martinowi okazji do popełniania sentymentalnych błędów. Zanim odpłynęli, dołączyła do nich Tété, która weszła na łódź w ostatniej chwili, nie bez wahania, miała bowiem mdłości typowe dla pierwszych miesięcy ciąży, a poza tym bała się kajmanów i węży; roiło się od nich w wodzie i spadały z mangrowców, lichym stateczkiem sterował wioślarz – z zamkniętymi oczami potrafił znaleźć drogę w labiryncie kanałów, wysp i bagien, wiecznie pogrążonym w trujących oparach i chmurze moskitów, świetnie nadającym się do nielegalnego handlu i wszelkich możliwych aktów bezprawia.

Świątynia okazała się wysepką wśród bagien delty, porośniętym dębowym lasem wzniesieniem utworzonym przez zwartą masę pokruszonych przez czas muszli, które niegdyś było świętym miejscem Indian. Przetrwały tu fragmenty jednego z ich ołtarzy; stąd wzięta się nazwa. Bracia Lafitte przyплыли wcześniej rano, jak każdej soboty, chyba że akurat wypadało Boże Narodzenie czy dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Przy brzegu cumowały w szeregu płytkie łódki, łodzie rybackie, szalupy, czółna, prywatne stateczki z daszkami dla dam i prymitywne barkasy do przewożenia towarów.

Piraci rozłożyli kilka płóciennych namiotów, w których wystawili swoje skarby. Za darmo rozdawali damom lemoniadę, mężczyznom rum z Jamajki, a dzieciom słodycze. W powietrzu unosił się zapach stojącej wody i smażonych krewetek, podawanych na ostro w liściach kukurydzy. Panowała atmosfera karnawału, z muzyką, występami kuglarzy i tresurą psów. Na specjalnym podeście wystawiono na sprzedaż czworo dorosłych niewolników i jedno nagie dwu-, trzyletnie dziecko. Zainteresowani zaglądali im w zęby, żeby oszacować wiek, badali białka oczu, żeby sprawdzić stan zdrowia, i odbył, by upewnić się, czy nie jest zatkany pakułami, co było najpopularniejszym sposobem na ukrycie biegunki. Dojrzała kobieta z koronkową parasolką ważyła w dłoni okrytej rękawiczką genitalia jednego z mężczyzn.

Pierre Lafitte rozpoczął już licytację towarów, których dobór na pierwszy rzut oka wskazywał na brak logiki, jakby jego jedynym celem było zmylenie klienteli – miszmasz złożony z kryształowych lamp, worków z kawą, damskiej odzieży, broni, butów, figurek z brązu, mydła, fajek, brzytw, srebrnych imbryków do parzenia herbaty, toreb z pieprzem i cynamonem, mebli, obrazów, wanilii, kościelnych kielichów i kandelabrow, skrzynek wina, wytresowanej małpki i dwóch papug. Nikt nie odchodził z pustymi rękami, bo bracia Lafitte pełnili także rolę bankierowi pożyczkodawców. „Każdy przedmiot jest jedyny w swoim rodzaju”, zachwalał Pierre na całe gardło. I musiał taki być, skoro pochodził z napadów na statki handlowe dokonywanych na pełnym morzu. „Proszę spojrzeć, panie i panowie, na ten porcelanowy wazon godny królewskiego pałacu!” „A ile dadzą państwo za tę brokatową pelerynę obszytą gronostajem?” „Taka okazja już się nie trafi!” Publiczność odpowiadała żartami i gwizdami, ale Pierre potrafił wykorzystać tę wesołą atmosferę rywalizacji i ceny rosły.

W tym czasie Jean, ubrany na czarno, ze śnieżnobiałymi mankietami, koronkowym kołnierzem i pistoletami za pasem, przechadzał się wśród tłumu, uwodząc łatwowiernych klientów łagodnym uśmiechem i mrocznym spojrzeniem zaklinacza węży. Przywitał Violette Boisier teatralnym ukłonem, a ona odpowiedziała, całując go w policzki, jak starego przyjaciela, którym stał się po latach transakcji i wzajemnych przysług.

– Czym mogę zainteresować jedyną damę zdolną skraść mi serce? – zapytał Jean.

– Proszę nie szafować uprzejmościami, *mon cher ami*, bo tym razem nie przyjechałam na zakupy – roześmiała się Violette, wskazując na Morisseta, który stał kilka kroków za nią.

Jean Lafitte nie od razu go rozpoznał, zmylony eleganckim strojem badacza, ogoloną twarzą i okularami o grubych szklach. Wcześniej Morisset nosił wąsy i bokobrody.

– Morisset? *C'est vraiment vous!* – wykrzyknął w końcu, klepiąc go po plecach.

Szpieg z zakłopotaniem rozejrzał się wokół, naciągając kapelusz aż na brwi. Wolał, żeby informacja o tych wylewnych dowodach przyjaźni nie dotarła do uszu gubernatora Claiborne'a, ale nikt nie zwracał na niego uwagi, bo Pierre właśnie licytował arabskiego konia, na którego mieli ochotę wszyscy mężczyźni. Jean Lafitte zaprowadził Morisseta do jednego z namiotów, gdzie mogli porozmawiać na osobności i orzeźwić się białym winem. Szpieg przedstawił ofertę Napoleona: list kaperski, *lettre de marque*, oznaczający oficjalne pozwolenie na atakowanie innych statków, w zamian za rozprawę z An-



glikami. Lafitte odpowiedział uprzejmie, że tak naprawdę nie potrzebuje pozwolenia, by dalej robić to co zawsze, i że *lettre de marque* jest ograniczeniem, bo nie pozwala mu atakować statków francuskich, a to oznacza straty.

– Wasza działalność stałaby się legalna. Bylibyście korsarzami, nie piratami, a to bardziej strawne dla Amerykanów – przekonywał Morisset.

– Nasze relacje z Amerykanami zmieniają się tylko wtedy, gdy zaczniemy płacić podatki, a szczerze mówiąc, jeszcze nie rozważaliśmy takiej możliwości.

– list kaperski jest cenny...

– Tylko jeśli będziemy mogli pływać pod francuską flagą.

Morisset wyjaśnił mu, że tego oferta cesarza nie uwzględnia. Musieliby nadal pływać pod flagą Cartageny, ale mogliby liczyć na bezkarność i azyl na terytoriach francuskich. Powściągliwy szpieg dawno nie wyrzucił z siebie takiej liczby słów za jednym zamachem. Lafitte obiecał skonsultować to ze swoimi ludźmi, bo takie sprawy rozstrzygano drogą głosowania.

– Ale w ostatecznym rozrachunku liczą się jedynie głosy pana i pańskiego brata – zauważył Morisset.

– Myli się pan. Jesteśmy bardziej demokratyczni niż Amerykanie i, rzecz jasna, dużo bardziej niż Francuzi. Otrzyma pan odpowiedź za dwa dni.

Na zewnątrz Pierre Lafitte rozpoczął licytację niewolników, najbardziej oczekiwane wydarzenie festynu. Uczestnicy coraz głośniej przebijali oferty. Jedyne kobieta wśród wystawionych na sprzedaż przyciskała do siebie dziecko i błagała jakąś parę kupujących, żeby ich nie rozdzielali, mówiła, że jej syn jest bystry i posłuszny. Pierre Lafitte zachwalał ją jako dobrą reproduktorkę: urodziła kilkoro dzieci i wciąż była bardzo płodna. Tété obserwowała tę scenę ze ściśniętym sercem. Krzyk zamarł jej w gardle, gdy pomyślała o dzieciach, które ta nieszczęsna kobieta straciła, i o poniżeniu, jakim było wystawienie jej na licytacji. Przynajmniej ona nie musiała przez to przechodzić, a jej Rosette była bezpieczna. Ktoś powiedział, że to niewolnicy z Haiti, oddani braciom Lafitte przez wysłanników Dessalinesa, który w ten sposób opłacał zakupy broni, a przy okazji bogacił się, sprzedając ludzi walczących z nim kiedyś o wolność. Tété pomyślała, że Gambo wpadłby we wściekłość, gdyby to widział.

Kiedy licytacja miała się ku końcowi, dał się słyszeć donośny głos Owena Murphy’ego, który trudno było pomylić z jakimkolwiek innym. zaproponował pięćdziesiąt dolarów więcej za matkę i kolejne sto za chłopca. Pierre odczekał regulaminową minutę, a ponieważ nikt nie podbił ceny, ogłosił, że oboje są własnością klienta z czarną brodą. Kobieta osunęła się na podest, oszołomiona uczuciem ulgi, nie wypuszczając z ramion syna, który płakał z przerażenia. Jeden z pomocników Pierre’a Lafitte’a złapał ją za ramię i oddał Owenowi Murphy’emu.

Kiedy Tété zdołała otrząsnąć się z osłupienia, Irlandczyk szedł już w stronę łodzi w towarzystwie niewolnicy i chłopca. Pobieгла za nimi, głośno wołając. Przywitał ją, nie okazując szczególnej serdeczności, ale na jego twarzy malowała się radość ze spotkania. Powiedział, że jego najstarszy syn Brandan niespodziewanie się ożenił i że wkrótce zostaną dziadkami. Wspomniał także o ziemi, którą kupuje w Kanadzie, gdzie zamierza zabrać całą rodzinę, również Brandana i jego żonę, by rozpocząć tam nowe życie.

– Monsieur Valmorain pewnie nie godzi się na państwa wyjazd – zauważyła Tété.

– Madame Hortense od dawna chce mnie zastąpić kimś innym. Różnimy się poglądami – odparł Murphy. – Nie spodoba jej się, że kupiłem tego chłopca, ale postąpiłem zgodnie z Kodeksem. Jest za mały, żeby odłączać go od matki.

– Tutaj nie obowiązują żadne prawa, panie Murphy. Piraci robią, co im się podoba.

– Dlatego wolę nie mieć z nimi do czynienia, ale to nie ja decyduję, Tété – powiedział Irlandczyk, wskazując ręką Toulouse’a Valmoraina.

Stał z dala od tłumu, pod dębem, i rozmawiał z Violette Boisier; ona osłonięta przed słońcem japoń-

ską parasolką, on wsparty na lasce, ocierając chustką pot z twarzy. Tété cofnęła się, ale było za późno: zauważył ją, więc czuła się w obowiązku podejść. Jean-Martin, który czekał na Morisseta obok namiotu Lafitte'a, poszedł za nią, i chwilę później wszyscy spotkali się w skąym cieniu dębu. Tété przywitała się z dawnym panem, nie podnosząc oczu, zdołała jednak zauważyć, że jest jeszcze grubszy i jeszcze bardziej czerwony niż kiedyś. Żałowała, że doktor Parmentier dysponuje przygotowanymi przez nią samą lekarstwami na ostudzenie krwi. Valmorain jednym stuknięciem laski mógł zniszczyć kruche podstawy egzystencji jej i Rosette. Wolałaby widzieć go na cmentarzu.

Toulouse uprzejmie wysłuchał Violette Boisier, która przedstawiła mu swego syna. Zmierzył Jeana-Martina od stóp do głów, podziwiając jego szczupłą sylwetkę, elegancję, z jaką nosił swój skromny garnitur, doskonałą symetrię twarzy. Młodzieniec skłonił się na przywitanie, przez wzgląd na różnicę klasy i wieku, ale Toulouse podał mu tłustą rękę, usianą żółtymi plamami, którą chłopak musiał uścisnąć. Valmorain przytrzymał jego dłoń znacznie dłużej, niż było przyjęte, uśmiechając się zagadkowo. Jean-Martin poczuł gorący rumieniec na policzkach i gwałtownie się odsunął. Nie pierwszy raz mężczyzna czynił mu awanse; potrafił radzić sobie z takimi afrontami, nie unosząc się gniewem, ale bezczelność tego *inverti* była dla niego szczególnie obraźliwa, a poza tym wstydził się, że świadkiem całej sceny jest jego matka. Niechęć Jeana-Martina była tak oczywista, że Valmorain zdał sobie sprawę, że został źle zrozumiany i – daleki od zażenowania – wybuchnął śmiechem.

– Widzę, że ten syn niewolnicy wyrósł na przewrażliwionego młodzieńca! – zawołał rozbawiony.

Zapadła ciężka cisza, a wypowiedziane przez niego słowa wbijały w zgromadzonych swe sępie pazury. Powietrze zrobiło się jeszcze bardziej gorące, światło bardziej oślepiające, jarmarczne zapachy bardziej mdlące, a gwar tłumu głośniejszy, ale Valmorain nie zdał sobie sprawy z efektu, który wywołał.

– Co pan powiedział? – zdołał wykrztusić blady jak śmierć Jean-Martin, kiedy odzyskał głos.

Violette złapała go za rękę i próbowała odciągnąć na bok, ale on uwolnił się, żeby stanąć twarzą w twarz z Valmorainem. Z przyzwyczajenia sięgnął ręką do pasa, gdzie – jeśli miałby na sobie mundur – powinna znajdować się rękojeść szabli.

– Obraził pan moją matkę! – wykrzyknął ochrypłym głosem.

– Nie powiesz mi, Violette, że ten chłopiec nic nie wie o swoim pochodzeniu – rzucił drwiąco Valmorain.

Nie odpowiedziała. Wypuściła z rąk parasolkę, która potoczyła się po podłożu z muszli, i zakryła usta dłońmi, otwierając szeroko oczy.

– Żądam satysfakcji, monsieur, Spotkam się z panem i pańskimi sekundantami w ogrodach Saint-Antoine najpóźniej za dwa dni, bo trzeciego odpływam do Francji – oznajmił Jean-Martin, przeżuając każdą sylabę.

– Nie bądź śmieszny, synu. Nie będę pojedynkował się z człowiekiem z twojej klasy. Powiedziałem prawdę. Zapytaj swoją matkę – dodał Valmorain, wskazując laską na kobiety, po czym odwrócił się i krokiem chwiejnym z powodu spuchniętych kolan niespiesznie odszedł w stronę łodzi, by dołączyć do Owena Murphy'ego.

Jean-Martin chciał biec za nim, by zmasakrować mu pięściami twarz, ale Violette i Tété uczepliły się jego ubrania. W tym momencie nadszedł Isidore Morisset i widząc swego sekretarza, czerwonego z wściekłości i szarpiącego się z kobietami, unieruchomił go chwytem od tyłu. Tété wymyśliła na poczekaniu, że mieli sprzeczkę z jednym z piratów. Szpieg zgodził się, że powinni jak najszybciej odpłynąć – nie chciał narażać na szwank negocjacji z Lafitte'em – i przytrzymując chłopaka swoimi dłońmi drwała, zaprowadził go do łodzi, gdzie czekał na nich wioślarz i kosz z nietkniętym podwieczorkiem.

Zmartwiony Morisset ojcowskim gestem położył Jeanowi-Martinowi dłoń na ramieniu i próbował wysondować, co zaszło, ale ten uwolnił się i odwrócił plecami, utkwivszy wzrok w wodzie. Nikt nie powiedział ani słowa przez półtorej godziny, kiedy płynęli przez bagienny labirynt do Nowego Orleanu. Morisset udał się sam do hotelu. Sekretarz nie posłuchał rozkazu i zamiast mu towarzyszyć, ruszył za

Violette i Tété na ulicę Chartres. Violette poszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi i padła na łóżko, żeby się wypłakać, a Jean-Martin niczym lew krążył po patio, czekając, aż się uspokoi, by móc ją o wszystko wypytać. „Co wiesz o przeszłości mojej matki, Loula? Masz obowiązek mi o tym powiedzieć!” – zażądał od swej dawnej niańki. Loula, która nie wiedziała, co wydarzyło się w Świątyni, sądziła, że chłopak ma na myśli czasy chwały, kiedy Violette uchodziła za najbardziej boską *poule* w Le Cap, a jej imię było na ustach kapitanów na najodleglejszych morzach. Nie zamierzała jednak opowiadać o tym swojemu synkowi, swojemu księciu, bez względu na to, jak głośno by na nią krzyczał. Violette dołożyła wszelkich starań, by zatrzeć najmniejszy ślad swej przeszłości na Saint-Domingue, i jeśli ktoś zdradzi jej sekret, to na pewno nie ona, wierna Loula.

O zmierzchu, kiedy płacz ucichł, Tété zaniósł Violette napar z ziół na ból głowy, pomogła się rozebrać, rozczesła kurze gniazdo, w jakie zamieniła się jej fryzura, skropiła wodą różaną, ubrała w cienką koszulę i usiadła obok na łóżku. W półmroku, który dawały zaciągnięte zasłony, odważyła się przemówić do niej z poufałością, możliwą tylko po wielu razem przeżytych i przepracowanych latach.

– To nic strasznego, madame. Proszę sobie wyobrazić, że te słowa nigdy nie zostały wypowiedziane. Nikt ich nie powtórzy, a pani i pani syn będziecie mogli żyć jak dawniej – pocieszała ją.

Przypuszczała, że Violette Boisier nie przyszła na świat wolna, wbrew temu, co kiedyś powiedziała, ale że w młodości była niewolnicą. Nie mogła mieć jej za złe, że to przemilczała. Może urodziła Jeana-Martina, zanim Relais ją wyzwolił i pojął za żonę.

– Ale Jean-Martin już to wie i nigdy mi nie wybaczy, że go oszukałam – odparła Violette.

– Niełatwo jest przyznać, że było się niewolnicą, madame. Ważne, że teraz oboje jesteście wolni.

– Nigdy nie byłam niewolnicą, Tété. Chodzi o to, że nie jestem jego matką. Jean-Martin urodził się jako niewolnik i mój mąż go kupił. Jedyłą osobą, która o tym wie, jest Loula.

– To jak dowiedział się o tym monsieur Valmorain? Wtedy Violette Boisier opowiedziała jej o okolicznościach, w jakich dostała dziecko, o tym jak Valmorain przyszedł z noworodkiem owiniętym w kocyk i poprosił ją, żeby się nim na jakiś czas zaopiekowała, i jak ona i jej mąż w końcu go zaadoptowali. Nie sprawdzili jego pochodzenia, ale podejrzewali, że to syn Valmoraina i jednej z niewolnic. Tété już jej nie słuchała. Znała resztę. Podczas tysięcy bezsennych nocy przygotowywała się na moment, kiedy odkryje prawdę i dowie się w końcu czegoś o dziecku, które jej odebrano. Teraz jednak, gdy syn był w zasięgu ręki, szczęście nie uderzyło w nią jak grom, nie wstrząsnął nią żaden tłumiony w piersiach szloch ani nie ogarnęła fala przemożnej czułości, nie miała odruchu, by pobiec i go przytulić, tylko w jej uszach brzmiał głuchy dźwięk, jakby słyszała koła wozu na zakurzonej drodze. Zamknęła oczy i z zaciekawieniem przywołała obraz młodzieńca, zaskoczona, że ani przez moment nie domyśliła się prawdy; instynkt niczego jej nie podpowiedział, nawet kiedy zauważyła jego podobieństwo do Rosette. Grzebała w swych uczuciach w poszukiwaniu niezgłębionej macierzyńskiej miłości, tak dobrze jej znanej, bo hojnie obdarzyła nią Maurice’a i Rosette, ale znalazła tylko ulgę. Jej syn urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, pod promienistą *z’etoile*, dlatego trafił do państwa Relais i Louli, którzy go wykształcili i nie szczędzili mu czułości; dlatego wojskowy przekazał mu w spadku legendę swojego życia, a Violette pracowała bez wytchnienia, by zapewnić mu dostatnią przyszłość. Ucieszyła się, bez cienia zazdrości, bo sama nie byłaby w stanie dać mu żadnej z tych rzeczy.

Żal do Valmoraina, ta czarna, twarda skała, która zawsze tkwiła w piersi Tété, zmałał, a chęć zemsty na panu rozplynęła się, ustępując miejsca wdzięczności dla tych, którzy zapewnili jej synowi tak dobrą opiekę. Nie musiała zbyt długo myśleć, co zrobi z informacją, którą właśnie otrzymała; potrzeba podziękowania podsunęła jej odpowiedź. Cóż by zyskała, rozgłaszając na prawo i lewo, że jest matką Jeana-Martina, i żądając uczucia, które słusznie należało się innej kobiecie? Postanowiła wyznać Violette Boisier prawdę, nie rozwodząc się nad cierpieniem, które tak ją dręczyło w przeszłości, tym bardziej że w ostatnich latach stało się łatwiejsze do zniesienia. Młodzieniec, przechadzający się w tej chwili po patio, był dla niej obcym człowiekiem.

Obie kobiety długo płakały, trzymając się za ręce, połączone delikatną nicią wzajemnego współczucia. Wreszcie skończyły im się łzy i uznały, że choć słów Valmoraina nie da się wymazać, spróbują złagodzić wrażenie, które wywarły na Jeanie-Martinie. Po co mówić chłopakowi, że Violette nie jest jego matką, że urodził się jako niewolnik, bękart białego, i że został sprzedany? Lepiej, by nadal wierzył w to, co usłyszał od Valmoraina, bo w istocie rzeczy ten mówił prawdę: jego matka była niewolnicą. Nie musiał też wiedzieć, że Violette pracowała jako *cocotte* ani że Étienne miał opinię okrutnika. Jean-Martin będzie myślał, że ukrywała przed nim piętno niewolnictwa, by go chronić, ale wciąż może czuć dumę, że nosi nazwisko Relais. Za kilka dni wróci do Francji, dalej będzie robił karierę w wojsku, gdzie uprzedzenia dotyczące jego pochodzenia nie są lak krzywdzące jak w Ameryce czy w koloniach i gdzie słowa Valmoraina będzie można zepchnąć w najdalsze zakamarki pamięci.

– Pogrzebiemy to na zawsze – powiedziała Tété.

– A co zrobimy z Toulouse'em Valmorainem? – zapytała Violette.

– Proszę się z nim spotkać, madame. Wyjaśni mu pani, że nie powinien rozgłaszać pewnych tajemnic, bo osobiście zadba pani o to, by jego żona i wszyscy w mieście dowiedzieli się, że jest ojcem Jana-Martina i Rosette.

– I że jego dzieci mogą zażądać prawa do nazwiska Valmorain i do części jego spadku – dodała Violette, szelmowsko mrugając okiem.

– To prawda?

– Nie, Tété, ale taki skandal byłby dla Valmorainów zabójczy.

## Strach przed śmiercią

Violette Boisier wiedziała, że pierwszy bal Cordon Bleu stanie się wzorem dla wszystkich następnych, musiała zatem od początku zadbać, by różnił się od innych zabaw, którymi od października do końca kwietnia żyło całe miasto. Wielką salę udekorowano, nie bacząc na koszty. Przystosowano scenę dla muzyków, a dookoła parkietu ustawiono stoliki nakryte obrusami z haftowanego płótna i pluszowe fotele dla matek i przyzwoitek. Zbudowano wybieg i wyłożono go dywanem, po którym dziewczynki miały triumfalnie wkroczyć do salonu. W dniu balu oczyszczono i zakryto deskami rowy wzdłuż ulicy, zapalono kolorowe lampiony, a muzycy i murzyńscy tancerze tchnęli w dzielnicę nowe życie, jak podczas karnawału. W samym salonie panowała natomiast spokojna atmosfera.

Do położonego w centrum miasta domu Valmorainów dobiegały z daleka dźwięki ulicznej muzyki, ale Hortense Guizot, jak wszystkie białe mieszkanki Nowego Orleanu, udawała, że ich nie słyszy. Wiedziała, o co chodzi, bo od kilku tygodni nie mówiło się o niczym innym. Właśnie skończyła kolację i haftowała w salonie, otoczona córkami; wszystkie miały jasne włosy i zaróżowione twarze, jak ona w dawnych czasach. Bawiły się lalkami, z wyjątkiem najmłodszej, która spała w kołysce. Hortense, wyniszczona macierzyństwem, używała teraz karminu do malowania policzków i nosiła artystyczny kok ze sztucznych blond włosów, które niewolnica Denise wplatała w jej własne, koloru słomy. Kolacja składała się z zupy, dwóch dań głównych, sałatki, sera i trzech rodzajów deserów, w sumie nic wyszukanego, jako że jadła sama. Dziewczynki nie zasiadały jeszcze do stołu w jadalni, a mąż przestrzegał surowej diety i wolał nie wystawiać się na pokusy. Zaniesiono mu do biblioteki ryż i gotowanego kurczaka, bez soli, zgodnie z surowymi zaleceniami doktora Parmentiera. Poza głodzeniem się musiał odbywać przechadzki i unikać alkoholu, cygar i kawy. Umarłby z nudów, gdyby nie Sancho, który odwiedzał szwagra codziennie, żeby na bieżąco informować go o wydarzeniach, przekazywać plotki, rozweselać swym dobrym humorem i ogrywać w karty albo w domino.

Parmentier, choć tak często skarżył się na dolegliwości sercowe, sam nie przestrzegał mnisiej diety, którą narzucił swojemu pacjentowi, bo Sanité Dédé, kapłanka vodou z placu Congo, wyczytała w muszlach kauri jego przyszłość: według przepowiedni miał dożyć osiemdziesięciu dziewięciu lat. „Ty, biały człowieku, zamkniesz oczy świętemu Père Antoine’owi, kiedy umrze w 1829 roku”. To go uspokoiło, jeśli chodzi o stan zdrowia, ale zrodziło obawę, że podczas tego długiego życia utraci najukochańsze osoby, Adèle, a może nawet któreś z dzieci.

Pierwsze ostrzeżenie, że coś jest nie tak ze zdrowiem Valmoraina, pojawiło się w czasie podróży do Francji. Po zakończeniu ponurej wizyty u dziewięćdziesięcioletniej matki i żyjących w staropanieństwie siostr zostawił Maurice’a w Paryżu i wsiadł na statek płynący do Nowego Orleanu. Na pokładzie wielokrotnie nękały go nudności, co przypisał smagającym burty falom, nadmiarowi wina i jedzeniu złej jakości. Po powrocie jego przyjaciel Parmentier stwierdził wysokie ciśnienie, nierówny puls, złe trawienie, nadmiar żółci, wzdęcia, zepsute płyny ustrojowe i palpacje serca. Powiedział mu bez ogródek, że powinien zrzucić wagę i zmienić styl życia albo za niespełna rok wyląduje w swoim grobowcu na cmentarzu Saint-Louis. Przerażony Valmorain podporządkował się wymaganiom lekarza i uległ despotyzmowi żony, która pod pretekstem troski o jego zdrowie zamieniła się w więzienną strażniczkę. Na wszelki wypadek udał się po pomoc do zielarzy i czarowników, z których drwił do czasu, gdy strach zmusił go do zmiany opinii. Pomyślał, że nie zaszkodzi spróbować. Zdobył *gris-gris*, postawił w swoim pokoju pogański ołtarz, wlewał w siebie napoje lecznicze o tajemniczym składzie, które przynosiła mu z targu Célestine, i odbył dwie nocne wyprawy na wysepkę wśród bagnisk, gdzie Sanité Dédé oczyściła go dymem cygara i zaklęciami. Parmentierowi nie przeszkadzała rywalizacja z kapłanką, ufał bowiem, że umysł posiada moc uzdrawiania i jeśli pacjent wierzy w magię, nie ma powodów, żeby bronić mu do niej dostępu.

Maurice przebywał we Francji, pracując w biurze firmy importującej cukier, gdzie Valmorain znalazł mu posadę, by zapoznać się z tą stroną rodzinnego interesu. Na wieść o chorobie ojca wsiadł na pokład pierwszego statku odpływającego do Ameryki i pod koniec października dotarł do Nowego Orleanu. Valmorain przypominał olbrzymią fokę, siedział w fotelu przy kominku w wydzierganej szydełkiem czapce, z szalem na nogach, drewnianym krzyżem i szmacianym *gris-gris* na szyi. Bardzo podupadł na zdrowiu w porównaniu z aroganckim, rozrzutnym mężczyzną, który chciał synowi pokazać hulaszcze życie Paryża. Maurice ukląkł przy ojcu, a ten przygarnął go do siebie drżącymi ramionami. „Mój synu, w końcu jesteś, teraz mogę umrzeć spokojnie”, wyszeptał. „Nie gadaj głupot, Toulouse!”, przerwała mu Hortense Guizot, która patrzyła na nich z niesmakiem. Miała dodać, że niestety jeszcze nie umrze, ale w porę się powstrzymała. Od trzech miesięcy siedziała przy mężu i brakowało jej już cierpliwości. Valmorain naprzykrzał się całymi dniami, a w nocy budził ją, bo nawiedzały go koszarne sny o jakimś Lacroix, który stawał przed nim odarty ze skóry, wleczonej po ziemi niczym krwawa koszula.

Macocho przyjęła Maurice’a oschle, a siostry przywitały grzecznymi ukłonami, zachowując dystans, bo nie miały pojęcia, kim jest ten brat, o którym w rodzinie z rzadka wspomiano. Najstarsza z pięciu dziewczynek, jedyna, którą Maurice poznał, kiedy jeszcze nie umiała chodzić, miała osiem lat, najmłodsza zaś spała na rękach mamki. Ponieważ dom zrobił się za mały dla rodziny i dla służby, Maurice zatrzymał się u wuja Sancha, co stanowiło idealne rozwiązanie dla wszystkich z wyjątkiem Toulouse’a Valmoraina, który mając syna przy sobie, mógłby zasypywać go radami i przekazywać zarządzanie nad swoim majątkiem. Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął Maurice, ale uznał, że to nie jest odpowiedni moment, by sprzeciwić się ojcu.

W noc balu Sancho i Maurice nie zjedli kolacji w domu Valmorainów, jak robili to niemal codziennie, bardziej z obowiązku niż dla przyjemności. Żaden z nich nie czuł się dobrze w obecności Hortense Guizot, która nigdy nie kochała pasierba i ledwie tolerowała Sancha, z jego zawadiackim wąsem, hiszpańskim akcentem i bezczelnością, bo trzeba było nie mieć wstydu, żeby paradować po mieście z tą Kubanką, dziwką *sang-mêlée*, osobiście odpowiedzialną za bal Cordon Bleu, o którym tyle się mówiło. Jedyne nienagane wychowanie nie pozwalało Hortense rzucać przekleństw na samą myśl o tym wydarzeniu, bo jak wszystkie damy udawała, że nie widzi fascynacji, którą kolorowe hetery wywołują u białych mężczyzn, ani niemoralnej praktyki, jaką było proponowanie im własnych córek. Wiedziała, że wuj i siostrzeniec szykują się na bal, ale nawet na łożu śmierci nie powiedziałyby im słowa na ten temat. Nie mogła też pomówić o tym z mężem, bo oznaczałoby to przyznanie się, że podsłuchuje jego prywatne rozmowy, tak jak i przeglądała jego korespondencję i zaglądała do schowków biurka, w których trzymał pieniądze. W ten sposób dowiedziała się, że Sancho otrzymał od Violette Boisier dwa zaproszenia, Maurice bowiem pragnął wziąć udział w balu. Sancho musiał skonsultować to z Valmorainem, jako że przedwczesne zainteresowanie jego siostrzeńca *plaçage* wymagało wsparcia finansowego.

Hortense, podsłuchując z uchem przyklejonym do otworu, który kazała przebić w ścianie, dowiedziała się, że mąż od razu zaakceptował pomysł, i założyła, że rozproszyło to jego wątpliwości co do męskości Maurice’a. Ona sama się do nich przyczyniła, rzucając nieraz w rozmowie na temat pasierba słowo „zniewieściąły”. Valmorain uznał, że *plaçage* jest dobrym rozwiązaniem, jako że Maurice nigdy nie przejawiał zainteresowania burdelami ani niewolnicami, które służyły w rodzinie. Chłopak miał jeszcze przed sobą co najmniej dziesięć lat, żeby zacząć myśleć o małżeństwie; do tego czasu musiał znaleźć ujście dla swoich – jak to nazwał Sancho – męskich porywów. Kolorowa dziewczyna, czysta, cnotliwa i wierna, dawała wiele korzyści. Sancho wyjaśnił Valmorainowi, na czym polegają warunki finansowe, które dawniej zależały od dobrej woli opiekuna, ale teraz, odkąd Violette Boisier wzięła sprawy w swoje ręce, są ustalane w formie ustnej umowy, pozbawionej co prawda mocy prawnej, ale obojętnej. Valmorain nie zakwestionował kosztów: Maurice na to zasługiwał. Po drugiej stronie ściany Hortense Guizot z trudem powstrzymała się od krzyku.

## Bal syren

Jean-Martin ze łzami wstydu w oczach wyznał Isidore'owi Morissetowi, co powiedział mu Valmorain, dodając, że jego matka niczemu nie zaprzeczyła; po prostu odmówiła rozmowy na ten temat. Morisset przyjął jego słowa drwiącym śmiechem – „jakie to ma, do diabła, znaczenie, synu!” – ale zaraz się wzruszył i przyciągnął do siebie chłopca, by ten mógł *znaleźć* ukojenie na jego szerokiej piersi. Nie był sentymentalny, dlatego zaskoczyło go uczucie, jakie wzbudzał w nim młodzieniec: pragnął go ucałować i otoczyć opieką. Delikatnie odsunął Jeana-Martina, wziął kapelusz i poszedł na tamę, gdzie przechadzał się długimi krokami, dopóki na powrót nie zaczął trzeźwo myśleć. Dwa dni później wyruszyli do Francji. Jean-Martin pożegnał się ze swoją małą rodziną, zachowując właściwy mu dystans, ale w ostatniej chwili przytulił Violette i szepnął, że do niej napisze.

Bal Cordon Bleu okazał się tak wspaniały, jak wyobrażała to sobie Violette Boisier i jak oczekiwali wszyscy inni. Mężczyźni przybyli punktualnie, odświętnie ubrani i układni. Stali w grupkach pod kryształowymi żyrandolami oświetlonymi setkami świec; grała orkiestra, służący roznosili lekkie napoje i szampana, żadnych mocnych trunków. Bankietowe stoły czekały przygotowane w sąsiedniej sali, ale przedwczesne rzucanie się na jedzenie mogłoby zostać uznane za prostactwo. Skromnie ubrana Violette Boisier powitała przybyłych; zaraz potem pojawiły się matki i przyzwoitki, które zajęły miejsca w fotelach. Zabrzmiały fanfary, w głębi sali rozsunała się teatralna kurtyna i na wybieg wyszły dziewczęta. Kroczyły powoli gęsiego. Było wśród nich kilka ciemnych Mulatek, kilka *sang-mêlée* uchodzących za Europejki, w tym dwie czy trzy o niebieskich oczach, i szeroka gama kwarteronek o różnych odcieniach skóry, wszystkie atrakcyjne, skromne, delikatne, eleganckie, wychowane w wierze katolickiej. Niektóre były tak nieśmiałe, że nie odrywały wzroku od dywanu, inne, bardziej odważne, zerkały z ukosa na zalotników, stojących rzędem pod ścianami. Tylko jedna szła pewnie, poważna, z wyzywającym, niemal wrogim wyrazem twarzy. Rosette. Zwiewne suknie w jasnych kolorach zamówione we Francji albo dokładnie skopiowane przez Adèle odsłaniały ręce i szyje, proste fryzury ukazywały piękno lśniących włosów, a twarze wydawały się pozbawione makijażu. Tylko kobiety wiedziały, jak wielkiego wysiłku i kunsztu wymagał ten niewinny wygląd.

Pierwsze dziewczynki powitano pełną szacunku ciszą, ale po kilku minutach wybuchły spontaniczne oklaski. Dzień później obecni na balu szczęśliwcy będą komentowali w kawiarniach i tawernach, że nigdy wcześniej nie widziano tak wspaniałej kolekcji syren. Kandydatki do *plaçage* przepłynęły przez salę niczym łabędzie. Orkiestra porzuciła trąbki, by zagrać muzykę do tańca, i biali przystąpili do zalotów zgodnie z przestarzałą etykietą, która nie miała nic wspólnego z zuchwałą bezceremonialnością, z jaką zwykli wpadać na zabawy Mulatek. Po wymianie grzeczności mających na celu wybadanie terenu prosili do tańca. Mogli tańczyć ze wszystkimi dziewczętami, zostali jednak poinstruowani, że po drugim albo trzecim tańcu z tą samą partnerką powinni się zdecydować. Przyzwoitki śledziły pary sokolim wzrokiem. Żaden z tych aroganckich chłopców, przyzwyczajonych do robienia, co im się żywnie podoba, nie miał odwagi złamać reguł. Pierwszy raz w życiu byli onieśmieleni.

Maurice na nikogo nie patrzył. Robiło mu się niedobrze na samą myśl, że te dziewczynki stanowią ofertę złożoną białym. Ociekał potem i czuł w skroniach uderzenia młotka. Interesowała go wyłącznie Rosette. Od momentu kiedy kilka dni wcześniej zszedł na ląd w Nowym Orleanie, czekał na bal tylko po to, by ją spotkać, tak jak uzgodnili w potajemnej korespondencji, ale ponieważ nie udało im się zobaczyć, dręczyła go obawa, czy ją pozna. Instykt i tęsknota wciąż podsycana w kamiennych murach szkoły w Bostonie pozwoliły mu domyślić się od pierwszego spojrzenia, że wyniosła dziewczyna ubrana na biało, najpiękniejsza ze wszystkich, to jego Rosette. Kiedy zdołał oderwać stopy od podłogi, otaczało ją już trzech czy czterech zalotników, Mierzyła ich wzrokiem, próbując odnaleźć tego jedyne, którego pragnęła zobaczyć. Ona również z utęsknieniem czekała na tę chwilę. Od dzieciństwa ukrywała

swą miłość do Maurice'a pod maską obłudy i ubierała ją w siostrzaną czułość, ale nie zamierzała dłużej tego robić. Nadeszła noc prawdy.

Maurice podszedł sztywno, torując sobie drogę, stanął przed Rosette i wpatrywał się w nią błyszczącymi oczami. Patrzyli na siebie, szukając tych, których pamiętali: ona szczupłego chłopca o zielonych oczach, beksy, który w dzieciństwie chodził za nią jak cień; on – władczej dziewczynki, która wchodziła ukradkiem do jego łóżka. Odnaleźli się w zakamarkach pamięci i w jednej chwili stali na powrót tacy jak dawniej; Maurice'owi odjęło mowę, drżał i czekał, a Rosette złamała zasady, chwytając go za rękę i prowadząc na parkiet.

Przez białe rękawiczki dziewczyna czuła niezwykle ciepło skóry Maurice'a, które ogarnęło ją od karku po stopy, jakby stanęła obok paleniska. Nogi miała miękkie, zgubiła krok i musiała uczepić się partnera, żeby nie paść na kolana. Pierwszy walc minął im niepostrzeżenie, nie zdążyli sobie niczego powiedzieć, jedynie dotykali się i mierzyli wzrokiem, całkowicie wyobcowani pośród pozostałych par. Muzyka ucichła, a oni dalej tańczyli nieobecni duchem, poruszając się niezdarnie niczym ślepcy, dopóki znów nie złapali rytmu, kiedy rozległy się dźwięki orkiestry. Wiele osób patrzyło na nich drwiąco i Violette Boisier zdała sobie sprawę, że coś zagraża sztywnej etykiecie balu.

Po ostatnim akordzie jakiś młodzieniec, śmielszy od pozostałych, stanął między nimi, żeby poprosić Rosette do tańca. Ona nawet nie zauważyła, że im przerwano, uczepiona ręki Maurice'a, ze spojrzeniem wbitym w jego oczy, ale mężczyzna nalegał. Wtedy Maurice, wyrwany z lunatycznego transu, odwrócił się nagle i niespodziewanie popchnął intruza tak mocno, że rywal potknął się i przewrócił na podłogę. Krzyk zgromadzonych sparaliżował muzyków. Maurice wyjąkał przeprosiny i wyciągnął rękę do leżącego, by pomóc mu wstać, ale obelga była zbyt oczywista. Dwaj przyjaciele młodzieńca wtargnęli na parkiet i stanęli przed Maurice'em. Zanim ktokolwiek zdążył rzucić wyzwanie na pojedynek – co zdarzało się nader często w takich sytuacjach – interweniowała Violette Boisier, próbując rozładować napięcie żartami i uderzeniami wachlarza. Sancho García del Solar mocno chwycił siostrzeńca za ramię i zaciągnął do jadalni, gdzie starsi mężczyźni kosztowali już przepysznych dań *cuisine créole* w najlepszym wydaniu.

– Co ty wyprawiasz, Maurice? Czyżbyś nie wiedział, kim jest ta dziewczynka? – zapytał Sancho.

– To Rosette, któż by inny? Czekałem siedem lat, żeby ją zobaczyć.

– Nie możesz z nią tańczyć! Tańcz z innymi dziewczynami, jest wiele bardzo ładnych, a kiedy już wybierzesz, ja zajmę się resztą.

– Przyszedłem tylko dla Rosette, wuju – wyjaśnił Maurice. Sancho wziął głęboki oddech, napęniając płuca haustem powietrza przesiąkniętego dymem cygar i słodkawym zapachem kwiatów. Nie był przygotowany na taką ewentualność, nigdy nie przypuszczał, że to jemu przypadnie w udziale otwarcie Maurice'owi oczu, a już na pewno nie podejrzewał, że owa melodramatyczna rewelacja zostanie ogłoszona w takim miejscu i tak szybko. Domyślał się tej namiętności, odkąd pierwszy raz zobaczył go z Rosette na Kubie w 1793 roku, kiedy uciekli z Le Cap w podartych ubraniach i z popiołem pożarów we włosach. Wtedy byli parą trzymających się za rękę dzieciaków, przerażonych horrorem, który przeżyli, ale już wówczas było oczywiste, że łączy ich zachłanna, uparta miłość. Sancho nie potrafił zrozumieć, jak inni mogli tego nie zauważyć.

– Zapomnij o Rosette. Jest córką twojego ojca. Rosette jest twoją siostrą, Maurice – westchnął Sancho, wbijając wzrok w czubki swoich butów.

– Wiem, wuju – odparł spokojnie chłopak. – Zawsze o tym wiedzieliśmy, ale to nie przeszkodzi nam się pobrać.

– Chyba oszalałeś, synu. To niemożliwe.

– Zobaczymy, wuju.

Hortense Guizot nigdy nie ośmieliła się łudzić, że niebo uwolni ją od Maurice'a bez otwartej ingerencji



z jej strony. Szukała ujścia dla swojej złości, wymyślając sposoby na pozbycie się pasierba. Były to jedyne marzenia, na jakie pozwalała sobie ta praktyczna kobieta, nic, z czego musiałaby się potem spowiadać, bo do jej hipotetycznych zbrodni dochodziło jedynie w snach, a śnić nie jest grzechem. Tak bardzo starała się go odsunąć od ojca i zastąpić własnym synem, którego nie mogła począć, że kiedy Maurice sam się pograżył, dając jej wolną rękę w dysponowaniu dobrami męża, miała poczucie, że ktoś ją okradł. Noc balu spędziła, przewracając się z boku na bok w pościeli pod baldachimem z cherubinami, w swoim królewskim łożu wożonym między domem a plantacją w zależności od pory roku. Nie mogła zasnąć; myślała o tym, że właśnie w tej chwili Maurice wybiera sobie konkubinę, ostateczny dowód, że zostawia za sobą wiek młodzieńczy i wkracza w dorosłość. Pasierb stał się mężczyzną, teraz w naturalny sposób zacznie przejmować rodzinne interesy, przez co jej wpływy osłabną, nie miała bowiem nad nim takiej władzy jak nad jego ojcem. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było to, żeby zaczął grzebać w księgowości i ograniczył jej wydatki.

Hortense nie zdołała zmrużyć oka aż do świtu, kiedy w końcu wzięła kilka kropel laudanum i mogła pograżyć się w niespokojnym śnie pełnym niepokojących wizji. Obudziła się koło południa, rozbita z powodu złej nocy i złych przeczuć. Pociągnęła za sznurek, żeby przywołać Denise i poprosić ją o czysty nocnik i codzienną filiżankę czekolady. Wydało jej się, że słyszy przytłumioną rozmowę, która – jak wywnioskowała – dobiegała z biblioteki, piętro niżej. Przewód na sznur, służący do wzywania niewolników, który przecinał oba piętra i mansardę, często służył jej do podsłuchiwania, co dzieje się w reszcie domu. Przyłożyła ucho i usłyszała rozgniewane głosy, ale ponieważ nie mogła odróżnić poszczególnych słów, wyszła po cichu z pokoju. Na schodach natknęła się na niewolnicę, ta widząc, że jej pani w koszuli i boso skrada się niczym złodziej, przywarła do ściany, niewidoczna i niema.

Sancho postanowił czym prędzej wyjaśnić Toulouse'owi Valmorainowi, co zdarzyło się na balu Cordon Bleu. Nie znalazł jednak sposobu, by delikatnie poinformować szwagra o absurdalnym pomysle Maurice'a dotyczącym ślubu z Rosette, dlatego wyrzucił z siebie całą prawdę w jednym zdaniu. „Ożenić się?”, powtórzył Valmorain z niedowierzaniem. Uznał to wręcz za komiczne i wybuchnął gromkim śmiechem, ale w miarę jak Sancho uzmysławiał mu determinację syna, śmiech zamieniał się w gwałtowny gniew. Wbrew zakazom Parmentiera zaserwował sobie sporą porcję koniaku, trzecią tego ranka, i wypił ją jednym haustem, a potem zaniósł się kaszlem.

Wkrótce zjawił się Maurice. Valmorain przyjął go na stojąco, gestykulując i waląc pięścią w stół, z tą samą śpiewką co zwykle, tyle że tym razem wykrzyczaną: że jest jego jedynym spadkobiercą; że jego przeznaczeniem jest z dumą nosić tytuł chevaliera oraz powiększać wpływy i majątek rodziny, zdobyte z wielkim wysiłkiem; że jest ostatnim mężczyzną, który może przedłużyć dynastię, po to go wykształcił, wpoił mu swoje zasady i poczucie honoru, zapewnił mu wszystko, co można dać synowi; że nie pozwoli, by z powodu jednego młodzieńczego porywu zbrukał znamienite nazwisko Valmorainów. Nie, to nie poryw, poprawił się, to zboczenie, zepsucie, to zwykłe kazirodztwo. Zwalił się na fotel, nie mogąc złapać tchu. Po drugiej stronie ściany, przyklejona do otworu służącego jej do szpiegowania, Hortense Guizot stłumiła okrzyk. Nie sądziła, że mąż przyzna się przed synem do tego, co przed nią tak starannie ukrywał: że jest ojcem Rosette.

– Kazirodztwo, monsieur? Karał mnie pan, kiedy nazywałem Rosette siostrą – rzucił Maurice.

– Dobrze wiesz, o czym mówię!

– Ożenię się z Rosette, nawet jeśli byłby pan jej ojcem – odparł Maurice, starając się zachować w głosie szacunek.

– Ale jak mógłbyś ożenić się z Mulatką! – ryknął Valmorain.

– Widzę, monsieur, że bardziej przeszkadza panu kolor skóry Rosette niż nasze pokrewieństwo. Ale skoro pan spółdził córkę z kolorową kobietą, nie powinno pana dziwić, że ja też taką kocham.

– Jesteś bezczelny!

Sancho próbował ich uspokoić, wykonując pojednawcze gesty. Valmorain zrozumiał, że ta droga do-

nikąd nie prowadzi, dlatego starał się odzyskać spokój i rozwagę.

– Jesteś dobrym chłopcem, Maurice, ale zbyt wrażliwym i marzycielskim – powiedział. – Popełniłem błąd, wysyłając cię do tej amerykańskiej szkoły. Nie wiem, co wbili ci tam do głowy, ale najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy z tego, kim jesteś, jaka jest twoja pozycja i obowiązki wobec rodziny i społeczeństwa.

– Szkoła otworzyła przede raną szerszą wizję świata, ale to nie ma nic wspólnego z Rosette. Moje uczucia wobec niej są teraz takie same jak piętnaście lat temu.

– Te porywy są normalne w twoim wieku, synu. Twój przypadek nie jest niczym nadzwyczajnym – zapewnił go Valmorain. – Nikt nie żeni się w wieku osiemnastu lat, Maurice. Wybierzesz sobie kochankę, jak każdy chłopak o twojej pozycji społecznej. To cię uspokoi. Jeśli jest w tym mieście czegoś w nadmiarze, to właśnie pięknych Mulatek...

– Nie! Rosette jest dla mnie jedyną kobietą – przerwał mu syn.

– Kazirodztwo to poważna sprawa, Maurice.

– Dużo poważniejszą jest niewolnictwo.

– Co ma jedno do drugiego?

– Dużo, monsieur. Bez niewolnictwa, które umożliwiło panu wykorzystanie niewolnicy, Rosette nie byłaby moją siostrą – wyjaśnił chłopak.

– Jak śmiesz mówić tak do swojego ojca?

– Proszę mi wybaczyć, monsieur – odparł Maurice z ironią. – Rzeczywiście, błędy, które pan popełnił, nie mogą być usprawiedliwieniem moich.

– Chuć, oto co ci dolega – powiedział Valmorain, wzdychając teatralnie. – Nic bardziej zrozumiałego. Powinieneś zrobić to, co wszyscy robimy w takich przypadkach.

– Cóż takiego, monsieur?

– Przypuszczam, że nie muszę ci tego wyjaśniać, Maurice. Prześpij się wreszcie z tą dziewczyną, a potem o niej zapomnij. Tak to się odbywa. Cóż innego można zrobić z czarną?

– Tego pan pragnie dla swojej córki? – zapytał Maurice przez zaciśnięte zęby. Po bladej twarzy spływały mu krople potu, jego koszula była cała mokra.

– To córka niewolnicy! Moje dzieci są białe! – krzyknął Valmorain.

W bibliotece zapanowała lodowata cisza. Sancho wycofał się, rozcierając sobie kark; miał wrażenie, że wszystko stracone. Głupota szwagra wydała mu się nie do naprawienia.

– Ożenię się z nią – powtórzył na koniec Maurice i wyszedł, stawiając długie kroki, nieczuły na litanie pogrózek płynących z ust ojca.

## Po prawej stronie księżycy

Tété nie przyszło do głowy, by pójść na bal, nie została zresztą zaproszona, było bowiem jasne, że nie jest to zabawa dla ludzi jej stanu: inne matki poczułyby się urażone, a jej córka najadłaby się wstydu. Umówiła się, że to Violette będzie pełniła rolę przyzwoitki Rosette. Przygotowania do tej nocy, wymagające miesięcy cierpliwości i pracy, przyniosły oczekiwane rezultaty: w zwiewnej sukni i z kwiatami jaśminu wpiętymi we włosy Rosette wyglądała jak anioł. Zanim wsiadły do wynajętego powozu, w obecności sąsiadów, którzy wyszli na ulicę nagrodzić je oklaskami, Violette powtórzyła Tété i Louli, że zdobędzie dla Rosette najlepszego pretendenta. Nikt nie przypuszczał, że godzinę później, kiedy niektórzy sąsiedzi stali jeszcze na ulicy, komentując to wielkie wydarzenie, wróci, ciągnąc za sobą dziewczynę.

Rosette wpadła do domu jak trąba powietrzna, ł zaciętą miną, która w ostatnim roku zastąpiła jej kołki. Kilkoma szarpnięciami zdarła z siebie suknię i bez słowa zamknęła się w swoim pokoju. Violette dostała ataku hysterii. Krzyczała, że ta lafirynda za wszystko zapłaci, że niemal zrujnowała przyjęcie, że oszukała wszystkich, że zmarnowała jej czas, wysiłki i pieniądze, bo od początku nie miała zamiaru być *placée*, a bal był tylko pretekstem, żeby spotkać się z tym przeklętym Maurice'em. Miała rację. Rosette i Maurice'owi udało się umówić w jakiś niewytłumaczalny sposób, bo dziewczynka nigdzie sama nie wychodziła. Jak wysyłała i otrzymywała wiadomości – pozostało tajemnicą, której nie chciała zdradzić, mimo policzka wymierzonego jej przez Violette. Potwierdziło się to, co Tété zawsze wiedziała; *z'étoiles* tych dzieci świeciły na niebie jedna obok drugiej. Czasami można je było wyraźnie zobaczyć nocą po prawej stronie księżycy.

Po scenie, do której doszło w bibliotece w domu ojca, gdzie Maurice starł się z Valmorainem, chłopak odszedł zdecydowany na zawsze zerwać z rodziną. Sancho zdołał uspokoić trochę Valmoraina, po czym udał się w ślad za siostrzeńcem do mieszkania, które dzielili, gdzie zastał go w stanie wielkiego wzburzenia i czerwonego z gorączki. Z pomocą służącego rozebrał chłopca i położył do łóżka, potem zmusił do wypicia filiżanki gorącego rumu z cukrem i cytryną – wymyślonego na poczekaniu lekarstwa na uśmierzenie miłosnych cierpień – po którym Maurice zapadł w długi sen. Rozkazał niewolnikowi, żeby chłodził siostrzeńca mokrymi kompresami, które miały zbić temperaturę, ale mimo to Maurice spędził resztę popołudnia i większą część nocy, mając w gorączce.

Następnego ranka miody człowiek obudził się mniej rozpalony. Pokój był ciemny, ponieważ zaciągnięto zasłony, nie chciał jednak wołać służącego, chociaż potrzebował wody do umycia i marzył o filiżance kawy. Kiedy usiłował wstać, żeby skorzystać z nocnika, poczuł ból we wszystkich mięśniach, jakby przez tydzień galopował na koniu, wołał więc wrócić do łóżka. Wkrótce przyszli Sancho z Parmentierem. Lekarz, który znał chłopaka od dziecka, nie mógł się powstrzymać, by nie powtórzyć banalnego stwierdzenia, że czas jest bardziej ulotny niż pieniądze. Gdzie się podziały te wszystkie lata? Maurice wyszedł w krótkich spodenkach jednymi drzwiami i wrócił drugimi przemieniony w mężczyznę. Zbadał go drobiazgowo, ale nie był w stanie postawić żadnej diagnozy. „Obraz nie jest jeszcze wyraźny – powiedział. – Trzeba poczekać”. Nakazał odpoczynek, żeby sprawdzić, jaka będzie reakcja organizmu. Tak się złożyło, że w tych dniach badał w szpitalu zakonnic dwóch marynarzy chorych na tyfus. Nie chodziło o epidemię, jak zapewnił, lecz o pojedyncze przypadki, ale należało brać pod uwagę taką możliwość. Zwykle chorobę przenosiły szczury ze statków i Maurice mógł się zarazić w czasie podróży.

– Jestem pewien, że to nie tyfus, doktorze – wymamrotał zawstydzony Maurice.

– W takim razie co? – uśmiechnął się Parmentier.

– Nerwy.

– Nerwy? – powtórzył Sancho, rozbawiony. – To, na co cierpią stare panny?

– Nie dawały mi się we znaki od czasu dzieciństwa, doktorze, ale nie zapomniałem o nich i myślę, że

pan też nie. Pamięta pan Le Cap?

Parmentier znowu ujrzał kilkuletniego chłopca, jakim był wtedy Maurice, gorączkującego z powodu dręczących go widm torturowanych ludzi, snujących się po domu.

– Obyś miał rację – rzeki doktor. – Twój wuj Sancho opowiedział mi, co wydarzyło się na balu, i o kłótni z ojcem.

– Znieważył Rosette! Potraktował ją jak ulicznicę – powiedział Maurice.

– Mój szwagier był bardzo wzburzony, to logiczne – przerwał Sancho. – Maurice zapragnął ożenić się z Rosette. Rzuca wyzwanie nie tylko swojemu ojcu, ale całemu światu.

– Prosimy tylko, żeby zostawiono nas w spokoju, wuju – rzekł Maurice.

– Nikt nie zostawi was w spokoju, bo jeśli postawicie na swoim, zagroziecie społeczeństwu. Wyobraź sobie, jaki dacie przykład! To byłoby jak dziura w tamie. Najpierw strumyczek, a potem powódź, która niszczy wszystko na swojej drodze.

– Wyjechalibyśmy daleko, tam, gdzie nikt nas nie zna – upierał się Maurice.

– Dokąd? Zamieszkać z Indianami, chodzić w śmierdzących skórach i żywić się kukurydzą? Ciekawe, ile przetrwałyby wasza miłość w takich warunkach!

– Jesteś bardzo młody, Maurice, masz przed sobą całe życie – powiedział bez przekonania lekarz.

– Moje życie! Widzę, że tylko to się liczy! A Rosette? Czy jej życie nic nie znaczy? Jaja kocham, doktorze!

– Rozumiem cię lepiej niż ktokolwiek inny. Moja towarzyszka życia, matka trójki moich dzieci, jest Mulatką – wyznał Parmentier.

– Tak, ale nie jest pańską siostrą! – wykrzyknął Sancho.

– To nie ma znaczenia – odparł Maurice.

– Niech pan mu wyjaśni, doktorze, że z takich związków rodzą się niedorozwinięte dzieci – nalegał Sancho.

– Nie zawsze – mruknął lekarz zamyślony.

Maurice miał sucho w ustach i czuł, że znowu plonie mu ciało. Zamknął oczy, zły na siebie, że nie jest w stanie zapanować nad dreszczami, wywołanymi bez wątpienia jego przeklętą wyobraźnią. Nie słuchał, co mówi wuj: w uszach szumiało mu wzburzone morze.

Parmentier przerwał Sanchowi wyliczanie argumentów. „Myślę, że jest sposób, dobry dla wszystkich, żeby Maurice i Rosette byli razem”. Wyjaśnił, że mało kto wie, iż są przyrodnim rodzeństwem, a poza tym coś takiego zdarzyłoby się nie pierwszy raz. „Współżycie panów z niewolnicami sprzyja wszelkiego rodzaju poplątanym związkom”, dodał. Nikt nic ma pewności, co dzieje się między ścianami domów, a tym bardziej na plantacjach. Kreole nie przywiązywali zbyt dużego znaczenia do miłostek między krewnymi należącymi do różnych ras – nie tylko między rodzeństwem, także między ojcami i córkami – pod warunkiem że nie roztrząsano ich publicznie. Między białymi natomiast było to niedopuszczalne.

– Do czego pan zmierza, doktorze? – zapytał Maurice.

– *Plaçage*. Pomyśl o tym, synu. Będziesz traktował Rosette, jakby była twoją żoną, i choć nie zamieszkaś z nią oficjalnie, możesz ją odwiedzać, kiedy zechcesz. Rosette będzie szanowana w swoim środowisku, a ty zachowasz pozycję. Dzięki temu zapewnisz jej o wiele lepszą opiekę, niż gdybyś był pariasem, w dodatku biednym, co nastąpi, jeśli uprzesz się, żeby wziąć z nią ślub.

– Genialne, doktorze! – wykrzyknął Sancho, zanim Maurice zdążył otworzyć usta. – Brakuje tylko zgody Toulouse’a Valmoraina.

Przez następne dni, kiedy młodzieniec walczył z chorobą, która ostatecznie okazała się jednak tyfusem, Sancho próbował przekonać szwagra do korzyści płynących z *plaçage* dla Maurice’a i Rosette. Skoro wcześniej Valmorain gotów był sfinansować wydatki jakiejś nieznanym dziewczyny, nie było powodów, dla których miałby tego odmówić tej jedynej, której pragnął jego syn. Do tego momentu Val-

morain słuchał uważnie, w milczeniu.

– Poza tym została wychowana w twojej rodzinie i wiesz, że jest przyzwoita, bystra i dobrze ułożona – dodał Sancho, ale zaraz zrozumiał, że popełnił błąd, przypominając, iż Rosette jest córką Valmoraina. Ten zareagował, jakby go coś użądliło.

– Wolę zobaczyć Maurice’a w trumnie niż w nieślubnym związku z tą ladacznicą! – zawołał.

Hiszpan przeżegnał się odruchowo: to było kuszenie diabła.

– Wybacz, Sancho, tak mi się wyrwało – wymamrotał Valmorain, również zdjęty zabobonnym lękiem.

– Spokojnie, szwagrze. Synowie zawsze się buntują, to normalne, ale wcześniej czy później mądrzeją – powiedział.

– Ja bym mu powiedział. Właśnie dlatego, że kocham cię jak brata, Toulouse, nie pozwolę, żebyś popełnił taką niegodziwość. Żałowałbyś tego przez całe życie – odparł Sancho.

– Nie unoś się tak! Tylko żartowałem. Wiesz, że nie umiałbym zabić muchy.

Śmiech Valmoraina zabrzmiał jak ujadanie psa. Sancho wyszedł zmartwiony, a on zaczął rozmyślać nad *plaçage*. Wydawało się, że to najbardziej sensowna alternatywa, ale patronowanie nieślubnemu pozyciowi brata z siostrą było bardzo niebezpieczne. Gdyby cała sprawa wyszła na jaw, jego honor zostałby na zawsze splamiony i wszyscy odwróciliby się do Valmorainów plecami. Jak mogliby spojrzeć ludziom w oczy? Powinien myśleć o przyszłości swoich pięciu córek, o swoich interesach i pozycji społecznej, co wyraźnie uświadomiła mu Hortense. Nie podejrzewał, że ona już rozpuściła wiadomość. Stojąc w obliczu wyboru pomiędzy troską o reputację rodziny – priorytetem dla każdej kreolskiej damy – a zniszczeniem reputacji pasierba, Hortense uległa pokusie i zdecydowała się na to drugie. Gdyby cokolwiek od niej zależało, sama ożeniłaby Maurice’a z Rosette tylko po to, by go zgubić. Nie był jej na rękę proponowany przez Sancha *plaçage*, bo kiedy opadłyby emocje, co zwykle następowało po jakimś czasie, Maurice mógłby korzystać z praw pierworodnego i wszyscy zapomnieliby o jego potknięciu. Ludzie mają krótką pamięć. Jedynym praktycznym rozwiązaniem było wyrzeczenie się pasierba przez ojca. „Chce się żenić z Mulatką? Proszę bardzo. Niech się żeni i żyje wśród czarnych”, mówiła siostrze i przyjaciółkom, które zadbały już o to, by wiadomość rozeszła się dalej.

## Zakochani

Dzień po kompromitacji na balu Cordon Bleu Tété i Rosette opuściły żółty dom przy ulicy Chartres. Wywołane gniewem spazmy szybko minęły i Violette Boisier przebaczyła Rosette, bo zawsze wzruszała ją nieszczęśliwa miłość, tym niemniej poczuła ulgę, kiedy Tété oznajmiła, że nie chce dłużej nadużywać jej gościnności, „Lepiej, żeby nasze stosunki nie były tak bliskie”, pomyślała. Tété zabrała córkę do pensjonatu, w którym przed laty mieszkał Gaspard Sévérin. W tym czasie wykańczano małe mieszkanie, kupione przez Zachariego dwie przecznice od domu rodziny Parmentiera. Nadal pracowała u Violette, a Rosette chodziła szyc do Adèle – nadszedł czas, by dziewczyna zaczęła na siebie zarabiać. Tété była bezsilna w obliczu huraganu, który się rozszalał. Oczywiście współczuła córce, ale nie potrafiła nawiązać z nią kontaktu i jej pomóc, bo Rosette zamknęła się jak ślimak w skorupie. Z nikim nie rozmawiała, szła pogrążona w ponurym milczeniu, czekając na Maurice’a, twarda jak granit, ślepa na zainteresowanie innych i głucha na rady kobiet, które ją otaczały: matki, Violette, Louli, Adèle i tuzina wścibskich sąsiadek.

Tété dowiedziała się o starciu między Maurice’em i Toulouse’em Valmorainem od Adèle, której wszystko opowiedział Parmentier, i od Sancha, który złożył jej krótką wizytę w pensjonacie, by przekazać wieści o Maurisie. Powiedział, że młodzieniec jest osłabiony tyfusem, ale nic mu nie grozi, i że chciałby jak najszybciej zobaczyć Rosette. „Prosił mnie o wstawienie, żebyś go przyjęła, Tété”, dodał. „Maurice jest moim synem, don Sancho, nic musi wysyłać pośredników. Czekam na niego”, odparła. Mogli porozmawiać szczerze, korzystając z nieobecności Rosette, która wyszła, by odnieść gotowe ubrania. Od tygodni nie mieli okazji się spotkać, ponieważ Sancho zniknął z ich dzielnicy. Brakowało mu odwagi, by pokazać się Violette Boisier po tym, jak nakryła go z Adi Soupir, tą samą lekkomyślną dziewczyną, w której był kiedyś zakochany. Daremnie przysięgał, że spotkali się przypadkiem na placu Broni i że zaprosił ją po prostu na kieliszek kseresu, nic więcej. Cóż w tym złego? Violette nie była jednak zainteresowana rywalizowaniem z kimkolwiek o kochliwe serce Hiszpana, a już na pewno nie z kobietą dwa razy młodszą od siebie. Według Sancha, Toulouse Valmorain zażądał, by syn przyszedł z nim porozmawiać, kiedy tylko będzie w stanie utrzymać się na nogach. Maurice zebrał siły, ubrał się i pospieszył do domu ojca, bo nie mógł dłużej odwlekać decyzji. Dopóki nie wyjaśni z nim wszystkiego, nie będzie mógł stanąć przed Rosette. Valmorain wystraszył się na widok syna, który zżółkł, a ubranie dosłownie na nim wisało, bo w czasie krótkotrwałej choroby ubyło mu kilka kilogramów. Obawa, że śmierć wydrze mu dziecko – która tak często przejmowała go, kiedy Maurice był mały – znowu ścisnęła ojcowskie serce. Podburzony przez Hortense Guizot chciał narzucić mu swoją wolę, ale zrozumiał, że za bardzo go kocha: wszystko było lepsze od wojowania. Ulegając impulsowi, zaakceptował *plaçage*, któremu dotąd się sprzeciwiał, z dumy i za namową żony. Dotarło do niego, że to jedyne możliwe rozwiązanie. „Pomogę ci, tak jak należy, synu. Starczy, by kupić dom dla tej dziewczyny i zapewnić odpowiednie utrzymanie. Będę się modlić, żeby nie doszło do skandalu i żeby Bóg wam wybaczył. Proszę cię tylko, nigdy nie wspominaj o niej w mojej obecności i w obecności matki”, oznajmił Valmorain.

Maurice nie zareagował tak, jak oczekiwali ojciec i Sancho, który również zjawiał się w bibliotece. Młodzieniec podziękował za oferowaną pomoc, ale to nie był los, jakiego pragnął. Nie zamierzał dalej ulegać hipokryzji społeczeństwa ani skazywać Rosette na niesprawiedliwy *plaçage*, w którym ona byłaby zniewolona, a on cieszyłby się pełną swobodą. Poza tym rzuciłoby to cień na karierę polityczną, a jej chciał się w przyszłości poświęcić. Powiedział, że wraca do Bostonu, do ludzi bardziej cywilizowanych, że zacznie studiować prawo, a potem w Kongresie i na łamach gazet będzie próbował zmienić konstytucję, ustawy, a wreszcie i obyczaje, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale i na całym świecie.

– O czym ty mówisz, Maurice? – przerwał mu ojciec, przekonany, że syn znowu majaczy z powodu

tyfusu.

– O abolicjonizmie, monsieur. Poświęcę życie walce z niewolnictwem – odparł stanowczo Maurice.

Dla Valmoraina był to cios po tysiackroć gorszy niż sprawa Rosette: chodziło o bezpośredni zamach na interesy rodziny. Jego syn okazał się bardziej niezrównoważony, niż przypuszczał, zamierzał ni mniej, ni więcej tylko zniszczyć fundament cywilizacji i fortuny Valmorainów. Abolicjonistów sądzono i wieszano, tak jak na to zasługiwali. Byli fanatycznymi szaleńcami, którzy mieli czelność rzucać wyzwanie społeczeństwu, historii i Słowu Bożemu, bo niewolnictwo występuje nawet w Biblii. Abolicjonista w jego rodzinie? Nie do pomyślenia! Wykrzyczał to wszystko na jednym oddechu i zakończył groźbą, że go wydziedziczy.

– Proszę to zrobić, monsieur, bo jeśli odziedziczę pańskie dobra, pierwszą rzeczą, którą zrobię, będzie wyzwolenie niewolników i sprzedanie plantacji – odparł niespeszony Maurice.

Młodzieniec wstał, trzymając się oparcia krzesła, poczuł bowiem lekki zawrót głowy, pożegnał się nieznacznym skinieniem i wyszedł z biblioteki, usiłując ukryć drżenie nóg. Miotane przez ojca obelgi ścigały go jeszcze na ulicy.

Valmorain całkiem stracił nad sobą panowanie; wściekłość przeobraziła go w trąbę powietrzną: przeklął syna, krzyczał, że dla niego już umarł i że nie zobaczy ani centa z jego fortuny. „Twoja noga nigdy więcej nie postanie w tym domu! Zabraniam ci używać nazwiska Valmorain! Nie należysz już do tej rodziny!” Nie dokończył, bo runął na podłogę, pociągając za sobą opałową lampę, która roztrzaskała się o ścianę. Jego krzyki ściągnęły Hortense i kilku służących; leżał na podłodze, miał fioletową twarz i wywrócone białka oczu, a klęczący obok Sancho próbował połuźnić mu fular, wpijający się w fałdy poczwórnego podbródka.

## Więzy krwi

Godzinę później Maurice stawił się niezapowiedziany w pensjonacie Tété. Nie widziała go od siedmiu lat, ale ten wysoki i poważny młodzieniec z rozwichrzoną czupryną i w okrągłych okularach wydał się jej bardzo podobny do dziecka, które wychowała. Był równie impulsywny i uczuciowy jak w dzieciństwie. Długo trzymali się w ramionach, ona powtarzając jego imię, on szepcząc zakazane słowo: *maman, maman*. Stali w zakurzonej saloniku pensjonatu, wiecznie pogrążonym w półmroku. Niewielka ilość światła przepuszczana przez żaluzje ukazywała rozpadające się meble, postrzępiony dywan i pożółkłe tapety na ścianach.

Rosette, która tak niecierpliwie czekała na Maurice'a, nie przywitała się z nim, oszołomiona szczęściem i zaniepokojona mizernym wyglądem tego chłopca, jakże różnego od eleganckiego młodzieńca, z którym tańczyła dwa tygodnie temu. W milczeniu obserwowała scenę powitania, jakby niewczesna wizyta ukochanego nie miała z nią nic wspólnego.

– Rosette i ja zawsze się kochaliśmy, *maman*, pani o tym wic. Od małego mówiliśmy, że się pobierzemy, pamięta pani? – zapytał Maurice.

– Tak, synku, pamiętam. Ale to grzech.

– Nigdy nie słyszałem u pani tego słowa. Stała się pani katoliczką?

– Nadal towarzyszą mi moje *loa*, Maurice, ale chodzę też na msze Père Antoine'a.

– Jak miłość może być grzechem? Bóg nas nią obdarzył. Kochaliśmy się, jeszcze zanim przyszliśmy na świat. To nie nasza wina, że mamy tego samego ojca. To nic nasz grzech, tylko jego.

– Ale konsekwencje... – szepnęła Tété.

– Wiem. Wszyscy uparcie mi przypominają, że możemy mieć nienormalne dzieci. Jesteśmy gotowi podjąć to ryzyko, prawda, Rosette?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Maurice podszedł i położył jej dłoń na ramieniu w opiekuńczym geście.

– Co z wami będzie? – spytała Tété wylęknionym głosem.

– Jesteśmy wolni i młodzi. Pojedziemy do Bostonu, a jeśli tam się nam nie powiedzie, poszukamy innego miejsca. Ameryka jest duża.

– A kolor skóry? Nigdzie was nie zaakceptują. Mówią, że w wolnych stanach nienawiść jest jeszcze większa, bo biali i czarni nie żyją razem ani się nie łączą.

– Owszem, ale to się zmieni, obiecuję pani. Mnóstwo ludzi pracuje nad zniesieniem niewolnictwa: filozofowie, politycy, duchowni, wszyscy, którzy mają choć odrobinę przyzwoitości...

– Nie dożyję, żeby to zobaczyć, Maurice. Ale wiem, że nawet jeśli wyzwoli się niewolników, nic będzie równości.

– W dalszej perspektywie musi być, *maman*. To jest jak kula śniegowa, która toczy się, rośnie, nabiera prędkości i wtedy nikt nie jest w stanie jej zatrzymać. Tak zachodzą wielkie zmiany w historii.

– Kto ci to powiedział, synu? – zapytała Tété, która nie bardzo wiedziała, co to jest śnieg.

– Mój profesor, Harrison Cobb.

Tété zrozumiała, że ta dyskusja nie ma sensu, bo karty zostały rozdane piętnaście lat temu, kiedy Maurice pierwszy raz pochylił się, by pocałować twarz nowo narodzonej dziewczynki – Rosette.

– Niech się pani nie martwi, damy sobie radę – dodał Maurice. – Ale potrzebujemy pani błogosławieństwa, *maman*. Nie chcemy uciekać jak bandyci.

– Macie moje błogosławieństwo, dzieci, ale to za mało. Poprosimy o radę Père Antoine'a, który zna się na rzeczach tego i tamtego świata – postanowiła Tété.

Smagani lutowym wiatrem poszli pieszo do domku kapucyna, który właśnie skończył swój pierwszy



obchód i pozwolił sobie na chwilę wolnego. Przyjął ich, nie okazując zdziwienia, bo czekał na ten moment, od kiedy zaczęły docierać do niego plotki, że dziedzic fortuny Valmoraina zamierza ożenić się z Mulatką. Ponieważ zawsze wiedział o wszystkim, co działo się w mieście, jego wierni uważali, że to Duch Święty przekazuje mu informacje. zaproponował im wino mszalne, cierpkie jak pokost.

– Chcemy się pobrać, *mon père* – oznajmił Maurice.

– Ale jest pewien drobny szczegół rasowy, czyż nie tak?

– uśmiechnął się zakonnik.

– Wiemy, że prawo... – ciągnął Maurice.

– Czy popełniliście grzech cielesny? – przerwał mu Père Antoine.

– Jak ojciec może tak myśleć, *mon père!* Daję słowo dżentelmena, że cnota Rosette i mój honor pozostały nienaruszone – zawołał Maurice zmieszany.

– Wielka szkoda, dzieci! Gdyby Rosette straciła dziewictwo, a ty chciałbyś naprawić wyrządzoną jej krzywdę, byłbym zmuszony udzielić wam ślubu, żeby ratować wasze dusze – wyjaśnił święty.

Wtedy Rosette przemówiła pierwszy raz od balu Cordon Bleu.

– To nastąpi jeszcze tej nocy, *mon père*. Niech ksiądz sobie wyobrazi, że to już się stało. A teraz proszę ratować nasze dusze – powiedziała zdecydowanym tonem, czerwona na twarzy.

Święty wykazywał godną podziwu elastyczność, omijając reguły, które uważał za niewygodne. Miał zwyczaj obchodzić prawo z tą samą dziecięcą nieroztropnością, z jaką prowokował Kościół, i dotąd żadna władza kościelna ani cywilna nie odważyły się zwrócić mu uwagi. Wyjął z małej skrzynki fryzjerską brzytwę, zanurzył jej ostrze w swojej szklance z winem i kazał zakochanym podwinąć rękawy i pokazać ręce. Bez chwili wahania zrobił nacięcie na przegubie Maurice'a, tak zręcznie, jakby nieraz dokonywał tego zabiegu. Maurice krzyknął i zaczął wysysać krew z rany, podczas gdy Rosette zacisnęła usta i z zamkniętymi oczami wyciągnęła ramię. Zakonnik połączył ich ręce, wcierając krew dziewczyny w niewielką ranę Maurice'a.

– Jak widzicie, krew jest zawsze czerwona, ale jeśli ktoś cię zapyta, Maurice, będziesz mógł teraz powiedzieć, że masz w sobie czarną. W ten sposób ślub będzie legalny – wyjaśnił zakonnik, wycierając brzytwę o rękaw, podczas gdy Tété darła swoją chustę, żeby opatrzyć im nadgarstki.

– Chodźmy do kościoła. Poprosimy siostrę Lucie, żeby była świadkiem tego nieszczęsnego małżeństwa – powiedział Père Antoine.

– Chwileczkę, *mon père* – zatrzymała go Tété. – Nie rozwiązaliśmy jeszcze problemu pokrewieństwa; te dzieci są przyrodnym rodzeństwem.

– O czym ty mówisz, córko? – wykrzyknął święty.

– Ksiądz zna historię Rosette, *mon père*. Opowiedziałam księdzu, że monsieur Toulouse Valmorain jest jej ojcem, i wie ksiądz, że jest również ojcem Maurice'a.

– Zapomniałem. Pamięć mnie zawodzi. – Père Antoine opadł na krzesło załamany. – Nie mogę udzielić ślubu tym dzieciom, Tété. Czym innym jest kpić z prawa ludzkiego, które zazwyczaj bywa absurdalne, a czym innym kpić z prawa bożego...

Ze spuszczonej głowami opuścili domek Père Antoine'a. Rosette starała się powstrzymać od płaczu; kompletnie rozbity Maurice obejmował ją w pól. „Jakże chciałbym wam pomóc, dzieci! Ale to nie jest w mojej mocy. Nikt nie może udzielić wam ślubu na tej ziemi”, brzmiało smutne pożegnanie świętego. Niepocieszeni zakochani szli, powłócząc nogami, a idąca dwa kroki za nimi Tété zastanawiała się, dlaczego Père Antoine położył taki nacisk na ostatnie słowo. Może zresztą wcale go nie podkreślił, tylko zmylił ją rytmiczny akcent, z jakim hiszpański święty mówił po francusku. Zdanie wydało się jej zbyt wyszukane i teraz znowu je słyszała, jak echo bosych stóp uderzających o brukowaną nawierzchnię placu, a kiedy już wielokrotnie powtórzyła je w myśli, uznała, że zaczyna rozumieć jego zaszyfrowane znaczenie. Zawróciła i skierowała się do Chez Fleur.

Szli prawie godzinę, a kiedy dotarli pod skromne drzwi domu gry, zobaczyli sznur tragarzy noszą-

cych toboły z zaopatrzeniem, pilnowanych przez Fleur Hironnelle, która odnotowywała każdy pakunek w swojej księdze rachunkowej. Kobieta jak zwykle serdecznie ich powitała, ale nie mogła zająć się gośćmi i powiedziała, żeby weszli do salonu. Maurice zdał sobie sprawę, że jest to miejsce o wątpliwej reputacji, i widok jego *maman*, która zawsze przywiązywała taką wagę do obyczajności, a tam czuła się jak we własnym domu, wydał mu się niezwykle malowniczy. O tej porze, w bezlitosnym świetle dnia, z pustymi stołami, bez klientów, *cocottes*, muzyków, dymu, hałasu, zapachu perfum i alkoholu, salon wyglądał jak ubogi teatr.

– Co my tu robimy? – zapytał Maurice grobowym głosem.

– Czekamy, aż los się odwróci, synu – odparła Tété.

Chwilę później pojawił się Zacharie, zaskoczony ich wizytą, w roboczym stroju i z brudnymi rękami. Nie był już tym przystojnym mężczyzną sprzed lat, jego twarz przypominała karnawałową maskę. Została mu taka po napadzie. Była noc, bijący go czuli się bezpieczni; nie zdołał rozpoznać mężczyzn, którzy rzucili się na niego z kijami, ale ponieważ nie ukradli mu pieniędzy ani laski z rączką z kości słoniowej, wiedział, że to nie byli bandyci z El Pantano. Tété nieraz mówiła, że jego zbyt elegancki wygląd i szastanie pieniędzmi niektórzy biali odbierają jako zniewagę. Znalaziono go w porę, porzuconego w rowie, pobitego i ze zmasakrowaną twarzą. Doktor Parmentier poskładał Zachariego tak starannie, że udało mu się umieścić kości we właściwym miejscu i uratować jedno oko, a Tété karmiła chorego przez tubkę do czasu, aż mógł przeżuwać. To nieszczęście nie zmieniło jego triumfującej postawy, ale sprawiło, że stał się bardziej ostrożny i teraz zawsze chodził uzbrojony.

– Czym mogę was poczęstować? Rum? Sok owocowy dla dziewczynki? – Zacharie obdarzył ich nowym uśmiechem swojej wykrzywionej szczęki.

– Czy to prawda, że kapitan jest jak król i na swoim statku może robić, co zechce, nawet kogoś powiesić? – zapytała Tété.

– Tylko wtedy, kiedy znajduje się na morzu – uściślił Zacharie, wycierając chustką dłoń.

– Znasz jakiegoś?

– Kilku. Żeby daleko nie szukać, razem z Fleur Hironnelle jesteśmy współnikami Romeira Toledano, Portugalczyka, pływa szkunerem.

– Wspólnikami w czym, Zacharie?

– Powiedzmy, że w imporcie i transporcie.

– Nigdy nie wspomniałeś mi o tym, jak mu tam, Toledano. Można mu zaufać?

– To zależy. W niektórych sprawach tak, w innych nie.

– Gdzie mogłabym z nim porozmawiać?

– Szkuner stoi teraz w porcie. Na pewno przyjdzie wieczorem, żeby się napić i rozegrać kilka partyjek. Ale czego ty właściwie chcesz?

– Musisz znaleźć kapitana, który ożeni Maurice'a i Rosette – powiedziała rozkazującym tonem Tété, ku zaskoczeniu obojga zainteresowanych.

– Dlaczego prosisz o to mnie?

– Bo nikt inny mi nie pomoże. I trzeba to zrobić zaraz, bo Maurice odpływa do Bostonu statkiem, który pojutrze wychodzi w morze.

– Szkuner stoi w porcie, a tam rządzą władze lądowe.

– Możesz poprosić Toledana, żeby odcumował, wypłynął na pełne morze i udzielił ślubu tym dzieciom?

I tak cztery godziny później na pokładzie zdewastowanego szkunera pływającego pod hiszpańską banderą Rosette Sedella i Maurice wzięli ślub. Udzielił go kapitan Romeiro Toledano, mały człowieczek, mający niespełna siedem piędzi wzrostu, za to obdarzony czarną brodą, która niemal wchodziła mu na oczy i dodawała powagi, jakiej nie mogła mu zapewnić jego nikczemna postura. Świadcami byli Zacharie, w odświętnym stroju, ale i brudnymi paznokciami, i Fleur Hironnelle, która na tę okazję wło-

żyła jedwabny kaftan i naszyjnik z niedźwiedzich zębów. Podczas gdy Zarité ocierała łyzy, Maurice zdjął złoty medalion swojej matki, z którym się nigdy nie rozstawał, i zawiesił go na szyi Rosette. Fleur Hironnelle rozdała wszystkim kieliszki z szampanem i wzniosła toast „za parę, która symbolizuje przyszłość, kiedy rasy będą wymieszane, a wszystkie istoty ludzkie wolne i równe wobec prawa”. Maurice, który często słyszał podobne słowa z ust profesora Cobba i który w czasie, gdy chorował na tyfus, zrobił się bardzo sentymentalny, zaniósł się długim, głębokim szlochem.

## Dwie noce miłości

Z braku lepszego miejsca, jedyny dzień i dwie noce, jakie im zostały, nowożeńcy spędzili na wąskiej koi szkunera Romeira Toledano, nie podejrzewając, że w sekretnym schowku pod podłogą siedzi skulony niewolnik, który może ich usłyszeć. Dla wielu uciekinierów dostanie się na statek było pierwszym etapem niebezpiecznej podróży ku wolności. Zacharie i Fleur Hironnelle uważali, że niewolnictwo wkrótce się skończy, ale póki to nie nastąpi, pomagali najbardziej zdesperowanym, którzy nie mogli tak długo czekać.

Tej nocy Maurice i Rosette kochali się na wąskiej pryczy z desek, kołysani prądami delty, w świetle przepuszczanym przez wytartą zasłonę z czerwonego pluszu, która zakrywała okrągłe okienko. Początkowo dotykali się niepewnie i nieśmiało, choć dorastając, poznali swoje ciała dokładnie i żaden zakamarek duszy jednego nie stanowił dla drugiego tajemnicy. Jednak dorośli i teraz musieli poznać się na nowo. Doświadczając cudu trzymania Rosette w objęciach, Maurice nie był w stanie wykorzystać nawet tych niewielkich umiejętności, które zdobył podczas igraszek z Giselle, oszustką z Savannah. Drżał. „Wszystko przez tyfus”, powiedział tonem usprawiedliwienia. Wzruszona tą słodką niezdarnością Rosette przejęła inicjatywę i zaczęła rozbierać się bez pośpiechu, jak nauczyła ją na indywidualnych lekcjach Violette Boisier. Kiedy o nich pomyślała, dostała napadu śmiechu i Maurice był przekonany, że sobie z niego żartuje.

– Nie bądź głupi, Maurice, jak mogłabym się z ciebie śmiać? – odparła, ocierając łzy wywołane tym wybuchem wesołości. – Przypomniałam sobie lekcje kochania, których udzielała madame Violette uczennicom przygotowywanym do *plaçage*.

– Nie powiesz mi, że uczyła was takich rzeczy!

– Oczywiście, że tak; uważasz, że uwodzenie to improwizacja?

– *Maman* o tym wie?

– Nie o szczegółach.

– I czego was nauczyła ta kobieta?

– Niewielu rzeczy, bo w końcu madame zrezygnowała z ćwiczeń praktycznych. Loula przekonała ją, że matki tego nie ścierpią i bal diabli wezmą. Ale zdążyła wypróbować tę metodę ze mną. Używała bananów i ogórków, żeby mi wszystko wyjaśnić.

– Wyjaśnić co? – krzyknął Maurice, którego zaczęło to bawić.

– Jacy jesteście, wy, mężczyźni, i jak łatwo wami manipulować, bo macie wszystko na wierzchu. Jakoś musiała mi to wytłumaczyć, nie sądzisz? Nigdy nie widziałam gołego mężczyzny, Maurice. No tak, tylko ciebie, ale wtedy byłeś małym chłopcem.

– Powiedzmy, że coś zmieniło się od tamtego czasu – uśmiechnął się. – Ale nie oczekuj bananów ani ogórków. Zgrzeszyłabyś optymizmem.

– Nie? Pozwól, że sama zobaczę.

Niewolnik w skrytce żałował, że w deskach podłogi nie ma dziury, do której mógłby przyłożyć oko. Kiedy śmiechy ustały, zapadła cisza, która wydała mu się zbyt długa. Co ta para wyrabia tam w milczeniu? Nie umiał sobie tego wyobrazić, bo z jego doświadczeń wynikało, że miłość jest raczej hałaśliwa. Kiedy brodaty kapitan otworzył klapę, żeby pod osłoną nocy zbieg wyszedł coś zjeść i rozprostować kości, ten już chciał mu powiedzieć, żeby nie robił sobie kłopotu, bo może poczekać.

Romeiro Toledano domyślał się, że zgodnie z obyczajem nowożeńcy nie opuszczą szybko swojej kajuty. Na polecenie Zachariego przyniósł im kawę i bajgle, które postawił dyskretnie pod drzwiami. W normalnych okolicznościach Rosette i Maurice spędziliby w zamknięciu co najmniej trzy dni, ale nie mieli tyle czasu. Nieco później poczciwy kapitan zostawił im tacę specjałów z Rynku Francuskiego, które dostarczyła Tété: owoce morza, ser, jeszcze ciepły chleb, owoce, słodycze i butelkę wina, które

czyjeś ręce szybko wciągnęły do środka. W ciągu tych zbyt krótkich godzin jednego dnia i dwóch nocy nowożeńcy kochali się z czułością, która łączyła ich w dzieciństwie, i namiętnością, którą dopiero zaczynali płonąć, improwizując to i owo, żeby się nawzajem zadowolić. Byli bardzo młodzi, zakochani w sobie od zawsze, motywowani straszliwą perspektywą rozstania; nie potrzebowali instrukcji Violette Boisier. W przerwach, nie przestając się obejmować, rozmawiali o sprawach do załatwienia i planach na najbliższą przyszłość. Jedynym, co pozwalało im znieść rozłąkę, była pewność, że wkrótce znowu się spotkają, gdy tylko Maurice znajdzie pracę i mieszkanie, w którym będzie mógł przyjąć Rosette.

Nadszedł ranek drugiego dnia; musieli się ubrać, pocałować ostatni raz i ukradkiem wyjść na zewnątrz, by stawić czoła światu. Szkuner ponownie zacumował; w porcie czekali na nich Zacharie, Tété oraz Sancho, który przywiózł kufer z rzeczami Maurice'a. Wuj wręczył mu również czterysta dolarów, które – jak się pochwalił – wygrał w karty w ciągu jednej nocy. Młodzieniec kupił bilet na nowe, skrócone i wymawiane z angielska nazwisko po matce – Maurice Solar. To ubodło trochę Sancha, który był dumny z dźwięcznego, wymawianego jak należy García del Solar.

Kiedy Maurice machał z pokładu klipera, mającego go dowieźć do Bostonu, Rosette stała na lądzie pogrążona w bólu, udając jednak pogodę ducha kogoś, kto ma wszystko, czego można tylko zapragnąć na tym świecie.

## Czyścić

Valmorain stracił za jednym zamachem syna i zdrowie. W chwili gdy Maurice opuszczał dom, aby nigdy już do niego nie wrócić, w ojcu jakby coś pękło. Kiedy Sancho i inni obecni zdołali go podnieść, stwierdzili, że jedna strona jego ciała jest martwa. Doktor Parmentier ustalił, że to nie serce, czego się obawiano, lecz udar mózgu. Valmorain był prawie sparaliżowany, ślinił się i nie kontrolował zwieraczy. „Z czasem i przy odrobinie szczęścia powinno się panu znacznie polepszyć, *mon ami*, ale nie będzie pan już tym samym człowiekiem”, powiedział mu Parmentier. Dodał, że zna pacjentów, którzy przeżyli wiele lat po takim ataku. Valmorain pokazał na migi, że chce z nim porozmawiać na osobności. Hortense Guizot, która pilnowała go niczym sęp, musiała wyjść z pokoju i zamknąć drzwi. Bełkotał coś niewyraźnie, ale Parmentier zrozumiał, że bardziej niż choroby obawia się własnej żony. Hortense mogła ulec pokusie, by przyspieszyć jego śmierć, bo z pewnością wolała zostać wdową, niż opiekować się robiącym pod siebie kaleką. „Niech się pan nie martwi, załatwię to trzema zdaniem”, uspokoił go lekarz.

Parmentier wręczył Hortense Guizot lekarstwa, udzielił niezbędnych instrukcji dotyczących chorego i poradził, żeby postarała się o dobrą pielęgniarkę, bo powrót jej męża do zdrowia będzie w znacznym stopniu zależał od opieki, jaką go otoczy. Nie powinni mu się sprzeciwiać ani przysparzać zmartwień: najważniejszy jest odpoczynek. Żegnając się, przytrzymał dłoń kobiety w geście ojcowskiego pocieszenia. „Życzę pani, żeby mąż z tego wyszedł, madame, bo moim zdaniem Maurice nie jest gotowy, by go zastąpić”, powiedział. I przypomniał, że Valmorain nie zdążył załatwić formalności związanych ze zmianą testamentu, więc z prawnego punktu widzenia Maurice nadal jest jedynym dziedzicem rodziny.

Kilka dni później posłaniec wręczył Tété wiadomość od Valmoraina. Nie czekała na Rosette, żeby przeczytała jej list, ale poszła prosto do Père Antoine’a. Wszystko, co pochodziło od dawnego pana, sprawiało, że żołądek kurczył się jej ze strachu. Przypuszczała, że do Valmoraina dotarła wiadomość o pospiesznie zawartym małżeństwie i wyjeździe syna – wiedziało o tym całe miasto – i że wyładuje gniew nie tylko na Maurisie, którego plotkarze rozgrzeszyli już jako ofiarę jakiejś murzyńskiej wiedzy, ale także na Rosette. To ona była winna temu, że dynastia Valmorainów nie zachowa ciągłości i że czeka ją niechlubny koniec. Po śmierci patriarchy majątek przejdzie w ręce Guizotów, a nazwisko Valmorain będzie figurowało tylko na kamiennej płycie grobowca, bo córki nie przekażą go potomstwu. Było wiele powodów, by obawiać się zemsty Valmoraina, ale taka możliwość nie przyszła Tété do głowy, dopóki Sancho nie zasugerował, by pilnowała Rosette i nie pozwalała jej wychodzić samej na ulicę. Przed czym chciał ją ostrzec? Jej córka spędzała dnie u Adèle na szyciu swojej skromnej wyprawy ślubnej i pisaniu listów do Maurice’a. Tam była bezpieczna, a wieczorem zawsze chodziła ją odebrać. Mimo to miała oczy szeroko otwarte, zawsze czujna: długie ramię jej dawnego pana mogło sięgnąć bardzo daleko.

Wiadomość, którą otrzymała, składała się z dwóch linijek napisanych przez Hortense Guizot, informujących, że jej mąż musi porozmawiać z Tété.

- Takie wezwanie musiało dużo kosztować tę dumną kobietę – skomentował zakonnik.
- Wolałabym tam nie chodzić, *mon père*.
- Słuchanie nic nie kosztuje. Cóż bardziej wspaniałomyślnego mogłabyś zrobić w tej sytuacji, Tété?
- Ksiądz zawsze mówi to samo – westchnęła zrezygnowana. Père Antoine wiedział, że chory odczuwa trwogę na myśl o bezdennej ciszy i nieukozonej samotności grobowca. Valmorain przestał wierzyć w Boga w wieku trzynastu lat i od tamtego czasu przechwalał się swoim praktycznym racjonalizmem, w którym nie było miejsca dla tworów wyobraźni takich jak zaświaty. Będąc teraz jedną nogą w grobie, powrócił do religii dzieciństwa. Wezwany kapucyn udzielił mu ostatniego namaszczenia. Podczas spowiedzi wybełkotanej wykrzywionymi ustami między kolejnymi napadami czkawkki Valmorain wyznał jedyny grzech, który wydał mu się ważny, że przywłaszczył sobie pieniądze Lacroix. „Proszę mi opo-

wiedzieć o swoich niewolnikach”, upomniał go zakonnik. „Wyrzucam sobie słabość, *mon père*, bo na Saint-Domingue nie zawsze mogłem zapobiec przesadnym karom stosowanym przez mojego przełożonego nadzorców, ale nie poczuwam się do okrucieństwa. Zawsze byłem dobrym panem”. Père Antoine udzielił mu rozgrzeszenia i obiecał modlić się o jego zdrowie w zamian za hojne datki na żebraków i sieroty, bo jak wyjaśnił, tylko miłosierdzie łagodzi gniew Boga. Po pierwszych odwiedzinach Valmorain co chwila domagał się spowiedzi, w obawie, że śmierć zaskoczy go nieprzygotowanego, ale święty nie miał czasu ani cierpliwości, by wysłuchiwać tych spóźnionych wyrzutów sumienia. Zgodził się jedynie dwa razy w tygodniu przysyłać mu zakonnika z komunią.

Dom Valmoraina był przesycony charakterystycznym zapachem choroby. Tété weszła drzwiami dla służby i Denise zaprowadziła ją do salonu. Hortense Guizot czekała na stojąco; miała sińce pod oczami i brudne włosy, była bardziej wściekła niż zmęczona. Skończyła trzydzieści osiem lat, a wyglądała na pięćdziesiąt. Tété dostrzegła cztery dziewczynki, wszystkie tak do siebie podobne, że nic była w stanie rozpoznać tych, które znała. W kilku słowach, powiedzianych przez zaciśnięte zęby, Hortense poleciła jej wejść na górę do pokoju męża. Sama została w salonie, mrużąc pod nosem, niezadowolona, że musi oglądać we własnym domu tę nędzarkę, tę przekłętą kobietę, której udało się postawić na swoim i rzucić wyzwanie ni mniej, ni więcej jak tylko samym Valmorainom i Guizotom, całej elicie. Niewolnica! Nie rozumiała, jak sytuacja mogła tak wymknąć się spod kontroli. Gdyby mąż jej posłuchał, sprzedałby tę dziwkę Rosette, kiedy miała siedem lat, i to wszystko nigdy by się nie wydarzyło. To wina tego upartego Toulouse’a, który nie potrafił wychować syna i nie traktował niewolników jak należy. Że też musiała wyjść za emigranta! Przyjeżdżają tu i myślą, że mogą się wypiąć na nasze zwyczaje. Żeby wyzwolić tę czarną i jeszcze do tego córkę! Coś takiego nigdy nie zdarzyłoby się u Guizotów, mogła przysiąc.

Tété zastała chorego leżącego wśród poduszek; jego twarz zmieniła się nie do poznania, kosmyki włosów opadały w nieładzie, miał poszarzałą skórę, załzawione oczy, sztywna ręka spoczywała na pierśsi. Atak pobudził u Valmoraina zmysł intuicji tak niesamowitej, że graniczyła z jasnowidzeniem. Przypuszczał, że uaktywniła się jakaś uspiona część jego mózgu, natomiast ta, która dotąd w ciągu kilku sekund obliczała zyski z cukru albo poruszała kostkami domina, przestała funkcjonować. Dzięki tej nowej jasnowzroczności odgadywał pobudki i zamiary innych, zwłaszcza żony, która nie mogła już manipulować nim tak łatwo jak kiedyś. Własne i cudze emocje nabrały przejrzystości kryształu, miewał chwile uniesienia, w których czuł się, jakby przenikał wzrokiem gęstą mgłą teraźniejszości i – przerażony – widział przyszłość. Ta przyszłość była czyścem, gdzie przez całe wieki miał płacić za błędy, których nie pamiętał albo których być może nie popełnił. „Módl się, módl, mój synu, i czyn miłosierdzie”, poradził mu Père Antoine i to samo powtarzał zakonnik, który we wtorki i w soboty przynosił komunię.

Chory odprawił warknięciem obecną w pokoju niewolnicę. Ślina wypływała mu z kącików ust, ale potrafił jeszcze narzucić swoją wolę. Kiedy Tété podeszła bliżej, bo nie rozumiała, co mówi, zdrową ręką chwycił ją mocno za ramię i zmusił, by usiadła obok niego na łóżku. Nie był bezbronnym starcem, wciąż napawał strachem. „Zostaniesz tu, żeby się mną opiekować”, zażądał. Była to ostatnia rzecz, którą Tété spodziewała się usłyszeć; musiał jej to powtórzyć. Zdumiona zrozumiała, że dawny pan nawet nie podejrzewa, jak bardzo go nienawidzi, nie wie nic o czarnej skale, którą ona nosi w sercu, od kiedy zgwałcił ją jako jedenastoletnią dziewczynkę, nie wiedział, co to wina ani wyrzuty sumienia; może umysł białych nie rejestruje cierpienia, które zadają innym. Uraza przytłaczała tylko ją, jego nawet nie musnęła. Valmorain, którego świeżo nabyta umiejętność jasnowidzenia okazała się niewystarczająca, by odgadnąć uczucia, jakie budził w Tété, dodał, że przez lata opiekowała się Eugenią, nauczyła się wiele od Tante Rose i zdaniem Parmentiera nie ma lepszej pielęgniarki niż ona. Odpowiedzią na te słowa była cisza tak długa, że Valmorain zdał sobie w końcu sprawę, iż nie może już rozkazywać tej kobiecie, dlatego zmienił ton. „Zapłacę ci, ile się należy. Nie – tyle, ile zażadasz. Zrób to w imię tego wszystkiego, co razem przeszliśmy, i w imię naszych dzieci”, powiedział, cały zasmarkany i zaśliniony.

Przypomniła sobie radę, którą tyle razy powtarzał Père Antoine, i zajrzała w głąb własnej duszy, ale nie potrafiła znaleźć tam nawet isierki współczucia. Chciała wytłumaczyć Valmorainowi, że właśnie z tego powodu nie może mu pomóc: przez to, co razem przeszli, przez to, co wycierpiała jako jego niewolnica, i przez ich dzieci. Pierwsze odebrał jej zaraz po urodzeniu, a drugie zniszczyłby natychmiast, gdyby tylko straciła czujność. Ale nie zdołała tego wyrazić. „Nie mogę, proszę mi wybaczyć, monsieur”, to wszystko, na co mogła się zdobyć. Wstała, chwiejąc się na nogach, wstrząsana biciem własnego serca. Przed wyjściem zostawiła na łóżku Valmoraina niepotrzebny ciężar swojej nienawiści, którego nie chciała dłużej wlec za sobą. W milczeniu opuściła dom drzwiami dla służby.



## Długie lato

Rosette nie mogła dołączyć do Maurice'a tak szybko, jak zaplanowali, bo zima na północy była bardzo ciężka i podróż okazała się niemożliwa. Na innych szerokościach geograficznych niespiesznie nadchodziła wiosna, a w Bostonie lód trzymał aż do końca kwietnia. Wtedy było już za późno, żeby wsiąść na statek. Nie miała jeszcze dużego brzucha, ale kobiety, z którymi się stykała, odgadły, w jakim jest stanie, bo jaśniała urodą nie z tej ziemi. Skóra nabrała różowego koloru, włosy błyszcząły jak szkło, spojrzenie stało się jeszcze głębsze i słodsze, cała promieniowała ciepłem i światłem. Zdaniem Louli nie było w rym nic dziwnego: w ciele brzemiennych kobiet płynie więcej krwi. „A jak myślicie, skąd dziecko bierze krew?”, pytała. Tété podzielała jej opinię, bo widziała wiele porodów i zawsze zdumiewała ją hojność, z jaką matki pozbywały się krwi, Ale ona sama nie miała takich objawów jak Rosette. Brzuch i piersi ciążyły jej jak kamienie, na twarzy pojawiły się ciemne plamy, a na nogach żyły. Z powodu opuchlizny mogła przejść najwyżej dwie przecznice. Nie pamiętała, żeby w czasie dwóch poprzednich ciąży czuła się tak słaba i brzydka. Wstydziła się, że jest w tym samym stanie co Rosette – miała zostać jednocześnie matką i babcią.

Któregoś dnia na Rynku Francuskim zobaczyła żebraka uderzającego jedyną ręką w dwa blaszane bębny. Brakowało mu również nogi. Pomyślała, że może kiedy stał się bezużyteczny, pan wypuścił go, żeby zarabiał na życie. Był jeszcze młody, jego uśmiech odsłaniał pełne uzębienie; miał figlarny wyraz twarzy kontrastujący z jego opłakanym stanem. Nosił w sobie rytm – w duszy, w skórze, we krwi. Grał i śpiewał z taką radością i z tak żywiołowym entuzjazmem, że wokół zebrała się grupka słuchaczy. Biodra kobiet same tańczyły w takt bębnow, którym trudno było się oprzeć. Kolorowe dzieci walczyły na kije udające szpady i powtarzały chórem słowa pieśni, najwidoczniej słyszanej wiele razy. Z początku Tété nic nie rozumiała, ale wkrótce odgadła, że ma do czynienia z hermetycznym *créole* z plantacji na Saint-Domingue. W myśli przetłumaczyła refren na francuski: *Capitaine La Liberté/protégé de Macandal/'c'est battu avec son sable/pour sauver son général*. Ugięły się pod nią kolana, musiała usiąść na skrzynce po owocach, z trudem utrzymując równowagę z powodu olbrzymiego brzucha, i tak zaczęła, aż muzyk skończy i zbierze jałmużnę wśród publiczności. Od dawna nie używała *créole*, który poznała w Saint-Lazare, ale udało im się jakoś porozumieć. Mężczyzna przybył z Haiti, które wciąż nazywał Saint-Domingue; opowiedział jej, że stracił rękę w kruszarce trzciny, a nogę pod toporem kata, bo próbował uciec. Poprosiła, żeby powtórzył jej słowa pieśni, powoli, by mogła je zrozumieć, i tak dowiedziała się, że Gambo jest legendą. Według pieśni bronił Toussainta Louverture'a jak lew, walcząc z żołnierzami Napoleona, aż w końcu poległ z powodu niezliczonych ran od kul i stali. Ale kapitan nie zginął, podobnie jak Mackandal: powstał zamieniony w wilka, gotów dalej walczyć o wolność.

– Wielu go widziało, madame. Mówią, że ten wilk krąży wokół Dessalinesa i innych generałów, bo zdradzili rewolucję i sprzedają ludzi jak niewolników.

Tété dawno pogodziła się z myślą, że Gambo nie żyje – pieśń żebraka potwierdziła jej przeczucia. Tej nocy poszła do domu Adèle porozmawiać z doktorem Parmentierem, jedyną osobą, z którą mogła podzielić się swoim smutkiem, i opowiedziała mu, co usłyszała na targu.

– Znam tę pieśń, Tété, śpiewają ją bonapartyści, kiedy upiją się w Café des Émigrés, ale dodają jeszcze jedną zwrotkę.

– Jaką?

– Coś o zbiorowej mogile, w której gniją czarni i wolność, i dodają: wiwat Francja i Napoleon!

– To straszne, doktorze.

– Gambo był bohaterem za życia i jest nim po śmierci, Tété. Dopóki krąży ta pieśń, będzie przykładem odwagi.

Zacharie nie dowiedział się, że Tété jest pogrążona w żałobie, bo robiła wszystko, by to ukryć. Chroniła tę pierwszą miłość, największą w jej życiu, jak wielką tajemnicę. Rzadko o niej wspominała, bo nie mogła ofiarować Zachariemu równie silnej namiętności – ich związek był spokojny i przewidywalny. Wolny od takich skrupułów Zacharie rozgłaszał na prawo i lewo, że zostanie ojcem. Przywykł do tego, że zawsze błyszczał i rozkazywał, nawet w Le Cap, gdzie był niewolnikiem, a cięgi, które niemal pozbawiły go życia, o czym przypominała twarz ze źle poskładanych kawałków, nie dały mu do myślenia: nadal dużo wydawał i nie krył swoich uczuć. Raczył wódką gości Chez Fleur, żeby pili za dziecko, którego oczekiwała Tété. Jego współpracowniczka Fleur Hironnelle musiała go mitygować, bo nie były to najlepsze czasy na rozrzutność ani wzbudzanie ludzkiej zawiści. Nic nie denerwowało Amerykanów bardziej niż czarny pyszałek.

Rosette przekazywała im na bieżąco wieści od Maurice'a, które docierały z dwu-, trzymiesięcznym opóźnieniem. Profesor Harrison Cobb po wysłuchaniu szczegółów historii zaproponował Maurice'owi gościnę w swoim domu, gdzie mieszkał z owdowiałą siostrą i matką, stukniętą staruszką, która jadła kwiaty. Później, kiedy dowiedział się, że Rosette jest w ciąży i urodzi w listopadzie, ubłagał go, żeby nie szukał innego mieszkania, tylko sprowadził swoją rodzinę do nich. Ten pomysł najbardziej zachwycił jego siostrę Agathę – Rosette mogłaby pomóc jej w opiece nad matką, a obecność dziecka wniosłaby trochę radości do życia ich wszystkich. Powiedziała, że ten ogromny dom, gdzie hulają przeciągi, na ścianach wiszą portrety czuwających przodków, a w pustych pokojach od lat nie postąpiła niczyja noga, potrzebuje zakochanej pary i dziecka.

Maurice rozumiał, że Rosette nie będzie mogła przyjechać także i latem, i pogodził się z rozstaniem, które miało potrwać ponad rok, aż minie kolejna zima, ona dojdzie do siebie po porodzie, a dziecko będzie w stanie wytrzymać podróż. Tymczasem podsycił miłość, wysyłając jak zawsze rzekę listów, a każdą wolną minutę poświęcał nauce. Harrison Cobb zatrudnił go jako sekretarza, płacił mu dużo więcej, niż się należało za porządkowanie papierów i pomoc w przygotowaniu lekcji. Praca była lekka i dawała Maurice'owi czas na studiowanie prawa i na jedyną rzecz, która wydawała się Cobbowi naprawdę ważna: ruch abolicjonistyczny. Wspólnie uczestniczyli w publicznych manifestacjach, redagowali pamflety, odwiedzali redakcje gazet, sklepy i biura, przemawiali w kościołach, klubach, teatrach i na uniwersytetach. Harrison Cobb znalazł w Maurisie syna, którego nigdy nie miał, i towarzysza walki, o którym zawsze marzył. Z tym chłopakiem u boku zwycięstwo ideałów i tego wszystkiego, w co wierzył, wydawało się w zasięgu ręki. Jego siostra Agatha, również abolicjonistka – jak wszyscy Cobbowie, w tym także dama, która jadła kwiaty – liczyła dni dzielące ich od chwili, kiedy udadzą się do portu powitać Rosette i dziecko. Mieszana rodzina była najlepszym, co mogło im się przytrafić: urzeczywistnieniem głoszonej przez nich równości, oczywistym dowodem na to, że rasy mogą i powinny się łączyć i żyć w zgodzie. Jakie wrażenie wywoła Maurice, kiedy pokaże się publicznie z kolorową żoną i dzieckiem, by domagać się wyzwolenia niewolników! To będzie bardziej wymowne niż milion pamfletów, Maurice'owi płomienne przemowy jego dobroczyńców wydawały się nieco absurdalne, bo tak naprawdę nigdy nie uważał, że Rosette czymkolwiek się od niego różni.

Lato 1806 roku było bardzo długie i przyniosło Nowemu Orleanowi epidemię cholery i kilka pożarów. Toulouse Valmorain, w towarzystwie opiekującej się nim zakonnicy, został przewieziony na plantację, dokąd rodzina wyjechała, by przeczekać największe upały. Parmentier stwierdził, że stan zdrowia pacjenta jest stabilny i że pobyt na wsi z pewnością przyniesie mu ulgę. Lekarstwa, które Hortense rozpuszczała w zupie, bo odmawiał ich przyjmowania, nie wpłynęły pozytywnie na jego charakter. Wpadał we wściekłość tak często, że sam ze sobą nie wytrzymał. Wszystko go irytowało, od piekącego bólu wywołanego przez pieluchy po niewinny śmiech córek dobiegający z ogrodu, ale najbardziej denerwował go Maurice. Zachował w pamięci każdy etap życia swojego syna. Pamiętał każde słowo, które powiedzieli sobie na koniec, i powtarzał je po tysiąc razy, szukając wyjaśnienia dla tak bolesnego i ostatecznego zerwania. Przyszło mu do głowy, że Maurice odziedziczył po matce szaleństwo. W jego ży-

łach płynęła osłabiona krew Eugenii Garcíi del Solar, a nie silna krew Valmorainów. Nie dostrzegął w tym synu żadnych swoich cech. Maurice był taki jak matka, miał te same zielone oczy, jej chorobliwą skłonność do fantazjowania i do niszczenia samego siebie.

Wbrew temu, co przypuszczał doktor Parmentier, jego pacjent nie znalazł na wsi spokoju, a jedynie więcej powodów do zmartwień. Na własne oczy przekonał się o tym, o czym uprzedził go Sancho: plantacja bardzo podupadła. Owen Murphy wraz z całą rodziną wyjechał na północ, by zająć ziemię, którą nabył po wielu trudach, przepracowawszy trzydzieści lat jako zwierzę pociągowe. Jego miejsce zajął młody człowiek, polecony przez ojca Hortense. Nazajutrz po przyjeździe Valmorain postanowił poszukać kogoś innego, bo nowemu nadzorcy brakowało doświadczenia w prowadzeniu tak dużej plantacji. Produkcja znacząco spadła, a niewolnicy zachowywali się prowokacyjnie. Logicznie rzecz biorąc, to Sancho powinien zająć się tymi sprawami, dla Valmoraina było jednak oczywiste, że jego wspólnik pełni rolę wyłącznie dekoracyjną. To zmusiło go do szukania wsparcia u Hortense, chociaż wiedział, że im więcej będzie miała władzy, tym głębiej on zapadnie się w fotel paralytyka.

Sancho postanowił dyskretnie pogodzić Valmoraina z Maurice'em. Musiał zrobić to, nie wzbudzając podejrzeń Hortense Guizot, której wszystko wychodziło lepiej, niż sobie zaplanowała, bo miała teraz pełną kontrolę nad mężem i jego dobrami. Utrzymywał kontakt z siostrzeńcem za pośrednictwem listów – bardzo krótkich, nie pisał bowiem dobrze po francusku. Zapewniał, że po hiszpańsku robi to lepiej niż Góngora, ale nikt z jego otoczenia nie wiedział, o kogo chodzi. Maurice odpowiadał, opisując szczegółowo swoje życie w Bostonie i wylewnie dziękując za pomoc, jakiej udzielał jego żonie. Od Rosette dowiedział się, że często dostaje pieniądze od wuja. On sam nigdy o tym nie wspomniał. Maurice relacjonował także drobne kroczki, jakimi posuwał się naprzód ruch antyniewolniczy, i poruszał inny temat, na którego punkcie miał obsesję: ekspedycję Lewisa i Clarka, wysłaną przez prezydenta Jeffersona wzdłuż rzeki Missouri. Misja polegała na zbadaniu plemion indiańskich, flory i fauny na obszarze praktycznie nieznanym białym, i dojściu, jeśli to będzie możliwe, do wybrzeży Pacyfiku. Sancha nie entuzjasmowały amerykańskie ambicje zajmowania coraz to nowych obszarów. „Kto chce mieć dużo, dużo traci”, pomyślał, ale wyprawa rozpałała wyobraźnię Maurice'a, który gdyby nie Rosette, dziecko i abolicjonizm, ruszyłby w ślad za podróżnikami.

## W więzieniu

Tété urodziła córkę skwarne go czerwcowego dnia z pomocą Adèle i Rosette, która chciała z bliska zobaczyć, co ją samą czeka za kilka miesięcy. Loula i Violette przechadzały się po ulicy równie zdenerwowane jak Zacharie. Kiedy Tété wzięła dziewczynkę w ramiona, zaczęła płakać ze szczęścia: mogła ją kochać bez obawy, że zostanie jej odebrana. Należała do niej. Będzie musiała chronić ją przed chorobami, wypadkami i innymi naturalnymi niebezpieczeństwami, jak chroni się wszystkie dzieci, ale nie przed panem, który miałby prawo dysponować nią według własnego widzimisie.

Radość ojca była przesadna, a uroczystości, które zorganizował, tak wystawne, że Tété zaczęła się bać: mogły spowodować nieszczęście. Na wszelki wypadek zaniósła noworodka do kapłanki Sanité Dédé, która wzięła piętnaście dolarów za mający chronić dziecko rytuał z wykorzystaniem własnej śliny i koguciej krwi. Potem wszyscy udali się do kościoła, żeby Père Antoine ochrzcił dziewczynkę imieniem matki chrzestnej: Violette.

Reszta tego wilgotnego i gorącego lata wydawała się Rosette wiecznością. W miarę jak rósł jej brzuch, coraz dotkliwiej odczuwała nieobecność Maurice'a. Mieszkała z matką w domku, który kupił Zacharie, i chociaż otaczały ją kobiety i nigdy nie zostawała sama, nie czuła się bezpiecznie. Zawsze była silna – uważała, że szczęście jej sprzyja – ale teraz stała się bojaźliwa, miewała koszmary i nachodziły ją złe przeczucia. „Dlaczego nie popłynęłam z Maurice'em w lutym? A jeśli coś mu się stanie? Jeśli się już nie zobaczymy? Nie powinniśmy byli się rozstawać!”, płakała. „Nie myśl o złych rzeczach, Rosette, bo myślenie o nich sprawia, że się zdarzają”, mówiła jej Tété.

We wrześniu część rodzin, które latem uciekły na wieś, była już z powrotem w mieście, a wśród nich Hortense Guizot z córkami. Valmorain został na plantacji, ponieważ nadal nie udało mu się znaleźć innego nadzorcy, a poza tym miał dosyć żony, a ona jego. Nie tylko nadzorca sprawił mu zawód, nie mógł także liczyć na towarzystwo Sancha, który wyjechał do Hiszpanii. Poinformowano go, że może odzyskać należące do Garcíów del Solar ziemie – zaniedbane, ale przedstawiające pewną wartość. Ten niespodziewany spadek oznaczał dla Sancha tylko dodatkowy ból głowy, pragnął jednak znowu zobaczyć swój kraj, w którym nie był od trzydziestu dwóch lat.

Valmorain powoli wracał do zdrowia dzięki opiece zakonnic, surowej Niemki całkowicie nieczułej na wybuchy gniewu pacjenta. Zmuszała go, by codziennie robił kilka kroków i ćwiczył, ściskając niesprawną dłońią kłębek wełny. Poza tym leczyła chorego z nietrzymania moczu, raniąc jego dumę zakładaniem pieluch. W tym czasie Hortense wraz z orszakiem nianie i innych niewolników zajęła dom w mieście i przystąpiła do korzystania z uroków życia towarzyskiego, uwolniona od męża, który ciążył jej niczym zdechły koń. Może i udałoby się tak wszystko urządzić, by trzymać go przy życiu – jak nakazywała przyzwoitość – ale zawsze z daleka.

Minął zaledwie tydzień, odkąd rodzina wróciła do Nowego Orleanu, kiedy Hortense Guizot przypadkowo natknęła się na Rosette, na ulicy Chartres, gdzie poszła ze swoją siostrą Olivie kupić wstążki i pióra, wciąż miała bowiem zwyczaj przerabiania kapeluszy. W ciągu ostatnich lat kilka razy widziała dziewczynę z daleka, więc natychmiast ją rozpoznała. Rosette miała na sobie sukienkę z cienkiej wełny i wyszywany szal zarzucony na ramiona, a włosy zebrane w kok, jednak mimo skromnego wyglądu nadal nosiła się dumnie. Jej uroda zawsze wydawała się Hortense prowokacyjna, rym bardziej teraz, kiedy ona sama tonęła w fałdach tłuszczu. Wiedziała, że Rosette nie popłynęła z Maurice'em do Bostonu, ale nikt nie powiedział jej, że jest w ciąży. W głowie kobiety natychmiast zadźwięczał dzwonek alarmowy: to dziecko, zwłaszcza jeśli będzie płci męskiej, może stanowić zagrożenie dla równowagi jej życia. Mąż, mając tak słaby charakter, skorzystałby z pretekstu, żeby pogodzić się z Maurice'em i wszystko mu wybaczyć.

Rosette zwróciła uwagę na dwie damy, dopiero kiedy znalazły się bardzo blisko. Zeszła na bok, żeby

je przepuścić, i przywitała uprzejmym dzień dobry, jednak bez cienia pokory, jakiej biali oczekiwali od kolorowych. Hortense zastąpiła jej prowokująco drogę. „Spójrz, Olivie, co za bezczelność”, powiedziała do siostry, wystraszonej nie mniej niż Rosette. „Zobacz, co ma na sobie, przecież to jest złoto! Czarne nie mogą publicznie nosić biżuterii. Zasluguje na chłostę, nie sądzisz?”, dodała. Olivie, nie rozumiejąc, co ugryzło Hortense, chwyciła siostrę za ramię, żeby ją odciągnąć, ale ta uwolniła się i jednym szarpnięciem zerwała Rosette medalion, który podarował jej Maurice. Dziewczyna odskoczyła, zasłaniając rękami szyję, a wtedy Hortense wymierzyła jej policzek.

Rosette korzystała z przywilejów przysługujących wolnej dziewczynce, najpierw w domu Valmoraina, a potem w szkole urszulanek. Nigdy nie czuła się niewolnicą, a uroda dodawała jej pewności siebie. Do tej pory nie doświadczyła przemocy ze strony białych i nie podejrzewała, jak wielką mają nad nią władzę. Instynktownie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, ani nie zastanawiając się nad konsekwencjami, oddała cios nieznamojemu, która ją zaatakowała. Zaskoczona Hortense Guizot zachwiała się, złamała obcas i mało brakowało, a upadłaby na ziemię. Zaczęła wrzeszczeć jak opętana i w jednej chwili zgromadziła się wokół nich grupka gapiów. Na widok otaczających ją ludzi Rosette próbowała uciec, ale wykręcono jej ręce do tyłu i chwilę później strażnicy zabrali ją do aresztu.

Tété dowiedziała się o wszystkim pół godziny później, bo wiele osób widziało incydent, więc wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy i dotarła do Louli i Violette, które mieszkały niedaleko. Mogła jednak zobaczyć się z córką dopiero wieczorem, kiedy poszła do więzienia razem z Père Antoine’em. Święty, który znał areszt jak własny dom, odsunął strażnika i poprowadził Tété wąskim korytarzykiem oświetlonym kilkoma pochodniami. Przez kraty widać było cele dla mężczyzn; na końcu znajdowała się zbiorowa sala, gdzie upchnięto kobiety. Wszystkie były kolorowe, poza dziewczyną o żółtawych włosach, prawdopodobnie służącą; była także dwójka czarnych dzieci w łachmanach, które spały przylepione do jednej z więźniarek. Inna trzymała na rękach małego chłopca. Podłogę pokrywała cienka warstwa słomy, leżało na niej kilka odrażających koców, stało wiadro, w którym można było ulżyć swoim potrzebom, i dzban brudnej wody do picia. Wisząc w powietrzu duchotę pogłębiał charakterystyczny smród rozkładającego się mięsa. W bladym świetle docierającym z korytarza Tété zobaczyła Rosette siedzącą w kącie między dwiema kobietami, owiniętą w swój szal, z rękami na brzuchu i twarzą spuchniętą od płaczu. Podbiegła przerażona, by ją przytulić, i potknęła się o ciężkie kajdany, które założono jej córce na nogi.

Père Antoine odpowiednio się przygotował, znał bowiem aż za dobrze warunki, w jakich przebywali więźniowie. W koszu miał koc dla Rosette oraz chleb i kawałki cukru, które podzielił między kobiety. „Jutro cię stąd wyciągniemy, Rosette, prawda, *mon père*?”, powiedziała, płacząc, Tété. Kapucyn milczał.

Jedynym wyjaśnieniem całego incydentu, jakie przyszło Tété do głowy, była chęć zemsty ze strony Hortense Guizot za zniewagę, którą wyrządziła rodzinie, odmawiając opieki nad Valmorainem. Nie domyślała się, że już samo istnienie jej i Rosette stanowiło dla tej kobiety obrazę. Załamana poszła do domu Valmoraina, gdzie – jak sobie przysięgła – jej noga miała więcej nie postać, i rzuciła się na ziemię przed dawną panią, błagając, by uwolniła Rosette, a w zamian za to ona zaopiekuje się jej mężem, zrobi, o co tylko ją poprosi, wszystko, niech się tylko pani zlituje, madame. Zatruta złością Hortense nie odmówiła sobie przyjemności powiedzenia Tété, co o niej myśli, po czym kazała ją wyrzucić ze swojego domu.

Matka robiła, co mogła, zważywszy na jej ograniczone środki, żeby ulżyć Rosette. Zostawiała swoją małą Violette z Adèle albo z Loulą i codziennie zanosila do więzienia jedzenie dla wszystkich kobiet, bo była pewna, że Rosette podzieli się tym, co dostanie, a nie mogła znieść myśli, że będzie głodna. Musiała zostawiać zapasy strażnikom, bo rzadko pozwalali jej wchodzić, i nie wiedziała, ile ci mężczyźni oddają więźniarkom, a ile zostawiają dla siebie. Violette i Zacharie brali na siebie koszty, a ona

spędzała pół nocy na gotowaniu. Była wycieńczona, bo oprócz tego pracowała i opiekowała się swoją córeczką. Przypomniła sobie, że Tante Rose zapobiegała chorobom zakaźnym, zalecając gotowaną wodę, dlatego ubłagała kobiety, żeby nie piły wody z dzbana, nawet gdyby konały z pragnienia, tylko herbatę, którą im przynosiła. W poprzednich miesiącach kilka więźniarek zmarło na cholere. Ponieważ nocami dokuczało już zimno, zdobyła dla wszystkich chroniące przed chłodem ubrania i dodatkowe koce, bo nie mogło być ciepło tylko jej córce, ale wilgotna słoma na podłodze i woda, która sączyła się ze ścian, wywołały u Rosette ból w piersiach i uporczywy kaszel. Nie tylko ona chorowała; inna więźniarka była w jeszcze gorszym stanie – w ranę od kajdan wdała się gangrena. Père Antoine uległ naleganiom Tété i sprawił, że kobietę przeniesiono do szpitala zakonnicy. Pozostałe już jej nie zobaczyły, ale tydzień później dowiedziały się, że straciła nogę.

Rosette nie chciała, żeby powiadomili Maurice'a o tym, co się stało, była bowiem pewna, że wyjdzie na wolność, zanim on zdąży otrzymać list, jednak sprawiedliwości się nie spieszyło. Minęło sześć tygodni, zanim sędzia rozpatrzył jej przypadek i zrobił to w miarę szybko wyłącznie dlatego, że miał do czynienia z wolną kobietą, a także z naciskami ze strony Père Antoine'a. Inne więźniarki czekały latami tylko po to, żeby się dowiedzieć, za co zostały aresztowane. Bracia Hortense Guizot, adwokaci, wnieśli przeciwko dziewczynie oskarżenie o „napaść na białą kobietę z zadaniem ciosów pięścią”. Karą była chłosta i dwa lata więzienia, ale sędzia ustąpił świętemu: zrezygnował z batów ze względu na ciężą Rosette i zeznania Olivie Guizot, która opowiedziała, co naprawdę się zdarzyło, odmawiając potwierdzenia wersji siostry. Sędziego poruszyła także pełna godności postawa oskarżonej, która stawiała się w czystej sukience i odpowiedziała na zarzuty bez arogancji, ale zdecydowanym tonem, mimo że kaszel utrudniał jej mówienie i ledwo trzymała się na nogach.

Kiedy Tété usłyszała wyrok, rozpętał się w niej huragan. Rosette nie przeżyłaby dwóch lat w odrażającej celi, tym bardziej jej dziecko. „Erzulie, *loa* matko, dodaj mi sił”. Uwolni swoją córkę, nieważne jak, nawet jeśli będzie musiała zburzyć własnymi rękami mury więzienia. W przypiływie szału oznajmiała każdej napotkanej osobie, że zabije Hortense Guizot i całą tę przeklętą rodzinę. Père Antoine postanowił interweniować, zanim także ona trafi do aresztu. Nie mówiąc nikomu ani słowa, udał się na plantację, żeby porozmawiać z Valmorainem. Ta decyzja wiele go kosztowała, po pierwsze dlatego, że nie bardzo mógł opuścić na kilka dni całą tę gromadę ludzi, którym pomagał, po drugie nie umiał jeździć konno, a podróż łodzią w górę rzeki była kosztowna i trudna, w końcu jednak zdołał jakoś dotrzeć na miejsce.

Święty zastał Valmoraina w lepszym stanie, niż się spodziewał, choć mężczyzna nadal był niepełnosprawny i niewyraźnie mówił. Zanim zaczął grozić mu piekłem, zdał sobie sprawę, że ten człowiek nie ma zielonego pojęcia o tym, co zrobiła żona w Nowym Orleanie. Kiedy Valmorain usłyszał, co się wydarzyło, bardziej rozgniewało go, że Hortense zdołała wszystko przed nim ukryć, tak jak ukrywała tyle innych rzeczy, niż los Rosette, którą nazywał „ładacznicą”. Zmienił jednak podejście, kiedy duchowny powiedział mu, że dziewczyna jest w ciąży. Uświadomił sobie, że straci szansę na pojednanie z Maurice'em, jeśli Rosette lub dziecku przytrafi się coś złego. Sprawną ręką chwycił krowi dzwonek, wezwał zakonnicy i polecił jej, żeby kazała przygotować łódź, bo natychmiast wyrusza do miasta. Dwa dni później adwokaci Guizot wycofali wszystkie zarzuty przeciwko Rosette Sedelli.

## Zarité

Minęły cztery lata i jest teraz rok 1810, Przestałam bać się wolności, chociaż nigdy nie przestanę bać się białych. Już nie płaczę po Rosette, prawie zawsze jestem zadowolona.

Rosette wyszła z więzienia zawszona, wymizerowana, chora i z wrzodami na nogach od siedzenia bez ruchu i od kajdan. Trzymałam ją w łóżku, opiekowałam się nią dzień i noc, wzmacniałam zupami z wołowego szpiku i pożywnymi potrawkami, które przynosiły nam sąsiadki, ale to nic nie pomogło i urodziła przed czasem. Dziecko nie było jeszcze gotowe, przyszło na świat malutkie i miało skórę przezroczystą jak zmoczony papier. Poród był krótki, ale Rosette osłabła i straciła dużo krwi. Drugiego dnia zaczęła gorączkować, a trzeciego majaczyła, wzywając Maurice'a; wtedy zrozpaczona zrozumiałam, że odchodzi. Przywołałam całą wiedzę, jaką przekazała mi Tante Rose, wykorzystałam mądrość doktora Parmentiera, prosiłam o modlitwy Père Antoine'a i wzywałam moje loa. Przyłożyłam jej noworodka do piersi, żeby uczucia macierzyńskie zmusiły ją do walki o własne życie, ale myślę, że nie zdała sobie z tego sprawy. Uczepiłam się córki, próbując ją zatrzymać, błagając, żeby wypita łyk wody, żeby otworzyła oczy, żeby mi odpowiedziała, Rosette, Rosette. O trzeciej nad ranem, kiedy podtrzymując ją, śpiewałam afrykańskie pieśni, usłyszałam, że coś szepcze, Nachyliłam się nad jej wysuszonymi ustami. „Kocham cię, maman”, powiedziała, i zaraz zgasła, wydając z siebie ciche westchnienie. Poczułam w swoich ramionach jej lekkie ciało i zobaczyłam jej ducha, który oderwał się łagodnie niczym smużka mgły i wypłynął na zewnątrz przez otwarte okno.

Nie da się opisać straszego rozdarcia, jakie czułam, zresztą nie muszę tego robić: matki wiedzą, o czym mówię, bo tylko nieliczne, te najbardziej szczęśliwe, nigdy nie straciły dziecka. O świcie Adèle przyniosła nam zupę i to ona musiała wyrwać Rosette z moich zeszywniałych ramion i ułożyć ją na łóżku. Pozwoliła, bym przez chwilę jęczała zwinęta z bólu na podłodze, po czym włożyła mi w dłonie miskę zupy i przypomniała o dzieciach. Mój biedny wnuk leżał skulony obok mojej córki Violette, w tej samej kołysce, tak mały i bezbronny, że w każdej chwili mógł odejść w ślad za Rosette. Rozebrałam go, położyłam na długim kawałku materiału, z którego zrobiony był mój tignon, i przywiązałam do nagiej piersi, przy sercu, skóra przy skórze, żeby myślał, że wciąż jest w ciele swojej matki. Nosiłam go tak przez kilka tygodni. Mojego mleka, tak jak mojej czułości, wystarczało i dla córki, i dla wnuka. Kiedy wyjęłam Justina z zawiniątka, był gotów do życia na tym świecie.

Pewnego dnia do mojego domu przyszedł monsieur Valmorain. Dwóch niewolników wysadziło go z powozu i przeniosło na rękach pod drzwi. Bardzo się postarzał. „Chcę zobaczyć dziecko, proszę cię, Tété”, zwrócił się do mnie słabym głosem. Nie miałam serca zostawić go na zewnątrz.

– Bardzo mi przykro z powodu Rosette... Przysięgam ci, że nie miałem z tym nic wspólnego.

– Wiem, monsieur.

Długo patrzył na naszego wnuka, po czym zapytał o jego imię.

– Justin Solar. Jego rodzice wybrali to imię, bo oznacza sprawiedliwość. Gdyby urodziła się dziewczynka, nazywałaby się Justine – wyjaśniłam.

– No cóż, mam nadzieję, że siarczy mi życia, żeby naprawić niektóre moje błędy – powiedział, i widać było, że zaraz się rozpłaczę.

– Wszyscy się mylimy, monsieur.

– To dziecko jest Valmorainem ze strony ojca i matki. Ma jasne oczy i może uchodzić za białego. Nie powinno wychowywać się wśród czarnych. Chcę mu pomóc, żeby otrzymało dobre wykształcenie i nosiło moje nazwisko, jak przystoi.

– O tym musi pan porozmawiać z Maurice'em, monsieur, nie ze mną.

Maurice otrzymał w tym samym liście wiadomość, że urodził mu się syn i że Rosette nie żyje. Natychmiast wsiadł na statek, mimo że był środek zimy. Kiedy przyплыnął, malec skończył trzy miesiące; był spokojnym chłopcem, o delikatnych rysach i zielonych oczach, podobnym do swego ojca i babki, biednej doñi Eugenii. Maurice długo przytulał syna do piersi, ale był jakby nieobecny, wyschnięty od środka, a jego spojrzenie pozbawione światła. „Będzie pani musiała się nim przez jakiś czas zająć, maman”, powiedział. Został niespełna miesiąc i nie chciał rozmawiać z monsieur Valmorainem, mimo że wuj Sancho, który wrócił już z Hiszpanii, usilnie go o to prosił. Père Antoine, który zawsze łagodził spory, tym razem nie chciał pośredniczyć między ojcem a synem. Maurice zdecydował, że dziadek może od czasu do czasu widywać Justina, ale tylko w mojej obecności, i zabronił, bym cokolwiek od niego przyjmowała: ani pieniędzy, ani żadnej pomocy, a tym bardziej jego nazwiska dla dziecka. Powiedział, żebym opowiadała Justinowi o Rosette, żeby zawsze był dumny z niej i ze swojej mieszanej krwi. Wierzył, że los jego syna, owocu głębokiej miłości, został naznaczony i że dokona kiedyś wielkich rzeczy, tych, których on chciał dokonać, zanim śmierć Rosette odebrała mu chęć życia. Na koniec polecił mi, żebym trzymała go z dala od Hortense Guizot. Nie musiał mnie przed nią ostrzegać.

Wkrótce mój Maurice wyjechał, ale nie wrócił do swoich przyjaciół w Bostonie, tylko porzucił studia i stał się niestrudzonym podróżnikiem: przemierzył więcej świata niż wiatr. Od czasu do czasu pisuje kilka zdań i dzięki temu wiemy, że żyje, ale przez te cztery lata tylko raz przyjechał zobaczyć swojego syna. Zjawił się ubrany w skóry, z długą brodą i cerą pociemniałą od słońca; wyglądał jak kaintock. W jego wieku nie umiera się z powodu złamanego serca. Maurice potrzebuje czasu, żeby się zmęczyć. Chodząc tyle po świecie, będzie stopniowo znajdował ukojenie, a kiedy któregoś dnia nie będzie już mógł zrobić kroku ze zmęczenia, zrozumie, że nie ma ucieczki od bólu; trzeba go oswoić, żeby nie dokuczał. Wtedy poczuje, że Rosette jest przy nim, że mu towarzyszy, tak jak ja ją czuję, i może odbierze swego syna, i znów zacznie się interesować zniesieniem niewolnictwa.

Zacharie i ja mamy drugie dziecko, Honoré, który zaczyna już stawiać pierwsze kroki, trzymając za rękę Justina, najlepszego przyjaciela i zarazem wuja. Chcemy mieć ich więcej, chociaż len dom robi się dla nas za mały i nie jesteśmy już młodzi, bo mój mąż ma pięćdziesiąt sześć lat, a ja czterdzieści, ale pragniemy zestarzeć się wśród gromady dzieci, wnuków i prawnuków, wszystkich wolnych.

Mój mąż i Fleur Hironnelle wciąż prowadzą dom gry i są współnikami kapitana Romeira Toledano, który pływa po Morzu Karaibskim, przewożąc przemycane towary i zbiegłych niewolników. Zacharie nie dostał kredytu, bo prawo zaczęło traktować kolorowych bardzo surowo, dlatego nic nie wyszło z marzeń o kilku kasynach. Jeśli o mnie chodzi, jestem bardzo zajęta dziećmi, domem i lekarstwami dla doktora Parmentiera, które teraz przygotowuję we własnej kuchni, ale po południu mam czas, by wypić kawę z mlekiem na patio z bugenwillami w domu Adèle, gdzie sąsiadki zbierają się na pogaduszki. Madame Violette widzujemy rzadziej, bo spotyka się głównie z damami z Société du Cordon Bleu; wszystkie są bardzo zainteresowane podtrzymywaniem tej przyjaźni, bo madame przewodniczy balom i od niej zależy los ich córek w plaçage. Zwlekała ponad rok, zanim pogodziła się z don Sanchem, chciała ukarać go za miłostki z Adi Soupir. Zna naturę mężczyzn i nie oczekuje, że będą wierni, ale wymaga od kochanka, żeby jej nie poniżał, przechadzając się po tamie z jej rywalką. Madame nie udało się ożenić Jeana-Martina z bogatą Mulatką, tak jak sobie zaplanowała, bo chłopak został w Europie i nie zamierza tu wracać. Loula, która ledwo może chodzić ze starości – musi chyba mieć ponad osiemdziesiąt lat – opowiedziała mi, że jej księżę porzucił karierę wojskową i zamieszkał z Isidore’em Morissetem, tym gorszy-cielem, który nie był naukowcem, ale agentem Napoleona albo braci Lafitte, salonowym piratem, jak go nazywa, wzdychając. Nigdy więcej nie rozmawiałyśmy z madame Violette o przeszłości i od tego ukrywania prawdy w końcu uwierzyłyśmy, że to ona jest matką Jeana-Martina. Bardzo rzadko o tym myślę, ale chciałabym, żeby któregoś dnia spotkali się wszyscy moi potomkowie: Jean-Martin, Maurice, Violet-



te, Justin i Honoré, oraz dzieci i wnuki, które jeszcze będę miała. Zaproszę wtedy przyjaciół, ugotuję najlepsze gumbo créole w całym Nowym Orleanie, a muzyka będzie grała aż do świtu.

Zacharie i ja mamy już historię, możemy patrzeć w przeszłość i liczyć dni, które spędziliśmy razem, sumować chwile cierpienia i szczęścia. Tak powstaje miłość, bez pośpiechu, dzień po dniu. Kocham go tak jak zawsze, ale teraz czuję się przy nim lepiej niż kiedyś. Gdy był piękny, wszyscy go podziwiali, zwłaszcza kobiety, które robiły mu bezwstydne propozycje, a ja walczyłam ze strachem, że próżność i pokusy oddalą go ode mnie, chociaż on nigdy nie dawał mi powodów do zazdrości. Trzeba go znać od środka, tak jak ja go znam, żeby wiedzieć, ile jest wart. Nie pamiętam, jaki był; podoba mi się jego dziwna, porozbijana twarz, zasłonięte martwe oko, jego blizny. Nauczyliśmy się nie kłócić o drobiazgi, ale o to, co ważne, a to już dużo. Żeby oszczędzić mu niepokoju i – przykrości, tylko pod jego nieobecność korzystam z okazji i spędzam czas po mojemu, to zaleta posiadania męża, który często bywa zajęty. Nie podoba mu się, kiedy chodzę boso po ulicy, bo nie jestem już niewolnicą; kiedy pomagam Père Antoine'owi w ratowaniu grzeszników z El Pantano, bo to niebezpieczne; kiedy biorę udział w bambousses na placu Congo, bo rzekomo są prostackie. Nie opowiadam mu o tych rzeczach, a on mnie nie pyta. Nie dalej jak wczoraj tańczyłam na placu przy dźwiękach magicznych bębnów Sanité Dédé. Tańczyć, tylko tańczyć. Czasami przychodzi Erzulie, loa matka, loa miłości, i dosiada Zarité. Wtedy razem pędzimy galopem odwiedzić moich zmarłych na podmorskiej wyspie. Tak właśnie jest.

# Słowniczek

**affranchis** – (z fr. *affranchissement* – emancypacja) wyzwoleni niewolnicy, określenie stosowane na Haiti i w innych francuskich koloniach w odniesieniu do Murzynów i Mulatów, którzy decyzją swoich właścicieli odzyskiwali wolność, oraz do dzieci wyzwolonych niewolników. W hierarchii społecznej *affranchis* zajmowali miejsce pomiędzy *grand blancs* a niewolnikami.

**ajoupa** – prymitywne schronienie, szałas, szopa.

**asson** – święta grzechotka używana w obrzędach vodou, tykwa zaopatrzona w uchwyt, z kośćmi węża lub innymi drobnymi przedmiotami w środku albo siecią paciorków oplatającą ją od zewnątrz. Nie należy mylić z grzechotką używaną jako instrument muzyczny.

**bambousse** – zabawa urządzana z okazji ślubu, pogrzebu czy innej uroczystości, niemająca charakteru religijnego.

**Baron Samedi** – złożone bóstwo vodou, loa śmierci, Pan Cmentarza i „skrzyżowań” oraz magii związanej z umarłymi, której głównym, a przynajmniej najbardziej popularnym wyrazem jest zombi. Podobnie jak słowo „zombi”, Samedi pochodzi od indiańskiego słowa „Cemi”, które oznacza ducha umarłego, istotę pozbawioną duszy oraz kamień-fetysz, za pomocą którego uprawia się magię.

**bokor** – zawodowy czarownik, specjalista od złych czarów i zombi.

**Boukman, Dutty** – murzyński niewolnik urodzony na Jamajce, sprzedany na Saint-Domingue. Jako hungan przewodniczył w sierpniu 1791 ceremoniom vodou w Bois-Caïman, które zapoczątkowały murzyńskie powstanie przeciwko białym plantatorom. Zabity przez Francuzów w listopadzie 1791. Jego uciętą głowę wystawiono na widok publiczny, by ograniczyć szerzący się kult Boukmana jako niezwykłej istoty nadprzyrodzonej.

**calenda** – rytuał nocnych tańców przy dźwiękach bębnów.

**carré** – z fr. kwadrat, czworobok.

**commandeurs** – nadzorcy niewolników na plantacjach, sami będący niewolnikami.

**corps-cadavre** – z fr. *corps* – ciało, zwłoki; *cadavre* – trup, padlina.

**créole** – 1. Kreol, biały potomek emigrantów hiszpańskich, portugalskich albo francuskich urodzony i mieszkający w Ameryce Południowej lub na południu Stanów Zjednoczonych; 2. język kreolski, haitańska odmiana francuskiego powstała pod silnym wpływem języków afrykańskich, którymi mówili niewolnicy. Od 1961 roku kreolski jest w Republice Haiti drugim – obok francuskiego – językiem oficjalnym.

**Czarny Kodeks** – (fr. *Code Noir*) zbiór przepisów zatwierdzonych w 1685 przez króla Francji Ludwika XIV, regulujących stosunki między niewolnikami i ich właścicielami na terenie kolonii francuskich. Obowiązywał do wybuchu rewolucji francuskiej w 1789.

**Dambala** – bóstwo vodou, loa wód, źródeł, rzek, deszczu i tęczy, płodności i siły, przedstawiany pod postacią węża wygiętego w luk na drodze, po której Słońce wędruje po niebie.

**Dessalines, Jean-Jacques** – ur. 1758 jako niewolnik; oficer, a potem generał armii francuskiej na Saint-Domingue. Po aresztowaniu Toussainta stanął na czele powstania antyfrancuskiego. W 1803 pokonał wojska francuskie w bitwie pod Vertieres. W 1804 proklamał niepodległość Haiti i został mianowany przez generałów dożywotnim gubernatorem generalnym. W tym samym roku ogłosił się cesarzem, przyjmując imię Jakuba I. Wsławił się okrutnymi rządami. W 1806 został zamordowany w wyniku spisku wojskowych.

**dosiadanie** – w religii vodou nawiedzanie, opętanie, manifestacja boskości w człowieku, stan, w którym loa czasowo „dosiada” nawiedzonego, zajmuje miejsce gros-bon-ange żywej osoby. „Człowiek-koń” zachowuje swoje damie dafo, ale zostaje ono przejęte przez loa, który wnika w nie i pozbawia indywidualnej świadomości, co manifestuje się w postaci dziwnych gestów, mimiki, zmienionego głosu i wyrazu oczu, a nawet krótkotrwałej utraty przytomności osoby „dosiadanej”.

**Erzulie** – (albo Erzuli, Erzili, Ezili) bóstwo vodou, loa miłości i piękna, namiętności i luksusu, patronka sztuk plastycznych.

**fufu** – tradycyjna potrawa popularna w Afryce Zachodniej, rodzaj ciągnącego się ciasta z manioku, bananów, ryżu i słodkich ziemniaków, maczanego w sosie.

**Gede** – (albo Ghede) bóstwo vodou, loa umarłych, pan życia i śmierci, strażnik bramy, przez którą dusze zmarłych wstępują w otchłań, a loa i siły życiowe wyłaniają się z otchłani; reprezentuje także pożądanie i sprośność. Jego symbolicznymi przedstawieniami są m.in. łopata grabarza i drewniany fallus.

**grands blancs** – (z fr. wielcy biali) zamożni biali koloniści francuscy, urodzeni we Francji lub na Saint-Domingue, właściciele plantacji, elita gospodarcza i kulturalna kolonii; jako klasa zajmowali najwyższe miejsce w hierarchii społecznej Saint-Domingue.

**gris-gris** – stosowane przez wyznawców vodou połączenie talizmanu z amuletem, w postaci małego woreczka zawierającego ziola, małe kostki, kamienie, włosy, obcięte paznokcie i inne przedmioty uważane za magiczne, których liczba musi być nieparzysta i nie przekraczać trzynastu.

**gros-bon-ange** – według wyznawców vodou duchowa kopia człowieka, metafizyczny sobowtór, który żyje w każdej istocie ludzkiej; indywidualna, nieśmiertelna dusza; po śmierci człowieka schodzi do odmętów wodnej otchłani, skąd po roku i jednym dniu przechodzi do świata duchów po odprawieniu przez kapłana specjalnego rytuału.

**Gwinea** – 1. Afryka, pierwotna utracona ojczyzna niewolników; miejsce, z którego wywodzi się czarna rasa; 2. w religii vodou mityczna ojczyzna bóstw i duchów, mityczne zaświaty.

**habitation** (z fr. mieszkanie, miejsce zamieszkania) – gospodarstwo, obejmuje rezydencję plantatora i zabudowania gospodarcze.

**hunfor** – 1. małe pomieszczenie, w którym znajduje się ołtarz jednego lub kilku loa; 2. „parafia” vodou, obszar (ziemia, budynki, wraz z rytualnym wyposażeniem i osobami odprawiającymi rytuały) podlegający jednemu kapłanowi vodou.

**hungan** – kapłan vodou; jest odpowiedzialny za kontakt z loa i przodkami, posiada moc wzywania duchów, aby ujawniły się w wymiarze materialnym. Zna się na leczeniu i przepisach magicznych, udziela rad w rozmaitych problemach życiowych.

**hunsi** – osoba, która przeszła pewien etap inicjacji vodou i ma prawo do wykonywania określonych czynności rytualnych.

**Invisibles, les** – (z fr. niewidzialni) – w religii vodou termin oznaczający wszystkie niewidzialne duchy: gros-bon-ange zmarłych oraz loa.

**kaintocks** – nazwa, jaką nowoorleańscy Kreole określali amerykańskich handlarzy, którzy tratwami spływali Missisipi do Nowego Orleanu, gdzie sprzedawali przywożone towary, łamiąc monopol handlowy Korony hiszpańskiej. Typowi ludzie pogranicza, prości, nieokrzesani. W Nowym Orleanie często urządzali pijatyki, brali udział w bójkach na noże i awanturach.

**Kalfu** – (od fr. *carrefour* – skrzyżowanie) bóstwo vodou, loa „skrzyżowań”, do których dopuszcza ludzi lub broni im dostępu; reprezentuje siły destrukcji i zniszczenia; władca mrocznych sił świata duchów, specjalista od czarów i czarnej magii. Jest jedną z postaci vodouistycznego bóstwa Legba. W haitańskim folklorze utożsamiany z chrześcijańskim diabłem.

**koulant** – kolendra meksykańska, mikołajek (*Eryngium foetidum*); liście rośliny mają zastosowanie jako warzywo, przyprawa oraz lek.

**Kreol** – zob. créole.

**Legba** – bóstwo vodou, loa „skrzyżowań”, strażnik pilnujący wejścia do zaświatów, pośrednik między światem ludzi i duchów. Tylko za jego pośrednictwem można się porozumieć z innymi loa.

**Loa** – (kongijskie słowo oznaczające duchy) w religii vodou bóstwa pochodzenia afrykańskiego. Są personifikacją abstrakcyjnych zasad, ale przyjmują bardzo konkretne, zindywidualizowane postacie mające charakterystyczny wygląd, gesty, mimikę, sposób mówienia, stroje, ulubione potrawy, itp. Wcielają się w osoby przez siebie nawiedzone. Dostarczają ludziom życiowej energii, ale same też muszą odnawiać swoje siły, do czego potrzebne są dary ofiarne w postaci pokarmów i krwawych ofiar ze zwierząt.

**Mackandal, François** – afrykański niewolnik przywieziony z Senegalu lub Gwinei na Saint-Domingue. Kapłan vodou (hungan). Zjednoczył kilka grup zbiegłych niewolników i stanął na ich czele jako charyzmatyczny przywódca zbrojnych wystąpień przeciw białym plantatorom w północno-zachodniej części wyspy. Schwytany po zdradzie jednego ze swych towarzyszy, który nie wytrzymał tortur. W 1758 został publicznie spalony żywcem na rynku w Cap-Français (dziś Cap-Haïtien). Jego śmierć dała początek wielu legendom, obecnym do dzisiaj w haitańskim folklorze i sztuce ludowej.

**maman** – 1. (kreolski) mama; 2. główny bęben pośród używanych w rytuałach vodouistycznych do przywoływania loa. Ma ponad metr wysokości. Gra się na nim ręką (uderzającą w jego brzeg) i pałeczką (uderzającą w napiętą skórę).

**mambo** – kapłanka vodou, żeński odpowiednik hungana.

**Marechaussée** – straż konna, utworzona na Haiti w 1707, głównie z myślą o zapewnieniu bezpieczeństwa na plantacjach i ściganiu zbiegłych niewolników. Obowiązkową kilkuletnią służbę w tej formacji pełnili wolni Mulaci.

**marroni** – (z fr. *marrons*) zbiegli niewolnicy ukrywający się w górach na Saint-Domingue. Żyli w obozowiskach, gdzie starali się odtworzyć warunki życia, które znali z Afryki. Wyznawali vodou, byli prekursorami haitańskiej rewolucji.

**Morts, les** – (fr.) zmarli, duchy zmarłych.

**Mystères, les** – synonim loa.

**Ogun** – loa ognia, kowali i wojowników. Patron męskiej seksualności.

**Ogun-Ferraille** – w religii vodou jedna z wielu manifestacji Oguna, utożsamiany z żelazem, z którego produkuje się białą broń. Jego kolorem jest czerwień krwi.

**Papa Bondye** – albo **Bondieu** (z fr. *bon dieu* – dobry bóg) najwyższy bóg w kulcie vodou, stwórca wszechświata, który nie ingeruje w ziemskie sprawy.

**petits blancs** – (z fr. mali biali) mieszkający na Saint-Domingue niezamożni i niewykształceni biali; byli to najczęściej handlarze, rzemieślnicy, drobni właściciele. Stanowili olbrzymią większość niekolorowej ludności kolonii.

**podmorska wyspa** – według wyznawców vodou mityczne miejsce, gdzie mieszkają loa. Czasami utożsamiana z Gwineą. Po śmierci człowieka tam trafia jego gros-bon-ange i żyje pod postacią morskiego stworzenia lub owada, dopóki nie uwolni go specjalny rytuał.

**poteau-mitan** – centralny siup wbiły w ziemię w miejscu, gdzie odbywają się ceremonie vodou; oś metafizycznego kosmosu, połączenie między światem ludzi i światem duchów, przez które loa schodzą na ziemię. Wyznawcy krążą wokół niego podczas rytuałów i tańców i u jego stóp składają ofiary.

**Rada** – jeden z dwóch rodów, do których należą loa (drugim jest Petro). Loa z linii Rada i związane z nimi rytuały zostały przywiezione przez niewolników z Afryki; na Saint-Domingue dały początek nowemu panteonowi i nowej tradycji, będącej mieszanką elementów afrykańskich i kreolskich, nazywanej ogólnie Petro.

**skrzyżowanie** – najważniejsza z figur rytualnych vodou, symbol przecięcia głównych kierunków na płaszczyźnie poziomej lub symbol przecięcia płaszczyzny poziomej (świat ludzi i materii) z pionową (świat metafizyczny); miejsce, w którym wchodzi się do krainy les Invisibles. Tamteży wychodzą loa, by działać w świecie materialnym, Punkt wymiany energii i sił pomiędzy światami, w którym umieszcza się ofiary z pożywienia dla loa.

**ti-bon-ange** – (od fr. *petit bon ange* – mały dobry anioł) – obiektywny, bezosobowy składnik duchowy człowieka, świadomość, ludzkie sumienie. Zostaje automatycznie uwolniony w chwili śmierci i unosi się przez dziewięć dni, zanim wstąpi do nieba.

**tignon** – kilka chust lub jedna duża płachta materiału, zawijana przez kobiety wokół głowy na kształt turbanu.

**Toussaint, François Dominique** – (zwany L'Ouverture lub Louverture), ur. 1743, zm. 1803. Niewolnik, który w 1791 przyłączył się do oddziału zbuntowanych Murzynów dowodzonych przez Boukmana, a po jego śmierci został jednym z przywódców powstania przeciwko białym. W 1793 przeszedł na hiszpańską stronę wyspy, gdzie w porozumieniu z Hiszpanami zorganizował złożoną z niewolników armię, z którą rok później dołączył do Francuzów i wyparł połączone siły hiszpańsko-brytyjskie. W 1801 zniósł niewolnictwo i doprowadził do uchwalenia konstytucji wyspy, która dawała mu niemal absolutną władzę jako dożywotniemu gubernatorowi. Napoleon uznał go, ale chciał odzyskać pełną kontrolę nad kolonią i jej dochodami, dlatego w 1802 wysłał na Saint-Domingue armię pod wodzą generała Leclerca. Toussaint został aresztowany i przewieziony do Francji, gdzie zmarł w więzieniu na zapalenie płuc.

**vévé** – symboliczny znak służący do przywoływania loa, rysowany na ziemi.

**vodou** synkretyczna religia wyznawana na Haiti i niektórych wyspach Morza Karaibskiego, powstała z połączenia praktyk i elementów pochodzenia afrykańskiego, chrześcijańskiego i indiańskiego.

**zombi** – „żywy trup”, ciało ludzkie, któremu odebrano duszę, automat pozbawiony świadomych władz intelektu. Rodzi się, kiedy bokor za pomocą magicznych zabiegów usuwa duszę z żywego człowieka lub kiedy wykopuje z grobu ciało niedawno zmarłego, którego dusza została już oddzielona podczas zwykłego rytuału śmierci.

[{1}](#) Objasnienia niektórych terminów zawiera słowniczek na końcu książki (przypis tłumacza).

[{2}](#) vodou (voodoo, wudu) – zdaniem profesora Leszka Kolankiewicza, kulturoznawcy, badacza religii afroamerykańskich, pisownia spolszczona „wudu”, którą podaje Nowy słownik ortograficzny PWN pod red. Edwarda Polańskiego, jest z naukowego – afrykanistycznego, językoznawczego, etnograficznego, religioznawczego – punktu widzenia niepoprawna. Pisownia „wudu” przejęta została – błędnie – z języka angielskiego (voodoo). Haitańska (kreolska) nazwa „vodou” (pisownia francuska: vaudou) wywodzi się bowiem z wyrazu „vodü”, pochodzącego z języka Fonów (będącego właściwie dialektem języka ludu Ewe), zamieszkujących południowy Benin. Profesor Kolankiewicz proponuje zatem pisownię spolszczoną „wodu” – znaną z licznych polskich publikacji afrykanistycznych, etnograficznych i religioznawczych – albo pisownię haitańską (kreolską) „vodou”, zgodną z zalecaną tam ortografią. Zapis „vudou” uznaliśmy za obowiązujący w naszej książce (przypis redakcji).